

Andrzej Kuśniewicz

Trzecie królestwo

Śniło mi się, że płynę w dół unoszony prądem, że woda, jeśli była to istotnie woda, taka ciepła, o temperaturze mniej więcej 37,5° Celsjusza, przepływa mi przez rozstawione palce. Wrażenie dosłownie — czesania. Coś nieokreślonego, wyłącznie w śnie możliwego było w tym prądzie wodnym. Rzeka jakaś? Refleks odbicia — jak mi to tłumaczył parokrotnie doktor Meissner — jakby w lustrze czegoś, co istniało na jawie? A właściwie — jakoby jest to podwójne odbicie, można je uzyskać ustawiając dwa lustra, wówczas osiągamy złudzenie nieskończoności: odbicia luster wzajemnie się powtarzające i w nich ja, ty, on, kot przechadzający się po skraju dachu, listonosz, bo ja wiem co czy kto jeszcze.

Skręcałem z Brentanostrasse, a tam zwykle ślisko i trzeba uważać. To hamując, to dodając gazu, jechałem na trójce na wszelki wypadek, mimo że moje Capri na ogół trzyma się nieźle szosy. Wyminąłem ciężarówkę, nie zdecydowaną, czy skręcić do trotuaru, czy jechać raczej środkiem, zatrąbiłem, pomyślałem sobie już na prostej: ten strumień, który mi się przyśnił, to nie była woda, tylko najwyraźniej włosy. Pasma, a raczej kilka, a może nawet kilkanaście pasm, pasemek, jasno szklących się, co zapewne wziąłem zrazu za refleks światła na wodzie. Mogę teraz przysiąc, że gładziłem obu rękami długą falę włosów o niezdecydowanej barwie, bardzo miękkich, wręcz jedwabistych, a nawet — jak mi się teraz wydaje — wędrowałem, na pół płynąc, na pół brodząc po pas, a potem po szyję w tym sypkim bogactwie uwłosienia. Było go coraz więcej, cała, nieokreślona zresztą, przestrzeń była nimi wypełniona. Po brzegi — jeśli istniały jakiegokolwiek.

Doktor Meissner znalazłby natychmiast naukowe wytłumaczenie tego mego dzisiejszego snu, jego bliższe i dalsze źródła. To zresztą nie pierwszy mój sen na temat włosów. Widywałem już kędzierzawe brody — i to nie byłem pewien, czy męskie, czy może na twarzy kobiety brodacza, którą przed wielu, wielu laty, chyba jeszcze w Berlinie, oglądałem w jakiejś jarmarcznej budzie. Siedziała okrakiem na beczce po piwie, szeroko rozstawiwszy monstrualnie grube, wręcz potworne, gigantyczne uda, odziana w czarny kostium kąpielowy, i miała, świetnie sobie przypominam, wytatuowane błękitną farbą na ramieniu, grubym prawie jak jej udo, dwa splecione węże. No i miała czarną gęstą brodę, bez wątplenia autentyczną. W dekolcie kostiumu kąpielowego, tworzącym rodzaj szelek, widniały również czarne kudelki i kobieta brodacz, by zwrócić na nie uwagę nas zgromadzonych za barierką, komentujących w różny sposób wygląd i gestykulację eksponatu usadowionego na beczulce, raz po raz dotykała ich palcami pełnymi pierścieni, o paznokciach lakierowanych na wiśniowo, a nawet okręcała je dokoła palca i pociągała, jakby to był huzarski wąs, śmiejąc się i gadając wciąż do nas. Ktoś rzucił jej papierosa, złapała w locie, zapaliła, salutując i mówiąc coś w rodzaju: całuję cię w twego banana, bananika, dziubu- siu! Chóralny śmiech nas stłoczonych w budzie; ja zjadłem sandwicza z pasztetówką i trzymałem w ręku tekturowy kubek z nie dopitą lemoniadą, to "było lato — który rok? Zapewne, domyślam się, liczę na palcach — dwudziesty dziewiąty, może trzydziesty. Potem wygnał nas impresario, bo za nasze ileś tam marek staliśmy już zbyt długo, a baba brodacz żegnała nas całusami od ust, przeczesując brodę palcami o wiśniowo lakierowanych, ostrych paznokciach.

Sięgnąłem po sennik zaraz z samego rana, nim udałem się do łazienki. Mam aż dwa, oba kupione z czystej ciekawości, a może rodzącej się we mnie na stare lata manii kolekcjonerskiej. Jeden dość stary, jeszcze z tamtego wieku, babiloński, drugi z lat międzywojennych, Chaldejski. W szczegółach różnią się między sobą, istnieją jednak także i podobieństwa.

Odnalazłem bez trudu, bo układ jest alfabetyczny, oba hasła.

„Wodę śnić — w niej płynąć”, z odróżnieniem — to tylko w tym babilońskim, starszym: „na wznak” czy „żabką”, brak cawła. Zapomniałem, a może nie mogłem sobie uświadomić dokładnie, jak pływałem i czy w ogóle było to pływanie. Może stałem w wodzie-włosach i rozchylonymi palcami przechwytywałem pasma wody-uczesania, jakby je czesząc, układając i pieszcząc. Najwyraźniej — pieszczota. Poszukałem zatem hasła „pieszczota”. Ba, cała masa odmian, gatunków, przedmiotów pieszczona — od własnej twarzy po różne części ciała, a także kwiaty, zwierzęta. Na przykład: „pieścić kota”. Odmiany: „pod włos” i „z włosiem”. Odmiana babilońska stawia niedobre prognozy dla tych, którzy we śnie pieścili kota pod włos. Gdy się w dodatku kot opierał, cały tydzień zły. Gdy pozwalał się gładzić — tylko do wieczora. Uwaga! „Złamanie nogi lub ręki niewykluczone!”

Poszukałem z kolei hasła „włosy”. Tu znów kilka gatunków i możliwości. Na przykład — w chaldejskim, gdzie obok tekstu widnieją również miniaturowe ryciny: „włosy czyjeś gładzić, czesać grzebieniem” — tu rozróżnienie: gęstym albo też rzadkim — nader ważne! Zupełnie odmienna prognoza! Gęsty grzebień bowiem to — inna rzecz, że sennik wydano przed wynalezieniem antybiotyków, a nawet sulfamidów, i stąd zapewne aż dwa wykrzykniki — „w ciągu najbliższych kilku miesięcy grozi zarażenie weneryczne”. Miniaturowy rysunek na marginesie, w ramce: serduszko do połowy zaczerwionie i dwie dłonie zasłaniające twarz.

Dalej czytam: „za włosy-targanie”, a także — „włosów obcinanie; włosów strzyżenie”, w końcu — „zarostu golenie”.

Nie dokonywałem żadnej z tych czynności. Odłożyłem oba senniki na miejsce. Nowa szafka biblioteczna z zasuwanymi szybkami już niemal wypełniona. Rzuciłem na nią okiem: cała góra — czasopisma prawnicze. Ale również kilka pięknie oprawnych albumów krajoznawczych, a także z dziedziny historii sztuki. Alhambra i Escorial, Galeria Uffizi i leningradzki Ermitaż. Względy na format kazały mi ustawić tak różne tematycznie książki obok siebie: albumy sztuki, medycyna sądowa i oprawne na ciemnowiś- niowo roczniki pism prawniczych.

Niżej — Husserl i Psychopatologia seksualna. Dzieje Bizancjum. Inne formaty. I kilka Maigretów Simenona na samym dole. Tam jeszcze nieco miejsca.

Musiałem, skręcając z Brentanostrasse w Vor Dem Sauer-

WT.

i n? mac sprj Mó wil sur ma św Z ter pr M

le g<

ž< u; rr Z|

V >

wassertor — szczególnie uważać. Nawierzchnia dziś bardzo wilgotna od rosy. Tak tu bywa stale w pogodne poranki późnego lata.

Zjazd w dół, dość stromy. Tędy codziennie od kilku już lat. Dokładnie — od wiosny 1968. Wtedy sprowadziłem się do willi w Arzheim wynajętej od niejakiego Schulza, Joachima Schulza, właściciela dużej piekarni w centrum, który w tym czasie kupił znacznie bardziej luksusową willę w dzielnicy Metternich. Metternich stało się od nie tak dawna modne. Od kilku miesięcy jestem posiadaczem domu i nie żałuję tego nabytku. Blisko pół hektara ogrodu — niecała morga gruntu, co prawda nie uporządkowanego, Schulz o to nie dbał, jego żona również. Mieli od jakiegoś czasu mieszkanie w śródmieściu, tutaj, przy Bornweg, spędzali tylko dwa—trzy miesiące letnie, a i to przeważnie siostra piekarza, opiekująca się jego dziećmi, on sam rzadko. Stała tam, w tym zapuszczonym ni to ogrodzie, ni to mini-parku, buda na narzędzia. Kazałem ją rozebrać. Zakładałem rosarium. Właśnie tam, na skłonie opadającym ku potokowi Griesenbach. Dość tutaj romantycznie jakoby. Tak przynajmniej orzekła Leni R., a ona zna się na takich sprawach. Krzewy — przeważnie są to bzy, ale zdziaczały i mało kwitnące, trzeba by się ich wyzbyć — jaśmin, a także akacja, która była niegdyś, jak się domyślam, strzyżona w charakterze ochronnego szpaleru przy samym murze.

Istnieją dwie wąskie uliczki prowadzące w dół od Oberdorfstrasse, przecznicy mojej Bornweg, którymi można dojść do niewielkiego cmentarza, dziś chyba już nieczynnego. Bramka zamknięta, ale od tyłu jest drugie wejście, całkowicie otwarte, rodzaj wyłomu w usypującym się murze. Ten cmentarzyk, pełen starych drzew, jest jakoby jeszcze romantyczniejszy od zejścia z mego ogrodu ku potokowi Griesenbach.

Zjechałem w dół przez Obertal i Charlottenstrasse aż do szosy numer 42. I nią w lewo, do mostu. Pfaffendorfer Brücke. Tu właśnie, onegdaj, niewiele brakowało, a wpadłbym koło budynku szkoły w Ehrenbreitstein na trotuar i stojącą na nim solidną latarnię na żelaznym słupie. Ledwo, ledwo udało mi się wyprowadzić wóz bokiem i minąć o kilkanaście centymetrów ten pechowy słup, na którym już kilkakrotnie lądowały zjeżdżające z góry wozy.

Poza mną, wysoko, zarys twierdzy tylekroć oglądanej ze wszystkich stron, w skrótach, skosach, perspektywach, z dołu, na wprost, a także z boku, że już jakby w świadomości nie istniejącej. Teraz od niej, od całego wzniesienia Ehrenbreitstein, pada poranny, rozległy cień, sięgający poprzez Ren i jego obie odnogi przy wyspie Niederwerth aż placów campingowych w dzielnicy zarzecznej, Wallersheim. Ustawiono tam sporo domków i jeden namiot, którego niedokładnie naciągniętym płótnem szarpie ciągnący znad wody wiatr. I w ogóle, jest — było — słonecznie i wietrzno.

Przy skrócie na Pfaffendorfer Brücke niewielki zator. Wysokie jak domy ciężarówki z holenderskimi znakami, malowane na kolor jaskrawozielony, papuzi. Kontenerowce, jakie co dzień wędrują tędy, szosą numer 42. Część z nich — szczególnie te holenderskie, z Rotterdamu, skieruje się następnie na szosę numer 9, inne — nasze, z Bremy i Hamburga, a także belgijskie — na szosę numer 49 idącą wzdłuż brzegów Mozeli w kierunku na Trier i dalej.

Wreszcie cała ta kawalkada — naliczyłem co najmniej trzydzieści tych olbrzymich pudeł — rusza powoli z miejsca, wjeżdżając na most. Wyprzedzam je i dodaję gazu.

Jadąc widzę pod sobą mętne fale Renu połyskujące tęczowo, miejscami czarne niemal, gdzie indziej czerwono- -lila, rudawe, a nawet zjadliwie żółte. Ren jest straszliwie zanieczyszczony. Kloaka, nie rzeka. Wielki, olbrzymi ściek.

Lecz, jak się okazuje, Mozela jest jeszcze bardziej zanieczyszczona. Przynajmniej na oko, gdyż obserwowana z góry, ze stoków Ehrenbreitsteinu, wydaje się atramento- wo czarna. Ten kolor pochodzi jakoby od mas węglowego miału, niesionego prądem gdzieś aż z Francji, od Forbach, Metz, tamtejszych kopalń, płuczek, placów przeładunkowych z wagonów na galary. Nieraz obserwowałem takie zjawisko: ciemny, niemal czarny klin wody wpływa z Mozeli w jaśniejszy, zielonkawożółty nurt Renu. Ten ciemny jezior wydaje się na pozór nieruchomy. Gdy się mu jednak dokładniej przyjrzeć, widać, jak drga, wygina się, czasami jest tak długi, że ruchomym zakończeniem sięga daleko poza cypel wyspy Niederwerth i tam położonych placów sportowych, kiedy indziej kurczy się i grubieje, by lizać

Mó wil

ma św Z te

bokami pobrzeże przedmiejskich ogrodów nadrzecznych ¹ i uliczek Kesselheimu. Trzyma się chętniej lewego brzegu rzeki. Chwilami wykonuje na boki ruch kołysania, potem się wypręża, wyostrza w szpiczasty klin i nieruchomieje, Odrywają się od niego niewielkie strzępy i wąsy, lecz szybko nikną rozmyte prądem Renu. Ren wchłania w siebie brudy czarnej Mozeli, miesza je z własnymi, natury bar dziej złożonej, chemicznej, nowocześniejszej i groźniejszej, i niesie ku Kolonii i dalej. Gdy w te miejsca, gdzie jeszcze można rozróżnić wody obu rzek, wedrze się statek, ciężka barka, a tym bardziej cały ich szereg ciągniony przez holownik — a dzieje się to co kilka, kilkanaście minut, tak że wystarczy cierpliwie zaczekać kwadrans najwyżej, jeśli kto ciekaw zobaczyć, jak to wygląda — wówczas taka karawana niesie jakiś czas przed sobą pourywane strzępy, jakby warkocze gęstej i ciemnej wody Mozeli.

Ren, jak czytałem, nie jest u nas, pod Koblencją, mimo wpływu Mozeli, aż tak brudny. Znacznie gorzej sprawa przedstawia się wyżej nieco, w pobliżu Moguncji na przykład, a jeszcze groźniej pod Mannheim. Tam wpadają do Renu chemikalia z wyjątkowo zatrutego Menu. Przy nim nasza Mozela może się wydać wprost krystaliczna, jak alpejski strumień. Ponadto, gdy Mozela jest zakażona w sposób jeszcze jako tako zgodny z naturą, bo przeważnie węglowym miałem, Men jest całkowicie, jeśli tak się można wyrazić, odrealniony, chemiczny i zatruty jak organizm nałogowego narkomana. Gęstość wody Menu osiąga swoje maksimum pod Frankfurtem. Woda wygląda tam jak gęsta grochowa zupa. Czuć ją też jakoś tak dziwnie — jarzynowo i owocowo — jak kubek na odpadki, w którym gniją skórki z bananów, mandarynek i owoców mango.

Nas w Koblencji ratuje w dużej mierze dopływ czystej wody rzeki Lahn, a następnie, niżej już, bliżej Bonn — rzeki Sieg. Do Renu wpadają prócz chemikaliów, ścieków miejskich i zepsutej krwi bydłowej z frankfurckich rzeźni inne ingrediencje, niesione aż hen, z Karlsruhe. Żółta woda, a także błękitna woda chemiczna. Aż spoza Karlsruhe — z alzackich kopalń soli potasowych koło Miluzy — płynie Renem sól i osadza się na przybrzeżnych trawach, korzeniach krzewów, pomostach, plażach. Tam, gdzie jeszcze do niedawna widniały regularnie ustawione nad brzegiem granicznej rzeki betonowe bunkry linii Maginota, sól alzacka pobieliała dna czółen wyciągniętych na płytkie mielizny i plaże. Nie ma już ryb, nie ma też kąpiących się.

Holendrzy, prowadzący regularnie badania zawartości zanieczyszczeń w Renie, a także w rzece Maas, którą brudzą Belgowie, nie my, oskarżają nas najbardziej za to, że nie postaraliśmy się o wyeliminowanie ze ścieków odpadów środków owadobójczych, zwłaszcza tiadanu, produkowanych przez zakłady Hoechsta koło Frankfurtu. Mimo całego systemu rzekomo niezawodnych filtrów przenikają one do Menu, a potem do Renu. Na godzinę — jak się okazuje — wszystkiego sto pięćdziesiąt do czterystu gramów, lecz wystarczy to, by wytruć iks kilometrów rzeki. Tony zatrutych ryb płyną nieprzerwanym korowodem, całymi ławicami Renem. Można je widzieć, gdy nie ma wiatru, który marszcząc wodę, utrudnia obserwację. Połyskują białawo i srebrno, czasami jasnobłękitno. Widywałem je na Oberwerth, wyrzucane na brzeg przez fale i grabione przez dozorców plaż koło tamtejszej pływalni. Podobno, jak ktoś mi mówił, można je spożytkować jako nawóz pod kwiaty, szczególnie róże. Gdy założę moje rosarium na miejscu, gdzie stała przedtem buda, magazyn na narzędzia, pogadam z dozorcą pływalni, by mi odstąpił kilka wiader poszatowanych lub

zmielonych na miazgę. Fetor był taki, gdy tam ostatni raz byłem, że ludzie krzążący się przy tej pracy mieli usta i nosy zatkane chustkami. Ren cuchnie padliną.

A prócz chemikaliów i zdechłych ryb można znaleźć w rzece jeszcze tony fekaliów z wszystkich nadrzecznych miast i osiedli. A także odpadki szpitalne i prosektoryjne: widuje się watę, przegniłą ligninę, jakieś podejrżane, poplamione szmaty. Nie dałbym głowy za to, czy nie odnalazłyby się również pooperacyjne strzępy ludzkie, jakieś, na przykład, wycinki jelit czy skóry, może fragmenty kości. A prócz tego — niezliczone baryłki, tony ropy i smarów. Gubią je holowniki i statki spacerowe, lecz także zakłady przemysłowe. Rzeka zamiera. Cywilizacja okresu, czy lepiej — ery postindustrialnej, zabije nas szybciej niż przereklamowana groza bomby atomowej, a nawet wodorowej. Gdy tamte obie wraz z innymi, nie znanymi jeszcze nam, laikom i cywilom, środkami masowej zagłady wskutek względnej równowagi sił — o, błogosławiona możliwości rewanżu! — na razie chyba nie grożą nam i jeszcze, jak należy przypuszczać, długo będziemy się wzajemnie zabijać w sposób

„Mi
odss
i na
mą
spr.
Mó
wil
sur
ma
św
Z
to-
pr M
le g<
ż< u: n r V

konwencjonalny — chemia i fizyka w majestacie postępu, legalności i chwały zatruje nasz nieszczęsny glob prędzej czy później.

Nie będziemy świadkami wielkiej, efektownej jak koniec świata katastrofy kosmicznej. Nikt gdzieś tam w jakimś gabinecie czy laboratorium, jak nam prorokowali katastrofiści jeszcze kilka lat temu, nie naciśnie feralnego guzika. Nie ujrzymy olbrzymiego grzyba nad światem. Oddychamy w dzień i w nocy spalinami, wchłaniamy Bóg wie co z powietrzem, wodą, także tą rzekomo chemicznie czystą, z potrawami, jarzynami, owocami, w konserwach i mrożonych mięsach, w ciele ryb nawet morskich, gdyż i one padają ofiarą chemicznej śmierci.

O tym myślę zazwyczaj jadąc przez most na Renie. Chyba że mam coś ważniejszego na głowie, na sercu czy sumieniu. Wtedy zapominam o katastroficznych przepowiedniach, nie patrzę bokiem, znad kierownicy, na Ren, na Mozelę, spoglądam przed siebie albo w niebo, czy nie będzie nawałnicy, deszczu, burzy. Myślałem — pamiętam, jakby to się działo wczoraj, a nie blisko trzy lata temu — o tym samym, pod wpływem jakiejś alarmującej lektury, w poniedziałek dnia dwudziestego pierwszego lipca 1969, jadąc tędy rankiem do miasta z Arzheim. Data niezapomniana nie tylko dlatego, że tej nocy wylądowali pierwsi ludzie na Księżycu.

W którymś czasopiśmie oglądałem karykaturę: śmierć w skafandrze pełnym wzorów chemicznych, z łysą głową profesora, uczonego, o twarzy zatroskanej, w grubych, sferycznych okularach.

Kilka dni temu byłem na pływalni na Oberwerth. Woda jest tam, rzecz jasna, krystalicznie czysta, ale tuż obok — poza jakąś granicą, dokąd sięga system specjalnych filtrów, wystarczy przejść parę kroków poza ogrodzenie strzeżonej plaży — już można naocznie przekonać się, jak to wygląda w praktyce. Profesor Elster z uniwersytetu we Fryburgu ma rację bijąc na alarm. Morze Północne jest największą kloaką Europy, zaś Ren nie ustępuje mu w niczym. Specjaliści z Wyższej Szkoły Technicznej w Aachen orzekli nie tak dawno, iż nasz rząd będzie musiał zainwestować eo najmniej pięćdziesiąt miliardów marek, by poprzez systemy specjalnych filtrów doprowadzić wodę naszych rzek do jakiegoś znośnego stanu.

Ale dość o tym.

Nie sposób oderwać się na dłużej niż kwadrans, pół godziny najwyżej, i to w sprzyjających warunkach — spotkania kogoś dawno nie widzianego, jakiejś wymagającej skupienia pracy — od tego, co stało się nie tak dawno. Próbuję na przekór tym myślom wrócić do grozy śmierci chemicznej, ponarzekać na Ren, na Morze Północne, na wszystko, co się da — na nic. Wracam do tamtego. Telefon rankiem do kancelarii. Odebrała moja

sekretarka, panna Alice Bergen, inaczej Alis. Oddaje mi słuchawkę po kilku zdawkowych słowach. Jest. Tak. Zaraz poproszę mecenasa. Coś takiego! Kto mówi? Komisarz L. z Polizeipresidium przy Rizzastrasse 40. Osobiście? Jakiś mój klient? Nie? Mój syn... Ach tak, dobrze, zaraz będę u pana.

Komisarz L. to mój, z racji mego zawodu, dobry znajomy. Wzajemne przysługi, grzeczności. Zresztą nie tak znów częste, jako że nie podejmuję się z zasady tego typu spraw kryminalnych, na które szczególnie wyczulony jest komisarz L.

Ernest zatem. Nie miałem pojęcia, gdzie się podziewa od kilku co najmniej miesięcy. Ostatnio z Berlina. Krótka, niewiele mówiąca informacja, przekazana nie bezpośrednio mnie, lecz jednemu z młodych ludzi, dziś już absolwentowi uniwersytetu gdzieś tam, byłemu przyjacielowi z nie istniejącej już od blisko dwu lat paczki, a nawet niby to komuny. Że jest w Berlinie, żyje i coś tam przygotowuje. Co? Nie wiadomo. Podobno coś dla filmu. Czyżby? Film?! Może.

Szybko znalazłem się na Rizzastrasse. Pieszko. Z mojej kancelarii, która znajduje się przy Stegemanstrasse, wystarczy przejść w poprzek Ebert Ring i już — minąwszy Werthstrasse i kościół ewangelicki, stale niemal zamknięty —■ bocznicą Hohenzollernstrasse, Rizzastrasse. Polizeipresidium w starej kamienicy, przy wąskiej ulicy. Jak w angielskim kryminale. Komisarz L. wyszedł mi naprzeciw. Czekał na mnie na klatce schodowej. Zagarnął mnie przyjacielsko ramieniem i wprowadził do swego gabinetu. Okna na podwórze, ciemnawo, lampa w dzień zapalona pod zielonym blaszanym kloszem.

— Niech się pan zbytnio nie niepokoi, mecenasie. Idzie o pańskiego syna, Ernesta. Nie. Nie w Berlinie, i jeszcze raz proszę — niech się pan uspokoi. Wszystko będzie do-

I brze. To się wydarzyło wczoraj z rana. W Hamburgu. Oni, z komisariatu w Altonie, gdyż cała afera znalazła się w kompetencji Altony, szukali pana telefonicznie. Pewnie na prośbę pańskiego syna, mecenasie. Zresztą dokładnie nie wiem. I jeden z nich, tych z policji hamburskiej, mój stary kumpel, połączył się ze mną, mniej więcej godzinę temu. Tak. Gdyby zatem pan... Tak i sądziłem. Ma pan do wyboru kilka pociągów. Byłby pan znacznie szybciej niż Jwozem. Zwłaszcza że zapada mgła. Już wczoraj wieczorem wszystkie samochody w Palatyńacie poruszały się powoli, na zapalonych światłach.

Więc spytałem go, czy zna szczegóły. Czy Ernest został aresztowany, a jeśli tak, pod jakimi zarzutami. Spodziewałem się najgorszego. Od miesiący przecież nie wiedziałem, co się z nim dzieje, gdzie przebywa. Ostatnia ta pośrednia informacja, że w Berlinie. Skąd nagle w Hamburgu? A Truda?

Komisarz popatrzył na mnie, jakby domyślając się, nad czym tak forsownie medytuję. Miałem zmarszczone czoło i uniesione brwi, jak się zdaje.

— Aha, dziewczyna, ta przyjaciółka pańskiego syna. Ona nie żyje.

Przełknąłem ślinę. Nim udało mi się wydobyć z siebie bodaj jedno słowo, komisarz powiedział, odczytując z kartki luzem włożonej do zeszytu w sztywnej okładce:

— Gertruda Uhrmacher, pseudo — Ru, a także chyba i Ru-Ru. W tym środowisku, w jakim się obracała, tak ją nazywano, pan się chyba w tym orientuje.

Gdy wciąż milczałem, pochylony do przodu nad biurkiem, które nas dzieliło, chwyciwszy się oburącz zmatowiałego blatu, komisarz dodał mi to twierdzącym, ni to pytającym tonem:

— Pan ją oczywiście dobrze znał, mecenasie. O ile wiem, mieszkała nawet pewien czas u pana, w pańskiej willi przy Bornweg, czy nie tak? Chyba nie była pana sekretarką. Znam przecież dobrze pańską pomocnicę, pannę Alice Bergen. A tamta, Ru czy Ru-Ru, była zapewne przyjaciółką pańskiego syna i dlatego właśnie...

— Co się właściwie wydarzyło, panie komisarzu? Jeśli pan wie i może mi powiedzieć— Jadę, rzecz jasna, dziś jeszcze, natychmiast, do Hamburga i wolałbym wiedzieć, zanim tam będę, co się tylko da w tej sprawie. Domyślam się, że sprawa jest, jak się to mówi, trefna.

Komisarz skrzywił się.

— Nie znam szczegółów. Ale chyba ma pan rację, mece* nasię. Na szczęście, o ile należycie zrozumiałem to, co mi w skrócie powiedział mój znajomy z Hamburga, syn pański Ernest został zatrzymany tylko przy okazji obławy, jaką zorganizowano. Wpadł w podejrzanym towarzystwie i, o ile wiem, przymknięto go za opór policji, nic więcej. Do wyjaśnienia. A tak w ogóle, to afera jest poważna. Idzie o grupę terrorystyczną Baader-Meinhof. Pan, mecenasie, orientuje się w tym znakomicie. Nie, jeszcze nie złapano prowodyrów tej bandy. Ani Baadera, ani tej Meinhof. Zapytałem kolegę z Hamburga, powiedział mi, że nie. Ich zdaje się w ogóle nie było w Hamburgu. Ale tak pana syn, jak i tamta dziewczyna, ta Truda czy Ru, mieli na pewno z tym coś wspólnego. Otoczono ich w jakimś kwartale ulic, no i wyłapano kilka czy kilkanaście podejrzanych osób. W różnym wieku zresztą, o ile wiem. Pana syn siedzi do wyjaśnienia, a tamta dziewczyna zginęła. Nie mam pojęcia, w jaki sposób. Przykry wypadek. No, cóż robić, zdarza się. Może wpadła pod auto albo uciekając uderzyła, głową w mur, czy ja wiem. Albo jakoś tak przy okazji szarpaniny. Pan rozumie, to się, niestety, od czasu do czasu przytrafia i nie jest to wina policji, jak to niektórzy twierdzą. I teraz, zobaczy pan, mecenasie, znów się podniosą krzyki, że to my... Obym był fałszywym prorokiem!

Zadzwoił przy mnie na dworzec, żeby mi dać pełny wykaz bezpośrednich połączeń kolejowych do Hamburga. Szedł mi, na ile mógł, na rękę. Widziałem po jego minie, jak mu jest przykro.

Wschodząc z komisariatu na ulicę, myślałem sobie: jeśli teraz zaraz pojedę ekspresem via Kolonia—Essen—Hanower, to będę w Hamburgu o godzinie... Tak, i jeżeli komisarz L. dotrzyma słowa i uprzedzi o moim przyjeździe tego policjanta w Hamburgu, wówczas... A zatem Truda nie żyje. Nie umiałem w żaden sposób zrozumieć, a raczej szło tu nie tyle o zrozumienie, co o zaakceptowanie tej informacji. Ru to imię kota. Gdzieś spotkałem taką właśnie nazwę, w jakiejś powieści, a może to był film. Nigdy właściwie nie powiedziała mi, że ją ktoś tak nazywa. Ru albo Ru-Ru. Tamten, pewnie w kłopotcie, jak wyjaśnić jej śmierć,

— |nadmienił, bardzo zmieszany, nie patrząc mi w oczy, że mogła uderzyć na przykład głową o jakiś mur, biegnąc. W u- cieczce przed obławą. Albo nagle auto zajęchało jej drogę i ona pod nie wpadła. Jakoś tak. Miała tak długie nogi, że jej susy mierzyły dwa metry chyba. Widziałem — na ulicy, ale gdzie to było? — podobną nieco do Trudy dziewczynę, leżącą w poprzek jezdni, z głową opartą o kant kamiennego chodnika. Spomiędzy bardzo jasnych, jedwabistych włosów sączyła się powolutku gęsta krew podobna do lakieru.

Pojechałem na stację. Złapałem pociąg na czas i w wagonie, mimo że miejsc było co niemiara, stałem na korytarzu, paląc papierosa za papierosem. Mucha na szybie. Senna, przemoczona, nie wiem przy jakiej okazji. Może wlażała, węsząc za resztkami jedzenia na stoliku pod oknem w przedziale, w kałużę piwa czy też lemoniady. Odsuwałem ją końcem palca od środka szyby, kierując w kąt ku metalowej, na zielono malowanej, wąskiej ramie okna. Uparła się jednak, żeby trzymać się środka. Próbowałem trącić ją końcem papierosa, ale nie po to, żeby ją oparzyć, zaledwie na tyle, by poczuła ciepło, a także swąd tytoniowy. Zatrzymała się, zastanowiła jakby, potem ruszyła na piechotę bokiem, omijając zaporę. A dla jakiejś przyczyny ulecieć nie mogła czy nie chciała. Nagle zirytowany, rozdrażniony do stanu wrzenia, rozgniotłem ją na szybie. Spadła gdzieś na moją nogę, na kolano czy udo, szukałem jej, nie mogłem znaleźć. W wagonie zapalono już światła. Mijaliśmy Kolonię. Most, katedra. Ile razy w życiu przejeżdżałem tędy? Sto? Dwieście? Trzysta?

Okrucieństwo, jak niektórzy utrzymują, należy do naturalnych cech człowieka, a tylko wynaturzenie cywilizacji spowodowało, że nasze poglądy uległy zwichnięciu, a instynkty dewiacji i rozmiękczeniu.

Zwierzę Alfa, inaczej — Dziewczyna Alfa, bo tak ją kiedyś, dwa lata temu nazwałem, a do tej nazwy dołączyło się inne — jakby pośmiertny list, zawiadomienie, informacja przedsiębiorstwa pogrzebowego — miano Ru, dziwaczne, kocie, a więc bez wątpienia zwierzęce. A zatem nazwa pierwotna, gdy jeszcze nie znałem imienia dziewczyny napotkanej na moje nieszczęście — czy można nazywać aż nieszczęściem tych ileś tam miesięcy całkiem odmiennego życia? Chyba nie. Zatem nazwa Zwierzę Alfa, określająca to zjawisko już wtedy, na progu Cafe Central, w ten sam dzień, ranek po nocy, w której wylądowali ludzie z „Apolla XI” na Księżycu — była trafna po dwakroć.

Jeżeli ciastka makaroniki, z wypieku wcześniej porannego, całkiem świeżutkie, a także moje ulubione rogaliki, również dopiero co przyniesione z zaplecza zakładu, z piekarni czy ciastkarni, chrupiące, polane różowym lukrem o zapachu różanym i w dodatku nadziewane masą migdałową, a może migdałowo-orzechową — mogą smakować w sposób szczególnie, tak to odczułem i oceniłem tego właśnie słynnego ranka, dwudziestego pierwszego lipca 1969. Może spowodowało ten stan, aż niemal euforię smaku, apetyt o cechach niemal że na poły artystycznych, bo jak inaczej nazwać takie uczucia? — zmęczenie po bezsennej prawie nocy przed telewizorem w oczekiwaniu na moment lądowania, podniecenie niwelujące senność, ta wyczuwalna aż fizycznie, wszystkimi zmysłami, świadomość wyjątkowości i niepowtarzalności zjawisk, jakie tej nocy było mi dane przeżyć. Nigdy już się to więcej nie powtórzy w historii ludzkości — tłumaczyłem sobie jadąc mostem, potem skręcając, jak tyle razy, z Ebert Ringu w prawo, w Casinostrasse, by zaparkowawszy wóz — jeszcze wówczas mój stary, poczciwy, jasnoszary 1300 VW — przed kancelarią, w cieniu, zająć na kawę, jak zazwyczaj o tej porze, do Cafe Central.

Wczoraj, dziś rano — i z górą dwa lata temu.

Otóż to nie jest niby to nic aż tak ważnego, tym bardziej że ja — to stara jeszcze, niezawodna szkoła materialistycz- nego sposobu myślenia, żeby sobie niepotrzebnie nie zawracać głowy zjawiskami nie sprecyzowanymi dostatecznie w sposób naukowy — unikałem jak ognia całe życie czegoś takiego, gdyż nie istnieją relacje bezpośrednie człowiek — rzecz, człowiek — przedmiot martwy, a mimo to czułem się jak pod rauszem,

a wiem teraz, że powstawała we mnie, formowała się w moim organizmie jakby tama czy bariera wewnętrzna, wstrzymująca odpływ niepotrzebnych, zużytych energii, nazwijmy je — powtarzam za doktorem Straussem, specem od tych spraw — sub-energiami. Rzecz z pozoru błaha, niemal śmieszna. Po krótkim namyśle — teraz już, gdy wszystko minęło, wypaliło się, przybladło — dodaję: bardzo błaha, wręcz wstydliwie maleńka, malu- teńka, rzekłbym, i śmieszna czy raczej ośmieszająca. Nad wejściem do kawiarni, nad rodzajem werandki na

Mzaiedwie sześć stolików pod pergola. nad napisemk^MS Central", na pierwszym piętrze tego staroświeckiego, dziewiętnastowiecznego domu, tej mieszczańskiej kamienicy, mieszczą się obok siebie, w zgodnym sąsiedztwie'dwie in« stytucje również reklamujące się na zewnątrz. Są to: „Dom Młodych", Fusspflege i zarazem gabinet kosmetyczny Frau Hiidebrand — oraz Puppenklinik, szpital dla lalek, a dla mnie — od jakiegoś czasu, przedtem nigdy by mi coś takiego na myśl nie przyszło — zakład dla obłąkanych lalek czy coś w tym guście. Te „obłąkane lalki" — to już pomysł

___|młodego reżysera filmowego, który, jakby odgadnąwszy w sposób wręcz proroczy trapiące mnie obsesje, pokazał mi pewnego popołudnia w lipcu 1969 te dwie instytucje nad Cafe Central i w ten sposób jak gdyby skanalizował natręctwo skojarzeń, na poły naukowo wyznaczając kierunek.

Staliśmy na trotuarze po drugiej stronie Stegemanstrasse, przy której, tuż za narożem Viktoriastrasse, mieści się Cafe Central wraz z oboma zakładami na pierwszym piętrze, i patrzyliśmy w górę. Tak zakład pani Hiidebrand, jak i Puppenklinik posiadają własne mini-wystawy, okna na piętrze, tuż nad werandą kawiarni. Padało tam słońce, ukośne już i wieczorne, specjalnie jaskrawe o tej porze dnia, uwypuklające każdy szczegół nader plastycznie.

— „Haus der Jungen — Madame Hiidebrand" i okno obok. To raz. Niech no pan popatrzy. Stamtąd, z góry prowadzą na dół schody, schodziłem nimi parokrotnie i wspinałem się, pachnie tam świeżo politurowane drewno progów i poręczy, niedawno odnowili i pociągnęli pokostem czy przezroczystą farbą i to dlatego — widzi pan, o — pokazał mi gestem brody otwarte drzwi od ulicy — właśnie schodzi stamtąd, od Frau Hiidebrand, a właściwie od jej pracownic, znam dwie, bardzo miłe panienki, jedna, | większa, nazywa się Milli, druga, pulchniejsza, z rękami js u lalki, Maria, to one są specjalistkami po studiach i egzŁ minach od tych rzeczy, rozumie pan? — ich klientka zstępuje ostrożnie, żeby się nie potknąć i — niech pan teraz uważa, przyjrzy się jej dokładnie — idę o zakład, o każdą sumę, że ta osobka wracająca po zabiegu u Marii lub Milli, gdy tylko postawi pierwszy krok na ulicy, to znaczy na trotuarze, o tutaj, o pięć kroków od nas obu — przystanie i przyjrzy się swym stopom, które wszystkie mają zwyczaj stawiać do takiego egzaminu jedną obok drugiej, ale zdarzają się wyjątki, pewna bardzo urodziwa dama na przykład ustawiła lewą stopę na wprost, jakby sztorcem, a prawą bokiem do tamtej pod kątem prostym, rozumie pan, jak w balecie, a to wszystko jest tylko i wyłącznie odruchem, bo cóż one mogą stwierdzić czy sprawdzić, przyzna pan chyba, mecenasie, gdy od września do maja noszą zamknięte obuwie, takie czy inne, okrywające szczelnie stopę, w dodatku w pończosze? A mimo to każda przystaje i patrzy. O — widzi pan? Nie mówiłem! Już odchodzi, nawet ładna pani, ach tak, bardzo przystojna i zgrabna, szkoda, że nie przystała na dłużej tutaj naprzeciw nas. A to wszystko, moja koncepcja jest taka właśnie — oparta, żeby pan wiedział, panie doktorze, na poważnych studiach natury psy- cho-parapsychologicznej i parafizjologicznej również, a także na tekstach ksiąg pochodzących z czasów, gdy Koblencja była jeszcze biskupim grodem, iż to, co one robią, co muszą wszystkie bez wyjątku robić — wynika z odbioru pod- świadomego, czegoś w rodzaju nakazu, który wypływa czy emanuje wprost z sąsiedniej instytucji, bo jak inaczej nazwać Puppenklinik, i w dodatku taką, jak nie instytucją natury specjalnej, krótko mówiąc, domem wariatów czy wariatek, bo przecież siedzą tam zamknięte wyłącznie lalki ■ płci żeńskiej niespełna rozumu, czy nie tak?

Wiedziałem, że młody człowiek, tuż po szkole filmowej, a wciąż jeszcze przed, o ile wiem, do dziś — a minęło kilka lat od naszej rozmowy — debiutem, lubi improwizować, fantazjować, a że znaleźliśmy się od dawna, ja jego od dziecka, był synem mego kolegi sprzed wojny jeszcze i jak ja, więźnia hitlerowskiego, nie krępował się przy mnie. Śmiałem się wówczas. Nie mogłem brać przecież jego słów na serio.

Na górze — w oknie — za firaneczkami i między nimi, w kilku miejscach rozchylonymi niby teatralna kurtyna, siedzą lalki. Nie wiem, czy w oczekiwaniu na zabieg chirurgiczny, przyniesione przez klientów i jeszcze nie zrepe- rowane, czy — jak mi sugerował młody filmowiec — wraki na nic już niezdatne, i to nie ze względu na kalectwo, lecz obłąkanie, jakiemu wedle niego ulegają niektóre bliskie człowiekowi przedmioty na pozór tylko martwe, a przez niego stworzone, szczególnie lalki, a także niekiedy rzeźby.

Więc siłą przyzwyczajenia, natręctwa właściwie, które nie sposób zwalczyć, i wówczas, rankiem dwudziestego pierwszego lipca, po nocy astronautów z „Apolla XI”, nim wsze

0

1 n mą spr Mó wił SU! mc św Z ta Pi M

le &

Żi u: n r \ i

dłem do Cafe Central, myśląc na marginesie, ale ważnym marginesie, o ciastkach i kawie świeżutko zaparzonej — o tej porze jest najlepsza tutaj! — jak gdyby obok, równolegle, pomyślałem o oknach na pierwszym piętrze.

Czekały tam na mnie stałe klientki. Smutne wraki. A może ja byłem tylko jednym z wielu wtajemniczonych czy też prześladowanych przez nie. Poznał się na tym z dużą, należy przyznać, intuicją, jaką miewają twórcy, młody filmowiec, który dziś, o ile wiem, zatrudniony jest dorywczo jako asystent reżysera — wstyd przyznać, szkoda chłopaka — przy produkowaniu filmów porno chyba najgorszego gatunku. Byłem już z góry, o tym nie wiedząc,znaczony piętnem jakimś, a może dałem się po części zasugerować.

Były w oknie, jedno bardziej, inne mniej widoczne z ulicy. Jedna — znałem ją już, siedziała przy uchylonej koronkowej firance od dwu, może trzech miesięcy — bez obu rąk, inna obok — bez prawej nogi, trzecia dziwacznie nachylona do przodu, jakby miała zamiar za chwilę wyskoczyć na bruk przez szybę. Ramiona opuszczone luźno po bokach gestem całkowitej bezradności, prostracji, beznadziei. Była to rezygnacja z gatunku ostatecznych, nieuleczalnych, jak się zdaje. Stan ciężkiego delirium. Bujne jasnoblonde włosy, uróżowane, pucołowate porcelanowe policzki, matowe i na pozór zdrowe, zdrowiem całkowitej niewinności. A może mylę się. Może nie jest to porcelana, dziś ciała lalek fabrykuje się z materiałów podobnych do winylu czy z jakiejś innej syntetycznej masy. Z tym — ostrzegają — należy uważać. Czytałem gdzieś, że ktoś, nie wiem kto i gdzie, a także nie bardzo rozumiem czemu — przytknął takiej właśnie laleczce zapalone cygaro do policzka, a może torsu, dekoltu — i nastąpił wybuch, który faceta oślepił. Plastik bywa zdradziecki, czasem wręcz niebezpieczny, mimo iż producenci zapewniają, że niby nie.

Stałem naprzeciw Cafe Central, z głową zadartą do góry, wpatrzony w okna na piętrze, jakby w oczekiwaniu na coś, co się tam ma wydarzyć. Bo nie jest wcale aż tak wykluczone, jakby się, biorąc ną zdrowy rozum, zdawało, że coś się tam na górze poruszy, wyrzy, wychyli i skinie ręką, jednym porcelanowym paluszkciem, będzie strzyc oczkiem —■ spoza lalek tamto inne się ukaze— czy będzie to per pro- cura również jedna z lalek inwalidek? Czy one zostały tam

istotnie, jak sądzą ludzie normalni, jak ja sam do niedawna myślałem — posadzone, eksponowane wyłącznie dla celów reklamowych, podobnie jak model kostiumu w sklepie nie opodal na wystawie, para butów u szewca, w ostateczności — talerz mosiężny, reliktdawnych lat i obyczajów, u golibrody? Czyżby? A może jest to zachęta, znak do czegoś służący, tylko dla wtajemniczonych, rodzaj drogowaskazu, hasła — wolno wstąpić czy nie, wejść na górę — ale czy wejście znajduje się obok Fusspflge pani Hildebrand, czy z innej, odrębnej klatki schodowej? I tego nie wiem. Może kalwaryjska droga prowadzi opętanych między foteliki pedicurzystek? Wiedział o tym na pewno młody filmowiec, ale go dziś tu nie ma. Wyjechał do Frankfurtu.

Wszedłem do środka, a myśl o ciastkach i kawie przywróciła mi zdrowy sens i właściwy, realistyczny sposób rozumowania. Ja właściwie nigdy nie przestałem myśleć realnie i na zimno, czyli prawidłowo wedle przykazań i reguł tak psychologii czy psychiatrii, jak i nauk społecznych i tak dalej. We wszystkim bez wyjątku byłem wówczas zdrowy psychicznie, gdy wtedy, rankiem dwudziestego pierwszego lipca 1969 wstępowałem na ranną kawę do Cafó Central, i takim, zdaje mi się, mam nadzieję co najmniej, jestem i dzisiaj. Tamte sprawy uważałem i nadal uważam za zabawę, rodzaj psychicznego relaksu na terenie no-man's~ - landu, w przestrzeni wypełnionej zgielkiem współczesności narastającym z roku na rok, z

dnia na dzień niemal że, stającym się już nie do wytrzymania, jak obręcz dławiąca gardło. Czasem zdaje mi się, że oczy wylażą na wierzch od tego zaciskania i duszenia. Doktor Strauss, gdy mu o tym kiedyś wspomniałem, znalazł natychmiast jakieś naukowe określenie na te zjawiska dławienia i ściskania. — Oczy wysadzone na wierzch? — spytał uradowany, znajdując najwyraźniej dowód potwierdzający jakieś jego obserwacje na ten temat, i dodał, notując w kajecie oprawnym w ciemnozieloną skórę coś szybko swym drobnutkiem, lecz wyraźnym pismem: — To zaciskanie gardła jest zjawiskiem natury czysto psychicznej. A gdybyś jednocześnie podszedł do lustra i sprawdził, twoje oczy — mimo wrażenia wylażenia na zewnątrz jak u kogoś chorego na Basedowa — pozostają najzupełniej normalne. Dam ci, jeśli chcesz, taki lek całkiem nowy, to ci pomoże na uspokojenie. Działa na układ obwodowy, lecz nie tylko.

Z narastającego już o tej wczesnej porze upału ulicy, wtedy, dnia dwudziestego pierwszego lipca 1969, wstąpiłem do chłodnego wnętrza Cafe Central, pełnego zapachu świeżego pieczywa, lukru i kremu, a także kawy z ekspresu. Wnętrze kawiarni o tej porze, jak się tego spodziewałem, było puste. Minałem bufet, który wtedy, przed zmianą wprowadzoną z okazji odnowienia lokalu, stał inaczej niż obecnie i miał cztery barowe stołki od frontu. Trzeba je było wymijać w dość ciasnym przejściu, wchodząc lub wychodząc, i dlatego zapewne je zlikwidowano. Minałem bufet po lewej i za nim podłużne lustro, i cztery barowe stołki obite żółtą skórą czy ceratą, tak zamyślony, z głową pełną jeszcze astronautów i widoków księżycowej ziemi czy gruntu — jak to właściwie nazwać, sam nie wiem — iż nie zauważyłem w pierwszej chwili tamtych dwojga, którzy siedzieli na tych wysokich stołkach, odwróceniem tyłem do mnie, bokiem do wejścia, a twarzami do lustra. Nie popatrzyłem w lustro, jak zwykle, lecz jakoś w bok, na kelnerkę, pannę Heddi, starą znajomą, która się tam krzątała, układając szczypczyki — kami ciastka, i dlatego nie zauważyłem, iż przy barze jest Ernest, a obok niego jakaś nie znana mi dziewczyna. Poznałem go dopiero po dobrej chwili, gdy już siedziałem przy stoliku w głębi dość mrocznej salki. Mój stolik, przy którym siadywałem od dwu lat, a może i dłużej.

Nie licząc tamtych dwojga, jeszcze nie zauważonych, a właściwie zauważonych być może, gdy ich mijalem, lecz nie przyjętych do wiadomości jak gdyby, pominiętych w rachubie, byłem pierwszym klientem. Często się to zresztą zdarzało. Czasami wyprzedzał mnie tutaj niejaki Salzgruber, kupiec z Bahnhofstrasse. Kłanialiśmy się, mówiliśmy sobie dzień dobry, z rzadka tylko wymieniając jakieś uwagi na temat ostatnich informacji z porannej prasy lub telewizji czy radia. Tego ranka nie było go jednak.

Heddi, moja znajoma, u fryzowana, a może w nowej peruce, uśmiechnęła się do mnie spoza lady, układając na niej, pod szklanym kloszem, odłożonym teraz na bok, kawałki tortu i ciastka przyniesione tu przed chwileczką z zaplecza lokalu. To one właśnie tak przyjemnie pachniały różowym lukrem, malinową marmoladką, orzechowym i migdałowym nadzieniem, cielisto białawym, delikatnym kremem widocznym spomiędzy wiotkich listeczków warstw francuskiego ciasta, kruszącego się przy najmniejszym dotknięciu jak płatki delikatnego kwiatu.

Obok nich — poustawiane szeregami, równiutko — inne. Moje ulubione rogaliki nadziewane masą pistacjową, a także fryzowane po bokach miseczek z kruchego ciasta, wypełnione kopytami czymś, co przypomina i ma smak galaretki, ale nią nie jest — tak mnie przynajmniej objaśniła Heddi — zielonkawym albo leciutko złotawym, z wisienką lub winogronem tkwiącym w środku. Patrząc na nie pzułem, jak mi napływa ślina do ust i drętwieją szczęki.

Widziałem na ukos, w prawo ode mnie, za ladą-bufetem, Heddi, a także jej koleżankę, której imienia wówczas, dwa lata temu, jeszcze nie znałem. Teraz już wiem: nazywała się oficjalnie Irmgard, ale nie lubiła tego swego jakoby zbyt napuszonego i operowego imienia, więc prosiła, by ją wołać Immi. Już zresztą nie pracuje, od roku mniej więcej, w Cafe Central. Wysoka i trochę za koścista jak na mój gust, czarna. Autentycznie czarna, co nie dało się ukryć ani zatuszować. Górna warga była pokryta delikatnym, lecz widocznym puszkim, a u nasady włosów na karku, gdy się nachylała, też ani śladu czegoś, co mogłoby zdradzić jakiś sztuczny zabieg w tym kierunku. Kruczy, gęsty meszek. Mimo perfum, jakich używała, gdy stała blisko, zwłaszcza gdy unosiła ramię, zalały ją od niej drażniąco ostro woń potu, typowa dla mocnych brunetek. Zauważyłem parokrotnie, iż dziewczyna sprawdza wzrokiem, czy tego nie czuję, nie robię jakiejś miny, czegoś w tym rodzaju. Gładko wygolone pachy miały barwę niemal niebieską, podobnie jak to się zdarza u mężczyzn brunetów mimo najstaranniejszego ogolenia zarostu na brodzie i górnej wardze.

Te wszystkie aż tak dokładne obserwacje, jak również późniejsze na te tematy myśli, gromadzące się wokół mijanych gdziekolwiek kobiet — szło o znane mi, jak te dwie tutaj, kelnerki, Heddi i Immi, lecz także ekspedientki w magazynach i nawet od czasu do czasu obce kobiety na ulicach — świadczyły o pewnej dość może żenującej ekwili- brystyce, jaką uprawiała moja podświadomość, tylko częściowo dająca się regulować, kanalizować i wyłączać. Wszedłem w wiek, nazwijmy go przejściowym, a w tych latach mężczyźni miewają różne niepokojące objawy — mówili mi o tym całkiem bez osłonek i Strauss, i doktor

„Myj odsr i na ma< spr Mó wiJ sui mc św Z topi M
le &

ż< u; n r ! i

Meissner, którym się przyznałem do moich kłopotów. I to _| wszystko jakoby stąd właśnie. Pewne zwichnięcia. Wymagania z pozoru niby to dziwaczne, a jakoby całkowicie naturalne. — Gdybyś miał stałą przyjaciółkę, kogoś takiego, rozumiesz —• tak mi tłumaczył Meissner — być może nie miałbyś żadnych problemów. — Właśnie — powiedziałem — to chyba istotnie dlatego. Muszę się zakrzętać w tej sprawie i zafundować sobie jakiś stale na podorędziu będący, na każde zawołanie, seksprowiant.

Otóż wtedy, czekając na kawę ze śmietanką i dwa rogaliki, a także jedno kruche ciasteczko, taką babkę czy miseczkę z wisienką w różowym przezroczystym nadzieniu, miałem okazję oglądać ręce tej czarnej dziewczyny, której imienia wówczas jeszcze nie znałem, a która prosiła, by na nią wołać Immi. A także nasadę jej karku, gdy nachylała się, by coś podjąć z pudła ustawionego nisko. Coś jej upadło na blat szklany, tuż przy flaconie z kilku fioletowymi kwiatami, więc zbierała to końcami palców, też, jak ona cała, długich i nieco za kościstych, z paznokciami zaostrzonymi jak końce nożów, lakierowanymi na bordo. Odbijało się migocąc w tym lakierze światło aż z ulicy, słoneczny refleks okien naprzeciwko. Umazała sobie palce w jakimi białym kremie i teraz oblizywała je, zezując jednocześnie do lustra. Miała powieki umalowane na brunatno, jakby pociągnięte jodyną czy polakierowane, bardzo błyszczące.

Profesor Strauss powiedział, że pewne szczegóły utrwalają się w nas bardzo zjadliwie, nękając nas później przez dłuższy czas, także we śnie. Nazwał to archiwalnym zapisem, zakodowaniem informacji wizualnej. Powstaje fiszka, a czasami nawet cała teczka, jak w jakimś biurze meldunkowym. Jedne powstają, inne nikną. Stały obrót w interesie. Nieaktualne wędrują do archiwum, lecz nie giną całkowicie. Strauss powiedział mi na przykład, że nawet szczegóły pozornie z miejsca odrzucane, nie przyjmowane do wiadomości, dlatego że nie zauważone niby to, bo aż tak codzienne i banalne — a mimo to cała ta masa przygniata nas jak lawina, jak śniegowa zaspą, utrwała się w nas. Następuje to jednak w sposób często z pozoru nielogiczny. Ważniejsze zanikają, mniej ważne pozostają utrwalone. Są to rzekomo sprawdziany autentycznej, a nie tylko pozornej ważności. Obsiadają nas jak mrówki czy pluskwy. Tak to wygląda. Są tu informacje z radia, nie tylko, gdy ich słu

chamy świadomie i z uwagą, lecz także zasłyszane przypadkowo, mimochodem i puszczane mimo ucha, jakieś ich urywki, strzępki, fragmenty bez początku i końca; dalej obrazy telewizyjne, nawet takie, które mijając sklep z aparatami widzimy jako ruchome pasma, magmę bez sensu i treści, one też; powstaje natrętny zapis; i do tego jeszcze cała prasa, filmy, ogłoszenia, reklamy bez-\jwyjątku, nawet te, które widzimy co dzień, tak że ich już nie zauważamy, że przestają niby to istnieć, a jednak istnieją; nie tylko wciąż trwają, towarzysząc naszej podświadomości, lecz wiercą w niej dziury i korytarze jak korniki w drewnie czy robaki w serze lub gnijącym mięsie, w padlinie. Jesteśmy wciąż i wciąż, nie zdając sobie z tego sprawy, dosłownie faszzerowani, nasycani i przenikani, napełniani jak rezerwuar i deprawowani tym rojowiskiem słów, obrazów i dźwięków spadających na nas zewsząd niby gęsty, ulewny deszcz lub chmura sadzy. A jednocześnie znieczulani. I być może te natręctwa i obsesje, pozornie nie mające logicznego początku ani końca, obce nam i zjawiające się jak upiory, są odbiciem jakiegoś naszego autentycznego dna, którego sami nie znamy i nawet nie podejrzewamy, że istnieje. Tak przynajmniej sądzi profesor Strauss, znawca parapsychologii, a także zwolennik psychoterapii wedle własnej metody mającej nawet jakąś uczoną nazwę w podręcznikach psychoanalizy.

Zapaliłem pierwszego w tym dniu papierosa, zdany na natręctwo myśli i obserwacji myszkujących po marginesach, zdawałoby się, z pozoru błahych, a w gruncie rzeczy mających wyraźny podtekst seksualny, rezultat może głodu w tej dziedzinie — ile dni czy nawet tygodni byłem wówczas, dwa lata temu, pozbawiony okazji regularnego wyładowania się, doznania ulgi? Kawa na stoliku i ciastko drożdżowe, rogalik jeszcze ciepły oblany różowym lukrem, który kruszy się, opada łuskami, przykleja do palców. Obcierałem je w bibułkową serwetkę. Dwa ciastka jedno po drugim, trzeciego już nie, ze względu na tendencję do tycia. Odsunąłem je na bok, żeby nie kusiło. Waga jest nielitościwa. Przekroczyłem wówczas, o ile pamiętam, osiemdziesiąt trzy kilo. A kiedy wychodziłem na wiosnę 1945 z Dachau — ważyłem zaledwie czterdzieści dwa. Brzuch, który stawał się — dwa lata temu, wciąż do lata 1969 odnoszą się te relacje i uwagi zakodowane bardzo dokładnie

li sprawdzalne w każdym szczególe — widoczny, zwłaszcza gdy byłem w bieliźnie lub nago. Sprawa żenująca, krępująca, mimo że niby nie zależy mi szczególnie na wyglądzie. Cóż z tego, kiedy jednak zależy. Otóż od jakiegoś czasu Ernest, jak sam utrzymywał, wyłącznie z synowskiej troski

O stan mego organizmu, o moją wewnętrzną higienę, podrzucał mi raz na tydzień, raz na dwa tygodnie, różnie bywało, swoje dziewczyny. Synowska troska przybierająca kształt koleżeńskiej przysługi. Inaczej, gdyby nic on, albo stałbym się przedwcześnie zgorzkniałym starcem, albo byłbym zdany na usługi prostytutek, lub, co gorsze, na romanse w kołach mieszczańskich, w środowisku obrzydliwszym, jego zdaniem, nawet od zawodowych prostytutek. Gdyby nie Ernest, nie chciałoby mi się jakoby narazić na najmniejszy wysiłek w tej dziedzinie. Żadnej rzeczowej inicjatywy. Łatwizna w najgorszym stylu. Żeby mi więc o-
1 szczędzić wysiłków, pomyłek, starań w kołach niewłaściwych — według jakiegoś kalendarza, który podobno prowadził specjalnie z myślą o moich potrzebach erotycznych — podrzucał mi w tamtym czasie to tę, to inną dziewczynę należącą do jego młodzieżowego środowiska, koła czy bodaj nawet jakiejś komuny, którą wówczas próbowali założyć gdzieś na peryferiach Koblencji. No i mój wyraźnie nie- młodzieńczy brzuch ujawniał się przy takich okazjach.

Gdy tak kończyłem w kawiarni kawę i rogaliki i już właściwie powinienem był wyjść i udać się do kancelarii, bo zbliżała się godzina spotkania z ówczesnym moim klientem, niejakim Oppenheimem i jego żoną, w pewnym momencie, na tle szyby od ulicy, za którą mijali się przechodnie, ujrzałem Ernesta przy bufecie na barowym wysokim stołku. Siedział nisko nachylony, oparty na szeroko rozstawionych łokciach. Długie blond loki opadały aż na blat bufetu. Nie wiem, czy mnie zauważył, czy mógł mnie w tej chwili widzieć. Może w lustrze, które miał naprzeciwko na ścianie. Obok niego — kufel piwa z kołnierzem gęstej piany ściekającej bokiem po grubym szkłe. I nadgryzione ciastko na skraju blatu. Właśnie sięgnęła po nle dziewczyna siedząca obok Ernesta, a tyłem do mnie. Ujęła je w dwa palce, długie, może jeszcze dłuższe niż u czarnej kelnerki, tylko że nie tak kościste i o paznokciach nie malowanych, krótkich, o ile zdołałem z daleka zauważyć.

Siedziała bokiem na stołku, kołysząc się nieco. Dwie nogi stołka, tylne, te ode mnie, były zawieszona w powietrzu. Raz wyżej, raz niżej. Jakaś nowa — pomyślałem gasząc papierosa i podnosząc się, by wyjść. Wybiła właśnie dziewiąta.

I wtedy nagły niepokój: co oni robią tutaj o tej porze? Po co Ernest przyszedł tu, do licha? Nigdy go dotychczas nie spotykałem w Cafe Central, ani jej, to nie był lokal uczęszczany przez młodzież tego typu. Do tej kawiarni wpadali na kawę, piwo, ciastko, kawałek czekoladowego tortu albo kieliszek rieslingu — a mają tu zawsze zimny, nawet w największe upały — różni w sąsiedztwie zatrudnieni kupcy, urzędnicy, mol koledzy z palestry, ich rodziny, nigdy młodzi ludzie w stylu na poły hłpple czy też APO — ostra kontestacja studencka. Oni chodzili do zupełnie innych lokali, w innej nawet dzielnicy miasta.

A skoro siedzi sobie tutaj, i do tego o takiej wczesnej porze, to znak, iż chyba czegoś ode mnie chce, na coś czeka. Że wpadam do Cafe Central w drodze do kancelarii lub trybunału, wiedział jeszcze z czasów, gdy mieszkał u mnie, w małym studio tuż przy kancelarii, nim się stamtąd wyniósł do jakiejś młodzieżowej meliny. Nawet nie znałem adresu. To właściwie ja kazałem mu się wynieść z- pokoiku przy Stegemanstrasse, zniecierpliwiony, doprowadzony do ostateczności tymi nieustannymi odwiedzinami u niego, a także w kancelarii, bez względu, czy w niej pracowałem, czy może chciałem być sam lub z kimś się spotkać. Ciągłe wizyty, wreszcie konwentykle, i to hałaśliwe, całej jego bandy. Postanowiłem skończyć z tym. I on się wyniósł istotnie bez słowa. Powiedział: — Okey, stary, już mnie nie ma, to nawet będzie lepiej z różnych względów I — przyłożył dwa palce do czoła — baj, baj! — zabrał te niewiele łachów, jakie wówczas miał, plecak, kilka książek i znikł. No i odzyskałem

spokój, tracąc jednocześnie możliwość kontroli, co robi mój syn, z kim przebywa, jak i okazje do seansów z jego dziewczynami. Może dlatego właśnie, przez nawyk, lenistwo, brak czasu skazany na dietę, wpadłem w różne natręctwa myślowe, obsesje, powodujące równocześnie inną obsesją — nieustanną samokontrolę, samoobserwację. Męczące i żenujące dla człowieka w moim wieku, moich zasad, mego pokroju, moich poglądów. Wręcz wstyd. I z tego wszystkiego wyrastająca jak obrzydliwy kwiatek — kolejna obsesja. Tak w kółko. Nie do zniesienia, To się działo dwa lata temu. I już trwało co najmniej trzy miesiące, gdy na-

..Mjl ods

i n? ^F"stało niespodziewane spotkanie w Cafe Central rankiem ma P° nocy, w której ludzie z „Apolla XI" zstąpili na księżyc-

spr cowy grunt.

Mć Więc Ernest wyniósł się, straciłem z nim jakikolwiek
wl kontakt, pozornie przestałem się nim interesować. Kazałem
su: nawet na wszelki wypadek zmienić wszystkie, zamki na
mi Stegemanstrasse. Ernest miał dawniej swój klucz i wła-
św ściwie od tego się zaczęło. Dopóki ja też nocowałem przy
Z kancelarii — było jako tako. Potem, kiedy przeprowadzi-
to łem się do Arzheim, do willi najętej od piekarza Schulza,
pi a Ernest pozostał jeszcze sam w pokoiku przy kancelarii —
M zaczęły się tam dziać rzeczy, o których dochodziły mnie
h słuchy pośrednio, od dozorczy domu, sąsiadów z góry i z do-
g łu, w końcu od personelu hotelu mieszczącego się na wprost
z moich okien, po drugiej stronie względnie wąskiej ulicy,
u jaką jest Stegemanstrasse. Zbierali się tam u mnie, w po-
n koiku przy kancelarii, a także w samej kancelarii, chłopcy
i i dziewczyny z grupy Ernesta, z nim, a później i bez niego,
i Dawał im klucz, rządili się jak u siebie, znajdowałem

w kancelarii ślady ich pobytu, także w łazience. Obrzydliwość, co tam można było zastać, nie mówię już o wyglądzie ręczników i wanny — zresztą wątpię, czy jej używali w normalnych celach — ale posadzka, tapczan i w ogóle. Trzeba było z tym skończyć. Moja sekretarka od wielu lat, panna Alice Bergen, zwana w skrócie Alis, z akcentem, za jej zgodą, na głosce a, postawiła pewnego dnia ultimatum: albo ona, albo oni. Oni — bo nie umiała nawet określić bardziej precyzyjnie młodzieży, jaka korzystając z klucza do mego pomieszczenia zjawiała się na Stegemanstrasse. I to pomimo tego, że dawniej, a może i jeszcze teraz nawet, mimo wszystko, ma wyraźną słabość do Ernesta.

No i po wyprowadzce, po tym lekceważącym przerzuceniu worka z bielizną przez ramię, zabranii kilku książek pod pachę, zsalutowaniu dwoma palcami, po baj, baj, stary! trzymaj się ciepło! — straciłem w praktyce jakikolwiek kontakt z Ernestem, nie mówiąc o wpływie, bo go nie miałem już od dość dawna. Parokrotnie w tym czasie — na dystansie mniej więcej trzech miesięcy — spotykałem na drodze moich stałych wędrówek — Stegemanstrasse, czyli kancelaria adwokacka, trybunał i kilka ulic poprzecznych, aż po dworzec kolejowy i pocztę główną w jego pobliżu — paru znanych mi towarzyszy, kumpli, czy jak ich nazwać, z grupy Ernesta. Jednego sam nazwałem Turgieniewem, tak mi jakoś rosyjsko wyglądał, jak z powieści tego pisarza. Nie jak on sam. Tamten rosyjski pisarz był staranniej odziany i bardziej europejski mimo wszystko. I dwie, może trzy dziewczyny, z których jedna, Hilda, służyła mi niegdyś jako tak zwany przez Ernesta — sekspro- wiant. Nie próbowałem jednak z nimi wszczynać rozmowy, nie wiedziałem więc nawet, czy Ernest przebywa jeszcze w Koblencji, czy może nareszcie, zmadrzawszy, zdecydował się wyjechać do Frankfurtu, by przygotować się do jesiennych egzaminów z pierwszego roku medycyny. Niestawienie się na nie, niezdanie ich groziło nie tylko utratą roku, lecz w ogóle możliwości dalszych studiów, w warunkach obiektywnych coraz bardziej trudnych na naszych uczelniach. Przestano już tolerować tak zwanych wiecznych studentów. Należeli do przeszłości, tak jak korporanci w deklach, pojedynki, maniery monoklowo-złoto-młodzieżowe. W każdym razie na frankfurckim uniwersytecie, a jeśli się orientuję, i na innych również.

Wtedy, rankiem dwudziestego pierwszego lipca, spotkanie w Cafe Central zaskoczyło mnie, nie mogę jednak powiedzieć, że ucieszyło. Co on tu właściwie robi, czego on tutaj szuka?

Zamiast wyjść, usiadłem znów na moim krześle w głębi sali. Nawet, pamiętam dobrze, rozłożyłem gazetę i udawałem, że ją czytam. Spoza niej zerkałem na tamtych dwoje. Myślałem: jeśli teraz wyjdę, co on zrobi? Przystanie udawać, że mnie nie dostrzega, wstanie, dopędzi już na ulicy czy może tylko odwróci się na tym okrągłym taborecie i siedząc, zawoła coś w rodzaju: — Halo, stary! Mam do ciebie pewną sprawę! — albo też: — Mam do ciebie ma- | leńkie pytanko.

Coś w tym rodzaju. A jego sąsiadka, której twarzy nie udało mi się jeszcze zobaczyć, ciągle bowiem siedziała nieruchomo odwrócona do mnie na pół tyłem, na pół bokiem, ginącym profilem nakrytym w dodatku długimi, opadającymi równo w dół, jasnymi włosami, co zrobi? Przyjrzy mi się, uniósłszy głowę, otworzy szeroko oczy, parsknie śmiechem, zrobi jakąś głupią minę? Kto wie, o czym w tej chwili gadają między sobą, co on jej o mnie powiedział, jakie rewelacje na temat tatusia, który jest starym, cynicznym draniem, mimo że przed wojną, a nawet jeszcze i póź

ods, i n ma

Ml wi su mi šv

niej, był jakoby komunistą, tak przynajmniej utrzymuje, ale teraz broni hitlerowskich zbrodniarzy i nawet się tego

_____ Inie wstydzi, pojmiesz mnie, mała. Bo ukuł wygodną teo-

5/ _____ ryjkę, że każdemu należy się prawna obrona, takie dyr-

■ dymały, rozumiesz, takie zawijasy różne, że jak nie on, to i tak ktoś inny się tego podejmie, a więc dlaczego właśnie nie on, skoro jest bardziej uczciwy i nieprzekupny, i —
___|posłuchaj mnie, tylko uważnie, kochanie, nie spadnij ze 2 _____ stołka, jak ci powiem —
otóż mówię ci, że on niby, jako

to _____ były więzień kacetów, Dachau itede, wiesz, o czym mówię,

L _____ zgrywa się nawet dziś jeszcze na bohatera, takiego, co to

1/ _____ białe skrzydła jak aniołek, aureola nad główką, męczennik,

je _____ a sadelko mu rośnie, bo forszę za te draństwa to bierze,

g _____ a jakże, i to dużą, wiem o tym, skarbie, bo widziałem, obej

rzałem, mieszkając z moim tatą szanownym w jednym doli _____ mu pod jednym dachem, słyszałem niejedno, nic mnie już u nie potrafi zdziwić. Tak to wygląda mniej więcej. I może i jeszcze, a znam sposób myślenia mego syna, rozumowania i i wyrażania się do tego stopnia, że mógłbym tak za niego I i w-jego imieniu godzinami, całe perory — może on doda jeszcze, nachyliwszy się ku niej, tej nieruchomo siedzącej na samym brzeżku taboretu pokrytego wygniecioną jasno- brunatną skórą, skajem czy ceratą: — A co byś ty powiedziała na to, żebyśmy tak położyli w imieniu naszej grupy, komuny — tego to już dobrze nie wiem, jak by ją określił — sekwestr na te judaszowe srebrniki, no nie? — Stąd jej zainteresowanie, które być może sprawdzę na sobie, w chwili gdy będę stąd, z głębi kawiarni wychodzić, a on, Ernest, przylapie mnie na tym wychodzeniu chyłkiem, niemal skradaniu się na palcach.

Albo stanie się całkiem inaczej. Ernest nie będzie czekać mego stąd wychodzenia, prób opuszczenia Cafe Central po angielsku, po cichu, lecz wstanie teraz, zaraz, za moment, nim zdołam wypalić papierosa, nim go, na widok podnoszącego się z miejsca i kierującego kroki ku mnie, zgaszę w popielniczce z napisem „Pamiętka z Koblencji” — podejdzie, kołysząc się w biodrach, podobny nieco do dziewczyny, a mimo to, z roku na rok, na oczach dosłownie, z miesiąca na miesiąc, coraz to piękniejszy na sposób męski, chłopięco męski, co nie przeszkadza pozostaniu w nim, jego kocim skradaniu się, włosach, wyrazie ust, warg samych, czegoś, co można by określić jako dziewczęce, może — o, to byłoby najlepsze określenie jego wyglądu wówczas — pacholęco efebie.

Podejdzie do mnie wciąż siedzącego przy stoliku z pustą już filiżanką po kawie, odłożoną na talerzyk łyżeczką umazaną w kremie, po tym trzecim ciastku, które jednak nie oparłszy się zjadłem, patrzącego niepewnie na niego, idącego ku mnie od bufetu i drzwi wiodących na ulicę, otwartych na rozcież, idącego okropnie długo, jakby to było daleko, te cztery, najwyżej pięć metrów od niego do mnie, i co mi obwieści? Może zapyta, która godzina, bo on nie ma zegarka. Ten który dostał rok temu ode mnie na urodziny, złoty Longines na bransolecie, ostatnio sprzedał, więc nie wie, która godzina, czy to aż takie nadzwyczajnie dziwne pytanie? Chyba nie ma nic prostszego, bardziej zwyczajnego od tego, że syn pyta ojca^spotkanego w kawiarni, która godzina, biorąc pod uwagę, że jeden z nich ma zegarek, a drugi go nie ma. — Ale tak bez blagi — dodałby, stojąc już przede mną tuż, tuż, niemal dotykając stolika, spoza którego nie zdecydowałbym się jeszcze podnieść.

Albo jeszcze inaczej. Z brakiem zegarka to żart, ma go przecież — to był tylko — pokazuje mi go na ręce, patrząc, co ja na to — pretekst. Idzie o rzecz jeszcze bardziej naturalną, o to mianowicie, że w synowskiej trosce o mnie i o moją pracę zawodową — którą mimo wszystko, co kiedykolwiek powiedzieli, i on, i jego koledzy, wysoko ceni — pragnie

mi przypomnieć, że jest już dziewiąta, minęła nawet — o, właśnie słyhać, jak bije niedaleko stąd na wieży — istotnie, tak, liczymy obaj półgłosem dziewięć uderzeń — i że warto by w związku z tym nareszcie przestać obżerać się słodyczami, wstać, pójść i przejrzeć przynajmniej pobieżnie akta sprawy niejakiego Oppenheima, dobrego klienta, on wie o nim przecież prawie wszystko, jego to poniekąd interesuje. Ma ten Oppenheim i jego małżonka, ofiary niecnej akcji ścigania byłych — ale sprzed wielu lat? Boże drogi, czas by było już najwyższy zapomnieć, wybaczyć i tak dalej, w żalu utulić! — zbrodniarzy wojennych, hm, hm — oni oboje mają dziś właśnie złożyć wizytę przy Stegemanstrasse. Czyżbyś, tato, zapomniał, hm, hm, hm — taki zazwyczaj akuratywny, punktualny, solidny?

I wtedy tamta dziewczyna, która — to mogę sprawdzić i docenić, mimo że wciąż jeszcze nie udało mi się ujrzeć jej twarzy — ma wyjątkowo długie nogi, takie nie kończą

J'

odS|

i na - mą spr Mć wi su: mi św Z to

PJ W

U g

ż u

XI I

ce się po prostu, jak to mówią — po samą szyję, teraz założone jedna na drugą, więc mogę to ustalić — zaraz obejrzy się, przekręciwszy się na swym taborecie, będę więc miał sposobność sprawdzić to, czego oczekuję — ta myśl bowiem usadowiła się we mnie gdzieś bardzo głęboko i usiłuje dowiercić się do powierzchni i ujawnić całkowicie teksty i podteksty takiego oczekiwania i spodziewania się — zobaczę, krótko mówiąc, jej twarz. I niby to słuchając bezczelnej gadaniny mego syna, który zapewne już w tym momencie oprze się oburącz o mój stolik i nachylony, zbliżywszy swoją twarz do mojej, będzie mi prawil idiotyczne aroganckie morały, równocześnie będę patrzył na tę jego nową partnerkę, przyjaciółkę, towarzyszkę — obojętne, jak on ją nazywa i jak ona jego. I czy nie zdarzy się to, co już we mnie sposobi się do wypłynięcia na sam wierzch: oto Ernest, w swej hojności, wspaniałomyślności i tak dalej, domyśliwszy się, o czym tak forsownie dumam, powie mi bez uśmiechu, całkiem poważnie, jakby nawet z odcieniem troski: — Widzisz, stary, że o tobie nie zapomniałem, mimo tego, co zaszło między nami. Dbam o twoje zdrowie, nie dałbyś sobie beze mnie rady, biedaku, nietęgo wyglądasz, przecież widzę. Źle sypiasz, co? Śni ci się co nieco, nie tak, jakbyś tego pragnął? Popatrz, ta, co tam siedzi na tym stołku i dojada ciastko, które jej przed chwilą zafundowałem, nazywa się tak i tak. I zaraz z tobą uda się do twojej pracowni — tak by powiedział, pracownia, a nie kancelaria, by zaraz potem o tapczanie wyrazić się per warsztat, tak, z całą pewnością — no i ulży ci, zobaczysz, stary, jak ci natychmiast potem ulży.

I skończywszy mówić, będzie nadal stać oparty oburącz, szeroko rozstawiwszy ramiona, o stolik, nachylony nade mną wciąż jeszcze siedzącym i obserwującym popod jego ramieniem dziewczynę, która okręciwszy się na taborecie, będzie patrzeć na mnie, wyprostowana i milcząca, z miną, jak to u nich bywa, u tych dziewcząt z grupy Ernesta, nic właściwie nie wyrażającą, pozornie obojętną i enigmatyczną.

W istocie wciąż siedziałem wewnątrznie napięty i jakoś nic się z tych moich przewidywań nie sprawdzało. Tamtych dwoje nie widziało mnie, może nie zauważyło. Zerkalem spoza gazety. I wciąż jeszcze nie widziałem twarzy dziewczyny. Wyłącznie jej opadające, proste włosy, bez załamań,

fał, gładkie i chyba bardzo cienkie i wiotkie, takie jakie bywają tylko u jasnych, autentycznych nordyckich dziewcząt, a i to nie u wszystkich. Zdarzało mi się gładzić fryzury blondynek bez wątplenia autentycznych, nie fałszowanych, nie tlenionych, a mimo to włos ich był szorstka- wy, z tendencją do naturalnego kręcenia się, falowania, układania w pukle. U tej siedzącej nieruchomo przy barku — nie.

Miała nieco pochylone plecy, raczej chłopięce w kształcie, i opuszczone gestem rezygnacji czy zmęczenia ramiona w jakiejś niebieskawej bluzce kroju, jaki noszą skautki. Może nawet kołnierz marynarski z krawatem — tego dokładnie nie widziałem, zerkając spoza gazety. A nogi w dżinsach, bardzo długie nogi, założone jedna na drugą, splecione na samym dole — kostki obok siebie. I coś w rodzaju — jako zakończenie tej niesamowitej długości odnóży — tenisówek, przybrudzonych i wygniecionych czy wytartych do ostateczności. Tak się one teraz ubierają, do tego byłem już przyzwyczajony, widywałem przecież tyle tych dziewczyn przychodzących wraz z innymi członkami grupy Ernesta na Stegemanstrasse, gdy jeszcze miał on tam wstęp i co najważniejsze, klucz.

A może Ernest podszedłby wówczas do mnie, by mnie zapytać, czy oglądałem w TV lądowanie ludzi z „Apolla XI” na Księżycu i co myślę na ten temat. Mógł również poprosić o pieniądze; byłoby to najbardziej prawdopodobne i naturalne. W lipcu przekaz zwrócono mi; zwrot nastąpił z przyczyny nieznaalezienia odbiorcy pod dotychczasowym adresem. Nic więc nie byłoby w tym dziwnego, gdyby przyciśnięty biedą przyszedł tutaj, wiedząc, że prędzej czy później zastanie mnie w kawiarni położonej o kilka zaledwie kroków od kancelarii, do której z jakiejś przyczyny nie chciał przychodzić.

Nic się nie wydarzyło. Żadna z ewentualności, jakie starałem sobie kolejno wyobrazić, nie ziściła się. Posiedziałem jeszcze kilka minut, wypaliłem dwa papierosy, drugiego, nie dokończywszy, rozgniotłem na płaskiej popielniczce, wstałem z hałasem odsuwając krzeselko, by mnie tamtych dwoje usłyszało, i skierowałem się do wyjścia. Ernest — do dziś nie wiem, czy mnie wówczas zauważył, czy przyszedł tam, by mnie spotkać, a jeśli nie, to czemu właśnie do Cafe Central, tego nie wiem i nie jest to aż tak znów waż

i rii - mą spr Mc wi su mi śv Z to Pi l/.

U g

ż u

XI I

ne, by się dłużej nad tym zastanawiać — nie drgnął nawet, nie odwrócił się, siedział jak i dotąd, nachylony nisko nad blatem bufetu, rozłożywszy szeroko łokcie w rękawach bluzy z granatowego aksamitu. Zdaje mi się, że gdy go mijalem, powiedział coś do siedzącej obok dziewczyny, której twarz zobaczyłem w lustrze po tamtej stronie barku. Jej głowę obok głowy kelnerki Heddi, krzątającej się tam w dalszym ciągu przy ustawianiu za pomocą szczypiec kawałków czekoladowego tortu. Te dwie głowy — obie ja- snoblond, ale każda inna, tak dalece odmienne, jakby należące do dwu całkowicie obcych sobie gatunków ludzkich — w chwili mijania się. Głowa Heddi na moment — w lustrze — przesłoniła mi głowę nie znanej mi z imienia dziewczyny Ernesta. Potem odsunęła się w lewo.

Ujrzałem ją na wprost siebie, już nie w lustrze. Otwierałem drzwi, które ktoś — jakiś nowy klient — za sobą przed chwilą przymknął. Nachylona do przodu, jakby przyczajona, skurczona w sobie, milcząca i ospała czy apatyczna. Była to, być może, wyłącznie moda, maniera często w tym czasie spotykana u dziewcząt z tego młodzieżowo kontestatorskiego środowiska, lecz również mogło być całkowicie naturalne. Potem dopiero miałem okazję, poznawszy bliżej tak zwaną przeze mnie — nim dowiedziałem się, jak ma na imię, a już zaczynała w sposób natrętny wdzierać się w moje myśli, dosłownie zagnieżdżając się w nich i rozpychając łokciami — Dziewczynę Alfa, mogłem poznać jej autentyczny charakter, temperament i maniery, oddzielić to, co w niej było udane, zafałszowane, małpowane, a były tego całe złoza, od cech jak najbardziej autentycznych, własnych.

Siedziała przygarbiona i oklapnięta, w pozie niedbałej, z rękami wcisniętymi między uda, z włosami opadającymi długimi i prostymi pasmami aż na piersi. Płowe, matowe włosy, z pozoru jakby martwe. W chwili gdy zauważyła mój wzrok na swej twarzy, poruszyła się sennie, przeciągnęła ledwie widocznie w ramionach i sięgnęła po kufel piwa stojący przed Ernestem. Jej ramię wyciągnęło się w tamtym kierunku gestem ostrożnym i niepewnym, jakby się czaiła, w obawie, uzasadnionej być może dotychczasowymi doświadczeniami, że tamten ją brutalnie odtrąci, odbierając jej kufel. Był to gest, jakim koty sięgają łapą, pragnąc niezauważenie, korzystając z tego, że nie są obser-

34

wowane, złasować jakiś kasek ze stołu, w obawie, że ktoś ten ruch zauważy, chwyci serwetę lub kij i odegna lub po prostu odepchnie nogą.

Już będąc w drzwiach widziałem kątem oka, jak Dziewczyna Alfa, której jedna połowa twarzy odsłoniła się, gdy włosy zsunęły się na bok aż na ramię, pociągnęła spory łyk piwa, odsuwając końcami palców drugiej ręki jasne pasemko znad nosa i oka, po czym przestała pić i zlizwała energicznym ruchem języka pianę z warg bardzo szerokich, lecz i zarazem cienkich, jak się zdaje nie malowanych lub pociągniętych najwyżej jakąś bardzo jasną kredką. Oko, jedno zaledwie, to prawie — drugie było bowiem nadal zasłonięte włosami — w wyrazie ptasie, zupełnie jak gdyby pozbawione źrenic, puste. Bardzo wydłużone, prawie aż po skroń, jak zwięzająca się, nieco skośna soczewka, której koniec ginął w blond paśmie. Oko gipsowej maski, a może gołębia. Nie — nie gołębia, raczej chyba mewy. Wtedy, gdy już byłem prawie na zewnątrz, na ulicy, usłyszałem za sobą jej śmiech. Śmiech ten był niespodziany, wybuchł nagle jakoś, sztucznie, manierycznie, bodaj nawet aż histerycznie; był nad wyraz przykry i jak się zaczął, tak się nagle urwał zakończony krótkim zachłyśnięciem, jakby szlochem.

Byłem już na ulicy i nie oglądając się za siebie, szybko przeszedłem w poprzek pustawej o tej porze Viktoriastras- se i skierowałem się wprost do kancelarii. Niezadługo mieli przyjść

państwo Oppenheim, najwyższy czas, należało bodaj pobieżnie przygotować się do tej niemiłej wizyty.

Ale już w kancelarii — a byłem sam, panna Alis miała wówczas parodniowy urlop, doskonale pamiętam — wróciły myśli zaszczerpięte w Cafe Central. Nie udało mi się ich odegnąć.

Myślałem uparcie i natrętnie: oko w intencji filmowe, upozowane na dziwaczność, zagadkowość, a także totalną obojętność dosłownie na wszystko. Czy ja zresztą wiem, o czym myślą takie dziewczyny, robiąc sobie zapewne przez długi okres pracowitej, pilnej pracy przed lusterkiem takie właśnie dziwaczne oczy. A także wargi. Bardzo duże, wręcz nieproporcjonalnie szerokie w tej białej, nie opalanej twarzy o nieco wystających kościach policzkowych i płaskich policzkach. Nie wiem, czy takie usta są do zrobienia, wy-studiowania, podobnie jak kształt i wyraz oczu, czy też nie. Chyba tak. A może dziewczyny dzisiejsze rodzą się już

3¹

35

„M:

ods ^^^^

z takimi wargami, podobnie jak mamy obecnie, po tej woj- mą nie dopiero, nowy model niemieckiej urody dziewczęcej, spidługonogie, wysokie i zgrabne panny maszerujące niedbali le, krokiem chłopców, bo w spodniach przeważnie i z ręka- w i mi w kieszeniach, mijające nas obojętnie na ulicach, suGdzie się podziały, gdzie znikły — kryjąc się już wyłączni;nie chyba po wsiach bawarskich i alpejskich miasteczkach śv» — dawniej, można powiedzieć, reprezentujące typ germań- 2skiej urody powielanej w tysiącach karykatur, te jasnotowłose, krótkonogie, pękate i biodrzaste Walkirie, te Grym- pj hildy czy Brunhildy i warkoczaste Gretchen, przeznaczone 1/już z góry do uprawiania przez całe życie trzech K — przy- lcsłowiowych trzech K — spomiędzy których jeśli kościół, g pierwsze K, był zaledwie anachronicznym reliktem, to dru- żgie, najważniejsze K — kuchnia, stawało się połową, co umówię — więcej niż połową zadań życiowych niemieckiej r kobiety, mającej ponadto już tylko jeden obowiązek, trze- icie K: rodzenie w regularnych rocznych odstępach, jak ra- isowa mleczna krowa, rasowych na germański sposób dzieci, nordyckich i długogłowych, tępych i posłusznych jak automaty?

Zapotrzebowanie rodzi nowe modele. Jakie zapotrzebo

wanie? Zapewne idzie o zapotrzebowanie natury seksualnej. Gretchen przestała stanowić dla młodego, powojennego Niemca, który wyrzucił na śmiecie pikielhaubę także w sensie symbolicznym, nie tylko dosłownym, atrakcyjny seksprowiant, jak to oni nazywają. No i mamy dzięki temu wysokie, długonogie dziewczęta takich właśnie wargach, jakie w wydaniu najbardziej modelowym, wręcz wzorcowym zauważyłem u Dziewczyny Alfa. U niektórych zwierząt, szczególnie u ryb głębinowych, ale także owadów, istnieje podobny problem: samiczki co jakiś czas, widocznie tracąc atrakcyjność dla samców, którzy najwyraźniej zaczynają od nich stronić, leniąc się i zaniedbując w swych obowiązkach prokreacyjnych, zaczynają nagminnie zmieniać nie tylko ubarwienie i maniery, zwłaszcza ruchy, lecz także i kształt niektórych organów. Bywają, jak gdzieś przeczytałem, mody na długie odnóża lub krótkie, na ostro zakończony odwłok, a u ryb ogon czy płetwy, po czym moda ta mija i zmienia się w ciągu jakiegoś sezonu. Na pewno identyczne motywy wywołują zmienne mody u kobiet na tak, zdawałoby się, trudne do przekształcenia organy, jak nogi — ich długość oraz grubość, co już ostatecznie łatwiejsze dzięki gimnastyce i sportom — a także kształt oczu i warg. Ich zwłaszcza — wyraz.

Wyraz ust Dziewczyny Alfa był zdecydowanie kapryśny, znudzony i wzgardliwy. Wargi były najwyraźniej miękkie, jakby zrobione z gumy. Nadawało im to charakter nieco tragiczny i jednocześnie błazeński. Takie usta miewają kłowni w cyrku. Kłownice, bo są to jednak usta wyraźnie kobiece, dużo rzadziej męskie. Byłyby do przyjęcia u pede- rastów, ale i tego nie jestem aż tak pewien. Przyszło mi następnie na myśl — gdy zmuszając się do kartkowania akt sprawy Oppenheim, starałem się bezskutecznie skupić uwagę — że przy pocałunku takie wargi jak u tamtej dziewczyny poddają się całkowicie i bezwolnie, nie stawiają najmniejszego oporu, lecz i nie biorą czynnego udziału w pocałunku. Rozsuwają się miękko i szeroko na boki, prowokując przez swą bierność akty przymusu i gwałtu na nich; dają się wówczas bez oporu miażdżyć i rozgniatać aż do krwi. Jeżeli w ogóle płynie w nich krew. Są posłuszne i zrezygnowane, gotowe na wszystko, czego się od nich zażąda. Do zaangażowania się w najwymyślniejsze imprezy, usługi najbardziej wynaturzone, najobrzydliwsze. W myślach ujrzałem je w takich właśnie upodlających sytuacjach i zrobiło mi się nagle gorąco. Stwierdziwszy, że w kancelarii jest duszno, bo sprzątaczką, w obawie deszczu, będąc tu wcześniej rano, zostawiła okno zamknięte, podszedłem i otworzyłem je na całą szerokość, wciągając głęboko w płuca świeże, czyste powietrze poranka.

Maska błazna. Tak — myślałem wracając na fotel przy biurku — maska smutnego błazna. To może być, jak się okazuje, nawet dziwacznie, niezdrowo podniecające wbrew pozorom. Żadnej świeżości. Nic z dziewczęcego wdzięku kwiatuszka, o jakim od wieków śpiewają nam poeci. Lilijka, pączek róży. Okazuje się, że nie. W każdym razie niekoniecznie. Może być wszystko na odwrót.

Później jeszcze przyszło mi na myśl, że w tym błazeńskim wyrazie ust Dziewczyny Alfa w gruncie rzeczy tkwią bez wątpienia skłonności i. cechy masochistyczne. Ucieszyło mnie to odkrycie. Byłem pewien, że tacy znawcy przedmiotu jak profesor Strauss, a może i doktor Meissner, zgodziliby się z moją oceną, gdybym im pokazał Dziewczynę Alfa.

v V) V_A

ods| i n; - mą spi Md wi su mi śv Z to p: U

h g

ż u r i

Przypomniałem sobie widywane przed wielu laty, przed wojną jeszcze, modne wówczas maski gipsowe, nabywane chętnie przez mieszczan, pragnących, by ich mieszkania były jak najbardziej en vogue i ultramodern, supermodern, a taka panowała pod koniec lat dwudziestych moda, na twarze dziwacznie perwersyjne, być może pod wpływem Alrauny Ewersa, filmu na temat tej powieści, czy ja wiem, dobrze już nie pamiętam. W każdym razie takie właśnie maski widniały na wystawach sklepów z urządzeniami domowymi, lampami, abażurami i tak dalej w eleganckich witrynach magazynów w centrum Berlina, a ja, mieszkający na jego peryferiach, trafiałem na Ku-damm czy w okolice Friedrichstrasse i Tiergartenu tylko przypadkiem, mając tam coś do załatwienia, i wówczas zatrzymywałem się na chwilę przy tych wielkich lustrzanych szybach, spoza których patrzyły na mnie pozbawione oczu maski. Bo one w miejscu oczu, powiek i źrenic miały puste, ostro zwężające się na obu końcach oczodoły przypominające soczewki. Przez nie na wylot widniało tło — ściana czy jakaś tkanina, na której powieszono Alraunkę z białego gipsu. Na przykład czarny aksamit. Niektóre — pamiętam do dziś miały jednak włosy, pomalowane na srebrno lub złoto, jakiś fragment ucha czy ozdoby w nim, korale na szyi równo uciętej jak brzytwą, a także barwiono im na seledynowo wargi, by uzyskać w pełni ten modny wówczas wyraz zepsucia, perwersji i cynizmu. Stałem zafascynowany przed tymi twarzyczkami niewątpliwych błaznic. Neomodernizm. Filmy produkowane przez UFA, niektóre magazyny ilustrowane, a także programy kabaretów i rewii. Schyłek Republiki Weimarskiej.

Można było zresztą napotkać żywe okazy takich Alraun- nic, jakby wprost wyjętych z witryn sklepowych, także w okolicy Alexander Platz, modnego Alexa. Odziane przeważnie w czarną skórę, przechadzały się po dwie, po trzy, tam i z powrotem, wymachując torebkami z krokodyla o wymyślnych kształtach, zawieszonymi na długich rzemieniach. Niektóre z nich od niechcienia smagały się pejcami na psa po cholewkach bucików, wysokich do połowy łydek, sznurowanych od góry do dołu. Była to, jak się zdaje, symboliczna zachęta, może umówiony sygnał, szyfr rozpoznawczy. Pogwizdywały na widok mijających je mężczyzn. Wabiły ich jakimś niemal ptasim głosem, zwierzęcym pokrzykiwaniem czy skrzekiem przechodzącym w gruchanie, jakie wydają synogarlice, a podobno, w co już trudno uwierzyć, również niektóre ćmy w czasie rui. Na taki głos samicy, ledwie słyszalny dla naszego, ludzkiego ucha, samiec ćmy potrafi lecieć nawet kilka kilometrów. Było w tym ptasio-owadzi przyzywaniu, jakim posługiwały się panienki spacerujące po Aleksie i w jego pobliżu, coś nie- wysłowienie chorobliwego, aż odstręczającego i dręczącego, a jednocześnie i pociągającego w sposób podniecający i perwersyjny. Tak to odczuwałem ja i moi ówczesni koledzy, równolátky z tej samej kolejarzkiej branży, dzieci kolejarzkie, zamieszkujące peryferyjne, robotnicze dzielnice, gdzie również żyły prostytutki; było ich wówczas w Berlinie, pod koniec lat dwudziestych i na początku trzydziestych, podobno czterdzieści tysięcy rejestrowanych, a ile — drugie tyle, chyba więcej? — tajnych, nielegalnych czy nie ulega- lizowanych, uprawiających nierząd w swoim środowisku, we własnym domu albo byle gdzie, na przykład u nas — na rozległych terenach kolejowych składowisk tuż przy warsztatach naprawczych; zatem my, dzieci tego Berlina, czerwonego, jak mawiano, nie byliśmy wcale niewiniątkami, ale tamte z Alexa, a także z Ku-dammu, działały na naszą wyobraźnię w sposób szczególny — atrakcyjny i zarazem odstręczający.

Co tu ukrywać — były godne wzdrgi, parały się wynaturzoną w metodach i stylu rozpustą, dobrze płatną, nie z nędzy, lecz z wrodzonych skłonności, jak je osądziłyśmy chyba

zbyt pochopnie. Wodziły na pokuszenie każdym swym gestem, ustawieniem nogi na asfalcie czy trotuarze, wygięciem bioder, gwizdnięciem, ściszoną, ptasim okrzykiem, smagnięciem pejczem po cholewce bucika, klepnięciem się w pośladek. Była taka jedna, która chadzała w męskich bryczesach do konnej jazdy — wówczas, w tamtych latach rzecz u kobiet na ulicy nie spotykana i zwracająca na siebie uwagę — iw butach z ostrogami. Od czasu do czasu brała rozmach nogą i kopała z rozbiegu czy w podskoku jakąś wyobrażoną, wymaginowaną postać. Inne, stojące obok, śmiały się, rzucając do przechodzących mężczyzn słowa zachęty. Nie omijały w swych wyzywających machinacjach nawet nas, chłopców kilkunastoletnich podówczas, nedorostków odzianych biednie, najwyraźniej z innego

„M; ods i n - mą spi Mc wi su m śv Z tc

P: IV

l < g

ż u r i

świata, nie mogących liczyć się jako ewentualni klienci. A mimo to. Widocznie nie potrafiły już inaczej.

Pamiętam, że była między nami wówczas mowa, że te zepsute kobiety są najwyraźniej forpocztami zarazy, moralnej dżumy obejmującej Niemcy Weimarskie, zwiastun- kami totalnej klęski społeczeństwa staczającego się po równi pochyłej. A jednak, a jednak i między nami zdarzało się, że któryś z nas mimo woli przyznawał się jakimś nieopatrznie wypowiedzianym słowem, uśmiechkiem, mrugnięciem okiem, iż — co za wstyd! — tamte syreny zarazy, amazonki zepsucia stawały się celem najskrytszych, gorączkowych pragnień.

Któryś z naszej ówczesnej paczki — i my mieliśmy taką, nie tylko Ernest ze swymi kontestatorami — przyznał się, że już spróbował. Zdziwiliśmy się, rzecz jasna, zgorszyli, ba — oburzyli nawet, ale wkrótce to oburzenie ustąpiło ciekawości. Ja jeszcze w tamtym czasie nie znałem chyba dziewcząt, tak mi się przynajmniej dzisiaj wydaje, byłem za młody na to, ale inni już próbowali. Były to jednak dziewczęta z naszej dzielnicy, często dużo starsze, zawodówki, rzadziej równolatki zaciągnięte w jakiś ciemny kąt naszych placów składowych. Tak, to się nawet dość często zdarzało i wiedzieliśmy — tak się nam przynajmniej zdawało — wszystko na ten temat. Lecz tamte z centrum, przeznaczone dla burżujów, cudzoziemskich turystów, oficerów przebranych na takie wyprawy po cywilnemu, których jednak każdy ruch zdradzał ich zawód, jeszcze wówczas wciąż ten kajzerowski, wilhelmiński sznyt, oni — tak, dla nich — tak, ale my? I za co? Tak, po prostu, ni z tego, ni z owego — za darmo, za nic? Kaprys jednej z tych dziwek z piekła rodem? Najpewniej tak. — Gdzie? — pytaliśmy, a oczy się nam świeciły z przejęcia. Potępiając tamtego chłopaka, który dokonał jak gdyby zdrady, jednocześnie zazdrościliśmy mu, co tu ukrywać. — Gdzie? — powtórzył mrużąc oko. — Zeszliśmy do U-Bahnu, na dół, było późno i pusto. Za zakrętem korytarza był cień całkowity, nikt nie mógł nas zaskoczyć. — W kolei podziemnej?

Niemożliwe! — Ależ tak

— możecie wierzyć lub nie, ale tak było, słowo daję. — I nic nie wzięła? — A co miała brać, skoro nie miałem nawet na bilet do U-Bahnu. Ani feniga, chłopcy, ani feniga! — i śmiał się tryumfująco. — To ona zafundowała mi wejście. — Po czym — ten obraz stoi mi dziś jeszcze, po tylu

latach w pamięci jak żywy — zaczął bardzo po męsku i dorośle gwizdać.

Ale przecież tamtego ranka, idzie -Wciąż o dwudziesty pierwszy lipca 1969 — dwa lata temu już — nie było tylko myśli o Erneście nagle napotkanym i o jego dziewczynie, która zresztą dopiero nazajutrz, a może nawet po paru dniach, gdy się na nowo pojawiła na moim horyzoncie, otrzymała imię Dziewczyny Alfa. Dzień ten był przede wszystkim ważny dlatego, że wylądowali na Księżycu ci z „Apolla XI”. Tak, tak, „Apollo” był nie tylko pierwszy, lecz bez wątpienia najważniejszy, z całą pewnością, jeszcze tego ranka mimo wszystko ważniejszy.

Jadąc z Arzheim na moście spojrzałem na zegarek — była ósma dwadzieścia cztery. Czuję się niewyspany. Z trudem powstrzymywałem ziewanie. Właściwie tej nocy prawie nie zmrużyłem oka. Obawiałem się, iż zdrzemnąwszy się rta fotelu stojącym przed telewizorem, przegapię moment lądowania. A tam coś chwila coś się działo. W Houston, w dużej hali pełnej ni to biurków, ni to pulpitych z jakąś skomplikowaną aparaturą tłum

specjalistów od kosmonautyki, ludzi na ogół młodych, bez marynarek, w koszulach z podwiniętymi rękawami, zaafcerowanych, wstających i siadających, wychodzących i wchodzących, zbiegających się na jakąś wiadomość nadesłaną skądś — skąd? z „Apolla XI”? — wracających na swoje miejsca jak gromada licealistów, uradowanych, to zasumowanych — ruch, objaśnienia tłumaczone na niemiecki już u nas w telewizyjnym studio, krótka pauza wypełniona muzyką, fragment jakiegoś meczu piłki nożnej — i znów halo, halo, tu Houston, tu Houston! — i dalej nic, prawie nic, ta sama wielka hala, ci sami młodzieńcy skupieni przed ekranem, na którym coś się porusza, ale czy to oni", kosmonauci, czy coś innego, trudno odgadnąć. I tak godzina za godziną, a ja siedziałem w fotelu zanadto wygodnym na takie czuwanie, z wysokim oparciem pod plecy, lecz także i po bokach, by móc głowę o nie wesprzeć, papieros za papierosem, trzy razy wyносилем do śmietnika sterty niedopałków, napełniałem szklankę whisky, popijałem, dzwoniła Maria S., potem Maierowie, ktoś jeszcze, tak, oni też czuwają, wracałem na fotel, za oknami zaczynało szarzeć. No i nareszcie, nareszcie!

A nad Renem, za ciemnym miastem po tamtej stronie rzeki — księżyc i gwiazdy, masa gwiazd bardzo tej nocy

„M\
odsja
i n
mą
spi
Md
wi
su
m
śv
Z
tc
P N
lf g
ż u r i

licznych i wyraźnych. A może ulegałem autosugestii. Taka iluminacja nadzwyczajna. Było duszno, więc wychodziłem na pięć, dziesięć minut na taras, zerkając przez uchylone drzwi na telewizor, żeby nie przegapić najważniejszego. I potem — nagle grube, białe postacie niby lalki z waty, nierealne, poruszające się tak, jak można by sobie wyobrazić ruchy zmaterializowanych na spirytystycznym seansie duchów. Ektoplazma czy tylko złudzenie. Widziane w dodatku z nader bliska, na poły materialne, dwie zjawy poruszające się powoli, niezgrabnie, a zarazem płynnie, jak nurkowie na dnie morza w bardzo gęstej wodzie, odziani w białe skafandry.

Pomyślałem wówczas, poprawiając się, prostując w fotelu i otulając połamami czerwonego wschodniego szlafroka przywiezionego z wycieczki do Jugosławii: kiedy i gdzie zdołali ci ludzie ustawić nadajnik tam, tak nisko, na tym księżycowym gruncie? Zanim sami wydobyli się z pojazdu kosmicznego? To chyba niemożliwe. A więc jak? Ogarniały mnie, muszę przyznać, wątpliwości, czy nie ulegam sugestii, oszustwu, mistyfikacji, może jakiemuś żartowi, jak się to już zdarzyło przecież z rzekomym najazdem Marsjan na ziemię, co wywołało istną panikę kilka lat temu. Że oto oglądam znakomitą science fiction, jakich wiele pokazywano w ostatnich paru latach, istna profuzja, do przesytu, szczególnie telewizja brytyjska. Potem, w miarę patrzenia, zajęło mnie wyłącznie to, co widziałem na własne oczy, zdając sobie sprawę, że oglądam sprawę ważną, jedyną i niepowtarzalną. Że kiedyś może wnukom, gdyby Ernest miał dzieci, w takim fotelu jak dziś będę opowiadać, zanudzając młodych, że w roku 1969 — ile lat minie? — a zatem tyle lat temu, was jeszcze wówczas nie było na świecie, dziadek wasz widział, jak pierwsi ludzie lądowali na Księżycu. A wtedy, być może, któreś z tych małych, jedno z wnucząt, zdziwi się: — No i co z tego? — powie. — Ktoś musiał być pierwszy! Wielkie rzeczy! — I przypomni, iż w roku 1909 niejaki Bleriot też jako pierwszy przeleciał Kanał.

Patrzyłem, jak oni to robią, tamci dwaj pierwsi, jak pierwszymi byli Adam i Ewa i już nikt poza nimi nie będzie mógł być tym pierwszym, jak ten księżycowy Kolumb, bo spośród nich dwu też jeden tylko musiał mieć pierwszeństwo tego jedyne w dziejach kroku — ale na czym? — wysunął nogę najpierw z jakiegoś otworu, chyba — do brze nie było widać, brak szczegółów całkiem zrozumiałych, lecz irytujący — z otwartego luku, ukazała się więc noga gruba jak kokon czy kikut w białym bandażu. Noga ta przez moment zawieszona w próżni nad tym czymś białym i nieokreślonym, nad tym nieznanym, co stanowi księżycowy grunt stała, tak, ale czy istotnie jest to powierzchnia twarda? Myślałem w pośpiechu, a myśl ta mi przeszkadzała w obserwowaniu, tak jak daleka nawet muzyka rozprasza uwagę, gdy staramy się skupić nad rozwiązaniem jakiegoś trudnego problemu lub

w czasie rozmowy telefonicznej; myślałem — czy on, ten księżycowy Pierwszy Człowiek, Adam czy Kolumb, może być całkowicie pewny, że uczeni badający tylekroć wszelkie możliwości i warianty, znający na odległość jak własną kieszeń tę księżycową ziemię, miejsce, na którym on postawi nogę ufny jak dziecko — tak, ale ile procent ryzyka, tego minimum ryzyka? Wystarczył ułamek procentu, by strach narastał: czy to widziane z coraz mniejszej odległości przez okienko rakiety, wyglądające jak co? jak biała śniegowa powierzchnia? skała? porowaty pumeks? — nie okaże się w praktyce warstwą pyłu, białego puchu, bezdenną pułapką, masą czegoś lepkiego nie mającego jeszcze nazwy w ludzkim języku, jakąś galaretowatą antymateria? I stąd zapewne to bardzo ludzkie wahanie się przed stąpieniem na nieznanym, aczkolwiek opisanym do najdrobniejszych szczegółów przez ludzi na ziemi, znawców badających planety za pomocą najbardziej precyzyjnych aparatów, jakie wymyśliła ludzka wiedza.

No i nareszcie to pierwsze, historyczne dotknięcie ludzką stopą księżycowej powierzchni. Próba podskoku, tak! — i odczuwalna wielka ulga. Hurra! — i kilka następnych podskoków, już teraz obiema nogami jakby w białych bamboszach i — jeszcze później, gdy już obaj kosmonauci byli na zewnątrz pojazdu — rodzaj zabawy w ciuciubabkę, bieganina i skakanka dokoła szeroko rozstawionych łap ziemskiego mechanizmu, wyraźnych na ekranie, jedynie autentycznie realnych w tym śnieżnym pejzażu z sennej fantasmagorii, jakże zapewne bliskich tym, którzy oto na moich oczach bawią się w chowanego z radości, z dziecinnej wprost uciechy. Bieganina dwóch urwisów w jakimś dziwnym ogrodzie czy też na tle baśniowych dekoracji. W scenerii Fausta — przyszło mi nagle na myśl, gdy tak wstrzymu

jąc oddech, nie mogłem zdecydować się na wyciągnięcie ręki w stronę popielniczki, by w niej zgasić papierosa, w obawie, że spłoszę tamto na ekranie — tak, w tej przygodzie tkwią niezawodnie elementy faustyczne. I że — to dalszy ciąg mego ówczesnego rozumowania — w związku z tym jak gdyby zaprzęciem się siłom nieczystym, diabelskim, za cenę wstąpienia człowieka w kosmos, udostępnienie mu kluczy do wszechświata, ludzkość może kiedyś drogo zapłacić. Tak jak zapłaciła za wynalazek ognia, za wykradzenie jego tajemnicy bogom, kiedy Prometeusz, patron bez wątpienia tych dwu białych Amerykanów o duszach i intelekcie skautów czy sportowców, a nawet może uczniów na majówce, podskakujących beztrąsko na księżycowym lądzie, naruszył prawo wielkiej tajemnicy, świętokradczo zerwał jakąś pieczęć, wyłamał siłą jakieś wrota, zachwiał jakąś nadrzędną równowagę.

I te ich igraszki trwały bardzo długo, a ja zaczynałem się już niepokoić i niecierpliwie w moim fotelu, podobnie jak bywa z kibicami na meczach piłki nożnej, kiedy gracze har- cują na środku boiska, wybijając sobie wzajemnie piłkę, lecz nie próbują wbić gola przeciwnikowi, jakby nie o to w ogóle chodziło. I znowu ulegałem wątpliwościom, czy przypadkiem nie zostałem nabrany przez jakichś dowcipnisiów — ja i ileś tam milionów, dziesiątków milionów ludzi na świecie, tak jak ja w tym momencie wpatrzonych w ekrany telewizorów — by się w końcu dowiedzieć, iż cały czas szło o reklamę impermeabli z jakiegoś nowego syntetycznego materiału, albo w ogóle jest to reklama cyrku, rewii, czy ja wiem czego jeszcze.

Później, wpadając z jednego ekstremu w drugi, zacząłem nie na żarty lękać się, że jeśli to, co w tej chwili widzę, teraz i naprawdę, to znaczy równocześnie i na żywo, nie jest nagrany wcześniej taśmą czegoś, co się wydarzyło kilka godzin temu — to za moment, za kilka sekund, w każdej następnej sekundzie mogę być świadkiem katastrofy, tragedii, o której będą pisać w rozprawach naukowych, encyklopediach, powieściach, esejach, a także utworach wierszowanych, jak się to wydarzyło z Lilienthałem w dziedzinie awiacji. Że nagle mi zginą, zapadną się i znikną albo na moich oczach skręcą się jak tłące się figurki z bibuły czy jedwabiu, zwęgłą się i rozsypią w popiół, biały popiół, tam wszystko jest białe — pomyślałem, śmierć księżycowa musi być również biała, jak zamieć, zawieja, jak tuman mgły.

Poniosła mnie bez wątpienia wyobraźnia, byłem cały w stanie ekscytacji i napięcia, niewyspany i zmęczony, lecz należy przyznać, że moje obawy mogły się przecież sprawdzić. Wszystko było możliwe tej nocy. Ale na szczęście nic się takiego nie wydarzyło.

Potem jadąc do miasta, zerkając na zegarek — na moście była dokładnie ósma dwadzieścia cztery — przyglądałem się mijanym ludziom. Zadawałem sobie pytanie, czy odczytam w wyrazie ich oczu, w zacięciu warg, w ich twarzach i gestach ślady przeżytej nocy. Czy się coś nieodwracalnie skończyło i zarazem w tej samej chwili innego, nowego zaczęło. Czy to był jakiś próg dzielący dwie odmienne epoki, przeskok z jednej strefy w inną, z jednej kategorii w drugą, czy nie. Czy po przeżyciu czegoś takiego można w ogóle myśleć jakby nigdy nic o sprawach codziennych, zwyczajnych, błahych? Mogłem sądzić, że zmieniła się oto skala ocen i porównań, że wiele zagadnień nagle zmalało, straciło swą wartość, okazało się nieważnymi, małostkowymi, wręcz' śmiesznymi w jakiejś nowej skali.

A może — gdy wjeżdżałem do śródmieścia, kierując moje stare VW w stronę Casinostrasse i Stegemanstrasse, myśląc już (jednak, mimo wszystko tamto kosmiczne i &u- styczne!) o kawie z ekspresu i drożdżowych rogalikach nadziewanych masą migdałową — dumałem tak: a może wszystko zostało po dawnemu, nic się nie wydarzyło nadzwyczajnego, ważniejszy dla tych tutaj, których mijam — tego pana śpieszącego do biura czy do magazynu za ladę i z niepokojem patrzącego na zegarek, tej pani idącej równoległe do mnie po trotuarze i czytającej, idąc, jakiś list — od kogo? ważny, ważniejszy dla niej niż

tamto, dalekie, nieistotne? co jest w tej chwili ważne i dla kogo istotne? — dla nich wszystkich istnieje tyle spraw ważniejszych. Ostatecznie każdy niemal dzień przynosi wiadomości rzekomo bardzo ważne, często wręcz wstrząsające, ale dla kogo; mijamy się wzajemnie, idąc dokądś za swymi sprawami, trudno, i tak niczemu nie zaradzimy, nie mamy żadnych praktycznych po temu możliwości; obfitość, lawina tych codziennych cudzych, dalekich nieszczęść — no bo Wietnam, bo Malaje, bo Biafra — ale gdzie to właściwie jest? Ileś tam milionów ofiar dżumy, cholery, powodzi, suszy, głodu —

Iw TV można się przyjrzeć temu z bliska: sucha, spękana ziemia, na niej wyschnięte ścierwo, padłe zwierzęta, sterczące żebra, owrzodzone, chude jak patyk nogi jakiegoś Murzyna, umierające z głodu dzieci, wzdęte brzuchy i zapadłe policzki, odnóża jak u pająka, czy ja wiem, i gdzie? — daleko, w Nepalu, a może w Pakistanie, na Formozie czy na Filipinach lub w buszu afrykańskim pod równikiem. Tracimy zainteresowanie, machamy rękami bezradnie, w zniecierpliwieniu — dajcież nam wreszcie spokój! Nie drażnijcie nas, nie agitujcie! I tak nic na to nie poradzimy, jesteśmy słabi, bezradni, zaganiani. Poziewamy dyskretnie, przerzucając nerwowo kartki gazety, wyłączamy odbiorniki, gasimy ekrany TV, odchodzimy do własnych spraw. I w tym wszystkim nagle — Księżyc? Pan żartuje, do-
prawdy.

Czekamy na coś istotnie interesującego. To musi być nam bliskie, znane, osiągalne. Czekamy przed telewizorem, na sali teatru czy kina na objawienie — no, wreszcie coś dla nas! Poprawiamy się w naszych miękkich fotelach, zakładamy lewą nogę na prawą, bo tamta nam ścierpła w tym oczekiwaniu, sięgamy po kufel piwa, lampkę białego mo- zelskiego, chłodnego, po papierosa, zapalamy go, szukamy na oślep ręką popielniczki, bo oto na ekranie...

końcu coś ciekawego. Interesująca uśmiechnięta buzia wyziera ku nam, śmieje się specjalnie dla nas, z kart „Sterna” czy „Quicka”, z ekranu, ze sceny, młodzietkie panienczki rozdzielają się tylko dla nas, patrząc nam prosto w oczy mrugają do nas, umizgują się do nas, ach tak, tylko dla mnie udają ten wstyd, ściągając majteczki dla pana Millera, Schmieda czy Schmiedkego. Tyle ładnych dziewcz- czątek wałęsa się obecnie po naszych placach, ulicach, plażach, mijamy je co dzień, przystajemy na chwilę i oglądamy się za nimi, tyle ich w kinie, na kartach czasopism. A mimo to ta właśnie, może dlatego że fotoreporterowi udało się to zdjęcie, w tak sugestywnym i niebanalnym ujęciu — zatrzymała na chwilę nasz wzrok, zdołała przytrzymać naszą umykającą uwagę, i już minęło — czekamy na coś nowego, innego.

Patrzmy sobie w oczy na osobności — my i tamta nieznana na zdjęciu. Odwracamy lśniącą kartę czasopisma. Zapominamy. Wietnam, grad bomb. Napalm. Odwracamy kartę, poziewamy. Zapalamy papierosa. Następna informacja.

Wylądowali na Księżycu? A tak, istotnie. Ile to mogło kosztować — jak pan sądzi? Miliard, dziesięć miliardów? Sto miliardów? I tak nikt się nie dowie prawdy. 'Odwracamy kartę.

A najchętniej patrzmy na zdjęcia z zawodów sportowych, na mecze w TV, jesteśmy masowymi kibicami, cała ludzkość powoli przechodzi na pozycje obserwatorów, kibiców, tylko kibiców. Na stadionie mogło się zmieścić ile osób? No — najwyżej siedemdziesiąt, sto tysięcy. Trzeba było wybrać się z domu, a tu niepogoda, nabyć bilet, a to niełatwe, ścisk, dojazd i tak dalej. Ekran telewizyjny za jednym zamachem zjednoczył nas wszystkich. Na mecz Anglia—Hiszpania patrzy sto milionów widzów równocześnie — od Alaski i Hammerfestu na północy po Przylądek Dobrej Nadziei i Tasmanię na południu, wszędzie. Tłumy kibiców. Osobno, w pojedynkę, i grupowo. Stojąc, siedząc, trzymając na kolanach dzieci albo dziewczyny, obmacując je łapczywie, gdy na ekranie ekipa X idzie do ataku na bramkę ekipy Y albo eks- - mistrz ciężkiej wagi TT bije na punkty mistrza NN — i czemu nie przez k.o.? Nie przeszkadzaj! — mówi ten czy tamten strącając z kolan wiercącą się dziewczynę — zaraz będzie k.o., zobaczysz! Prawy sierpowy, lewy prosty — i koniec!!

A więc tyle spraw nagle ważnych, w zageszczeniu codziennym, w przeganianiu się nieustannym — Boże drogi, jak można nadażyć! i jak ocenić ważność? To sprawa względna, samemu byłoby mi trudno powiedzieć, wyliczyć dziesięć kolejnych spraw najważniejszych. Zatem, jak sądzę, wszystko pozostanie po dawnemu, nic się tej nocy nie wydarzyło aż tak nadzwyczajnego, wynalazek lotnictwa, pierwszy przelot nad kanałem La Manche, w ogóle

moment, kiedy pierwszy człowiek oderwał się od ziemi w aparacie cięższym od powietrza, to było ważniejsze, bardziej znamienne, wyznaczające jakąś granicę istotną — ale Księżyc?

W jakich dziedzinach życia możemy spodziewać się zmian? Nie wiem Nie potrafię pani na to pytanie odpowiedzieć, panno Heddi. — Pani też zmarnowała noc na ten cel? — I uśmiech jej, podającej mi kawę i rogaliki: — Oczywiście, panie mecenasie, jakżeby nie! — I teraz spać się pani chce, co? — Troszeczkę, ale nie tak znów bardzo, wzięłam tusz. — I znów uśmiech. Odchodzi, stukając wysokimi obcasami na kamiennej posadzce Cafe Central.

Dziewczyna siedząca półgębkiem na brzeżku wysokiego taboretu obok Ernesta poruszyła się. Jej ramię sięgnęło po kufel piwa stojący na szklanym blacie, obok flakonu z bukietem kwiatów.

Gdybym — tak sobie myślałem rankiem dwudziestego pierwszego lipca 1969, dwa lata temu — podjął się zrobić rodzaj ankiety, podobnie jak to czynią reporterzy/TV lub radia, kiedy się tylko coś ciekawego zdarzy, na przykład: Co pan, pani myśli, czy w meczu najbliższym między tymi a tymi zwycięży — kto? — coś w tym rodzaju; gdybym zatem zaczął zaczepiać i wypytywać przechodniów tutaj, obok, na rogu Bahnhofstrasse i Ebert Bingu, co mają do powiedzenia na temat „Apolla XI”, albo lepiej: Co było pani, pana zdaniem najważniejszego w ostatnim czasie, lub bardziej konkretnie — co panią, pana zastanowiło wczoraj? — założę się, że większość zagadniętych byłaby zaskoczona, nie umieliby na poczekaniu odpowiedzieć na moje pytanie. Co było najważniejszego wczoraj, proszę pana? Może wynik meczu Halle—Duisburg? Nie? No to właściwie co? A dajże mi pan spokój, czasu nie mam, śpieszę się. A do czego to panu potrzebne? Jakaś ankieta? Znowu? Reklama — ale czego? Aha, pewnie panu idzie o ocenę jakości kremu do opalania „Solum-Lux”? Doskonały, istotnie. Stale używam. Nie o to panu szło? No to o co właściwie? O ten nowy gatunek pończoch „Astrea”? Powiem panu, że nie używam latem pończoch, a do jesieni daleko. Do widzenia panu.

Poszedłbym o zakład również, że gdybym wyjaśnił, o co mi idzie naprawdę, mało komu wydałoby się aż tak ważne, że jacyś faceci wylądowali tej nocy na Księżycu. Gdybym, jak w zgadywance, podsuwał dla ułatwienia różne hasła, jak Apollo, Luna — ten i ów trzepnąłby się po kolanie lub uderzył w czoło: — Ach, o to więc panu idzie? Trzeba było tak od razu mówić! — I po chwili zastanowienia: — Co ja o tym myślę, proszę pana? Ano, znakomicie, świetnie... Ale widzi pan, z drugiej strony — czy ja wiem. Może z tego wyniknąć jeszcze jakieś nieszczęście. Pan tak nie sądzi? Aeroplany również zrazu wydawały się służyć wyłącznie komunikacji.

Mój przyjaciel, Kurt Friese, kupił wtedy — dwa lata temu, latem 1969 — wille za miastem, w dzielnicy Nie-derberg. Wszyscy w tamtym czasie kupowali za miastem parcele, domy, wille do remontu, uciekali ze śródmieścia, pozostawiając tam tylko kancelarie, studia, pracownie, gabinety lekarskie, sami przenosząc się byle dalej od centrum. Nie tylko Kurt Friese, także w maju tego roku — doktor Miedtke, mecenas Schulenburg i Kroppsch oraz sędzia Meinholz przenieśli się za miasto. Cena proponowana przez właściciela willi przy Bornweg, wynajmowanej przeze mnie od wiosny 1968, która jeszcze miesiąc, dwa temu, gdy po raz pierwszy cała sprawa ewentualnego kupna stała się aktualna, wydawała mi się wygórowana, ostatnio okazała się — gdy porównałem ją z tymi, jakie zapłacili moi znajomi, często nawet w dalszych i gorszych dzielnicach — rozsądna. Postanowiłem, jeśli pan Schulz się do tego czasu nie rozmyśli lub nie przyjdzie mu do głowy podwyższyć sumy żądanej za dom z ogrodem i garażem, dobić szybko targu, żeby potem nie żałować, że taka okazja wymknęła mi się z własnej winy. A już zdołałem na dobre przywyknąć i do samego domu, i do ogrodu schodzącego w dół, po skłonie pagórka, do potoku na dole, starego muru obrosłego bluszczem tak gęstym, że utworzył zieloną nieprzejrystą ścianę, na której do słońca gromadziły się masy motyli nadlatujących z łąk nad potokiem Griesenbach i od strony lasu pfaffendorfskiego. I gdzie w krzewach nocami w maju śpiewały słowiki. Pamiętam, że tego właśnie ważnego poranka — po „Apollu XI”, a przed wkroczeniem w moje życie Zwierzęcia Alfa — zanotowałem sobie w kalendarzyku: przypilnować sprawy domu w Arzheim, nim Schulz opamięta się i zmądrzeje! Panna Alis! List albo telefon do Schulza przy okazji regulowania czynszu za ostatni kwartał 1969! Niech raz jeszcze na piśmie potwierdzi proponowaną sumę!

Kurt utrzymywał, iż boom gospodarczy na Zachodzie, a już szczególnie u nas, w Bundesrepublik, wciąż niezachwiany i poważnie nie zagrożony, wkrótce załamie się, że to już koniec, że jeszcze trochę i powtórzy się feralny rok 1929, wielki krach, który załamie naszą koniunkturę sztucznie naciągniętą, bliską pęknięcia w szwach. Alarmy alarmami — mówił Kurt — a życie swoją koleją. Otóż wedle niego przeżywamy, jak i inne kraje w podobnej sytuacji gospodarczej, członkowie EWG, lecz nie tylko, nieustanną, na pozór niezauważalną inflację, jest to objaw wedle ekonomistów całkowicie normalny, świadczący o rozwoju. Gdyby się ten wyścig nieustanny cen i zarobków,

I raz jedne zwyczajają, to znów drugie doganiają, wyrównując zachwianą równowagę, nagle zatrzymał, świadczyłoby to o załamaniu się koniunktury. Nie obawiamy się zatem zbytnio drożyzny, ona świadczy o naszym ekonomicznym zdrowiu.

Ja, który mimo upływu tylu lat i mego włączenia się, chcę czy nie chcę, w system, jaki u nas panuje — jednym słowem w kapitalizm, jak go nazywają, u progę wejścia w erę postindustrialną — jeszcze nie odwykłem oceniać sytuacji wedle dawnego nawyku, patrzę na to wszystko dokoła z mieszanymi uczuciami. Bo winienem właściwie, pozostając w sferze dawnych uczuć, czekać z niecierpliwością [na wróżony przez panikarzy kryzys, na katastrofę gospodarczą, która, raz, byłaby potwierdzeniem, iż Ustrój kapitalistyczny musi się prędzej czy później zawalić i od tej reguły nie ma wyjątków, co najwyżej jakieś pauzy, zawieszenia, odroczenia czy coś w tym rodzaju, po drugie nastąpiłoby to, co pamiętam z młodości z czasów nieboszczki Weimarskiej: bezrobocie, bieda, lokauty, rozruchy — jednym słowem podmuch nadciągającej rewolucji.

Albo — mógłby ktoś podszeptać — neofaszyzmu. Ba, taka możliwość zawsze grozi, sądzę jednak, że poprzednia faza historii nie mogłaby się powtórzyć u nas. Mimo wszystko zaszyły tak duże zmiany, iż hasła na przykład NPD, chociaż partia ta osiągnęła pewne sukcesy wyborcze tu i tam nie okazały się tak atrakcyjne ani zaraźliwe, jak niektórzy prorokowali. Nie można wstąpić dwukrotnie do tej samej rzeki, to jest chyba prawda najbardziej niewzruszalna, jaką znam.

Kiedy tak dyskutowaliśmy, a zdarzało się to ostatnio dość często, w dni gdy kończyliśmy nasze sprawy w sądzie o tej samej mniej więcej porze — ja, Kurt Friese, Klaus Wormser, czasami Miedtke, a także prokurator Niedenthal, zbierając się przy piwie lub winie w niewielkiej restauracyjce „Kbnigsbacher“, rzadziej w chińskiej, obok „Asia Restaurant“ — tamci moi znajomi i przyjaciele tłumaczyli mi, gdy miałem wątpliwości, że kryzys z nieodłącznym bezrobociem przyniósłby całkiem inne rezultaty, niżby mi się mogło wydawać. Przede wszystkim — odpływ robotników cudzoziemskich, których zwolniłoby się jako pierwszych. No, to nie spowodowałyby, poza pewnymi kłopotami natury porządkowej, jeszcze żadnej katastrofy. Lecz po cudzoziemcach po szliby jako następni wysiedleńcy, to chyba jasne. Ci ze Wschodu. Niechże ja pomyślę, jak by to wpłynęło na nastroje w tej bądź co bądź wielomilionowej masie ludzkiej. Wrośli, szczególnie młodzi, w nasze stosunki, pejzaż, zaczęli tracić odmienne cechy, wyróżniające ich od osiadłych tutaj, przestali być podatni na agitację odwetową, rewizjonistyczną, związki wysiedleńcze straciły klientelę, to widać na oko. Otóż w razie kryzysu wszystko by się zmieniło. Otworzyłyby się zabliznione rany. Odżyłyby tęsknoty i żale. Powstałaby masa niezadowolonych, na nowo pokrzywdzonych, wrzeszczących na cały głos, na całą Europę, na cały świat o swojej krzywdzie, o konieczności zmiany powojennych granic, całego powojennego porządku. I ja, tak zresztą jak oni, moi przyjaciele, lecz ja szczególnie, winienem to mieć na względzie. I trzeba pamiętać jeszcze o jednym: kryzys z czasów Republiki Weimarskiej — a chyba ja właśnie powinienem się w tym orientować najlepiej — to był w rezultacie Hitler i przejęcie władzy w sposób legalny, a nie wybuch rewolucji, jakiś nowy Spartakus i tak dalej. No więc i teraz tym bardziej. Przecież wszyscy pragniemy, by się ten stan zawieszenia wreszcie skończył i sprawa' stosunków ze Wschodem nareszcie jakoś uregulowała. I nie tylko to zresztą. Wiele innych kłopotów.

To było na kilka miesięcy przed wyborami, zwycięstwem koalicji SPD-FDP i Brandta. Na ogół liczyliśmy na taki właśnie wynik, lecz pewności przecież nie mogliśmy mieć. Nasz lokalny kandydat Droscher, jak się okazało i jak obawialiśmy się — nie uzyskał Większości i przepadł w wyborach, co jednak pośrednio byłoby można od biedy zaliczyć do zwycięstw, biorąc pod uwagę ilość głosów, jakie uzyskał. FDP przepadła ku zmartwieniu szczególnie doktora Miedtke, który z tej listy kandydował. Ale to wszystko sprawy późniejsze.

Wtedy, latem 1969, tuż przed nocą dwudziestego pierwszego lipca i wkrótce po niej, sporo rozmawiało się na te tematy. Moi przyjaciele, koledzy i jak ich jeszcze nazwać — obawiam się od dawna szafować zbyt łatwo słowem „przyjaciel”, zanadto jest cenne — zatem lepiej: koledzy i znajomi pamiętają dobrze, mimo wszystko, o mojej przeszłości. Że jeszcze od czasu do czasu nagle reaguję w taki sposób, jakbym wytrwał do dziś i w niczym się nie zmienił. Pozory, rzecz jasna, lecz nie takie znów dalekie od prawdy. Wiedzą

o tym i śmieją się patrząc na mnie. Co ja na to. I ja się |wtedy śmieję. Dajcie spokój! A po chwili jednak: ale w tyfó coś jest. No tak. I to wy się mylicie, nie ja. Zobaczycie/ jeszcze, czym się to skończy!

Oczekiwali, na przykład gdy była mowa o niestałości, chwiejności naszej gospodarczej prosperity, moich zachwyków nad boorem gospodarczym w DDR. Niech sobie mówią, co chcą, szczególnie Klaus, on się najlepiej wyznaje w sprawach ekonomicznych i jest na ogół, przynajmniej potrafi być, gdy zechce, obiektywny. Niech mówią, co chcą, a jednak w tym coś jest. Z tym DDR. Gdy tak z całą powagą twierdzą, śmieją się. Ależ tak, ależ tak, mój drogi, na pewno masz rację. Są jednak na tyle taktowni, iż potem zaraz, co by się aż prosiło, gdyby byli złośliwi, nie pytają, dlaczego siedzę tutaj wraz z nimi w Koblencji, w Bundesrepublik, a nie w DDR. Przecież logicznie biorąc, winienem był tam wrócić. Może nawet, jeśli się weźmie pod uwagę moje pochodzenie i całą przeszłość — mógłbym tam, na Wschodzie, zrobić większą, poważniejszą karierę niż tu. No bo cóż tutaj? Prowincjonalny obrońca karny w prowincjonalnym mieście Palatynatu.

Dawniej stawiano mi tego rodzaju niedyskretne pytania, muszę przyznać, dość rzadko, tylko wówczas, gdy już zanadto ich zdaniem dogadywałem im, mądrzyłem się, dogryzłem. Lat temu ileś tam. Gdy świeżo przeniosłem się tutaj. Obecnie, różniąc się nadal w wielu sprawach — ja na przykład nie dałem się nigdy namówić na wstąpienie do SPD, pozostając wiernym dawnym zasadom, co nie przeszkadza, i oni o tym wiedzą, że z braku czegoś innego głosuję za każdym razem na SPD jako nie zrzeszony sympatyk. Do innych ugrupowań, bardziej na lewo, też nie należę. Jednak na ogół, w większości podstawowych spraw bywamy zgodni. Różnimy się gatunkiem słownictwa, akcentem. Ja dotąd nie wyzbyłem się berlińskiego, zwłaszcza gdy w zapale zaczynam mówić szybko, co tak śmieszy niektórych, a innych irytuje, jak na przykład mego własnego syna. Różnimy się — ja i większość moich znajomych i kolegów — pochodzeniem, a fakt ten ma swoje konsekwencje szczególnie w gatunku odruchów warunkowych, w zniecierpliwieniu, a także uśmiechach pobłażania.

Więc czas mi było ubić ostatecznie interes z Schulzem o willę za Renem. Czułem w głębi siebie lekki niepokój

■ -

sumienia. Fakt kupna na własność willi miałby być ostatecznym przypieczętowaniem kompromisów, jakim ulegam od wielu lat? Schulz pokazywał mi swój nowo nabyty dom w dzielnicy Metternich. Po generalnym remoncie, dobudowie oszklonej werandy, tarasu, zmianie ogrodzenia, które istotnie było w stanie nie najlepszym, i po różnych jeszcze innych inwestycjach, jakie projektował, będzie to luksusowa posiadłość, niemal pańska rezydencja. Pomyślałem starym lcodem, dawnym, wciąż użytecznym nawykiem, który oddaje mi przysługi będąc swego rodzaju alibi: oto z bogactwa mieszczaństwa tryumfujące po wszystkich klęskach i zagrożeniach, po tych przeróżnych złowieszczych mane thekel fares, i tak dalej. Niezniszczalna burżuazja!

Zatem zaszła jakaś pomyłka w obliczeniach czy co? No bo wedle wszelkich logicznych przesłanek, winien pochłonąć ich kryzys, tych bogacących się, i sprowadzić mniej więcej do sytuacji z lat dwudziestych, z wczesnych lat nieboszczki Weimarskiej. A tu nic takiego. Ani śladu kryzysu. Błąd w obliczeniach czy nawet w samej metodzie takich obliczeń? Odłożenie katastrofy do jakiegoś innego terminu, dajmy na to z litery K czy L alfabetu do litery S czy może T, albo aż do Z? Już więc chyba tego nie dożyję, a mój Ernest zdoła do tej pory zmienić parokrotnie swoje poglądy. Minie mu ochota na małpowanie maoizmu, na trockizm, na anarchię a la Bakunin, na coś tam jeszcze. Ustatkuje się albo i nie. Co z niego wyrośnie?

Myślałem wielokrotnie: jakże ja daleko odszedłem w gruncie rzeczy od wiary i nadziei tamtych, dawnych lat i jak mądra jest zasada, która się na mnie sprawdziła: byt określa świadomość. Mój dzisiejszy byt, moje zarobki, moja willa w Arzheim, mój święty spokój

sumienia —■ i odpowiednik tych materialnych faktów, moja świadomość. Znam paru takich, co się chyba naprawdę niewiele zmienili, ale to niedobitki. Gdy ich spotykam, nie, tu w Koblencku takich nie ma, ale na przykład w drodze do Frankfurtu, Monachium, w pociągu, w wagonie, jakoś dziwnie przy takich okazjach właśnie podróżowych natykam się na starych kumpli sprzed lat — ach, to ty? — zawiązuje się wtedy rozmowa. Trzymamy się — a jak u was, co u ciebie, nie dajesz się, stary? Co? No to fajno, ja też. Niektórzy chyba nie wiedzą; co robię, straciliśmy się z oczu kiedyś tam, przed wielu laty i teraz oto taka okazja. Wstąpimy razem na piwko do

„M od f i n • m c s p M < w: s u m ś \ Z U

P f t 1.

6 i L X

| bufetu kolejowego, no nie? Pogadamy, powspominamy. Nje macie czasu? Niektórzy dodadzą: towarzyszu, i nawet mój dawny pseudonim, że też go nie zapomnieli — Czarny Piotruś, ha, ha, pamiętamy, pamiętamy! Reszta na ty, jak między swoimi, zawsze na ty z towarzyszami. A zatem szkoda, spieszysz się, szkoda, może innym razem. Trzymaj się, stary!

W Koblencji takich nie ma. Tutaj w ogóle można by czasami zapomnieć, że się cokolwiek zmieniło. Wiezorami, gdy nie widać resztek ruin ani nowych domów, ani tych, nielicznych zresztą, reklam, neonów i tak dalej, można by niemal zabłądzić w lata międzywojenne. Albo — jeszcze się bardziej cofnąć. Wystarczy gdzieś na skwerze, przy postumencie na cyplu — nie widać po ciemku, że cesarza Wilhelma dawno nie ma, die Deutsche Ecke jest nieco inna, cóż stąd — spotkać emerytów, odczytujących z niezmiennym wzruszeniem napis, jaki do dziś na tym cokole po zdjęciu monarchy pozostał: „Nigdy nie ulegnie Rzesza zniszczeniu — dopóki my będziemy jej wierni i zjednoczeni.¹” Złudzenie, jakiego nie tylko ja doznaję — mundury z czasów wilhel- mińskich, pikielhauby lśnią swymi szpicami i orłami w świetle rzadkich latarni, Ren migoce łuskami fał jak dawniej. Wierny, germański Ren! Straż nad Renem, die Wacht am Rhein — Niemcy ponad wszystko, Niemcy ponad wszystko f Można by się pomylić, są tacy, nawet nie bardzo wiekowi, ot, choćby jak ja, po pięćdziesiątce, w połowie drogi ku sześćdziesiątce, wiek męski, ale pamięć młodzieńcza. Są tacy, którzy jeszcze dziś mają łzy w oczach i nerwowo szukają chusteczki w kieszonce marynarki, cywilnej niestety. Tak, cóż robić, może się jeszcze kiedyś wróci, może się wróci.

Z tamtymi, moimi dawnymi towarzyszami, łączy mnie nie tylko przeszłość, obóz, czasami więzienie, Moabit, Monachium, coś tam jeszcze, lecz i sprawa, o której nie mówimy, gdy się spotkamy, szczególnie nieco żenujący, który trzeba by było uzasadniać, usprawiedliwiać, więc lepiej milczeć, pomijając: fakt, że tak ja, jak oni nie jesteśmy tam, w DDR, jak by wypadło, bo bylibyśmy u siebie, lecz tu, w Bundesrepublik. Stara gwardia po złożeniu broni do arsenału, zacisnąwszy szczęki, trwa tutaj, na miejscu. Ci, co pochodzą stąd, mają usprawiedliwienie takie czy inne, ja, pochodzący stamtąd — chyba nie, niezupełnie. Czy żaden z nich, tamtych dawnych, nie orientuje się, nie wie, że podejmuję się obrony nazich? Gdyby wiedzieli, mo

gliby zareagować ostrzej niż Ernest Boleśniej dla mnie. Może nagle moja ręka na powitanie zawieszona w powietrzu, a tamten swoją do kieszeni. Albo jakoś podobnie. Splunięcie, odwrócenie się na pięcie i odejście, czy ja wiem. Jednak nigdy się coś takiego jeszcze nie zdarzyło.

Jeden taki, kiedyś na dworcu, gdyśmy obaj musieli czekać na pociąg i zgadało się o tym modelowym tworze za wschodnią granicą, o DDR, przyznasz — powiedział kładąc mi dłoń na ramieniu — jak to jest strasznie ważne, taki mieć tuż za ścianą sprawdzian, taki model, no nie? Zgodziłem się, że tak, jasne, że tak. Zatem eksperyment gospodarczy w DDR daje wyraźne rezultaty. Już chyba nikt teraz nie powie lekceważąco: propaganda!

Najzagorzalszym reakcjonistom miny rzedną — zauważyłeś? Doczekamy się za naszego życia, tutaj, na miejscu, czy nie? Jak myślisz? Bo ty masz swoje kontakty, spotykasz takich i owakich, więcej wiesz. Ostatecznie ktoś i tutaj musi pozostać, by spulchniać ziemię pod nowy siew, by kontynuować robotę, jak dawniej. No nie?

Miałem więc pośrednio odpowiedź — czemu zostali tu, nie tam. Ale tamto „dawniej” miało inny smak, inną barwę, było odmienne. Byliśmy młodzi, to fakt, ale czy młodością można wszystko wytłumaczyć, wszystko usprawiedliwić? Pokaż mi młodych, co by tak, jak my dawniej, pokaż, no! Gdzie się podziali, pytam, co robią?

Przywykłem do willi w Arzheim i do myśli, że za dzień, dwa, za miesiąc stanie się nieodwołalnie moją własnością. Cieszyła mnie ta myśl, mimo że tu i tam, tędy i owędy, jak przez szpary, przez wąziutkie, coraz to węższe jak gdyby szczeliny wciskało się uczucie leciutkiego niepokoju. Może raczej zażenowania. No bo jednak. Taka prywatna, najprywatniejsza? Ja? Gdybym tutaj nie był, nie osiedlił się w Bundesrepublik, gdyby i tutaj zwyciężyło to, o co walczyłem — czy wówczas mógłbym sobie pozwolić, mógłbym marzyć o czymś takim jak własna willa z ogrodem, z garażem, rosarium in spe, może na przyszłą wiosnę, a jak dobrze pójdzie, to i wcześniej? Naiwność wyziera z takich myśli, najwyraźniejszy kompleks winy, jakiej winy, do licha? Przecież teraz i tam również nikt w sposób doktrynerski nie potępia za rozszerzenie swojej życiowej przestrzeni, byle nie cudzym kosztem. Wille dla szczególnie zasłużonych, a jeszcze dalej na wschód — daczę, tak to się tam

Inazywa. Inna rzecz, że nic dla każdego. Nio kupcy, nio kombinatorzy, nic pasożyty. Uczoni, pi warze, w ogół o godni ■tego. Przecież na ogół wiemy, jak to tam obocnlc wygląda, że czasy oscezy dawno minęły, nieprzydatnej już ascezy, dziś już szkodliwej doktryny, gorzej — sokclarskiego doktrynerstwa, gdy narasta dobrobyt, gdy trzeba ludzi — jednych zachęcić, innych — wynagrodzić. Po tylu latach ograniczeń I

Więc mogę jawnie, bez poczucia winy, jakiegoś grzechu czy jak to określić jeszcze, ciepło myśleć o moim własnym gniazdku w Arzholm. Zapracowałem na nio. Myślę o tym bez pozorów nawet cynizmu.

Mogę nic wstydzic Mię uczucia ciepła, jakie mnie ogarnia na myśl o widoku z okien gabinetu na parterze i z tarasu z kamiennymi słupkami poręczy pozieleniałych od wilgoci, nawet na myśl o popękanych kamiennych schodkach wiodących w dół, po skarpie, przez spory zapuszczony ogród, który, o zmroku zwłaszcza, wydaje się o wiele większy, niż jest w istocie, a przy księżycu wręcz romantyczny. I przyznać się do myśli o tej ciszy, jaka tam panuje. Do tęsknoty za tamtym, gdy jestem tu na tym brzegu, w starym mieście, w centrum, na mojej Stegemannstrasse, którą też lubię na swój sposób, bo przywykłem i do kancelarii, i do widoku z okien na piętro 1 dach hotelu „Viktoria” położonego naprzeciw, i do maleńkiej służbówki obok kancelarii, pokoiku zwanego studiem — nazwa nadana przez pannę Alis, moją sekretarkę, która lubi określenia świadczące o jej towarzyskim obyciu — studio to nie to samo co pokoiik służbowy, nawet gdy nie ma w nim służącej.

Siedzę za biurkiem w kancelarii na Stegemannstrasse 26, plerwucz piętro od frontu, i patrzę na dach hotelu „Vi)Uo- ria”, a gdy podejde do okien, także wprost we wnętrza pokoi na pierwszym piętrze tego budynku, niższego niż kamienica pod dwudziestym szóstym, i myślę sobie; za chwilę, gdy pozałatwiam wszystkie pilno sprawy, panna Alis pożegna mnie pytając; — Już nie będę więcej dzisiaj potrzebna panu mecenasowi? — Nałoży kapelusz przed lustrem w poczekalni, wyjdzie i ja za chwilę też będę mógł wyjść, zapuścić motor wozu, wyjechać w prawo, bo .Stegemannstrasse jest jednokierunkowo, potem skreć w lewp* w Ebert Ring, i już most, i pod górę serpentynami, i widok z góry, z coraz to wyższych i wyższych pięter, na Ren, na

mosty, na Mozolę 1 Deutsche Ecko z postumentem bez Wilhelma Pierwszego. A gdy się ściemni, wyjde na tarus willi, mojej jutro-pojutrze już willi własnej, przeciągnę się z ulgą, wciągając raz i drugi świeżość powietrza, tam na r/o, poza miastem, jakże jest Innel Można natychmiast ocenić różnicę, i dlatego wszyscy, każdy, kto może, ucieka za miasto. Zatem ten widok o zmroku, światła za rzeką i inne, odbito w Ilonie, a także w Mozeli. I daleko, daleko, najdalsze światelka migocące na wzgórzach po tamtej stronic mla- Hta, gdzieś chyba aż w dzielnicy Metternich 1 w Bubenheim, i aż w GUIs, chociaż tego nie jestem aż tak pewien, czy można widzieć światła w GUIs z tarasu mojej willi w Arzhoim przy Bornweg.

Poznają natomiast znakomicie świetlną mapę Koblencji, gdy zapadną całkowite ciemności. Cały światłny szkielet starego miasta, Jak na rentgenowskiej kliszy. Centrum, szeregi latarni rysujące kształty ulic, Ebert Ring iJ9chlosg*trasse, a także — równoogłę do tamtych, prostopadłe do rzeki, tak mi znane od lat, każda witryna, każde drzewko dosłownie, z codziennego obcowania, mijania, zatrzymywania się, wstępowania do sklepów, pełno adresów klientów i kolegów — Hizzastrassc i Roonstrasse z przedłużeniem ku rzece, które nazywa się Moltkestrasse. A dalej w lewo — Markonbild- chenweg, zabawna nazwa, ile razy ją odczytuję, nio mogę powstrzymać uśmiechu, i większa nieco plama, rozmazana nu boki, szerszu — to okolice dworca i poczty, plac przed nimi, i w poprzek tamtych wszystkich, od lewego w prawo, wzdłuż Renu, tylko nieco dalej od niego, paciorki latarni ulicznych i tu i ówdzie barwny neon, zielono, to czerwone mrugania, kuszenia, znaki zapytania — długi Hohenzollern- strasso i nieco krótsza i bliższa rzeki — SUDalleo. Tam latarnie giną wśród drzew, a gdy wloje wiatr, odsłaniając, to przysłaniając je, wtedy stąd, odo mnie, widzę

mrugania na jej całej długości. A w lawo cypel w Oberwerth. I plaża v. zakładom kąpielowym. Hhoinau oraz Haydnstrasso I mieszkanie Leni II. Zdawałoby się — tylko rękę wyciągnąć górą nad nisko płynącym w dolinie Renem. Leni przyjeżdża zresztą teraz często do Arzhelm, nie trzoba sięgać ramieniem aż tak daleko, Loni jest na miojscu. Na tarasie, w oknie sypialni na pierwszym piętrze, w hamaku, w ogrodzie na stoku, w bujającym fotelu przed domom, na tapczanie pokrytym wschodnim kilimem nabytym wraz ze szlafro

kiem w Bośni, w mieście Mostar, gdzie kilka pięknych meczetów i stary łukowaty kamienny most chyba jeszcze z czasów rzymskich, i hotel nad rzeką, w którym się zatrzymałem na dwa dni, piłem wino i gdzie grała orkiestra nad samą wodą, wisiały lampiony i śpiewała po serbsku jakaś dziewczyna ubrana w strój miejscowej chłopki i w maleńki, czerwony, niski fez na kruczoczarnych włosach.

Tak, teraz Leni bywa tu, w Arzheim, stałym gościem. W modnym kostiumie, w letniej sukience, w piżamie i bez niej. Ale wtedy, gdy się tamto wszystko działo, jeszcze nie. Była wprawdzie, istniała, lecz za rzeką, przy Rheinau.

Obok tego niezrównanego świetlnego planu miasta docierają aż tutaj, na górę, odległe jego głosy. Rodzaj koktajlu złożonego z muzyki płynącej z jakiejś kawiarni, z dancingu „Royal” zapewne, gdzie przez otwarte drzwi na werandę i dalej w Ebertstrasse wypływają tony jazzu, to walca, to jakiegoś tanga — muzyka zatem i trąbki samochodów, i dźwięk ciężkiego przedmiotu ciśniętego z wysoka na bruk, i odgłosy kolejowej stacji, a także gwizd syreny, bliżej, na Renie. To statki płynące dołem, mijające most i cypel Deutsches Eck. Cała panorama dźwięków i barw, konstelacja lamp i oddech miasta. Poczucie spokojnego, sytego liryzmu tutaj, gdy się na to wszystko spogląda z tarasu, z okna sypialni na piętrze, z naroża willi od strony skarpy. Niemal obraz filmowy.

Wracam każdorazowo z miasta do Arzheim w poczuciu ulgi i narastającego spokoju, do którego tęsknię będąc w śródmieściu.

Również do samotnego schodzenia już o zmroku, po o- macku, w dół po skarpie skrajem ogrodu, widoku rzeki i miasta widzianego z góry. To zstępowanie w narastającą ciemność, pod wygwieżdżonym niebem, to czepianie się po drodze umykających gałązek rosnących tam krzewów. I na samym dole, przy murze, skąd już nie można zobaczyć ani Renu, ani miasta, bo zasłania je skłon pagórka, lecz gdzie za to pachnie woda z potoku Griesenbach i gdzie za murem, po stronie cmentarza, rosną wielkie drzewa.

Nie są to jednak wyłącznie wędrówki samotne. Od niedawna odbywam je często w towarzystwie Leni R. Na przykład tydzień temu, w sobotę. Szliśmy przez ogród zniżający się jednym narożem wydłużonego nieregularnego prostokąta ku miejscu, gdzie stary i splekany mur tworzy za-

łamanie, z którego usypał się spory fragment i którądy można bez trudu przedostać się na ścieżkę idącą łukiem między cudze ogrody, aż do niewielkiego cmentarza. Gdy schodziliśmy coraz stromiej w dół, nadpłynęły chmury od strony Zamku, spoza masywu twierdzy Ehrenbreitstein, skłębione i ciężkie, wlokąc za sobą jak gdyby ogon czy ułamane skrzydło na tle nieba tuż po zachodzie słońca, przejrzystego, zielonkawego, przekreślonego u spodu, nad samym horyzontem, żółtawą pręgą. Potem nagle zrobiło się całkiem ciemno, a że oboje wypiliśmy sporo whisky, więc musiałem podtrzymywać Leni, której nogi plątały się na nierównym stoku i w dołach nie zauważanych za dnia. Ścisnąłem ją za ramię coraz mocniej, aż zdziwiona obejrzała się na mnie. Nie mogłem zobaczyć w ciemnościach jej twarzy, słyszałem tylko jej nieco schryply głos — poczekaj, poczekaj, aż wrócimy — dawałem jej bez słów sygnały, odpowiadałem jej zaciskaniem palców obejmujących jej szczupłe ramię, wiotkie i dziewczęce, miękkie i zarazem elastyczne, jędrne i chłodne.

Aż przez wyłom w murze wydostaliśmy się na trawiasty stok, bezdrzewny i równy, wyraźny w słabym świetle, i niemal biegiem, trzymając się za ręce, zeszliśmy nad sam brzeg potoku Griesenbach płynącego w zagłębieniu porośłym krzewami tarniny i trzciną. Woda migotała na kamieniach, poruszając płaskie liście jakichś wodnych roślin. Było romantycznie, Leni czuła się romantycznie, zachciało jej się usiąść nad romantycznym strumieniem, zdjęłem więc marynarkę i podłożyłem jej pod łopatki, trawa na brzegu wydawała się wilgotna, gdy przesunąłem po niej dłonią. Potem wracaliśmy zdyszani zakosami w górę, śmiejąc się i dokazując. Pomagałem Leni wspinać się, bo nogi w pan-

tofelkach na wysokich obcasach ślizgały się jej na trawiastej stromiźnie, podsadzałem ją uchwyciwszy mocno oburącz za oba pośladki, komenderując na głos: prawy-lewy! prawy-lewy! i w górę! i w górę! i raz! i raz! i jeszcze raz! i dwa! Leni się niby trochę broniła — zostaw, jeszcze ktoś zobaczy — nikt nie zobaczy! Być może, zdawałem sobie sprawę, byłem nieco prostacki, lecz ta świadomość podniecała mnie tylko i podjudzała, ta jakaś jurna plebejskość wyniesiona z młodości. Pośladki Leni są raczej szczupłe, bardzo dziewczęce i zgrabne, takie w sam raz; naprężały się zrazu, stawiały opór, po czym poddawały się moim rękom, da

jąc się podsadzać i unosić w rytmie naszych kroków; czułem ich elastyczną jedność w zaciskających się na nich palcach. Gdy byliśmy już na górze, okazało się, że chmura, która spowodowała tę niesamowitą wręcz ciemność, odpłynęła na zachód; była gdzieś już w stronie Metternichu, może nawet jeszcze dalej w lewo.

Przystanęliśmy na tarasie nieco zdyszani. Widok stąd jest istotnie imponujący. Cała Koblenca w dole, jak na dłoni, od Wallersheim na prawo — aż po odległe, ledwie widoczne Guls na lewo, rój światełek, trudno odróżnić wygwieżdżone niebo od miasta o tej porze. Leni przesunęła dłonią po moim czole, było zgrzane. Powiedziała miękko: — Wdziej marynarkę, może cię zawiąć, robi się chłodno. — Porozpinała guziki mojej koszuli, dwa czy trzy, wsunęła tam dłoń na płask z wyprostowanymi palcami; czułem, jak w poszukiwaniu serca błądzi po mojej piersi, jak jej chłodne palce zatrzymują się na chwilę tu i tam jakby przyczajone; serce biło mi gwałtownie; potem musnęły po wierzchu obie moje sutki — prawą i lewą raz i drugi — trącąc je samymi koniuszkami, poczułem gwałtowny dreszcz; zapięła mi marynarkę, odsuwając się ode mnie, gdy usiłowałem ją objąć i przygarnąć: przypomnij sobie, co było onegdaj, musimy uważać. Istotnie. Gwałtowny szok, ucisk serca, łomot, migotanie, arytmia. Tuż po, jeszcze właściwie w trakcie stosunku, gwałtownego wyładowania się, niemal bolesnego spazmu. Leni poderwała się przerażona. Byłem podobno błądy i siny. W pierwszej chwili, w panice, chciała wzywać pogotowie. Uparłem się, żeby nie. No i jakoś minęło. Poczulem senność, więc podłożyła mi poduszkę pod łopatki, a potem ująwszy bardzo delikatnie moją głowę w obie dłonie, złożyła ją sobie na kolanach; nawet odpięła podwiązki, żeby mnie nie uwierały przez cienką spódnicę. Gładziła po twarzy, włosach, po karku. Uspokajałem się.

To było po południu, a wieczorem przyszedł jednak brat mego kolegi, adwokata, doktor Miedtke, wezwany przez Leni mimo moich protestów. — Żadnych gwałtownych emocji, wysiłków — powiedział. — A potem patrząc to na mnie, to na Leni, pogroził nam palcem: — No, no! Uwaga! — Leni chciała z nim koniecznie pomówić o mnie, na temat stanu mego zdrowia. Odprowadziła go do wozu. Oświadczyła mi potem, gdy Miedtke odjechał: — Mój drogi, sam teraz widzisz. Musisz uważać na siebie, a nie tak jak dotąd. Słyszaleś, co on powiedział: jak najmniej emocji, ekscytacji. Mam wyrzuty sumienia. Że nie dość uważałam, żebyś ty... Że się godziłam za każdym razem... Od dziś będę już wiedzieć. Najwyżej raz, no, dwa razy na tydzień, wiesz? I żadnych sztuczek. Co on ci przepisał, pokaz.

Zupełnie jakby była już moją żoną. Znosi się na to, że chyba nią w końcu zostanie, mimo że nie mam dotąd rozwodu z pierwszą, nie znam nawet jej aktualnego adresu. Nie ma jej chyba w tej chwili na terenie Niemiec. Ostatnio — takie miałem informacje przynajmniej pośrednio — była w Anglii. Leni też zdaje się nie ma rozwodu, nie wiem na pewno, ale zdaje się, że nie ma. Jej mąż, czy były mąż, buduje fabrykę chemiczną, amoniaku czy może soli potasowych, sam dobrze nie pamiętam już gdzie. W każdym razie gdzieś w Afryce. Abidżan czy może Accra. Pisuje do niej, ale z rzadka. Ich wzajemny stosunek nie jest dla mnie całkowicie jasny.

Nastrój jednego z wieczorów w Arzheim: zmrok przesycony zapachami kwitnących krzewów na skraju ogrodu, mego i sąsiednich, bzy i jaśminy, oraz melodią dzwonów kościelnych, szczególnie tego najbliższego, w dole. Jest to kościółek katolicki, o charakterze niemal że wiejskim, Maria Himmelfahrt Kirche, Wniebowstąpienia Matki Boskiej, tak to się u nich nazywa. Gdy odbywa się tam majowe nabożeństwo, ja na moim tarasie słyszę śpiew, a nawet chóralne odmawianie jakiejś litanii. Zrazu mnie to lekko niecierpliwilo, teraz do tego przywykłem. Należy nieodłącznie do atmosfery wieczorów wiosennych i letnich tutaj na górze, u mnie.

To pod wpływem takich nastrojowych chwil — dzwonów cichnących już, ale i widoku tonącego w mroku miasta i jego zapalających się kolejno świateł, i zapachów różnych, i w

ogóle — zacząłem na wiosnę tego roku zwierzać się Leni, która wtedy przyjechała do mnie chyba dopiero pierwszy raz na Bornweg i bardzo chwaliła wszystko, nie wyłączając urządzenia wnętrza willi, spowiadać się z moich kłopotów, zmartwień i niepokojów. Wtedy ona, ująwszy mnie mocno za ramię, zaczęła mi udzielać rad, całkiem rozsądnych, nie spodziewałem się, że jest taka inteligentna, a jednocześnie rzeczowa i praktyczna. Nie wyglądała na taką, gdy ją przez Klausea poznałem przed kilku miesiącami w jakiejś kawiarni, i to nie w Koblencji, lecz w Monachium,

i n mjj^Wna Schwabingu. Kobiety z łatwością potrafią pocieszać, to , hu ^Jr leży w ich naturze, ale udzielać rozsądnych rad — rzadko,

gp To mnie wtedy do niej zbliżyło. Zaczęła się liczyć jakoś
M w moim życiu. Od czerwca, mniej więcej, nie tylko liczyć,
w lecz wręcz rozpychać w nim. Zagnieżdzać. To mnie znowu
si trochę na razie ostudziło, ale zaszły wnet okoliczności, które
ir odmieniły sytuację na jej korzyść. Nie wiem, co bym zrobił
śi bez niej, gdy się tamto wydarzyło w Hamburgu. Z Erne-
Z stem, lecz także z Trudą.

ti Z Ru czy też Ru-Ru. Bywała przecież w willi przy Born-
p w eg, mieszkała po kilka dni. Przychodziła i nagle znikała.

Tak w kółko. Ratowała mnie, jak mogła, przy tak zwanych

l poważnych ostrzeżeniach z racji serca. To przez nią wy-
{ myślane określenie, na wzór poważnych którychś tam o-
i strzeżeń udzielanych przez rząd chiński Amerykanom. Tru-
i da najpierw, gdy ją poznałem, nie pozwalała sobie na naj-
i mniejszy żarcik na temat Mao i Chińczyków w ogóle, par

skala i obrażała się, gdy coś mówiłem na te tematy nie tak, jak ona tego wymagała, potem sama nauczyła się, i to łatwo, stroić sobie żarty coraz bardziej jaskrawe z samego Mao, a co dopiero z innych, nie objętych w tym stopniu tabu dawnej grupy, od której, jak przypuszczałem, zdecydowanie odeszła. Myliłem się, przynajmniej częściowo, jak się okazało.

Wciąż walka o niepalenie na czczo. To już robota Leni. Wzięła się do mnie nie na żarty.

Więc jeśli się tylko da, jeżeli pamiętam, no to łyk kawy albo bodaj wody, byle nie całkiem na czczo.

Zupełne zerwanie z paleniem, nakazywane mi od blisko półtora roku przez wszystkich kolejnych lekarzy, przerasta moje możliwości. Wstyd wyznać, że ze strachu przed Leni — jak sztabak palę ukradkiem. Za drzewami w ogrodzie, gdy ona weranduje na tarasie. A także w ubikacji.

Pamiętam dokładnie, jak smakowały mi pierwsze papierosy, ofiarowane mnie i dwom moim towarzyszom wędrującym na południe po uwolnieniu nas z obozu w Dachau. Kto nam je dał? Jakiś żołnierz amerykański mówiący po niemiecku, niemieckiego pochodzenia? A może pfleger, sanitariusz z naszego własnego obozu, który też wędrował na południe, w stronę Wirtembergii i Renu, tak jak my, a który jakimś cudem zaopatrzył się na drogę w większy zapas papierosów. Miał ich cały plecak. Teraz już sobie przypominam, jakbym go widział. Były w tamtym czasie cenne, nie tak wprawdzie jak nieco później, gdy stały się obiegową monetą, najpewniejszą i najbardziej poszukiwaną na obszarze wszystkich trzech okupacyjnych stref zachodnich. Teraz znów wydaje mi się, że pierwszym ofiarodawcą był jednak ten Niemiec amerykański, a dopiero nazajutrz spotkaliśmy po drodze pflegra. Nazywał się zdaje się Luis czy jakoś tak. A może Leon?

Ja szedłem wpierw, jakieś trzy albo cztery dni, z Hermannem, moim od paru lat najbliższym kumplem, i z takim starym towarzyszem z KPD, weteranem ruchu, który znał osobiście Liebkechta i Różę Luxemburg i przy którym i ja, i Hermann w ogóle byliśmy niczym. Uważał nas obu za smarkaczy. Potem tamten stary towarzysz, Michel, mimo że trzymał się nad podziw dobrze, gdzieś odstał. O ile sobie przypominam, zabrała go jakaś aliancka kolumna sanitarna. Zostałem z Hermannem Hoppe i z nim, we dwóch podjęliśmy dalszy marsz na południe.

Ja wtedy — a zważyliśmy się po raz pierwszy sami, bez niczyjej pomocy, na wadze w aptece całkowicie pustej, otwartej na przestrzał i, co dziwne, nie splądrowanej, jakby

właściciel wyszedł tylko na chwilę, zapomniawszy zamknąć drzwi, weszliśmy jakby nigdy nic i zważyliśmy się wzajemnie — miałem czterdzieści trzy, a Hermann zaledwie czterdzieści i pół kilograma. — Tyle z nas zostało — powiedział schodząc z wagi, która zatrzymała się na cyfrze: czterdzieści i pięćdziesiąt setnych.

Teraz ważę ponad osiemdziesiąt. Niestety, bardzo blisko dziewięćdziesiątki. Maszerowaliśmy nawet dość rażno na południe, można by powiedzieć — na przełaj, w poprzek hinterlandu niedawnej amerykańskiej ofensywy. Ludzie szli gromadami w różnych kierunkach, mijali się, słyszało się tyle języków, że można było od tego dostać zawrotu głowy, Francuzi i Włosi, Węgrzy i Kałmucy, byli jeńcy i byli robotnicy dobrowolni i przymusowi, a także tacy jak my, z lagrów. Wszystkie drogi i ścieżki roiły się od idących, nocami paliły się ogniska, we wsiach i miasteczkach dymiły zgliszcza, obozowali w gruzach ludzie odziani w co się da, w pasiaki, w uniformy różnego pochodzenia, nawet w ubiory kościelne i pstre gałgany ukradzione w jakimś cyrku. A w tym rojowisku nie kończące się sznury wojskowych taborów sa-

Imochodowych, jeepy i wielkie ciężarówki, a także działa 'pa gąsienicach i czołgi. , ' .
J I my w tym wszystkim. Ktoś po drodze poczęstował nas herbatą z ziół, Hermann wypluł, zrobiło mu się niedobrze, tamten, ofiarodawca, czuł się" leciutko urażony. Znow apteka, ranek, wstąpiliśmy. Tutaj był na miejscu farmaçeuta. Znow postanowiliśmy zważyć się, Hermann sam właściwie, bo ja uważałem to ciągle ważenie się za maniactwã. Ale nie sprzeciwiałem się zbyt. No i okazało się, że waga, obsłużona przez samego aptekarza, pokazywała identycznie to samo co poprzednia. Czterdzieści trzy i czterdzieści i pół; ani grama więcej, ani mniej. Wybiła małe kartoniki barwy zielonej. Aptekarz wręczył je nam. Na pamiãtkę. Kiedyś panowie komuś pokażą. Żonom albo dzieciom. Wyglądało na to, iż widząc nas w pasiakach, nie ogolonych, ostrzyżonych do gołej skóry i chudych, czuje się jak gdyby współwiny naszego losu. Kiwając głowã, nadmienił coõ usprawiedliwiającego na temat własnej kondycji. Że i on schudł ileõ tam kilo w czasie tej przeklętej wojny, że i on cierpiał. Zdaje mi się, iż stracił kogoõ, syna czy wnuka. Pokazywał nam jakieõ fotografie. Hermann zbył go lekceważącym machnięciem ręki. Tamten proponował nam herbatę z jakichõ liõci, ale myõmy podziękowali. Śpieszyło nam się obu: jemu, Hermannowi, do domu, żony i córki gdzieõ w Schwarzwaldzie, a mnie, który mu towarzyszyłem, nie mając gdzie się udać, nie mając nikogo po tej stronie Łaby, a wojna się wprawdzie kończyła, lecz walki jeszcze trwały, właściwie spieszyciõ się tylko przez solidarnoõć z Hermannem i pragnienie, by się znaleźć poza strefã obozowã. By jak najwięcej nalykać się powietrza w pełnej swobodzie, której świadomoõć działała na mnie wręcz odurzająco, euforycznie. By się nacieszyć klęskã hitleryzmu, atmosferã powszechnego zamieszania, tej istnej wieży Babel. ^

Po drodze, blisko jeszcze Monachium, w Bawarii, co jakiś czas mijaliõmy õwieżo przybite tablice: „Remember Dachau!", a takż: „Off limits allied soldiers" — zabraniające żołnierzom zwycięskiej armii i fraternizacji, i korzystania z uciech, jakich mógł im dostarczyć, z jakimi się napraszał podbity, pokonany naród.

Jeszcze w obozie, ale już u progu wolnoõci, gdy nic nam właściwie nie groziło, bo najgorsi, najniebezpieczniejsi nasi przeõladowcy znikli, a zostali z zaõlogi obozowej tylko ci, którzy postanowili doczekać się alianców, wciãż jednak my obaj, starzy więźniowie — ja, który miałem chwalebny numer õzterocyfrowy zaledwie, a każdy, kto był w obozie, wie, jakie to miało znaczenie, automatycznie włączając do obozowej arystokracji, i on, Hermann, o ileõ tam numerów starszy więzień ode mnie, więc w jakimõ almanachu jeszcze wyżej szacowany — nie byliõmy tak zupełnie pewni, czy uda nam się cało wyjść z opresji, mimo wszelkich znaków na ziemi i niebie, że tak, że bez wãtpienia. Nie Zwiedziliõmy, czy komuõ nie przyjdzie na myõl wykończyć nas w ostatniej chwili, za pięc dwunasta. Słyszeliõmy o tym: Krãżyły panikarskie wieõci, że istnieje podobno takie tajne zarzãdzenie samego Himmlera.

Hermann zatem, mając nadzieję, że zobaczy po latach dom, a w nim żonę i córkę — lecz czy ją pozna, po tylu latach? — Musi być z niej duża dziewczucha, jak myõlisz? — upewniał się — pozna czy nie, idzie o to, czy ona mnie, bo ja jej z pewnoõciã nie. Przyjdę — mówił — i zapytam, czy tędy droga do placu przy koõsciele i czy stoi tam jeszcze narożna kamienica obok poczty — tylko tak dla pucu, bo przeciez trafiłbym nawet będąc õlepym, i na tamtym õwiecie jeszcze bym trafił, no więc tylko tak zapytam, bo sama moźnoõć jawnego, swobodnego dopytywania się sprawi mi radoõć — czy nie tak, powiedz sam? — i postawię to pytanie o plac i o dom przy poczcie ładnej, dorodnej dziewczynie z dwoma jasnoblond warkoczami — rozumiesz, takimi grubymi jak wielkanocne strucle — a ona pokaże mi rękã, o tam, widzi pan, ten żółty dom, co go stãd widać, i ja tam wejdę, obaj wejdziemy przez drzwi obok sklepu mydlarza, bo chyba ci mówiłem, że na parterze miał magazyn niejaki Wiedtke, mydlarz, ale to był drań, SA-man, więc go pewno nie ma, i potem, gdy już wygadamy się do syta i najemy się do syta obsłużeni przez moją żonę, wejdzie tamta hoża

dziewucha i okaże się wtedy dopiero, że to moja własna dziewczyna, która miała —
poczekaj, poczekaj! — niecały rok, kiedy mnie zabrali, pomyś! —
Później, a wciąż jeszcze siedzieliśmy w naszym baraku numer trzydzieści, tuż przy budynku
dezynfekcji, naprzeciw takiej dodatkowej, mniejszej bramy obozowej blisko zakładu
ogrodniczego, w którym obaj pod koniec wojny pracowaliśmy jako stare numery, obozowi
prominenci, nie tak

znów nawet głodni, nie tacy znów muzułmanie, jak się mawiało, bo przecież my, stara gwardia, zawsze jeszcze coś liźnaliśmy z kuchni esesmańskiej, nawet wówczas, gdy nie było niczego w całym lagrze, głód ostateczny i totalny — wtedy więc, mimo wzrastających szans, mimo budzącej się nadziei, że to chyba już tym razem naprawę już, wystarczy zaczekać dzień, no, najwyżej tydzień — Hermann wciąż jeszcze wąpił. Lawirował między nadzieją i zwątpieniem. Mawiał do mnie: — To niemożliwe, żebyśmy dotrwali. To znaczy ja — bo ty się wymigasz żywy i cały. Ty tak, bo zawsze miałeś fart. Zobaczysz. A ja nie. To jakoś tak wyjdzie w ostatniej chwili. Samo z siebie. Zdarza się. I zdarzy się właśnie mnie.

Rysował mi na kartce wyrwanej z bloku rysunkowego, na którym popisywał się malarskimi uzdolnieniami jeden z naszych kolegów na zlecenie esesmanów ze szrajbsztuby, szkic miasteczka, z którego pochodził. — Pójdiesz tędy, gdy wysiądziesz z kolei, albo nie, co ja mówię, nie będzie chyba jeszcze kolei, zatem z tej strony, bo przywędrujesz szosą od Breisach albo od Lahr, te dwie drogi zbiegają się tutaj, o widzisz — i stąd już trafisz na pewno. Tylko uważaj — rysował ulicę wiodącą ku poczcie od rynku — o, tutaj, widzisz? — Po co mi to rysujesz — mówiłem — przecież sam mi pokażesz drogę, wejdziemy wspólnie, o tędy, tak jak narysowałeś, ale razem, na pewno razem. Lecz on w kółko swoje: — Ale gdyby co, no to ty sam. I właśnie dlatego ci rysuję. Czy ty tego doprawdy nie potrafisz pojąć? Więc widzisz, jak to jest: miniesz duży dom, z konsumem, malowany na brudnoróżowo, wtedy, dziesięć, nie, przecież to już jedenaście lat temu, mniejsza z tym, no taki duży, wtedy już na pewno trafisz. Nie sposób się pomylić. Zapamiętasz?

Bo on miał wręcz obsesję, że nie przeżyje. A przecież od jakichś dwu lat nie było nam aż tak źle. Dopiero gdy nastał wielki głód złej zimy ostatniego roku wojny, kiedy nawet ziemniaki szły już tylko na stół esesmański, zmarnowaliśmy się i stąd ważyliśmy tak mało.

Dlatego, gdyby on nie wyżył, zginął czy umarł przed samym końcem, to ja miałem udać się do jego żony i córki, mieszkających na zachodnim stoku Schwarzwald, gdzie jak mi opowiadał w chwilach rozmarzenia, a takie trafiały się czasami, zwłaszcza po wieczornym apelu w pogodne

dni wiosny 1945: — Tam u nas, rozumiesz mnie, powietrze pachnie świerkową żywicą i jałowcowym dymem oraz — ważna sprawa — również i świeżym pieczywem. Bo, pamiętaj — mówił, dorzucając na swoim planie miasteczka jakieś kółko — tutaj, trzeci dom od rogu, mieści się najlepsza piekarnia na świecie. Należy do starego Millera, Hansa Millera. To fajny facet. Może jeszcze żyje. Chciałbym bardzo, żeby żył. A więc pójdiesz tędy — a ja zapewniłem go: — Dobrze, trafię na pewno, nie obawiaj się, że zblądzę, mimo iż nigdy tam nie byłem. Nigdy nie widziałem Renu powyżej Mannheimu. Nie uwierzysz.

— Chciałbym tylko wiedzieć — mówił — czy dom z konsumem nie zmienił barwy, a także ten nasz, narożny — ho musisz wiedzieć, że był pomalowany farbą olejną, która po deszczu lśniła jak lakier, na kolor żółty, kanarkowo żółty. To była taka fantazja właściciela, pojmujesz już? I dlatego każdy mówił, nie dom przy ulicy takiej i takiej numer ten i ten, lecz nieodmiennie — żółty dom koło piekarni Millera, tam gdzie również mydlarnia. Tak się u nas mówiło. Ile lat temu?

Zasepił się. Siedem od ostatniej wiadomości z domu od rodziny. Bezpośrednio, bo pośrednio miał. Przez szwagierkę mieszkającą gdzieś w Bawarii. Nawet paczki. A od żony ani słowa.

I charakterystyczne — nas ratowały od oblędu właśnie takie małe absurdy, jak zgadywanie, czy się nie zmienił kolor domu w miasteczku Waldkirch. Żeby nie myśleć, czy żyje żona mego kumpla Hermanna Hoppe, z zawodu stolarza i byłego aktywisty KPD, tam gdzieś na południu, w Badenii, po siedmiu latach braku wiadomości, jedenastu latach jego niebytności w tym mitycznym na poły, baśniowym Waldkirch, po sześciu latach wojny. I chwilami wydawało się, iż nie to jest aż tak ważne, czy oni tam żyją, one obie — żona i

córeczka, lecz czy jest możliwe, żeby narożny dom z mydlarnią, a także piekarnią tuż obok zmienił kolor z kanarkowe żółtego na jakikolwiek inny. — Zobaczysz — upierał się; jakby pocieszając mnie — jest nadal żółty jak żółtko albo jak durchfall.

Zaś durchfall, czyli biegunka głodowa, to był nasz najniebezpieczniejszy wróg w tamtym okresie. I on to, wiosną 1945, zabrał największą ilość ofiar u progu wolności, a nawet tuż po uwolnieniu obozu przez Amerykanów.

od^ i r - m; sp M w

SI

ir

ST

Z b

F 1 1 I

i i

- Hermann Hoppe od kilku lat nie żyje. Czy jego żona mieszka jeszcze w tym istotnie niebrzydkim, niemal idyllicznym podgórskim miasteczku na stokach Schwarzwaldu, tego nie wiem. Przestaliśmy kontaktować się listownie od dawna. Stare, zdawałoby się dozgonne przyjaźnie i znajomości, cała łącząca ludzi wojenna i obozowa wspólnota, wszystko to wietrzeje prędzej, niż można by oczekiwać. Odwróciliśmy się od przeszłości jakby nawet z odrobiną obrzydzenia czy zażenowania i odrazy. Jakbyśmy nagle poczuli do siebie wzajemną niechęć, żeśmy byli świadkami i uczestnikami. Tak to jakoś wygląda. Rozeszliśmy się każdy w swoją stronę. Zajęliśmy się własnymi sprawami. Wstyd i przykro w gruncie rzeczy, i mało kto przyzna się nawet przed sobą samym do czegoś takiego, żenującego i gorzkiego zarazem. Ale tak to przecież wygląda.

Czujemy żal do czegoś niesprecyzowanego, zaledwie wyczuwalnego. Lecz to nieokreślone wciąż istnieje, jest, trwa. Pragnienie zapomnienia. Zapewne, ale nie tylko. Powrót do normalnego życia, każdy do swego, odmiennego, a taki pośpiech, bo to się odbywało w pośpiechu dzieli, nie łączy. Też prawda. Ale nie tylko o to idzie. Nie lubimy mieć obok siebie świadków tej, zdawałoby się, chlubnej przeszłości. Walka o przetrwanie, opór, jeden obok drugiego, ramię w ramię, szereg za szeregiem, apele, stanie karne godzinami na deszczu, mrozie, karcery, niezłomna wola niezhańbienia się, nieszeszmaczenia, tak, tak — jakże to piękne było w gruncie rzeczy — towarzysze czujnie przyglądający się sobie nawzajem, śledzący się jakby na rachunek, na poczet już przyszłości, która się zbliża, może, by dać potem świadectwo przed jakimś sądem. Nasza przyszłość i nasze świadectwo o tamtym, o nas w tamtym. Przed kim to dawanie świadectwa? Przed jakim sądem? Historii? — Śmiech mnie bierze. Społeczeństwa? — Farsa, farsa! Partii? — Zapewne, zapewne, dla tych, dla których będzie się to jeszcze liczyć. Ci, co przetrwali jako tako, którym się upiekło, niechętnie widzą nas, którzy byliśmy ofiarami, a mimo to wyszliśmy z tego inferna — któż lubi takich świadków obok siebie? Natręctwo pamięci, milczący wyrzut? Inni zdają się wciąż pytać: dlaczego żyjecie?

Wzruszam ramionami teraz, po tylu latach, gdy o tym myślę. Fundusz zakładowy, dobra lokata — taka przeszłość. Niezawodnie, tak, tak, i to też ma w sobie coś niezbyt mi

łego, taka zasługa. Ci co przeżyli, wiedzą i tak, po co im jeszcze przypominać. Ja nie przypominam wcale. Tak, ale to, że jesteś, że wciąż żyjesz, że byłeś tam. No więc właśnie. Lepiej zapomnieć, niczego nie pamiętać.

Tyle różnych złudzeń, tyle słów na marne, na wiatr, tyle spodziewań, planów. Nie idzie o te osobiste, własne, ale takie powszechne, wielkie, te ideały, dla których walczyło się i cierpiało, a co wszystko po tak szybkim czasie, po krótkim okresie euforii — bo odradzający się organizm dawał taką radość życia, żadne inne, pozafizjologiczne przyczyny — ta cała reszta stała się garścią mierzwy, kupą sloganów, niczym. Tak to wygląda z perspektywy blisko już trzydziestu lat. Tak to z tym jest.

Może ja tylko czuję się aż takim sceptykiem, może ja tylko wyczuwam tę gorycz w ustach, gdy o tym myślę. Inni

— czy ja wiem. Szukam usprawiedliwienia dla siebie, mego obecnego życia? Mój własny syn, mój Ernest, mógłby coś na ten temat powiedzieć. I jego niesprawiedliwość dla mnie,

brak wyrozumiałości, gorzej — zwykłego zrozumienia, by- łąby rodzajem zadośćuczynienia czy też kary za coś? Ale za co właściwie? Za co?

Chłopcy z dawnej paczki Ernesta, zwłaszcza taki jeden, Turgieniew, a także drugi, którego już nie ja sam, lecz ktoś z ich grupy nazwał Fidelem, zapewne ze względu na istotnie ludzące podobieństwo do kubańskiego przywódcy, często rozprawiali przy mnie, w mojej obecności na różne tematy obchodzące mnie bezpośrednio. Jeszcze wtedy Ernest mieszkał w pokoiku obok kancelarii przy Stegemanstrasse, a jeśli nawet nie, bo często sypiał u kogoś na mieście po parę tygodni nawet, to jednak miał klucz i te konwenty- kle odbywały się najczęściej u mnie, mimo że protestowałem przeciw tego rodzaju okupowaniu całego lokalu. Przeszkadzali mi pracować po południu, śmiecili, skarżyła się i panna Alis, i sprzątaczką, a nawet dozorczyń.

Raz na przykład było tak: całe "towarzystwo stłoczone w garsonierze Ernesta, ale drzwi do kancelarii i łazienki otwarte na rozcież, więc część łąziła tu i tam; pełno ich było wszędzie. Jakaś dziewczyna — pamiętam, taka w grubych okularach, bardzo w typie sophisticated — prała rajstopy, a może nawet coś więcej z bielizny w łazience, inna. siedząc na parapecie, mimo że było ją widać i z ulicy, i z okien hotelu „Viktoria" naprzeciwko, ściągnęła z siebie sweter

i wygrzewała się na słońcu w samym biustonoszu. Próbowałem zwrócić jej uwagę, ale ona nie odezwała się nawet, nie otworzyła przymkniętych oczu, siedziała nadal nieruchomo. Ignorowała mnie całkowicie. Więc dałem spokój. Stary nudziarzu — pomyślałem o sobie - t^.-o co ci idzie?

Pamiętam, że w jakiejś chwili, a już zmierzchało się, był wieczór, staliśmy w drzwiach między kancelarią a przed- pokojem-poczekalnią — ja i chłopak nazwany Turgieniewem. Miał, jak sądzę, tyle lat mniej więcej co Ernest, zatem wtedy, jakieś dwa lata temu, najwyżej dwadzieścia dwa, może trzy, wyglądał jednak ze swoją brodą, w której jedno pasemko było siwe, i w grubych szklach krótkowidza, pochylony i z krzywym, długim nosem upodabniającym go do ptaka, nieokreślenie — mógł sobie, tak na oko, liczyć nawet czterdzieści.

Rozmawiałem z nim nie pierwszy raz. Był inteligentny, bystry i oczytany i rozmowa z nim sprawiała mi czasami nawet pewną przyjemność, mimo że potrafił też być wręcz przykry, bezczelny. Mądrzył się, zawsze usiłował mieć rację.

Szedłem w stronę małej kuchenki za przedpokojem, by sobie nabrać wody, bo nadeszła pora na proszki, które wtedy zażywałem, i zatrzymałem się na progu, słuchając tyrady Turgieniewa. Miał wyjątkowo w tej chwili złośliwą minę, a ja przez przekorę próbowałem sprzeciwić się jakiemuś jego karkołomnemu twierdzeniu. Drażniła mnie pewność siebie tego młokosa z dwubarwną, niechlujną brodą i w okularach z grubego szkła, lecz w drucianych oprawkach, prowokującego mnie przy każdej okazji. Poza tym nadymili i naśmiecili w całym lokalu, i na dobitkę to pranie w łazience babskich łachów — wszystko to zeżliło mnie. Byłem podenerwowany i zaczepny. Nie pamiętam teraz, czy Ernest był w tej gromadzie, czy nie. Pewnie był i potem wyszedł. Tak mi się coś zdaje. W każdym razie głosu wtedy nie zabierał.

Poszło o Moravię. Bo w którymś z naszych czasopism ukazała się wówczas jego rozmowa z Mullerem z amerykańskiego ośrodka kosmonautycznego w Houston. Ja też nie cenię zbyt wiele Moravii, a ton, jakiego użył w wywiadzie z Mullerem, mógł na pewno zirytować. Ktoś nazwał Morawę Maupassantem dla ubogich i chyba miał rację. Aha — to określenie chirurga, mego znajomego z Monachium, Hermanna B., prawda. Byliśmy razem we trójkę, z jego żoną Helgą, na filmie Pogarda osnutym na powieści właśnie tego Moravii. Reżyserował znany Francuz z nowój fali, Godard. Jeśli idzie o mnie, razi mnie u tego popularnego włoskiego powieściopisarza jego drobnoburżuazyjna mentalność. Odzywają się we mnie dawne urazy, jeszcze z okresu młodości. Drobnomieszczańska mentalność — czyż istniała wówczas gorsza obelga?

Teraz jednak wystąpiłem na przekór Turgieniewowi, który uznał Moravię wręcz za bezczelnego kabotyna, produkt — jak się wyraził ze smakiem — zbutwiałej, gnijącej, zatęchłej i jakiejś tam jeszcze, rzecz prosta — mieszczańskiej mentalności, epigona pewnej — ■ Turgieniew do mnie bezpośrednio się zwrócił, zatrzymując idącego do kuchenki po wodę — znanej panu z autopsji jako prawnikowi formacji społecznej skazanej na wymarcie, na zagładę, im prędzej, tym lepiej ze względów wręcz higieniczno-aseptycznych, tak, tak, a w dodatku jest to zwykły grafoman i pornograf, szczególnie obleśny i obrzydliwy. — Plwocina! — powiedział patrząc na mnie.

Więc gdy zawiesił głos, a stałem wciąż jeszcze ze szklanką w rękę — napomknąłem coś o niewątpliwym wkładzie Moravii w walkę z faszyzmem, czego zresztą nie byłem aż tak bardzo pewien. Właściwie nie miałem pojęcia, co robił, a nawet gdzie przebywał w tamtym okresie autor Pogardy. Może na emigracji?

Turgieniew parsknął zjadliwie, zaśmiał się diabolicznie w swoim mniemaniu. Inni przerwali rozmowę i czekali, co dalej. My obaj naprzeciw siebie, ciągle w tych drzwiach.

Ruch oporu, ruch oporu! A co to takiego, może ja mu wytłumaczę, jeśli łaska? Bo on nie wie. Różnie można o tym sądzić. Ci, co żyją, teraz z dużym smakiem opowiadają o sobie, jak to cierpieli okropnie. I z jakim rezultatem, co? Co komu I tego, że pan — żeby wziąć

przykład z bliska — cierpiał? A w ogóle cierpienie to żadna racja, żaden sukces i nie ma czym się chwalić. Jeśli idzie o Morawię, to wcale nie cierpiał, a jeżeli, to z własnej winy. I dlatego on, Turgieniew, powtarza: ten Moravia to jest zwyczajny śmieć. Pan jest innego zdania?

Wtedy wszyscy, ile ich było, pełne dwa pokoje plus dziewczyna w okularach w łazience wciąż tam piorąca jakieś łachy — zaczęli mi się przyglądać ubawieni. Dziewczyny naj

wyraźniej mi współczuły. Naiwny bałwan, a może raczej stary cynik. Raczej chyba to drugie — tak mnie oceniały między sobą.

Turgieniew z tryumfującą miną dał mi skróconą, pogładową lekcję prawidłowego politycznego myślenia. Nie, żeby mnie czegoś nauczyć, na to za późno, na to on nie liczy, na to od dawna machnął ręką, a poza tym, po prawdzie, na tym mu nie zależy. Wyraził się nawet na marginesie tej tyrady, by nie było żadnych wątpliwości, że ja jestem z gatunku wraków o nikłej wartości społecznej, nie mówiąc już o kondycji ogólnej — tu zmierzył mnie od stóp do głowy z wyraźnym politowaniem, a któraś z dziewcząt ze współczuciem westchnęła bardzo głośno — i że on, Turgieniew, toleruje mnie wyłącznie ze względu na to, ostatecznie fakt pozostaje faktem, aczkolwiek smutnym faktem, nie da się tego ukryć, iż niestety jestem ojcem jego przyjaciela Ernesta, a to się jednak jakoś liczy.

Otóż Ernest w tamtym czasie odgrywał istotnie u nich rolę kogoś w rodzaju przywódcy. Zaś ja — wedle Turgieniewa — byłem osobnikiem kubek w kubek podobnym do Moravii. Jego umysłowość, pożałuj Boże, jego moralność, jego etyka itede — czy ja przynajmniej zdaję sobie dostatecznie sprawę z tego, kim jestem? Czy ja nie orientuję się, że jestem produktem wczorajszym, a więc zjeżdżałem, a przeto śmiesznym wręcz niebywale. Jak wczorajszy kotlet na przykład, co? Czuć z lekka, mimo że leżał w lodówce. Nadpsute mięsko, czy nie tak? Jajeczko takie, co to — ciut-ciut czujne.

Zdjął okulary i wycierał szkła szmateczką.

Dziewczyny siedzące na podłodze, wszystkie bez wyjątku w dżinsach, tym stroju jednoczącym młodzież niemal całego świata, i w grubych swetrach, golfach, też taka moda — przyglądały mi się z nie ukrywaniem współczuciem. Biedny stary rupieć! — tak sobie zapewne myślały. Ta, co skończyła właśnie pranie w łazience, wyszła stamtąd, wycierając ręce w mój ręcznik. Poprawiała grube szkła patrząc na mnie z ciekawością, jakby mnie widziała po raz pierwszy.

Uzupełnił moją charakterystykę, dokonując ostatecznej oceny, jakby podsumowania, inny młodzieniec, zwany Fidel. Fritz — powiedział, mając na myśli Turgieniewa — niedostatecznie precyzyjnie określił, o co tu głównie idzie.

Więc on, który nie lubi owijać niczego w bawełnę, doda od siebie I dodał.

Któraś z dziewczyn, odrzuciwszy długie jasne włosy na ramię i plecy, obróciła się bokiem, leżąc na podłodze uniosła się nieco i pogładziła mnie pieszczotliwie po nodze, zapewne w ataku nagłej litości. Więc i ja ojcowsko, nachyliwszy się, pogłaskałem ją po głowie. Miała bardzo mile w dotyku włosy, jak jedwab, więc ponowiłem po chwili mój gest. głaskania, mimo że Fidel nadal perorował, demaskując mnie do reszty Pogładzona dziewczyna uniosła głowę, zerknęła ku mnie w górę i filuternie zmrużyła jedno oko. Miało to bez wątpienia sporo wdzięku

Fidel dorzucił swoje, że on sam, ja wiem chyba, co on myśli o faszyzmie, i tu nie może być żadnych wątpliwości, gdy idzie o takich gagatków jak Moravia i inni podobni mu socjaldemokratyczni filuci i liberałowie różnej maści, a także — tu wymownie spojrzął mi w oczy czyniąc krótką pauzę w oczekiwaniu na aplauz, a może licząc, że mu na to odpowiem, lecz że milczałem, on dalej — także i komuniści — dodał z naciskiem i powagą, a jakby i żalem — tak. jest, nie przesłyszałem się, może w razie czego powtórzyć wyraźniej, i ci nasi komuniści również, ci nazywający się komunistami, podszywający się pod to miano, nasi tutejsi, a także tamci, w DDR, tamci tym bardziej, bo są przy władzy, no i co z tego? Niechże ja mu powiem, do czego doprowadzili, do NEP-u, no nie? Więc on powie jedno tylko i ci, i tamci, cała ta banda filutów porastających w tłuszcz, tyjących, przelewających się od sadła, nie wyzbywając się jednocześnie pięknych słów o równości itede, braterstwie itede — pęknać można ze śmiechu, czy ja pękam, bo on pęka — ich by należało już dawno zlikwidować, i to w znaczeniu dosłownym, nie przenośnym, i on, Fidel, nie może wybaczyć

takiemu Mussoliniemu, który dużo gadał, puszył się, a jak co do czego, to wiadomo — błaga, lipa, bańka mydlana — że u siebie, gdy mógł jeszcze, nie dokonał tego, że nie odwalił czarnej roboty, nie zlikwidował całej liberalnej zgnilizny. A przecież mógł. Nie uniknąłby, to jasne, egzekucji, jak się to stało rzeczywiście, i dobrze się stało, należało tak wszystkich bez wyjątku, nie byłoby teraz śmiesznej komedii sądów i obrzydliwej roli, jaką niektórzy odgrywają przy tej okazji, napełniając sobie kabzę

mm

jako obrońcy tych tam, no — to chyba pan już dorzuci od siebie, jako specjalista — kogo właściwie.

I dalej, gdy inni, a także ja, milczeliśmy:

Mussolini — śmieszny, nadęty karzeł. Fagas Hitlera. Ale ten przynajmniej jak coś gadał, to i robił. Cokolwiek by powiedzieć o nim, Tamerlan, Dżyngis-chań, psychopata, degenerat. Teraz łatwo się mądrzyć. Trzeba było wtedy, dawniej. Tacy dlatego zostali stworzeni przez historię, że istniało na nich zapotrzebowanie. Po to, by uprzętać padlinę i zagryzać to, co jeszcze nie wyzdychało. W starożytnym Egipcie podobne funkcje pełniły, jak wiadomo, krokodyle oczyszczające Nil z padliny i innych nieczystości, koty, które łapały myszy, niektóre ptaki trupojady i gadojady, bociany oraz czaple, a także żurawie. Chyba wiem, słyszałem coś o tym. I dlatego mądrzy kapłani uznali te zwierzęta za nietykalne, a więc święte. On sam nabył niegdyś w jakimś sklepie ze starzyzną mumię niewielkiego, co prawda, krokodyła. Postawił ją na swym biurku, lecz przy kolejnej przeprowadzce, w zeszłym roku, ktoś mu ją zwędził. Podejrzewa tragarzy, ale nie jest pewien. Może posługaczka w nowym mieszkaniu, w którym zresztą również już obecnie nie mieszka. Czy ja przypadkiem nie zechciałbym go poinformować, gdzie mógłby coś takiego nabyć, bo tam, gdzie kupował poprzedniego, powiedziano mu, iż był to egzemplarz unikalny i że oni nie spodziewają się takiej drugiej okazji.

I tak dalej, i tak dalej — a niektórzy słuchali go z powagą, tylko część, która się znudziła, bo ta gadanina za długo już trwała, szeptała między sobą. Potem nawet jedna z dziewcząt zaczęła nucić.

— I teraz — oświadczył wówczas Turgieniew — mamy pełno takiej nie uprzątniętej mierzwy, takiej rozkładającej się padliny. Więcej niż kiedykolwiek. Faszyści nawet tego nie potrafili zrobić konsekwentnie. Szli na kompromisy. Spod miotły wymykały im się różne takie nie domiecione, nie doduszone. Prywata. Każdy miał swojego drania i ochraniał go. Nawet Eichmann miał podobno ciotkę Żydówkę. I wysłał ją do Szwajcarii. I tak dalej. Nieboszczyk Mann. Obydwaj Mannowie. Pozwolili im wyjechać, wymknąć się, zamiast — pan pojmuje, o czym ja myślę. Który z nich gorszy — Tomasz czy Henryk? Niech pan zgadnie? No, no...

Chwilka dyskusji ogólnej, nawet dość żywej. Większość orzekła, że chyba Tomasz. Heinrich mniej ważny, więc i mniej groźny, mimo że bardziej radykalny. Jeden zresztą wart drugiego. Resztki liberałów. Zaraza.

I znów podjął Fidel. Ta sama melodia: gdyby Hitler, jeśliby Mussolini — i tak dalej. Oświadczył wstając na całą wysokość, a ma chyba co najmniej metr dziewięćdziesiąt, tylko trzyma się pochyło: — Jeden tylko Reinhard Heydrich, tak, ten rozumiał, ale zginął za wcześnie. On jeden był zdecydowany na wszystko. — Ba, gdyby dłużej żył, być może — ktoś westchnął. Jedna z dziewcząt w kącie, siedząca w kucki pod kaloryferem. — Nogi mi ścierpły — posuń się ociupinę, Fritz — powiedziała. — Gdyby Hitler i tacy inni różni zrobili to, do czego przeznaczyła ich historia i do czego jedynie byli zdolni — nie byłoby dziś tylu pytań bez odpowiedzi, tylu problemów do rozwiązania. Nie mielibyśmy tak zatrutej atmosfery. Czy nie tak, Fritz?

Tamten podszedł do okna, wychylił się. Stał tak chwilę, potem odwrócił się do nas, powiedział, poprawiając okulary: — Ren cuchnie. Rzeka śmierci. Nasza wielka rzeka gnije. Aż tutaj czuć. Czy zdajecie sobie sprawę, co nas wkrótce czeka? Asfiksja.

Innym razem, też na Stegemanstrasse, również cała grupa niemal w komplecie. Zbierałem swoje papiery z biurka, zamknąłem szuflady na klucz, to było konieczne, gdyż potrafili grzebać bezceremonialnie w moich notatkach, pismach, układać z książek, z roczników

rodzaj ław i na nich się rozsiadać, różne takie rzeczy — i wtedy któryś mnie zatrzymał, zagadnął, chyba znów Turgieniew. Ten miał do mnie cierpliwość. Ciągłe go korciło, żeby mnie nauczać, karcić, korygować. Inni, a już szczególnie taki rudawy, piegowaty brodac, wielki dryblas, Fred, odnosili się do mnie lekceważąco w sposób wręcz prowokujący. Fred nie zauważał mnie. Jakbym w ogóle nie istniał. Jakby mnie w pokoju nie było. W mojej własnej kancelarii! Gdy stałem w drzwiach, a on przechodził, to nie starał się mnie wyminąć, ale wchodził na mnie, spychał z drogi całym sobą, piersiami, torsem, brzuchem, nie posługując się rękami, jak taran. Nie kąpał się chyba nigdy, więc cuchnął. Chadzał boso, nóg nie mył również, jak się zdaje, od wiosny do jesieni. Nosił kudły spadające na plecy, wielką rozczochraną brodę oraz wąsy. Był niezawodnie malowniczy i byłby na

wet interesujący jako typ, ale że śmierdział, więc go uni-kałem. Ktoś mi mówił, że Fred ma dopiero dziewiętnaście lat. Wydawało mi się to mało prawdopodobne, gdyż z drugiej strony dowiedziałem się, że jest jakoby ojcem trojga dzieci, że je zostawił w jakiejś komunie koło Heidelbergu, skąd go wyrzucono, i że ma za sobą już wyrok z zawieszeniem. Pobicie i opór władzy, jak się zdaje. Facet ten potrafił w obecności innych, nie wyłączając dziewcząt, publicznie wyjąć genitalia i przyglądać im się w świetle dnia z troską czy zadumą, przerzucając je z ręki do ręki. Nie zwykł również zamykać za sobą drzwi do łazienki, gdzie załatwiał swoją potrzebę, nie przerywając rozmowy z kimś w pokoju. Nie spuszczał po sobie wody. Te jego maniery znachodziły, jak sędzę, ogólne uznanie, gdyż nikt mu nigdy nie zwrócił najmniejszej uwagi.

Teraz, po tym, co usłyszał od Turgieniewa — znów na mój temat — Fred uniósł się z podłogi, drapiąc się pod pachami, przestał czochrać się jakby zaskoczony czy bardzo czymś zdziwiony i pół siedząc, przyglądał mi się przez dłuższą chwilę, marszcząc brwi. Potem pogroził mi w milczeniu palcem, położył się na wznak, a wtedy jedna z dziewcząt głośno westchnęła.

Bawiła mnie ta moja rola pozostawiania nieustannie we własnym mieszkaniu na cenzurowanym. Coś absurdalnie śmiesznego, zwłaszcza łącząca się z tym powaga. Ernest, jeśli i był obecny, przeważnie nie odzywał się. Wydawało mi się, że lekceważy w gruncie rzeczy i Turgieniewa, i innych. Może z wyjątkiem jednego Fidela. Ten był chyba rodzajem ich guru. Starszy od reszty, weteran aż trzech rozwiązanych komun, były beatnik, były hippis, eks-bramin, teraz wędrowny anachoreta i asceta, nie noszący niczego pod parą podartych dżinsów, które mu zresztą podarował Ernest, i jakiejś bluzy otwartej na piersiach, bez guzików, do tego łańcuszek własnej roboty, zrobiony z drutu do opakowań, i medalion z Ozyrysem na nagim gorsie. Chudy, z gorejącymi oczyma. Zachrypli, czasami odzywający się basem, częściej dyszkantem. Podejrzywałem go o narkomanię, i chyba słusznie. Złapałem kilku z nich na paleniu papierosów z marihuaną. Gdzieś tak jesienią 1969 Fidel zniknął mi z oczu.

— A zatem — to do mnie znów Turgieniew, niestrudzony dyskutant, gaduła, facecjonista nie bez pewnego wdzięku nawet — zgodziliśmy się na to, że faszyzm spełniał rolę ase-nizatora, likwidatora, czegoś w tym stylu, krokodyla na przykład, w wymiarze społecznym. Rzecz jasna — na tamtym etapie tylko, i zgódźmy się — nie spełnił nadziei. Czy nie tak obaj wspólnie ustaliliśmy, panie mecenasie?

Pytanie retoryczne. Tym razem jednak, jak się zdaje, oczekiwano ode mnie deklaracji na tak lub nie Deklaracji niedwuznacznej. Jakiej wypadało oczekiwać po mężczyźnie, którym bądź co bądź byłem. Gdybym się skusił na podjęcie rękawicy, gdybym się dał nabrać — a oni tylko na to czekali — złapaliby mnie na gorącym uczynku; jeślibym przytaknął, dałbym dowód — tak by to skomentowali na pewno — iż sprzyjam nazim, że ich bronię; jeślibym powiedział nie, oburzył się — jeszcze byłoby gorzej: liberał w stylu najbardziej godnym pogardy, zgniłek, nawet tak prostej sprawy nie potrafił zrozumieć, na nic się zdecydować. Mieliby mnie w rękę. Siedział niby to w łagrze — a o tym wiedzieli i trudno im było zaprzeczyć faktom, mimo iż chrząkali niekiedy, gdy rozmowa zeszała na ten temat — był albo nie był, a jeśli i był, no to co z tego, skoro jest tutaj, żywy i cały, wyszedł, gdy inni nie, zatem — co mamy o tym myśleć? Siedział, ale jednak, co tu gadać, uległ fascynacji faszyzmem. Nie on jeden zresztą. To się nazywało w ich młodzieżowym slangu — wydrażeniem od wewnątrz. Zostałem zatem wydrażony jak niemal wszyscy, których tak czy inaczej dotknął bezpośrednio czarny anioł ze znakiem swastyki na czole. Dłoń trędowatego. Uciekasz, umykasz jak mysz, na nic. Wszystki na nic! Lata płyną, a tamto tkwi. Jakaś niepojęta, dziwaczna tęsknota. Za czym? Rodzaj — to określenie Fidela — psychicznego

wymóżdżenia. Ofiara zakochana w swym kacie, ludzka rzecz, czemu nie. Liii Marlene. W wysokich butach, ze szpicrutą, którą, pogwizdując jakiś marsz, smaga się po cholewach. Grzywka na brwiach a la wamp z UFA filmów. Zauroczenie. Na klęczkach, na brzuchu. Czołgać się. Całować buty. A na koniec najwyższa rozkosz dotyk zimnej lufy na karku. Nijako potem, obrzydliwie, płasko i smutno. Ale jest coś gorszego w panu — w takich jak pan, w tych, co to w kacetach, a teraz żywi, cali i czasami w nocy do nich wraca — ta, no pan wie już, mecenasie — właśnie, właśnie, nostalgia! nostalgia' — Liii Marlene. Coś jeszcze obrzydlivszego.

I Mianowicie to, że w swym tchórzostwie staram się jakoby za wszelką cenę zatrzeć za sobą ślady. No i oni, młodzi, więc niemal jasnovidzący, mnie na tym przyłapali, przygwoździli i teraz mają mnie, mocno trzymają w rękę, mimo iż im na tym — niechże uwierzę — nic a nic nie zależy. Czegóż się można ostatecznie spodziewać po obrońcy na- zich, różnych zasłużonych Sturmbannführerów i Standartenführerów! Czy to jasne? Niewątpliwie tak. A zatem cała ta gadanina, cały ten mętny wywód dążył do tego jednego! O to im szło cały czas! Tego mi jednego nie mogli darować! Wybaczyli mi łaskawie i naganny, bur- Izuazyjny tryb życia, i mieszczańską frazeologię, tamtego ^jednego — nigdy. Tutaj był pogrzebany przysłowiowy pies. Brednie. Groźne brednie — myślałem dotknięty do żywego. Teraz mi dopiero dopiekli. To wszystko przedtem — fraszka, banialuki. To jedno boli. Bywało, bawiły mnie czasami te ich na poły sztubackie bufonady, to mądrzenie się bezczelnego, ale z niejakim wdziękiem, dowcipnego nawet Turgieniewa, te pomrukiwania Fidela, a nawet groźne spojrzenia i bulgotania w gardle grubego Freda, gdybyż tylko nie było go tak czuć, gdybyż zechciał się raz chociaż wykapać, byłby do zniesienia, nawet zabawny — tym razem udało się jednak tym gówniarzom dotknąć mnie do żywego. Z trudem powstrzymywałem się, żeby ich nie powyrzucać, jedno po drugim, nie wyłączając dziewcząt, chwytając po kolei za kark i strącając kopniakami ze schodów. Kancelaria mieści się na pierwszym piętrze. Złatywaliby z łomotem, koziołkując, aż zatrzymaliby się na samym dole. Tak to sobie w narastającym zdenerwowaniu ze smakiem wyobrazałem.

Potem, po jakimś czasie, zastanawiałem się, czy ja, czy my, moi rówieśnicy z końca lat dwudziestych i początku trzydziestych, mieliśmy z nimi coś wspólnego. Jakieś podobieństwa odruchów, reakcji z tymi obecnymi kontestatorami, jak ich nazywają. Maksymalizm posunięty czasami do okrucieństwa, tak, zapewne. Pamiętam, że, bywało, licytowaliśmy się między sobą, który z nas jest bezwzględniejszy, który doszczętniej wyzbył się ostatnich pozostałości mieszczańskiego sentymentalizmu. Mówiliśmy: czasy surowe, walka w warunkach coraz trudniejszych, musimy być zahartowani, zdecydowani na wszystko. Żadnych słabostek. No i, niestety, te maksymy, zaszczepiane bez dostatecznego politycznego wyrobienia, trafiało się i tak — stawały się same w sobie zasadą i prowadziły do zauroczenia siłą, tak że z mojej grupy ówczesnej, tej, która miała przez dwa- - trzy lata miejsce zbiórki, zabaw i mityngów na terenie kolejowych magazynów, z gromady liczącej kilkunastu chłopaków i dwie dziewczyny, aż trzech, o ile wiem, a może było ich później i więcej — wylądowało w szeregach SA. Również dwu moich klientów, byłych SA-manów, zbrodniarzy wojennych, których obrony podjąłem się, startowało zrazu z Czerwonego Frontu. Niebezpieczny więc bywa kult metod, gdy jednocześnie sam cel może nie być aż tak niezmienny.

Ta bezwzględność i surowość została w nas — tych co wytrwali, nie tylko w metodach, lecz i w maksymach — poprzez cały okres więzień i obozów. Wielokrotnie o tym mawiało się i w Gross Rosen, i później w Dachau. I na czas ^pobytu w obozie, i na potem. Gdy zwyciężymy.

W Dachau, kiedy na dwa lata mniej więcej przed końcem wojny większość ważniejszych funkcji objęli nasi ludzie, kiedy udało się wreszcie wyeliminować najgorszy element zielonych winkłów, kryminalistów, którzy uprzednio zarządzili dosłownie wszystkim — od najpoważniejszej funkcji Lageralteste, poprzez blokowych aż do sztubendinstów, a już zwłaszcza kapo różnych kategorii i całej ekipy kuchni, magazynów, transportu — zapanował odmienny ład. Uważaliśmy, my, stara gwardia, stare numery — że należy mimo wszystko, co mówią inni, utrzymać w obozie dyscyplinę bardzo surową. Raz, żeby nie narazić się w oczach nadpanów, esesmanów, czynnika nadrzędnego lagru, na zarzut, że nasza bardziej humanitarna władza, z trudem uzyskana i tolerowana, prowadzi niechybnie do anarchii. Wówczas mógł nam grozić powrót do władzy zielonych i ich nieludzki odwet Nie daj Boże czegoś takiego. Stracilibyśmy wszystko, co z niemałym trudem udało nam się po

latach walki uzyskać. A zatem zasada: bezlitośnie traktować tych, którzy sobie wyobrażają, że skoro u władzy jesteśmy my, polityczni, lewica, komuniści zwłaszcza, to można robić co się komu chce. Że jeśli bardziej po ludzku — to całkowita anarchia. Że zatem wolno — spóźniać się na apele, mar- kierować w robocie, lekceważyć przepisy i przykazania obozowe. To jedno. I z tym godzili się nawet ci, którzy nie nale-

oatEp żeli ściśle do naszej czołówki. Nie jak my — KPD-owcy,
i r lecz różni inni. Wśród nich sporo cudzoziemców, zwłaszcza
m lekarzy, sanitariuszy, sekretarzy w szrajbsztubach. Holen-
sp drów, Polaków, Czechów. Woleliby szerszą liberalizację, to
M pewne, lecz przekonaliśmy ich, że nie można dla jakichś nie-
w realnych ideałów, choćby i najpiękniejszych, ryzykować
si utratę tego, cośmy zdobyli. My, nie oni. Ich dopuściliśmy
rr tylko do współpracy. Powiedzieliśmy im, że nasz blokowy
ś¹ z takiego a takiego bloku bije, to fakt. Zbadaliśmy dokład-
Z nie sprawę, przesłuchaliśmy świadków. Zgoda. Tak w isto-
fr cie było. Ale widzicie, kochani, on bije, lecz nie zabija, zaś
f jego poprzednik, kryminalista Hans, pamiętacie go przecież
— zabijał. A ten nie. Jeśli przestanie bić niezdyscyplinowanych, szczególnie w obecności
esesmanów, gdy tamci widzą, kiedy patrzą — to go wyrzuca, a na jego miejsce wró- ' ci
bandzior w typie Hansa. Pamiętacie chyba, ile nas kosz
towało, żeby tego drania skompromitować w oczach komendanta obozu. No więc. I na takie
dictum tamci umilkli.

Inna rzecz — to tolerancja dla słabych. Tu powstała te
oria, z którą różni liberałowie, szczególnie kilku lekarzy, inteligencji w szrajbsztubach i tak
dalej, w żaden sposób nie mogli się zgodzić. I ja miewałem wątpliwości.
Otóż byli tacy, najbardziej doświadczeni weterani naszego zgrupowania, naszej starej
gwardii, Niemcy, lecz i Hiszpanie, towarzysze z wojny domowej, którzy hołdowali na-
stępującej zasadzie: życie w obozie jest twarde, okrutne i tego nie potrafimy zmienić,
możemy je najwyżej złagodzić. Ale tylko do pewnych granic. Otóż stawiamy pytanie: kto
winien się w pierwszym rzędzie uratować? Odpowiedź brzmi: nasi ludzie, rzecz jasna, ci,
którzy będą na potem niezbędni, potrzebni, nieodzowni — komuniści i sympatycy też, lecz z
wielkiej, bezimiennej masy więźniów tylko i przede wszystkim ci, którzy fizycznie
wytrzymają, zahartowani. Inni — trudno. Co robić. Mięczaki, maminsynki, słabeusze —
muszą zginąć. Zasada podobna jak u wędrownych ptaków: te, które nie mają dość siły, by
podjąć daleki lot aż do Egiptu czy Tunisu — giną. U zwierząt matka porzuca niemowlę, gdy
ono nie daje gwarancji utrzymania się przy życiu. Wątle, nieudane, chorowite. Kiedy się
przekona, iż nie potrafi go uratować swą opieką, porzuca je. U niektórych ptaków zdarza się
nawet — że wyrzuca z gniazda. Pisklęta za słabe, żeby żyć. Zasada w normalnych warun-
kach życia nieludzka — w obozowych, całkowicie odmiennych, w tym anty-życiu, anty-
społeczeństwie, gdzie rządzą anty-prawa, jest nieunikniona. Musimy i my, którzy zobo-
wiązaliśmy się w sposób jedynie słuszny doprowadzić do chwili wyzwolenia jak największą
ilość więźniów, być bezlitośni. Nie będziemy narażać całości dla jednostek, których i tak nie
ocalimy. Gdy lekarz będzie miał wybór: ratować nieuleczalnego — a w naszych warunkach
nieuleczalnych jest większość — czy zachować z trudem uzyskany lek na inny, racjonalnie
bardziej uzasadniony wypadek, nie zmarnuje tego środka tylko i wyłącznie dla zasady, że nie
ma prawa odmówić pomocy żadnemu potrzebującemu. Prawo dżungli? Na pewno. Ale
żyjemy w dżungli. Ohyda dżungli? Uroda dżungli?

Byłem świadkiem dyskusji z dwoma lekarzami z kran- kenlagru, z rewiru, jak się to u nas
nazywało. Tamci dwaj — jeden Niemiec, drugi, o ile pamiętam, Czech — stali na
stanowisku, że lekarz nie może dokonywać takiego nieludzkiego wyboru. Nasi ludzie, wśród
nich nasz nestor, stary, długoletni więzień — gdzie on nie był, w ilu więzieniach, spotkałem
go i poznałem w Moabicy w którym roku? — ba, chyba jeszcze w trzydziestym szóstym! —
Michel, ten, który potem był tym trzecim obok Hermanna Hoppe i mnie, którzy pewnego
wiosennego dnia wyruszyli wspólnie z obozu tuż po jego uwolnieniu, i który gdzieś się nam

później po drodze zagubił, starali się tamtym, liberałom, wytłumaczyć, tak jak się przekonuje dzieci, że należy zażyć lekarstwo, mimo iż smakuje gorzko.

No i gdyśmy tak szli we trzech — ja, Hermann i stary Michel — znów się na te tematy zgadało, teraz już w zastosowaniu zasad przeniesionych z surowej więziennie-obo- zowej praktyki do życia powojennego, cywilnego. Cóż, kiedy właśnie ta cywilność była niezbyt sprecyzowana. Czy nie czeka nas dalsza walka? Uwolnili nas Amerykanie. Jakże będą te pokonane Niemcy okupowane przez nich? Przez imperialistów, bądź co bądź. I nasza rola w tym wszystkim?

Hermann kiwał głową, słuchając wywodów starego Mi- chela, ale myślał o domu. W lagrze był kapem na ogrodach. Nie chciał, mimo że go wciągano, dać się namówić na bardziej odpowiedzialną funkcję. Ja tym mniej. Ale ja byłem młodszy, nie miałem ani takiego stażu, ani autoryte-
t. śni

tu. Pozostawałem w cieniu. Komando „Ogród” to była, pod koniec wojny zwłaszcza, wilegiatura, eldorado, pobyt na riwierze. Kogo więc tam, na tę riwierę kierować? Szrajb-sztuba miała swoich protegowanych — jakiś słabeusz, profesor z Pragi, jakiś inżynier z Hagi czy Amsterdamu, świeżo wyszedł z rewiru, lekarz go popiera, i nie tylko on. A znów my, nasz sztab — swoich. Hermann przygarniał, kogo się dało. Ale liczba zatrudnionych tam była ograniczona.

Więc w drodze z Dachau na południe, w tym pierwszym tygodniu po odzyskaniu wolności, Hermann myślał zapewne, znałem go, więc wiem, wyłącznie o domu, żonie, córce. Nie powiedział, ale na pewno pomyślał sobie, słuchając Michela: gadaj sobie zdrów, a ja mam na razie dość. Czas na trochę tej prywaty, którą pomiatasz, łatwo ci mówić, nikogo nie masz, zdołałeś zapomnieć, jak wygląda życie poza celą i barakiem w lagrze, poza komórką partyjną, ale ja chcę trochę pożyć. Tak na pewno sobie myślał.

Szliśmy i gadali.

Michel w swoim żywiole. Może perorować bez przerwy, bez wytchnienia, jak na wiecu, podczas gdy w lagrze bywały jednak pauzy w tym zajęciu. Ostatnio ulokowaliśmy go jako pflęgra w rewirze. Lekarze nie lubili go, poza jednym chirurgiem. Był dla całej reszty zanadto surowy, bezkompromisowy, dogmatyczny, wymagający. Patrzył wszystkim na palce. Kontrolował. Swoją dodatkową porcję sanitariusza oddawał innym. Wymagał, żeby tak wszyscy. No i żadnych prywatnych protekcji. Taka specjalna opieka należała się, wedle niego, dopiero na zlecenie kolektywu. Nie zawsze mu się udawało tamtych przekonać. Więc dochodziło do starć.

Teraz na temat odpowiedzialności za to, co zaszło. Że surowa kara powinna spotkać cały bez wyjątku naród niemiecki. Nawet nas, komunistów. Nawet ofiary hitleryzmu.

Walczyliśmy, to fakt, ale przegraliśmy i była w tym również po części i nasza wina. A ponadto — nie może być wyjątków ani żadnych ulg. Jak w obozie. Żadnych, absolutnie, i kropka. Stalin, sam generalissimus Stalin — słyszeliście przecież — powiedział, orzekł wyraźnie, że wszyscy Niemcy muszą odpokutować za zbrodnie. I, żeby się słuszna kara wypełniła w sposób należyty, żeby cały naród zapamiętał raz na zawsze, nie wystarczy fakt, iż zburzono nam miasta i pod gruzami leży moc nie pogrzebanych — czujecie, mówił stając i pociągając nosem, gdyśmy mijali jakąś wioskę, która jeszcze dymiała, jak śmierdzą przysmażone zwłoki, mięso z różną? Istotnie, było czuć. Więc — ciągnął dalej — nie wystarczą ani te ruiny i ofiary, o nich można zapomnieć, jeśli nie straci się kogoś bliskiego. I, nie wystarczy, iż czeka nas okupacja i głód. Nie spotka on najbardziej winnych, kanalia jak zawsze wypłynie. Pamiętacie, jak było po tamtej wojnie? Cierpieć będą najbiedniejsi, póki się wszystko do gruntu nie zmieni. Do tego, żeby nasz naród zapamiętał, żeby wiedziały jeszcze nasze wnuki, czym to smakuje, niezbędne jest, żeby niemiecki grossbauer, mieszcuch, zaznał we własnym domu okrucieństwa okupacji, smaku klęski. Trzeba, żeby przeciwnik, obcy żołnierz, rabuś wlał mu do własnego mieszkania, do sypialni, rozumiecie? Nie żeby oglądał to przez okno, chyłkiem odsunawszy firaneczkę, jak u sąsiada, że może do niego nie trafią, ominą, zapomną. Nie! Mało, mało, mało! Trzeba, ja wam powiadam, towarzysze, żeby obcy żołdak wkroczył do jego sypialni, do jego spiżarni, żeby splądrował mu szafę i rozpruł bety, poduchy i pierzyny, tak, tak, tak! Żeby mu wybebeszył jego święte mebelki, i kiedy jedni przytrzymują faceta pod pachy i zatykają mu gębę, żeby się zanadto nie wydzierał, drudzy na jego oczach, w jego przytomności, żeby gwałcili mu po kolei — żonę, a także córeczki od najstarszej do najmłodszej, tej jeszcze nieletniej, tak jest, towarzysze, bo o tym się pamięta aż do śmierci, tego się nigdy nie zapomina, i to jest jedyny sposób, by naród, który uwierzył w swojej masie drańskim obietnicom i temu, że mu wszystko wolno, że jest pierwszym na całym świecie, obojętne, za jaką cenę, który splamił się tylu zbrodniami, na zawsze popamiętał, jak smakuje

odwet! Powiedzcież mi, proszę, gdzie się podziało tych blisko dziesięć milionów naszych, którzy głosowali na komunistyczną listę tuż przed rokiem 1933? Co? Ilu z nich zginęło, ilu jak my trafiło do łagrów, ilu z tych, co trafili do więzień i łagrów, wytrzymało tę twardą, lecz zdrową szkołę i nie zmiękło, nie oklapło, nic poszło na kompromisy, co? Jaki procent z tej dziesięćmilionowej masy? Trzy? Może cztery? A cała reszta — gdzie? W Wehrmachcie. Dobrze. Że musieli. To czemu potem nie dezerterowali masowo przy pierwszej okazji? Ilu to zrobiło? I kiedy. Mówię wam, żeby cały naród zrozu

w
SI
ir &
Z t
FI 1

miał, pojął, na zawsze zapamiętał — trzeba go nauczać. Rację, stokrotnie rację miał towarzysz Stalin. On jedei to należycie ocenił.

Tryskając śliną pomiędzy rzadkich zębów, chudy; zarosnięty, Michel wyglądał niemal jak derwisz. Zataczając się, czepiając się nas, dysząc, wymachiwał ramionami przystawał, szedł dalej ciągniony przez nas pod ręce.

Mijające nas wozy, pełne amerykańskich żołnierzy, osypywały nas kurzem. Kaszłaliśmy. Tamci na nasz widok, a szczególnie Michela, coś wykrzykiwali, unosząc w górę dwa palce w kształcie V — Victory. Śmieli się. Czasami rzucali nam papierosy, czasami kawałki chleba, nawet ciastka. Pełni życia, rumiani, świetnie odżywieni i odziani, weseli chłopcy.

Zapamiętałem z tamtych historycznych dni właśnie ów niewysłowiony smak ciastka podjętego z asfaltu szosy, rzuconego nam przez siostrę Czerwonego Krzyża armii USA, nie złapanego w porę, nieco więc rozgniecionego, lecz nie na tyle, by nie stać się istną delicją. Smak odzyskany po wielu latach, zapomniany i na nowo wrócony, przywołujący jakieś dawne echa, niejasne, nie do określenia, sięgające daleko w głąb pamięci, dzieciństwa, czyichś imienin, a może tylko głodnych więziennych snów.

A także rozmowę z inną dziewczyną w uniformie armii amerykańskiej, w furazerce i trenczu, w mijanym przez nas miasteczku, które zdaje się nazywało się Friedberg, w pobliżu Augsburga, na rynku pełnym amerykańskich ciężarówek. Na nasz widok, nie znając znaczenia pasiaków ani tym mniej naszytych na nich czerwonych trójkątów, przywołała nas gestem ręki, w której trzymała długopis, i zaczęła stawiać nam pytania świadczące, że jest korespondentką wojenną jakiegoś pisma w Stanach, a po drugie, że całkowicie nie orientuje się, co się tutaj w Niemczech działo. Kalecząc niemiecki, kazała nam odpowiadać na bardzo dziwaczne pytania. Na przykład, ile deka masła wydzielano nam dziennie, ile kostek cukru. Masło! Cukier! Dobra sobie. Na jakim świecie żyje? Mówiłem głównie ja, bo Hermann milczał, a Michel odszedł gdzieś na bok. Notowała skrętnie w notesiku moje odpowiedzi, zapisała nawet nasze obozowe numery. Chciała nam zrobić zdjęcia, na co po chwili wahania zgodziliśmy się — ja i Hoppe. Michel odmówił, utrzymując, iż mu to ubliża, bo nie jest zwierzęciem

w klatce na pokaz. Może i miał rację, ale ona, ta Amerykanka, była taka miła w swej naiwności, zdziwieniu i przerażeniu po tym, co jej naopowiadałem o obozach, że trudno mi było jej odmówić. Kazała stanąć mi tak, a Hermannowi obok, nieco profilem, potem on miał ustawić się en face, a ja z ramieniem wspartym o niego, to znów objęci obaj — tak jakoś — i pstryk, i pstryk. Namawiała Michela, by podszedł, halloo! — wołała, kiwając palcem, odwrócił się tyłem, pstryknęła go w ostatniej chwili, gdy się odwracał. Szkoda — powiedziała, ten z was trzech jest najbardziej charakterystyczny. Na odjezdnym pokiwała nam ręką. By, by, boys!

Michel podszedł, miał nam obu za złe to przyjmowanie czekolady i papierosów. Spieraliśmy się z nim, głównie Hermann, który zaczął już żarłocznie gryźć otrzymaną tabliczkę, zaledwie zdążywszy zerwać z niej srebrną cynfolię. Staliśmy w cieniu domu wybebeszonego strzałem armatnim na wylot. W głąb mieszkań parterowych przeszła kula niewielkiego kalibru, może z czołgu, widać tam było wewnątrz jeszcze prawie nietknięte umeblowanie. Spieraliśmy się, zwłaszcza ja z Michelem. Głupia dziwka — mówił. Dlaczego dziwka? — broniłem jej — cóż w tym aż tak dziwnego, że chciała wiedzieć. Ale on miał odmienne zdanie. Poszliśmy dalej, szosą, autostradą na Augsburg, gdzie zaopatrzył nas

Czerwony Krzyż, jakaś misja, przenocowaliśmy w pustej szkole, ruszyliśmy dalej na południe.

I gdy stary Michel po drodze nam się zapodział, odstał bez pożegnania, a może nie zrobił tego naumyślnie, zgubiliśmy się po prostu w zamieszaniu tyłów frontu, w tej narastającej ludzkiej masie przemieszczającej się dokoła, krzyżującej i obozującej gdzie się dało, wtedy Hermann powiedział mi w jakimś momencie, iż właściwie jest zadowolony, że starego już z nami nie ma. Zawracał głowę. Maniak doprawdy z tą równością w karze, jakże tak? Żeby jego żona miała nadal głodować, dlatego że inni sprzyjali nam? Żeby, nie daj Boże, jego córkę Senegalczycy? Dobrze mu gadać, staremu, nikogo nie ma, a jeśli nawet — to gdzie, gdzie? I Hermann splunął wtedy, dobrze pamiętam. A potem usiedliśmy na brzegu szosy i zapaliliśmy sobie po Morrisie. Mieliśmy taki zapas, że donieśliśmy coś ze trzydzieści paczek do Waldkirch i okazało się, że za jeden taki pakiet, byle nietknięty, można będzie wkrótce, za parę mie-

Isięcy, kupić tyle, iż żona Hermanna, która była zdrowa i cała i nastąpiło uroczyste powitanie, a w ogóle różne paradne, lecz i śmieszne sytuacje, nie wszystkie jednak przewidziane, a już szczególnie przez Hermanna, inaczej to się przedstawiało w szczegółach — trudno, tyle lat, aż pełnych jedenaście! — nie sposób inaczej, otóż ta kobieta dzięki Morrisom od Amerykanki z notesem i Kodakiem mogła dostać tyle żywności, iż starczyło na kilka tygodni dla czworga, wliczając i mnie do tej rodziny. Porzuciłem Waldkirch, spokojne, niemal nie tknięte wojną, zatrzymywali mnie, Hermann pragnął, bym pośredniczył między nimi, rodzaj rozjemcy, towarzysz partyjny i z celi więziennej, i z Dachau, on zaświadczy, on nas rozsądzi, i tak dalej. Nie chciałem tego. Po co. Więc gdy się tylko nadarzyła sposobność, wyjechałem od nich. Było już pełne, gorące lato 1945.

A jeszcze przedtem, gdyśmy się zgubili ze starym Michelem, znaleźliśmy się w Augsburgu, dokąd Amerykanie spędzali różnych włóczęgów. Coś jak nasz dawny Du-Lag, Durchgangslager, przejściówka.

Było tam sporo robotników cudzoziemskich oraz duża gromada ludzi w uniformach, ale bez odznak, okazało się, że to jacyś włosowcy czy ktoś w tym rodzaju. Rozbrojeni i eskortowani, zarośnięci chyba gorzej niż my, ponurzy i w strachu. Wyszliśmy z tego miasta i tak szliśmy w piękne wiosenne dni drogami Bawarii, na Ulm, omijając je od południa, zdaje się przez Neu Ulm, jakoś tak. Nie znałem tamtych okolic. Zapamiętałem tylko widzianą z daleka, na horyzoncie, na tle zachodniego, czerwono-złotego nieba, wysoką wieżę. Zapytałem, co to. Powiedział Hermann: — To katedra w Ulm. Ma podobno najwyższą kościelną wieżę w Europie, a może na całym świecie. Nie wiem, czy to prawda. — Wydawał się dumny z tego faktu. Niemcy są piękne!

Gdzieś tam, wtedy jeszcze, o czym nie mieliśmy pojęcia, konał obłożony, zdobywany dom po domu Berlin, mój rodzony Berlin, i żył jeszcze w podziemiach kancelarii Rzeszy — Adolf Hitler i jego najbliżsi. Więc idąc zgadywaliśmy, co się dzieje na świecie. Tu i ówdzie ktoś nam coś powiedział, zdobyliśmy nawet egzemplarz amerykańskiej gazety, drukowanej zdaje się specjalnie dla armii. Nie umiałem wówczas tak dobrze po angielsku jak dziś, siedzieliśmy na brzegu drogi, próbowałem tłumaczyć Hermannowi. I znów dał nam jakiś żołnierz paczkę amerykańską, śniadaniową, jak się okazało, bo oni dostawali po trzy dziennie, na śniadanie, obiad i kolację, każda w kartonie innej barwy i o nieco odmiennej zawartości. Otrzymywali je prócz ciepłego jada. Pomyśleć — co za luksusowe zaopatrzenie, luksusowa armia, czegoś podobnego nigdy nie widzieliśmy, nie mieliśmy nawet pojęcia, że coś takiego może w ogóle istnieć, że tak można walczyć. Otóż w tej paczce, którą dał nam żołnierz mówiący po niemiecku jakimś dziwnym akcentem — Jankes pochodzenia niemieckiego, a takich później widywało się wielu — znalazłem puszkę z woskowanego kartonu pełną poziomek z kremem. Na wojnie, na froncie takie rzeczy! Hermann wydziwiał, odstąpiłem mu w zamian za tę puszkę — moją mieloną szynkę z czymś tam. Sam zjadłem bardzo łączywie ten krem z świeżutkimi poziomkami, jakby przed chwilą przyrządzony, aż dwie porcje. Oblizywałem palce i wargi, żeby niczego nie zmarnować. Kawałek kremu spadł mi w trawę, zdjąłem go starannie, znów oblizywałem palec, czułem się szczęśliwy takim gatunkiem radości, jaki potrafią odczuwać chyba wyłącznie dzieci w pogodne dni, na świeżym powietrzu, wolne od zajęć, bez opieki starszych. Wakacje! Wakacje!

W jakimś miasteczku po drodze paliły się składy materiałów pędnych. Benzyna już spłonęła doszczętnie, gdyśmy przyszli, ale lakiery czy pokosty jeszcze nie, właśnie dogorywały. A także terpentyna i żywica, a może również pasta do podłóg.

Było czarno w powietrzu. Nawet ściany domów dokoła okopcone, a na gałązkach drzew rosnących przed zburzoną pocztą, okrytych młodymi listeczkami, nagromadził się puch,

podobnie jak w zimie bywa z okiścią, tyle że całkiem czarny i opadający za każdym powiewem kłębkami zwęglonej, lepkiej waty.

I ta sadza, ten smolisty osad ubrudził także biały sztywny czepek amerykańskiej dziewczyny z Czerwonego Krzyża i jej policzki, bardzo gładkie i zarazem matowo puszyste, prawie takie jak brzoskwinia, rozczulająco dziewczęce i różowe. Stała zaaferowana tym, co się działo dokoła.

Zaś nazajutrz, a może za dwa dni, już chyba w Wirtembergii, tak, na pewno, bo zamiast Amerykanów spotykaliśmy Francuzów, a to oni tam weszli i później pozostali na długo jako okupanci, ci od generała de Lattre, zdaje się —

I byliśmy świadkami sceny, o jakiej marzył stary Michel. I chyba nawet wielka szkoda, że nie był z nami i nie mógł przekonać się, jak jego teoria wygląda w praktyce.

Otóż na rynku maleńkiego miasteczka, z którego zapamiętałem tylko barokowe figury jakichś świętych, stojące bardzo nisko przy schodkach wiodących do również barokowego kościoła, ocalałego, mimo że większość domów była dokoła w gruzach, wokół podobnie barokowej, zabytkowej studni na środku placu, byliśmy z Hermannem Hoppe, a niestety bez Michela Rauschnera, świadkami polowania z nagonką urządzonego przez francuskich żołnierzy na jedyną, jak się zdaje, miejscową przedstawicielkę płci pięknej, która nie zdołała jak inne w porę umknąć, schować się w piwnicy czy na strychu albo w lesie za miastem.

Było późne popołudnie, nadeszliśmy wąską uliczką, okrążyliśmy kupę gruzów za kościołem i wkroczyliśmy na ten centralny plac ze studnią. Zatrzymaliśmy się pod całkowicie splądrowanym sklepem, niegdyś spożywczym, a nad nim szyld — jak takie szczegóły utrwalają się w pamięci! mógłbym narysować i plan tego miasteczka, i nawet zapamiętałem nazwisko właściciela tego sklepiku, nazywał się Otto Hintz — zaś obok nas stało paru starych mieszczan miejscowych z łopatami i miotłami, bo, jak się okazało, okupanci kazali im uprzętnąć przelotową ulicę z gruzu i oni teraz stali obok nas i wypoczywali po pracy, w całkowitym milczeniu, nieruchomi jak kukły, z kamiennymi twarzami i wraz z nami obserwowali scenę myśliwską przy antycznej studni z czterema na czterech rogach barokowymi sylenami. Ujrzelśmy dziewczynę tak umazaną smarami i sadzą, iż trudno było nawet stwierdzić, czy była ładna. Musiała być jednak bardzo młoda, sądząc po kształcie ciała i ruchach, gdy tak biegała po placu, starając się wymknąć ścigającym ją żołnierzom. Rozstawili się w koło i dosłownie podawali ją sobie z rąk do rąk. A jednak, widzieliśmy dokładnie, jak udaje jej się za każdym razem wysliznąć, gdy już, już zdawało się, któryś ją schwycił. Nic z tego. Znow była o kilkanaście metrów dalej, biegła, dając spore susy, na ukos, w stronę wejścia do kościoła, by stamtąd nagłym zwrotem znow pognać ku studni. Słyszeliśmy aż tu, gdzieśmy stali, jak głośno dyszy.

Cała reszta żołnierzy — a było ich chyba z pół setki na tym placu i w tej sytuacji sprawa dziewczyny była z góry przesądzona, chodziło tylko o możliwe przeciągnięcie zabawy, mającej w sobie coś z zawodów sportowych, niezawodnie, albo z modnych w niektórych sferach polowań z chartami — wszyscy nie biorący bezpośredniego udziału w gonitwie, czekający swojej kolei, stojąc dokoła dawali brawo albo też gwizdali, gdy znow dziewczynie udało się wymknąć, a myśliwy zostawał z pustymi rękami. Więc drwinki z niezgrabiasza. Staliśmy, ja i Hermann, i patrzyliśmy na to wszystko w milczeniu. Kilku starych miejscowych mężczyzn obok nas. Jeden z nich, o suchej twarzy, w niebieskiej okrągłej czapce, w jakiejś chwili westchnął. Nikt jednak z nas nie odezwał się.

Wreszcie tamtym, jak widać, znudziło się, gdyż któryś z nich podłączył hydrant do studzienki ulicznej i puścił w dziewczynę mocny prąd wody, podcinając jej nogi. Pośliznęła się, zachwiała i upadła. Wówczas i cała reszta przestała się dłużej bawić w sportowe ceregiele. Teraz myślę, że byli to chyba spadochroniarze. Już słońce zaczęło chylić się poza dachy domów i cztery figury sylenów koło studni rzucały wydłużone cienie aż pod progi domu, przed którym stała nasza milcząca gromadka kibiców. No i później nieco, gdy słońce całkowicie skryło się za kościołem, dziewczynę wytarzano w smole, a może był to asfalt, gdyż obok studni stał kocioł do asfaltowania, niecałkowicie wygasły, bo ulatniał się jeszcze z niego ciepły smród.

A gdy ostatni amatorzy odskoczyli, rozstąpili się na boki i zaczęli się powoli rozchodzić, my obaj z Hermannem, a także tych kilku starych z łopatami i miotłami, mogliśmy zobaczyć dziewczynę, która podniosła się właśnie nie bez trudu na czworaki, potrząsnęła parokrotnie głową, a następnie podczołgała się do obmurowania antycznej studni z sylenami,

pozostawiając za sobą na bruku czarne, rozmazane ślady, jak pełznący ślimak, i tam, wsparłszy się oburącz o murek, zdołała powstać na nogi, chwiejąc się i zataczając. Uginały się jej w kolanach i rozjeżdżały na boki. I wówczas pośród śmiechu całego otoczenia uniosła w górę, wysoko ponad głowę czarne ramiona i zaczęła coś krzyczeć.

Gdy się zrobiło ciemno i całkiem pusto, i na nas przyszła pora, by stamtąd odejść. Droga wiodła nas na południowy zachód, w stronę Renu. Jeszcze co najmniej dwa dni mar* szu, biorąc pod uwagę naszą ówczesną kondycję.

„W
od i r m sp M w
SI u
Ś' Z t
FI I I

Dość tych wspomnień. Całkiem niepotrzebnie, przy jakiejś okazji, opowiedziałem Leni o tej scenie z dziewczyną. To już po tylu latach ma całkiem inne właściwie znaczenie. Niemal jak treść jakiegoś opowiadanego filmu. Odmienny sens, a także, jakby to określić — smak. No i Leni, wysłuchawszy mnie, przyznała, iż miała nieco zbliżone przejścia. No, niezupełnie takie, chwała Ci, Panie, ale trochę podobne. Gdy Amerykanie jako pierwsi weszli do prawie całkiem zburzonej Koblencji, Leni miała nie więcej jak czternaście lat. Potem wymienili Amerykanów, którzy odnosili się do mieszkańców nieźle, Francuzi, no i ci byli zupełnie inni. Ci z Maroka, a także biali, zwykli Francuzi, a już szczególnie dawni partyzanci. Z tak zwanej Resistance. Otóż mostu jeszcze wtedy na Renie nie było, tylko prowizoryczny, zbudowany przez Jankesów, dość nawet solidny, i Francuzi wszystkim Niemcom, którzy przechodzili przez ten most, urządzali odwszenie w takim baraku na lewym brzegu rzeki, z tej strony Renu. A Leni mieszkała wtedy z rodzicami i rodzeństwem po tamtej stronie, gdzieś w Pfaffendorfie, i .kiedy otwarto szkołę tu, w mieście, musiała dwa razy dziennie przechodzić przez ten most i francuski punkt kontrolny. Otóż bywało — jak mi opowiedziała — z tym różnie. Niektórzy puszczali, bo znali ją albo nie chciało im się, byli znudzeni, grali w karty w tym baraku — allez, allez, passez vite, mademoiselle! — pokazywali drogę — Frau- lein! — mówili śmiejąc się. Ale byli i tacy dowcipnisie, którzy utrzymywali, że Niemcy to naród szczególnych brudasów i że wszyscy bez wyjątku są zawszeni, a już zwłaszcza kobiety. I przy okazji przejścia różne przezwiska, a także poszturkiwania. Starsze kobiety popychali i szybko — do łaźni, a młodsze potrafili w tym baraku badać osobiście i komisyjnie, czy są dostatecznie czyste i czy nie mają insektów. Leni udawało się do czasu szczęśliwie przemykać przez tę kontrolę. Jeden taki, bardzo młody — Leni zwierzyła mi się, że jej się ten facet od czasu do czasu śni i że nigdy go nie zapomni — pewnie Alzatczyk, bo mówił po niemiecku, uwziął się szczególnie na nią i na jej koleżankę, Heddi. Może dlatego, że wyglądały bardzo skromnie, miały wciąż spuszczone oczy i nosiły długie warkocze z kokardkami. Gdy on pełnił służbę w budzie przy moście, wiedziały, że nie uda im się przemknąć bez szczegółowej kontroli w odwszalni. Już z daleka kiwał na nie palcem: — Komm,

komm! — i zwoływał kolegów. Prowadzili je obie do baraku. — Bliżej, bliżej — nie bójcie się, panieczki! — i kazał stawać na podium, bliżej światła, pod lampą. A gdy się ociągały, tłumacząc, że przechodziły już kontrolę tegoż ranka, i pokazywały podstemplowane przepustki, zaczynał krzyżeć po niemiecku: — Schneller, schneller! Los, los! — i zaczynała się kontrola. Płakały wychodząc stamtąd. Pocieszali je zartobliwie, śmiejąc się: — Do wesela się wygoi! Do przyszłej wojiflr! Do następnej okupacji Nadrenii! Allez, vi te, vite! Circulez!

— Amerykanie byli dużo lepsi — stwierdza Leni. — Pozwalali sobie wprawdzie też na ekscesy, to fakt, ale nie pastwili się nad nami z taką perfidią jak Francuzi. Boże, jak odetchnęliśmy wszyscy, gdy znów wrócili do Koblencji Jankesi!

Staram się nie wracać do wspomnień z tamtych lat. I co dziwne, nigdy prawie nie śnią mi się ani więzienie, ani obóz, mimo iż spędziłem w nich kilka najlepszych lat życia. Czasem co prawda nawiedza mnie we śnie rodzaj hybrydy. Nie jest to więzienie, lecz coś pokrewnego czy pośredniego: korytarze, galerie z ochronnymi siatkami między piętrami, by uniemożliwić samobójczy skok więźnia, piętra jedno nad drugim, wysoko — cztery, pięć poziomów, czasami więcej. I jakieś osoby w szarych kitlach wychylone z tych poziomów, przez poręcze

patrzące w dół na parter, którego jednak nie widać. I echa. Każdy krok, każde kasznięcie rozlega się głuchym, powielonym echem.

Natomiast Leni miewa przykre, bolesne sny. Nie może wyplątać się w nich z obrębu sali chirurgicznej i to jest bardzo wyczerpujące. Więc dyszy we śnie i słyszy ten swój szybki oddech. Wielka lampa nad fotelem, a może jest to rodzaj szpitalnego białego leżaka. Dwa lata temu, jak się okazuje, była badana na czymś takim w związku z jakąś kobiecą przypadłością. — Gumowe rękawiczki chirurga. Dwóch lekarzy, a potem przyszedł jeszcze trzeci. Zacisnęłam powieki, żeby nie widzieć, jak oni to robią. To nie jest zresztą tamten zabieg, który mi kiedyś wykonywali, tylko jakiś zupełnie inny, całkiem nieznanym, więc się boję. Badanie instrumentalne — wyjaśnia mi jeden i migocze nade mną kleszczami z niklu, a ja boję się coraz bardziej, aż zaczynam krzyczeć ze strachu i wtedy się budzę. Albo śni mi się, że idę w aksamitnym szlafroku bordo, takim do samej

ziemi, z rękawami takimi długimi, że gdy opuszczę ramiona, zwisają niżej kolan. I pomyśl — jakie to ciekawe i co to może oznaczać, i skąd się to w ogóle we mnie bierze? Materiał, sam temat na taki sen? Mam — w tym śnie, rzecz jasna — włosy ciasno upięte w kok nisko na karku, a przecież nigdy się tak nie cesałam, więc dlaczego teraz? I mam na głowie srebrną obręcz, taką wąską jak aureola, i w tym wszystkim bardzo uroczyście maszeruję boso po korytarzu w jakimś ogromnym szpitalu, znacznie, sftę to o wiele większym niż ten nasz, w którym byłam kiedyś, Marienhof przy Koblenzerstrasse. Idę naprzeciwko czegoś i boję się, a muszę iść, więc z każdą minutą się przybliżam do tego, co się nieodwołalnie stanie, i narasta we mnie strach, a także wstyd, bo myślę — ich będzie aż trzech i zaraz nałożą gumowe rękawice, spodziewam się tego, co czeka na mnie na samym końcu tego bardzo długiego korytarza, i czuję, jak mi zimno w nogi, więc sobie myślę: czemuż nie wdziałam rannych pantofli, i zaraz potem widzę na tle kamiennej posadzki moje gołe palce z pomalowanymi na czerwono paznokciami, jakby krew, i desenie podłogi niebieskie i białe, taka szachownica powleczone szkliwem, jakby lodem, więc czuję dreszcze, tak okropnie marzną w stopy, aż szczękam zębami i dygocę, i boję się, że jeszcze chwila i będę się wydzierać na głos i zacząć uciekać, ale że nie mogę, więc idę, trzeba zobaczyć w senniku, mówiłeś, że masz aż dwa, zajrzę koniecznie, patrzę przed siebie wciąż idąc, a z takich drzwi biało malowanych lub może z szafy w ścianie wychodzi naprzeciw mnie trzech jednakowych wzrostem lekarzy, twarzy nie widzę, bo założyli maseczki jak do operacji, i wszyscy trzej jednocześnie takim samym gestem naciągają gumowe rękawice, więc zaczynam głośno krzyczeć, tak jakoś piskliwie, jakby kot miauczał, rozumiesz: ja nie chcę! ja tego nie chcę, a oni przyglądają mi się, wodząc po mnie oczami od góry aż do dołu, jednocześnie naciągają zbyt ciasne rękawiczki, aż guma świszczę i skrzypi, palec po palcu, widzę, czuję je w sobie, nie mogę od nich oczu oderwać. Niechże się pani tak nie boi! po co się zaraz aż tak bać, to nie będzie wcale bólało, słowo honoru. to nie żywy jeź ani kaczan kukurydzy jak w Azylu Faulknera, lecz guma, zupełnie miękka, taka prawie różo- wiotka jak smoczek dla niemowlaka. Powiedz, co to może znaczyć?

Oczywiście tego wszystkiego w sennikach, nawet tak dobrych jak moje, nie ma. Stary Freud mógłby chyba coś dorzucić na ten temat, nie wiem. Leni powiedziała, że być może, są to pozostałości po urazie, jakiego doznała mając czternaście lat, tam w tej odwieszalni przy prowizorycznym moście na Renie. Choć tamci nie wdziewali gumowych rękawic. Za dnia, w ogóle na jawie, ona nigdy o tym nie myśli, zapomniała jak gdyby, a tylko we śnie tamto dawne się odzywa i mści. To niewykluczone — powiedziałem, żeby z tym skończyć.

Kiedy wówczas wyszedłem z Cafe Central, w kancelarii czekała mnie wizyta moich klientów, państwa Oppenheim. Akta sprawy przygotowane, jak zawsze w idealnym porządku, przez pannę Alis. Ona jest właściwie nieoceniona. Co ja bym bez niej począł! Byłby u mnie bałagan taki, że niczego bym nie znalazł. A ona wie wszystko. Chyba nawet zgaduje moje myśli. I co najważniejsze, nie wyciąga żadnych ubocznych wniosków z tej swojej ultrawiedzy, tej systematycznej obserwacji każdej mojej reakcji. Jest nieprze- dajna i bezinteresowna. Za młodu była dwa czy trzy lata instruktorką gimnastyki w hufcu BDM w Wiesbaden. Zachowała zdjęcia z tamtych lat. Rodzaj relikwii niemal. To jej najświętsza, jak sądzę, pamiątka. Na jednym z nich Gauleiter Nadrenii wręcza sztandar przechodni drużynie dziewcząt z BDM za osiągnięcia sportowe, zdaje się w biegu sztafetowym. — Nie — koryguje mnie panna Alis — to były biegi przez płotki. O — tu jestem ja — poznaje mnie pan, mecenasie? — Jest o tyle lat młodsza, a mimo to, stwierdzam, niewiele się zmieniła. Trochę bardziej przyschła, i tyle. Już wtedy w okularach, z kokiem na karku, gładko uczesana, wyglądała na starą pannę. Jestem na tyle dyskretny i lojalny, iż nie domagam się szczegółów.

Tego dnia — był ranek dwudziestego pierwszego lipca 1969 — panna Alis miała wolny dzień. Pojechała odwiedzić kuzynów w Wiesbaden. Ciotecznego brata, o ile wiem, inwalidę z wojny. Na zdjęciu z Gauleiterem i sztandarem nagrodę odbiera jakaś dziewczyna z BDM o wręcz uderzającej urodzie. Zdjęto ją w chwili, gdy przykłęka nachylając głowę w czapeczce, jakie nosiły dziewczęta z tej organizacji. Bluza z krawatem. Słońce wybieliło łuk policzka i czoło nad ciemnymi brwiami, a także kosmyk włosów chyba też dość ciemnych. — Nie — mówi panna Alis — ona była blondyn-

„IV od i i - m sp M w si n Ś' Z t

F I I I

i

ką. To moja siostrzenica. Nazywała się Fryda. Ale my nazywaliśmy ją Freya. — Uśmiecha się: — Po starogermańsku. Taka była moda wówczas, pan chyba wie. — Odbiera mi zdjęcie, wygładza je, chowa starannie między kartki książki. Zginęła na wiosnę w czterdziestym piątym. Zabiła ją bomba amerykańska na ulicy w Wiesbaden.

— Tak — mówię, patrząc w okno naprzeciwko, gdzie pokojówka hotelu „Viktoria”, oparłszy się łokciami o parapet otwartego okna zmrużywszy oczy, najwyraźniej opala się. — Było wiele ofiar bombardowania w tamtym czasie — stwierdzam obojętnie. Łapię się na tym, że mówię okropne banały, więc dodaje: Szkoda, ładna dziewczyna. Widać na zdjęciu. Ile miała lat, gdy zginęła? Nic mnie to nie obchodzi, ot, mówię, żeby coś powiedzieć, bo panna Alis jakby czekała na moje słowa. — Siedemnaście i jeden dzień — mówi panna Alis. — Zginęła nazajutrz po siedemnastych urodzinach. — No tak — powtarzam patrząc w okno — no tak. Szkoda.

Dziś — to jest tamtego dnia, dwudziestego pierwszego lipca dwa lata temu — jnie było więc mojej wiernej sekretarki. Przyszli natomiast bardzo jak zawsze punktualnie oboje państwo Oppenheim.

Akta numer 177/69. Sprawa wytoczona z urzędu przez prokuraturę kraju Rheinland-Pfalz przeciwko Leopoldowi Oppenheimowi, urodzonemu dnia... miesiąca... roku 1915 w Zell an der Mosel, synowi Gustawa i Małgorzaty urodzonej Riegel, obojga nieżyjących...

zamieszkałemu w przy ulicy... numer... i tak dalej & znam to na pamięć — dopuścił się zbrodni ściganey z artykułu... paragrafu... i tak dalej, i tak dalej, pozbawiwszy życia... i tak dalej — ogółem wylicza akt oskarżenia siedemnaście osób, rzekomych ofiar mego klienta. Jako świadków prokuratura w Koblencji powołuje... Tu wykaz około dwudziestu osób, z których jedna mieszka w Republice Federalnej, wiem, kto to taki, nic konkretnego nie wie, nie będzie z nią kłopotów, prokurator Niedenthal podał ją, bo jedyna uchwytna pod ręką i na pewno stawi się na rozprawę, co do innych natomiast, to większość nie posiada znanego nam adresu, a raczej, mówiąc prawidłowo, prokuratura pojęcia nie ma, czy w ogóle istnieją. Trzy osoby mieszkają rzekomo w państwie Izrael, jedna kobieta w Polsce. Cała reszta — w Czechosłowacji.

Sądzę, że mój dobry znajomy, prokurator Niedenthal, nie będzie miał łatwego zadania. Zgromadzić tylu świadków - phi, phi — no, nie zazdrozczę! Mających zeznać pod przysięgą, że mój klient przed ćwierćwieczem, gdzieś tam na Śląsku, wówczas wcielonym do Rzeszy, dziś należącym do Czechosłowacji, istotnie winien jest śmierci tych iluś tam osób.

Z tymi ofiarami też nie całkiem jasne Zdołano zidentyfikować zaledwie trzy nazwiska. Żyje wdowa po jakimś Zdenku Prošilu z czeskiego Cieszyna, a także córka innego, nazywał się Franta Zima. Gdy ojciec jej zginął, była małą dziewczynką. Coś tam widziała jakoby, podano ją na świadka, i to koronnego, jak się zdaje. Mieszka w Orlovej na Śląsku. Ma przybyć na rozprawę, podróż allez-retour finansuje czechosłowacki związek byłych więźniów, a może Czerwony Krzyż. Z tą jedną mógłby być niejaki kłopot Ale kto udowodni, że jej ojca, a tamtej z Cieszyna męża. zgładził osobiście obecny prokurent banku, Leopold Oppenheim? Bo jeśli wydarzyło się to w toku działań wojennych, w wyniku jakichś przewidzianych ustawowo — nawet jeśli byłoby to prawo wojny, lecz jednak prawo — w toku represji uznanych jako nieuniknione w działaniach każdej armii, no to zagadnienie stanie się z prawnego punktu widzenia całkowicie odmienne. Gdy zatem mój klient spowodował śmierć paru osób pośrednio, wydając odpowiedni rozkaz, to prokurator, żeby nie wiem jak się upierał, nic nie zdziała. Musiałby udowodnić, że mój klient zabijał osobiście w stanie złej woli, czyli wykraczając poza konieczności przewidziane rozporządzeniami

obowiązującymi w tamtym czasie na tamym terenie, co jest, na ile znam sprawę, nieprawdopodobne. Znam również prokuratora Nie-denthala na tyle, że wiem, iż nie będzie się upierał, szczególnie, że ewentualne skazanie Oppenheima nie przyniesie mu sławy ani chwały. Oppenheim — to nie jakiś zbrodniarz z Auschwitz ani szyszka z SS, to[^] co tu ukrywać — jedna z licznych płotek. Miał pecha, ale tyle tego. Po co się wysilać. I komu dziś na tym zależy, żeby skazać starca?

Nie można wymagać, by każdy był bohaterem i to w dodatku w pojęciu dzisiejszym, z roku 1969, gdy tamto działo się w 1945. Czy bez narażenia swego życia lub tylko wolności mógł Leopold Oppenheim nie wykonać rozkazu wydanego przez władze nadrzędne? Nie bądźmy dziećmi. Pro

kurator Niedenthal nie jest dzieckiem i ja o tym wiem. Co wcale nie znaczy, żeby sprzyjał byłym nazim. Co to, to nie. Gdyby Oppenheim był jakimś wyróżniającym się zbrodniarzem, jakimś prominentem SS, kimś w rodzaju Eichmanna czy Bormanna — tego to sądzilibyśmy i skazalibyśmy obaj z dużą radością — ale mój klient do żadnej takiej superkategorii nie należy.

Filarem oskarżenia jest pastor z Frydka na Śląsku, który dwukrotnie już zeznawał przed sądem czeskim pełniącym rolę pośrednika dla naszej prokuratury w Palatynacie, i ja te jego zeznania mam w odpisie w teczce. No, zobaczymy.

Przerzucając raz jeszcze akta sprawy w oczekiwaniu wizyty Oppenheimów, stwierdzam ponownie, że z tymi ofiarami sprawa niejasna. Sam mam niejakie wątpliwości, mimo że podejmując się obrony, nie miałem żadnych złudzeń co do winy mego klienta. Zbyt dużo podobnych spraw przewinęło mi się przez ręce. Z ofiarami Oppenheima mogło być tak, mogło inaczej. Łapię się na tym, iż zaczynam bez trudu rozumować jak rasowy obrońca karny, z góry usiłując podważyć wiarygodność świadków, ciesząc się na myśl, że prokuratura ich nie odnajdzie, że przepadli na szerokim świecie, może nie żyją, i Bogu za to dzięki. No bo chociażby ten pastor, świadek koronny jakoby. Ten z Frydka. Jak można przekonać się na podstawie protokołu zeznań złożonych przed sądem w Morawskiej Ostrawie, nie był on naocznym świadkiem. Zna niby to sporo faktów obciążających mego klienta, lecz wie to z ust rodzin ofiar oraz niedoszłych ofiar, którym udało się jakimś cudem ocaleć. Byliby, muszę przyznać, mocno niewygodni dla obrony. Ale rzecz w tym, że nie będą, bo ich nie ma. A może i są, ale gdzie, tego nikt nie wie. Żyli wprawdzie wówczas, gdy się to wszystko działo, i nawet potem, tuż po wojnie, lecz nie wiadomo, czy żyją obecnie, a jeżeli, to gdzie ich szukać. Nie zgłosili się, mimo wezwań zamieszczanych wielokrotnie w prasie i radio czeskim. Może wyjechali, zmarli, któż to wie. Zatem zeznania pana pastora da się bez zbyteńgo trudu podważyć.

A jakże słuszna zasada głosi, że wszelkie wątpliwości należy tłumaczyć na korzyść oskarżonego. Gdyby tak nie było, wrócilibyśmy, cofnęlibyśmy się we wczesne średniowiecze.

Jako adwokat zacieram ręce. Czy jednak w ten sposób, spełniając uczciwie w miarę moich możliwości, wiedzy i ta-

06

lentu rolę sądowego obrońcy, jakiej się dobrowolnie podjąłem, nie wchodzę przypadkiem w kolizję z etyką czy moralnością sensu stricto, a jeszcze bardziej z poczuciem politycznych racji, ułatwiając bez wątpienia jednemu ze zbrodniarzy wojennych — któremu już z kolei spośród bronionych i wybronionych skutecznie przeze mnie? — wykręcenie się od odpowiedzialności, zapewniając mu bezkarność, co ma, nie zapominajmy o tym, także znaczenie ogólne, w skali kraju, narodu i nawet, choć to zabrzmia patetycznie — ludzkości? Jeszcze jeden uwolniony od winy i kary. Dlaczego? Bo dowody się zleżały, rozpadły, pogubiły. Bo nikomu od dawna nie chce się w czymś takim babrać czy czymś takim zabawiać. Ani sądowi, ani nawet prokuraturze. Dajmy sobie spokój nareszcie z tym wszystkim. Czy nie tak?

Nabrałem już niejakiego doświadczenia, nie mam więc mimo chwilowych wątpliwości — o, bodaj tych sprzed chwili, sprzed kwadransa — zbyt wielu skrupułów. Może dlatego, że pogoda taka piękna, że wciąż mi chodzi po głowie obraz tamtej dziewczyny, którą widziałem rano w Cafe Central z Ernestem, i że w oknie hotelu „Viktoria”, naprzeciwko mojej kancelarii, pokojówka w wąskim, twarzowym czepeczku na czarnych, lśniących jak hełm włosach uczesanych gładziutko w grzywkę nad brwiami opala się nadal przymknawszy oczy od słońca, rozchyliwszy bluzkę pod szyją, rozpiąwszy kilka guzików, rozsunawszy na boki kołnierzyk również bardzo twarzowy. Tak, wydawało mi się przed chwilą, że mój klient

Oppenheim stał się naprawdę ofiarą nieporozumienia czy prowokacji. Teraz wracam do normy. No cóż, trudno, nie mam zbyt wielu złudzeń co do konduity mego klienta w czasie wojny. I wiem prawie na pewno, że stawiane mu zarzuty są słuszne.

Mógłbym się tylko zastanawiać — co zresztą staram się czynić, bez powodzenia i jakichkolwiek szans dojścia do prawdy materialnej — czy Oppenheim popełnił zbrodnię świadomego zabójstwa, a nawet morderstwa, ze szczególnej nadgorliwości wynikającej czy to z tepej dyscypliny, czy też zbrodniczych, wynaturzonych, wręcz sadystycznych skłonności, którym wojenne warunki dały upust, zielone światło, jak to mówią. Czy może działał niejako pod presją sytuacji i — nie będąc bohaterem (w imię czego zresztą miałby wtedy nim być, on, Oppenheim?) — jako żołnierz

97

r li

nieruchome. Rezultat ran odniesionych na wiosnę 1945. A to wszystko przecież postarza. Inna rzecz, co za wyjątkowy pech! Na kilka miesięcy przed końcem wojny rana i ta paskudna sprawa pod Frydkiem czy Mistkiem z tymi czeskimi robotnikami i robotnicami! Uniknąwszy frontu, prawie że już po wszystkim, nie obciążony żadną kompromitującą przeszłością, żaden nazi, jaki tam nazi — i taki pech!

Jak wynika ze wstępnych zeznań oskarżonego przed sędzią śledczym, samochód, w którym jechał, został zbombardowany. Załoga zginęła. Tylko on jeden, ciężko ranny, , zdołał się ostatkiem sił wyczołgać z płonącego wozu. Jakimś cudem uniknął radzieckiej niewoli i znalazł się w strefie amerykańskiej, gdzie po pewnym czasie, nie niepokojony przez nikogo, zajął się handlem. Najpierw zdaje się w Mannheim, jako komiwojażer, wreszcie kierownik działu w du

zym magazynie bieliźniarskim w Kolonii, w końcu, w ostatnich paru latach, u nas, w Koblencji wypłynął już jako prokurent bankowy.

I wszystko byłoby dobrze, gdyby nie to, że ktoś po z górą dwudziestu latach przypomniał go sobie, a może rozpoznał na ulicy, w pociągu czy też za kontuarem banku, dość, że sprawa trafiła do prokuratury, a następnie do mnie.

Pamiętam dokładnie pierwszą wizytę pani Hildy Oppenheim w mojej kancelarii. W pogodne jesienne popołudnie, blisko już dwa lata temu. To znaczy minęło dwa lata w roku 1969 — dziś już cztery.

Ktoś ją do mnie skierował. Jak się okazało, zyskałem pewien rozgłos. Zapewne głównie dlatego, że udało mi się — w 1967 jesienią — wyciągnąć z poważnych tarapatów niejakiego Jana Schmiedke, wyjątkową kanalię, mówiąc na marginesie. Jego sprawa istotnie śmierdziała na kilka kilometrów i moi koledzy szli o zakład, za i przeciw — czy uda mi się wytargować dla Schmiedkego jakieś, tak szacowano sprawę na oko, pięć latek, czy wlepią mu dziesiątkę. Bo na to się zrazu zanosilo. Tylko mój przyjaciel Klaus Wörmsler był pewien, że uda mi się Schmiedkego z tej opresji wydobyć. No i udało się jakimś cudem. Miałem swoją drogą wyjątkowe szczęście. Główny świadek oskarżenia, na którego prokuratura najbardziej liczyła, w sam czas umarł. Kamień spadł mi z serca. No i Schmiedke, który odpowiadał z więzienia — dowód, jak sprawa jego była paskudna — wyszedł uniewinniony, mimo że tak sąd, jak prokuratura, ja sam i wszyscy w ogóle bez wyjątku mieliśmy całkiem jednoznaczne przekonanie o winie oskarżonego. Ale prawo jest prawem. Nie ma namacalnych dowodów — nie ma skazującego wyroku. Schmiedke, po wysłuchaniu werdyktu, którego niby to spodziewał się, ale niezupełnie, miał obawy do końca — panie mecenasie, jak się to skończy, panie mecenasie, czy pan naprawdę wierzy, że oni, panie mecenasie i tak dalej, skamlał łzawiąc się — otóż gdy wychodził z sali sądowej wolny i pewny siebie, a jednocześnie jakoś tak paskudnie liryczny i wzniosły, gdyż jak się zdaje, na serio uwierzył w swą niewinność, pochwycił mnie za rękę, gdy się tego nie spodziewałem, i na oczach całej sali potrząsnął nią, czemu, niestety, nie zdołałem zapobiec. To nie była zresztą sprawa wojenna. Schmiedke był przestępcą kryminalnym, nigdy nazim nie był, w wojsku, o ile pamiętam, nigdy nie służył. Był zwyczajnym, cywilnym przestępcą dużej miary.

Ale nie tylko sprawa Schmiedkego, dosyć głośna w swoim czasie u nas, w Koblencji, gdyż roztrąbiła ją prasa, wpłynęła na moją popularność, ba, sławę dobrego obrońcy. Moja przeszłość obozowa, mój już w roku 1945 udział w pracach komisji do ścigania zbrodni wojennych zaważyły chyba jeszcze bardziej. No bo ktoś jak ja — i tak dalej. Gdy taki nieposzlakowany zaręczy sądowi, że ten czy ów niewinien, no to sąd musi mu uwierzyć, chce czy nie chce.

Przychodząc do mnie pani Hilda Oppenheim nie była jednak pewna, czy podejmę się obrony jej męża. Po tej pierwszej rozmowie zgodziłem się bronić go przed sądem. Prosiłem jedynie, żeby opowiedział mi wszystko, bez ukrywania czegokolwiek, gdyż nie lubię być zaskakiwany w trakcie przewodu sądowego jakimiś niespodziankami. Zgodziła się na ten warunek bez wahania. — Mąż mój nie musi niczego ukrywać oświadczyła patrząc mi w oczy. Obawiała się tylko, że prokurator mógłby podjąć kroki zmierzające do przymknięcia oskarżonego w areszcie śledczym do czasu rozprawy. A on jest chory. — Taki areszt, pominąwszy nawet aspekt psychiczny, mógłby nadszarpnąć jego nadwątlone zdrowie. Tak, on jest wojennym inwalidą i ponadto cierpi od kilku lat na niedomogę serca. Po dwu kolejnych zawałach. Ten pierwszy — na wieść, że oskarżono go i że grozi mu proces. Co za podłość! Ludzie potrafią być gorsi niż zwierzęta, doprawdy. Kto by się tego spodziewał! Po tylu latach! Potem drugi zawał, w pociągu, w drodze na badania specjalistyczne w Kolonii. Mamy tam przyjaciela lekarza. Gdybym z nim wtedy nie była, gdybym go, jak proponował, puściła w drogę samego, już by nie żył. Sąd nie miałby kłopotu — dodała z goryczą.

Wręczyła mi na dowód świadectwa aż czterech poważnych lekarzy. Elektrokardiogramy z różnych okresów. Klisze rentgenowskie. Na nich jakoby wyraźne nawet dla laika zmiany w mięśniu sercowym. — Niech pan spojrzy, mecenasie. Popatrzyłem pod światło, mrużąc jedno oko. Nie znam się na tym, odłożyłem. — A więc sam pan widzi. Dowody aż czterokrotnego leczenia w różnych szpitalach na oddziałach kardiologii, a jeden na internie. Kamienie

nerkowe. To też przez te nerwy. On, panie mecenasie, wręcz się zjada. Dokumenty o przyznaniu renty inwalidzkiej. Z pewnym wahaniem, jakby nieco zażenowana, wyjęła z torebki krzyż żelazny i cytacje, a także zaświadczenie o awansie.

Zamachałem rękami: — Nie, nie, lepiej nie! — powiedziałem stanowczo.

— Lepiej nie — powtórzyła jak echo i z westchnieniem schowała order oraz wojskowe papiery. — Doszło już do tego — oświadczyła ze smutkiem po chwili milczenia — że musimy się wstydzić, iż walczyliśmy w obronie naszej ojczyzny.

Milczałem bawiąc się Parkerem.

W rezultacie pan Oppenheim będzie odpowiadać z wolnej stopy. Jego stan zdrowia istotnie nie najlepszy, brak obawy o przekupywanie świadków, wszystko to razem zaważyło w jakiejś mierze, lecz nie wyłącznie. Prokurator Niedenthal, mój dobry znajomy, orientował się podobnie jak ja, że oskarżenie nie stoi na zbyt solidnych nogach. Ci wszyscy świadkowie z Bóg wie skąd, których większość w ogóle nie wiadomo, czy żyje. Te poszlaki raczej niż dowody. Fakty sprzed ćwierć wieku. Boże drogi! Po tylu latach! Obaj zgodziliśmy się na to — cały zakres tych spraw zmienił się, tak ich charakter jak znaczenie, cały ten kram. Pozostawałoby wyłącznie zagadnienie odwetu. No tak, tak. Bo chyba nie dla odstraszenia na przyszłość. Wiemy obydwaj, co o tym myśleć. Istnieje, panie kolego, znakomita rozprawa na ten temat doktora N., docenta z Getyngi, czytał już pan? Jasne. I chyba on ma zupełną rację. I ja tak sądzę.

Siedzieliśmy w kilku w czasie przerwy w rozprawie, popijając sok pomarańczowy, na tarasie kawiarni „Royal” pod parasolami. Było gorąco tego dnia. — Zgadza się z tym stanem rzeczy — powtórzył Niedenthal — jednocześnie wykonując każdy swój obowiązek. Dopóki nie zmienią ustaw, nie ogłoszą amnestii, ja będę oskarżać i starać się ludzi skazywać, a pan będzie ich wybierał. Ale martwić się nie będę, gdy mi pan udowodni, że nie mam racji lub brak mi danych, by ją udowodnić, mimo że ją niby to mam. Ja będę oskarżać, a pan będzie bronił. Jedno, co miało i poniekąd ma jeszcze jakiś sens, to wyeliminowanie jednostek szkodliwych, skompromitowanych, zbrodniczych z naszego życia publicznego. Sprawa, rzekłbym, higieny społecznej. Pan się ze mną zgadza, nieprawdaż, panie kolego? — Jasne, że tak. — Otóż takich dziś już nie ma, byli, ale postarli się, pochowali gdzieś w mysie nory, znikli z oczu, zeszli do spraw prywatnych. A tam ich ścigać nie będziemy. Bo co z nimi począć, z tymi już przeważnie starcami? Oko za oko, ząb za ząb? Renesans Hammurabiego? Teraz? U nas? Nonsens! Gdyby się angażowali w jakiś neonazizm, nie mówię, ale nie. Nawet w NPD ich mało. Siedzą cicho po kątach. Co innego, jeśliby się nagle pojawił na horyzoncie jakiś, dajmy na to, nie odkryty dotąd nowy Eichmann. Proszę bardzo. Pan by może bronił i jak pana znam, wyśmienicie — ale ja bym wtedy na głowie stanął, żeby się panu tym razem nie udało. Ale ten Oppenheim, ta ruina ludzka, to zero? Dla kogo przedstawia jeszcze jakiegokolwiek, najmniejsze bodaj niebezpieczeństwo?

Obserwowaliśmy ulicę. — Ładną mamy młodzież — powiedział Niedenthal po chwili milczenia i mrugnął do mnie porozumiewawczo. Gestem brody wskazał na dwie szczególnie długonogie dziewczyny, ze względu na upał rozdżiane na ile się dało. Supermini, czy raczej ultramini, takie ledwie coś. I bluzeczki podwinięte w pasie, widać gołe brzuszki, w nich pępki. Trochę zgrzane, więc lśnią. Nogi zgrabne, długie dwa metry chyba. — Pod samo niebo aż do podniebienia — powiedział Niedenthal — niech no pan spojrzy, mecenasie. A tamta obok gorsza?

Może go doszły słuchy, że miewam, głównie za pośrednictwem i protekcją Ernesta, niejaki kontakty z młodzieżą płci odmiennej. Niewykluczone. A co mnie to obchodzi, niech sobie wyobraża. Niedenthal jest co najmniej o piętnaście lat młodszy ode mnie, w czasach wojny był dzieciuchem, teraz robi szybką karierę, bo jest istotnie zdolny i bystry. A może i

dlatego, że jest czynny w SPD. Nie jest wykluczone, że będzie nawet kandydować do parlamentu Renanii-Palatynatu, jeśli okaże się to możliwe bez kolizji z jego zawodem

— Liibkego diabli wzięli, mimo iż jak pan sobie przypomina — ho, ho, czego to nie mówionol Nietykalny, ojciec boomu gospodarczego, drugi Schacht, może jeszcze lepszy, no i co? Z Kiesingerem też wkrótce koniec. Przekona się pan, kolego, i to tej jesieni. Uzyskamy może nawet większość w Palatynacie, a jeśli nie tu, to na pewno w skali

całego kraju. Jeden Adenauer, to był ktoś. Ale reszta? Taki Kohl?

Tamte dziewczyny zniknęły już za rogiem Ebert Ringu i Viktoriastrasse, nie było na co patrzeć. Ziewnąłem. Na odchodnym wspomniałem mu jeszcze na wszelki wypadek, by niczego nie zaniedbać, o obawach pani Hildy Oppenheim w sprawie tego aresztu prewencyjnego. — Ale tam! — zamachał rękami. — Jeszcze czego! Żeby mi pan przed sądem dał nauczkę, iż takich głupstw się nie robi? Po co? Mamy go leczyć w więzieniu? Żeby narobić niepotrzebnego hałasu, i to przed samymi wyborami? Dziękuję uprzejmie. Za kogo mnie pan ma, kolego?

Zadzwoiłem do pani Hildy, że jej mąż może spać spokojnie. — Nie zaaresztują go, doprawdy? — Skądże. Już pani przecież powiedziałem. — Jaki pan wspaniały, co za szczęście, że do pana mecenasa trafiłam! Zaczynam być dobrej myśli, a już zdawało mi się, że wszystkie nieszczęścia zwałają nam się na głowę. Bóg nam pana zesłał i kiedyś za to wszystko wynagrodzi, zobaczy pan.

Okazało się, że ona, ta pani Hilda, wyszła za mąż za swego obecnego męża, a mego klienta, w kilka lat po wojnie, kiedy ten pracował jeszcze jako agent handlowy w Mannheim. Ona była wdową wojenną, on samotny. Wychodząc za mąż za Leopolda Oppenheima, traciła wysoką rentę wdowią po nieboszczyku mężu, o ile wiem, pułkowniku lotnictwa. Pan Oppenheim w tym czasie, podejrzewam, z obawy przed wydobyciem na wierzch spraw z przeszłości, nie poczynił żadnych starań o rentę inwalidzką, zresztą niezbyt wysoką, tą, jaką ma obecnie/Zarabiał chyba nie tak wiele jako agent handlowy. Żadna pozycja społeczna, nędzne perspektywy. Był to niezawodny dowód jeśli nie wielkiej miłości, to w każdym razie uczucia wyższego rzędu ze strony pani Hildy. O tym wszystkim dowiedziałem się z jej ust zaraz w czasie pierwszej wizyty u mnie.

Powiedziałem, że sprawa wydaje mi się niewątpliwie do wygrania, jeśli tylko nie zajdą nieprzewidziane okoliczności. Jakież na przykład paskudne, nie znane mi szczegóły, jakiś nowy naoczny świadek, coś w tym rodzaju, w ogóle szpetny kawał, jak to się mówi. Dlatego właśnie, by mieć pewność, wymagam pełnej szczerości. Nigdy bowiem nie można wszystkiego przewidzieć.

— Pan ma to w jednym palcu, panie mecenasie — powiedziała —• i dlatego właśnie... Uśmiechnąłem się powściągliwie.

Gdy zacząłem wypytywać o znane jej szczegóły działalności męża w czasie wojny, zachnęła się. Niewiele brakowało, a zaprzeczyłaby, iż jej mąż kiedykolwiek przebywał w jakimś tam Frydku czy Mistku, a może idzie o czeski Cieszyn.

— Wojna, sam pan rozumie, panie mecenasie. Ach, prawda, przepraszam najmocniej, wiem przecież, że pan nie brał udziału. Zapomniałam... Miał pan szczęście, ale inni?

— Względne szczęście, wie pani.

— Też wiem, ale to nie to samo. Wojna to straszna, okrutna rzecz. Mój pierwszy mąż, aż dwie wojny, w drugiej zginął, i niech pan powie, po co? Wojna to z samego założenia sprawa nieludzka, bezlitosna, ale wiemy oboje, iż takie są niestety jej odwieczne prawa, panie mecenasie. I nic na to nie poradzimy, nieprawdaż? A poza tym... Czego to ludzie nie wymyślą... Wszystkich nas bez wyjątku spotkało wielkie nieszczęście, pana również. I ja, niech się pan dowie, nie należę do tych zaślepionych w nienawiści, utrzymujących, że najbardziej i jedynie ucierpieliśmy my, Niemcy. To przecież nieprawda, więc po co tak mówić. Inni też. Cudzoziemcy. Ja ich, niech mi pan wierzy, bardzo szczerze żałuję, ja im naprawdę z całego serca współczuję. Byliśmy w stosunku do nich nielitościwi i okrutni. Była taka u mnie, jeszcze w czasie wojny, na robotach, Czeszka z Sudetów. Ale Czeszka prawdziwa, a nie Niemka sudecka. I ja jej szczerze żalowałam, gdy przyszło zawiadomienie, że jej mąż zginął w jakimś obozie. No więc dlatego właśnie mam prawo żądać teraz sprawiedliwości i dla mego własnego chorego męża, gdy straciłam pierwszego, a także

dziecko. Panu nie mówiłam, bo po co, teraz powiem: córeczkę straciłam. W czterdziestym piątym. Umarła na tyfus w czasie ewakuacji z Wrocławia, ze Śląska. Skłoniłem głowę, by dać dowód, że mnie to obeszło.

— Istotnie, to bardzo smutne i ja gorąco pani współczuję.

— Niestety ludzkie potrafi być nieogarnięte — powiedziała.

— Miejmy nadzieję, że chociaż tym razem... —■ dodałem podnosząc się z krzesła. Ona też wstała. Właściwie ładna jeszcze kobieta, zapewne koło pięćdziesiątki, lecz zadbana,

dobrze ubrana, szczupła. Taka, jak się mówi, rasowa. Nie ^m lubię tego określenia, lecz muszę stwierdzić, że pani Hilda

ⓂF Oppenheim może się jeszcze podobać.

Oboje — stwierdziłem po następnej, drugiej z kolei wizycie, którą mi złożyli razem państwo Oppenheim i ja dopiero wtedy miałem okazję poznać osobiście mego klienta — czują się najwyraźniej pokrzywdzeni i jakby obrażeni. Ⓜ Przez 10s, a także fakt jej wdowieństwa i jego inwalidztwa.

Jej dom, gdzieś tam we Wrocławiu, wszystko w ogóle, ^tco tam było, przepadło, rzecz jasna. Były mąż, ten lotnik, miał znowu kamienicę w Bremie. Też ją straciła. Został plac, dom zburzony doszczętnie, podobno aż do piwnic. W tym domu moc drogocennych mebli, obrazów, broni. Podobno istne muzeum. Bo tamten nieboszczyk był kimś, kogo ona zaliczała do półarystokracji. Nie wyjawiała mi nazwiska, a ja nie pytałem, bo po co mi ono. W sprawie, jakiej się podjąłem, nie odgrywa najmniejszej roli.

— Nawet zwłok mego pierwszego męża nie znaleziono, wie pan? — I po chwili: — Spadł do morza wraz z aparatem. Wracał znad Londynu. To było jeszcze latem 1940.

Pochyliłem głowę, udając, że czegoś szukam w aktach.

— A mój drugi mąż — sam pan widzi — ma zdrowie całkowicie zrujnowane. Stuprocentowy inwalida. I na domiar to oskarżenie, choćby nawet i wynik procesu był, jak pan mecenas zapewnia, korzystny dla nas. Co z tego? Taka udreka!_ Po tylu latach! — Wybuchła nagle: — Niechże się om zastanowią! Czy mój mąż może wszystko dokładnie pamiętać? Czego oni od niego żądają? Nie pisał przecież pamiętników! Czy oni powariowali? A już miała być, wszyscy obiecywali, ta amnestia... I teraz znowu!..

Milczałem, bawiąc się piórem, no bo cóż mogłem na to poradzić.

Oni oboje spodziewają się, rzecz jasna, wyroku uniewinniającego, o to są najzupełniej spokojni, zwłaszcza że mają, Bogu dzięki, takiego adwokata. Że oddali sprawę w tak niezawodne ręce... Ale Koblenca to małe miasto. Prowincja. Plotkarska dziura, co tu dużo mówić. To nie Frankfurt czy Monachium albo Hamburg. Ludzie wszystko o wszystkich wiedzą. Nudzą się, więc plotkują. Wszyscy bez wyjątku. Sami plotkarze. Konkurencja, mimo niezłej, Bogu dzięki, koniunktury gospodarczej, nie śpi. Jakiś, jak się okazuje, Buffet* tylko na to czeka.

— Co to za jeden?

—A taki w banku, pan go nie zna, on nie znosi mego męża, zazdrości mu, pragnąłby go wygryźć. A tu jak na złość jeszcze te wybory na karku... Ach nie, co też znowu, mój mąż nie ma zamiaru kandydować, on? Jest, jak pan widzi, człowiekiem może nie tyle starym, co chorym... Zresztą nigdy nie mieszał się do polityki. Pan nie uwierzy, on nigdy nawet nie głosował. Dopiero tej jesieni, jak Bóg zezwoli wykaraskać się z tej biedy, pójdzie po raz pierwszy do urny. Ale, widzi pan, jego szef, dyrektor N-. Byłoby mu bardzo nie na rękę, zwłaszcza teraz, przed wyborami, gdyby tamci rozdmuchali aferę. Jacy tamci? Konkurencja. A to się łatwo może zdarzyć... Pan wie, panie mecenasie, jaka prasa potrafi być wścibska... Nasz własny ..Rheinischer Mer kur" chyba nie, tam mamy znajomych, ale prasa lewicowa, pan rozumie... Że też to nie jest prawnie zakazane, takie publiczne wywlekanie spraw, bądź co bądź, prywatnych. Więc szef męża byłby niepokieszony, gdyby się to rozniosło, że jego prawa ręka, zaufany prokurent tutejszej filii banku, wplątany w takie coś... Że nie potrafił jakoś temu zapobiec.

Pani Hilda raczyła mi wytłumaczyć jak najdokładniej i w zaufaniu kulisy całej sprawy i jej aspekt zarówno natury politycznej jak i prywatnej. Zwróciła mi między innymi uwagę na delikatność jej osobiście sytuacji Rodzinnej również, a także. Jej syn....

Nie miałem pojęcia, że mają syna. Nie, to jej syn z pierwszego małżeństwa, on jej jedynie pozostał po stracie córki. Dziś to człowiek dorosły, żonaty i dzieciaty, na wysokim stanowisku. Nie, nie tutaj. Mieszka w Bremie. Rodzinne miasto ojca. A tak Może pan o nim słyszał, mecenasie? Nie? Roboty portowe na dużą skalę. Dźwigi i skrzynie kontenerowe, a także różna aparatura pomiarowa. Ona się na tym nie zna, ale wie, że to duże interesy. Jej syn jest udziałowcem. Bardzo wybitny fachowiec. Nie słyszałem, ale pojmuję, proszę pani. Tak, to przykre istotnie. Opinia. Taki ojczym, bądź co bądź... Właśnie, to chciałam powiedzieć — opinia. Zaskoczenie. Bo on, panie mecenasie, nie wie o niczym, Bogu dzięki.
— O czym? — spytałem podnosząc wzrok znad papierów. — Że pani obecny mąż w czasie wojny... —r Ach nie! Skądże znowu! — przerwała mL — Nie o to

lidzie. Mój syn tego nie wie, że jego ojczym, którego szanuje, do którego jest przywiązany jak do własnego ojca, ma obecnie takie przykrości. Że go ktoś podły zadenuncjował... Pan mnie chyba rozumie, panie mecenasie, jaki to byłby dla niego cios, gdyby się dowiedział, że jego ojciec musi odpowiadać przed sądem? Co za szok...

— Rozumiem panią. Oczywiście. To istotnie przykra sprawa.

— No więc właśnie. Tak sobie myślę, panie mecenasie... Gdyby się udało, sama nie wiem, czy to byłoby możliwe — jakoś tak w drodze pozasądowej, bez rozgłosu, publiki, prasy... Jeśli się tak można wyrazić niefachowo — tak odręcznie.

— Niestety, niestety, proszę pani, tego się nie da w żaden sposób załatwić. Niech państwo na to nie liczą — przerwałem jej twardo.

Zasepiła się. Jej mąż milczał nieporuszony z kamiennym wyrazem twarzy przez cały czas naszej rozmowy. Być może zresztą, że to wrażenie powodowało sztuczne, nieruchome oko i częściowy paraliż mięśni twarzy. Brak mimiki. Maską.

Wstałem spoza biurka. No cóż, postaramy się zrobić w sprawie męża pani, co tylko w naszej mocy.

Tak jakoś. Podobną formułkę stosuję od lat. Zwykłem kończyć nią rozmowy z klientami. Jak w recepcie lekarskiej — ingrediencje, to i tamto, a ponadto — massa tabulettae. Przyzwyczajenie. Rutyna. Użyłem jej zwracając się wyłącznie do pani Hildy, która podniosła się również z fotela, gdy on jeszcze siedział nieruchomo. Tylko do niej, jakby go wcale nie było. Nie żebym go świadomie ignorował, tylko ponieważ w ogóle nie odzywał się. Chyba dlatego. Wyszli. A ja pomyślałem, chowając z ulgą teczkę numer 177/69: i ja, i prokurator Niedenthal, i tamta para, oboje Oppenheimowie, wedle intencji moich młodych przyjaciół, kolegów mego syna, Ernesta — wspólnie jako jeden bagaż na łodzi czy też barce holowanej na pełne morze pod strażą. — Żeby szybciej z tym skończyć -r, jak się raczył oględnie, acz z ironią wyrazić Turgieniew, zaś Fidel, mniej ulegający konwenansom, za które nawet karciał Turgieniewa, dodał wyjaśniająco, kierując swe słowa zresztą nie wprost do mnie — mnie uważał za zero, gorzej, za coś ze znakiem wartości minus: — Gnój — oświadczył — gównem i padlinę należy wywozić jak najdalej od ludzkich osiedli i polewać niegaszonym wapnem.

No tak. Żeby mieć z głowy. W końcu minęło tyle lat, a my ciągleśmy się jakoś nie uporali. — Zaczyna to być wręcz nudne, prawda? — to do mnie. Rozwiązanie praktyczne, po chińsku. Te męty, z którymi trudno było poradzić sobie w Kantonie, bo robactwo tego rodzaju rozpleniło się niepomiaralnie — tysiące i dziesiątki tysięcy — żyjąc na tratwach w takich budach, odpływało, gdy starano się ich eksmitować, jakoś wyłapać, a przynajmniej zliczyć, żeby z tej zarazy móc oczyścić miasto i rzekę — kurwy, handlarze opium, hazardziści i w ogóle, czy ja słyszałem o tym? — Ależ tak — gdzieś o tym czytałem. — No to powinien pan wiedzieć, jaki to był problem. Pływające tam i nazad, nieuchwytnie miasto, całe wielotysięczne, ogromne siedlisko zarazy — pan wie, co to takiego? No to trzeba było z tym skończyć. Wystarczyło ileś tam strzałów z kanonierek i ileś tam ton wylanej i zapalanej ropy czy mazutu na to, co jeszcze pływało po wierzchu. Fiut! — i nie ma problemu. A był — widzi pan? Męskie rozwiązanie zagadnienia, nie uważa pan?

— Może — potwierdziłem. — Zapewne. Ale panowie, jak mi się zdaje, upajacie się tym rodzajowym obrazkiem, ja- kiście sobie stworzyli. A ja tego nie widziałem, więc nie wiem. Panów natomiast sama myśl o tym podnieca. Czemu to?

— Bo widzi pan, nas czeka podobny problem do rozwiązania. My też mamy takie pływające miasta. Cała Bundes-republik kołysze się na takim naszym własnym Si-Kiangu. I trzeba będzie w końcu zdecydować i coś z tym zrobić. Za dużo draństwa, pojmuje mnie pan, na kupie. Śmierdzi. Cuchnie ta zaraza. Nie czuje pan? Niech pan otworzy swoje własne biurko, szafkę na akta — i raczy powąchać.

— Część tego ludzkiego gówna zdechła —• powiedział wtedy któryś z chłopaków, ucharakteryzowany na pazia. — Część jutro wyzdycha, i będzie fajno! Biologia — no nie? A resztę — moi kochani — to ja pieprzę.

Chętnie przystałem na to, przyjmując do wiadomości, że on pieprzy. Przyglądał mi się spod oka wylegując się na moim tapczanie, który kazałem tu wstawić, na wszelki wypadek, gdyby przyszło mi czasami zanoć w kancelarii Chłopak leżał na wznak z rękami podłożonymi pod głowę,

tylko w króciutkich slipach, zresztą nagi. Jakaś dziewczyna, siedząca obok niego, powoli i z uwagą, marszcząc czoło, małym zielonym grzebyczkiem rozczesywała jego faliste, miękkie włosy. Brała w dłoń po kilka pasemek i czesała każde z osobna. Teraz ten facet odepchnął dziewczynę z grzebieniem i wsparty na łokciu patrzył na mnie bez cienia życzliwości, czekając pewnie, co ja powiem. Gdy milczałem, oświadczył, kładąc się z powrotem na wznak: — Mama kurwa, tatko łobuz, świat do luftu. Scheisse noch a'mal. Normalka, no nie?

— Wzrusza mnie to niewymownie skonstatowałem. Wtedy Fidel, któremu tamten przerwał jego wykład przeznaczony dla mnie, a także chyba i dla całego gremium, powiedział karcąco: — Zamknij się, Rudi. Nie o to idzie, że ty pierdolisz, zrozum. Widzisz chyba, że facet nic a nic nie rozumie. Trzeba mu pomóc.

Innym razem, przy jakiejś innej okazji, również w mojej kancelarii, gdzie niestety w tym okresie niemal dzień w dzień odbywały się nieustanne konwentykle i dysputy, Fidel powiedział pod moim adresem, lecz jakby nie zwracając się do mnie, tylko gdzieś w bok, do ściany, ignorując moją osobę, gdy Ernest poganiał całe towarzystwo, żeby prędzej się zbierali, bo ktoś na nich gdzieś tam czeka, nie byłem ciekaw kto i gdzie — Fidel na marginesie tego zbierania się i wychodzenia: — Są tacy, którym się wydaje, że jak wyraźnie nie kradną, a przecież cokolwiek czynią, i tak kradną, okradają bowiem zawsze kolektywy ludzki, że jak osobiście nie rabują — a i tak rabują, tyle że w sposób niejawnym, chytry, więc jeszcze obrzydliwszy, co to ja mam wymioty na sam widok takich — o — i udał, że wymiotuje, chwyciwszy się za żołądek i dziwacznie wygiąwszy w ka- błąk niemal, tak że miałem jego rozczochraną głowę na wysokości kolan — pozwoli pan, iż rzygnę sobie, i już wychodzę. Ja bardzo przepraszam — wyprostował się nie bez trudu. Oczy miał lśniące, błędne. Zrozumiałem, że jest pod wpływem narkotyków. I to nie marihuany, marihuana to głupstwo.

Wróciłem do przerzucania pism na biurku, w oczekiwaniu, aż tamci sobie wreszcie pójdą, miałem pilną robotę. Pamiętam, że jedna z dziewczyn, gdy Fidel wyczyniał swoją dziwaczną ekwilibrystykę, zaczęła mnie, stojąc tuż za mną, delikatnie gładzić po głowie. Może by mnie pocieszyć, czy ja wiem. Odsunąłem się nieco. Jej bardzo biała ałoń o długich palcach zawisła nad moją głową. A potem znów mnie gładziła, zaczynając od czoła, a kończąc na karku. Udałem, że zajęty czytaniem, tego nie zauważyłem. Obawiałem się ośmieszenia. Czuję, że tamci — niektórzy przynajmniej — tylko czekają na jakiś mój gest zniecierpliwienia, zachęcić się, coś w tym rodzaju, jakiś nieopanowany a demaskujący mnie odruch. Więc cierpliwie pozwalałem się gładzić. Ba, ale tamtej — gdy inni zbierali się, a było ich z dziesięcioro i zaczęli już na szczęście istotnie powoli wychodzić, ociągając się i marudząc — nie wystarczyło gładzenie mnie jedną ręką po włosach, teraz dwiema rękami zaczęła coś w rodzaju masażu. Czoło, policzki, uszy. Końcami palców, bardzo delikatnie i powoli. Wtedy, mimo wszystko, mając tego dosyć, wstałem, oświadczając jej nieco opryskliwie, że nie mam czasu, mam pilną robotę, wobec tego prosiłbym, żeby sobie poszła. Była ostatnia z całego towarzystwa. Gdy inni schodzili po schodach, a nawet słyszałem przez otwarte okno ich głosy już na ulicy, ona jeszcze stała niezdecydowana w milczeniu koło biurka, oglądając sobie dokładnie wnętrza dłoni, sporych i bardzo miękkich. Zznałem ich dotyku przed chwilą, nader wprawnych, poruszających się z rutyną, fachowo. Przypomniałem sobie, że jedna z dziewczyn z grupy Ernesta uczyła się na jakichś kursach pielęgniarstwie, pewnie to właśnie ta. Obwąchiwała sobie po kolei palce. Może czuła mój płyn do włosów o przyjemnym zresztą zapachu lawendy. Widziałem, jak jej nozdrza poruszają się przy tym obwąchiwaniu długich, białych palców. Potem odwróciła się tyłem do mnie i nie mówiąc ani słowa wyszła.

Mocno rozdrażniony — a stan tego poirytowania niczym aż tak szczególnym nie był umotywowany — pomyślałem sobie: stanowczo wykazujemy zbyt wiele pobłażliwości dla tej rozpuszczonej, niby to zbuntowanej, kontestującej smarkaterii. To powracał we mnie niesmak, jak bywa nazajutrz po przepiciu niektórymi wódkami o bardzo wyraźnym smaku, na przykład po wypiciu zbyt wielkiej ilości węgierskiej barackpalinki czy francuskiego calvadosu, a także po alzackim kirszu. Czułem, że jeszcze trochę, a przeleje się ta ostatnia, przysłowiowa kropla czy urwie się przysłowiowe ucho dzbana i wygnam całą tę gromadę nierobów, a Ernestowi postawię ultimatum: albo zgodzisz się, że tamci nie

będą tutaj więcej przychodzić, koniec z tymi konwentykami, zebraniem, śmieciem w kancelarii, zadymianiem — a poczułem najwyraźniej dym z marihuany, już go nauczyłem się odróżniać — lub też, wybaczyć — zabieraj się wraz z nimi. Albo — albo.

Gniew narastał we mnie tak po połowie — przeciw Op- penheimom, a byłby czas przywyknąć już, tyle miałem gorszych spraw, mniej znośnych wizyt, typów naprawdę obmierzłych, gdy oni oboje, szczególnie pani Hilda, jeszcze od biedy ujdą, ponadto, co robić, to mój zawód, i to nieźle płatny, mój Boże drogi — przede wszystkim jednak narastała we mnie złość przeciw tym młodym ekstremistom. Im w głowie — tak sobie w irytacji myślałem — nieustanny polityczny karnawał. Rewolucja pojmowana jako happening. Bez gwałtownych słów i gestów nie ma dla nich podniecającej zabawy. Młodość przedłużona do maksimum, właściwie, w praktyce — ad infinitum. Żadnej odpowiedzialności za życie. Niech się starsi martwią, niech zarabiają, my ich za to będziemy potępiać, szkalować, poniewierać nimi, lecz jeśli idzie o środki utrzymania — a, to inna sprawa, z czegoś trzeba żyć, więc do czasu — dawajcie forszę. I wciąż przeciw. Przeciw obyczajom, istotnie dość zakłamanym, burżuazyjnym w swym modelu, przeciw społecznemu łaadowi w Bundesrepublik i na całym Zachodzie, przeciw gospodarczej stabilizacji. No cóż — i ja jestem zasadniczo przeciw. Tak, ale jakoś inaczej. Jak? Może po prostu rozsądniej. Inaczej w każdym razie.

Nudzą się, więc dla rozrywki — bo podejrzewam duży, bardzo duży margines rozrywki w tym, co robią, wbrew tej śmiertelnej powadze, z jaką głoszą swe hasła — wywołują wciąż sztucznie, przy każdej okazji, niezdrowy, historyczny stan podniecenia. Ich słowa, czyny, doktryny, czy właściwie są to pseudodoktryny, zlepkowe doktryny, nic więcej. — zmieniają się w akcesoria zabawy, jakiegoś nieustającego widowiska, rodzaj politycznego jam-session. Nie myślą nawet w perspektywie jakiegoś niesprecyzowanego i odległego zwycięstwa, by zastąpić nas. Gdyż byłyby kłopoty. Gospodarka, ktoś by jednak musiał coś produkować, a im się nie chce; realna polityka, administracja, komunikacja, zaopatrzenie, łączność i tak dalej — a oni głoszą i wyznają a- narchię; tysiące koniecznych do wydania decyzji, załatwianie bieżących spraw, wszystko to spadłoby na nich, a im to ani

112

w głowie. Im tylko fantastyczna utopia, zabawa, nieustające dyskusje bez cienia odpowiedzialności za słowa i czyny. Ideą, jak sądzę, byłoby dla nich, żebyśmy my, którzy pracujemy, zarabiamy i utrzymujemy ich, żyli nadal w charakterze niewolników bez prawa głosu i decyzji. Stado robotów popychanych i poszturkiwanych, ośmieszanych, wykpiwanych. Byłby to niezawodny ideał życia, do którego jednak nikt z nich nie chce głośno się przyznać. Gadają bez ustanku o rewolucji, ale pod warunkiem, że ktoś inny będzie załatwiał za nich wszystko, co wymaga systematycznej pracy, i kto, pracując, byłby jednocześnie wygodnym, bo pod ręką, obiektem krytyki, drwinek, opluwania i stawiania pod pręgierzem. Cała ta akcja, ta kontestacja — mimo nieraz groźnych pozorów — jest wyraźnie akcją na niby i być może również dowodem chęci zachowania praw niedorobłości, niedojrzałości za wszelką cenę i jak najdłużej.

Niektóre studenckie teatryki-efemerydy reprezentują ten styl myślenia, którym tak zachwycają się i Klaus Friese, i jego żona, i nawet — bo przyznał mi się wyraźnie do tego — prokurator Niedenthal. I Leni też. To ona przecież nakłoniła mnie, bym we Frankfurcie poszedł z nią na przedstawienie do kabaretu „Die Schmiere”. Podała się jej bardzo, mnie nieco mniej. I jeszcze później, w Kolonii, jakaś grupa bardzo ekscentryczna. Te ich melodeklamacje, efektowne, jeśli nie efekciarskie wystąpienia polityczne, protesty i manifesty, Wietnam i Birma, Malaje, a także Nigeria i amerykański imperializm i tak dalej, i tak dalej. Otóż te często istotnie znakomite teksty i ich wykonanie są jakby przedłużeniem, nie — raczej, powiedziałbym, sublimacją czy ekstraktem artystycznym tego stanu

podniecenia, tego wiecznego happeningu, jaki już nie na scenie, lecz w życiu pragnęliby kontynuować w nieskończoność młodzi.

A co gorsze — przynajmniej jeśli mowa o tym odłamie, do którego należy mój Ernest i cała jego paczka, że oni, w odróżnieniu od nierobów mniej agresywnych, bardziej, jak bym powiedział, kontemplacyjnych, na przykład różnych odcieni i gatunków hippisów, dzieci-kwiatów, członków sekty Zen i tym podobnych — że można w nich wyczuć narastającą agresję, wręcz kult agresji, a tu już jeden krok do kultu agresji dla niej samej, o czym pisze Marcuse, i nie on jeden. Na czym się to może skończyć? Na ujawnieniu

^HI

niewyżytych, ukrytych gdzieś głęboko tęsknot totalitarnych? To właśnie mnie najbardziej martwi. Pragnąłbym przeniknąć myśli i zamiary Ernesta, o innych mniejsza. On nad nimi wyraźnie góruje. Lecz czy ja znam bodaj pięć procent myśli mego własnego syna? Co w nim siedzi, co się w jego głowie i w jego sercu narodzi jutro, do czego dojdzie pojutrze? Nie wiem, nie wiem, nie wiem.

Na razie, zdaje mi się, wygląda to w skrócie mniej więcej tak: Mao jako prorok, nowy Mahomet, a może — niektórzy i tak myślą j|j| po prostu Bóg Ojciec, stwórcy Nowego Lepszego Świata, a co najmniej już Nowej Epoki. Wtedy Che byłby, powiedzmy, odpowiednikiem świętego Sebastiana męczennika albo jakiegoś świątobliwego derwisza tańczącego na rozżarzonych węglach, a może byłby to po prostu Chrystus cierpiący za ludzkość, świadomie wybierający mękę dla zbawienia wszystkich, niosący swój krzyż na Golgotę. Kto wie? A kim byłby w takim wypadku Trocki, Lew Trocki, ten prorok rewolucji w permanencji, ostatnio, po roku 1968 szczególnie tak modny wśród młodych, że co sprytniejsze wydawnictwa, bynajmniej nie lewicujące, połapawszy się w porę w koniunkturze, rzuciły do księgarń, kiosków, nawet na dworce kolejowe, setki tysięcy egzemplarzy jego książek, w poręcznych, ^kieszonkowych wydaniach, bardzo tanich, bo masowych? Janem Chrzcicielem zapewne. Torującym drogę, zapowiadającym nadejście Mesjasza. Nadejście przez duże N. Czego? Również przez duże J — Jutra. No tak, na pewno jutro, ale jakiego? Lepszego jutra — oni na to. A przynajmniej sprawiedliwszego. A gdy się to na razie nie uda, no to przynajmniej nie aż tak świńskiego, mniej obrzydliwego, mniej cuchnącego.

Gdy w 1968, tuż po zwolnieniu gmachów tamtejszego uniwersytetu, byłem w Hamburgu, mój przyjaciel oprowadzał mnie po pięknych, nowych gmachach przy Beneckestrasse i przy Schliiterstrasse kilka dni po ich opuszczeniu przez okupujących je studentów. Po salach, skąd wymiatano dopiero stopy ulotek, odręcznie pisanych kartek, gdzie wydrapywano i zamalowywano napisy na ścianach wewnętrznych i zewnętrznych. Różnej treści, często przeciwstawnej. W obronie praw Izraela do istnienia — przeciwko egipskim i syryjskim ekstremistom; lecz także inne — i to na całą ścianę, cztery metry na cztery — karykatura Dajana ze swastyką na rękawie, jako izraelskiego Hitlera. I wielki na wysokości pierwszego piętra napis na Instytucie Socjologii, imienia Karola Marksa, jeśli dobrze pamiętam — Marx-Lenin-Mao Institut. Napis widoczny z daleka. A przy stołówce studenckiej, na nowo otwartej po uprzątnięciu pozostałości po okupacji, po naprawieniu szkód — mała księgarnia, raczej kiosk przy szatni. Tam właściwie tylko Czerwone książeczki Mao i Dzieła Lwa Trockiego.

Spytałem mego przyjaciela, docenta uniwersytetu hamburskiego, czy i kiedy mają zamiar zlikwidować ślady niedawnej okupacji studenckiej, szczególnie te napisy na całej ścianie. Odparł, że chyba, na razie przynajmniej, nie. Te mniejsze — tak, no i kilkanaście wyraźnie obscenicznych* zwykle wyładowanie temperamentu przy okazji politycznych manifestacji, margines sexy, jak to zwykle bywa, jedno z drugim często się łączy. Mówią niektórzy, że zawsze, że od początku świata polityka splatała się z seksem, ale on, mój znajomy, twierdzi, że to przesada, że nie istnieje jakieś iunctim, wyraźne prawo czy reguła. Różnie bywało, tak jest, czasy średniowiecza, biczdwnicy i tak dalej, to fakt, ale i rezultat ascezy. Obecnie mowy o tym być nie może, więc najwyżej jakiś dodatkowy, przy innej okazji protest przeciw dotychczasowej konwencji obyczajowej, już i tak podkopanej od spodu, właściwie nie istniejącej w poprzednich formach. Szło raczej — jego zdaniem — o stwierdzenie przy okazji, że wszystko wolno, o zaszokowanie opinii, wywołanie zgorszenia, protest, zgrywę — tak to określił — podobnie jak niegrzeczne dzieci wywalają język na starszych. Jeśli zaś idzie o te wielkie napisy — na przykład uzupełnienie nazwy przez

dorzucenie nowych patronów — Lenina i Mao — do Marksa na Instytucie Socjologii, to całkiem inna sprawa. Powiedział mi śmiejąc się:

— Rektor i cały senat zgodnie doszli do zdania, że lepiej niech już zostaną te napisy. Już je znamy, przywykliśmy, mało kto je czyta, zauważa, chyba nowi, jak ty. A gdybyśmy zaczęli zamazywać, wyskrobywać, zamalowywać —»nic by nie pomogło. Natychmiast.— a próbowaliśmy w pierwszych dwu dniach tak właśnie zamazywać i wyskrobywać

— oni w nocy malowali nowe, gorsze. Na złość, na udry. Nie dalibyśmy rady. Nie myśl, że to łatwo wymazać coś. takiego. Oni używają do tego celu szpryc do lakierowania karoserii, a także malowania kadłubów statków. Tego nie da się ani wymazać, ani wydrapać. Dostali, ukradli czy

„V odfcf i
m
sr M
W SI
n ś Z t
r i i i
£ W

wyłudzili od robotników w dokach. Żebyś wiedział. Przychodzili i z odległości trzech, nawet czterech metrów pod ciśnieniem puszczały mocny prąd, i w kilka sekund byli gotowi. Zrezygnowaliśmy z walki dosłownie po dwu dniach. Nie pomogły całnocne dyżury woźnych. Tamci najspokojniej skierowali swoje szpryce mechaniczne na tych biedaków. Jednemu ledwie z trudem uratowano wzrok. Farba pod dużym ciśnieniem załała mu oczy. A zatem widzisz, jak to się przedstawia.

Niektóre szczegóły bardzo zabawne. Opowiadał mi przyjaciel, że widział manifestację jakiegoś odłamu młodzieży. — Chłopcy, ale nie tacy jak hippisi, ci, co to z długimi niechlujnymi brodami i kudłami, w łachmanach i obwieszeni świecidełkami czy dzwoneczkami. Wcale nie. Całkiem inni. Chłopaki w robotniczych kombinezonach albo skórzanych kurtkach umazanych po wierzchu smarami lub pochłapanych wapnem, by je upodobnić do robotniczych. Taka moda w niektórych grupach — a jest tych grup podobno ponad sto w samym Hamburgu! Dziewczyny też takie jak ich partnerzy: niby to robotnice. Kombinezony, bluzy, najwyżej dżinsy. Żadnych toreb, torebek, chyba że płócienne chlebaki, takie jakie noszą dokerzy na butelki z piwem i chleb. Ale to jeszcze nic. Słyszałem okrzyki, stojąc na tro- tuarze. Widziałem cały pochód. Hasła niewiele różniące się od innych. Za to dwie dziewczyny, ale jakie! — powiadam ci, jeśli mamy teraz tyle ładnych dziewczuch, to te dwie były chyba najładniejsze z ładnych, nie mogłem od nich oczu oderwać, studentki socjologii, widywałem je na wykładach, ale, jak się okazuje, nie doceniłem — bardzo poważne, z oczami wzniesionymi w górę, jakby stamtąd miało na nie spłynąć objawienie, coś nadlecieć, anioł zwiastowania na przykład — tak sobie myślałem patrząc na nie — brwi zmarszczone, mars na czole, pojmujesz — ot, dałbym ja wam, dałbym, pokazał wam przy egzaminie! — a coraz bardziej mi się obie podobały, i to one właśnie — posłuchaj mnie teraz! — niosły na kijach ogromny transparent, wymalowany na płótnie napis na całą szerokość jezdni, na jakieś co najmniej trzy metry, napięty tak na tych drążkach, że zupełnie czytelny. Aż mnie zatkało. Nie zgadniesz nigdy. Posłuchaj, tam było napisane: „W trakcie miłostnego spazmu myślę zawsze o męczeństwie Lwa Trockiego I” — i profil tego faceta z wystającą, sterczącą bródką, sylwetka

w otoku korony cierniowej. Potem widywałem również medaliony, żółte, duże jak talerzyki deserowe, z takim Trockim w kolczastym, ciernistym wianuszkach. Ostatnio minęła aż tak jaskrawa moda na Trockiego, ale jego Dzieła wszystkie jeszcze niedawno miały pierwszą lokatę w wykazie sprzedanych książek, nie wyłączając kryminałów i podobnej im lektury sensacyjnej. I to nie tylko tu, u nas, w tej księgarni przy uniwerku, którą przed chwilą oglądaliśmy — sam to widziałeś — lecz i w innych księgarniach specjalizujących się w wydawnictwach dla młodzieży uniwersyteckiej. Wiek się zresztą najwyraźniej obniżył, bo i młodzież gimnazjalna pod względem zainteresowań i lektur upodobniła się ostatnio do uniwersyteckiej. Co chcesz, od naszych czasów świat obrócił się o sto osiemdziesiąt stopni. Studenteria dziś to problem. To potęga. Ty wiesz, ile setek tysięcy mamy ich u nas?

Ten mój stary przyjaciel, dzisiejszy docent z Hamburga, był niegdyś moim kolegą na wydziale prawa przed wojną i obaj byliśmy członkami związku młodzieży komunistycznej, obaj pochodzimy z Berlina, z tej samej nawet dzielnicy, i obaj trafiliśmy w tym samym roku

do więzienia, tylko że jemu jakoś udało się potem uniknąć obozu. Jest docentem najstarszym chyba stażem i wiekiem w Hamburgu i nie wiem, czy uda mu się uzyskać kiedykolwiek katedrę. Ale on nie narzeka. Ma zamiar pozostać na zawsze już w tym mieście, które polubił.

Z niejakim niepokojem obserwuje — jak mi się zwierzył — ruchy młodzieżowe. To było w roku 1968, ta nasza rozmowa na terenie uniwersytetu w Hamburgu, i on był jeszcze bez wątpienia pod mocnym wrażeniem tego, co się tam niedawno działo. Znalazł się w zajęтым i okupowanym gmachu, w wielkim audytorium, we wspaniałej, nowoczesnej auli na ileś tam osób, chyba więcej niż tysiąc, ha pewno więcej, w tłumie rozdygotowanym na nieustannym mityngu w zaduchu, gwarze. Nie mógł wyjść. Był kimś w rodzaju mediatora. Nic mu wprawdzie nie zrobili, ale molestowali, zasypując pytaniami, domagając się natychmiast odpowiedzi, z góry potępiając. Uważając go za rodzaj zakładnika, nie chcieli wypuścić. Siedział z nimi, nim zdołał się stamtąd wydostać, aż dwa dni i dwie noce, wyszedł znękany i wyczerpany do cna. I teraz widzi wiele spraw w znacznie czarniejszych bar-

I wach niż ja, mimo że ja mam pod bokiem mego Ernesta i jego grupę, a on tylko swoich słuchaczy, ludzi bądź co bądź osobiście mu obcych. Utrzymuje po tym, co usłyszał w 1968 i co widział, iż wbrew temu, co niektórzy twierdzą, zbyt ufni i wygodni, by myśleć do końca i w sposób realny, ci złudzeni pozorami uspokojenia, iż przeciwnie — nie wymarły u nas całkowicie bakcyle zła, żyją utajone, jak to bywa z niektórymi odpornymi na zimno i gorąco bakteriami. W zmienionej, rzecz jasna, formie — gdy tamta dawna, spod znaku swastyki, istotnie na tyle została zdewaluowana li skompromitowana, że nie może u nas odrodzić się w identycznej postaci. Recydywa nigdy jednak nie jest wykluczona.

— No to co robić? — zapytałem nie oczekując zresztą od niego konkretnej recepty.

Powiada: sprawa tolerancji. Taki na przykład problem. Gadaliśmy na ten temat z moim hamburskim eks-kolegą przy piwie w niewielkiej restauracji blisko uniwersytetu, gdzie bywają przeważnie asystenci, adiunkci i docenci. Profesorowie mniej. Oni odwiedzają raczej inne lokale w mieście. Studentów tu się nie widuje na ogół. Tam więc wieczorem siedzieliśmy obaj, było pustawo, cicho, jak w kurorcie po sezonie. Piliśmy Spaten, znakomite piwo, wspominając czasy monachijskie, gdy spotkaliśmy się zaraz po wojnie, jakoś tak chyba w 1946. Zimne, nie za lekkie, nie za ciężkie, nie za gorzkie, nie za słodkie. Takie w sam raz. Prima. Można wypić litr, dwa litry — i głowa nie ciąży. Kelner zatrzymał się przy nas, przysłuchiwał się, o czym mówimy, znał mego znajomego, stałego tu klienta. Spaten, a może panowie woleliby Loven-Brau? Mamy również nasze, hamburskie. Panowie spróbują. Też niezłe. Woleliśmy jednak pozostać przy Spaten. Zatem — wracając do tematu — mówiliśmy o tolerancji. — Niektórzy — powiedział mój przyjaciel — z moich kolegów na tutejszym uniwerku utrzymują, zwłaszcza teraz, po tym, co u nas zaszło kilka miesięcy temu, że w Bundes- republik ściga się wyłącznie za wykroczenia przeciwko porządkowi publicznemu, na przykład za złośliwe zniszczenie cudzego mienia, no bo to nietykalna świętość jak dotąd, za zamachy groźne dla życia i zdrowia współobywateli, to chyba jasne, i za tym podobne jaskrawe wyskoki podlegające karze w przestarzałym już — chyba nie zaprzeczysz mi? — kodeksie karnym. A więc znów, jak przed laty, jak za czasów weimarskich — pamiętaj, powtarzam słowa nie moje, lecz moich kolegów — pozostajemy bierni i bezradni wobec niebezpieczeństwa, które narasta. My, którzy pamiętamy i powinniśmy się byli czegoś nauczyć. Więc jak? Jasne — mówią tamci — powinno się uprzedzać, tłumić w zarodku. Wypalać rozpalonym żelazem, czy ja wiem, co jeszcze? Wyświecać z miasta. Może wprowadzić na przykład z powrotem karę chłosty, i to koniecznie — publicznej, może klatki, do których zamykałoby się skazanych, by wszyscy mogli opluć ich do woli i na wydziwiać. Jednym słowem — jak widzisz — apele o wznowienie represji Już ja widzę różne byłe hitlerówki, stare wiedźmy, weteranki ruchu, instruktorki BDM, zgłaszające się na ochotnika, z trzcinami i pejcami, te które postarzały się, nie mogą zapomnieć i chciałyby się włączyć. Pamiętasz chyba — sprzed lat — tę ich cnotę, czystość i tak dalej. Ja im, tym moim kolegom, mówię na te ich piękne marzenia o czystce, terrorze, karcerach i chłostach publicznych tak: boicie się, ale kogo? Własnych dzieci? Tej szczeniakerii? — Byłem wśród nich i gadałem z nimi. Dobrze! Ja wiem. Ja też obawiam się, że z tego, cośmy widzieli — a to, pamiętajcie, nie był jeszcze faszyzm, cokolwiek by o tym można powiedzieć i wbrew pozorom — na pewno nie faszyzm, ja go poznałem niezłe, więc wiem, jak wygląda — boję się raczej anarchii, ale czy na anarchię należy odpowiadać terrorem, to inne zagadnienie. Boicie się zagrożenia establishmentu, to fakt, i o to wam właściwie wyłącznie idzie. A mnie nie. I ta jest między nami, moi panowie, różnica. Za krzyczeli mnie. Pamiętają, niektórzy co najmniej, kim byłem przed wojną, jakie miałem zapatrywania. Czekasz więc na rewolucję? Gratulujemy!

Słuchałem mego znajomego z uwagą, popijając znakomite zimne Spaten, i tak sobie rozmyślałem, dość przekornie, o sobie samym: słuchaj no, przyjacielu, czy ty aby sam nie

sądzisz podobnie jak tamci? W chwili irytacji na tych różnych Fidelów, Turgieniewów, że ci bałamuca twego Ernesta, a chciałbyś, żeby był inny, ale jaki — przyznaj no się — taki jak ty? No, nie, me taki zupełnie, a zatem jaki? Taki jakim ty byłeś w jego wieku? Może taki właśnie. No więc widzisz. A że on jest trochę inny, więc masz o to pretensję do tamtych, którym on przewodzi, najwyraźniej nad

nimi góruje spokojem, siłą woli, wrodzonym autorytetem, i to cię skrycie cieszy, z tego jesteś jednak, mimo niepokoju o jego przyszłość, dumny, lecz i martwi cię to, bo taki charakter, takie uzdolnienia wodzowskie mogą okazać się w przyszłości niebezpieczne. Zatem popadasz w rozterkę. Takie nieco skomplikowane uczucia tobą miotają. Więc myślisz w rezultacie tej rozterki i irytacji podobnie jak ci koledzy twego przyjaciela, docenta socjologii w Hamburgu, również przestraszonego chyba tym, co oglądał kilka dni temu, gdy był więźniem tłumu studentów, dla których przestał być wykładowcą, a stał się obiektem nacisku, rodzajem tarczy strzelniczej. A przecież z wielu motywami ich buntu zgadzał się, lecz nie mógł się do tego przed nimi jawnie przyznać, by nie uchodzić w oczach tych młodych, wzburzonych i zdecydowanych na wszystko za lizusa, za tchórza, który im się stara przypodobać, który się najwyraźniej lasi i płaszczy. Więc przyparty do muru użerał się i odgryzał, milczał, gdy nie znalazł żadnej rozsądnej riposty, ustępował przed ich atakami krok po kroku.

Jeśli o mnie idzie — a te myśli nakładały się na słowa mego przyjaciela, który nadal mówił o niebezpieczeństwie nietolerancji, jakiej domagają się jego koledzy z katedry ja sam, pod wpływem gniewu, irytacji, mimo tego, co teraz on mówił, i faktu, że nie zgadzam się z żądaniami jego kolegów, być może istotnie, jak tamten utrzymuje, zastraszonych burżujów, obrońców ładu nawet za cenę terroru, wzywających przy byle okazji pomocy policji — byłbym jednak, mimo wszystko, również za wzięciem w tryby tych młodych zbyt już pozwalających sobie na wszystko. Po prostu za założeniem kagańca czy za postawieniem prawnej bariery, za zacieśnieniem rygorów, tak jest, rygorów, które — to mi podszeptał natychmiast zmysł przekory, mam go na szczęście, jeszcze go nie utraciłem wraz z tą odrobiną humoru, która mnie ratuje w sytuacjach trudnych — które jako obrońca karny byłbym natychmiast skłonny uchylić, obejść, wydobyć moich młodych klientów — in spe, in spe!, rzecz jasna, gdyby mnie poprosili o pomoc! — wyratować ich z opałów, z ograniczeń, jakie bym sam im z taką radością nałożył. Czy przypadkiem nie świadczy to o hipokryzji obrońcy karnego, każdego bez wyjątku, jak to sugeruje taki na przykład Turgieniew? Ernest zresztą również. Co tu gadać, to fakt, że jakaś doza hipokryzji niepostrzeżenie rodzi się, kielkuje i wzrasta w umyśle większości zawodowych obrońców karnych. Chwilami przylapuję się na tym, iż rozumiem podwójnie, a raczej w sposób równoległy; dwa obok siebie strumienie świadomości, czy raczej odczucia, płynące niezależnie, nie krzyżujące się nigdzie ani nie stykające; raz rozumiem jako tak zwany zwykły, uczciwy człowiek, który zastanawia się i stara przewidywać w sposób, rzekłbym, normalny i prawidłowy — zaś obok, jednocześnie i z tą samą wewnętrzną świadomością, tylko jakby umieszczoną na innym piętrze, już jako zawodowy obrońca. I jako taki, rzecz oczywista, zaczynam wchodzić w zupełnie inną skórę i wrażliwość, wyczuloną na inne motywy, a raczej są to raczej niemal identyczne, lecz widziane jak gdyby z profilu, gdy poprzednio oglądałem je en face. Zaczynam rozumować w sposób, który można by nazwać krętackim, przemyśliwując, jak by tu najchytrzej oszukać sprawiedliwość, której jako tamten zwyczajny i sprawiedliwy, szeregowy obywatel podsuwałem, a nawet nadal równoległe i jednocześnie podsuwam, argumenty zmierzające do zaostrzenia sankcji w imię powszechnego, zagrożonego przez anarchię dobra.

A jak to właściwie wygląda z tą tolerancją, której domaga się jedna moja połowa, gdy druga wzdraga się przed jej stosowaniem zbyt liberalnym?

Marcuse w swym eseju *Kritik der reinen Toleranz* wyraził się, o ile dobrze zapamiętałem — że wolność i tolerancja mają w praktyce charakter represyjny. Wygląda to z pozoru na absurd, a jest, jak sędzę, całkowicie uzasadnione. Mianowicie, jeśli każdy ma prawo bezkarnie mówić, co zechce, głosić teorie, jakie mu się tylko podobają, i rozpowszechniać je, wydając manifesty światoburcze, dla nieprzywykłych wręcz świętokradcze i szokujące —

wówczas słowa ulegają dewaluacji, hasła wraz z nimi również, tak iż w końcu wszystkie sytuacje stają się względne i tracą swą ostrość. Wszystko się rozgadnia, roztopia, banalnieje.

Przykład jeden z wielu: kobieta na plaży, w bikini, że ledwo, ledwo jakieś fragmenty ciała są zakryte, a i to niezupełnie; i to na nas przestaje robić jakiegokolwiek wrażenie wskutek opatrzenia i związania tradycyjnego ubioru plażowego, w tym wypadku bikini, z sytuacjami na plaży; ta sama zaś kobieta, w innych całkowicie okolicznościach, na

przykład w restauracji hotelowej, na ulicy lub w wagonie kolejowym, jeśli doprowadzi swój strój do stanu, jaki jest naturalny na plaży, wzbudzi niezdrową sensację, otoczenie będzie zaskoczone i albo podniecone, albo zgorzone, będąc jednocześnie niezdrowo podekscytowane. Ta sama kobieta i dwie różne reakcje wynikające z tego samego dezabilu; idzie o tradycję oraz konwencję odpowiednią do sytuacji. Najwyraźniej tolerancja, stosowana wobec stroju na plaży, gdyby została rozszerzona, spowodowałaby spadek zainteresowania. Oto niewątpliwe rezultaty tolerancji.

Wracając do spraw seksu: zmiany obyczajowe, jakie nastąpiły w ostatnich kilkunastu latach i objęły co najmniej dwie generacje powojenne w całym niemal świecie, przyniosły automatycznie obok rozluźnienia norm w tej dziedzinie — co ja osobiście uważam za na ogół korzystne i postępowe — także i stopień bodźców. Zauważam, na przykład u młodych, których dzięki Ernestowi miałem sposobność obserwować niemal na co dzień, tym bardziej skutecznie, iż się mnie zupełnie nie kępiją, taki właśnie nieuchronny proces. Dziewczyny rozdzwiewają się przy byle okazji, w filmach ogląda się sceny, jakich nasi ojcowie nie mogliby nigdzie zobaczyć poza burdelami, to samo na scenach teatrów i kabaretów. Strip-tease, który ileś tam lat temu, bodaj nawet jeszcze tuż po wojnie, był czymś szokującym, dziś uważany jest za naiwną i nudną starzyznę. Pornograficznych filmów nie ogląda prawie nikt poza cudzoziemcami oraz pewną kategorią maniaków. Sale kinowe z tego rodzaju produkcją, niegdyś przepełnione, świecą pustką. Można więc zauważyć reakcję wsteczną, odwrót. Będąc niedawno we Frankfurcie, przechodziłem obok Haupt- wache, gdzie mieszczą się aż cztery kina i tuż obok sklepy z towarem porno i sexy. Aż w trzech salach nonstop szły filmy takie, jak — o ile dobrze zapamiętałem — osnuty na tekście Henry Millera film Ciche dni w Clichy, na pograniczu pornografii, lecz jeszcze o jakichś tam ambicjach niby to artystycznych i zachowanych pozorach, dalej — Zygfryd i życie erotyczne Nibelungów — całkowita pornografia bez obsłonek, zupełna szmira, zaś trzeci, którego nie oglądałem, lecz wystarczyły mi same fotosy, by się w tym zorientować — to grany ostatnio i u nas, w Koblencji, w kinie „Capitol” przy Althohrort — Raport pokojówki. I na tych filmach, idących, o ile wiem, od samego rana

do późnego wieczora, sale były, jak mi powiedziano, puste, na każdym seansie po kilka, najwyżej kilkanaście osób, zaś w czwartym kinie w tym samym budynku dawano jakiś sentymentalny film o chłopaku, który potrafił pogodzić rodziców, gdy się rozeszli, a posługiwał się w tej akcji wiernym psem, który również bolał nad rozejściem się swych państwa, a także poradami jakiegoś grajka ulicznego oraz młodziutkiej panienki, istnego aniołka, która to dziewczynka niewiniątko wspomogła bohatera filmu w zdemaskowaniu kochanki ojca. Cnota nagrodzona, stało uratowane, wszyscy szczęśliwi. Otóż na tym sentymentalnym kiczu już na seansie o godzinie jedenastej rano było pełno. Przed kasą — ścisk. Kto się tłoczył do okienka? Starzy ludzie? Samotne kobiety? Nic podobnego. Młodzież, chłopcy kilkunastoletni, żujący gumę i obejmujący swoje partnerki. Obok — amerykański podoficer. I kilku naszych żołnierzy. Prawie sami młodzi. Samotni i parami. Co się stało? O czym to świadczy? Tamto obok, dawniej owoc zakazany — przejadło się? Osiągnęliśmy jakiś punkt szczytowy, w którym bodźce wciąż wzmacniane, dawki ciągle poddawane przestają oddziaływać na wyobraźnię? Rezultat i tu tolerancji w dziedzinie tym razem seksu. Odwrót w stronę love story.

Dziś na występach strip-teasowych można spotkać przeważnie klientelę trzeciej kategorii. Na twarzach widzów obserwuje się obojętność i znudzenie, sytuację ratują mało zblazowani, a o dużym temperamencie robotnicy cudzoziemscy* głównie Jugosłowianie, Włosi z Południa i Turcy. U młodych, a mogłem to zaobserwować w grupie Ernesta, seks odgrywa rolę, jak bym to określił, sprawy tak codziennej i naturalnej jak spożycie śniadania czy wypalenie papierosa. Bez wewnętrznego zaangażowania, bez emocji. Wyłącznie

partnerstwa ograniczona do minimum. Przechodzenie od partnera do partnera bez tragedii, jak zmiana odzienia. Topless nie robi wrażenia. Tyle co dłoń bez rękawiczki. Inne części ciała również. Jeszcze tylko same genitalia. Ich specyficzny kult. Szczególnie kult falliczny u dziewczyn. Przekonałem się o tym, gdy pewnego razu, czekając na otwarcie Starej Pinakoteki, spocząłem na skwerku na ławeczce, a obok siedziały dwie studentki. Nie krępijąc się mojej obecności, zwierzały się sobie wzajemnie z doświadczeń, jakie ostatnio poczyniły, podając dokładne wymiary członka pewnego aktora filmowego i snując po-

I równania w tej materii z intymną anatomią kilku znanych chłopaków. Potem spotkałem obie te dziewczyny w kolejnych salach muzeum, jak bardzo fachowo rozprawiły o obrazach, wykazując sporą wiedzę w tej dziedzinie. Może były to studentki historii sztuki, nie wiem.

Wracając do tolerancji: teoria Marcusego wygląda z pozoru na paradoks. A jednak ma on chyba wiele racji. Otóż (być może ekstremiści, przeczuwając, co się święci, jakie niebezpieczeństwa grożą im w ustrojach tolerancyjnych i liberalnych, obawiając się makiawelizmu władz, korzystając z tolerancji, jednocześnie usiłują za każdą cenę wywołać szok, reakcję, represje. Postulując — na przyszłość, w razie dojścia do władzy kiedyś tam — całkowitą nietolerancję, przez nieustanne prowokowanie opinii burżujów pragnących spokoju i wygody, przez ustawicznie ponawiane akty gwałtu starają się uniemożliwić stosowanie tolerancji wobec siebie. Stąd te liczne, na pozór nieskoordynowane, nieobliczalne i jak gdyby praktycznie całkowicie niecelowe odruchy, jak te chociażby z roku 1968. Te absurdałne hasła produkowane taśmowo, w stylu happeningowym, głoszące totalną anarchię i nihilizm. W tym szaleństwie wszelako, jak się zdaje, jest metoda. Sprowokowane społeczeństwo establishmentu — na to liczą niektórzy przywódcy i teoretycy kontestacji — straci wreszcie cierpliwość i miast gorszyć się, dziwić i narzekać, odwracać oczy z obrzydzeniem i niesmakiem, lekceważąc kudłatych proroków i nie domyte hippiski czochrające się publicznie, otumanione narkotykami i poziewające na widok mijających je ojców i wzorowych matek rodów mieszczańskich — zacznie reagować bezpośrednio lub wezwie do pomocy władze porządkowe. No i młodzi wyrosną na męczenników. A o to im idzie. Żaden ruch polityczny czy społeczny nie obejdzie się bez nich. Chrześcijaństwo bez prześladowań nigdy nie osiągnęłoby takiej popularności wśród pewnych klas społecznych. Tak samo niektóre sekty średniowiecza. Bez stosów i tortur inkwizycji ówczesni szaleńcy boży, kontestatorzy tamtej epoki, byłiby dawno zapomniani. Nasi młodzi gniewni, bez względu na ich różne odcienie, gatunki i odmiany, nie znoszą jednego: lekceważenia. Chcą za wszelką cenę być zauważeni. Żeby się z nimi jakoś liczone. Żeby ich przepędzano z miejsca na miejsce, jak to miałem okazję widzieć jakiś czas temu w Monachium, gdy policja, wyraźnie rozdrażniona innymi zresztą, lecz w tym samym czasie i tej samej dzielnicy, młodzieżowymi ekscesami — a działo się to późną wiosną 1968 — zaatakowała dość, przyznam, brutalnie całkowicie nieaktywną i nieagresywną grupkę hippisowskiej młodzieży, obozującą na trawnikach Theresien-Wiese niedaleko zabudowań wystawowych. Przejeżdżałem akurat obok, zobaczyłem, co się dzieje, zatrzymałem wóz na rogu Bavaria Ring i placu Esperanto i podszedłem blisko, na ile się dało. Zgromadziło się tam sporo widzów. Byli, o ile mogłem się zorientować po minach, a także głośnych uwagach, po stronie policji. Padały okrzyki podjudzające stróżów porządku, by użyli pałek, nie certoląc się z tymi brudasami, nicponiami, leniuchami, pasożytami. Szczególnie kobiety były wręcz zajadłe wobec dziewcząt hippisek, których na trawnikach rozłożyło się wianuszkami kilkanaście. Policjanci zbliżali się tyralierą, wyraźnie rozjuszeni poprzednim starciem z jakąś istotnie aktywną grupą młodzieży. Teraz okrzyki tłumu, poparcie udzielane im w akcji, spowodowały, że rażno ruszyli do natarcia. No i, gdy tamci nie mieli zamiaru ruszyć się, stawiając wyłącznie bierny opór, policjanci zaczęli dość gwałtownie i brutalnie ciągnąć ich za ramiona i nogi w poprzek zwirowanych ścieżek ku jezdni, gdzie już czekały policyjne wozy. Potem, kiedy trwało to zbyt długo, bo hippisi, nie broniąc się, nie chcieli jednak dobrowolnie ustąpić, poszły w ruch pałki. Więc krzyki. Piski dziewcząt. Najwyraźniej podniecenie dokoła mnie wzrastało. Jakieś dwie panie ruszyły na pomoc władzy. Pobiegły z parasolkami w rękę, wrzeszcząc. Nastrój był bliski linczu. Nie wiem, czym by się to skończyło. Na szczęście kilka rozsądnych słów oficera policji zapobiegło ekscesom roznamiętnionego tłumu widzów. Nie obyło się jednak bez tego, czego pragną kontestatorzy: aktów terroru ze strony policji, tym razem przeciwko najmniej aktywnej młodzieży. Gdy się zaczęła ta akcja, dziewczyny

drzemały z głowami na kolanach chłopców leżących na wznak i patrzących w niebo. Słyszeć było zaledwie jakieś leniwe pogwarki, poszczególne wyrazy, pomrukiwania, ciche nucenie. Żadnych krzyków. Senny spokój i bierność.

I na tę gromadkę spadła nagle lawina obrońców porządku z pałkami i w kaskach. Widziałem jedną z dziewczyn wleczoną po żwirze za ręce przez dwu policjantów. Usiłowała

stawiać opór, więc dostała kilka solidnych razów gumą po udach i pośladkach. Zwinęła się piszcząc, naprężając i starając się wyswobodzić. Wtedy aż czterech rosłych chłopaków w uniformach wzięło się do niej. Trzymaną za ręce i nogi, rozciągniętą w powietrzu, twarzą do ziemi, walili na odlew ile wlezie. Dziewczyna darła się wniebogłosy. W jakimś momencie pękły na niej dżinsy, odsłaniając nagie pośladki całe w pręgach od uderzeń. Wywołało to wesołość i entuzjazm widzów. Zaczęli skandować, bijąc brawo: — Mocniej ją! Mocniej! Jeszcze! Jeszcze! — Policjanci rzucali przytrzymanych jak toboły z hukiem na dno ciężarówki. Ocierali rękawami z potu czoła, unosząc kaski, po czym odjechali, zatrzasnąwszy drzwiczki policyjnej budy.

Tłum zaczął się z wolna rozchodzić. Słyszałem wokół siebie pochwalne głosy pod adresem władzy. Z lekkim żalem, bo jednak za mało tego było. Cóż to znaczy tych kilka gum. Ledwo poczuła tamta hippiska. — Szkoda, że tylko tyle. Ale spodnie na niej trzasły, widziała pani? — Na co elegancka dama rozsiewająca dokoła zapach wody kwiatowej: — Ja bym jej dołożyła tak, żeby przez miesiąc usiąść nie mogła, ta łajdaczka.

Przypomniały mi się lata trzydzieste, kiedy to podobne' wytworne panie i solidni panowie podjudzali na nas bojówki SA. Też bili brawo, wołając: — Mocniej! Mocniej! — I teraz nagle usłyszałem pochwałę tamtych lat. Że cokolwiek by powiedzieć, wówczas nie tolerowano ani takiego rozleniwienia, wylegiwania się godzinami na miejskim skwerze, ani takich fryzur, ani strojów, ani jawnej rozpusty. To były solidne czasy, co tu gadać. I teraz by się przydały dawne metody. Obóz pracy, może kopalnie, kopanie kanałów, coś takiego. Zagnać by to tałatajstwo do uczciwej pracy. Ostrzyć! Ogolić do gołej skóry tych kudłatych parszywych proroków! Tych nierobów! A te ich dziewczyny— do szorowania garnków. Do prania łachów.

Odchodząc pomyślałem: dla takich jak towarzyszki i towarzysze mego Ernesta. I jak on sam. Panna Alis rozumuje podobnie jak ci tutaj. Że należałoby twardziej, energiczniej. Zawsze zostawały jakieś żenujące ślady. Zawsze coś się ukryło przed moim okiem, potem odkryło, ujawniło. Niedopałki wsunięte pod dywan. Albo ślady brudnego obuwia. Na parkiecie, na dywanie, tu i tam. Ślina w kącie za fotelem, która wyglądała na coś innego, gorszego. A może i była?

Czy ja wiem. W mniemaniu zgorzzonej pani Kreutz. Jej uwagi na ten temat zwierzane napotkanej na schodach pannie Alis. Gdy się rano wymijały w drzwiach. A także dozorczyjni. Coś podobnego! Długie, w lodowatym milczeniu, z odpowiednią miną kontrolowanie, czy krzesło czyste, nim na nim zdecyduje się usiąść. Otrzeptywanie rąk przy każdej okazji. Ani słowa do mnie, ale wszystko pod moim adresem, manifestacyjne, na pokaz, żebym zauważył.

Później, z okazji pojawienia się Trudy na horyzoncie, sprawy nabrały dla panny Alis szczególnego smaku i zabarwienia. Tamte dziewczuchy, które tu przychodziły i wylegiwały się na dywanie i na tapczanie, to było towarzystwo Ernesta bądź co bądź, zaś co do Trudy — jakże szybko, kobiecą intuicją, szóstym, niezawodnym zmysłem, panna Alis odgadła-, że tu idzie o coś innego, że tym razem nie jest to już wyłącznie dziedzina życia Ernesta. Toteż znienawidziła tę dziewczynę dosłownie od pierwszego wejrzenia. Udawała, na ile mogła, że jej obecności nie zauważa.

Sprawa atrakcyjności prześladowanych. Rzecz szczególna. Czy represje natychmiast wzmagają popularność terroryzowanych? W Paryżu, w maju 1968, strach opanował spokojnego francuskiego bourgeois. Hasło tylekroć stosowane i w tak różnych sytuacjach, i dla tak odmiennych, wręcz przeciwstawnych celów — *republique en danger!* — rozbrzmiewało wszędzie. Paniczny lęk zasiedziały, sytych, cnotliwych. Okrzyki zachęty rzucone policji, jak u nas, te, które usłyszałem na własne uszy w Monachium, mniej więcej w tym samym czasie. Bijcie ich, ale mocno! Żeby poczuli! Żeby im się wreszcie odechciało! Oni, ci spokojni obywatele, którzy tyle przeżyli w czasie wojny, tyle wycierpieli, więc chyba należy

im się trochę luzu — łaknęli dosłownie widoku krwi. Strach przed aktami terroru jak za Komuny Paryskiej, o której uczyli się w szkołach, w czy- tankach i powieściach, obawa tych, którzy widzieli przez ledwo uchylone okiennice i stopy z wyższych pięter kamienic na Boul^f Mich'u i sąsiednich przecznicach, co się dzieje na dole, pod nimi, na ulicy. Cała Quartier Latin sponiewierana doszczętnie. Barykady, roz\valone witryny magazynów, wybebeszone sklepy, ścięte piękne drzewa, leżące na barykadach meble, pnie platanów, Bóg wie co. Żeby się nie powtórzyły dni Komuny! Pożar buntu! Lustrzane szyby rozpryskujące się z brzękiem na tysiące odłamków! Zgroza!

I Ohyda! Studenteria i meteki! Hołota! No i wreszcie zbawcza reakcja policji. Można odetchnąć. A robociarze, komuniści, których tak obawiano się, nie ruszyli. Co za ulga! Mamy jednak solidną klasę robotniczą! Nie to co niegdyś!

U nas w tym czasie nieco inaczej, łagodniej, z mniejszym temperamentem, mniejszą zajadłością. Bardziej flegmatycznie. Niemcy to nie Francuzi. I mniejszy w tym wszystkim udział cudzoziemców. Nie tylu jak u nich meteków na wyższych uczelniach.

Marcuse — znów on, nie tak jeszcze dawno, zdawałoby się, mistrz i nauczyciel zbuntowanej młodzieży, obecnie wykpiony przez samego Cohn-Bendita, który posądził go o współpracę z wywiadem amerykańskim — on, stary mistrz, nazwany przez Ernesta podglądaczem — w jednym miał na pewno rację: wszystko to, co się dzieje w świecie, szczególnie w Stanach Zjednoczonych — u nas to tylko odbicie, refleks lustrzany tego, co tam, mniej autentyczne, raczej jmoda — te młodzieżowe ruchy kontestacyjne, przybierające, jak w 1968, rozmiary niemal że rewolucji, zostają wchłaniane przez różne mass-media i szybko ulegają rozkładowi. To co się staje modne, przestaje być groźne. Jeszcze jeden argument za stosowaniem tolerancji jako środka wręcz medycznego. Żadna moda nie może trwać zbyt długo. Jest z samego założenia, ze swej natury nietrwała. Zatem i moda na kontestację też. My w Niemczech już zaczynamy odczuwać pierwsze zwiastuny tego, że fala ta opada. Ale z drugiej strony — czy to aż takie pewne, co pisze i mówi mistrz Marcuse — jak go nazywa Ernest pogardliwie, un voyeur, podglądacz — i jak długo ważne bywają podobne recepty? Jak każda terapia, mogą ulec przedawnieniu. Jak długo obowiązują prawa ruchów społecznych, w które nauczono nas wierzyć, a które tylekroć już zawiodły?

Tymczasem moda, jak i w innych dziedzinach, tak i ta, ogarnia nawet jednostki, zdawałoby się, na zdrowy rozum, jak najmniej podatne na jej uroki.

Miałem dwa przykłady w bliskim mi środowisku zamożnych przedstawicieli wolnych zawodów. Oto żona pewnego chirurga zwierza mi się z dumą, której nie stara się ukryć: — Wie pan, mecenasie, że Gerda, moja starsza córka — bo ta młodsza to dziesięcioletni smarkacz, a ta starsza ma już siedemnaście — że ona ostatnio stała się dzieckiem-kwiatem? Czy to nie wspaniałe? Dziecko-kwiat! Jak to ładnie, poetycko brzmi, nieprawdaż?

Przywołała tę Gerde-kwiat, żeby mi ją pokazać. Tamta siedziała w pokoju obok, uczyła się przed egzaminami, kuła ile wlezie, bo, należy dodać, że zajęcia dziecka-kwiatu nie przeszkadzają jej w nauce w okresie tuż przedmaturalnym, nader ważnym. Rzecz polega na tym, że panienska pracuje, uczy się, nie szuka żadnych absolutnie rozrywek, uznaje w gronie kilku podobnych jej koleżanek wyłącznie kontemplację Za-Zen. Trwa to całe godziny i nieco nawet niepokoiło zrazu mamę, panią doktorową, ale z drugiej strony pociesza się, że małej to kiedyś minie, a w okresie maturalnym lepiej nawet, żeby dziewczyna siedziała godzinami w>pozie lotosu, niż żeby latała za chłopakami, jak niektóre jej koleżanki, nie kwiaty, tylko takie zwyczajne panienki jak, ona dawniej.

Panna Gerda na wezwanie matki, acz z niechęcią, bo odrywało ją to od nauki, ukazała się na progu saloniku, w którym siedzieliśmy, i w milczeniu ustawiła w pozie dość, jak mi się zdaje, wystudiowanej. Ani słowem nie odezwała się do nas, wsparta ramieniem o odrzwia, odwróciła się Ina pięcie, postąpiła tak chwilę tyłem, następnie wyszła. W długiej białej szacie, rodzaju luźnej greckiej chlamidy, z gołymi ramionami, włosami rozpuszczonymi na plecy, przepasana sznurem pięknie splecionym ze złotych i czarnych włókien, boso. Na szyi na łańcuszku skarabeusz z malachitu.

— Ona niestety tak wychodzi na ulicę. Ale do szkoły nigdy. Zrobiła to ustępstwo dla mnie. Zdołałam ją przekonać, no i dostała w nagrodę ode mnie bransoletę antyczną kupioną w antykwariacie w Monachium. Wąż ze złota, potrójnie zwinięty, połykający własny ogon. Oczka ma z małych rubinów. Ładny bardzo. Więc do szkoły Gerda wdziewa przepisowy mundurek, bluzę z kołnierzem marynarskim, skarpetki i półbuciki. A włosy upina w kok. Ale

po wyjściu ze szkoły, na ulicy, natychmiast je rozpuszcza. Zrzuca obuwie. I nosi na spacer z koleżankami, też dziećmi-kwiatami, w rękę autentyczną lilię. A czasami jest to nawet starczyk. Taki na długiej łądźce. To bardzo ładnie wygląda, prawda? Jakoś tak inaczej, wyróżniająco. Romantycznie, czy ja wiem. Szlachetnie. Przyznałem jej rację. Dziewczyna zresztą zdała następnie

maturę z dobrym wynikiem i ostatnio, o ile wiem, zaczęła studiować na uniwersytecie monachijskim chemię. A może fizykę. W każdym razie coś tak realnego i konkretnego, czego bym się po niej najmniej spodziewał. Po tamtym, minionym już zresztą okresie kwietnego dzieciństwa.

Drugi przykład: byłem naocznym świadkiem, i to u nas, w spokojnej Koblencji, gdzie jakoby nigdy nic się nie działo i nie dzieje, w centrum miasta, na Schloßstrasse, jak moja dobra znajoma, żona bardzo zamożnego przedsiębiorcy samochodowego posiadającego warsztaty naprawcze w kilku miejscowościach w Palatynacie, wbrew mężowi, a także dotychczas wygłaszanym, zdawałoby się niewzruszonym i niezłomnym mieszczańsko zachowawczym i ultra- katolickim w dodatku zasadom i teoriom, widząc syna w tłumie młodzieży szkolnej manifestującej w związku ze zranieniem Rudiego Dutschke, nie spodziewając się, że może chłopaka wśród nich spotkać, gdyż nic dotąd tego nie zapowiadało ani w jego zachowaniu, ani słowach — ni stąd, ni zowąd, nagle, jakby w jakimś olśnieniu, czy euforii, zaczęła biec obok manifestantów, rozpychając i roztrącając przechodniów nieprzychylnie nastawionych do nielicznej młodzieżowej grupy wykrzykującej jakieś światoburcze hasła, i sama zaczęła te okrzyki powtarzać, nie wiedząc dokładnie, o co właściwie idzie, a potem — szczyt wszystkiego, bo na oczach całego miasta, w jasny dzień, w centrum! co za niesłychany skandal! — zaczęła ciskać kamienie w stronę dość niemrawej policji, wzbraniającej manifestantom wejścia na plac i skwery przed Zamkiem.

Byłem przypadkowo niedaleko i przystanąłem, by zobaczyć, co się dzieje. No i pierwszą osobą, jaką zauważyłem, była pani L. biegnąca i krzycząca w wielkim podnieceniu, czerwona i zgrzana, wymachująca torebką, bodaj bijąca nią po plecach tych, których w biegu mijała, w końcu ciskająca kamienie zbierane byle gdzie, w pośpiechu, na gwałt, w porywie zapału, z oszalałymi oczyma, klnąc i gadając do siebie.

Wykrzyczawszy się, pani L. ochłodziła, jakby nagle swym wyskokiem zawstydzona, to fakt, i zabrawszy z placu przed Zamkiem syna, prowadząc go za rękę, odeszła. Dała dowód swym zachowaniem, jak wbrew własnym poglądom i tradycjom można z łatwością ulec nastrojowi ulicy, tłumy, nawet niewielkiej, lecz hałaśliwej grupce.

Czuła się najwyraźniej po tych ekscesach mocno zażenowana. Widzieli ją przecież znajomi. Zaś jej mąż miał przez jakiś czas znakomity, łatwy temat do kpinek towarzyskich z własnej tak dotąd przykładnej żony. Był i on jednak, czego nie potrafił ukryć i co jest nader charakterystyczne, jakby z niej dumny. Zaskoczyła go, gorsząc, lecz imponując jednocześnie. A przecież był radnym z ramienia CDU i trudno byłoby go posądzać o jakiegokolwiek sympatie dla kontestującej młodzieży.

Rzecz w tym, i jest to fakt stwierdzony wielokrotnie, iż nawet najbardziej zawzięci i zakamieniali reakcyjniści miewają momenty, w których ulegają swoistej fascynacji objawami buntu, nawet anarchii, i dzieje się to wbrew ich świadomie wyznawanym zasadom, poglądom, interesom i obyczajom, niejako na marginesie, jako coś nieco wstydliwego, lecz przez to tym bardziej kuszącego, rodzaj politycznej rozpusty czy zakazanej zabawy, jakiej ulegają skrycie nawet najcnotliwsi, wzorowi obywatele, ojcowie rodzin i ludzie wyłącznie trzeźwego interesu.

Niestety, bywało też odwrotnie. Zdarzało się w swoim czasie — co najmniej aż gdzieś tak mniej więcej do 1933, do przejęcia władzy — później złudzeń już być nie mogło, a przynajmniej nie powinno być — że również i faszyzm urzekał, a to poważne, zdawałoby się, umysły. Nie tylko przecież Sven Hedin czy Knut Hamsun i nie wyłącznie różne rozhisteryzowane angielskie stare panny uległy takiej niezdrowej fascynacji.

Przyszło mi na myśl, że można by nawet porównać ten gatunek zauroczenia narastającym złem do hipnotycznej wręcz siły, jaką wywiera wzrok węża na ptakach, które zapominają pod jej wpływem, że potrafią latać i mogłyby uciec, i jak sparaliżowane czekają, aż się dopełni

ich los, całkowicie bezwolne i bierne. Niektóre, jak czytałem, wykonują nawet rodzaj weselnego tańca, przypominającego na poły epileptyczne pląsy fakirów, gdy przyglądający im się spokojnie napastnik czeka, aż występ przedśmiertny ofiary skończy się rodzajem paraliżu, znieruchomienia, poddaniem się, całkowitą rezygnacją, zgodą na wyrok. Tak z wszelką pewnością zachowywały się duże ugrupowania żydowskie, szczególnie w sposób fatalistyczny godzące się na unicestwienie ortodoksyjne środowiska zamknięte w gettach na wschodzie. Tylko niewiele jednostek decydowało się

J na próby oporu, a nawet ucieczkę, gdy ona jeszcze była możliwa. O tym wiem, to są fakty znane ogólnie dziś, trudne do zrozumienia wtedy, tłumaczone różnie, częściowo wpływem religii mozaistycznej, jej jakoby fatalizmem, częściowo ciemnotą, a także jakąś dziwną wiarą, iż siła wyższa, Jahwe, w jakiś cudowny sposób wkroczy w ostatniej chwili. A jeśli z jakiejś przyczyny na to by się nie zdecydował, to nie należy sprzeciwiać się jego woli. Być może, iż tak to właśnie wyglądało. Nie miałem okazji zetknąć się Jjliżej z chasydzkim typem cywilizacyjnym, tą odmianą Żydostwa dziś niemal doszczętnie wytępioną, zachowaną szczerkowo może w Izraelu tylko albo w niektórych dzielnicach miast zachodnich, szczególnie Paryża. U nas takich Żydów przed wojną nie było, a przynajmniej podobnych nie spotkałem.

Porównanie fascynacji faszyzmem z hipnotyczną siłą wzroku węża nie było trafne. Szło mi o inny gatunek' zauroczenia. Działy — niewątpliwie z pozoru pociągające, zwłaszcza umysły podatne na tego rodzaju bodźce — hasła, jak nawrót do gotyku, do średniowiecza. Błąkały się te modernistyczne, nostalgiczne teorie, wyczekiwania na jakąś moralną odnowę, w różnych latach na przełomie obu stuleci, w epoce fin de sieele'u. Pod różnymi postaciami pobrzmiwały w muzyce-Wagnera i w odgrzebanych po latach zapomnienia sagach średniowiecznych, mitach r sym- bolach. W romantycznym nawrocie do starych źródeł: do sztuki ludowej. Dlatego zbytnio nie dziwię się teraz, iż. znalazły się umysły, które widziały, do jakiegoś przynajmniej momentu, w niemieckim faszyzmem, nie będącym właściwie dosłownie faszyzmem, jeśli za taki bierzemy wzór włoski — jedyną realną siłę zdolną odrodzić butwiejącą, gnijącą, bez- ideową, hołdującą jedynie złotemu cielcowi, cyniczną cywilizację internacjonalistyczno-kosmopolityczną, tego ohydneho bękarta postępu dziewiętnastowiecznej cywilizacji bez Boga, ideałów i piękna. Herakles w stajni Augiasza. - »o tym, a także o treści wywiadów, jakie pojawiły się w różnych czasopismach, jakich udzielili dwaj poniekąd twórcy, a w każdym razie półbogowie kosmonautyki — Braun i Muller panom Moravii oraz Mailerowi, schowałem do szafy z uczuciem ulgi teczkę sprawy Oppenhei- ma i wyszedłem z kancelarii, zamykając drzwi na klucz Schodząc z piętra, zatrzymałem się na podeście klatki schodowej, by zajrzeć do lusterka, przekrzywił mi się bowiem

krawat. Poprawiając go dostrzegłem kątem oka na dole, pół piętra pod sobą, idącą po trotuarze po przeciwnej stronie ulicy dziewczynę, tę, którą po raz pierwszy ujrzałem w Cafe Central kilka dni wcześniej.

Stojąc w oknie patrzyłem na nią. Była może trzecia, może pół do czwartej po południu i słońce, jeszcze bardzo-mocne latem o tej porze, dokładnie oświetlało idącą powoli o kilka zaledwie metrów od miejsca, w którym stałem.

Mijała właśnie wejście do „Viktorii”, nie zatrzymała się, nie zwolniła nawet kroku ani nie zajrzała odruchowo przez uchylone drzwi do hotelowego hallu, jak to się zdarza większości osób. Przez ułamek sekundy pomyślałem, że tam wejdzie, i myśl ta sprawiła mi wyraźną przykrość. A właściwie co mnie to obchodzi. Może to jest zwykła kurwa i chadza po hotelach. Lecz natychmiast stwierdziłem, że „Viktoria” nie jest hotelem godzinowym, a w każdym razie nie zgodzono by się na szwendanie się w nim samotnych dziewcząt, w dodatku tak prowokacyjnie odzianych, więc odetchnąłem, sam nie wiem czemu, z ulgą. Co mnie to obchodzi, u licha! A niechże się ona włóczy, gdzie tylko chce. Ostatnio przyłapano in flagranti trzy pary nie tak znów późno, niemal za dnia, o wczesnym zmroku nad Renem, na skwerku tuż za Zamkiem. Ogólne poruszenie i oburzenie, bo żeby u nas, w bogobojnej, cnotliwej Koblencji coś takiego! Nie do pomyślenia wprost.

Tamta minęła już wejście do „Viktorii”. A ja wciąż stałem w oknie i patrzyłem na nią.

Szła powoli, z opuszczoną głową, jakby zamyślona. Skryła mi się na chwilę za zaparkowanym przy trotuarze czerwonym Oplem, lecz za moment znów ją ujrzałem. Miałem okazję przyrzeć się jej dokładnie w pełnym świetle. Z Cafe Central zapamiętałem zaledwie fragmenty jej profilu, oczy, wargi, a zwłaszcza tonację jej śmiechu historycznego i sztucznego, jakby cyrkowo błazeńskiego. Miała chyba, tak na oko, mniej więcej siedemnaście, najwyżej osiemnaście lat. Bardzo wysoka. Teraz dopiero mogłem ocenić, jak wysoka. Chyba ze sto osiemdziesiąt centymetrów, a może i więcej. Coraz to więcej wysokich dziewczuch. I jej podobieństwo do Veruschki, modelki, którą widziałem w Powiększeniu Antonioniego, a także parokrotnie napotykałem jej zdjęcia w czasopismach. Podobieństwo wprost nie do uwierzenia! Niemal sobowtór, tyle że dużo młodsza.

Widziałem, jak stawia długie kroki, jakby chciała za każdym razem trafić stopą w co drugi kwadrat kamienny chodnika. Zdarzają się takie ni to obsesje, ni to_N zabawy. Jej niesłychanie długie nogi odsłonięte niemal aż po pachwiny. Rodzaj hot-pantsów, jak się zdaje. A może takie króciutkie mini. Wypełzłe, opięte na tyłku, jasnoniebieskie. Niosła w ręku niewielki pakiecik owiązany sznurkiem. Może ciastka. W papierze firmowym. Stawiała ostrożnie bardzo duże białe stopy. Patrząc pilnie z góry, z wysokości okna na półpiętrze, miałem możliwość zauważyć, jak jej wyjątkowo długie palce u nóg za każdym stąpieniem unoszą się w górę, a potem opadają. Miałem nawet złudzenie, iż słyszę przez chwilę ten charakterystyczny, miękki odgłos, jaki wydają białe stopy stawiane na kamiennych taflach chodnika.

Nieco zakurzone pięty, a już szczególnie podeszwy, migające za każdym krokiem. Wyżej — olśniewająco białe i gładkie, nie opalone mimo pełnego lata, bezwłose łydki i wysmukłe, długie uda.

Ostatnio taka moda. Dziewczyny, nawet z tak zwanych lepszych domów, pozując na hippiski, a zwłaszcza na uczennice szkoły malarskiej narzucające młodzieżowy styl, chadzają bardzo często boso od wczesnej wiosny aż po jesienne słoty. Nie krępując się zbyt; prezentują publicznie niezbyt czyste nogi, co wzbudza u pań z mieszczańskich rodzin istną furję oburzenia i zgorszenia. Żona jednego z moich' kolegów z palestry, zauważywszy niedawno taką właśnie niekompletnie odzianą dziewczynę w kawiarni w centrum miasta, zawezwała płatniczego, a gdy ten, rozłożywszy ręce, nie chciał interweniować, zaindagowała właściciela kawiarni, grożąc bojkotem lokalu przez całe jej środowisko w razie, jeśli natychmiast nie wyprosi tej — jak się wyraziła na głos, biorąc innych na świadków — bezczelnej bosej hippiski, nieodpowiednio, gdyż niechlujnie ubranej. No i tamta wyszła, bo większość na werandzie kawiarni opowiedziała się za panią V. Tak bywa u nas, w Koblencji. W większych miastach nikt już nie zwraca uwagi na takie drobiazgi.

Typ Dziewczyny Alfa bardzo określony: langbeinig, spitz- busig und schmalhuftig. Popularne i modne L-S-S.

Nieproporcjonalnie wprost długie 'i zgrabne* nogi, nad nimi szczupły, zwięzły tyłek opięty króciutkimi majteczka mi, nie wiem czemu nazwanymi obecnie hot-pantsami, i chłopięce biodra oraz ramiona szersze niż biodra. A także — małe, bardzo dziewczęce piersi, szeroko rozstawione i szpiczasto zakończone.

O takich wyraził się nie tak dawno Klaus, gdyśmy obaj, siedząc na tarasie kawiarni „Royal”, obserwowali przechodzącą obok dziewczynę, czyniąc na jej temat fachowo męskie uwagi: — Ma takie sutki jak czereśnie albo jak włoskie orzechy. Bo takie twarde, że aż palce cię zabolą, a nie potrafisz ich zgnieść, żebyś jak chciał. A jak taką weźmiesz do ust, to jakbyś poczuł w nich sporą wiśnię. Nieprawda?

Więc mi się to wtedy, gdy stałem w tym oknie, już teraz z niego wychylony, by nie stracić z oczu maszerującej blisko już naroża Viktoriastrasse Dziewczyny Alfa, nagle przypomniało i doznałem złudzenia, wrażenia dosłownie namacalnego, jakbym widział jej obnażone piersi i sprawdzał — naciskając dwoma palcami, dużym i wskazującym — jędrność i elastyczność jasnoróżowych sutek sterczących istotnie jak dwie spore czereśnie. Taką bowiem muszą mieć barwę, sądząc po kolorze chyba naturalnym jej włosów rozpuszczonych i powiewających za każdym krokiem na plecach, a także po odcieniu skóry, jaki miewają wyłącznie jasne blondynki. To one właśnie posiadają tak jasną barwę błon śluzowych i naskórka, warg, jak również brodawek piersiowych.

Pod wpływem tych myśli odczuwałem coś, co mi się dawno nie zdarzyło — żeby aż tak nagły, aż tak gwałtowny przyływ podniecenia. Wręcz bolesną erekcją. Skrępowany i zaskoczony, przelknąłem ślinę, odwrócony tyłem do schodów i nieco nachylony, zgięty w

pasie, w strachu, by mnie ktoś idący po schodach nie zauważył i nie poznał po moich oczach, co się ze mną dzieje.

Po chwili ochłonąłem, jakoś mi to przeszło, i wtedy dopiero powoli zszedłem na dół, na ulicę. Rozejrzałem się z bramy. Dziewczyny Alfa już nie było. Musiała skręcić za rogiem w Casinostrasse.

Pomyślałem jeszcze, wciąż stojąc w bramie domu, że ona miała na sobie prócz tych króciutkich majteczek gruby golf pod szyję, mimo upału, sweter wełniany niezawodnie, koloru jasnoróżowego, i że to zestawienie należy także do mody młodzieżowej ostatniego sezonu. Tak się ubierały dziewczyny przychodzące do Ernesta. Taki, tyle że szarozielony

golf ściągała nie bez trudu przez głowę, na chwilę nawet w nim grzęznąc, jedna z dziewcząt, która z polecenia Ernesta pozostała kiedyś u mnie w kancelarii wczesnym popołudniem, gdy on i dwu innych chłopaków, a także druga dziewczyna, już wyszli. Kiedy udało jej się w końcu wyzwolić z przyciasnego swetra, fryzurę miała w stanie oplakany, istną strzechę. Przeczesła ją rozstawionymi palcami raz i drugi, prychając głośno i popluwając, bo włoski ze swetra przy okazji dostały się jej widocznie do ust. Wyszukiwała odnalezione językiem, robiąc bardzo zabawne miny, po czym wysuwając dolną wargę, wydobywała je na zewnątrz, ściągając następnie końcem palca. Dokonywała przy tej okazji wielu nieskoordynowanych, nieco nerwowych poruszeń i ewolucji. Potrząsała ramionami kołysząc parą sporych, zgrzanych, lśniących od potu piersi rozbiegających się na boki, to zderzających z sobą z głośnym plaśnięciem. Nie miała, jak się okazało, stanika, pulower nosiła wprost na gołe ciało. Dziewczyna Alfa nie miałaby aż takich trudności. Znacznie od tamtej szczuplejsza, a i jej golf, wyraźnie to zauważyłem, za obszerny na nią, luźny, fałdujący się.

Przyszło mi na myśl.— a podsunęła mi ten obraz wyglądzona wyobraźnia, nekające mnie podniecenie, z którym nie potrafiłem dać sobie w żaden sposób rady — że nosząc w taki upał tak gruby sweter, również musi być zgrzana, i to solidnie. Więc gdybym tak u siebie w kancelarii, albo lepiej w willi przy Bornweg, kazał jej ściągnąć ten różowy golf. a następnie unieść wysoko ramiona, miałbym okazję przekonać się, że jej obie pachy, jak sądzę, dokładnie wygolone — a może znalazłbym tam nieco jasnobłond, cieniutkich jak przedza włosów — są śliskie od potu, aż błyszczą. Ta inspekcja, jaką bym skrupulatnie przeprowadził, kazać tej Pseudo-Veruschce stać wciąż wyprostowanej z rękami uniesionymi nad głową, trwałaby na pewno długo. Niestety, wyobraźnia potrafi być bardziej plastyczna i dotykalna niż sama rzeczywistość. Więc ponownie, już na ulicy, zaznałem tak gwałtownego podniecenia, że musiałem na chwilę przystanąć.

A jednocześnie, prawie równolegle, wciąż tamta myśl: na temat jej różowego swetra, takiego koloru, jaki miewa krem na tortach albo poziomki ze śmietaną. I w związku z tym słodkawa woń jej bardzo młodej ciała. Ten jej golf wywinęty pod brodą aż podwójnie. Musi ocierając się o szyję, w taki upał, nieco drażnić. Skóra swędzi. Więc pewnie przystanęła właśnie w tym momencie przed jakąś wystawą i gapiąc się na nią, wcisnęła sobie dwa palce za ten wywinęty przy szyi kołnier, by obłuźnić go, na ile się da, a może się i przy okazji podrapać. Długie, bardzo białe palce. Ten wskazujący na pewno i ten trzeci. Paznokcie bez lakieru. O czym ja, u licha, wciąż myślę?!

I znów w kółko: czy mi ją Ernest podsuwa jako przynętę? Po co? Wtedy w Centralu na pewno wskazał jej mnie, w chwili gdy wychodziłem: — Popatrz, to mój stary. Ten zgrany łajdak. Zapamiętaj go sobie. — I opowiedział jej, jak to mi podsuwał swoje dziewczyny. I jak one zwierzały mu się potem na mój temat. Więc i o tym Ernest do tej Pseudo-Veruschki. Jak to ja posapuję, może nawet postępuję przy stosunku, jak wytrzeszczam oczy. I jaki mam brzuch, który pozwalam, a może nawet każe pieścić dziewczynom. — Wyobrażasz sobie faceta? — iw śmiech. Więc ona, słysząc to, nie wytrzymała i wybuchnęła tym obraźliwym śmiechem, kiedy ich oboje mijałem w przejściu, wychodząc z kawiarni. Powiedział jej na pewno: — Przyjrzyj mu się dobrze, żebyś się potem nie pomyliła — i tak dalej, nachylony ku niej, spoufalcony z nią aż do stanu całkowitego zubożenia, jak to u nich teraz bywa, mający ją na każde zawołanie, kiwnięcie palcem, na co dzień, na co noc, wraz z innymi, którzy również, i tak od dawna, przedtem i później, gdy jemu już się znudziło, albo on jej, równe prawa, znajdzie sobie innego partnera, który jej lepiej dogodzi pod każdym względem. Do czasu, rzecz jasna, do kolejnej zmiany za obopólną zgodą.

A może — i taka myśl również mi zaświtała w głowie, a stało się to, gdy już podszedłem do naroża Stegemann- strasse i Casinostrasse i rozejrzawszy się na wszystkie strony, ponownie stwierdziłem, że Dziewczyna Alfa mi znikła — pomyślałem, że ona włóczy się

tędy bez jakiegokolwiek ważnej przyczyny. Ot, tak sobie. Przecież może po prostu gdzieś tu mieszkać albo pracować. No — pracować to chyba nie. Taka korekta myślowa, i zaraz następna: zbytek podejrzliwości wskazuje — nie biorąc nawet pod uwagę niedawnego stanu mocno krępującego, a nawet wręcz żenującego podniecenia, w jakie popadłem tam w oknie, a następnie na ulicy zaledwie parę minut temu — silne i trudne do wy-

tłumaczenia zakotwiczenie tej dziewczyny w mojej wyobraźni. Jeśli o to komuś chodziło — Ernestowi dla jakiejś przyczyny czy też może jej samej — to cel został częściowo osiągnięty. To predefilowanie przede mną, abym mógł uporządkować w sobie i umocnić poprzednie wrażenie z Cafe Central, już i tak dość silne, by się utrwaliło, mimo że nie miałem wówczas okazji przyjrzeć się bliżej siedzącej na pół tyłem, na pół bokiem i na domiar z twarzą przykrytą pasmami opadających luźno w dół włosów. Zaledwie jedno oko, potem drugie, ale prześwitujące ledwie-ledwie przez siatkę. bardzo jasnobłond. No i miękkie, bezwolne wargi wygięte grymasem obrzydzenia, obojętnego zniechęcenia czy drWiny o posmaku wręcz żalosno-błażeńskim. Tyle tego, a i to, jak się okazuje, wystarczyło całkowicie. Dlaczego teraz, dlaczego aż tak mocno, gdy dotychczas nie miałem zwyczaju zawracać sobie aż tak głowy tym problemem.

Jeśli ona miała jakieś niezależne od intencji czy zleceń Ernesta zamiary w stosunku do mnie, a coś takiego mogło jej strzelić do głowy — dlaczego nie — no to uwaga! Należy wzmocnić czujność. Żadnych takich, wykraczających poza zwyczajne, wręcz mechaniczne, doraźne kontakty, związków na serio. Żadnych panienek pod tak zwaną szczególną opieką. Niczego, co by je mogło w jakiś sposób spośród innych wyróżniać, wydzielać z bezimiennej masy.

Higiena tylko. Tyle, żeby nie wyjść z wprawy. Bez cienia zaangażowania. A już najlepiej nie znać nawet imienia partnerki. Jak z tamtą w grubym zielonkawym golfie w mojej kancelarii. Dwa miesiące temu mniej więcej. Od tego czasu — muszę przyznać — post, dieta. I dlatego może ten dzisiejszy alarm. Zatem trzeba by w najbliższych dniach się wyładować, uwolnić od myśli i obrazów nagromadzonych, natrętnych, przeszkadzających nawet w pracy.

Jak przestrzega doktor Schani Strauss, ile razy z nim na te tematy rozmawiam, a zdarza się to często, dając mi zalecenie: — Nie przerywać, o tym pamiętaj, bo jak każdy mu- skuł, każdy przyrząd, także penis długo nie używany odzwyczajają się, rozleniwia, traci siłę, możliwość, usycha i więdnie; zatem — często, acz nie za często, pamiętaj, że nie jesteś już młodzieniaszkiem i serce nie takie; więc raz, dwa razy na tydzień — i żadnych rekordów! — do dwóch sztosów pod rząd maksimum, zapamiętaj sobie; ani — Boże broń — jakichś specyfików, których tyle teraz się reklamuje; a wybieraj do tej roboty najlepiej, jeśli tylko możesz i masz okazję, bardzo młode dziewczyny; i nie zawodowe, tylko takie najwyżej na pół, takie puszczające się z amatorstwa, lecz nie zwykłe kurwy; i zmieniać często obiekt, bardzo ważne, pamiętaj o tym, wciąż zmiany, ciągle nowe obiekty; gdy tylko poczujesz, że grozi ci rutyna, tępieją bodźce — natychmiast zmiana; to nader ważne, zechciej nie zapominać o tym! Żadnych obaw, gdy coś nie tak ci wyjdzie, jakiś niewypał; nie ma się czego, i najważniejsze — nie ma się przed kim wstydzić; daj popracować partnerce; niechże się potrudzi, niech się pomęczy, nie oszczędzaj jej, bo i po co! — pojmujesz już? — szczególnie, gdy młoda.

Tak, na pół żartem, ale i na serio, mawia znawca materii, Schani Strauss.

I tego istotnie mniej więcej trzymałem się dotychczas. Ostatnio brak czasu, różne sprawy, wyjazdy i tak dalej wywołały pewien impas. Popsute stosunki z Ernestem, rozstanie z nim, spowodowały odcięcie ważnego dotychczas źródła: pozbawiły partnerek spośród jego dziewczyn. A jeszcze przecież w tym czasie Leni tak jakby nie istniała. To znaczy, była gdzieś tam, przechodziła tu i tam, mijaliśmy się, uśmiechali do siebie, lecz nic ponadto. Zaledwie zapowiedzi jak gdyby, gotowość obustronna nie wykorzystana, nie zrealizowana. I willa w Arzheim świeżo wynajęta, jeszcze nie własna, jeszcze w remoncie i przebudowie.

Więc zgodnie z rozsądkiem, dotychczasowymi doświadczeniami postanowienie — żadnych tak zwanych liaisons, nic stałego, dłuższego, zobowiązującego. Znam niejednego wypadek w tej dziedzinie kontaktów, z pozorów, zrazu niby to niewinnych i niczym nie

groźących. Jeden z moich byłych klientów, zamożny poważny przemysławiec, żonaty i mający od żony carte blanche, wolną rękę w tej dziedzinie, byle bez skandalu i zbytich wydatków, dzieciaty i nawet mający wnuki, wpadł w kłopoty niecałe dwa lata temu. Wdał się w idiotyczną aferę z piętnastoletnią bezczelną dziewczuchą, udającą starszą o rok czy dwa, która przy jakiejś okazji sama mu się narzuciła, a on połknął przynętę. O ile sobie teraz przypominam, spotkał ją przypadkiem przy wejściu do kina, sfingowała awanturę z dwoma czy trzema równo- latkami, płakała, on ją pocieszał, wziął ze sobą do kina, i tak to się zaczęło. Ułatwił sytuację fakt, iż żona z córką —

zT

j i

o<

i ^^

xr

S]

ft

v

s

"

bo druga zamężna — były za granicą, mieszkanie wolne, on sam. A nie chciał dziewczyny narażać na zabranie jej gdzieś, gdzie by mogli ich wyśledzić, ona rzekomo, jak twierdziła, bała się rodziców, dobry tradycyjny dom, i tak dalej. No to ją do siebie. I z tego cały łańcuszek skutków i przyczyn, takich przyjemności, że mu się raz na zawsze odechciało. Próby szantazu. Że jakoby ciąża. I on jest ojcem. Nachodzenie w domu, na ulicy, w biurze. Groźby.

Wymuszenie pieniędzy na skrobankę, wyrzuty żony, która wróciła i dowiedziała się o wszystkim. Stary osioł. Nie miała nic przeciwko różnym jego przygodom, przy okazji, nie obowiązującym, no i poza domem. Ale żeby taki skandal! I przy tym spory wydatek! Lekarze aż dwaj, znajomi, bo ten mój eks-klient nie miał niczego lepszego do roboty, jak załatwić całą sprawę tutaj, na miejscu, zamiast dziewczynę wywieźć daleko, do jakiejś lecznicy, czy ja wiem. Pojawił się wówczas na horyzoncie, wyłonił z mroku opiekun małej, istny bandzior. Krok w krok za moim nieszczęsnym klientem. Tamta obiecująca parka — on i ona — i jeszcze ze dwu jego koleżków. Rzekomi obrońcy ofiary podstarzałego satyra. Że szeroko rozgłoszą. Prasa i tak dalej. Reporterzy, wywiady z małą. Jej intymne zwierzenia. Trzeba było znów płacić. Z dużym trudem udało się, pamiętam, memu znajomemu wydostać z tych tarapatów. Dziewczyna była podobno istotnie w ciąży, ale, rzecz jasna, z tym swoim przyjacielem, alfonsiakiem, jak się zdaje.

Dlatego powiedziałem sobie już dawno temu: w tym młodzieżowym środowisku, jeśli masz zamiar wybierać sobie partnerki, to tylko na raz, na dwa, nigdy więcej, i gdy wiesz na pewno, że to nie grozi żadnymi dalszymi konsekwencjami ani komplikacjami. Zrób swoje i żegnaj. Może hasło na pozór cyniczne, lecz, jak się okazuje, niezbędne w warunkach odmienionej obyczajowości, przewróconych do góry nogami konwencji. I jak dotąd, istotnie, nie miałem jakoś żadnych przykrości, z tym, że będąc samotnym i niezależnym, góruję nad moim byłym klientem.

A ponieważ Dziewczyna Alfa, czy to z racji posiadania jakichś szczególnych cech, na które aż tak gwałtownie zareagowałem, czy też z powodu dłuższej niż zwykle posuchy i mego wygłodzenia w tej dziedzinie, stała się nagle tą Pierwszą, i to na wyrost, z góry, tą Alfą, kimś wyróżniającym się i wdzierającym z miejsca i z niebywałą siłą do mojej wyobraźni, że aż utworzył się na poczekaniu dokoła niej kompleks, muszę być podwójnie czujnym i ostrożnym.

Doszedłszy do naroża, na którym mieści się kawiarnia „Royal”, a na piętrze dancing, o tej porze pusty — gdzie ktoś stroił instrumenty na wieczór, słyszałem i skrzypce, i poszczególne, z rzadka, jakby ostrożne czy przypadkowe uderzenia klawiszów, tony fortepianowe przeważnie w wysokich skalach wiolinowych — zatrzymałem się niezdecydowany, po czym powoli poszedłem przez Bahnhofstrasse aż do Stegemanstrasse i tu wsiadłem do mego wozu. Był nagrany, cień zszedł z niego przed mniej więcej godziną, dach był gorący, wewnątrz zaduch, pełen woni skaja, sztucznej skóry obicia, pomieszanej z pozostałym z rana jeszcze zapachem mojej wody po goleniu, lawendy Yardleya.

Minąwszy most, już po tamtej stronie, na jakimś murze przy nadbrzeżu ujrzałem naderwany afisz filmu Bergmana Persona, który szedł u nas dość już dawno, lecz ja go oglądałem później nieco w Monachium

No i pamiętam, przy jakiejś okazji niepotrzebnie wspomniałem o tym filmie w towarzystwie młodych przyjaciół Ernesta. Turgieniew jakby tylko na to czekał. Natychmiast wstał z tapczana, na którym siedział wraz z dwoma innymi chłopakami, i jakby cały sprężył

się do skoku. Tak to wyglądało przynajmniej. Z filuternym, układnym, nic dobrego nie wróżącym uśmiechem zagadnął mnie, co ja myślę o tym filmie. On, jak się okazało, był na nim tutaj, u nas, w kinie „Residenz” przy Casinostrasse. Swoje zdanie o tym filmie wyjawi, gdy się wpierw dowie, jak ja go oceniam

Powiedziałem, żeby coś powiedzieć, na odczepne, zły na siebie, że podjąłem ten temat, zwłaszcza iż problem ukazany w Personie tak mnie znów szczególnie nie pasjonował: — No cóż, to niezawodnie bardzo ciekawy film, nienowe zagadnienie, lecz, jak to u Bergmana, znakomicie zrobiony...

— Jak to u Bergmana, powiedział pan — no, no, czekam. co dalej — on na to ze złośliwym błyskiem w oku.

— Rodzaj wymiany osobowości — ciągnąłem dalej, nie zważając na szczególnie zjadliwy tonik w jego głosie. — Silniejsza osobowość pochłania słabszą. Można by to nazwać jakąś odmianą psychicznego wampiryzmu, pasożytowania na kimś, coś w tym rodzaju. To się jakoby nieraz

zdarza. Bergman potrafi ukazać nader sugestywnie takie właśnie, zawile, szczególne i raczej rzadkie pogmatwania Ipsychiczne z pogranicza patologii. No i świetnie zna psychikę kobiet. Więc i tu dwie znakomite role. Obie aktorki — Liv Ullmann i Bibi Andersson tworzą kreacje wprost bezbłędne.

— I to byłoby wszystko już, co pan zechciał zauważyć w tym filmie?

— Na przykład co jeszcze?

— A no chociażby to, że w tej Personie, na ekranie telewizyjnym, ta właśnie aktorka, której grę tak pan podziwia, Liv Ullmann, zobaczyła dwa kolejne obrazki. Pan już zapomniał? Przypomnę zatem: idzie mi po pierwsze o palącego się na znak protestu publicznie buddyjskiego mnicha, a po drugie — może chyba bardziej jeszcze wstrząsający i wymowny widoczek — żydowskie dziecko z getta, gdzieś chyba na Wschodzie, stojące z podniesionymi chudziutkimi ramionkami przed dorosłymi, mocno zbudowanymi mężczyznami uzbrojonymi w karabiny. Niech pan pomyśli: do czego doszła ludzkość? Do czego myśmy przywykli? Co przestało czynić na nas jakiegokolwiek wrażenie? Egzemplum — pan łaskawy. Ani słowa o tym, omawiając film. I jak pan sądzi: czy te dwa obrazki, wyjęte przecież jakby na chybił trafił z masy innych możliwych i wciąż jeszcze aktualnych nie tu, to gdzie indziej, w Azji, Afryce czy Ameryce Łacińskiej, nie świadczą o całkowitym bankructwie i. bezsilności, wręcz żalostnej bezradności kultury, jaką reprezentuje między innymi pan, a którą ja pogardzam, jak tylko potrafię, i którą postanowiłem zwalczać, na ile mi tylko sił starczy? Czy ma być jakimś uwieńczeniem wieków cywilizacji zwanej humanistyczną — od Szekspira, Goethego, Schillera po Kafkę i Becketta? Podsumowaniem osiągnięć, co? Ja się tylko pytam, nie oczekując odpowiedzi. Każda, jaką pan wymyśli na poczekaniu czy też wysmaży po długim i głębokim namyśle, będzie jedynie wykrętem. Prawda — przykre, co? Tyle tu mi pan o tych zawilosciach psychologicznych, o tych wygibasach i zawijasach, dwie osobowości niby to i że jedna drugą zjada, byle tylko nie to, co ważne. Bo brzydkie. Więc pan po prostu raczył nie zauważyć. Wygodniej przejść obok. Pana to nudzi i mierzi. Bo nieestetyczne. Bo koliduje z pana poczuciem piękna, a także z tym, co pan myśli o postępie, że niby mimo wszy

stko, gdy będziemy w zgodzie, Wschód z Zachodem, współlistnienie, rozbrojenie, takie różne duperele, byle daj Boże, nie kryzys, byle nie bomba atomowa, to jakoś to będzie, cieszymy się, rozmnażamy się, okey, okey, okey!

Aż się zapluł od tego, bo mówił coraz szybciej, z autentycznym chyba, nie udanym narastającym zaciętrzewieniem.

Idealista? — pomyślałem. A zatem jednak pomyliłem się. Oni, ten tu, a chyba inni też, naprawdę cierpią za zło tego świata. - Czyżby w tym było aż tyle prawdy, a nie sama, jak sądziłem, poza, zgrywa, maniera, szukanie zaczepki dla zabawy?

Więc powiedziałem na głos pojednawczo, jakbym się przed tym smarkaczem tłumaczył:

— Istotnie, ma pan rację, tam były takie dwie okrutne w swym wyrazie sceny, i ja, rzecz jasna, je zapamiętałem. Sądziłem jednak, że panu idzie o wymowę całości filmu, a nie o fragmenty, nawet najbardziej drastyczne, drapieżne i wymowne.

— Dobrze, dobrze — tamten na to, a inni słuchali nas w milczeniu i uważnie, co się na ogół nieczęsto zdarzało; zazwyczaj gdy ja dyskutowałem z Turgieniewem czy rzadziej z Fidelem, reszta nie okazywała zainteresowania gadając na głos, poziewając, słuchając płyt, wylegując się w różnych pozach, przy czym chłopcy najczęściej kładli głowy na kolanach i udach dziewcząt, podkładali je sobie, żeby im było miękko, wspierali się o nie bezceremonialnie łokciami, potrafili nawet sadzić się na nich leżących wygodnie jak na taboretach, poprawiając się i gnieźdząc, nie zważając na ich próby uwolnienia się od nadmiernego ciężaru. — Znakomicie — powiedział innym już tonem, znacznie spokojniejszym i bardziej rzeczowym, mniej agresywnym — problemy, problemiki

psychologiczne itede. Znamy to. Taka wykwinna duchowa bizuteria. Ale, jak się panu zdaje, dlaczego tamta aktorka, której grę tak pan podziwiał, ta Ullmann, czemu jej nagle odechciało się grania na scenie, w ogóle życia, czemu od niego odeszła na bok, dlaczego zaprotestowała swym niemym, lecz jakże wymownym NIE!, przeciwko wszystkiemu, co się dzieje dokoła, gniewnie zamilkła, przeciw tej naszej sytej, parszywej zgodzie na to, co się wciąż, nieustannie na naszych oczach dzieje, tyle że daleko, więc niby mniej ważne? Dlaczego ta młoda, zdolna, piękna kobieta u szczytu scenicznego powodzenia zamknę

ła się w swym upartym milczeniu? Z kaprysu? Bo psycho- patka? Cha, cha, cha! Daję panu moje słowo honoru, że była psychicznie zdrowa jak ja i pan, zdrowusienka, żadna, tam histeryczka czy schizofreniczka, mimo że byłby to wybieg nader wygodny dla takich wykwintnisiów i wygodnisiów życiowych jak pan drogi i wielce łaskawy. No więc? A pan mi tu znów — o alienacji, frustracji, wampiryzmie i tak dalej. Jeszcze trochę, a usłyszymy wykład o teorii Freuda, a także Junga i Adlera. A to, za przeproszeniem pana, gównno. Wykręty sytych spryciarzy, kamuflaż i tyle.

Znów się najwyraźniej zaczął podniecać. Jedna z dziewcząt, taka ładna brunetka ostrzyżona na chłopaka, z szerokimi, bardzo kobiecymi biodrami, i wydatnymi piersiami widocznymi przez grubą golf, podniosła się, jakby z niepokojem, z podłogi, wyprostowała, wspięła się na palce i wydała przeciągły, długi okrzyk podobny do głosu ptaka. Jakies takie — ahój! ahój! Potem skurczyła się, zgięła w kolanach, uklękła, nachyliła się tak nisko, że dotknęła czołem posadzki. Nikt nie zwrócił szczególnej uwagi na jej zachowanie. Tylko inna dziewczyna, z długimi włosami opadającymi na piersi, odziana w bardzo obcisłe dzinsy z indiańskimi frędzlami po bokach i z pękami bransolet na obu rękach, poruszyła się niespokojnie, próbując wyswobodzić się od chłopaka, tegoż dryblasza z wąsami, lecz bez brody, który oparł łokieć na jej biodrze. Zdołała się nieco unieść i powiodła dokoła wzrokiem lunaticzki, szklistymi oczyma koloru wody. Potem wróciła do poprzedniej pozycji, bierna i całkowicie obojętna na to, co się dokoła niej dzieje, zatopiona w jakichś swoich światach. Od pewnego czasu podejrzewałem ją o zażywanie narkotyków, lecz jak dotąd nie udało mi się jej na niczym przyłapać.

Turgieniew w dalszym ciągu:

— Ale pana najwyraźniej nudzi to, o czym ja mówię... Ja ,pana najmocniej pragnę przeprosić za tyle okazanego nietaktu, ba, gorzej jeszcze — prawdomówności, tej najgorszej chyba, najbardziej tępionej, i słusznie, ludzkiej wady. Co? Bo jednak nijako panu, no nie? Nieswojo? Jakoś tak mimochodem umknęły pańskiej uwadze tamte dwa obrazki —I dziecka z uniesionymi w górę ramionami i tego płonącego mnicha. Otrzaskał się pan, przejadł, nudzi to pana, ma pan dość, mierzi pana, takie to niewygodne, nietaktowne. Mam rację czy nie? No niech Dan powie. My młodzi liczymy na pańską deklarację, na pańskie mądre, dojrzałe słowa... Na co pan jeszcze czeka? Że niby wciąż to samo i że pan na to nic nie poradzi: w kółko Wietnam, Wenezuela, Boliwia, Biafra, Bliski Wschód, Indonezja, Sudan, coś tam jeszcze... Przejadło się? A zatem nic nam pan nie powie, niczego nie objawi, na próżno czekaliśmy, na próżno spodziewaliśmy się... W takim razie zgódźmy się na jedno: kapitulacja całkowita, poddanie się, ręce obie do góry, kłapa, koniec: Czy nie tak? I ja tak myślę, tylko chciałem, żeby pan to potwierdził, żeby się pan przyznał, żeby pan był na tyle uczciwy... Na próżno! Pan milczy. Wyraźnie naburmuszony, urażony... Ja to rozumiem. Nie wymagam. Ja chciałem paha bardzo serdecznie przeprosić. Już wiem wszystko.

Minąłem po drodze, za rzeką, inny napis na murze, tym samym, na którym widniały niegdyś resztki afisza Persony z dwoma profilami aktorek, jednej podobnej do drugiej: dwu sylwetek zachodzących wzajemnie na siebie; napis ten brzmiał: „Ceny wciąż rosną! Uwaga! Uwaga! Nie wierzcie statystykom! Prasa kłamie!”

Zrobiłem spore koło, zawróciłem do miasta, przejechałem już w ukośnym przedwieczornym oświetleniu pelzającym po zboczach Ehrenbreitsteinu, Schlossbergu i dalekiej, lekko zamglonej perspektywie wzgórz poza Niederbergiem, następnie skręciwszy z Ebert Ringu pod wiadukt i na Mosel Ring, wydostałem się bez zbytniego trudu, gdyż o tej porze jest tu względnie luźno, ciężarówka skończyła bowiem swe zwyczajne kursy, na Nowy Most na Mozeli, by za rzeką wjechać w szeroką Mayenerstrasse, w kierunku dzielnicy Metternich oraz przedmieścia Giils. właśnie — Giils. Win- ningerstrasse. To tutaj. Kępa

wysokich drzew o soczystej zieleni bujnych koron, o tej porze dnia i w tym oświetleniu szmaragdowych aż do nieprawdopodobieństwa. Winiarnia w brukowanym podwórzu za tymi drzewami. I cisza tak niemal idealna, że aż nierealna. Spokój zupełny. Więc zaparkowawszy wóz, usiadłem przy stoliku ustawionym pod drzewami na dworze i zapaliłem papierosa. Podeszła kelnerka, zamówiłem po krótkim namyśle szklaneczkę Moselwein.

Na murze, niedaleko ode mnie, za ścieżką, odczytałem napis dość świeży: „Całe Niemcy muszą płonąć!” Kelnerka, przynosząc wino, zauważyła mój wzrok i uśmiechnąwszy się

powiedziała: — Ciągłe smarują. W nocy, wie pan, jak nikogo nie ma. Ale to się wyskrobie. Hans to robi. Bo to paskudnie wygląda takie coś. I nic nie znaczy. No bo co? A potem znów przyjdą tamci i coś. nowego wysmarują. I tak w kółko.

Odeszła, a ja łyknąłem zimnego, znakomitego wina. Rozsiadłem się wygodnie, patrząc w kierunku rzeki. Plamy słoneczne przesuwają się po kamiennym blacie stołu, przy którym siedziałem, podobnym do młyńskiego koła. Na nim liczne napisy wyryte czymś ostrym, a także porysowane chemicznym ołówkiem. Przypomniła mi się szkolna ława sprzed wielu lat. Poglądziłem dłonią ten wyszlizgany, nagrany słońcem kamienny blat. Było mi w tej chwili dobrze, niewytłumaczalnie wprost dobrze, jakby mnie spotkało coś miłego lub jakbym czegoś takiego się spodziewał. A ja przecież nie czekałem na nic. I ten właśnie brak oczekiwania odczułem jako ulgę, a więc i szczęście. Powietrze o tej przedwieczornej porze było nadzwyczaj świeże, a także przejrzyste. Dymy z nad miasta odpływały w stronę Renu.

Miałem kiedyś nieostrożność powiedzieć przy Erneście, że szczęście, czy raczej idzie tu o poczucie zadowolenia — a to prawie, lecz niezupełnie to samo — jest trudne do zdefiniowania, a nawet sprecyzowania. Że świadomość braku trosk, bo o to chyba głównie chodzi, wydaje się uzależniona od czynników nieraz błahych, wręcz śmiesznych i pozornie nieważnych. Przede wszystkim braku jakiegokolwiek myślowego natręctwa. Od dobrego samopoczucia. Może prawidłowego trawienia, czy ja wiem. Stanu wątroby albo wydzielania i pracy nerek. Różnych gruczołów dokrewnych i innych. Przecież tyle ich mamy. I jeśli nastąpi taka chwila, dość rzadka, gdy się to wszystko razem zgra, złoży, gdy konflikty, także te wewnętrzne, uciszą się, można mówić o poczuciu zwanym potocznie szczęściem.

Tak mówiłem jakby natchniony czy leciutko rozmarzony, na poły do siebie, na poły do niego, a on milczał.

— Sam się kiedyś przekonasz, gdy bardziej dojrzejesz, bo to jest także poniekąd sprawa wieku, rozumiesz mnie, gdyż młodość sama z siebie produkuje tyle składników ułatwiających jeśli nie odczucie autentycznego szczęścia, to jego złudzenie. A później sprawa się komplikuje, głównie z racji starzenia się, zużywania się organizmu. Zatem kiedyś tam pojmiesz, mój drogi, gdy wyzbędzisz się tej nie

HHHHIHHHMIHHHHHPi

cierpliwości, jaka cechuje młodość, tej nieustannej gonitwy, tego zdyszania, tego nerwowego podniecenia... Nawet kiedy siedziałem w więzieniu, a także w obozie — wiem, że nie lubisz, jak do tego wracam, ale to tym razem niezbędne, wybacz więc — nawet tam, w warunkach, zdawałoby się, najmniej sprzyjających, zdarzały się mimo wszystko — trudno w to wręcz uwierzyć, a jednak to święta prawda — chwile potocznie nazywane poczuciem kompletnego szczęścia. Tam właśnie poznałem względność tego uczucia, a raczej warunków, w jakich może powstać i trwać. Minutę, dwie, czasami dłużej, rozumiesz? I że należy przyłapywać je w takich okolicznościach, by nie przegapić, nie zmarnować, bo to jest, widzisz, straszliwie nietrwałe i kruche. I że czasami wystarczał fakt, że po dniach bezsłonecznych, pochmurnych, ciemnych — a w celi odgrywa to ogromną rolę, nie masz wprost wyobrażenia jaką — nastął dzień słoneczny, bezchmurny i że ten błękit nieba można było zobaczyć, jakiś skrawek tylko, lecz to wystarczy, uwierz mi, a także wyobrazić sobie, dośpiewać to, czego nie da się dojrzeć, cały nieogarnięty błękit nieba, rozumiesz? Albo i tego czasami wystarczyło, że nic nas nie oczekuje. Jest już po obiedzie, na żadne przesłuchania nas nie wywołają, nie pora na to. Gestapo wzywa rankiem, czasami, rzadziej, i w nocy, po południu nigdy, przynajmniej ja nie miałem takiego doświadczenia; więc mamy przed sobą kilka godzin zupełnej ulgi; nic nam nie przeszkadza, do niczego konkretnie nawet nie tęsknimy, na nic nie czekamy, ani na dobre

— bo i takie oczekiwanie może stać się zawadą, niepokojem, niemal troską — ani na złe, istnieje jak gdyby pauza czy coś w rodzaju miniaturowych wakacji. I wtedy nagle czujemy, wiemy już: to właśnie jest szczęście. I gdyby nas zapytano, czego byśmy w tej chwili pragnęli — jesteśmy zbyt trzeźwi na to, by domagać się cudu, na przykład otwarcia bram więziennych — więc nie chcemy niczego, bo nic nam nie przychodzi na myśl, czego byśmy pragnęli, poza jednym chyba: żeby to trwało, żeby nam nikt nie przeszkodził w tej jakiejś kontemplacji upływu czasu, czy ja wiem, w tym wsłuchiwaniu się z braku czegoś innego, ważniejszego, w rytm organizmu, pracę serca, płuc, jelit, nerek. Rozumiesz już, o co mi idzie?

Ernest, który słuchał przez cały czas mojej tyrady bardzo uważnie, powiedział:

— To jest, wybac mi, mentalność kreta. Albo lepiej -ć— glisty. Takiej, co to, wiesz, wypełnie z dziury, takiej malutkiej dziurki, i cieszy ją sam goły fakt istnienia, nim ktoś nadejdzie i rozdepcze. Takie chociażby-szczury, pojmujesz mnie? One również miewają tylko i wyłącznie takie właśnie malutkie i skromniutkie przyjemności. Zaczaić się, dopaść, najeść się, zmrużyć ślepią i trawić. Szczęście, szczęście! Ale skoro ci to wystarczy — czy ja wiem? — no to ci gratuluję, z całego serca ci winszuję, ale nie zazdroszczę. Sam chyba widzisz, do czego doszedłeś. To jest przecież — na tyle się jednak orientujesz — kompletne, zwyczajne dno.

Gdy milczałem, dodał po chwili: 111| No cóż, ostatecznie każdy znajduje takie życiowe radości, na jakie go stać i na jakie zasłużył. Bywają horyzonty szerokie, że nie sposób ich objąć, a nawet określić, i takie wąziutkie, że można by je zmieścić w dziecinnej zabawce, w kalejdoskopie. Też uciecha. Też jakiś tam własny, niezaprzeczalnie autentyczny świat. Że maleńki, no to co? No to nic.

Wówczas ja, niepotrzebnie, gdyż już nie raz przecież obiecywałem sobie, że nie będę więcej wdawać się w niepotrzebne dyskusje, powiedziałem: — Jeśli ci to nie przemawia, to ci jeszcze powiem: szczęście — to także i przede wszystkim poczucie spełnionego obowiązku. Po prostu Czyste sumienie.

I natychmiast pożałowałem wypowiedzenia tego okropnego banału, bo on, jak się tego winienem spodziewać, zmarszczył brwi i parsknął obraźliwie:

— Co też ty powiesz?! Doprawdy? Coś podobnego! Kto by się tego spodziewał! Nigdy by mi coś takiego nawet na myśl nie przyszło! Ale to już, wybac, że będę szczery — zwłaszcza w twoich ustach, kochany — brzmi jak drwina. Gorzej — cynizm. Lepiej byś zrobił nic nie mówiąc.

No i jeszcze praca — brnąłem dalej beznadziejnie mimo narastającego we mnie niesmaku, czując, że staję się z każdą chwilą śmieszniejszy, niby wilhelmiński belfer. Lecz Ernest przestał się złośliwie uśmiechać, nachylił się ku mnie jakby z pogroźką i wykrzyknął:

— Jaka? Twoja? Adwokacka? Świetnie płatna? Przecież w twoim interesie leży, tak jak u lekarzy, którzy modlą się o epidemię, żeby ci nigdy nie zabrakło klientów. Wielka szkoda, że jeszcze dotąd nie istnieje, o ile wiem, jakaś szaj

ka finansowana przez adwokatów, która miałaby za zadanie prowokowanie zbrodni i przestępstw. A w ogóle — to szkoda z tobą gadać. Nie chce mi się po prostu. Wzbudzasz tylko obrzydzenie.

Poszedł sobie. To była jedna z ostatnich rozmów między nami- Tuż przed powzięciem przez Ernesta decyzji zerwania ze mną wszelkich więzów. Wyprowadził się istotnie, chyba nazajutrz, ale pieniądze przyjmował jeszcze jakiś czas. Wpłacałem mu kolejno na dwa podane przez niego adresy, jeden z nich w Koblencji, drugi we Frankfurcie. I tamci, ci jego kumple, znikli wraz z nim. Ciekawe, iż gdy pragnąc wywiedzieć się czegoś o Ernestie próbowałem odnaleźć któregoś z nich, poza jednym tylko, przypadkowym spotkaniem w drodze z Kolonii, ani razu mi się to nie udało, mimo że. Koblencja jest małym miastem.

Gdy siedziałem przy winie, przyszły mi na myśl tamte strzępy rozmów, jeśli można w ogóle nazwać rozmowami te spory czy pseudodysputy, mające wszelkie cechy przekomarzań i kłótni. Nagle mi ich zabrakło. Jak to powiedział mi na pożegnanie Ernest? — Twoje życie, twoje doświadczenia i poglądy, mój kochany — mają dla mnie taką samą wartość jak na przykład lektura kolejowego rozkładu jazdy sprzed pierwszej wojny światowej. Identyczną.

Prawem kontrastu nasunęła mi się inna myśl, przysyłając tamte, niewesołe i gorzkie. Zeszłej wiosny byłem parę dni w Paryżu i jadłem tam obiad z pewną panią, dawną znajomą mego przyjaciela, której w jego imieniu miałem coś ważnego zakomunikować. Siedzieliśmy w jednej z wykwintniejszych restauracji Paryża, mającej sławę sięgającą chyba końca

zeszłego wieku, słynnej la belle époque, u Pruniera przy rue Duphot, niedaleko Madeleine. Wytworne menu wedle wyboru owej pani, wdowy po Żydzie pochodzącym z Alzacji, ocalał jakimś cudem z obozu, zmarł kilka lat po wojnie, i który ożeniwszy się z o wiele młodszą od siebie Anneliese Sch., pozostawił jej w spadku sporą fortunę. Pani Sch., którą dopiero wówczas poznałem, ma w tej chwili jakieś czterdzieści dwa, może trzy lata i jest osobą, która może się jeszcze bardzo podobać i zawrócić niejednemu w głowie, nie tylko ze względu na majątek.

A zatem po kolei — bo zapamiętałem, zanotowawszy po powrocie późnym wieczorem do hotelu, zestaw potraw: filet z turbota w szampanie, obłożony, czyli, wyrażając się fa-

i ^Er chowo, garniowany langustynkami; ślimaki po burgundzku,
- ii których, muszę wyznać, pierwszy raz spróbowałem z pew-
s ną tremą, lecz jakoś poszło; do tego Chablis, wybrany spe-
cjalnie rocznik, a następnie szynka sabaudzka w sosie por- v to... Jako tak zwane piat
de resistance — kuropatwy i do
8 nich burgund, a na zakończenie — klasycznie, jak to bywa
i na takich przyjęciach, czym kończą się z reguły takie obia-
dy, a ja znałem je dotychczas wyłącznie z lektury i filmu: kawa, sery, owoce, kieliszeczek
Grand Marnier... Czemu mnie się w tej chwili, tutaj, przypomniały te nieważne szczegóły?
Przecież ani tej pani, załatwiwszy, co do mnie należało, nie spotkałem więcej, ani rozmowa z
nią nie była ja-
kimś ewenementem godnym zapamiętania. Tyle że, jak się okazało, pochodziła z Berlina i
chciała się ode mnie dowiedzieć kilku szczegółów natury, rzekłbym, topograficznej, które
zapewne, jak się domyślam, przypominały jej wczesną młodość, gdy jako podłotek chodziła
tamtych uliczkami — gdzieś na peryferiach, w dzielnicy Weissensee czy nawet w Hohen
Schonhausen.

Jakie — myślałem sącząc chłodne wino, a na mój kamienny - stolik pod rozłożystym
kasztanem siadały wróble domagając się okruszek — menu ja bym tutaj, u nas w Koblencji,
albo lepiej w Kolonii czy w Monachium — tam dają najsmaczniej jeść, a już zwłaszcza
dziczyznę, której nikt jakoby i nigdzie tak nie potrafi przyrządzać jak tam właśnie — co bym
zapropozował dziewczynie, czego z reguły nigdy nie robię, dotychczas przynajmniej, a zatem
byłby to jakiś wyskok w stylu burżuazyjnym i jednocześnie operetkowo-filmowym,
ucieszyłby się Ernest, gdyby mnie w takiej sytuacji przyłapał, chciałbym widzieć jego minę
na mój widok, a także tej, z którą bym się wybrał do tej luksusowej restauracji, raczej
intymniejszej niż w tych wielkich, niemal identycznych na całym świecie różnych „Hilto-
nach” czy „Tntercontinentalach”, tak do siebie podobnych jak wnętrza międzynarodowych
lotnisk; jak bym się przede wszystkim czuł ja sam w takiej niecodziennej roli — rodzaj wręcz
zjadliwej uciechy na myśl, że tak już daleko oszedłem od tamtego wzorca sprzed lat, nie
mówiąc już o ideałach, te nie wchodzą tu w ogóle w rachubę, ale sama śmieszność, co tu
gadać, właśnie to, z czego pękaliśmy ze śmiechu, ja i moi przyjaciele — świadomość, iż nie
czuję już nawet wstydu.

0 Albo, żeby się to stało jeszcze bardziej nieprawdopodobne, te projekty — nie projekty,
raczej luźne myśli niosące z sobą obrazy, kształty, zarysy czy propozycje sytuacji, a nawet
rozmów — a gdyby się tamto ziściło, gdybym już siedział na wygodnej kanapce w rodzaju
łóży czy w zakątku nader intymnym w takiej właśnie wykwintnej restauracji, dajmy na to
gdzieś w Paryżu, a może w Madrycie, nie, w Paryżu lepiej: radziłbym ci (gdyż, jasna rzecz,
mówiłbym tej mojej partnerce per ty, jako znacznie, ale to znacznie od niej starszy),
doradzałbym ci wybrać wpierw to, albo lepiej tamto, nigdy nie próbowałaś jeszcze ostryg,
no to spróbuj, albo lepiej porcję homara po amerykańsku, w whisky, taki sos, & l'americaine, a
może kawior, mają, jak widzę, perski, wprost z Morza Kaspijskiego. A do tego weźmiemy
sobie butelkę Chablis albo wiesz co? — lepiej ka- rafeczkę champagne nature... Co ty na to?
I jej zachowanie się przy różnicy lat, tak na oko, czterdziestu bez mała — ja pod
sześćdziesiątkę, ona, dajmy na to, osiemnaście, więc czterdzieści z okładem, kelner przy-
mujący zamówienie ocenia to, zachowując pełną dyskrecję

1 służalczość, a że z moją partnerką zamieniam uwagi po niemiecku — on, Francuz,
rzecz prosta, jako że sprawa odgrywa się w Paryżu, gdzieś może na boulevard Clichy, byłem
tam kiedyś w takiej malutkiej, bardzo drogiej restauracyjce, nazywała się „Chez la Mere
Catherine” czy tak jakoś — więc wciąż nachylony służbiście, jako że wybór potraw i win
świadczy wymownie o klasie i zamożności zamawiających, myśli sobie nieobowiązująco: ci

Niemcy, tylu tych niemieckich turystów teraz, więcej niż Amerykanów, jedni warci drugich, ciekawym — tak w dalszym ciągu rozmyśla już odchodząc od naszego stolika, na którym mała lampka w czerwonym abażurze z marszczonej tkaniny i jakieś kwiafty — jak też on sobie poradzi, w tym wieku, taki stary dziad, któremu już brzuch unosi dół kamizelki i który łysieje od czoła aż do karku, z tą dziurką, która wygląda mi — a ja mam oko — na nie pozbawioną temperamentu; zatem — kolejne migawki na ten temat, moje i jej, taka zabawa wyobraźni między nalaniem wina do kieliszków i wyłożeniem na talerze homara — różne pozy, pozycje raczej, bardzo wymyślne, a nawet figlarne. I może wchodząc do kuchni, mijając w drodze któregoś ze swoich kolegów, powie mu ze śmiechem coś o nas obojgu; a może i nie, bo

ja przesadzam najwyraźniej; kelnerzy paryscy są tak otrzaskani, tak zblazowani, że nasza parka nie zwróci żadnej uwagi, nie nasunie żadnych myśli; banał, co tu ukrywać. Jakiś niemiecki turysta? Człowiek interesu? Wygląda na to. A ta jego siksa też Niemka. Może córka? Wnuczka? Bo trudno pomyśleć, żeby taki oblatany zamożny facet wylądował w Paryżu z własnym prowiantem, gdy tyle tego u nas na każdym kroku, i to nie takich, mój dobry Boże!...

Zatem gdyby się tak wydarzyło, co się nigdy nie spełni, ale założmy, że tak, iż mnie już prosperity i z nią związane przejście niepostrzeżenie z jednego poziomu na drugi, wyższy, tak uderzyło do głowy, że już mi ani Kolonia, ani Monachium, ani Hamburg nie wystarczają, potrzebny mi koniecznie dla osiągnięcia pełnej satysfakcji aż Paryż — gdyby się tak wydarzyło naprawdę, jak czułbym się w tej nowej dla mnie roli na poły opiekuna, na poły amanta; gdyż takie właśnie słowo samo się nasuwa, należy do podobnej konwencji obyczajowej.

A przecież, gdy się tak zastanowię, nic łatwiejszego: wystarczy nabyć dwa miejsca w Lufthansie albo Air France, kilkadziesiąt minut lotu, widok z góry — Ren, jakieś zalesione niewysokie góry, aha, to przecież Wogezy, i już Paryż, Eiffel, Sacre Coeur, bulwary i tak dalej, cały ten barwny kram znany mi, lecz nie do końca, ten koniec bardziej z literatury i filmów, teraz okazja. Sytuacja raczej egzotyczna. Jakiś pokój w hotelu, pewnie przy wielkich bulwarach, stać mnie na hotel Scribe czy Edouard VII, coś w tym rodzaju; gdy się wybiera na taką eskapadę, nie warto liczyć się z każdym groszem, nie leży to poza tym w moim charakterze; a więc pokój, kotary ciężkie, bordo, obok łazienka, tam lampka nad lavabo i bidetem i słychać dyskretny chlupot; czekam lojalnie w pokoju, aż ta mała skończy ablucje, stoję w oknie, przez które, gdy się rozchyli nieco kotary, widać z góry na przykład boulevard des Ita- liens; a może cichy, intymny zaułek pełen dyskretnej elegancji końca tamtego stulecia — rue Edouard VII; tak to jakoś sobie w tej chwili wyobrażam; przechodziłem tamtędy ze dwa razy w życiu i utkwiał mi w pamięci kształt i wygląd, szyk niedzisiejszy, nawet nie wczorajszy — trzeba by sięgać aż do lat sprzed pierwszej światowej, czasów bohaterów powieści Marcellego Prousta — zerkam na ulicę, gdy mała, którą przywiozłem przed godziną z lotniska Orły

czy'Le Bourget, gotowi się do zapowiedzianego wyjścia na miasto; w perspektywie znakomita kolacja, a jakoś tak to widzę, że ta mała jest łakoma, a teraz wręcz głodna i bardzo jej się chce jeść i pić; potem jakiś lokal, może strip- -tease — to nudne i śmieszne, tak sobie ona myśli, ale skoro on chce (to znaczy ja, o mnie tak sobie pomyśli), starsi panowie potrzebują takich wrażeń, podniet, żeby nabrał wigoru, czy ona zresztą ma aż takie doświadczenie z panami w pewnym wieku, a może im jest to niezbędne, zatem dobrze, niech będzie strip-tease; dotychczas miała do czynienia z równolatkami, rodzaj gry sztafetowej, jak oni to nazywają między sobą, gromadnie, zakłady, ile kto razy, bicie rekordów, wyliczanie przez sędziego, który sprawdza, czy ktoś nie oszukuje, pisanie kresek na tapecie, ile brakuje do dziesięciu tobie, Fred; albo: uwaga, Sepp w czołówce! brawo, Heddi! ona z nim u mety, sześć do ośmiu wygrał X albo Y; w rezultacie po pewnym czasie rutyna, monotonia.

Ostatecznie, prawdę mówiąc, ile figur możliwych w takiej grze? Dwadzieścia, trzydzieści? A i to każda kolejna to już tylko wariant poprzedniej, silenie się na oryginalność, na dziwactwo; jak powiedziała jedna z dziewczyn w mojej obecności do drugiej, skarżąc się na nudę bliską całkowitego zubożenia w tej właśnie dziedzinie, a nie miała, jak sądzę, więcej niż siedemnaście lat: — Jak długo tak można? Ile razy pod rząd? Za trzecim — zaczynam ziewać i nudzić się, przy piątym — zapalam papierosa, siódmy i ósmy — już męczę.

Więc ta jakaś tam, przypadkowo czy może po dłuższym namyśle wybrana przeze mnie, starszego, dobrze sytuowanego pana, i przewieziona do Paryża, wbrew zasadzie, iż do Tuły nie jeździ się z samowarami, malując wargi przed lustrem w łazience, do której drzwi są

nadal uchylone i ona widzi mnie, a raczej moje plecy dość szerokie i wzbudzający co? zaufanie? leciutki niepokój, biorąc pod uwagę przypuszczalny ciężar faceta? — ile on może ważyć? dziewięćdziesiąt, może aż sto? no to ładna perspektywa! — pudrując nos, wciąż naprzeciw lusterka, myśli sobie zapewne: dobrze, że nie przystałam na wspólną eskapadę do Monachium, jak on zrazu proponował, też mi uciecha! Paryż, no to. już coś, będę miała przynajmniej pojęcie, jak to wyglądać warta zabawa' fatygi, ostatecznie nie takie męczące

i nudne, wielka rzecz!, i tylko trzy dni wszystkiego, tego rajskiego wesela, tej mordęgi.

A byłby to, taki jeden z kilku możliwych wariantów przygody, która nigdy nie dojdzie do skutku, i dlatego pewnie tak w niej smakuję, popijając wino w wędrujących po mnie, mojej twarzy, po kamiennym blacie stołu i trawniku plamach słonecznych — założmy taką sytuację — ze strony panienki wyskok w tajemnicy przed rodziną, bo jesteśmy wprawdzie postępowi i wygłaszamy teorie bardzo wojownicze, lecz w gruncie rzeczy boimy się i mamy. i taty. Porządna rodzina, jak należy, gimnazjum, na lekcje wdziewamy mundurek, na drogę trzeba koniecznie wybrać coś bardziej a propos, w Paryżu, żeby pójść do nocnych lokali, ten facet kupi mi co należy, później w razie czego zostawi się to wyjeżdżając w hotelu, żeby w domu nie znaleźli, strach pomyśleć; dyskrecja, bo sytuacja nieco egzotyczna, i to właśnie panienkę podnieca, bo to już nie tamta, którą przed chwilą, myśląc o Paryżu i pokoju w hotelu, widziałem przez uchylone drzwi do łazienki — taka ultra- modern, co to z chłopakami w kupie, w gromadzie, różne gwiazdy, kolejki linowe i zębate — tak się to u nich nazywa — nic takiego, teraz mamy na myśli panienkę z mieszczańskiej, przyzwoitej rodziny.

Coś z przygody filmowej, taki weekend nie z tej ziemi — dla niej, rzecz jasna, nawet odrobina strachu, jak to wypadnie, on, ten adwokat wyglądający w jej oczach na dziadunia, zarazem ojcowski, tak, ma w sobie coś z ojca, gdy kładzie jej dłoń na plecach lub poprawia jej, córce, palcem grzywkę na czole albo kołnierzyk marynarskiego mundurka — czym się to skończy? Te fascynujące zresztą objawy wyraźnej tremy, jak przed egzaminem, mimo pozorów bimbania sobie z wszystkiego, udawania przede mną, że jej nie pierwszozna, że ona już ho-ho! — ale to nieprawda i nie trudno zgadnąć, zdemaskować panienkę, cóż, kiedy żal mi jej, niech się ludzi, że wierzę w te jej przechwałki, należy to również do przyjemności tej imprezy. Awantura na całego — o tym przecież skrycie marzyła. Koleżanki pękną, gdy im powie. Nie będą wierzyć. No to pokaże im w sekrecie bilet paryskiego metra, bilet do teatru albo do Folies-Bergeres, coś takiego. Albo słońce po prostu kartkę dań z restauracji; będą musiały uwierzyć. Co za fajna przygoda! Jaka heca! Czego nauczy ją ten stary facet w łóżku? Czego się od niej będzie domagać? Z góry wyraża w duchu zgodę na wszystko.

Więc mogłoby to wyglądać również i tak.

Widziałem niegdyś film, zapomniałem już tytułu, z Audrey Hepburn i Gary Cooperem, który tym razem wcielił się w rolę pana w średnim wieku. Ktoś taki między ojcem a wujaszkiem. Nie pamiętam szczegółów, pozostał mi jednak w pamięci nastrój tego filmu. Korytarze hotelowe, pokój, łazienka, jakaś piżama. Tak by w gruncie rzeczy mogła wyglądać i moja fantastyczna eskapada paryska. Jestem wprawdzie nieco starszy od Gary Coopera z tamtego filmu i nie mam jego aparycji, urody, elegancji, tego nie da się ukryć. Lecz i moja ewentualna partnerka nie byłaby przecież Audrey. Nie jestem pewien, trudno mi nawet wyobrazić sobie, czy doceniłaby moje prawdziwe intencje. Przecież, gdyby szło wyłącznie o przespanie się z nią, można bez trudu dokonać tego tutaj, na miejscu, po co ta ryzykowna eskapada, przy tym kosztowna, za kosztowna jak na to, co warta. Taka fantazja zatem, żeby jej zrobić przyjemność, zaimponować? Kaczej przyjemność tylko. Coś bez wątpienia ojcowskiego w takich pomysłach. Opiekuńczego.

I czy nie zrozumiałaby zbyt dosłownie tej mojej propozycji jako oferty stałej pomocy materialnej za odpowiednie usługi. Może pod pozorami maszynistki czy osobistej sekretarki. Wyczułaby instynktownie okazję. Przedzierzgnięcie się mnie, dotychczas stawiającego problem na innej, bezinteresownej płaszczyźnie, w faceta, który płaci i wymaga, który ją kupuje czy też wynajmuje na jakiś czas. I zarazem — rodzaj donżuana w stylu nader archaicznym. Takich już trudno spotkać tak byle gdzie. Może na Sylcie, w jakiejś Ostendzie czy Westendzie, w Biarritz. A i tam — gatunek zanikający, na wymarciu, właściwie go już prawie nie ma. Same falsyfikaty. I ten fakt też może stanowić dodatkową atrakcję. Styl retro. Czytało się, oglądało na ekranach, ale żeby samemu? No nie — taka okazja!

Lowelas, nowocześniejszy, o innych manierach, inaczej ubrany — ale konwencja podobna. Więc tamta, czy to byłaby dziewczyna otrzaskana i kuta na cztery nogi, czy ktoś mniej doświadczony, mniej drapieżny, dajmy na to jakaś ekspedientka wyłowiona przy okazji zakupu krawatów w dużym magazynie, nakłoniona na urlop ekstra albo na upozorowanie przed szefem choroby kogoś z rodziny — na

trzy dni zawsze można się wyrwać z pracy — albo nawet maszynistka w jakimś biurze, ktoś w tym rodzaju. — czy taka zasmakowałaby, poczuła się nagle w nowej równie filmowej roli, jak i operetko wo-filmowa bez wątpienia cała ta przygoda, i nie obejrzałaby ze zbytnim już zainteresowaniem paru wystaw, na przykład na place Vendôme albo gdzie indziej, na rue Royale czy przy Madeleine. Biżuteria, no, nie zaraz taka autentyczna, na to nie uda się faceta naciągnąć, ale co najmniej perły ze sztucznej hodowli, coś w tym stylu, a może paryskie szykowne futro, kto wie. I wtedy — w mgnieniu oka, jakby za jednym zdmuchnięciem, jakby się odwróciła scena obrotowa. — wszystko straciłoby sens. Zmieniłoby charakter. Banał bez wartości. Taką zabawę można sobie bez budowania wszystkich tych dekoracji, rusztowań i tak dalej — gdziekolwiek i znacznie taniej, i .bez jakichkolwiek złudzeń, pozorów — zorganizować we Frankfurcie, w Hamburgu, a jeśli już koniecznie Paryż, bo jednak, co tu gadać, odmiana, inne twarze, inny entourage ;— to już wtedy warto by skorzystać z miejscowych uciech, z miejscowej obsługi.

Pomyślałem w pewnym momencie: towarzyszu,, a gdzie- ście to zawędrowali? O czym wam się tak przyjemnie marzy przy winie? Gratulujemy wam akomodacji, aklimatyzacji, akceptacji już teraz — nie przeczcie! — na sto dwa procent tego modelu życia, coście go chyba świadomie wybrali. Czy nie tak? Parsknąłem śmiechem.

Podniosłem się i zapłaciwszy miłej panience w ludowym fartuszku i wyszywanej krajce w stylu nadreńskim, takiej przepasce na jasnych włosach upiętych dość staroświecko — podszedłem do wozu zaparkowanego w cieniu kilku sporych drzew. Wycierając zamszową szmatką przednią szybę, nieco zakurzoną, a także latarnie, widziałem bliski, przeciwległy brzeg Mozeli. Dzielnicę Moselweiss. Rzadko tam bywam. Stąd widać kościół świętego Wawrzyńca wraz z internatem dla dziewcząt, a także — obok — drzewa niewielkiego 'cmentarza. Bliżej ~ prawie nad samym brzegiem rzeki — szkoła powszechna tamtej dzielnicy.

Dymy z kominów unosiły się wprost w niebo, w pogodny blady błękit, z odcieniem niemal lila, wieczerniejący. Kilka, daleko — chyba nad moim Arzheim — wąskich, płaskich obłoków koloru łososiowo krwawego, jak ryby w akwarium. Skierowane na północ ku wyraźnej na tle nieba, ciemnej masie twierdzy i góry Ehrenbreitstein. Spokój wyczuwalny fizycznie, każdą cząstką organizmu, promieniujący jak gdyby z każdego szczegółu, każdego ukośnie, w poprzek jakiegoś muru, jakiejś jaśniejszej ścieżki leżącego cienia nadbrzeżnych drzew, domów, zarośli w czymś sennym ogrodzie.

Wtedy, gdy już oczyściwszy należycie i szyby, i latarnie, a przy okazji odkurzywszy i dach mego VW, wyprostowałem się, przeciągnąwszy, i tak stałem nad samym brzegiem ciemnego nurtu Mozeli — z budynku szkoły na boisko leżące już niemal w cieniu, lecz w części jeszcze jasne, płowo piaszczyste, wyszło kilka młodych dziewcząt, zapewne uczennic tej szkoły, mających może popołudniowe lekcje gimnastyki. Bo dwie z nich były ubrane w czerwone dresy sportowe, trzecia zaś, najwyższa i najbardziej smukła i wiotka, szła po placu odziana tylko w krótkie granatowe majteczki, prawie slipy, i w sweterek podwinięty od spodu tak, iż mogłem z miejsca, w którym stałem, obserwować bardzo wyraźnie jej opalony na jasny brąz, spieczony słońcem brzuch. Ukośno padające, ostatnie promienie zachodzącego słońca ślizgały się po nim, uwypuklając jego wręcz doskonały kształt, wklęsłość tuż nad nim, u nasady żeber, a także głębokie zagłębienie pępka. Podeszła jeszcze parę kroków bliżej i wtedy Zagarnął ją cień. Zatrzymała się naprzeciw mnie ukrytego w kępie zieleni i patrzyła pod słoń- .ce kryjące się za dachy domów, przysłoniwszy oczy obu dłońmi. Lekki powiew idący od rzeki poruszał jej włosy, to zgarniając je na policzki, to znów odgarniając na uszy i kark. Miały ten odcień, nader rzadki, barwy zwanej powszechnie rudą, ale zbliżonej do prawie czarnej, jaki miewają pewne gatunki śliwek, gdy są już nieco przejrzałe, jak również

niektóre koty angora. Miałem okazję spotkać ten kolor zaledwie parę razy w życiu. Podobne włosy miała moja żona.

Gdy koleżanki dziewczyny wciąż stojące nad wodą, opartej teraz jedną ręką o niski murek, zawołały na nią, odeszła ociągając się, jak gdyby powstrzymywana moim wzrokiem, moim pragnieniem widzenia jej jeszcze bodaj przez krótką chwilę, mimo iż nie mogła mnie zauważyć. Ukryty za pniem rozłożystego drzewa nachylonego ku wodzie, śledziłem ją długo, aż mi znikła w bramie wiodącej z boiska do szkolnego foyer czy obszernej poczekalni.

Od Mozeli ciągnęły teraz całymi falami na przemian ciepłe, to ąnów chłodne powiewy poruszające co chwila liśćmi na powyginanych konarach drzewa, pod którym stałem. Woń mułu, zapachy wody, a także jak gdyby i kwaśkowa- tego wina. Szybko zapada zmierzch. Słońce ukryło się za wzgórzami dzielnicy Giils. Włożyłem marynarkę i usadowiłem się za kierownicą. Przeleciała mi przez głowę myśl: jak dawno nie miałem żadnej kobiety! Ile to czasu już?... Chyba ze trzy tygodnie. Nie o miłość mi szło, lecz o fizyczne wyładowanie nagromadzonej energii, która przez brak ujścia powodowała natręctwo myśli i obrazów, przeszkadzając nawet w pracy.

Chwilę później, wracając tą samą okólną drogą aż do centrum miasta i potem przez Ebert Ring, most na Renie i serpentynami w górę, jak tylekroć — znam tu każdy kamień, napis na murze, drzewo wychylone spoza siatki jakiegoś ogrodu, profil Zamku na górze, taki, to znów inny, widziany z boku, od dołu, na wprost, w końcu oglądane nieskończoną ilość razy wzniesienie Ehrenbreitstein, i na górze już, gdzieś na kolejnym zakręcie Brentanostrasse, od- ruchowe spojrzenie w dół, na miasto, z góry — gdy już minąłem ostre wiraże, pomyślałem sobie, może pod wrażeniem tamtych rozważań i na pół serio, na pół żartem snutych pomysłów, co by było, gdybym, i tak dalej: jak to ze mną naprawdę jest. Taki jak gdyby bilans czy nawet — *horribile dictu* — rodzaj prywatnego rachunku sumienia.

No bo złości mnie zjadliwa gadanina, te nieznośne bufo- nady Ernesta i jego kumpli; tracę umiar, sam wiedząc dobrze, iż staję się w moim gniewie wręcz śmieszny. Wystarczy jednak odwrócić sytuację, spojrzeć z dystansu, z boku: wówczas wraca równowaga.

Bo jak to właściwie jest ze mną i z wieloma takimi jak ja: te niby to różne nie zasłużone, lecz i nie zawinione przywileje. Przez niezawinienie rozumiem to, że się o nic nie starałem. Stały się moim udziałem jakby same. przez się. Korzystam istotnie z niewątpliwych atutów. Przede wszystkim nieposzlakowanej przeszłości politycznej. Nigdy nie wyraziłem nawet biernej zgody na to, co się działo. A to się liczy dziś jeszcze, aczkolwiek uległo dewaluacji. Liczy się w opinii tych, którym zależy, żeby raz na zawsze wymazać całą niechlubną przeszłość. Tacy jak ja stają się rodzajem wygodnego alibi.

) W posagu wiosną 1945 wniosłem kilka lat więzienia i obo- ' zów- Moabit, Buchenwald, Dachau, Gross Rosen. To miało dużą wartość w tamtym okresie. Tacy jak ja mieli prawo stanąć bez wstydu naprzeciw całej Europie tam, na byłym placu apelowym w Dachau, jak gdyby w imieniu całych Niemiec. Oświadczyć nie spuszczać oczu: to my byliśmy tutaj pierwsi. To nasze popioły rozwiał wiatr, zanim jeszcze bramę obozu przekroczył pierwszy cudzoziemiec.

A jednocześnie — nie ukrywam tego — brak w moim życiorysie zbyt agresywnych, natrętnych akcentów, jakiejś wybitnej, hałaśliwej działalności. KPD — tak, lecz za młodu. No i nie odegrałem w jej szeregach znaczniejszej roli. A mimo to — nawet najbardziej surowi nie mogliby mi zarzucić, że nie brałem udziału. Pozostały dokumenty, świadectwa w prasie, wprawdzie prowincjonalnej: Lubeka, Ki- lonia, Strelitz, wiosna-lato 1933.

Po wojnie przestałem się czynnie udzielać, odszedłem od polityki. I znów nikt mi nie zarzuci tchórzostwa czy oportunisty. Ostatecznie po blisko dwunastu latach walki, konspiracji, więzienia i obozów miałem chyba prawo odpocząć. Natomiast dla tych, którym moja bojowa młodzieżowa przygoda w Czerwonym Froncie mogłaby się wydać dziś jeszcze nieco zenująca w życiorysie wziętego adwokata lat sześćdziesiątych, decyzja wycofania się z czynnego życia politycznego stała się gwarancją prawomyślności. Mogą śmiało powiedzieć: tak, zapewne, on był radykałem za młodu, co mu się zresztą chwali, kto z nas nie był, ale dzisiaj to godny zaufania, zrównoważony człowiek, solidny obywatel, dobry Niemiec.

Nie wróciłem do DDR, mimo iż mogłem, przecież pochodzę stamtąd, więc to też atut, że tutaj, na Zachodzie, zostałem. Nie powiedziałem wyraźnie nigdy i nikomu, co mnie skłoniło do podjęcia takiej decyzji. Inna rzecz, że nikt takiej deklaracji ode mnie nie wymagał. Dla

dawnych towarzyszy, spośród których zresztą niejeden znalazł się w podobnej sytuacji co ja, fakt, iż wiosną 1945 Amerykanie wyswobodzili mnie z Dachau i że automatycznie przez to znalazłem się w strefie zachodniej, by potem, jako nieposzlakowany politycznie prawnik, służyć w charakterze tłumacza przy władzach okupacyjnych, wystarczyło jako usprawiedliwienie i uzasadnienie tego, iż pozostałem tutaj.

Tyle, jeśli idzie o tak zwane oblicze polityczne, o to wia-

riOj ten posag, jaki wniosłem w lata pbwojenne. Bez wysiłku, szczęśliwym zbiegiem okoliczności, sam los ustawił mnie na korzystnym polu szachownicy. Czy jednak na taki los zasłużyłem?

Zawsze zwalczałem i zwalczam nadal szowinizm, odwetowe tendencje, bzdurne i szkodliwe nadzieje na trzecią wójnę. A jednocześnie jako obrońca sądowy nie unikałem podejmowania się obrony byłych nazi. I niczego sobie Wyrzucać nie mam zamiaru. To było słuszne, i konieczne. W zarzutach, jakie stawiają mi Ernest i jego młodzi koledzy, że perfidnie zasłaniam się teorią o rzekomych racjach takiego postępowania, by nie naśladować metod stosowanych przez obecnych podsądnych, że w cywilizowanym świecie nawet największym zbrodniarzom należy się prawna obrona przed trybunałem i że jeśli się tego nie podejmę ja, wolny od jakichkolwiek podejrzeń, iż w duchu sprzyjam moim klientom, to znajdą się adwokaci znacznie mniej obiektywni, ta cała moja, wedle słów Ernesta, obłuda, to kręćackie rozumowanie — w takich oskarżeniach jest nieco racji, lecz tylko pozornej. Nigdy nie zgodzę się z twierdzeniem, że w moim postępowaniu jest bodaj szczypta cynizmu.

Gdybym był cynikiem, uśmiechnąłbym się w tym miejscu, ale ja nim nie jestem, najwyżej sceptykiem. Dowodem mojej szczerości jest to, iż rzucane mi w oczy przy kjdziach oskarżenia, a nawet obelgi towarzyszy Ernesta — gdy on sam, mój jedyny syn, wzgardliwie milczy — bołą mnie, a czasem potrafią doprowadzić do pasji. Trudno bowiem dyskutować z takimi zarzutami. Nie tylko. zresztą ja znalazłem się w oczach młodego pokolenia, a przynajmniej jego najbardziej agresywnej i nieustępliwej części, na ławie oskarżonych. Gorzej — z góry już skazanych i oplutych. znieważonych i wyklętych przez najbliższych, pnzez własne dzieci, i to za sprawy od nas niezależne i zbrodnie nigdy nie popełnione. Czy w ogóle można tu mówić o winie? Doszlibyśmy do jakiegoś maksymalizmu, atmosfery absurdalnych praw i jeszcze bardziej absurdalnych wymagań, w której nie sposób byłoby egzystować. Czystka non stop? Nieustanne łowy na czarownice? Jakie, u diabła? Permanentna rewolucja? W imię czego, u licha? Niszczenie owoców pracy całych pokoleń? Totalna negacja? Absurd i taka sama niemal zbrodnia, podobna równia pochyła, po jakiej stoczył się nasz rodzimy faszyzm powołując się na filozofów i fantastów z piekła rodem!

Nikt mnie nie przekona, że miałbym w imię jakiejś fikcji włożyć na resztę życia włosienicę, cierpiąc za winy nie popełnione, za zbrodnie, których sam byłem ofiarą, i żyć w biedzie dla widzimisię młodych apostołów moralnej czystości, zamiast korzystać wreszcie z należnego mi chyba spokoju, dobrobytu, jednym słowem wreszcie po tym, co przeżyłem, odpocząć.

To zresztą pozorny wypoczynek. Praca obrońcy karnego, będąca chlubą cywilizowanych społeczeństw, jest zajęciem dalekim od wypoczynku. A czyż jest coś piękniejszego od profesji obrońcy? Można ją przyrównać tylko do misji, jaką wypełniają lekarze. Chwilami, kiedy studiuje akta spraw moich klientów, ulegam wrażeniu, jakie zapewne znają pielęgniarki w azylu dla trędowatych lub chirurdzy pochyleni nad pacjentem, którego członki objęła gangrena.

Wszystko to, te atuty, ten posag, jaki wniosłem w trudny okres pierwszych, ciężkich lat powojennych, byłoby czymś wstydlwym? Na miłosierdzie boskie — dlaczego? Robię rodzaj bilansu: na prawo debet, na lewo habet. Stwierdzam kategorycznie: mam czyste, nie obciążone konto, niczego nie muszę ukrywać, niczego się wstydzić.

A przecież, gdzieś na samym dnie — w jakimś moim dawnym, sprzed wielu lat zachowanym Ja — czai się duma, że mój nieodrodny, zwariowany syn, Ernest, jest taki właśnie, a nie inny. Nawet z tego, że mną, niewinnym i sprawiedliwym, moim życiem, wyoorem mojej drogi, niesłusznie pogardza. Absurdalnie i okrutnie. Właśnie dlatego go tak kocham. Bo młodość powinna być bezkompromisowa, w jakiejś swojej części nawet absurdalna,

niesprawiedliwa i skrajna. Odczuwam coś więcej: smak goryczy, iż rozumię tak rozsądnie, tak poprawnie i prawidłowo. Że na nic innego mnie już dzisiaj nie stać. Żal mi złudzeń młodości pięknych lat. Nawet tych, które spędziłem w obozach i więzieniach. Ale do takich uczuć przyznaję się sam przed sobą tylko z rzadka, w chwilach takich, jak ta dzisiejsza.

Z tego zestawienia kont „ma” i „winien” wynika inna, częściowo tylko zależna od mojej woli i decyzji realna korzyść: żyję obecnie w warunkach materialnych pomyślnych i stale polepszających się. Nigdy w czasach przedwojennych nie mógłbym marzyć o czymś takim. O tym poczuciu spo

koju, jakie daje mi praca i sytuacja towarzyska, o tym stanie pogody i wewnętrznego dobrobytu górującego w gronie rzeczy nad irytacjami, niepokojami i troskami, Jakie przynosi życie. I ten stan, w jakim trwam, nie jest moją wyłącznie własnością, przyczyny, które go zrodziły, nie są moją w najmniejszej mierze zasługą ani tym mniej winą. Należą do zjawisk neutralnych jak gdyby, aczkolwiek moralnie nieobojętnych.

Można by długo i chyba bez osiągnięcia jakichś wartościowych rezultatów dyskutować, czy istotnie, jak twierdzą niektórzy — dobrobyt deprawuje, czy też nie. Czy, skoro, biorąc całe zagadnienie na warsztat o walorach naukowych i zarazem matorlalistycznie, po marksistowsku — a mnie się jeszcze od czasu do czasu zdarza tak rozumować, dawny nawyk, który miał zostać do końca życia — »jeśli socjalizm, ten dojrzały, ma w zasadzie już za sobą okrażenie przez wrogów, stan obłączenia, wojny i wewnętrzne wstrząsy, zwalczanie schizmy takiej i innej, w olcrosio pokojowym — gdy można sobie pozwolić i w słowach, i w czynach na dano zmęczonym ludziom jakiejś nagrody za tamte wszystkie lata — czy, zapytuję, i wtedy ten zaplanowany, przewidziany i oparty na zasadach socjalistycznych dobrobyt też będzie oddziaływać demoralizująco i demobilizująco? Czy nie staniemy na progu owej rzymskiej Kampanii, gdzie słońce i południowe owoco tak perfidnie rozbroiły żołnierzy Hannibala?

Mielibyśmy być na wloczno czasy — by zachować świeżość pryncypiów nie tylko wyznawanych, lecz i urzeczywistnianych — skazani na ascezę, ograniczenia, poczucia gorzkiego niedosytu? Mój zdrowy rozsądek wczłrygn się i otrząsa na myśl o takiej perspektywie rozwojowej, Obniżenie standardu jako założenia, jako cel? Nikt tego już od dawna nie wymaga. Nikt o tym na serio nie myśli.

A zatem i mój — jakże względny, Jak niegroźny dobrobyt w porównaniu z fortunami, w których cieniu żyjemy tutaj, w Bundesrepublik — nie jest żadnym przestępstwem, jakiegokolwiek by do niego zastosować kryteria, obojętno — socjalistyczne, lutorzańskie czy nawet — katolickie.

W niczym zresztą nie przyczyniłam się do cudu gospodarczego, do proiporlty. Nie nalożałam ani nie należę do menedżerów przemysłu czy handlu, ba — unikałam zawsze i unikam nadal, na ile mogę, podejmowania się obrony sipraW ludzi tej kategorii. Oslawiony i oplwany establishment jest obok mnie, nie wo mnio. Jostom nim otoczony zo wszystkich stron, nie przenika Jednak Jogo otepiający jad, narkotyk, czy Ja włom, co to właściwie Jest — do mogo wnętrza. Pływam Jak ryba w akwarium, lecz z tego nie wynika, iż w moich skrzolaeah ma być woda, a nie powietrze. Po prostu boom gospodarczy zagarnął przy okazji i mnie. Tak samo korzystamy bez naszej stułoj i niezbędnej ingoroncji z normalnych w naszych czusach udogodnień asonlżacyjnyoh, komunikacyjnych i wszelkich innych dobrodziejstw komunalnych. A tuzko z pogody i uroków wiosny czy toż lata. Gładka jezdnia, po której jeździmy, czy toż chodnik, po którym chodzimy, nie były przez nas zbudowane, i cóż stąd? Nikt o zdrowych zmysłach nie każe nam z tej przyczyny chadzać po wortopach i bezdrożach lub wywiercić studnię na podwórku, jako że wodociągi stanowią coś, co się nam nie należy i Jost wstydlivo czy zdrożne, Można dojść, tak rozumując, daleko. Aż poza granice nawet pozorów zdrowego rozsądku. Kogoś może to bawić, mnie nie. Nie mam po prostu czasu na takie jałowe dywagacje.

Wypoczywając w zeszłym roku na Sycylii, pijąc chłodno Astl w cieniu obrosłej caprifollum nadmorskiej pergoli, w taki właśnie sposób przomyśllwałem na to i podobne tematy. O niezasłużonej, korzystnej sytuacji po wielkiej klęsce wynikłej z popełnienia wielkich zbrodni przeciwko ludzkości, a tuzko i samemu sobie, to jest narodowi. Mój ówczesny towarzysz podróży — na pownoy trasio tylko, od Hzymu via Noapol aż po Syrakuzy i Taorininę, później drogi nasze rozdzieliły się — mecenas Alfred B., praktykujący i wierzący katolik, od lat syndyk kapituły i kilku fmulucjl religijnych w Palatynaclo, gdyśmy się no 1e tomaty * ga-

dali, powiedział, Jak gdyby olśniony nagłym odkryciem czy objawieniem, że sam fakt, iż tak się właśnie stało, to szybkie w odróżnieniu od długotrwałego kryzysu po tamtej, pierwszej wojnie odrodzone, to, iż możemy teraz obaj wypoczywać tutaj, w Taormlnlo, i że nikt nam niczego nie wypomina, odwrotnie — korzystamy nawet z pewnego, dzięki niezawodnie naszym załatom, solidności, taktowi i tak dalej, priorytetu w oczach miejscowych hotelarzy, kelnerów czy kupców — że to wszystko Jest dowodem przebaczo- nia, jakiego gdzieś tam, w górze, ponad chmurami, wysoko,

udzielił nam sprawiedliwy Pan Bóg. Nie ludzie — skądże znowu! Ich wyroki są tylko sprawą wtórną, pochodną i niewiele znaczą w tych najwyższych regionach.

Przypomniawszy sobie, że mówi do ateisty o znanej mu politycznej przeszłości, dodał, ściskając mnie jakby przepraszająco za kolano:

— Jeśli pan nie wierzy w racje nadprzyrodzone, powinien się pan, kolego, zgodzić ze mną przynajmniej na jedno: obojętne, jak do tego doszło, jedno jest pewne — jesteśmy znów nie tylko pełnoprawnymi obywatelami świata, lecz należymy bez wątplenia do ścisłej czołówki.

A więc — wracając do quasi-bilansu — w niczym nie ludybiwszy wyznawanym zasadom, wciąż im wierny, bez jakichkolwiek kompromisów z sumieniem, uzyskałem status życiowy nie byle jaki. Zatem: dziecko szczęścia? Żywot człowieka poczciwego? Poniekąd. Zapewne po części — tak.

Bo oto i trzecia sprawa: mój aktualny wiek. Tak zwany — średni. Jeszcze do czasu — średni. Należy zatem nie tracić ani minuty, każda jest cenna. Rocznik 1914, więc w roku 1969 — to było wtedy, te moje rozmyślania — miałem pięćdziesiąt pięć lat. Obecnie, gdy o tym na nowo myślę, jakby powracając na tamtą ścieżkę, w tamto identycznie miejsce — jest rok 1971 i mam już pięćdziesiąt siedem. Blisko sześćdziesiątka, która, chce się czy nie, stanowi jakąś tam granicę. Możliwości czy pragnień? Ba! Zatem zgódźmy się, że moje lata są jeszcze w granicach męskiego wieku dojrzałego. Wiek taki zezwala na wiele, nie grozi jednak na ogół popełnianiem szaleństw ani podejmowaniem nie przemyślanych wiążących decyzji. Wszystko już od dawna posegregowane, znane gusta, świadomość możliwości również. Coś jak gdyby karta restauracyjnego menu. Nie wszystkie potrawy w niej figurują, brak niejednej, którą za młodu lubiliśmy, lecz te, które są, wystarczą. Mają swój wytworny smak i swoisty dojrzały wdzięk dla każdego smakosza. A smakoszostwo zaczyna się, tak naprawdę, dopiero po czterdziestce.

Po pięćdziesiątce mamy już taki apetyt, że zaczynamy żreć jak świnie. Jak wieprze. Być może — tak między nami — że ja wkraczam właśnie tryumfująco w stadium wieprza.

Status niezłe sytuowanego rozwodnika w średnim wieku był i dawniej wygodny, lecz stwarzał również pewne kłopoty.

Gdybym tak przed wojną, w mojej obecnej sytuacji wziętego adwokata w niewielkim prowincjonalnym mieście, jakim była i jest do teraz Koblencja, miewał jawnie, na oczach wszystkich — a tutaj niczego nie da się dłużej ukryć — stosunki z młodymi dziewczynami, straciłbym niezawodnie opinię w oczach mieszczańskiej klienteli. Ponadto w moim wieku i w mojej sytuacji ponosiłbym spore koszty takich przygód. Więc i niesmak wewnętrzny.

Dziś natomiast, dzięki ewolucji obyczajowej, mogę korzystać bezkarnie z koniunktury w tej dziedzinie. Z koniunktury, do której powstania ani się przyczyniłem, ani ją pochwalam, ani ganię, na którą nie miałem i nie mam najmniejszego wpływu. Moralnie natomiast i etycznie — by posłużyć się przedwojenną nomenklaturą — jestem całkowicie w porządku. Nikogo nie uwodzę, niczego nie obiecuję, nikogo nie krzywdzę ani gorszę. Niejednego mógłbym się nawet nauczyć od tych dziewczuch, które często zaledwie przekroczyły wiek zastrzeżony prawem o małoletnich. Jedna zwierzyła mi się, że smarkacze przejedli jej się, chciałyby więc spróbować z takim jak ja, dojrzałym i doświadczonym starszym panem. Dla niej jestem właściwie starcem, ale tego słowa jednak nie wymówiła, zacukała się, zająknęła i użyła innego: dojrzały. Że tacy potrafią lepiej ją zaspokoić. Nie lecą na rekordy, które się jej przejadły, ilość nie stanowi o jakości. — Rutyna — powiedziała — a ja chciałam spróbować czegoś ekstra, wie pan? Bez pośpiechu i tarmoszenia. Delikatnie. Z dystynkcją. Ostrożnie. Tak właśnie, jak pan to robi — fajnie! Okropnie pan fajny! — i nim się zorientowałam, pocałowała mnie z dużym zapalem w rękę, najpierw prawą, później w lewą. Potem w każdy palec z osobna. Nie przeszkadzałem, no cóż, jeśli jej to sprawia przyjemność. Wyszła,

dygnawszy na pół żartem, na pół serio. Może resztki nawyku szkolnego, była chyba na rok przed maturą. Powiedziała całkiem poważnie, jak uczennica profesorowi: — Dziękuję panu za wszystko, naprawdę bardzo panu dziękuję.

No więc właśnie. By podtrzymać zaufanie do siebie samego, unikam dawania cenniejszych prezentów. Żeby nie mieć uczucia, że mam do czynienia z kurwą. Bezinteresowność zatem. Szczególnie, że cała ta dziedzina stała się dla młodego pokolenia czymś najbardziej zwykłym, więc i tanim, wręcz darmowym. Nie psuje opinii, jak to było

dawniej, nie grozi ciążą, odkąd istnieje taka łatwość uzyskania odpowiednich środków. W ogóle — tanioccha. A że okazje narzucają się same i stale, byłbym głupcem nie korzystając z nich. W gruncie rzeczy — dla większości młodych banał, rodzaj gimnastycznych ćwiczeń. Nawet podobne nazewnictwo, które poznałem dzięki wizytom kumpli Ernesta: sztafeta, drabinka, gwiazda, bieg za lisem — to ostatnie zaczerpnięte z dziedziny myślistwa; istnieje cały żargon niezrozumiały dla nie wtajemniczonych, określenia modne jeden sezon, później zapomniane; takie na przykład obracanie na rożnie — które poznałem jako nazwę jednej z figur — przestało być w użyciu, pachnie jakoby starzyzną, za to pojawiło się nowe: japońska szczyotka ryżowa, inaczej — kolczatka. To brzmi groźnie. Nie znam szczegółów, tylko samą nazwę. Nijak mi było pytać, o co tu chodzi. Mogę się najwyżej domyślać.

A zatem nowa wiedza, gałąź językowa dosłownie i w przenośni, wielka dziedzina uprzednio okryta tysiącem zakazów, ograniczeń, tabu, uprawiana chyłkiem, za pieniądze, w domach publicznych, o których tajemniczych obyczajach, odbywanych tam misteriach dziwy opowiadano na ucho, ze wstydliwym uśmiechem i mruganiem. Nie było to chyba ani zdrowsze, ani bardziej moralne niż dzisiejsza swoboda obyczajowa i, jak sądzę, nie ma w tym stwierdzeniu ani odrobiny cynizmu.

Co o tym wszystkim sądzi mój syn? Zapewne — z jednej strony dostarczam mu dodatkowych atutów do potępienia mego trybu życia i zasad, nowych motywów do głośno wyrażanej pogardy, z drugiej, wiem o tym — gdybym żył jak mnich, gdybym się gorszył czy bodaj tylko dziwił — naraziłbym się na jeszcze okrutniejszą drwinę jako obłudnik, świętoszek lub zwyczajny osioł. I chyba Ernest miałby rację.

Nazajutrz w kancelarii — nowy klient. Zrazu, na telefoniczną prośbę, odmówiłem. To nie mój gatunek spraw, po co mi to. Jestem coraz wybredniejszy, im bardziej moje papiery jako obrońcy idą w górę na giełdzie opinii. W końcu jednak dałem się uprosić. Wstawił się za moim nowym klientem dobry znajomy, co było robić, przyjąłem sprawę, acz bez entuzjazmu.

Dwie teczki przygotowane jak zawsze z niezwykłą wprost starannością przez nieocenioną pannę Alis Bergen: dawna, nr 177/69 — sprawa Oppenheim, termin rozprawy się zbliża, tuż, tuż, i żadnych na szczęście zmian ani niespodzianek, i druga, nr 180/69, nowa, jeszcze pusta — sprawa Kurt Gartner. Personalalia i nic ponadto.

Właściwie, po namyśle stwierdzam — afera banalna. Mimo to mogłyby, przy uporze lub czyjejś złośliwości — takie presumpcje tylko — powstać kłopoty i koszty dla mego klienta. Miał wyraźnego pecha, biedaczysko. Mój równolatek — stąd trochę naturalnego współczucia pomieszanego z nieco złośliwą satysfakcją: dobrze mu tak, trzeba było uważać.

To było tak:

Kraksa na szosie Koblenca—Frankfurt nad Menem, w pobliżu Bad Ems. Onegdaj. Mgła, ślisko. Mercedes 300 S pana Kurta Gartnera seniora — bo jego dorosły syn nosi to samo imię, też Kurt — wpadł w poślizg i uderzył, na szczęście tylko bokiem, na gwałtownym hamowaniu w NSU Prin- za jakiegoś kupca z Wiesbaden. Dwoje rannych: właściciel Prinza oraz towarzyszka podróży mego klienta, panna Sieglinde NN. Ta ostatnia bardzo nieszczęśliwie, zwłaszcza jak na tak młodziutką panienkę — zaledwie ukończonych piętnaście lat — gdyż w czoło, prawą powiekę i prawy policzek z paskudnym rozdarciem wargi. Obawa oszpecenia.

Wydawałoby się na pozór — nic szczególnego. Podobnych wypadków na naszych szosach, zwłaszcza w weekendy — a tamto zdarzyło się trzy dni temu, nocą z niedzieli na poniedziałek — moc. Asekuracja, oszacowanie szkód, orzeczenie rzeczoznawców na temat ewentualnej winy, stwierdzenie stanu faktycznego przez policję drogową, autocasco i po krzyku. Butyna. Banał.

Otóż tym razem — nie całkiem. Sprawa nigdy nie trafiłaby do mnie, panna Alis, kiwając głową współczująco, nie założyłaby teczki numer 180/69, gdyby nie pech pana Kurta Gartnera, zamożnego przemysłowca i radnego miejskiego z CDU, mającego żonę, troje dorosłych dzieci i dwoje wnucząt. Oto towarzyszka mego klienta wybrała się z nim na ten fatalny w skutkach, pechowy weekend bez wiedzy rodziców, jak również, co jasne, żony i rodziny pana Gartnera. A sama też należy do elity mieszczańskiej, czegoś, co zwykliśmy nazywać patrycjatem miasta Koblenz. Po wakacjach ma powtarzać piątą klasę gimnazjum. Niestety straciła rok. Na szczęście dla pana Gartnera fatalna granica

prawna —• piętnaście wiosen — minęła tuż przed wakacjami, gdzieś w czerwcu. Gdyby nie to, mógłby odpowiadać karnie' Ża uwiedzenie małoletniej. To mu nie grozi, niemniej sprawa jest przykra i krępująca. No i pan Gartner jest mocno zakłopotany, jeśli to słowo dostatecznie określa stan, w jakim pojawił się w mojej kancelarii tego dnia rano.

— Wszystko — tłumaczył mi skruszony jak'oczekujący kary smarkacz — poszłoby jak najlepiej, nikt by się o niczym nigdy nie dowiedział, panienka zawiadomiła rodziców, że jedzie na weekend z koleżanką, godną zaufania, uprzedzoną o wszystkim i dyskretną, współniczką zмовy, nic z tej strony nie groziło, już zresztą właśnie wracaliśmy, gdyby nie ta przekłeta kraksa. Żeby coś takiego w takiej chwili! To jest córeczka bardzo szanowanych rodziców... My się, panie mecenasie, znamy. Moja żona i mama Sieglin- dy. O niej'mówi się Siege... To ludzie starego pokroju, nie potrafią nigdy tego zrozumieć. Dla nich świat zatrzymał się przed pierwszą wojną światową. Szpital, do którego zawiozłem Siegę po wypadku. Ostry dyżur. Na szczęście znakomity zakład chirurgiczny w Bad Ems. I to oni zawiadomili rodziców Siegi. Skandal, panie mecenasie, już nazajutrz z samego rana. Jest jeszcze gorzej — napotkani przypadkowo na szosie — też wyjątkowy pech! żeby akurat w tym momencie, niech pan powie! — jacyś fotoreporterzy. Na widok kraksy zatrzymali się i mimo moich protestów wykonali z pół kopy zdjęć. Żeby ich diabli wzięli, łobuzów! Jak to się dostanie do prasy — jestem gotów. Koniec ze mną! Chyba popełnię samobójstwo, panie mecenasie... Jedyne ratunek w panu. Ratuj mnie pan! Jakieś za każdą cenę porozumienie...

— Jakie?

— Z rodzicami Siegi, z państwem NN. Im też powinno zależeć, żeby nie było skandalu ze względu na opinię małej. To chyba jasne. Gimnazjalistka. I żeby nie dostało się do prasy... Ci przekłeci reporterzy! Te kanale czyhające na każdą okazję, żerujące na ludzkim nieszczęściu, na wstydzie tej małej... Była na pół przytomna, cała twarz we krwi, a oni ośmielili się zadawać jej pytania... Udało mi się zapobiec temu, ale zdjęciom nie. Dostarczą prasie. Idzie o to, panie mecenasie, żeby temu ukreć kark, wykupić rolki, nim zrobią kopie... Gotów jestem zapłacić każdą cenę, pan rozumie mnie, mecenasie, każdą dosłownie. Ja błagam... — złożył ręce jak do modlitwy.

Szczegóły istotnie krępujące, nie da się zaprzeczyć. Jeśli im się udało, tym draniom, dokonać zdjęć takich, jakich obawia się Gartner, no to mu winszuję. Za taki kasek, jeśli uda mi się od tamtych wykupić te rolki, płaci się słono. Nie dziwiłbym się, gdyby zażądali kilku tysięcy. Może więcej, jeśli wiedzą, jakim majątkiem rozporządza Gartner.

Szczegóły bardziej kłopotliwe, niż zrazu sądziłem. Wierząc się w fotelu i wdychając mój klient wyznał: — Spowiadam się panu jak przed księdzem w konfesjonale. Żeby pan wiedział wszystko bez osłonek, tak jak mi pan postawił jako warunek. Zatem jak wszystko, to wszystko... Pan jako mężczyzna zrozumie mnie chyba. I zbytnio nie będzie się pan dziwił, prawda? No więc ja, tuż przed kraksą, tłumaczyłem jej — mam na myśli Sieglindę — słuchaj, Siege, zostaw to, widzisz przecież, że mgła i ślisko i że mnie to rozprasza i przeszkadza w prowadzeniu. Ale ona nie. To prawda, że sporo wypła w Bad Ems, i może dlatego też... Ani jej w głowie było przestać, pan rozumie? Ja tu kierownicę z całej siły w obu rękach, więc mam je zajęte, próbuję odepchnąć jej głowę kolanem, nie pomaga, wczepiła się, dalej robi swoje, te nowoczesne panienki, proszę pana, są okropnie zachłanne i łapczywe, a także nie do pojęcia zepsute i przewrotne — miałem siedemdziesiąt na liczniku, kiedy to się stało. Zarzuciło mnie najpierw w prawo, potem w lewo i na poprzek — no i bęc, mój wóz duży i ciężki, tamten, który właśnie nadjechał z naprzeciwka, mały i lekki, więc poleciał w bok, poza szosę, i do góry kołami. Jeszcze całe szczęście, że tam nie było drzewa albo słupa. Nawet bardzo się nie rozbił. Ale ona, Siege, z całej siły stuknęła twarzą w lewarki i o tablicę rozdzielczą, poszło szkło, głową parę razy w to wszystko, bo nami rzucało na boki, stąd te rany, zwłaszcza warga górna jakby brzytwą przeciętą na dwie części, bo ona całym ciałem

poleciała do spodu, pod kierownicę, aż ją tam zakantowało, nogi wykręcone bokiem, a reszta na dół, czołem aż do pedałów, jeszcze szczęście, że jej krzyż nie pękł, bo mógł. Boże drogi, mogła przecież w tej chwili nie żyć! Jezus, Maria, jak o tym pomyśle, zimno mi się robi, ręce mi się trzęsą! Tego bym z wszelką pewnością nie przeżył! I wtedy oni, ci dranie 2 prasy. Jakby spod ziemi. Prosto z tej mgły. I do mnie.

Co się tu stało? Są ranni? Tamta panienka? To pańska córeczka, nie? No to wnuczka? Nazwiska. Jak, jak?... Pan f-ozumie, w jakiej ja się znalazłem sytuacji. Ci z Prinza już na szosie, obok. On potłuczony, ale nie bardzo, ona, jego żona, cała. Tłumaczą tamtym z gazety, jak się to wydarzyło. Nawet lojalnie stwierdzili, że to nie wyłącznie moja wina. Na takiej ślizgawicy i we mgle jak w mleku. Oni też jechali za szybko. A ja g! niech pan zrozumie moją sytuację — gdy wyskoczyłem z wozu, miałem rozpięte spodnie. I cały interes na wierzchu. I oni to zauważyli i wycelowali aż dwa aparaty naraz — do wnętrza wozu, na Siegę, która jęczała półprzytomna — cała we krwi, twarz, palce, włosy posklejane — i na mnie. Może ona kona, im to nic, nieważne, byle sensacja. Takie hieny! Co miałem robić?. Bić się z nimi? Pytania — i flesze, i flesze, i flesze! Raz za razem. Potem w kilka minut nadjechało pogotowie z Bad Ems. Nie wiem nawet, jak się dowiedzieli. Może jechali do kogoś i tak przypadkiem... Same przypadki, jak pan widzi. Szybko do szpitala. W samą porę. Chirurgia. Ostry dyżur. Zaczęli zszywać, ja na korytarzu dosłownie gryzłem palce. Z żalu i ze strachu. Policja, protokół. Nawet uprzejmi. No, cóż robić, zdarza się. Istotnie mgła. Na zegarze mego wozu licznik zatrzymał się na siedemdziesiątce. W porządku, szybkość nie przekroczona. Gdy byłem zajęty z tymi z karetki pogotowia i z policją, tamci dranie z prasy znikli. Pojęcia nie mam nawet, z jakiej gazety. Zapomniałem zapytać. Zdjęli mnie, gdy właśnie zapinałem ten przekłęty rozporek. Wycelowali dwa aparaty naraz. A w kroku plama krwi. Pewnie z jej wargi... Chryste Panie!... I co pan na to, panie mecenasie?

Po chwili, głosem zatroskanym, szeptem, bardzo zaniepokojony:

— Sprawa o uwiedzenie? Bo jeśli tak, no to ja leżę, pan pojmuje?

Uspokoilem go, że nie. — Miał pan szczęście, panie Gartner. Gdyby się pan wybrał na ten pechowy weekend dwa miesiące temu, kiedy pańska towarzyszka nie ukończyła jeszcze piętnastu lat, no to wówczas...

— Tak — odetchnął z ulgą. — Sprawdzalem. Tak dalece nieostrożny to ja jednak nie jestem. Ani aż tak naiwny, Bogu dzięki! Bałem się, że to sięga — no, takie zastrzeżenie prawne — aż do szesnastu lat.

Nie miał w tych prawnych niuansach należytego doświadczenia, mimo, jak się później dowiedziałem, kilkakrotnej okazji do zapoznania się z kodeksem karnym, z przyczyn zresztą innych niż tak zwana obyczajówka. Powiedziałem mu, że jeśli idzie o moją opinię, to państwu NN zależeć będzie na zachowaniu dyskrecji co najmniej w tym stopniu co jemu. Chodzi, bądź co bądź, o panienkę uczęszczającą do szkoły, kandydatkę do małżeństwa w środowisku, w którym jeszcze takie sprawy się liczą. Gorzej z tymi reporterami. Znow mu się oczy zapaliły z gniewu. Przerwał mi:

— Co za wyjątkowy pech! No bo żeby w deszczowy i mglisty wieczór, niemal noc — było po jedenastej, śpieszyłem się — żeby małą odstawić do domu, obiecała wrócić przed północą, więc nie miałem wiele czasu, zwłaszcza że zasiedzieliśmy się w motelu w tym Bad Ems — żeby tak niespodzianie — akurat oni na pustej szosie!

— Istotnie — zgodziłem się z nim — można mówić o wyjątkowym pechu. Oni, ci z prasy, bywają natrętni, to fakt. Na to nie mamy rady. To już taka ich cecha zawodowa. Co pan chce — z tego żyją.

— Właśnie. Ale idzie mi o to, żeby te ich przekłęte fotki nie trafiły do prasy. Ostatecznie, skoro im zależy wyłącznie na forsie, jestem gotów. Zapłacę im dziesięć razy tyle. ile dałby im jakiś „Quick” czy „Stern”. Prosiłbym tylko pana, żeby pan postarał się jak najszybciej trafić do nich i dogadać się z nimi...

Skrzywiłem się na to:

— Ja? To nie moja rola. Jak pan sobie to wyobraża, panie Gartner?

Ale on nalegał. Błagał. Miał łzy w oczach. Gdy raz jeszcze odmówiłem stanowczo, po południu tego samego dnia zadzwonił mój przyjaciel, no i dałem się w końcu ubłagać.

Dobrze, skoro ci na tym aż tak zależy. Zrobię to jednak wyłącznie dla ciebie. Wiesz chyba, że takimi bzdurami się nie zajmuję.

Okazało się — mój przyjaciel przyznał się, prosząc o dyskrecję — że z panem Gartnerem parokrotnie organizowali wspólne eskapady nieco podobne do tej, która stała się przyczyną zmartwień mego klienta. Panienci biorące udział w tych weekendach, finalizowanych najczęściej w wynajętej specjalnie w tym celu willi w okolicach Schlangenbadu, nie liczyły nigdy więcej niż szesnaście lat i były bez wy-

I jątku uczennicami szkół średnich, córeczkami znacznych, mieszczańskich rodzin. Ich udział w zabawach urządzanych przez obu panów w wyżej niż średnim wieku nie był aż tak zupełnie bezinteresowny. I nie tylko ciekawość popychała je do wyrażenia zgody na te imprezy. Także i dość kosztowne podarki. Również w gotówce. A zatem małe kurę wki? Spytałem, godząc się na podjęcie się obrony zagrożonego przykrościami pana Gartnera, czy ranna w wypadku panna Sieglinde NN też brała udział w tamtych, poprzednich zabawach, które można by nazwać różowymi baletami. Ależ oczywiście tak, brała. Nie tylko stała się od roku mniej więcej stałą klientką, lecz namawiała swe koleżanki szkolne na współudział.

— Dziękuję — powiedziałem. To tylko właśnie chciałem wiedzieć.

Tamten się nieco zaniepokoił:

— Czy to nie grozi wsypaniem dodatkowych osób? Po- |myśl, jaki byłby skandal! Sensacja na cały kraj! Boże drogi...

-7- Nie — uspokoilem go — nic takiego nie grozi. Odwrotnie. Zależało mi na tej informacji, gdyż mam zamiar porozmawiać z zainteresowaną, to znaczy z tą niewinną panienką z piątej klasy.

— Masz zamiar ją przestraszyć? I tak już ma dosyć. Pominąwszy skandal, szok, jeszcze, co najgorsze — ta pozszywana buzia. Nie wiadomo, czy nie zostaną jakieś szramy. Rozpacz. Nie przestraszyć, skądże. Tylko przekonać.

— Mam zaufanie do ciebie — powiedział. — Nie idzie wyłącznie o Kurta, także o mnie. I jeszcze o dwu innych. Cały łańcuszek powiązań. Byłby skandal, o jakim mówi się co najmniej przez pół roku, pojmujesz?

— Pojmuję. Ale jak sądzę, uda nam się go uniknąć. Nawet — zrozum — gdybym nie potrafił odszukać tych reporterów i nakłonić ich do odstąpienia zdjęć. Te fotki przecież świadczą wyłącznie o katastrofie, a nie o jej źródle, nie o tym, co było przedtem, rozumiesz? Mam więc zamiar nakłonić tę panienkę, którą odwiedzę w szpitalu, żeby zeznała w razie czego, iż w samochodzie tego twego znajomego, Kurta, a mego klienta znalazła się jako autostopowiczka, pojmujesz? Były obie z tą koleżanką w tamtych stronach, no i uciekł im autobus czy coś takiego, trafił się wóz GSrt-nera, stanął, okazało się, znajomy rodziców, co za szczęśliwy traf!, jedzie do Koblencji, więc wsiadła, no i stało się nieszczęście. Wydaje mi się, że taka koncepcja ma ręce i nogi, nawet w wypadku, gdyby ta dziewczyna przyznała się — czego obawia się i co podejrzewa, nie wiem na jakiej podstawie, Gartner — do wersji autentycznej. Odwoła wszystko, a gdy on też wyjaśni, że zatrzymał się na szosie, w nocy i we mgle, na widok autostopowiczki — sprawa będzie tak jakby załatwiona. Czy rodzice tej panienki uwierzą, czy nie, to nieważne. Grunt, iż będą zachowane pozory. Zresztą aż dziwne, że te eskapady córeczki uszły dotychczas ich uwadze. Ich wina. Tym bardziej będzie im zależeć na dyskrecji.

Usłyszałem w słuchawce westchnienie ulgi.

— Jesteś genialny!

— Daj spokój — mruknąłem. — Powtarzam raz jeszcze: gdyby nie ty, nigdy nie wziąłbym tej sprawy. To nie moja dziedzina takie głupstwa.

No i udało się istotnie. Trafiłem, przypadkowo zresztą — Gartner najwyraźniej urodził się pod szczęśliwą gwiazdą — na ślad tych dwu dziennikarzy. Odnalazłem ich aż w Mouguncji. Dzięki komisarzowi policji, który wezwał przez radio świadków. Nie byli stałymi pracownikami żadnego czasopisma czy agencji, raczej wolnymi strzelcami w swym zawodzie. Łapali okazję, byle o posmaku skandalicznym, i czekali, jak się zdaje, dzień-dwa na propozycję tego typu, jaką im istotnie postawiłem. Sądzę, że trafiłem w sam czas, nie przekraczając stosowanego przez nich terminu oczekiwania na ofertę zainteresowanych, a także odgadłem mniej więcej wysokość okupu. Zwrócili, obie rolki, jeszcze na szczęście przed ich wywołaniem. To zresztą, jak sądzę, było również dla ich procederu niezbędne.

Wywołane rolki, bez gwarancji, że faceci nie zrobili zapasu odbitek i nie wykorzystają ich tak czy inaczej, tracą na wartości. Liczą się w takich pertraktacjach wyłącznie nietknięte, dziewicze fil-: my. Kosztowała ta zabawa mego klienta tyle mniej więcej, ile zapewne dwie albo trzy eskapady, lecz nie aż tyle, ile gotów byłby w pierwszej chwili zapłacić ogarnięty paniką.

Gdy filmy zwracałem u siebie w kancelarii Gartnerowi, był w stanie niemal że euforii.

Powtórzył słowa mego znajomego sprzed paru dni:

— Pan, mecenasie, jest wręcz genialny! Stokrotnie dziękuję! Nigdy panu tego nie zapomnę. Ostrzegłem go tylko, żeby na przyszłość bardziej uważał. — [Czy koniecznie upierać się, żeby do tych celów mobilizować uczennice akurat stąd, z Koblencji? Przecież to tak czy inaczej zawsze będzie się musiało w końcu wydać. Czy o tym nigdy nie pomyślał? Tym razem skończyło się szczęśliwie, ale mogło być znacznie gorzej. — Te małe kurewki — użyłem świadomie tego słowa w pospolitej, brutalnej formie — mogły nawet posłużyć się szantażem. Przecież ta mała, jakże jej? — Sieglinde, gdy pierwszy raz pojechała z panem — przepraszam, z panami, a to jeszcze gorzej, to już nie ostatecznie wytłumaczalna randka we dwoje, pozory jakiegoś uczucia, zadurzenia, czy ja wiem, lecz takie gromadne imprezy, pan rozumie, czym to pachnie? — miała przecież za tym pierwszym razem, gdy się z panem wybrała na weekend, mniej niż piętnaście lat. W razie czego — no, sam pan wie, czym by się to mogło skończyć. Istnieje dobra, stara zasada — że zwierzyny nie szuka się w promieniu kilku kilometrów od własnego domu; wilk dusi owieczki, kurki i indyczki daleko od rewiru, w którym sypia. Nie mógł pan, u licha, poszukać sobie partnerek gdzieś w Kolonii, czy ja wiem, we Frankfurcie? Nie pojmuję pana nieostrożności, panie Gartner, doprawdy.

W nastroju euforii, wdzięczności i szczeroci, splatając i rozplatając palce, pan Kurt Gartner wyznał głosem przyłapanego na przestępstwie smarkacza, że to by jednak nie było to samo. Takie byle jakie są wszędzie i to nie ma żadnego — jak się wyraził — wdzięku. — Wdzięku? — spytałem unosząc brwi. — Tak, wdzięku, atrakcyjności może, nie wiem, jak to nazwać. One, te stąd, z Koblencji, widywaliśmy na co dzień idące gromadkami do szkoły, takie skromniutki, grzeciutki, w takich uroczych mundurkach, z książkami i zeszytami, podobne do mojej własnej wnuczki... I chyba to właśnie miało taki wdzięk. Pan chyba zrozumiał, tak mniej więcej, o co mi idzie.

— Mniej więcej tak. Zgoda na to. Zrozumiałem, na czym panom zależało. — Ale raz jeszcze: uwaga, ostrożnie, lepiej jednak, mimo że będzie to mniej wdzięczne i ponętne — nie tutaj i nie te tutejsze. Rozumiem pański żal, ale widzi pan sam, ile to może kosztować. Nie tylko w markach.

Odszedł skruszony, radosny i jakby równocześnie nieco zasmucony reprimendą. Trudno sobie wprost wyobrazić, że dorośli panowie — brało ich udział w tych zabawach aż sześciu, elita kupiecko-przemysłowa Koblencji, jak mawiają Francuzi, *creme de creme* — mogli być aż tak dalece naiwni, nieostrożni czy głupi tylko.

Akta numer 180/69 — do archiwum. Uff, nie lubię takich spraw. Ten Gartner, rozczulony i wzruszony, zapłacił mi dubeltowo. Nie protestowałem. Za takie paskudztwo trzeba płacić. Z dużą też satysfakcją zainkasowałem tę forszę.

Czekając przy biurku na pannę Alis, która tego dnia miała przyjść po południu, by przygotować korespondencję i akta na jutro, na następny dzień, przerzucałem czasopisma. Zdjęcie młodzieży na czymś w rodzaju campingu. Okazuje się, że to komuna „Nuli” pod Kopenhagą. Obok — zbliżenia ich haseł porozwieszanych jak susząca się bielizna na jakichś drutach. „Mamy zamiar cały czas bić w bębenki.” Czemu? O co im idzie, u licha? Nic z tego nie rozumiem. Obok inne: „Pragniemy wszystkiego, co nam ułatwi życie!”

Potrafię prędzej już zrozumieć to drugie hasło. Ma niepodważalny sens. Może to cynizm, co w tej chwili myślę, lecz tak już jest. No bo po co i w imię czego świadomie utrudniać sobie życie? Sztuka dla sztuki? Bzdura! Nonsens!

Przed laty, kiedyś tam, dawno, dawno temu, może oburzyłbym się, dziś już nie. Zbyt wiele widziałem, zbyt wiele przeżyłem. Chyba każdy, myślę, ma prawo czerpać z życia, co się tylko da, pod warunkiem: nie cudzym kosztem, nigdy z cudzą krzywdą. Z tym jednym zastrzeżeniem, mało zresztą niestety konkretnym. Zdaję sobie sprawę z rozciągłości czy pakowności takiego pojęcia. Nie ma i nie może być kodeksu, który by zdefiniował dokładnie jakieś realne granice swobody w tym względzie. Cudza nietykalność? Droga wiodąca po

jakichś stopniach aż do krzywdy, którą moglibyśmy obiektywnie nazwać i odgraniczyć, oświadczyć stanowczo: stop! ani kroku dalej!, oddzielić krzywdę od jej łudzających sobowtórów, płodów przewrażliwienia, wynaturzeń, hysterii, pretensji do siebie i innych. Zgłaszanych przez jednostki nie przygotowane do życia. Dżungla. Obawiałbym się w niej zagłębiać, nie jako psycholog, tym wszystko wolno, lecz jako prawnik. ; Jestem przekonany, że nawet ci najbardziej nieugięci i kierujący się na pozór twardymi zasadami i pryncypiami skatalogowanymi w sposób bezwzględny i nietolerancyjny,

wygaszający wniosło maksy przy lcazdcj okazji, na temat na przykład samoograniczeń, surowej dyscypliny, niemal ascezy, i oni też, dla siebie samych, jeśli nie są jaki-/ miś masochistami, bywają bardziej wyrozumiali.

Ja również. Tylko że ja się, teraz przynajmniej, do tego przyznaję. Żeby było lżej w życiu — ależ to chyba zrozumiałe! O to nam przecież idzie! Żeby tak bez wyraźnej przyczyny, dla samej zasady — ciężiej, trudniej? Po co? W imię czego? Gdy przed wojną, w młodości, byłem zupełnie kim innym niż dziś i wydawało mi się, iż należy w życiu wszystko bez wyjątku podporządkować jednemu, poświęcić jednej idei, jednej sprawie — jak to nazywaliśmy wówczas — wtedy zapewne i ja tak sądziłem. Nawet na pewno. Myślałem, że nie tylko należy wyrzec się do chwili zwycięstwa — a ono wydawało nam się, młodym, bardzo już bliskie — nie tylko wszystkiego, co istotnie przeszkadzało w walce, w pracy, w zachowaniu czystości naszego politycznego wnętrza, lecz także, przez upór, zapał, konsekwencję każącą nawet niepotrzebnie po jednej literze powiedzieć następną, bez względu na to, co dalej — dumnie zrezygnować z wszystkiego innego, całej prywatności, całej urody życia, doszczętnie wypalić całą osobistą radość, do gołego gruntu. No i co? Pomogło w czymkolwiek? Dało jakieś konkretne rezultaty? Żadnych absolutnie, poza dodatkową porcją złudzeń i rozgoryczeń.

Solidną porcją, należy dodać. Wystarczającą, u mnie przynajmniej, do końca życia. Jak zastrzyk o przedłużonym, zwolnionym działaniu. Dlatego zapewne bywam tolerancyjny dla młodych, oczywiście wtedy, gdy mnie szczeniaki zbyt nie wyprowadzą z równowagi. Celuje w tym Ernest. Może dlatego, że jest mój. Na reszcie mi nie zależy. Żeby się tylko on nie zmarnował. To jest ważne i niewiele więcej. Niech się wyszumi, byle go to nie złamało, nie pokręciło jak artretyzm deformujący, nie odebrało chęci do życia. Reszta to fraszka.

Przerzucałem kartki czasopism. „Quick”, „Neue Illustrier- te” i inne, „Spiegel” i „Die Zeit”. Nazbierała się tego cała masa, w porządku ułożona przez pannę Alis.

„Niemiecki szampan — Sonlein”. Reklama na całą stronę. Musi taka kosztować sporo. „Słodziej szklaneczki nigdy nie dzwonią niżli...” Idzie o ten Sekt. Dawniej nigdy nie pijałem go, bo nie miałem po prostu za co. A także z za sady, jednej z tych, o których dopiero co myślałem. Że to burżuazyjny trunek. Niemal symbol. Teraz nie pijam — po prostu z tej przyczyny, że nie bardzo lubię. Czy to nie jest powód życiowo bardziej zdrowy i słuszny? Już bez domieszki ideologii. I jak się okazało, w tym wypadku problem gustu i smaku pięknie spłótnął się we mnie z pryncypiami burzliwej młodości. Pijało się wtedy piwo lub sznapsa, szampan był trucizną kapitalizmu. Koniak również. Wermuty też zalatywały zgnilizną obyczajów czy czymś takim. Niektóre wina miały podejrzaną charakter. Cała teoria na ten temat. Zupełnie na serio. Jakby to było tak ważne, jakby cokolwiek znaczyło, mogło w ogóle znaczyć. Ważno, skąd na to brać pieniądze, jaką drogą uzyskane, a reszta furda. Ale tak rozumiem dopiero teraz, wczoraj i dziś. Tak właśnie z tym nie lubianym przeze mnie Sektem i dlatego rzadko pijanym obecnie, a uważanym niegdyś za kapitalistyczny napój. Óto dwa różne punkty widzenia, a rezultat — niepicie czy unikanie — ten sam. Z biegiem lat zaczynam się zastanawiać, czy nie na tym praktycznie polega większość istotnych motywów wyboru w naszym życiu.

W „Sternie” — recepta na długowieczność, a w podtekście na zachowanie młodości. Trzy razy S — „S-S-S”: sałata — szkocka whisky — seks. „S-S-S”. Tej rady udziela nam pewna firma ogrodnicza produkująca aż dwadzieścia siedem odmian zdrowotnych, witaminodajnych sałat. Reprezentując pierwsze z trójki życiodajnych „S” — zasłania się dwoma innymi, bez których nikt by nie zwrócił uwagi na cnotliwą sałatkę. Dopiero seks działa przyciągająco, jako przynęta do sałaty. Brak mi czwartego „S” — sportu. Czemu o nim zapomniano? Przeoczenie chyba. Wydaje mi się — obok seksu jest to dziś najważniejsze z wszystkich możliwych na świecie „S”. Dzięki masowym środkom informacji — a szczególnie telewizji

— udostępniono sport setkom milionów na całym świecie. Wszyscy staliśmy się samoświadomymi kibicami. Ile pasji, ile złych, niszczycielskich instynktów, którym upust poprzednio dawała przede wszystkim wojna, gdy zwykła bójka już nie wystarczała — znalazło ujście w tym najbardziej powszechnym zajęciu sportem, w roli kibiców? Kompleksy poprzednio nie do rozładowania. A przy okazji i coś więcej — jakiś, choćby nieznaczący, lecz jednak — udział w tym kibicowaniu uczuć takich jak Solidarność, honor sportowy, bezinteresowność. Nie mam

wprawdzie zbytnich złudzeń w tym względzie, lecz jednak w tym coś jest. Nieco nadziei. Nie na dziś, to bodaj na jutro, pojutrze.

Drugie „S” — to whisky. Czemu nie. Popijam sobie pd czasu do czasu. Poprawia samopoczucie, humor. Można /ją pić przy każdej okazji, o każdej porze dnia i nocy. Nie wymaga zakąsek ani nie jest stowarzyszona z żadnym konkretnym menu, jak wina czy sznaps. Najbardziej samodzielny napój. Jest poza tym trunkiem towarzyskim. Zbliża ludzi, jest elegancki, intymny, a także dyskretny. Nie wznosi się szklaneczką whisky czyjegoś zdrowia, nie trąca się szkłem, nie wygłasza przemówień, nie wygłupia.

Od piwa, które jest również napojem towarzyskim, różni się zasadniczo tym, że nie wymaga ilościowych osiągnięć, a przez to nie rozdyma, nie tworzy klanu brzuchatych wyznawców, nie ciągnie ku dołowi.

Na myśl o szkockiej podniosłem się z fotela i podszedłem do małej, wąskiej stylowej szafki, rodzaju sekretery, stojącej w rogu kancelarii. Nabyłem ją rok wcześniej, w 1968, w antykwariacie. Klucz od niej mam tylko ja. Inaczej dawno już znikłyby z jej wnętrza wszystkie do ostatniej kropelki zasoby alkoholowe z butelek ustawionych na trzech poziomach. Ernest i jego kumple pomyśleliby bez wątpienia o zużytkowaniu moich zapasów, nie potrafiwszy ich zresztą należycie docenić.

Szafeczka jest wysoka i wąska, ma trzy pięterka przegródek i dodatkowe szufladki, na górze i na dole. Trzymam w nich cygara dla gości. Są oprócz tych schowanek jeszcze dwie autentyczne skrytki. Może niegdyś, w osiemnastym wieku, mieściły jakąś truciznę, może szyfry lub liściki miłosne, któż to wie. Teraz są puste.

Ładne brązy przy zamkach i galeryjka na szczycie. Na samym wierzchu stoi czarny matowy ceramiczny wazon, a w nim niewielki bukietek. Fiołki, bratki, żonkile, narcyzy — jeden, czasem trzy — zmieniane i uzupełniane stale i systematycznie przez niezawodną pannę Alis Bergen. Dbą o estetykę kancelarii, będącej w jej pojęciu rodzajem sanktuarium. Jeśli idzie o moich klientów, ma wyraźne sympatie i antypatie, co zresztą w najmniejszej mierze nie wpływa na sumienność jej pracy. Na niej można zamki budować. Na jej uczciwości. Niezbyt wysoko ceni na przykład Oppenheimów, lecz wyraźnie im współczuje. Wiele by dała,

by Oppenheim został uniewinniony, wiem o tym. Ani nie mrugnęła nawet, karna i zawsze mi wierna, jak stary żołnierz swemu wodzowi — szef to ktoś niemal jak Bóg nieomylny, poza krytyką, szef to szef, jednym słowem — więc nie wyraziła swej dezaprobaty, gdy podjąłem się wyciągnąć z kłopotów Kurta Gartnera; znając sedno sprawy pogardzała nim jednak. Co za stary świntuch! — mówiły jej oczy, z pozoru bez wyrazu, ale ja znam ją za długo, żeby się mylić. Wobec mężczyzn jest bezwzględna w sądach, bezlitosna w opiniach. Idzie jej, rzecz jasna, o stronę obyczajową, o rozpustę — to jej określenie — nie o przeszłość polityczną z lat wojny i sprzed niej. Nie powiedziała mi tego nigdy wyraźnie, lecz ja wiem, co myśli: ofiary, płacące za spełnienie przed iluś tam laty nakazu posłuszeństwa, wierności przysiędze, prawom wojny. Podejrzewam, iż fakt, że tak znakomita siła fachowa, nie opłacana przeze mnie przesadnie wysoko, trzyma się mnie wiernie i od dawna, wynika głównie stąd, że mimo moich poglądów, które zna, mojej przeszłości, którą podziwia, i to szczerze, podejmują się jednak obrony tamtych, zakorzenionych głęboko w jej wciąż panińskim, w jakimś stopniu nadal naiwnym i uczciwym serduszku byłej instruktorki BDM, z lat, gdy była młoda, w co teraz, patrząc na nią i znając ją, trudno chwilami uwierzyć.

Mamy już jesień — więc w czarnym wazoniku, przypominającym grecką amfore, stoją trzy niewielkie chryzantemy popielatolila. Zaś na parapecie okna — dość niewygodnie, utrudnia bowiem dostęp, stoi kaktus. Wciąż zapominając o tym, zaczepiam go łokciem i klnę, lecz toleruję to kolczaste stworzenie ze strachu przed najwierniejszą z wiernych, Alicją. To jej ulubieniec. Sama mi przyniosła owiniętą w watę niewielką kuleczkę, przypominającą na

pierwszy rzut oka dziecko jeża. To był taki kaktusi noworodek, jak się okazało. Dałem się nabrać, myśląc istotnie, że to śpiący jeż. — Coś takiego! Przecież nigdy bym panu me-

cenasowi nie przynosiła żywego jeża! — Gdzie to ma stać?
— Powiedziałem, zdaje się — on. — Gdzie on ma stanąć? — Mam już od dawna upatrzone miejsce dla niego. O — tutaj.

— Przyniosła osobno niewielki wazonik, wsadziła tego kolczastego malca nie większego niż włoski orzech, ogarnęła mchem, ziemią, czym należy. Wsypywała jakieś proszki przynoszone w torebkach i papierowych rożkach. Jakies wi-

tarniny czy sole, a może coś innego, sam nie wiem — jakoby/ na przyspieszenie wzrostu. Nader rzekomo ważne. I żeby'm przypadkiem nie podlewał, bo nie znosi wilgoci. Ona samal Tylko i wyłącznie. No i teraz mały podrósł, zmężniał na tyle, że jest już większy od średniej pomarańczy. Prócz kojców ma białe, długie i zmierzwione włosy i przypomina flo złudzenia już nie jeża, lecz głowę starca.

Toleruję go, mimo że wciąż się na niego natykam i nadziewam, bo cóż mam robić; Trzeba, myślę, by zachować długoletnie dobre stosunki, nieledwie przyjaźń — iść na kompromisy, zwłaszcza, gdy nie tak wiele znów kosztują wysiłku. Nieco uwagi i tolerancji. Ona zresztą także przez palce patrzy na różne moje narowy, przywary, nawet te najgorsze w jej mniemaniu — naruszające szóste przykazanie. A także bytność — do czasu zresztą — w jej świątyni, jaką jest kancelaria przy Stegemannstrasse i jej przyległości |H Ernesta i jego kumpli. Chłopcy jak chłopcy, tym by ostatecznie wybaczyła, nawet po nich posprzątała, żeby nie widziała tych nieporządków sprzątaczką lub nie daj Boże któryś ze szlachetnych klientów. Dziewczynom — nigdy. Na nie zawzięta szczególnie. Dała tego dowody, gdy zjawilo się na horyzoncie Zwierzę Alfa. Znienawidziła je z miejsca, jakby przeczuwając, kim się stanie wkrótce w mojej Rzeczywistości.

Nazajutrz — całe rano od wczesnych godzin w sądzie. Prosto z Arzheim pod gmach trybunału przy Gerichtsstras- se. Potem na stojąco przekąsiłem coś w małej restauracyjce „Königsbacher”, wypilem kufel piwa, zdażyłem ledwo, ledwo na spotkanie ze znajomymi, z którymi pojechałem ich wozem aż do Andernach. Tam wizja lokalna. - Sprawa majątkowa, spadkowa, dość zawikłana, której się wyjątkowo podjąłem ze względu na kryminalny podtekst — podejrzenie o wymuszenie testamentu w stosunku do osoby nie w pełnym rozeznanii, na pograniczu psychozy, lecz jeszcze prawnie nie stwierdzonej, zatem legalnie poczytalnej. Stronę kryminalną mam prowadzić ja, prywatno-prawną, na czym się dostatecznie nie znam — mój kolega i przyjaciel, Klaus Wormser. Dlatego ten wyjazd do Andernach. Wapienniki aż dwa, kamieniołomy, stary, zabytkowy dom, opuszczony, lecz w dobrym stanie. Parter niezamieszkały, na piętrze — ta osoba na poły poczytalna. Dziwne wrażenie na mnie wywarła krótka rozmowa z nią. Potem wieczorem powrót do Koblencji i kancelaria, w której nie byłem od poprzedniego popołudnia.

Nie widziałem prawie dwie doby panny Alis i przyznam, nieco mi brak było jej nawet milczącej obecności. Niesie z sobą poczucie jak gdyby bezpieczeństwa, staranności, opieki. Na biurku zastałem, jak zawsze, jak od tyłu już lat, pięknie na maszynie wypisane — w punktach od jeden do piętnaście — sprawozdanie z tego, co zaszło pod moją nieobecność. Telefony, listy — te adresowane na kancelarię i te bez nagłówka na kopercie, prywatne. Jako załączniki — pozycje od pięć do jedenaście. Potem terminarzyk na dzisiaj.

Przejrzałem. Nic szczególnego. Ziewnąłem, przeciągnąłem się. Zapaliłem małą lampkę na biurku, antyczną, z brązu, z jedwabnym ciemnoczerwonym abażurem, barwy starego wina. Tak to się, sądzę, fachowo nazywa. Karbowanym niby spódniczka baletnicy. Daje górą ładny, niemal wiśniowy poblask, dołem, na blat biurka, białe mocne światło, nie rażące oczu, gdyż obie żarówki są matowe.

Ogarnęło mnie lenistwo. Siedziałem nic nie robiąc, nie myśląc nawet o niczym konkretnym. Ot, tak sobie, dałem płynąć nie kontrolowanemu potokowi obrazów, na pół urwanych motywów czegoś tam, niewartych dłuższego zatrzymania się, zakotwiczenia uwagi.

Rankiem, przed ósmą, mniej więcej na kwadrans, zajeżdżam przed kancelarię. Już po kawie, tym razem wypitej w domu, na Bornweg. Zaparkowałem jak zwykle wóz przed „Viktoria” i wszedłem na górę. Niczego na biurku po moim wczorajszym wieczornym tu pobycie. Trochę popadało rano, trotuary były mokre, chłodno, więc wziąłem burberry, teraz otrzepałem je z kropel deszczu na schodach i powiesiłem w poczekalni. Usiadłem.

Punkt o ósmej weszła panna Alis<

Natychmiast po wyrazie jej oczu, zacięciu warg domyśliłem się, że musiało zajść, coś niezwykłego. Moja sekretarka, głos mego sumienia i chodzący terminarz zajęć, miała minę, którą miewa wtedy, gdy ma mi coś do zakomunikowania, co z trudem tylko przechodzi jej przez gardło. Sta- ropanieński kok, spódnica midi na granicy demi-maxi, na skraju tolerancji obecnej mody, ale jeszcze nie śmieszna na tyle, żeby zwracać uwagę. Styl staroangielski, jaki widuje się na łamach „Illustrated London News”. Może uchodzić

za retro. Jakaś broszka pod szyją spinająca kołnierzyk nie- pokalanej bieli. Powiesiła na wieszadle w szafie zakiet od kostiumu i nieprzemakalny płaszcz, zaś torebkę na poręczy krzesła przed stolikiem z maszyną do pisania. Zerknęła na mnie bokiem, w milczeniu, lecz badawczo, a może naWet z niesmakiem i przyganą.

Oho! — pomyślałem, udając, że niczego nie dostrzegam — coś się tutaj wydarzyło z gatunku tych spraw, których nie umieszcza się w raptularzu zajęć ani w sprawozdaniu. Musiał być Ernest lub kogoś w swoim imieniu przysłał. Ale okazało się, że nie, a w każdym razie niezupełnie.

Panna Alis, gdy za długo już wedle niej trwało moje obojętne czy też niedomyślne milczenie, moja tępota czy nieczułość na jej wymowne miny i spojrzenia — zdecydowała się na zabranie głosu. Tuląc wąskie, ledwie, ledwie umalowane wargi we wdzięczny słodko-kwaśny, zjadliwy w intencji dziobek czy ryjek — powiadomiła mnie, że odwiedziła naszą kancelarię onegdaj po południu, gdy mnie nie było, niejaka panna G.

— Kto taki? — spytałem przeglądając jakiś akt, a w pierwszej chwili strześliło mi do głowy, że być może idzie o tamtą dziewczynę z wypadku pod Bad Ems, Sieg- linde NN, której wizyty istotnie mogłem oczekiwać.

Nie wiem dokładnie. Germeier, a może Gurmacher. Jakoś tak.

— Nie znam.

— Ja również. Pierwszy raz w życiu. I daj Boże ostatni.

— Czemuż to? Jakaś niewygodna klientka? Czy może w czyimś imieniu?

— Wątpię bardzo,

— Wco pani wątpi, panno Alis? — spojrzałem na nią. Wydęła pogardliwie wargi. Szukała czegoś w torebce. Chusteczki do nosa.

Wytarła nos, szeroko rozkładając chusteczkę z batystu.

— Katar?

— Katar, panie mecenasie. Mokro na dworze i ta nagła zmiana temperatury.

Stojąc obok stolika z maszyną do pisania, bardziej godna i sztywna niż zazwyczaj, obserwowała mnie ukradkiem. Pod tym wzrokiem, czując go na karku i na dłoniach manewrujących tasiemką wiążącą kartonową teczkę, kręciłem się niespokojnie, jakbym czuł się winnym z racji wizy

ty tej jakiejś tam G. Kto to taki? Wygląda na to, jakbym ją sobie tu, na złość pannie Alis, sprowadził celem uprawiania pod jej bokiem jawnej rozpusty. Szóste, najważniejsze dla niej przykazanie. Wciąż przecież posadza mnie, i niestety słusznie, że się mimo moich lat łajdaczę. Powtórzyłem w myśli słowa piosenki śpiewanej przez nas, więźniów obozu, przed laty w Dachau: „Wir haben Pest am Bord!” Mamy zarazę na pokładzie!

— Zaraz poznałam, co to za jedna. Łajdaczka, proszę pana.

— A czemuż to? — spytałem ubawiony.

— Bo zauważyłam, że ma szelmowskie, łajdackie oczy. Natychmiast to spostrzegłam, gdy tylko stanęła na progu. Mimo iż starała się nie patrzeć mi w oczy. Uciekała wzrokiem na boki, myszkując po kątach.

— Dobrze. Może i tak. Niech będzie. Ale czego ona, ta G., chciała?

— Nie wiem, czego chciała, mogę się tylko tego domyślać. Niczego uczciwego nie sposób się spodziewać po kimś, kto ma takie oczy. I nie tylko zresztą oczy, panie mecenasie. Tak.

— I dlatego tylko nie wpuściła jej pani poza próg?

— Żeby nam zaświniła posadzkę? Jeszcze tego by brakowało! Ledwośmy się z trudem, z tyłu kłopotami, pozbyli tamtych, od pana Ernesta. Nie mówię o nim, on to co innego, ale tamci, pan mecenas przecież doskonale wie... Tych hippisów. Brudasów takich. Bo ta pańska nowa klientka — tu głos panny Alis nabrał szczególnej jadowitości — przybyła do nas z

wizytą odziana w połatane i brudne spodnie i boso. Trzymała obuwie w ręku, słowo honoru daje. Na bosaka, prosto z ulicy, do nas, na parkiet, bezczelna taka. Na dworze mokro, błoto, więc te obrzydliwe łapska, na które bez uczucia wstrętu nie mogłam patrzeć, zaledwie zerknęłam, już mnie zemdliło, zostawiały placki na podłodze w przedpokoju i na schodach, od parteru aż do naszych drzwi. Ładna historia! Wstyd przed, dozorczynią, co sobie o nas pomyśli. Że my przyjmujemy kogo? Nasza kancelaria jeszcze, Bogu dzięki, nie chlew ani obora.

— Istotnie wczoraj padał deszcz i był bardzo chłodny dzień. Całkiem już jesienny, niemal listopadowy.

— Właśnie. Może też pan sobie wyobrazić, panie mecenasie, jak ona ładnie wyglądała. Przemoczona, z włosami

w strąkach, z których woda kapiała na podłogę, oblepiona cała mokrym płótnem bluzy i spodni, i na domiar wszystkiego te jej ohydne łapska! O, niech no pan spojrzy. Tutaj i o — tam koło drzwi. Tam najwięcej. Na ile mogłam, wytarłam kawałkiem sukna. Gdy ją zobaczyłam, tę dziewczuchę, te jej lepkie od błota nogi, kazałam jej natychmiast wdziać obuwie. Choćby ze względu na przyzwoitość.

— Dobrze. Ale wciąż jeszcze nie wiem, o co jej szło.

— Ja również. Oświadczyła, że powie tylko panu mecenasowi, i to w cztery oczy.

— Hm. Szkoda. Może coś ważnego. Pani wie, zdarzają się od czasu do czasu takie sprawy. Na przykład — pani sobie na pewno przypomina aferę Schmeidego? Też sam nie przyszedł zrazu, tylko przysłał gońca ze swego biura. Dziewczynę gońca.

— Gdyby miała jakiś uczciwy interes, zachowałaby się inaczej. Zwłaszcza goniec. A to było zwyczajne najście, panie mecenasie. Ja nie przesadzam. O tej porze? Po piątej? Zostałam dłużej, bo miałam robotę, a zwyczajnie o tej godzinie kancelaria jest zamknięta. Ona musiała zobaczyć z ulicy, że w oknach się jeszcze świeci. Pewnie czatowała w bramie naprzeciwko. Może w „Viktorii”.

— No cóż, jak ma naprawdę ważny interes, to przyjdzie jeszcze raz. Wtedy się może dowiemy, o co idzie tej tajemniczej osobie.

— Lepiej, żeby nie. Wolałabym, przyznam się, więcej jej tu nie widzieć. Poważna klientka tak nie wygląda. Jeżeli nawet istnieje taka moda wśród młodych — wiem o tym, mam oczy, to widzę — jak się ktoś wybiera do adwokata, odziewa się wtedy inaczej. Nie w brudne łachy, jak że- braczka. Taki niechluj. To złodziejka, ja panu mówię, panie mecenasie. Chciała spenetrować mieszkanie i dać cynk swoim współnikom. Wysłali ją na przeszpiegi. Takie rzeczy zdarzają się na porządku dziennym. Nie tak dawno okradziono mieszkanie lekarki, pani doktor Zwieback, pan słyszał?

— Coś mi się obilo o uszy. Może ma pani rację, panno Alis.

— Albo hochsztaplerka — dodała po namyśle. — Ja się na ludziach znam i prawie nigdy się nie mylę.

Zacząłem myśleć, że może istotnie ona ma rację i że ta tajemnicza G. czy jak tam to zwykła złodziejka lub jakaś naciągaczka. Bywają takie. I o okradzeniu pracowni doktor Zwieback słyszałem. Ale to był rodzaj atelier, w dodatku luksusowo urządzonego, i w willi, daleko za miastem, gdzieś aż w Niederwerth. Ponieważ panna Alis jakby czekała na moją decyzję, powiedziałem krótko, stanowczym tonem:

— No to może naprawdę będzie lepiej, żeby jej pani nie wpuszczała. Jak ma do mnie interes, niech najpierw zadzwoni.

— Zrobię tak, jak pan mecenas sobie życzy.

— A w wypadku, gdyby się nieodpowiednio zachowywała, niech pani dzwoni na komisariat. To najlepsze rozwiązanie.

— Tak uczynię, panie mecenasie. Z wszelką pewnością.

Zabrała się do segregowania papierów w jednej z teczek.

Wyraźnie zadowolona, dodała po chwili: — Jestem tylko i wyłącznie wykonawczynią pana poleceń, pan o tym wie, panie mecenasie. I nigdy bym się nie mieszała w nie swoje sprawy, ale w tym wypadku nie tylko to wszystko prawda, co powiedziałam na ten temat, lecz miałam w dodatku tej nocy sen, wyraźnie proroczy, rodzaj ostrzeżenia... Ja, wie pan przecież, nie wierzę właściwie w sny, ale mimo to czasami się sprawdzają. Miałam już przykłady nader wymowne. Gdy miał umrzeć mój świętej pamięci ojciec. Hiedy miał być ten największy nalot i mnie z matką moją i siostrą nieboszczką zasypało. Więc trudno tak już zupełnie nie wierzyć, prawda? Otóż śniła mi się ta dziewczucha, jeszcze wyższa niż w rzeczywistości, na dwa, może trzy metry, z oczyma, które świeciły jak u kota. A ona istotnie niosła w rękach kota, prawdziwego, czarnego kocura, który wyrywał się i miauczał, bo

przyciskała go do siebie zbyt mocno. I słyszałam, jak do niego przemawiała, ale tak, żebym i ja słyszała każde słowo — że niech on, ten kot, się nie boi i nie wyrywa, bo i tak, cokolwiek by było, jej się uda, im obojgu, jej i temu kocurowi. Trafia, gdzie trzeba, wleżą chociażby dziurą przez komin, jedno za drugim wdra- pią się. I wtedy zobaczyłam kancelarię, tę niby to naszą, tę samą, tyle że w kącie, o tam, gdzie stoi szafka, był komin, czarna jama wprost w ścianie, okopcona i straszna. Bałam się we śnie, trzęsłam się cała, czując, że zaraz coś się okropnego wydarzy, no i najpierw wylazł kot, otrzepał się z sadzy, widziałam ten kopeć dookoła — na biurku, na dywanie na aktach, wszędzie — a potem tyłem zaczęła

wypełzać z tego otworu tamta strzyga, podobna do tej, co tu była wczoraj, ale zarazem jakby trochę inna. Nie mogła się zmieścić w tej dziurze w ścianie, więc z całej siły zaczęła łokciami rozpychać na boki brzegi otworu. Zobaczyłam, że ściana ugina się, tynk odpada, wszystko łuszczy się, rozsypuje, cegły, wapno, kawałki tapety... I huk taki, jakby się dom cały walił, i ciemno od kurzu, dymu czy sadzy w pokoju. Wtedy zbudziłam się cała w strachu, zapaliłam lampkę przy łóżku, była punktualnie północ. Widzi pan? To było ostrzeżenie. Komuś coś grozi i ma na pewno, związek z wizytą tej hippiski. Obym się myliła, panie mecenasie. Niech się pan nie śmieje.

Wcale się nie śmiałem. Istotnie, jeśli ona nie zmyśla, a nigdy jej nie przyłapałem na kłamstwie, miała sen szczególny. Wciąż podniecona relacją ze snu, pod jego świeżym wrażeniem, dodała jeszcze:

— Gdyby coś, nie daj Boże, miało się zdarzyć... Byłabym osobiście winna i nigdy bym sobie do śmierci nie darowała, że nie ostrzegłam w porę, mimo iż może się to wydać przesadą. Jeśli i jest, no to trudno. Lepiej dmuchać na zimne, wie pan. Ona, ta dziwka, gotowa nam sprowadzić jakąś bandę. Trzeba by jeszcze raz sprawdzić zamki. Czy przy okazji nie zrobiła odcisków z plasteliny albo wbsku. Oni zwykle tak robią. I chętnie posługują się dziewczynami do takich spraw. Ona mi — teraz to sobie uświadamiam — przypomina taką jedną z amerykańskiego filmu gangsterskiego, nie wiem, czy pan widział. Szedł nie tak dawno w telewizji. Wspólniczka bandy. Też taka wysoka z włosami opadającymi jak strąki aż na ramiona i plecy. Chuda jak ta nasza, wczorajsza, i też w spodniach. Kubek w kubek. A w „Rheinischer Merkur” przed tygodniem pisali, że do pewnego starszego pana...

— Wiem. Czytałem. Ma pani rację. Lepiej uważać, to fakt.

Podszedłem do otwartego okna. W hotelu naprzeciwko pokojówka, którą znałem, gdyż była kiedyś U mnie o poradę w jakiejś błahej sprawie, tak po znajomości, jak o- świadczyła, i która nazywa się Linda, zbierała właśnie z łóżka po jakimś kliencie brudną pościel i ciskała za siebie na podłogę. Nachylała się, prostowała i znów znikła mi za framugą. Widziałem jej zgięte plecy, biały fartuszek zawiązany na kokardkę i granatowy kołnierzyk od sukienki. Taki uniform hotelowy. Potem znów pojawiła się na moment głowa jasnobłond, loczki świeżo ufryzowane i nieco za różowa, prawie czerwona twarz, spęczniała od wysiłku. Wyprostowała się, ziewnęła, przeciągnęła się. Podeszła do okna i wychylona patrzyła w dół. Mokry trotuar. Deszcz, ale już tylko ledwo, ledwo, pojedyncze kropelki. Taka rozpylona siatka podświetlona słońcem. Potem podniosła wzrok i dostrzegła mnie w oknie. Uśmiechnęliśmy się do siebie równocześnie jak starzy znajomi i sąsiedzi. Potem ja odwróciłem się i odszedłem w głąb pokoju, a gdzieś stamtąd, nie wiem dokładnie, czy z „Viktorii”, czy skądinąd, odezwała się piosenka Edith Piaf na płycie takiej samej, jaką miałem w mieszkaniu w Arzheim. „Mon manège a moi...” Panna Alis Bergen przerwała na moment pisanie na maszynie, uniosła głowę i słuchała. I ja, stojąc na środku kancelarii, słuchałem również. Piosenka Piafki urwała się w połowie. Ktoś najpewniej wyłączył adapter, a może piosenkę nadawano w radio. Jakież potem słowa, na pewno już z programu radiowego, zapowiedź czy komunikat.

Tego samego dnia, po południu, gdy wracałem wozem z miasta do Arzheim, po drodze postanowiłem nadać pilny telegram. Zaparkowawszy więc Volkswagena naprzeciw dworca, szedłem na ukos ku głównej poczcie i kiedy przystanąłem na moment, żeby przepuścić jakiś samochód, nagle ujrzałem Dziewczynę Alfa, tę z Cafe Central, tę od Ernesta. Jak sądzę, nie zauważyła mnie, Bogu dzięki. Nie wiem sam czemu, zależało mi na tym, jakby mnie mogła przyłapać na czymś nieodpowiednim czy wstydliwym. I wtedy nagle błysnęła mi w głowie myśl: to na pewno ona starała się wczoraj dostać do kancelarii i to ją wyгнаła panna Alis. Była istotnie nieco podobna do dziewczyny z amerykańskiego filmu gangsterskiego, w którym ginęła zabita, dosłownie posiekana serią z pistoletów maszynowych aż dwóch, gdyż

równocześnie — policjanta i gangstera. Ale jeszcze bardziej, wręcz uderzająco przypominała modelkę Veruschkę, alias Verę Gottliebe Annę hrabiankę von Lehn- dorff, z junkierskiej rodziny w dawnych Prusach Wschodnich, tę, którą zapamiętałem z filmu Antonioniego Powiększenie i o której czytałem w „Quicku” cały reportaż. Jej zwierzenia. A także miałem sposobność oglądać na jakimś pokazie próbki filmu Salome, w którym odtńczyła orientalnie zmysłowy taniec iluś tam szali. Zbliżenia rozognionej

żądzą, dyszącej, lśniącej od potu twarzy Heroda. I zaraz potem jej nachylona ku niemu całkowicie ogolona na gładko głowa, bez jednego włoska, nawet bez brwi, nagość isticie idealna, zupełnie biała, tylko rzędy jakichś świecidełek, pereł i diamentów, umocowanych nie wiem jak, ponakleja- nych na skroniach, na linii łuków brwi, na skrzydełkach nozdrzy, na muszlach uszu, co podkreślało jeszcze lśniąca nagość jej głowy. Tak golono niegdyś na całym ciele czarownicy. Małe, szpiczaste piersi zakończone napęczniałymi, sterczącymi sutkami. Jasnoróżowymi guzami, takimi, o jakich tak sugestywnie mówił mi kiedyś mój znajomy, Klaus. Najazd na nie kamery. Zbliżenie — prawa i lewa pierś kolejno w ruchu. Zaledwie przez sekundę. Potem kawałek uniesionego ramienia. Lśniąca, wygolona pacha. Veruschka odbiega w tańcu, przegina się do tyłu tak, że jej głowa, wyglądająca jak wielkie białe jajko, dotyka niemal podłogi. Jej długie, szczupłe uda rozsuwają się, kolana zginają do przodu. Wtedy na ułamek sekundy — w zbliżeniu — widać jak gdyby pas cnoty, bardzo wąski, uszyty z grubej skóry. I że ten twardy rzemień dosłownie wrzyna się jej w krocze, między widoczne na ekranie. bezwłose, wygolone wargi sromowe. I natychmiast potem — inne zbliżenie: twarz Heroda spęczniała z żądz, rozchylone, dyszące, grube, oślinione wargi, lśniące zęby.

Dziewczyna Alfa szła nie widząc mnie, w nieprzemakalnym płaszczu z postawionym kołnierzem, z gołą głową szczelnie oblepioną mokrymi włosami, z których ściekała woda. Dlatego pewnie ta głowa wydała mi się tak nieproporcjonalnie mała i na krótki moment podobna do głowy tamtej artystki, odtwarzającej Salome. Jak gdyby równie gładka i ogolona. Na jej nogach dostrzegłem grube, prawie alpejskie buty oraz dzinsy przemoczone do kolan. Gdy mijający mnie samochód odjechał, ona już znikła.

Nadawszy telegram wsiadłem do wozu i zatoczywszy koło przed dworcem, podjechałem pod wielki magazyn, gdzie, sam nie wiem po co, podszedłem do wystawy. Okazało się, iż zatrzymałem się dziwnym trafem przed witryną pełną damskiego obuwia. Przypomniałem sobie, że w reportażu z „Quicka” Veruschka przyznała się, iż nosi obuwie numer czterdzieści cztery. Więc przebiegłem wzrokiem szereg poustawianych na różnych poziomach na szklanych podpórkach i poprzeczkach bucików, pantofelków, sandałków naj

przeróżniejszych fasonów, domyślając się tak na oko, które z nich są w tym właśnie wymiarze. I czy Dziewczyna Alfa również nosi ten sam numer, czterdzieści cztery. To absurdalne zagadnienie, które mnie zatrzymało przed tą wystawą, okazało się na szczęście nietrwałe. Po kilku minutach, ochłonawszy, wsiadłem z powrotem do mego VW. Lecz zamiast pojechać do Arzheim, jak zrazu zamierzałem — tego dnia działy się jak widać różne dziwne sprawy — zajechałem na Stegemannstrasse. Znow się rozpadało. Wskoczyłem z wozu i biegiem udałem się do Cafe Central. Płaszcz pozostawiłem w wozie. W kawiarni — sędzia L. z żoną i córką. Chciałem ich wyminąć, lecz oni niestety dostrzegli mnie i sędzia L., wychyliwszy się z fotelika, zaczął na mnie kiwać, prosząc, żebym do nich podszedł. Nie było innej rady, podszedłem. Przywitałem się z całym towarzystwem. Kawa, dwa rożki. Świeżutkie, prosto z pieca, jak mnie zapewniła Heddi. Rozmowa o czymś banalnym, nieważnym. Po wyjściu, już o wczesnym, jesiennym zmroku, w jesiennym deszczu, który się rozpadał na serio, w blasku pierwszych lamp i oświetlonych wystaw sklepowych odbijających się na mokrym trotuarze, zobaczyłem przed wejściem do hotelu „Viktoria” tamtą dziewczynę. Poznałem ją w ostatniej chwili, już będąc na progu mego domu, mając zamiar wpaść na moment jeszcze do kancelarii, gdzie jak sobie przypomniałem rozmawiając z sędzią L., zostawiłem książkę kupioną z samego rana, którą miałem zamiar przerzucić przed snem.

Dziewczyna Alfa stała obrócona do mnie bokiem, ginącym profilem, w deszczu, od którego pociemniał jej jasny płócienny płaszcz z podniesionym kołnierzem. Rzuciła na lśniąca moką jezdnię wydłużony cień aż prawie pod próg domu, do którego wchodziłem.

szuka ją w kieszeni klucza i otrzepując się z kropel. I ja nieco przemokłem. Dalej stał zaparkowany mój Volkswagen, błyszczący od wody.

Nie wiem, drogą jakich skojarzeń przyszło mi na myśl w tej krótkiej chwili, między dostrzeżeniem dziewczyny i wejściem na schody domu, z pękiem kluczy podzwaniających w rękę, to co na temat lalek kalekich i dziwacznych w oknie na pierwszym piętrze nad Café Central powiedział kiedyś ów młody filmowiec, który mi na nie pierwszy zwrócił uwagę. Że są to „makiety nie spełnionych marzeń”. I to określenie zapadło rpi w pamięci ze szczególną siłą, tak iż

przy pierwszym widzeniu z profesorem Straussem powtórzyłem mu je, a on, mądry Schani, grzebiący się od lat w ludzkich kłopotach i obsesjach jak śmieciarz w kubie z odpadkami, powiedział, że są to przeważnie przedmioty z piekła rodem dla tych, którzy poszukują symboli swego najtajniejszego wnętrza. I że są wyłącznie odbiciem dna. Dla Schaniego jest to zresztą świadomość istotna, ta najbardziej autentyczna. W istocie raczej podświadomość. Całą zaś tę zabawę z diabłem w chowanego narzuciły nam obyczaje ograniczenia popędów, różne tabu przeciwne naturze ludzkiej.

W innej rozmowie z Schanim w jego gabinecie, gdy miał czas i zebrało mu się na pogawędkę przy kufelku piwa, dowiedziałem się, że bywają wręcz zaskakujące skłonności, jakże podobno częste, znacznie bardziej powszechne, niżby się wydawało nam, laikom, którzy boimy się usłyszeć potwierdzenie tego, co tkwi w nas, gdyż sądzimy, iż jesteśmy upośledzeni, bo wyjątkowi i przez to tragicznie samotni; gdy dowiemy się z uczuciem ulgi, że naszym imieniem jest milion, ogarnia nas przemożny lęk — jakieś się obudziły, otworzyły w nas nagle nie spełnione z obawy przed odpowiedzialnością, powodujące wskutek tego zahamowania i tworzące zleża — zatory, blizny i zrosty. Boimy się wciąż zejścia do piwnic, zstąpienia w podziemia — a może byłoby to wspinanie się po jakiejś diabelskiej drabinie na strych? Co na tym strychu? Któż to wie, nikt nam nie powie, nawet nasz spowiednik, psychoanalityk, on, wielki kapłan i znachor współczesny. Bywa bezsilny, gdy trafimy do niego za późno. Istnieją — o tym już wiemy — przeróżne pogranicza nie nazwane przez nikogo prawdziwym imieniem, nawet przez grzebiących się w zsypie na śmieci. Ciekawscy panowie — uczeni, szarlatani, kolekcjonerzy czy maniacy tylko? — w okularach i z siwymi bródkami ni to satyrów, ni to mędrców o profilach capów — to oni stają się naszymi spowiednikami.

Tak myśląc chaotycznie, w narastającym lęku wspinając się na schody, nie wyjrzałem nawet z okna na półpiętrze, by przekonać się, czy tamta dziewczyna w mokrym płaszczu, ociekająca wodą, wciąż jeszcze stoi przed hotelem „Viktoria”.

Dopiero w kancelarii — zamiast odnalazłszy bez trudu książkę, po którą wstąpiłem, zejść z nią na dół, by wsiąść

do zaparkowanego pod „Viktorią” wozu i pojechać prosto do siebie na Bornweg, o czym cały czas — jakby w tle innych myśli — marzyłem, usiadłem, nie zapalając światła, przy biurku i w dalszym ciągu uparcie myślałem wciąż o jednym i tym samym, jednym i tym samym, na ten sam temat, w różnych tylko wariantach, w zastosowaniu do różnych napotkanych osób, znajomych i byłych klientów — miałem ich tylu, maniaków te? — byle łukiem i zakolem, z daleka ominąć siebie samego, okrążyć czule miejsce, tak jak człowiek stara się nie dotknąć językiem bolącego zęba, żeby nagle nie zacząć krzyczeć, ktoś powiedział, a może napisał chyba na pół serio: gdy nre sposób się pozbyć zmy, jedyna rada przywyknąć do niej, a nawet ją polubić. Rodzaj niezawodnej recepty na obsesje[^]

Do ludzi takich jak ja trafia ją "tylko niektóre przypadki, jakiś niewielki wycinek drogi wiodącej w istny labirynt, raj dla szperaczy, psychopatologów, w rodzaju Schaniego Straussa. Chwilami mógłbym go sobie wyobrazić jako kolekcjonera rzadkich okazów fauny, na przykład jakichś szczególnie oryginalnych gatunków chrząszczy. Ja i moi koledzy z palestry mamy możliwość zapoznania się z całą tą rozległą dziedziną wyłącznie wtedy, gdy przypadek podlega karze przewidzianej w kodeksie. Inne przypadki — a tych milion — te nie spełnione ze strachu przed odpowiedzialnością czy tylko opinią, bardzo zróżnicowane — nie trafiają do nas, istnieją poza naszą kompetencją, jakby za granicą odgradzającą sprawy ściągane przez prawo od leżących w jego intymnym cieniu, podlegających jeszcze tolerancji.

Jakież to wszystko okropnie smutne, jakie beznadziejnie żałosne! Zwłaszcza z upływem lat, gdy podejrzenia stają się pewnością, a krew się sący grożąc całkowitym wykrwawieniem. Samotność w otoczeniu manekinów, sobowtórów, parodii własnych marzeń,

snów. Wykrzywione w jakimś lustrze odbicia; niby to własne, a nie własne twarze; tłum postaci, które są jakimś zbiorowym ja, podzielonym na dziesięć, dwadzieścia, sto odmian różniących się i między sobą wyłącznie tym, że w danym momencie koncentracji nasz wzrok zatrzymuje się na nich właśnie, usiłując sobie coś przypomnieć, coś uświadomić. Bezskutecznie. Jesteśmy bezradni i przeraźliwie smutni w naszej samotności.

Rietdijk, którego nie tak dawno temu przeczytałem z du- I

zym zainteresowaniem, utrzymuje, że „postępowość jest racjonalizmem w zakresie optymalizacji szans osiągnięcia pełnego szczęścia, czyli przeprowadzeniem idei Oświecenia we wszystkich dziedzinach życia, także najbardziej intymnych i ukrytych”.

W swych tezach — a jest ich aż dziewięćdziesiąt jeden — Rietdijk pisze między innymi: „Słowo cynik zostało wymyślone przez obłudników”, i dodaje: „Nazywają nas cynikami! To najbardziej łatwa i tania obelga, która ma tę zaletę, iż nie potrzeba jej udowadniać.”

W eseju tego holenderskiego gniewnego można znaleźć jeszcze kilka innych, na pewno słusznych twierdzeń, jak choćby to, które sobie podkreśliłem, uważając, że jest godne zapamiętania: „Jedną z najlepszych metod utrzymywania status quo i zmuszania krytyki z zewnątrz do milczenia jest przedstawianie rzeczy w gruncie prostych jako skomplikowanych.”

Rietdijk w dalszym ciągu: „Wiek osiemnasty miał swoje Oświecenie, wiek dziewiętnasty — pozytywizm. Co przynosi wiek dwudziesty? Zakłamanie rozmnożone i zwielokrotnione do stanu powszechnego ogłupienia przez nowoczesne środki masowego przekazu? Każd dla niepoprawnych? Czym odpowiada humanistyczna część ludzkości na lot na Księżyc? Marcusem? Sartre'em? Czerwoną książeczką Mao? Nie spełnionymi obietnicami wielkich hipnotyzerów — mene- rów zubożniających mas? Głodem autentycznej ideologii? Tak — lecz na miłość boską — jakiej? Mamy w zanadrzu jedynie biadania nad dehumanizacją człowieka. I to wszystko? Prawdziwi romantycy naszych czasów siedzą przy mózgach elektronowych w oczekiwaniu na nowego mesjasza. Skąd nadejdzie i kiedy? Boże, miej nas w swej opiece!..”

Teza trzydziesta druga brzmi: „Problematyka erotyczna, obejmująca dużą część zagadnień neurotycznych, jakimi są między innymi ogólnie istniejący niedobór jakościowy, a także irracjonalny system dystrybucji...”, i tak dalej. Trzy lata temu podjąłem się obrony pewnego kupca, człowieka tuż po czterdziestce, którego nikt by na pierwszy ani nawet na drugi rzut oka nie mógł podejrzewać o jakieś odchylenia od normy, a który, ulegając trapiącej go od wielu lat, narastającej obsesji, czując się któregoś dnia bezsilnym wobec jej nacisku, w przystępie rozpaczy pomieszanej z gorączkowym oczekiwaniem spełnienia bez względu na cenę, jaką wypadnie mu zapłacić, przy świadomości ryzyka i godzeniu się na nie, obciął tak zwany koński ogon pewnej dziewczynie, korzystając z późnej pory, pustki na skwerze i braku świadków w pobliżu. Myślał, łudził się — tak mnie przynajmniej zapewniał — że ona tego nie zauważy. Starał się działać jak najdelikatniej, posługując się bardzo ostrą brzytwą, gdy dziewczyna, którą śledził, usiadła samotnie na ławeczce w pobliżu mostu na Renie i w zamyśleniu przymknęła oczy, odrzuciwszy poza poręcz głowę i ów fatalny ogon. Miał barwę dojrzałego zboża w odcieniu lekko popielatym, jaki od dawna prześladował mego nieszczęsnego klienta. Już uprzednio próbował dwukrotnie od spotykanych na mieście dziewczyn kupić prawo odcięcia czegoś takiego, ale one, zaskoczone niezwykłością propozycji, wyraźnie zaleknione, uciekły. Za jedną z nich biegł kilkaset kroków, próbując jej wytłumaczyć, iż włosy i tak jej szybko odrosną, suma zaś, jaką jej ofiarowywał, była spora, wręcz arcyhojna. Nic jednak z tego nie wyszło. Napastowana, w panice, trzęsąc się ze strachu, straciwszy nawet głos, umykała w dół ku rzece, aż mój klient zrezygnował z pogoni bojąc się następstw.

Więc po dłuższym wahaniu postanowił osiągnąć cel swych marzeń przez zaskoczenie. Niestety, owa dziewczyna, która okazała się studentką medycyny z Frankfurtu, tylko przejazdem u kuzynów w Koblencji, narobiła gwałtu uciekając przed goniącym ją po nadbrzeżu panem S., który ukląkł przed nią mamrocząc słowa przeproszenia czy błagania o litość, wywijając brzytwą w jednej ręce, a uciętym blond ogonem w drugiej. Pobiegnęła wprost do stojącego na moście policjanta. Mój klient nie uciekał nawet. Oddał się w ręce sprawiedliwości bez oporu, pokornie i w stanie całkowitego, jak utrzymywał na rozprawie,

oszołomienia. Błagał tylko, by mu pozostawiono jego zdobycz. Mój znajomy, doktor V., rzeczoznawca sądowy w tego rodzaju sprawach, wymienił kilka gatunków fetyszyzmu, by dać sądowi pojęcie o rozległości tego problemu i jego względnej nieszkodliwości w sensie naruszenia społecznego ładu, jak również moralności publicznej. Istnieją między innymi dokładnie znane nauce, opisane w literaturze fachowej i skatalogowane od dawna, jednostki kliniczne: Busenfetischismus, związany z fascynacją wyłącznie kobiecym biustem, Zopffetischismus

— czyli erotyczne uczucia związane z warkoczem, w ogóle uczesaniem, i tu między innymi i nieszczęsnym ogonem popielatoblonde, leżącym jako dowód rzeczowy obok brzytwy na sędziowskim stole; następnie — Stiefelfetischismus, czyli podnieci erotyczna nierozłączna z widokiem i dotykaniem kobiecego obuwia, często ograniczona do pewnego gatunku, na przykład trzewików z cholewkami i sznurowaniem, jakie noszono w epoce fin de siècle'u; wypadek znany z filmu Bunuela Dziennik panny służącej, jak również z dzieł osiemnastowiecznego pisarza francuskiego Bestifa de la Bretonne. Ponadto wiele innych gatunków tego zboczenia, żeby się ograniczyć do spotykanego często zwłaszcza w Anglii fetyszyzmu związanego z kobiecymi pośladvami, łączącego się zazwyczaj z aktami agresji o charakterze wyraźnie sadystycznym, pokusą kaleczenia obiektu fascynacji za pomocą różnego rodzaju ostrych przedmiotów, dokonywanymi często w ścisłości, w tramwaju czy metrze, w kolejkach przed kasami kin, gdzie fakt taki ma szansę pozostania bezkarnym. Fetyszyzm ten łączy się zwłaszcza z flagellantyzmem, w czym ułatwiają zadanie amatorom takich przyjemności za odpowiednim wynagrodzeniem domy publiczne jak również prywatne prostytutki specjalizujące się w tego rodzaju obsłudze. Jak mi już prywatnie powiedział doktor V., niektóre z nich, mające stałych, dobrze płaćcych klientów należących do elity naszego społeczeństwa — zdziwiłyby się pan, mecenasie, gdyby się pan dowiedział, kto spośród osób powszechnie znanych u nas i ogólnie cenionych i szanowanych należy czy należał do ich klienteli! — posiadają w swych atelierach, jak nazywają pokoje przeznaczone do przyjmowania wizyt, całe kolekcje narzędzi mogących zadowolić najbardziej wymagające gusty i najbujniejszą wyobraźnię. Instrumenty o przeznaczeniu dla nie wtajemniczonego trudnym do odgadnięcia. Istne izby tortur, tych, jak to oni między sobą nazywają, pieszczot szczególnie wysokiego szczebla. U kobiet — wyjaśnił uczony rzeczoznawca — fetyszyzm bywa rzadki, z wyjątkiem jednego nigdy nie będącego przedmiotem protokołów sądowych, gdyż zaliczane go raczej do gatunku erotycznych natręctw, nieszkodliwego zatem — idzie o częsty u kobiet fetyszyzm falliczny. Bywa też erotyczną podnieci woń męskiego potu.

Dżungla zaiste! Doktor V. był odmiennego zdania: nie dżungla, lecz specjalizacja. — Czasami, zgadzam się, karal na. Do czasu, być może, lecz na razie podpadająca pod jakiś tam paragraf sprzed wieku czy dwóch. Gdy bodźce naturalne tępieją — a w naszej cywilizacji jest to proces nieodwracalny — następuje specjalizacja, tak jak w nauce nie ma już dziś mowy o tym, by ktoś ogarniał swą pamięcią i wiedzą więcej niż jakiś niewielki jej wycinek. Nasz wiek — to postępujący coraz szybciej proces podziału większych całości na szereg mniejszych, dających się ogarnąć, poznać, opisać i wykorzystać. Dlaczego miałby być wyjątkiem od tej generalnej reguły erotyzm, skoro jest jedną z najważniejszych dziedzin ludzkiej świadomości i działania? Nie widzę żadnych godziwych przyczyn — zakończył swój wywód doktor V. Dyskusja toczyła się w gabinecie sędziego, mój klient oczekujący na sali decyzji trybunału niestety nie słyszał jej. Może by stała się w jego strapieniu jakąś bodaj niewielką pociechą. A przecież — wracając do wyводу specjalisty od psychopatologii seksualnej — te przez niego wymienione ponure zakamarki psychiki to tylko nieduża część wielkiej rodziny zbrodni. Tej dżungli nieszczęścia, w której panuje ciemność, samotność i wieczny niedosyt. — Przesada, przesada! — powiedział Schani Strauss. Ja uparcie, nie przekonany, coraz bardziej zgnębiony: — Pustynia rozpacz i rozkoszy na przemian. Jednego i drugiego po trosze. Mniej więcej pół na pół. Któryś tam krąg piekieł. Eden i Hades. Mróz i upał. Cała kolekcja odmian, pododmian, podgatunków, które wszystkie bez wyjątku określają prawdziwe wnętrze zwierzęcia zwanego człowiek, czyli homo sapiens. — Czujesz się — skonstatował wysłuchawszy mnie Schani — jak ktoś, kto nigdy nie widział drzew i nagle trafił do lasu. Zagubiony, przerażony, osamotniony. A to rutyna dla nas, którzy

spełniają rolę cicerone w tym gąszczy, przewodników dla potrzebujących pomocy, jak ty dla twych klientów. Z tą różnicą, że moi pacjenci nie są ściśle mówiąc pacjentami, najwyżej nie uświadomionymi wędrowcami po nowym dla nich krajobrazie. A krajobrazy te mogą być, wierz mi, fascynujące. Kieruję — można by to tak nazwać — rodzajem biura turystycznego dla tych terytoriów.

W zupełnych już ciemnościach podszedłem do okna. Wciąż padał deszcz. Niektóre z okien „Viktorii” były jasne, większość jednak ciemna. Lśnił bruk naprzeciw uchylonych drzwi hotelu. Nikt tam nie stał. Tylko dach mego wozu błyszczał

A

w półmroku. Było pusto na Stegemanstrasse i jesienią.

Leżąc na tapczanie w mojej sypialni na Bornweg czułem, że nie zasnę. Byłem zmuszony wziąć środek nasenny, czego, na ile się da, unikam. W ostatnim czasie jednak coraz częściej z nich korzystałem. I mimo tego sen nie nadchodził. Nie mogłem jeszcze usnąć, gdy już prostokąt okna stał się szarosrebrny, a firankami zakłósał poranny wiatr od Renu. Potem, gdy już się zrobiło prawie całkiem jasno, zapadłem jakby w studnię i gdyby nie budzik, nie wiem, jakby się ocknął.

C Nieco zmęczony, mimo wypitych aż dwu kaw, zjawiłem [się rano w kancelarii później niż zwykle, z bólem głowy i w nastroju nie najlepszym Panna Alicja już tam przyszła przede mną. Przywitała mnie słowami: — Ona znów lu była z samego rana, panie mecenasie. Ta sama co przedwczoraj. Tym razem w brudnej męskiej wiatrówce i berg- steigerach. Takich buciorach z gwoździami, w jakich chodzi się w Alpy, proszę pana. Ale my tu nie mamy skał ani żadnych gór. Prawda?

— Bo dzisiaj wyjątkowo zimno. Jesienna pogoda, wkrótce zima, panno Alis.

— Pan żartuje, panie mecenasie. Ale ona zapowiedziała, że nie da nam spokoju, aż w końcu zastanie pana mecenasa i będzie mogła z nim rozmówić się w cztery oczy. Utrzymywała, że to jakaś bardzo ważna sprawa i że jej się bardzo śpieszy.

— Trzeba było jej powiedzieć, panno Alis, żeby na mnie zaczekała. W końcu by się wyjaśniło, o co jej idzie. Może przychodzi tu naprawdę z czymś ważnym. Zdarzają się takie sprawy, istotnie nader delikatne. Przypomina sobie pani chyba, kiedy to, pośrednicząc w aferze niejakiego Stor- cha, przyszła jego narzeczona?

— Pamiętam, panie mecenasie, ale trzymając się ściśle zalecenia pana mecenas wydane mi nie dalej niż wczoraj, kazałam tej dziewczynie natychmiast, nie zwlekając, opuścić poczekalnię. No i ona wyszła, zapowiadając jednak, że nie ma wcale zamiaru zrezygnować i że postawi na swoim. Jak mnie nie będzie, to ona wtedy...

— A czy przypadkiem nie szło jej o mego syna? Jest pani tego pewna?

— Całkowicie, panie mecenasie, w zupełności pewna. Jeszcze wtedy, za pierwszym razem, przedwczoraj, przyszło

mi to na myśl i wyraźnie jej spytałam, czy idzie jej o pana Ernesta, czy o pana mecenasa. Wzruszyła tylko ramionami.

— Wie pani co? Jeśli ta dziewczyna znów się tutaj zjawi, niech jej pani każe poczekać. Tak będzie najlepiej. Co tam mamy dziś do załatwienia, panno Alis?

Ona na pamięć, bez potrzeby sprawdzania w terminarzu stojącym obok maszyny do pisania: — O dziesiątej trzydzieści — sprawa J.I. w sali szóstej. Wezwany na rozprawę N. nie zjawi się, zawiadomił nas telefonicznie, chory, zatem sprawa zostanie odłożona. Potem o dwunastej piętnaście ma tu być pan Hermann Leiner w sprawie syna, pan mecenas pamięta, dzwonił dwa dni temu. Zaś o piętnastej ma się pan spotkać na mieście z Hansem Rehde.

— Doskonale, panno Alis. Świetnie. Wobec tego proszę panią o akta sprawy tego J.I. .

Obiad zjadłem w zacisznej salce restauracyjnej „Zum Gockel”, jak zazwyczaj, gdy mam nieco więcej czasu. Dają tam znakomite miejscowe specjalności, zwłaszcza Le- berwurst przysmażaną z ogórkiem, wątrobiankę o skórce chrupiącej, nie za tłustą, w sam raz, przyrządzoną w sposób nigdzie indziej nie spotykany. Wypiłem do niej dwie halby piwa. Miejscowe zimne Königsbacher z kufła polerowanego i malowanego na sposób tutejszy, typowo nad- reński. Takie, tylko mniejsze, sprzedaje się masowo w kioskach, z pamiątkami cudzoziemskim turystom, podobne do bawarskich, ale każdy, kto się na tym zna, natychmiast rozróżni. Te nasze mają nakrywkę z żółtego metalu, rzeźbioną i zakończoną często szpiczasto, w formie hełmif, gdy bawarskie — bardziej płaską, baniastą, z innym deseniem na obwodzie.

Wieczorem, już u siebie, na Bornweg, zagłębiwszy się w arcywygodnym klubie pod stojącą lampą z szerokim abażurem, włożywszy pantofle i bonżurkę, łyknąwszy nieco Haiga z lodem, sięgnąłem po lekturę czasopism, na którą zabrakło mi czasu w ostatnich pracowitych dniach. Nazbierało się tego sporo. Nie doczytany, odłożony na bok artykuł — wywiad Moravii z Mullerem, tym od astronautyki. X drugi jakby uzupełnienie tamtego, a jednocześnie antyteza — na identyczny temat, tyle że z innym specem z tejże dziedziny, von Braunem — pióra Normana Mailera,

tęgo od znanej i niegdyś okrzyczanej powieści *Żywi i martwi*.

Muszę przyznać, że nie lubię Mor a vii. Jest w jego mentalności, typie zainteresowań, gatunku rozumowania i wyobraźni coś, co mnie drażni. Wyczuwam w nim instynktownie jakiś starannie zakamufLOWany fałsz. Nazwałbym umysłowość Moravii drobnomieszczańską, gdybym się nie wstydził sam przed sobą sięgać do zbyt już zużytych środków z arsenału propagandowych pogadanek. Za czasów mojej młodości stwierdzenie, że ktoś ma drobnomieszczańskie gusty, brzmiało niemal gorzej niż posądzenie o wyraźny, zdecydowany faszyzm. Bo faszyzm, wróg najgroźniejszy w tamtych latach, to było coś poważnego, siła i przemoc, partner do walki na śmierć i życie, lecz zarazem coś z Nibelungów, z Wagnera w ogóle, z Nietzschego, czy ja wiem. Może aż z pragermańskich mitów i sag. A wszelkie mity u nas, w Niemczech, zawsze się liczyły, nawet gdy były groźne i złowrogie, może tym bardziej nawet, im niebezpieczniejsze w skutkach i bardziej mroczne. Natomiast liberalizm drobnomieszczański to była magma, bezkształtna, galaretowata masa, zgnilizna, śmietnik, cieknąca breja. Drobnomieszczanin w wydaniu SA — a takich było moc — niósł w łapie pałkę, kastet, ryczał chóralnie na Parteitagach, zapowiadał, że jutro będzie należeć do- niego. Walczyliśmy z nim, gdzie i jak się tylko dało. Inny model tegoż drobnomieszczanina, demoliberał, to był z pozoru tylko przeciwnik tamtego w uniformie SA. Tchórzliwy i zdradliwy nasz niby to partner, nieszczerzy sojusznik, gotów w każdej chwili uciec, zmienić poglądy, wyprzeć się wszystkiego. Istota godna wyłącznie pogardy, splunięcia.

Tęgo mnie niegdyś nauczono i to we mnie w jakiejś mierze zostało do dziś, mimo iż dawno już dowiedzieliśmy się, że nasza ówczesna, przed 1933 rokiem postawa, bezkompromisowa do tego stopnia, że wszystko, co na prawo od nas, nazywaliśmy socfaszyzmem i uznali w pewnej chwili za gorsze nawet od autentycznego faszyzmu, w rezultacie — pozbawiła nas sprzymierzeńców w walce, pozostawiając całkowicie samotnych na placu. Tak, o tym dziś wszyscy wiemy, lecz wzgarda dla drobnomieszczaństwa pozostała w nas taka sama jak przed laty, niemal taka sama, i tę się już nigdy nie wyzbędziemy.

Stąd ta niechęć do Moravii. Relikt tamtych lat walki i naporu — Sturm und Drang — pięknych lat mimo wszystko, mimo ostatecznej klęski, gdyż się gorąco kochało i nienawidziło, bo nic letniego, połowicznego, same skrajności — entuzjazm albo rozpacz, niemal nigdy — chłód, stygnąca lawa uczuć, zniechęcenie. Te zjawiały się dopiero znacznie później jak stada kruków na poboju, gdy dla wielu z nas nie było to wcale pole klęski, a w każdym razie nie powinno nim być. Przecież faszyzm został, mogło się zdawać, powalony, wypłeniony tak gruntownie, tak na zawsze, na całą wieczność, na już nigdy więcej. I właśnie wówczas — to zniechęcenie, ten niedosyt. A gdy jeszcze mocno wierzyłem — kiedy to było, do jakiej końcowej daty? — że coś nie tak, że nie wszystko da się zmienić — na jakiś czas przed tą fatalną godziną utrwaliła się tamta głęboka wzgarda dla wszystkiego, co „kleinburgerlich”. I to jedno dziwnym trafem przetrwało, gdy tyle innych haseł, świętości, miłości i nienawiści zwietrzało, zetlało ze szczeniem, pokryte jakby lawą po wybuchu czy grubą warstwą pyłu, jakiś zaledwie zarys mojej byłej Pompei, naszego dumnego Herculanum, nie istniejącego już, zasypanego warstwą obrzydzenia do wszystkiego w narastającym zniechęceniu i cierpkim sceptycyzmie, starzeniu się, zesztynieniu stawów, wiązadeł, zwapnieniu żył.

Dziś wydaje mi się, że było w nas, we mnie, tyle straszliwej nienawiści oraz woli walki i jednocześnie najgłębszej, nieuleczalnej wzgardy dla socfaszyzmu, iż starczy mi do końca moich dni. Już się tam, w jakimś magazynie we mnie istniejącym, o ograniczonej pojemności, więcej niewiele poza tym zmieści.

I cóż mi w tym wszystkim zawinił nieszczęsny Moravia? Zapewne — zadowolony z siebie, bo sławny, popularny, postępowy. Doktor Hermann B., chirurg ginekolog z Mona-

chium, mój dobry znajomy z pierwszych zaraz lat po woj- nie, gdy w jakiejś mierze dzięki mnie, ówczesnemu współpracownikowi komisji denazyfikacyjnej, wydobył się z groźących mu kłopotów, nazwał Morawię bardzo trafnie — Maupassantem dla ubogich. Rok temu jakoś, latem, byłem z nim i jego żoną Helgą, była pielęgniarką z jego szpitala, dla której porzucił poprzednią żonę, którą doskonale znałem, w kinie w Monachium, na Schwabingu, na filmie reżyserii Godarda wedle powieści Moravii Pogarda| z Brigitte Bardot w roli głównej. Było to wznowienie, a że go żadne

z nas trojga nie widziało, wybraliśmy się więc wspólnie jakiegoś wolnego wieczoru.

I właśnie w czasie seansu doktor Hermann B. nazwał Moravię Maupassantem dla ubogich, a mnie się to powiedzenie bardzo podobało. Również i pani Heldze, którą miałem po prawej ręce, gdy doktor siedział po lewej, Usad- wiono mnie pośrodku, w łoży, bo tamto kino posiadało jeszcze zaciszne łoże, jakie miawały przedwojenne kina, a których dziś spotyka się coraz mniej. Taki relikwyt przeszłości, jak niegdyś pierwsza i druga klasa w metrze i tramwajach albo trzecia na kolejach.

Pani Helga powiedziała po słowach męża: — Tak, tak, masz najzupełniej rację Hermann — i do mnie: — Prawda, że on ma rację? — Potakiwałem w milczeniu, a ona położyła nagle dłoń na moim udzie w ciemności kinowej sali, więc zaskoczony tym jej nieoczekiwanym gestem — a należy dodać, iż znałem ją bardzo powierzchownie — tym bynajmniej nie przypadkowym manewrem, jak mi się zrazu zdawało, lecz zdecydowanie i stanowczo zmierzającym do celu, poruszyłem się niespokojnie, ona zaś odsunęła w zniecierpliwieniu połę burberry zakrywając mi kolana i patrząc na ekran powtórzyła: — Masz rację, Hermann, Moravia ma w sobie bez wątpienia wiele z talentu obserwacji, jaki posiadał Maupassant, tyle że w dużo gorszym gatunku. — Nie wiedziałem, jak mam reagować na zachowanie mojej sąsiadki zapatrzonej w ekran, wychylonej nieco do przodu, opartej jednym łokciem o barierę łoży, gdy drugą ręką nie przerywała jakby niezależnej od niej akcji, przybierającej coraz bardziej energiczną formę, w zniecierpliwieniu i oczekiwaniu, bym się jakoś aktywnie włączył, to znaczy okazał namacalną reakcję na jej poczynania. Istotnie, nie potrafiłem temu zapobiec. Jej palce wówczas zwolniły tempo, gesty stały się o wiele delikatniejsze.

Dziwna rzecz, iż najbardziej z tego wszystkiego utkwiała mi w pamięci bransoleta Helgi w ruchliwych błyskach i migotach, to jaśniejszych, to przygasających w miarę poruszeń ręki, palców zanurzonych w rozporek moich spodni aż po napięstek, na który zsunęła się połyskująca złota obręcz złożona z polerowanych elementów o kształtach wydłużonych rombów.

Doktor Hermann B., niegdyś zaangażowany — zresztą mało aktywnie — w NSDAP, co na nim ciążyło jednak jeszcze parę lat po wojnie, pozbawiając nawet możliwości wykładów chirurgii ginekologicznej, aż do czasu, gdy tamto sprawy stały się przeszłością bez większych konsekwencji, obecnie prymariusz szpitala i profesor, a jednocześnie współwłaściciel prywatnej lecznicy w Monachium, a drugiej w Moguncji, właściciel superluksusowej i ultranowoczesnej willi nad samym Renem koło Uhlenborn, gdzie byłem kilkakrotnie jego gościem, rozwiedziony z pierwszą żoną, lekarką pediatrą, ojciec trojga dorosłych dzieci bardzo udanych, odznacza się obecnie nader postępowymi poglądami, chwilami wręcz lewicowymi, bliskimi modnych dziś kierunków lewackich, maoistowskich. Tak przynajmniej często twierdzi w rozmowach prywatnych i wiem o tym, iż bronił kilku zawieszonych za udział w jakichś zajściach na uczelni studentów i swym niewątpliwym autorytetem udało mu się wyratować ich z opresji. Stąd poniekąd ten atak na Moravię w myśl zresztą moich własnych zapatrywań.

— Cała twórczość Moravii — powiedział, gdyśmy szli na ten film — to mądrzenie się i minoderia typowego mieszczaucha pozującego na lewicowość. Jaka mi tam lewicowość! No powiedz sama — zwrócił się do żony; przytaknęła, a on dalej: — Taka uładzona postępowość najgorszego gatunku, pozbawiona pazurów, wykastrowana jak mizdrzący się kot w zamożnym domu. Typ niegdyś modny — pamiętacie, ilu takich było? Komunista salonowy, Salonkomunista — znamy, znamy I — A wtedy pani Helga, mówiąc między nami, bardzo ładna i zgrabna, w wspaniałych wręcz nogach, młodsza od obecnego swego męża i szefa o co najmniej trzydzieści lat, jeśli nie więcej — bawiac się zdjętą z dłoni rękawiczką, powiedziała z powagą: — Masz całkowitą rację, kochanie, znaliśmy takich wszyscy.

No — pomyślałem — ona na pewno nie. Przyszła na świat, gdy ja byłem od paru już lat w więzieniu czy obozie, a pan profesor nosił wówczas z dumą w klapie znaczek przynależności do NSDAP, a w dni uroczyste być może nawet brunatny uniform SA, do której przynależał, aczkolwiek niezbyt długo, na swoje szczęście, i niczym się w tej formacji nie odznaczył. Potem służył^a o ile pamiętam dokładnie, rok czy dwa w Wehrmachcie w jakimś pozafrontowym szpitalu, sława już wtedy europejska, ceniony i nagradzany, wzywany do żon dygnitarzy, różnych Gauleiterów i tym podobnych ówczesnych potentatów, między innymi jakoby do

żony samego marszałka Goringa, Emmy Sonnemann, obawiającej się nowotworu w narządach kobiecych, który okazał się jednak naroślą o charakterze niezłośliwym.

Pani Helga mówiła dalej na temat salonowych lewicowców: — Iluż takich dokoła! Takich, wie pan — to .do mnie — co to przez okno willi lub z wnętrza luksusowej limuzyny, wychyliwszy się, zachęcają strajkujących do ekscesów, pewni swej całkowitej bezkarności. Pan to chyba zna, nieprawdaż? — A gdy przytaknąłem, dorzuciła do kompletu dwulicowców nazwisko Sartre'a. Ale jej mąż obruszył się: — Co też ty wygadujesz, Helga! Sartre? Może dawniej, na to zgoda, ale od dłuższego czasu zmienił się zupełnie. Przecież stale czytuję „Les temps modernes”, to wiem.

Nie mam pojęcia, co ją tak podnieciło, bo chyba nie to, co się działo w tej chwili na ekranie, że jej palce zacisnęły się nagle z taką siłą, iż niewiele brakowałoby, a krzyknąłbym z bólu. Zsunąłem nogi, a ona zwołała uścisk. Powiedziała, patrząc w ekran, obojętnym tonem: — A jednak mów, co chcesz, a ja wciąż będę zdania, iż ten twój Sartre to spryciarz. — Profesor wzruszył ramionami: — Dajże spokój! — Przez chwilę wydało mi się, że chyba coś zauważył. Palce Helgi na moment znieruchomiały. Próbowałem jakoś dokładniej nakryć nogi połą burberry. Ona znów podjęła swoje ze zdwojoną energią i wręcz mistrzowską wprawą, zmierzając zdecydowanie do celu, który wkrótce istotnie osiągnęła. Nachyliłem się gwałtownie do przodu, usiłując nie oddychać. Czułem, niemal słyszałem, jak bije mi serce. Pani Helga spytała perfidnie: — Czy panu przypadkiem, panie mecenasie, zrobiło się niedobrze? Duszno tutaj. — Coś tam mruknąłem niewyraźnie, zapinając płaszcz na guziki. Widziałem kątem oka w mroku sali, jak ona sobie ogląda zgięte palce dłoni bez ozdób, bez jednego nawet pierścionka, miękkie i gładkie jak jedwab, których siłę i energię zdołałem jednak na sobie przed chwilą stwierdzić. Zgrabna, choć nie tak znów mała ręka dyplomowanej pielęgniarki, ostatnio asystentki profesora przy najcięższych operacjach. Tylko bransoleta u napięstka wciąż migotała gdzieś z boku, wydając cichy, metaliczny brzęk i szelest. Potem zaczęła naciągać rękawiczkę na obnażoną, pachnącą jakąś mocną perfumą dłoń. Druga pozostała cały czas w zamszowej rękawiczkę z długim mankietem. Po seansie wróciliśmy do Sartre'a i Moravii. Wszyscy troje zgodziliśmy się, iż autor Pogardy uprawia krytykę stosunków społecznych z pozycji filuta i żartownisia, takiego, co to mruga porozumiewawczo do swych burżuazyj-nych czytelników, najlepszych klientów swej sztuki, że o czymś wywrotowym nie ma mowy i że mogą spać spokojnie, gdyż jego flirty z lewicą to wyłącznie żarty. Tak między nami mówiąc — i znów do nich mruga — nie zdradźcie mnie tylko. Przecież są i tacy, którzy wszystko biorą na serio.

— Pytanie jeszcze, z jaką lewicą flirtuje — powiedziała bardzo z siebie zadowolona pani Helga 6. W jej oczach nie dostrzegłem śladu nawet tego, czego przed niespełną półgodziną dokonała w ciemnej sali kina. Patrzyła mi w oczy ze spokojem osoby znakomicie zrównoważonej, świetnie wychowanej i z natury raczej chłodnej i opanowanej aż do przesady.

Czytając istotnie mocno irytujący w tonie wywiad-re- portaż Moravii z Mullerem, przypomniałem sobie tamten film i profesora Hermanna B., jak również piękną i znakomicie ułożoną jego obecną żonę, panią Helgę, posiadaczkę, jak wielu twierdzi — pary najzgrabniejszych nóg w całym Monachium.

I jednocześnie uświadomiłem sobie, jak zbyt pochopne sądy, z reguły powierzchowne i efekciarskie, bywają w rezultacie niebezpieczne, a co najmniej dwuznaczne. Należałoby, jeśli chciałoby się zostać konsekwentnym w słowie

1 czynie oraz uczciwym wobec jakiejś idei posuniętej do granic fanatyzmu czy ekstremu, wstawać z miejsca i pożegnawszy towarzystwo, w którym się dotychczas tak mile rozmawiało, odrzucić następnie wszystko, co się posiada, wypróżnić kieszenie z czeków i

gotówki i zrezygnować z wszystkiego, co nie prowadzi bezpośrednio do jedynego celu ważnego i godnego poświęcenia mu od tej pory całego życia. Trzeba by jak ten ewangeliczny młodzieniaszek, któremu Chrystus powiedział: <— Pójdź za mną — i który dla niego wyzbył się wszystkiego (może nawet praw i wymagań swej płci? kto to wie?), stać się jakimś fantastycznym kloszardem, który jutro, pojutrze może, przemieni się w oczach słuchających go z uwagą i przejęciem widzów w zwyczajnego błazna, jeśli nie obłudnika wyzbytego wstydu. A cóż dopiero mówić o sumieniu, towarze od dawna wycofanym z obiegu.

I kiedy ja, godząc się na wyrażaną przez oboje moich sąsiadów w kinie opinię o moralności pana Mora vii, wąpiłem co najwyżej o prawach, jakie mieli tamci dwoje, a już szczególnie Hermann B., dó zajmowania takiego stanowiska — na ekranie płynęły kolejne obrazy wyjęte wprost z śródziemnomorskiej tradycji i mitologii, plastyczne aż do przesady, nieproporcjonalnie olbrzymie, a mimo to artystycznie bezbłędne i bardzo piękne. Te na tle błękitu morza oraz nieba nad nim pojawiające się i niknące twarze i popiersia bogów Hellady, między innymi chyba Posejdona. Tak, z wszelką pewnością jego właśnie. Kukły wyłonione z fal antycznego morza, zjawy o naturze na poły boskiej. Prolegomena do Odysei, o nią przecież w filmie między innymi chodziło; zapowiedzi ledwo, ledwo ukazane, natychmiast znikające, jak echa jakichś słów, zakłęk urwanych w połowie zdania, nie wypowiedzianych do końca obietnic czy może grózb.

I wprawna, bo przyuczona w pracy pielęgniarstwie, delikatna, lecz zarazem zdecydowana i mocna dłoń mojej sąsiadki z prawa. Wręcz olimpijski spokój tej pięknej pani, nic, co by mogło komuś patrzącemu z boku nasunąć jakiegokolwiek podejrzenie. Chłodna, nieruchoma maska kobiety bardzo pięknej, lecz całkowicie obojętnej, zimnej, zapatrzonej w to, co się dzieje na ekranie, po którym płynęły oblicza morskich bóstw i na którym świetlisty, głęboki błękit morza graniczył gdzieś na horyzoncie z takim samym lazurem nieba.

Tej lepszej części filmu patronował niezawodnie Godard, reżyser zdolny i nie pozbawiony inwencji; nad tą gorszą zaciążyły wymagania producenta, pana Ponti. No i Godard, aczkolwiek, jak czytałem, niechętnie — poszedł na ustępstwa.

Gdy się bowiem zaangażuje do filmu kogoś takiego jak Brigitte Bardot, należy wykorzystać okazję, to znaczy za wygórowane bez wątpienia honorarium pokazać widzom ubóstwiający seks takie zjawisko, jakim była do niedawna Bardotka. Nie tylko jej niewątpliwy talent, lecz i inne atuty, natury wizualnej, gdzie się da, bez względu na potrzeby scenariuszowe. Ostatecznie — tak rozumował zapewne producent — nie ona jedna ma talent, lecz tylko ona, ta dziewczyna o twarzyczce niewiniątka, rozsiewa wokół siebie tyle sex-appealu. No i Carlo Ponti nakłonił reżysera do ukazania tego i owego, a Godard uległ temu naciskowi, bo co miał robić. Odślonił, co należało, a przede wszystkim to, co u BB uznano za najbardziej sexy. Bez przykrości, muszę przyznać, obejrzałem sobie z bardzo bliska, niemal na wyciągnięcie ręki, w powiększeniu na cały ekran, różowy, gładki i pulchny tyłeczek tego uosobienia kobiecości dziewczęcej, jakim jest mimo upływu lat wciąż jeszcze BB. Półtorej minuty trwał ten pokaz, z zegarkiem w rękę, tak miły oczom mężczyzn na sali. BB posłusznie, stosownie do dawanych jej poleceń, przesuwiała się leniwie to w lewo, to w prawo i w rytmie jej powolnych ruchów przeciągającej się w słońcu kotki poruszały się jej pośladki, ustawiając tak i siak niby dwie połówki brzoskwini.

A wkrótce potem samochodowa kraksa i nieco krwi na asfalcie szosy. I koniec. Wtedy profesor B. oświadczył, że woli Bardotkę z jasnymi włosami niż w czarnej peruce, jaką założyła do filmu Godarda. Czarny kolor koliduje z kolorem jej ciała. Każdy wie, że taki odcień skóry mewają wyłącznie blondynki. Przyznałem mu rację. Pani Helga nie wyraziła w tej sprawie swej opinii. Jest ciemną szatynką, jeśli to naturalny kolor jej włosów.

Wywiad Moravii z Georgiem Mullerem z National Aero- nautics and Space Administration, w skrócie NASA, wypadł nieco dwuznacznie. W relacji Moravii wypowiedź wielkiego bądź co bądź specja od astronautyki nabrała cech jak gdyby przekomarzenia się, przy czym, z woli i intencji pisarza, Muller wyszedł na aroganta, impertynenta i zarozumialca. I, być może, naprawdę tak to wyglądało, gdyż pytania Moravii przez swą ogólnikowość i źle skrywaną wyższość humanisty i artysty nad technikiem, z którym zniża się do rozmowy tylko ze względu na jego specjalność nader modną w tym zwłaszcza, księżycowym roku, zrodziły w końcu istotnie u Mullera, znudzonego w dodatku nie-

ustannymi wywiadami i zmasowanym nań atakiem stada żądnych sensacji dziennikarzy, sprzeciw i przekorę, a także nie ukrywaną narastającą irytację w zetknięciu z natrętem. I tę irytację, rzecz prosta, Moravia skrzętnie odnotował.

Pomyślałem sobie, że niemal wszyscy specjaliści od astronautyki i kosmonautyki to moi rodacy. Bo i Muller, i von Braun. I nie tylko oni, nie wyłącznie ci dwaj.

Jeszcze w czasie wojny przecież, w Peenemiinde, marzyli ci późniejsi fanatycy kosmosu o podróżach na Księżyc

i dalej, maskując swe autentyczne zainteresowania praktycznymi celami wojny. Słynne ówczesne rakiety niosące na Anglię śmierć i zniszczenie, ta cudowna broń mająca zmienić tok wydarzeń, i odwrócić w sposób zdecydowany szanse wojny, rakiety V-1 i V-2, były prekursorską forpocz- tą „Apolla”. Podejrzewam, że już wtedy taki von Braun skierowałby, gdyby to od niego zależało, te próbne mechanizmy nie na Londyn, lecz w stronę srebrnego globu.

Czegoś takiego między wierszami można by się doszukać w artykule drugiego rozmówcy ze specami z Houston, Normana Mailera, w „The. Observer Review”, w którym, to czytam. O ileż ciekawsza ta rozmowa niż tamta, Mora vii! Mailer jest, być może, jak go o to posadzają, narkomanem czy zboczeńcem, lecz jednocześnie i poetą urzeczonym sprawą, o której rozmawia z Braunem. O ile kosmos — przez małe k dla Moravii — w jego wydaniu jest czymś z pogranicza błagi czy mistyfikacji uprawianej przez techników, których on, wielki pisarz i humanista, potrafiłby bez trudu zdemaskować, to Kosmos przez wielkie K w wyobrażeniu Mailera ma charakter niemal że mistyczny, na poły diabelski, na poły anielski. Urzekła go najwyraźniej emocjonalna strona imprezy, gdy tamtego, Moravię, jak gdyby odstręczała. Widowiskowość na pograniczu czarodziejskiego misterium — zdaje się mówić Mailer; niepotrzebna maskarada — krzywi się z niesmakiem Moravia.

Mailer pisze: „Rakieta jest rzeświście oświetlona. Wspaniała gra świateł, tysiące świec, niby iluminacja sceny w staroświeckiej premierze hollywoodzkiego filmu, rewii, jakiejś Ziegfeld-Follies. Rakieta wygląda jak świątynia wypełniona światłem od wewnątrz. Z dala, gdy się ku niej zbliżać, opromienia cały świat niby jakaś białokamienna Madonna w górach pozdrawiająca podróżnych..’

Nie jestem zbyt podatny na tego rodzaju poetyckie zauroczenia, a mimo to, odczytując te słowa, wyobrażając sobie, jak to mogło wyglądać — gdyż to, co oglądaliśmy na filmie i w TV, nie daje właściwego pojęcia — ulegam sile sugestii, z jaką zdaje relację Norman Mailer.

Pisze on w dalszej części wywiadu-sprawozdania:

„Werner von Braun — deus ex machina wielkich rakiet kosmicznych — jest postacią niemal z legendy. Gdyby zagadnąć człowieka z ulicy, kto stoi na czele NASA, to najprawdopodobniej nie będzie wiedział, może nawet nie po

trafi wytłumaczyć znaczenia skrótu NASA. Jeśli go jednak zapytać, kto kieruje Programem Kosmicznym, na pewno nie powie, że niejaki James E. Webb, były administrator NASA od roku 1961 do 1968. Nie będzie również prawdopodobnie wiedział, że jest nim obecnie doktor Thomas O. Paine. Nie, oni takich szczegółów nie znają, wiedzą natomiast z wszelką pewnością, kim jest von Braun. To on jest w ogólnym pojęciu i w powszechnej opinii prawdziwym przywódcą całej ekipy, wynalazcą, filozofem, geniuszem amerykańskiego Programu Kosmicznego. Człowiek owiany legendą. Posiada ten rodzaj blasku, który zazwyczaj określa się jako dar fascynacji. Nikt nie zapominał, że to on właśnie pracował przez dziesięć lat w Niemieckim Ośrodku Badań Rakietowych w Peenemunde, jako drugi po generale Dornbergerze. Że był w jakimś stopniu zbrodniarzem wojennym, tak jak inny uczony, który swą wiedzą doprowadził do katastrofy i hekatomb w Hiroszimie i w Nagasaki i niemal od tej wiedzy oszalał. Von Braun, człowiek fascynujący, przyciąga i jednocześnie odpycha. Miał odczyt przed samym Fuhrerem na temat rakiet dalekiego zasięgu, Fuhrer stał i patrzył bez słowa, gdy wystrzelono dla niego specjalnie raketę z próbnego stanowiska na jakiejś wydmie. Oczekiwano — pisze Mailer — że Hitler, ze swym zamiłowaniem do spraw kosmicznych, do wojen Piekła i Nieba, przyjmie z entuzjazmem niezwykle huk motorów rakietowych. Lecz on nie odezwał się ani słowem aż do obiadu, kiedy powiedział: «To było gwałtowne...» Von Braun stworzył dla NASA wehikuł startowy, który dźwignął w kosmos «Apolla» — sławny, monumentalny, niezrównany, trzystopniowy mechanizm aSaturn V».

Jeżeli idzie o wielkość, statek kosmiczny «Apollo» jest tylko kapeluszem czarownicy na głowie «Saturna V»" — kończy Mailer swą fascynującą relację z odwiedzin na Przylądku Kennedy'ego.

Odłożywszy „Observera” zapaliłem papierosa i łyknąłem whisky. Po głowie chodziły mi przeróżne myśli. Przede wszystkim ta jedna, nieco niepokojąca, aczkolwiek schlebająca dumie narodowej, której ślady w sobie samym nagle i nie bez zażenowania odkryłem: oto możemy dojść bez trudu do przekonania, że to my, Niemcy, otworzyliśmy przed ludzkością drogi gwiazdne.

Odczułem stwierdzenie to w sposób skomplikowany, nieco przewrotny. Bo na wzór tamtej myśli i w ślad za nią

można by posłużyć się szeregiem innych nazwisk z różnanych dziedzin — od Beethovena, Mozarta, Brahmsa, Haydna, Haendla, Bacha, Wagnera i Schuberta — poprzez doktora Kocha i Ehrlicha, i Freuda czy Krafft-Ebinga, a także Billrotha czy Virchowa, aż po Einsteina, obu Mannów, Goethego, Schillera, Heinego i tak dalej, i tak dalej, a dorzucimy do nich Hegla i Kanta, Schopenhauera — tyle nazwisk! takie imiona! — aż po genialnych strategów, tych również do kompletu — Schlieffena czy Moltkego, Clausewitza czy Guderiana i Rommla, i tak dalej, i tak dalej — całe rozdziały z encyklopedii, a przy tym same niepodważalne fakty. Można dostać zawrotu głowy od tej wyliczanki. Czego to dowodzi, do czego prowadzi? Do jakich z piekła rodem rezultatów doprowadziły nas już takie i tym podobne stwierdzenia? Lepiej zatem dać temu spokój.

Bo i ja sam, co tu ukrywać, odczuwam leciutki szmerek w sercu, te resztki narodowej, plemiennej dumy, przyczajone na samym dnie, przycupnięte po wszystkich możliwych akcjach dezynfekcyjnych, odkażających, odszczurzeniach i tak dalej, niedoszczętnie jednak, jak się okazuje, wyplenione mimo twardej zaprawy dzieciństwa i młodości, wychowania, jakie wyniosłem z domu. Mimo odstrasżającego przykładu, całej tej przygody z nazizmem, na przekór niemu i pomimo. Poczucie to rodzi się niepostrzeżenie zrazu, potem już jawne i o pozorach słuszności, dalekie rzekomo, jak najdalsze od nacjonalizmu i szowinizmu — że mimo przynależności do narodu, którego językiem się posługuję i będę aż do śmierci, narodu, który wciąż jeszcze potępia spora część opinii świata za popełnione zbrodnie przeciwko ludzkości i za nie, mimo upływu tylu już lat, dwu całych nowych pokoleń stojących poza jakimikolwiek zarzutami współdziałania, mimo tego ciągle i ciągle jeszcze jakby pod pręgierzem i nieufną obserwacją —• poczułem, zapewne po części przez wrodzony mi zmysł przekory i nawyki adwokackiego rozumowania szukającego w każdej sytuacji wyjścia i jakby drugiego dna, podszewki każdego zagadnienia, z zamiarem wykorzystania dla celów obrony, satysfakcję, że jednak to my, bo i ten Muller, którego przeszłości dokładnie nie znam, i von Braun, papież tej imprezy kosmicznej, pracujący lata całe dla Hitlera i jego potęgi — to moi rodacy i każdy musi się z tym zgodzić, cokolwiek o nas Niemcach myśli.

I że nas, naszą niezaprzeczną wiedzę, systematyczność i rzetelność na pewnych przynajmniej odcinkach działalności stać nie tylko na budowę pieców krematoryjnych i komór gazowych oraz haubic i rakiet typu V-1 i V-2, lecz również na wytyczanie dróg ludzkości w kosmos, w nieskończone możliwości odkrywcze, w to, co nie śniło się nawet najśmielszym fantantom jeszcze pół wieku temu.

I tu natychmiast zastrzeżenia i obawy. Satysfakcja taka bowiem stępnia i tak już istniejące tylko w zaniku poczucie współwiny za zbrodnie, któreśmy popełnili i za które, jak stwierdził autorytatywnie sam Stalin, i ja nawet winienem dzielić karę wraz z całym społeczeństwem. O tym pod grozą nawrotu podejrzanych intencji, zamysłów, apetytów nie może zapomnieć przede wszystkim nasza młodzież, która tamtych spraw nie zna, bo jeszcze wtedy nie żyła. Otóż dumę z osiągnięć niemieckiej myśli technicznej i naukowej określić by można jako środek do stopniowego wymazywania wszelkich plam na przeszłości, śladów wstydlivej wysypki, egzemy. Jako rodzaj sygnału do ogłoszenia powszechnej amnestii po latach potępienia przez cały cywilizowany świat, | to pomimo istnienia i działalności także i wtedy, gdy cała reszta milczała, lub współdziałała tak czy inaczej z nazizmem, tych iluś tam sprawiedliwych w Sodomie, takich jak obaj Mannowie czy Zweigowie, jak Brecht, jak Werffel Fakt, że kwarantannę już odwołano, mógłby podziałać na świadomość młodego pokolenia, które — liczymy na to wciąż, w tym nasza nadzieja — będzie zupełnie inne, zdrowsze, odmienione do cna, do rdzenia, i to nieodwołalnie. Beż piętna Kaina na czole i bez spadku po nim. Bez snów o Wielkości, do której droga wiedzie przez zbrodnię.

Nieraz, dawniej, w czasie "wojny, w obozie i później już, gdy stałem blisko tych spraw w komisji do badania zbrodni wojennych jako tłumacz i rzeczoznawca, poniekąd i jako

świadek, bo obrońca karny, mający wgląd w fakty i ich motywy, staje się chcąc nie chcąc jednocześnie i świadkiem, I teraz nawet, po tylu latach, gdy przeszłość oddaliła się i zbladła — myślałem i myślę jeszcze wciąż o tym, czy nasza wielowiekowa tradycja i ta plejada wielkich mózgów i wielkich serc, i znakomitych rąk do pracy, i solidność aż przysłowiowa musi, chyba przez jakiś tragiczny fatalizm, łączyć się zawsze, na każdym dziejowym zakręcie,

przy byle okazji — z pokusą wiodącą na bezdroża nie- tzscheanizmu, i to wbrew intencji Nietzschego, i krytycznej myśli Moliera van der Brucka — wbrew samemu Molierowi i jego zamiarom, i wylawiać i odcedzać jady nawet z poezji Rilkego i z muzyki Wagnera, a co dopiero mówić

0 Spenglerze, a także o Stefanie George — znów na przekór im samym.

Fatum naszej nieodmiennej psychiki? Chyba nie. A przecież.

A przecież mam przykłady z tak bliska, jak bardziej już nie można — z zachowania i słów mego własnego syna, mimo mojego na niego wpływu, mimo braku, zdawałoby się, kontaktu z ośrodkami zarazy, infekcji, z tradycjami wiel- kogermańskimi, faszystowskimi, mieszczańskimi.

_ ^ Przy jakiejś okazji Ernest wyraził się nader negatywnie

I i z odcieniem wzgardy o naszej tradycji militarnej, szcze- * golnie pruskiej, a już najgorzej o Wehrmachcie, a wtedy mały Hans E., syn naszego ówczesnego sąsiada, stolarza, rzucił się na niego z pięściami, aż siny z gniewu, parszając jak mały kot. Gdy ich nie bez trudu rozdzieliłem, zawstydzony swym wybuchem mały Hans tłumaczył mi się łamiącym się głosem, łykając łzy, że przecież Wehrmacht to była nasza narodowa armia, nie jakieś tam SD czy SS, to zupełnie inna sprawa, tamci to byli naprawdę dranie, lecz już nie Waffen-SS, bo to też armia, tyle że elitarna,

1 że być może do jakiegoś momentu wojny, do któregoś tam stadium, istotnie nie mieliśmy racji, tego on nie jest aż tak pewny, ale potem musieliśmy się bronić, i to Wehrmacht właśnie walczył, czy ja o tym nie wiem, jak to może być, żebym nie wiedział, wszyscy o tym wiedzą przecież, od jakiegoś momentu byliśmy całkowicie czyści i w pełni usprawiedliwieni, tego nie musi mi on tłumaczyć, a Ernest obraził armię, tego nie wolno, on musi to zrozumieć — właśnie Ernest! — iż nikt nie ma prawa pluć na własny naród, na groby bliskich, z całą pewnością bohaterów, poległych w obronie żon, dzieci, rodziców, własnego kraju, domu, kościoła, cmentarza, każdej piędzi ziemi. Na takie -szkalowanie mógłby się zdecydować tylko zdrajca albo — dodał ciszej i po namyśle — komunista.

Wtedy z kolei Ernest rzucił się z pięściami na Hansa. Nie mógł znieść zniesławiania komunistów — dawne to czasy,

Boże drogi! gdy go to jeszcze gniewało, oburzało, w ogóle obchodziło.

Bo oto w parę lat później, gdyśmy razem odbywali podróż do Włoch, Ernest zagadnęła mnie, jak to właściwie jest, jak było możliwe, żeby naród taki jak nasz miał aż tak złych, głupich i zaślepionych polityków, posiadając jednocześnie najlepszą na świecie armię i najzdolniejszych sztabowców.

Zaczął, nie czekając, aż mu odpowiem, recytować jak z nut, sypać nazwiskami, od Fryderyka Wielkiego i Sey- dlitza po Moltkego, a nawet Guderiana i innych już z ostatniej wojny. — No więc? A z polityków — jeden Bismarck i koniec. No?

— Co — no?

— To no, że nie umiem sobie tego w żaden sposób wytłumaczyć. W jednym kierunku — geniusze, w drugim — bałwany. Dlaczego to?

Nie miałem pojęcia, że jest tak obkuty w tych sprawach i że w ogóle interesuje się takimi zagadnieniami jak strategia czy historia wojen. Inna rzecz, że w tym okresie poświęcałem Ernestowi znacznie mniej uwagi i czasu. Byłem zajęty bardziej niż poprzednio, nie tylko pracą zawodową zresztą. Był to okres, trwający mniej więcej rok, gdy zawiązałem romans — tak to należałoby określić — z Zofią F. Niewiele brakowało, a być może skończyłoby się małżeństwem; w ostatniej chwili wszystko się rozchwiało i stało się na pewno dobrze. Ernest, który choć nie zdradził się ani słowem, z niepokojem śledził rozwój wypadków, z ulgą przyjął zniknięcie z horyzontu Sophie F. Wtedy to właśnie wybrałem się z nim wysłużonym, lecz wciąż bez zarzutu Volkswagenem 1300 do Włoch.

Ernest, gdy zauważył, iż odłożywszy gazetę pilnie go słucham, zaczął mi z przejęciem i znanstwem przedmiotu udowadniać, że w pierwszej wojnie światowej potrafiliśmy, mając jako partnerów takie zera militarne jak Austro-Węgry, takie karły jak Bułgaria i Turcja, a także braki surowcowe, walczyć w całkowitym okrążeniu i zwyciężyć przez cztery i pół roku przeciwko prawie całej Europie i Japonii oraz pod koniec Ameryce, a nawet Brazylii, wszyscy byli przeciwko nam — proporcje sił jak jeden do pięciu — a mimo tego, widzi tata, no i co? Gdyby nie nóż w plecy, wbity przez takich jak ty, tato, bylibyśmy mogli walczyć jeszcze

ze dwa lata, a może i wygrać, jeśli w Rosji wszystko poszło wedle naszych planów.

Nie wytrzymałem: — Co za brednie z tym nożem w plecy! Czemu powtarzasz te stare, sprzed lat kłamstwa? To wymysł najgorszych szowinistów, nie rozumiesz?

Zacukał się. Już ani słowa o „hańbie Wersalu”, na co czekałem. Za to uraczył mnie uwagami na temat ostatniej wojny. Od strony militarnej. Że przecież jeszcze gorsza dla nas proporcja sił. Zatem wojna, jej wywołanie w tych warunkach to było szaleństwo. Lecz to nie wina wojskowych, ale wyłącznie polityków. Hitlera i jego ludzi. Tej bandy nazich. Generałowie i cała armia bez wyjątku aż do prostego żołnierza biła się znakomicie, temu nie zaprzeczę, co? Nikt temu nie zaprzeczy. Nawet nasi wrogowie. Niemal sześć lat, i znów — sprzymierzeńcy, poza Japonią — ale ta za późno, gdy było już poniewczasie, i za daleko — reszta najgorsza, jaka mogła być. Makaroniarze, którzy nie potrafili dać sobie rady nawet z głupią Grecją, którzy wiali jak zające w Afryce, dopiero my, wszędzie my, na ratunek — iw Albanii, i w Grecji, i Africa-Korps, Rom- mel — po co powtarzać, sam powinienem wiedzieć, jak to było. Wszystkiemu winien Hitler i partia, SS i SD, no i Gestapo. Zrazili wszystkich. W Rosji, na Ukrainie, na Kauka- zie zdołali swym tępym okrucieństwem zmobilizować ludzi przeciwko nam. A mimo tego byliśmy tuż, tuż zwycięskiego końca. Czy nie tak? Gdyby rok jeszcze, nawet mniej. Z tymi rakietami. Bombą atomową. To my byśmy pierwsi ją rzucili, nie Jankesi...

— I na szczęście stało się inaczej — powiedziałem poważnie, gdy zamilkł.

— Tak. I ja tak myślę. To prawda. Ale ja nie o tym, czy słusznie i czy dobrze. To to ja wiem. Mnie szło o wojsko, o wytrzymałość i jakość niemieckiej armii.

Nie mam pojęcia, jak rozumuje Ernest obecnie. Być może, gdyby mi szczerze wyznał, co myśli na te i inne tematy, zaskoczyłby mnie. Bo wszystkie rozmowy nasze w ostatnich dwu latach były dalekie od możliwości jakiegokolwiek porozumienia się, znalezienia wspólnej platformy. Z jego winy, nie z mojej przecież.

Ale takie rozumowanie, jakie zdradził mi mój własny syn parę lat temu, spotykane w licznych środowiskach i kręgach, podobne jest. do tego jakie panowało powszechnie Eo tamtej wojnie. Poczucie wyższości i jednocześnie krzyw- Wy. Byliśmy lepsi, tylko zdradzono nas. Bylibyśmy zwyciężyli, lecz wbito nam nóż w plecy. Żydzi, komuniści, libe- Brałowie. Tak w kółko. I dziś też: gdybyśmy wytrzymali jeszcze bodaj chpć parę miesięcy, może nawet mniej — pierwsza bomba atomowa spadłaby nie na Hiroszimę i nie zrzuciłby jej amerykański lotnik. Ernest powtórzył mi tylko słowa zasłyszane i powtarzane aż do znudzenia u nas.

Groźne właściwie w tym wszystkim są pozory słuszności wydedukowane niby logicznie i konsekwentnie z faktów istotnych i niezaprzeczalnych, jak na przykład proporcje sił w obu wojnach światowych i jakość armii niemieckiej. Szanse wyprodukowania w 1945 roku pierwszej na świecie rakiety atomowej przez niemieckich uczonych, jakiejś V-3 czy V-4, były chyba bliskie realizacji. I, co najgorsze, ci, co tak twierdzą, mają poniekąd rację.

I jeszcze jedno: w jakim sensie i dla jakich celów mogą być w przyszłości wykorzystane podobne uzdolnienia i kierunek zainteresowań, gdy taki von Braun — a już od dawna nie musimy eksportować naszych uczonych — czy ktoś inny, nowy, nie znany nam jeszcze, ale już gdzieś tam w zaciszu laboratoriów opracowujący jakąś nową, genialną raketę nośną sterowaną Bóg wie jak, nie znam się na tym, ale na pewno równie genialnie i bezbłędnie trafiającą do celu, odda swoją myśl na użytek czyj? Ojczyzny przez duże O, to znaczy czynników czekających na taki właśnie wynalazek, po to, żeby?... Nie bez racji ci, którzy pamiętają, co się stało nie tak znów dawno i co się dziś dzieje w skali zmniejszonej, jakby laboratoryjnej, na półkach doświadczalnych Wietnamu czy Bliskiego Wschodu, obawiają się także, jakby na .kredyt, na wszelki wypadek, również i kosmonautyki.

Moje historyczne upodobania, moja w tej dziedzinie wiedza amatorska podpowiada mi gotowy przykład ewolucji, jakiej może w odpowiednich, korzystnych warunkach ulec narodowy charakter. Wyleczenie się całkowite z amoku i szaleństwa: Szwecja dziś i lat temu trzysta. Czasy Gustawa Adolfa i Karola Gustawa, gdy ten naród, drapieżny i bitny, ubogi na swych skałach, odgrywał w Europie siedemnastowiecznej podobną rolę, jaką w dziewiętnastym i dwudziestym wieku, aż do ostatniej wojny, w Europie Prusy, w Azji zaś Japonia. A Szwecja dzisiejsza? Syta, pokojowa,

wygodna i gospodarna. Wyladowująca w filmach Bergmana, powieściach Strindberga, rzeźbach Vigelanda, obrazach Muncha wraz z Norwegią swe nordyckie frustracje i obsesje, neutralna od czterech pokoleń. Karol XII potrafił wypalić w swych rodakach cały zapas materiałów wybucho- wych. Wypalić czy wysadzić w powietrze, a może raczej ugasić w potokach krwi na polach Narwy i Połtawy. Zużyć cały pozostający zapas zbójeckiej energii.

Nieco zbliżona sytuacja we Francji. Napoleon również, jak mi się zdaje, wyczerpał zasoby naturalne energii Francuzów. Wszystkie siły żywotne Francji. Prawie wszystkie, bo jednak stan wewnętrznego napięcia i gotowości w jakiejś mierze przetrwał u naszych sąsiadów spoza Renu przez cały wiek dziewiętnasty, aż po rok 1914. Siła rozpędu, bezwładu, a także mechanizm złudzeń działających automatycznie. Sedan. Tak, gdyby nie Sedan i nie rewia pruskich zwycięzców pod Łukiem Tryumfalnym, gdyby nie Alzacja i Lotaryngia, wieczna rana nie dająca się zagoić, Francuzi nie ginęliby z takim zapałem i z taką determinacją na polach Flandrii i w fortach Vei'dun. Istniała przecież jednak wciąż podsycana żądza odwetu, głęboko zraniona narodowa duma nie pozwalająca spocząć, chęć walki podtrzymywana przez polityków, poetów i kobiety. Co prawda, ktoś powiedział nader słusznie, iż Marsylianka była ostatnim, łabędzim śpiewem młodości francuskiej. Mimo to sądzę, że o Francji, jeszcze nawet tej dzisiejszej, Francji de Gaulle'a, nie sposób powiedzieć, iż została już całkowicie wyleczona z rojeń o wielkości i dominacji. Generał de Gaulle wciąż przypomina Francuzom, że ich dziejowa misja nie jest skończona, że ich posłannictwo nakazuje zachowanie stałej gotowości i tak dalej, i tak dalej. Nawet w Kanadzie udało mu się zmobilizować nastroje nacjonalistyczne, a co dopiero w metropolii, gdzie ludziom zdawało się, że ostatnia wojna była grobem francuskiej dumy. A także — sprawa bardziej materialna i dotkliwa — przez utratę imperium kolonialnego, stając się krajem kontynentalnym drugiej kategorii, Francja została skazana na statystowanie Amerykanom, co gorsza, również Anglikom, a może i nam. Teraz słuchają bohatera Ruchu Oporu, ci, którzy po klęsce 1940 utracili wolę walki, i ci młodzi też, którzy masowo odmawiali udziału w brudnych wojnach — i tamtej, wietnamskiej, i tej bliższej sercu, szło przecież o trzy departamenty Francji, a nie o kolonie — algierskiej, wszyscy oni odzyskali dobre samopoczucie, utracone, zdawałoby się, nieodwołalnie w dniach wiosny 1940.

Zostawałaby zatem Szwecja jako przykład pozytywny, bo tam od Połtawy mniej więcej — jakby ręką odjął. Problem ewolucji pojęć, zwrotu o sto osiemdziesiąt stopni, jakiejś rezygnacji będącej zarazem mądrą dojrzałością, świadomością sił i celu, i to w ciągu życia zaledwie, najwyżej dwu pokoleń. A przecież jeszcze dwieście lat temu siedzieli mocno na obu brzegach Bałtyku, w Szczecinie i na całym zachodnim Pomorzu. Tak, w perspektywie historycznej to niedługo — niedawno, jedna doba, może nieco więcej, może i mniej,

Tyle nauki z lektur historycznych. Odłożyłem „Observe- ra” i zapaliłem papierosa. Wywiad Mailera, odwrotnie niż Moravii, nastroił mnie — powiedziałbym — niemal marzy- cielsko. Demonizm, który tak mocno zaciążył na wyobraźni autora Żywych i martwych, podziałał również i na kogoś takiego jak ja, niełatwo ulegającego jakimkolwiek nastrojom. Mailer potrafi bowiem podsuwać czytelnikom nader sugestywne obrazy i porównania. Przystraja Hitlera w strój maga i czarodzieja wielkiego mitu, który wielu cudzoziemcom wydaje się nieodłączną cechą rasy germańskiej. Widzą nawet w bawarskim piwoszu, poczciwcu w zamszowej kurtce i w kapeluszu z szerokim, rozłożystym pędzlem — utajonego, potencjalnego demona na usługach jakiegoś Wota- na czy innego boga Walhalli. W takim obrazie nawet najbardziej przeciętnego Niemca, zdemonizowanego do karykaturalnych rozmiarów, tkwi jak zawsze jakaś odrobina prawdy — ci bowiem brzuchaci piwosze, przybrawszy mundur i kask, potrafili okazać się groźni dla najwaleczniej- szych armii całego świata. Z drugiej strony, w tym obrazie Niemca przycajonego nad bombą piwa można

odczytać nieco podziwu, a także sporo strachu, jak również dziwacznej fascynacji, jaką wzbudzamy w wielu nawet niby to bystrych obserwatorach z zewnątrz.

Być może, że ta fascynacja sięga aż legendy Fausta. Nie wiadomo bowiem, czy recepty faustyzmu stały się całkowicie anachroniczne, czy też coś się z nich mimo wszystko przechowało, jak bodaj — w pojęciu Mailera — w postaci doktora Brauna, wyraźnego ucznia doktora Fausta. I nie jestem pewien, czy z tego rozumienia nas, Niemców, obda-

atrakcyjną i przyciągającą opinią, należy cieszyć się, czy smucić. Wnioski byłyby na pewno dwuznaczne.

Pod wpływem lektury stanęły mi jak żywe przed oczami płowe wydmy z okolic Peenemunde. Przecież świetnie je znałem. Jako wyrostek któregoś lata biegałem po nich w gronie kolegów z tej samej młodzieżowej czerwonej organizacji. Kontrastowy, jaskrawy obraz. Zestawienie dwu barw: granatu, niemal czerni morza i piasku koloru sierści lwa czy włosów bardzo jasnej, płowej blondynki w typie nordyckim. Sypkie piaskowe zasy jak na Saharze, w których zapadały się głęboko nasze nogi. Zmywane falami gładkie i twarde połączenie chłodnego, wystygłego piasku dzikiej plaży i tuż obok rozgrzany do tego stopnia, iż parzył stopy, biały pył wydmy, zwiewanej podmuchami wiatru, porośniętej z rzadka ostrą, kaleczącą, twardą trawą. I połamane, suche badyle wydające ciągły, nieustanny szelest, jakby świst, melodia usypiająca, dzi.ałająca niby narkotyk. A także szum Bałtyku, to narastający, to cichnący w płaskich, pianistych falach ledwie, ledwie liżących plażę. Niemieckie morze — Ostsee. Takie wewnętrzne, niemieckie jezioro, jakie wymarzyli sobie nasi nacjonaści spod znaku aryjskiej swastyki. Od Kanału Kilońskiego — aż po Zatokę Botnicką i Kronstadt. Przecież to wyraźnie niemiecka nazwa. Jak Sankt Petersburg, Oranienburg i inne pragermańskie grody na Wschodzie — Psków, Ryga, Mitawa, Dyne- burg, Kowno, Lublin czy Kraków. Zakładane na prawie magdeburskim, zasiedlane przez mieszczan i rękodzielników z Frankonii i Turynгии, Szwabii i Hesji, którzy fundowali w nich gotyckie kościoły pod wezwaniem Najświętszej Marii Panny, tyle tych Marienkirche, wysokich, strzelistych,, kamiennych i ceglanych, krzyżackich i tych, które budowali Kawalerowie Mieczowi, całe pobraże Ostsee, niemieckiego wewnętrznego morza, słonego jeziora. Miecze i krzyże, pan- cerze i ołtarze. Drogi wyrąbywane w puszczy, mury warownych zamków, mogiły. Urok legendy. Cała mitologia.

Wymieniając chórem i z drwiącym patosem te i tym podobne absurdalne przechwałki, przedrzeźniając je, my, chłopcy podówczas z Roter Frontkämpfer Bund, kandydaci dopiero, narybek wprowadzany do akcji w którymś tam stadium mobilizacji, zbyt młodzi jeszcze, by dostąpić zaszczytu zwyczajnego członkostwa, lecz już wystarczająco dojrzały i świadomi, by wziąć czynny udział w walce, skandowaliśmy z pasją nasze internacjonalistyczne hasła, dep- cąc rpo zwiewanych powiewami wiatru wydmach Peene- munde.

Jakbym słyszał jeszcze starszego kolegę, właściwie instruktora z Antify — Antifaschistische Aktion — w huku morza głuszącego jego wykrzykiwane z zapalem słowa komendy, i nasz ówczesny entuzjazm. Wola walki, pewność zwycięstwa. Który to mógł być rok? Dwudziesty ósmy czy raczej dziewiąty? Tak, chyba 1929. Latem tego właśnie roku zostałem wytypowany przez nasz hufiec na przeszkolenie i kolonie wakacyjne w Bad Doberan koło Rostocku, a następnie do Peenemunde.

Tego naszego ówczesnego kierownika grupy, Horsta, pochodzącego z Rostocku, miałem okazję spotkać po paru latach na korytarzu gmachu Gestapo w Kiel, gdy mnie uwięziono po raz pierwszy, lecz jeszcze wówczas udało mi się wywinąć. Minęliśmy się, udając, rzecz jasna, że się nie znamy. Nie wiem, co się z nim później stało.

Biegając po wydmach Peenemunde, może tych samych, na których stał Hitler oglądający próby rakiety V-2, byłem pełen optymizmu. Wydawało mi się, że jesteśmy na tyle silni — nie tylko my z młodzieżowych organizacji komunistycznych, z RFB, lecz i co najmniej trzy czwarte narodu niemieckiego, niezwyciężony proletariatus i małorolne chłopstwo — iż pohamujemy, a potem zgniemy ten jeszcze wtedy, zdawałoby się, historyczny wyskok, jakim były początki ruchu nazich. Horst, nasz instruktor, pamiętam, był odmiennego zdania. Nie dziwota — starszy, doświadczeńszy od nas, piętnastolatek..

Wyczuwam pewne analogie — niestety, nie niosą optymizmu — między stanem, w jakim znalazła się Republika Weimarska w latach dwudziestych i na początku trzydziestych, a dzisiejszą Ameryką. Tak przynajmniej wygląda to w relacji Mailera. Miasta i uniwersytety opanowane przez zbiorową, kolektywną — jak pisze — otchłań ponurych barbarzyńców: rewolucjonistów dla samej rewolucji, z samej pasji niszczenia dla niszczenia, burzenia i podpalania, nihi- listów i anarchistów, przez wielojęzyczną mniejszość kudłatej szumowiny, hippisów, seksmaniaków, narkomanów i liberalnych dziwaków o umysłowości obłąkanych proroków. Więc ten zalew Ameryki przez groźbę anarchii, zdolnej

w

wciągnąć w przepaść cały kraj, rodzi w klasach średnich marzenia o zaprowadzeniu ładu. Porządek zaś to nieuchronne skrępowanie, ujednoczenie, a także ograniczenie pragnień. Niejeden szukał po omacku ujścia, jakiejś drogi, korytarza prowadzącego do czegoś niezbyt wyraźnie określonego, a wiadomo, że brak precyzji stanowi w jakimś stadium rozwojowym siłę, nie słabość. No i Mailer stawia pytanie, jak mi się zdaje, niebłaha: „Czy podbój przestrzeni kosmicznej jest potencjalnym rydwanem szatana, jedyną i szeroką aleją wiodącą do jakiegoś nowego totalizmu?”

Pytanie patetyczne, teatralne i efekciarskie, lecz samo meritum, jądro zagadnienia, jest z pewnością istotne. Nigdy by mi taka myśl nie przyszła do głowy, żeby w kosmo- nautyce doszukiwać się bodaj cienia groźby totalitaryzmu. Są to spekulacje myślowe typowego intelektualisty. Osobiście odżegnuję się od przynależności do tej formacji społecznej — bo to jest mimo wszystko odrębna formacja — w tym przynajmniej pojęciu, jakie jej nadają encyklopedie i popularne podręczniki. Jest to zapewne rezultat świadomości — u mnie bardzo mocno utrwalonej — bankructwa tej właśnie warstwy społecznej w obliczu zadań, jakich chciała się podjąć, - a które ją przerosły, jak się okazało. Nie potrafili niczemu zapobiec, ci mądrzy w piśmie, gromadzący cały zapas odziedziczonej i nabytej wiedzy, obudowanej przykładami takimi i innymi, historycznymi i socjalnymi, a nawet biologicznymi. Fala zdarzeń, których nie umieli przewidzieć, a jeśli nawet, to je po swojemu zlekceważyli lub na odwrót, zdemobilizowali do tego stopnia, że się sami zdemobilizowali całkowicie, zmiotła ich ze szczętem, zgarnęła na margines historii lat 1930—1945, wyniszczając fizycznie jednych, wchłaniając i korumpując drugich. Gdzie się podzieli szacowni docenci w okularach, autorzy kompendiów i Lehrbuchów w iluś tam tomach, uczonych dysertacji naukowych, Handbuchów i załączników do nich, liczących tysiące stron petitem i nonparelem, te mole biblioteczne z Heidelbergu i Getyngi, Tybingi i Kolonii, Monachium i Fryburga, kiedy wybiła godzina N — Wielkiego Niebezpieczeństwa, i tuż za nią, następna — Z — Ostatecznego Zagrożenia? Wypadki zaskoczyły ich w laboratoriach, na katedrach, gdy wykładali teorie Platona i Kanta, Schopenhauera i Hegla, bardziej bezradnych i żalonych niż ktokolwiek inny. Spotykałem niektórych z nich w celi więziennej, a także w obozach. Stali się, pośmiewiskiem obozowej elity, kryminalistów dyktujących prawa tego odrębnego, zamkniętego świata, jakim stały się K-Zety, lecz nie tylko ich, również pewnych moich towarzyszy komunistów, którzy w ostatnich dwu latach wojny, wyrugowawszy zielone trójkąty kryminalistów z najważniejszych stanowisk w hierarchii obozowej, sami je zajęli. Stąd zapewne moja niechęć — to może za silne słowo — raczej brak zaufania i lekceważenie intelektualisty klerka, tej elity odgrywającej z pozoru tak dużą rolę, szczególnie u nas, w Niemczech, gdzie tytuł doktora i privatdocenta ma jeszcze dotąd wartość liczącą się na giełdzie snobizmów. W gruncie rzeczy, gdyby znów coś zaszło, ci uczeni w mowie byliby bezsilni i znów z łatwością daliby się przekupić, zastraszyć, zeszmacić. Każdy robotnik jako tako obyty z zagadnieniami dnia, z aktualną sytuacją w kraju i na świecie, w prostych słowach potrafi wyrazić o ileż słuszniejszy, trafniejszy sąd niż obkuty w filozofii, socjologii i historii typowy intelektualista. Świadomość klasowa pozwoli mu uniknąć omyłek.

Z wypowiedzi Mailera dowiedziałem się między innymi, iż Braun w wywiadzie udzielonym prasie oświadczył, odpowiadając na pytanie któregoś z dziennikarzy, iż wedle niego znaczenie wysłania pierwszych ludzi na Księżyc jest równie doniosłe jak ten moment w ewolucji gatunków, kiedy zwierzęta wodne wypełzyły stadami na stały suchy ląd. Słowa te — relacjonuje Mailer, siedzący w pierwszym rzędzie zaproszonych — wywołały huczny entuzjazm na sali. Pisze: „Von Braun spędził życie z obsesją dotarcia do planet. Nie idzie tylko o Księżyc. Księżyc to tylko pierwszy etap, rodzaj wprawy, półka doświadczalnego

przed lotami znacznie dalszymi. Braunowi zależy na wyjściu poza obręb ziemi, i to uzyskał, ale to mało. Bezpośrednią refleksją moją była myśl, iż człowiek, który ma takie plany i takie marzenia, jest wysłannikiem Pana Boga albo Mefista. W istocie von Braun, ze swą przystojną, zniszczoną nieco twarzą, z masywnym podbródkiem i długim, mocno zarysowanym nosem, jest podobny do Goethego, Ale zastanówmy się nad jednym: pęd do eksplorowania wszechświata wydaje się nie- ledwie suponować wolę bożą lub też — boży gniew. Gdy nasze nieprawości sięgną dna, mogłaby to być mieszanina obu tych uczuć. O czym śni Herr von Braun?" — kończy swój reportaż Norman Mailer.

Sporo w tym wszystkim mistyki, lecz i cennych myśli. Utkwiła mi w pamięci na przykład taka: „Cywilizacja udusi człowieka, jeżeli nie dostarczy się mu nowego samolotu. Czy przestrzeń była jego amputowaną kończyną, jego filozofią w kosmosie?”

Filozofia kosmonautyki? Już taka powstaje na naszych oczach. Kalkulacje i teorie snute przez różnego pokroju i politycznego zabarwienia filozofów i mistyfikatorów obrastają niby bluszcz rezultaty i - przewidywania techników. Mailer demonizuje Brauna; Braun nie jest ani demonem, ani Mefistem, ani nowym doktorem Faustem. Ale stając się jednym z nich w oczach i w słowach tych, którym na tym zależy, zaczyna wyrażać już inną jakość. I to może stać się niebezpieczne, a już jest niepokojące.

Jesteśmy niezbyt daleko — idąc tą drogą skojarzeń, a także, być może, pragnień — Epoki Ducha Świętego, Złotego Wieku, Trzeciego Królestwa Joachima de Fiore, poprzednika Biedaczyny Bożego, Franciszka z Asyżu. Przekroczywszy jakiś mało zauważalny stopień czy próg — wedle Brauna taki, jak wyjście płazów na ląd, lub jak utrzymują inni, podobny do odkrycia Ameryki przez Kolumba — łatwo zablądzić w strefy o aurze iście faustycznej. Grząskie to tereny. Nie jest wszak wykluczone, że doktor Faust, gdyby żył w naszej epoce, byłby uczonym w dziedzinie, którą uprawiają von Braun i Muller w laboratoriach w Houston. Jakaż bowiem wiedza mogłaby mu być bliższa?

Na bunt wczesnego średniowiecza wynaleziono remedium natury dostosowanej do ówczesnych pojęć, najbardziej słuszne, bo praktyczne: nie mogąc nasycić wszystkich głodnych i zarazem nie mając zamiaru zmniejszyć rosnącej różnicy dochodów i poziomu życia, w obronie sytych wyniesiono na piedestał ubóstwo jako najwyższy ideał moralny. Błogosławieni ubodzy. Nie tylko ci ubodzy duchem, ci też, lecz tu chodziło wyraźnie o znaczenie jak najbardziej dosłowne. A że głosili owe hasła ludzie możni, szczególnie bogacący się i sięgający po władzę świecką wyższy kler z papieżem na czele — metody takie miały nieco cyniczny wdzięk, patrząc z dalekiej perspektywy; z poziomu naszej wiedzy dzisiejszej o tym wszystkim, co wydarzyło się później. Stali pod ochroną wiary, dostojności, uświęcenia, a zaporą taka miała wówczas jeszcze charakter niemal wieczysty, jakiejś pozaziemskiej decyzji.

Res sacra miser. Te relikty, w nazwach, w sztuce, w poglądach skrajnych, na poły anachronicznych, na poły wychodzących w przyszłość, sekt, grup, młodzieżowych komun. Relikty średniowiecza, gdy już dziś od dawna głodnym nie da się wmówić, iż czeka ich w zamian za cierpliwość tutaj, na ziemi, w życiu doczesnym, raj tam, po śmierci. Że zatem należy raczej współczuć bogaczom. No bo „łatwiej przejść wielbłądowi przez ucho igielne...”

W średniowieczu jednak tego rodzaju metody dawały bez wątpienia rezultaty o znaczeniu politycznym. Skoro sam Chrystus zalecał wyrzeczenie się wszelkich dóbr doczesnych, ci najniezwyklejsi, z samego dna, są na pewno najbliżsi raj. To oni pierwsi wejdą do Królestwa Niebieskiego. Bogactwa tej ziemi — pokusą szatana. Szatan na szczycie góry kuszący samego Chrystusa. Jakże szczęśliwy jesteś ty, nędzarzu, któremu klucz niebieski osobiście szeroko uchylił bramy raj, zatraskując je przed potężnym bogaczem dźwigającym wór złota aż na tamten świat. Szeroka brama zbawienia dla niego, przekłętą, zwięzi się do wymiarów igielnego ucha. Znam piękny wiersz Christiana Morgensterna na ten temat. Eksperyment z wielbłądem, igłą i bogaczem.

Zakony żebracze dwunastego, trzynastego i czternastego stulecia służyły takim właśnie celom, aczkolwiek nie dlatego tylko powołali je do życia szlachetni i naiwni mistycy. W rozumieniu natomiast rządzących światem — opium dla mas, jak by się wyrażono językiem naszej epoki. Rozdzielane ubogim nieświadomie, w dobrej wierze, przez ascetycznych kaznodziejów. Piorunochron ściągający w mistyczne ujścia gromadzącą się niebezpiecznie energię buntu.

Minęła epoka Boga Ojca i Starego Testamentu, weszliśmy w erę Syna Bożego i musimy współdzwigać jego krzyż, przekleństwo pierworodnego grzechu. Lecz oto już ci, co widzą najodleglejszą przyszłość dzięki swym oczom o mocy przebijania ciemności — wróżą zbliżanie się ery Złotego Wieku, czyli epoki trzeciej — Ducha Świętego. Mistyczna gołębica czy gołąb — istota bezpłciowa, gdyż mieści w sobie również przekreślenie klątwy grzechu Adama i grzechu Ewy, i grzechu węża oraz symbolu jabłka, a wiadomo, jaki to był ten grzech, przez który utraciliśmy Raj Pierwszy: nieczystość. Idziemy z trudem dźwigając brze-

„My« odsz

i nai mąd spra Mój

mię kłątwy pierworodnej. Piąta, mistyczna ewangelia Joachima de Fiore. Obietnica Raju Wtórego.

Czy podobną rolę, tylko w innym wymiarze, naukowo- -techniczno-mistycznym, miałyby dziś spełnić astronauty- ^Jj ka? Obietnica odkrycia i opanowania, poddania naszym prawom i interesom przestrzeni pozaziemskich — jakaś no- JJJ^I wa Ameryka nowego Kolumba — von Brauna, jakieś no-

g^i we Trzecie — nie, już które z rzędu? — dziesiąte czy setne

2 tj królestwo, imperium kolonialne człowieka, mieszkańca co-

to^ raz bardziej zatłoczonej ziemi, pokazane mu — milionom lu-

prz dzi — na ekranach telewizorów, namacalnie i konkretnie,

Mo na wyciągnięcie ręki — masz i trzymaj! Niezmierzone, nie-

lec znane, a spodziewane, obmacywane na odległość stadem ob-

gd? liczeń, wycelowanych w niebo teleskopów, okrążane i do-

zer zorowane rojem sputników latających jak pszczoły nad

uzs kwiatem kosmicznej obietnicy, coraz bardziej realnej —

mi! gwiazdozbiory, planety, mgławice! Dla tych pięciu, wnet

nic już dziesięciu, stu miliardów mieszkańców zatłoczonej, za-

wj deptanej, zatrutej wyziewami, nie do wytrzymania wprost

w Starej Ziemi, której surowce nikną, studnie wysychają, a lu-

z*⁽ dzie spychają się wzajemnie, gniołą, depcą, kłębiąc się w nie

ustannej, bezmyślnej kopulacji, pieniąc jak szczury: dla nich wszystkich —ziemia obiecana!

Nowa Ziemia.

Opium, jeszcze jedno, gdy dotychczasowe środki, jak religia, lecz także mistyczne wyczekiwanie na nastanie ery sprawiedliwości i równych praw na tej ziemi, lecz także obietnice wszystkich bez wyjątku ideologii, stają się z roku na rok, z pokolenia na pokolenie produktem coraz mniej j,

z; atrakcyjnym, coraz bardziej znoszonym, przestarzałym, zle-

d żałym w magazynach ludzkiej wyobraźni, stępiełej na bodź-

| ce wiary i nadziei, w archiwach nieuleczalnej głupoty, na-

i iwności i cierpliwego gnuśnego oczekiwania na cud. Na-

dzieje na co? Jakie? Na jakiego Godota?

Gdy tak sobie niewesoło przemyślałem na tematy, zdawałoby się, odległe, jak

kosmonautyka, nieco inaczej przedstawiły mi się bunty i mego Ernesta, i jego kompanów.

Naiwność? Zapewne, lecz czy można żyć bez jakichkolwiek złudzeń, nie stając się

jednocześnie sytym ssakiem wężącym jedynie pełne koryto? Nie zazdrozczę zbytnio, mimo

trosk, jakich nie oszczędza mi Ernest, tym spośród moich znajomych, których dzieci

zmierzają bezkolizyjnie bezbłędnie określoną i świadomą drogą do kariery, mnożenia dóbr,

ch ta w G

O;

dobrobytu do którejś tam potęgi. Wolę już moje kłopoty. Nie byłbym szczęśliwym ojcem

syna — playboya epoki postprzemysłowej ani młodego rycerza przemysłu i zwiększonego

obrotu pieniężnego. Nie widzę go mimo wszystko jako wygładzonego, zawsze modnie, lecz z

umiarem i smakiem odzianego, wygolonego na gładko, wyzbytego jakiegokolwiek myśli o

buncie i niezgodzie na zastane, jako mego in spe następcy w kancelarii i w trybunale, a może

w jakimś banku, kantorze, biurze podróży, w magazynie towarowym. Nie! Podjął studia

medyczne, które niestety na razie przerwał, i ten przyszły zawód, lekarza, uważałem bodaj za

jedyny, jakiego bym mu życzył. Chociaż — gdy sobie pomyślę, ilu lekarzy zbija wielką

fortunę w sposób niegodny tego zawodu, dorabiając się kroci na ludzkim nieszczęściu... Są i tacy, mój Boże, czemużby ich miało nie być!

Myślałem sobie: istnieje łączność elementów materialnych — mitu, religii czy jakiegokolwiek ideologii, wszystko jedno jakiej, nie idzie o jej ocenę, lecz samą istotę wierzenia w coś, służenia czemuś w życiu — z metafizycznymi. Sama strona materialna bowiem to zbytnia proza i bez dodatku usprawiedliwienia, uzasadnienia jej jakimś wyższym celem krępuje i wstydzi; sama zaś metafizyka mogła wystarczyć, a i to nie wszystkim, w średniowieczu, dziś już tylko chyba buddyjskim mnichom. Cóż bowiem warta wiara, która nie zbawia, a tylko obiecuje zbawienie?

W wypadku kosmonautyki — wręcz fascynujący mariaż najwyższego poziomu techniki z fantazją i metafizyką. Baśń ożeniona z mechaniką precyzyjną, cybernetyką i światem komputerów. Komputer uskrzydłony! Co za niebywała okazja dla mistyfikatorów wszelkiego gatunku! Co za pretekst do zakasania rękawów dla znawców i amatorów techniki zarządzania duszami podopiecznych! Jak we wczesnym średniowieczu, dno piekieł i śpiewy dochodzące z czyśćca, tysiące wzniesionych w niebo oczu i ramion — de profundis! — jako motyw i jako wartość propagandowa. Średniowiecze bliższe jest naszej epoki niż zeszłego stulecia.

Jak się tu zatem dziwić, że niektóre grupy młodzieżowe — a młodzież w jakimś okresie swego życia jest mimo pozorów najmniej cyniczna w ludzkim zespole — przybierają nawet zewnętrzne formy cywilizacyjne epok dawno minionych. Ubiór, maniery, ideały, maksymalizm żądań i środ

ków. Nie strzyżone i nigdy nie czesane brody, nie myte ciała jakby pustelników i pielgrzymujących mnichów, z trecenta, niechlujne łąchy, bosa noga, byle jaki pokarm, no i narkotyki — dziś produkt chemiczny, gdy nie wystarczy samo słowo, gest, ruchy opętanczego, w mistyczne upojenie wprowadzającego tańca, rytmu — wszystko przypomina do, złudzenia wielkie ruchy społeczne sprzed stuleci. Wspomnieć cześni biczownicy — krający sobie ciało żyłkami. II

Już nie wystarczy stan upojenia, w jaki wprowadzano się samym widokiem otwartego na oścież nieba i korowodów świętych — tym LSD średniowiecza, haszyszem epoki, w której żył i głosił swą ewangelię przyszłości samotny opat z klasztoru cystersów w Corazzo, Joachim od Kwiatów, de Fiore, Gioacchino da Fiore, a także gdy przemawiał anielskim głosem do ptaków i ryb, gładził wilka i karmił skowronki — brat Poverello z Asyżu.

Zainteresował mnie swego czasu Joachim, ten dziwny mistyk, mnich sprzed blisko ośmiuset lat. Sięgnąłem do encyklopedii, a gdy mi ta nie wystarczyła — do literatury fachowej i w końcu do źródeł. Podróżując po Włoszech trafiłem do Corazzo, gdzie założył około roku 1196 kongregację „de Fiore”, która znikła następnie w okolicznościach, jakich nie udało mi się ustalić. Byłem też w Cosenzy, gdzie brat Joachim przyszedł na świat około roku 1130. Żadna data nie jest pewna ani żadne słowo, wypowiedziane, a następnie spisane czy to przez samego opata z Corazzo, czy też za pośrednictwem jego uczni i naśladowców, nie da się stwierdzić z jakąkolwiek naukową ścisłością. Legendy i apokryfy, oto na co został skazany przez wrogów ten wyklęty mistyk, który nam obiecał solennie zbliżanie się Złotego Wieku na ziemi.

Nauki pobożnego i uczonego mnicha zostały — to są fakty, bodaj jedyne źródło wiedzy o szczegółach życia i prawd przez niego głoszonych — potępione przez Watykan. Założony przez niego zakon, a raczej było to chyba coś w rodzaju na pół świeckiego stowarzyszenia, został rozwiązany, a bracia rozpedzeni na cztery strony świata. Zwano ich joachimitami od imienia założyciela. Wydaje się dziś, sądząc po tych resztkach autentyku, jakie się przechowały, iż głosił on hasła bliskie surowego komunizmu, tyle że wydedukowane z Ewangelii. Wyrzeczenie się jakiegokolwiek własności prywatnej, jako że — po pierwsze, świat

został stworzony przez Stwórcę dla wszystkich, a nie dla poszczególnych jednostek, a granicę trudno ustalić, gdzie się zaczyna i gdzie się kończy wspólnota; po drugie — wszelka własność wynikła z grzechu Adama i samo pojęcie posiadania weszło do ludzkiej świadomości równocześnie z pojęciem grzechu pierworodnego, będąc jakby jego przedłużeniem w kierunku spraw materialnych i jego bezpośrednią konsekwencją; po trzecie: pierwszy człowiek. Adam, wygnany z raju, został tym samym zmuszony do podjęcia pracy, z czego jego potomstwo wysnuło logiczny wniosek: konieczność pracy i prawa do pracy. Stąd w konsekwencji plony pracy i ich podział, inaczej własność osobista. Jest to grzech śmiertelny.

Już święty Augustyn ograniczał prawo do własności, nie zwalczając jej jednak całkowicie, gdy słynny Tomasz z Akwinu poszedł dalej w tym kierunku, zgodnie zresztą z duchem czasu, inaczej mówiąc — ze stabilizacją ekonomiczną i poważnym zróżnicowaniem dochodów i zamożności. Uznał w pełni prawo do bogactwa i bogacenia się, uważając jedynie, że bogaczowi wolno zachować dla siebie tylko to, co mu niezbędne, całą zaś resztą winien się dzielić z biedniejszymi od siebie. Natomiast święty Bazyli, wskutek zapewne presji, jaką zaczęły wywierać warstwy upośledzone i coraz bardziej spychane w dół do roli na poły niewolniczej, z pasją fanatyka oskarżał bogacących się.

Działalność Joachima de Fiore, wedle dziełka pióra Pawła Alphandery, które przeczytałem, zrazu nie była niczym wyróżniającym się, a on sam wydawał się zwykłym reformatorem w skali wówczas, w tamtych latach, przeciętnej; moc podobnych braciszków,

kaznodziejów, spowiedników i innych nawiedzonych pasją poprawy i walki z wynaturzeniem bogactwa z jednej strony, zaś acedią, rodzajem ówczesnej frustracji i stressów, z drugiej, krążyło po całej Europie. System podziału dziejów ludzkości, wedle Joachima, polegał na trójcy: w pierwszej epoce, cielesnej, Ojca, czyli Stworzyciela, dominowała rodzina albo rodowy klan; drugą, cielesno-duchową, zatem wyższego szczebla, gdyż wyzwalającą się powoli z więzów ciała, epoką Syna, rządzą duchowni, kapłani i ofiarnicy; w trzeciej, najwyższego szczebla, oczyszczonej ze stygmatów grzechu pierwszych rodziców, wolnej od jądów węża, epoce Ducha Mi-

ta Pi;

odw[^]m stycznego, będą przewodzić stowarzyszenia zakonne swo-

1ⁿ | bodnie łączące się w duchowe bractwa.

mą Po śmierci Joachima w 1202 roku jego dwaj uczniowie, i

spi Franciszek i Dominik, stworzyli dwa niezależne bractwa.

Mv; Później nastąpiły dalsze, kolejne podziały. Bracia Hubert

i Romanus u dominikanów jęli się posługiwać frazeologią zaczerpniętą z prac brata Joachima poprzez teksty, jakie Pj do nich trafiły, zniekształcone przez kopistów, w dużej czę-

H ści już niewątpliwe apokryfy; u franciszkanów natomiast

szerzył nauki joachimickie — herezję joachimicką, jak o- rzekły władze duchowne najwyższego szczebla — niejaki fra jd' Bonaventura, który odkrył w pismach i postaci świętego

le Franciszka Anielskiego, nosiciela tajemnic Szóstej Pieczęci

g< z ksiąg Apokalipsy, wyraźny wpływ metod rozumowania

ii opata z Corazzo, który już nie żył od wielu, wielu lat

us i o którym wykłęta pamięć zaginęła, prócz u niewielkiej

® grupki wiernych tajnych wyznawców.

ⁿ To w szeregach braci obserwantów, po rozłamie w za

konie franciszkańskim pod wrażeniem bulli papieża Innocentego IV — tych najbardziej wiernych duchowi pokory i regule pełnego ubóstwa i wyrzeczenia się — odradzać się zaczęła nauka Joachima de Fiore. W roku 1254 — jak się

2 dowiedziałem — brat Jan z Parmy, wybrany generałem ej zakonu, uznał publicznie słusność doktryny brata Joachi- t ma, a głosił swoje słowa w paryskim uniwersytecie, i z tej. y przyczyny wynikła długotrwała i zawzięta walka, w któ- (rej najważniejszą rolę odegrał Wilhelm od Świętej Miłości, < autor określenia, iż nowym zbawicielem epoki jest święty

Franciszek od Szóstej Pieczęci, zaś prostującym drogi przed nim — jego Janem Chrzcicielem — Joachim de Fiore. Papież Klemens V wydzielił wyznawców tej doktryny z zakonu franciszkańskiego, o mniej krańcowej regule, w odrębny związek pod wezwaniem również świętego Franciszka wprawdzie, lecz zwący się Braćmi. Mniejszymi, w dowód pokory i wyrzeczeń. Potępiwszy przed laty samego Joachima, Kościół rzymski doszedł do wniosku, jak się zdaje, że nauka polegająca na szerzeniu kultu wyrzeczenia, pokory i posłuszeństwa wobec losu, inaczej woli bożej, ma niebłahe znaczenie polityczne, z którego szkoda by było rezygnować.

{(alabria. Skalisty, urzekający krajobraz, niemal średniowieczny w stronach bardziej odległych od jezdnych dróg

i miejskich ośrodków. Autostrada del Sole nie zdołała jeszcze zmienić wiele w tym- krajobrazie. Przeciwnie — skanalizowała sobą nieprzerwany potok samochodów zmierzających tutaj od strony Neapolu i Sorrento ku mitologicznej siostrze Charybdy — Scyllii, by dalej przeprowić się na Sycylię. I ja jechałem tą właśnie drogą, z tym, że zrobiłem kilka wypadów na boki.

Zostawiając mego VW pod jakąś oberżą, to gdzie indziej pod jakimś drzewem, byle w cieniu, włączyłem się pieszo po górskich bezdrożach, białych od żaru i posuchy, zakurzony wapiennym pyłem. Wspinałem się po owczych ścieżkach aż na jakiś bezdrzewny szczyt, rumowisko kamieni, skuszony tym, co widziałem wysoko nad sobą, znad samego morza, na tle błękitu nieba, co wydawało się zamkiem, a okazywało się czasami opuszczonym romańskim kościółkiem, a innym razem zaledwie kapliczką z figurą jakiegoś świętego.

Zdyszany opierałem drżącą z wysiłku dłoń o zmyty deszczami, porowaty jak pumeks, beznosy i bezręki fragment naiwnej rzeźby, przedstawiającej w obecnym, szczątkowym stanie ni to jakiegoś anonimowego świątka, ni to fauna czy sylena. Upłynęły wieki od chwili, kiedy ktoś wyrzeźbił go, wyniósł na szczyt tego wzgórza, widocznego znad samego morza, z poziomu dzisiejszej autostrady del Sole, sam czy na grzbiecie muła lub osła, a może dostał się tu na plecach pobożnego pielgrzyma, ofiarodawcy-fundatora lub tylko ubogiego wyrobnika kamieniarza wynajętego przez kogoś możnego dla podziękowania za coś. Komu i kiedy?

Ulegałem wyraźnemu i łatwemu urzeczeniu tamtym krajobrazem, śladami kultur nawarstwiających się tutaj, jak i na Sycylii, jedna na drugą, wieków tak już odległych, iż wręcz nieprawdopodobnych i nie do wyobrażenia w swym kształcie, gdzie jednak istniała już ta góra i tamto w dole morze, i niezawodnie byli tu jacyś ludzie, którzy tak jak ja, może tymi samymi zagubionymi wśród kamieni ścieżkami, wspinali się aż na sam wierzchołek.

Wracałem w dół, zbiegałem zakosami aż tam, gdzie stał Zaparkowany mój Volkswagen ze znakiem „D” — Niemcy, a takich najwięcej wszędzie spotykałem prócz miejscowych, włoskich na drogach mojej wędrówki, sadowiłem się w wozie, który ustawiłem w cieniu oliwki, lecz oto cień przesunął się, gdy ja wspinałem się na górę, i teraz wnętrze wo

zu zionęło żarem niby piec, w którym męczono świętych młodzianków.

Joachim de Fiore nie pozostawił po sobie żadnych autentycznych prac. Wszystko, co dziś znamy, to kopie, wyciągi, wreszcie apokryfy. Pełno niewątpliwych przeróbek, uzupełnień, przeinaczeń celowych i przypadkowych, dobudówek poczynionych przez tych czy owych, na użytek własny, przeciwko komuś. Komentarz do Apokalipsy, a także jakiś psalterz na poły heretycki, przypisany Joachimowi, to bez wątpienia apokryfy znacznie późniejsze. No i to najważniejsze dzieło przechowane do naszych dni w kilkunastu różniących się między sobą wersjach czy kopiach — Wprowadzenie do Ewangelii Wieczystej.

Uczeni specjaliści utrzymują, iż autorem tego właśnie, najważniejszego dzieła nie jest sam Joachim, lecz wulgary- zator i kopista, niejaki Gerardo da Borgo San Dominico, z zakonu dominikanów. Zatem dzieło, znacznie późniejsze, może co najwyżej napisane na podstawie jakichś nie znanych nam, gdyż zaginionych, autentycznych notatek czy odnotowanych przez kogoś kazań opata z Corazzo. Nie ma jednak ustalonego zdania co do tego. I nie jest to, myślę, aż tak ważne. Ważny jest niewątpliwie wpływ, jaki teorie głoszone przez Joachima de Fiore wywarły na mentalność kilku kolejnych generacji, stając się wskazówką, inicjacją, zbiorem tez i normatywów, kodeksem dla powstających jak grzyby po deszczu licznych i wpływowych zakonów żebraczych oraz w ogóle dla idei ograniczenia, ascezy i ubóstwa jako jedynej drogi wiodącej do tronu Przedwiecznego Sędziego.

Konfiskata dzieł Joachima została ogłoszona bullą papieską w roku 1255. Brat i zarazem przeor, Joachim od Kwiatów, zmarł, jak wiemy, w roku 1202. Nawet po śmierci był niebezpieczny. Idea, że ubóstwo nie jest klątwą bożą, lecz dowodem łaski, że bogactwo jest przekleństwem oraz ciężarem, była wprawdzie politycznie wygodna, lecz zarazem i niebezpieczna. Powiedziano: bez przesady, bez przesady. Oceniono idee i wytyczne Joachima z punktu widzenia teologicznych dogmatów oraz interesów Kościoła. Uznano go za niebezpiecznego rewolucjonistę. Rezygnacja z dóbr materialnych mogła z łatwością przerodzić się w zabór mienia należącego do instytucji kościelnych jak i poszczególnych duchownych^ biskupów, a także zamożniejszych klasztorów.

W jednej z bibliotek znalazłem egzemplarz dzieła Joachima de Fiore wydany w roku 1519 w Wenecji pod tytułem Concordia novi et veteria testamentu Dzieło pisane po łacinie, trudne w odbiorze, niemal niezrozumiałe dla nie- specjalistów. Obejrzałem cenny, szacowny egzemplarz, prze- kartkowałem i odłożyłem. W katalogu bibliotecznym znalazłem inne jeszcze dzieło mistrza z Corazzo, mianowicie wydane nie tak dawno, bo w roku 1930, pod tytułem Tracta- tus super IV Euangelia, a także następne — Liber Figura- rum, inaczej — Ecclesia spiritualis. Są to, jak zdołałem się przekonać z pobieżnej lektury, teksty zupełnie już dzisiaj dla nefachowców, niebiblistów, nieczytelne.

Niektóre zakony żebracze, powstałe spontanicznie pod wpływem pism i działalności Joachima de Fiore — przypominają do złudzenia dzisiejsze komuny hippisów. Historia, jak się okazuje, nie zna zbyt wielu nowości, premiery bywają nader rzadkie. Wszystko się powtarza, w nieco tylko zmienionej formie z racji odmiennych warunków. Idea pozostaje zazwyczaj podobna, niemal taka sama, metody jej zastosowania również.

Jestem przekonany, czytając zarzuty stawiane w wieku trzynastym przez władze kościelne rozmnożonym w tym czasie zakonom żebraczym, iż tak charakterystyczne, szczególnie dla hippisów amerykańskich włączających się całymi gromadami po kraju i zakładających krótkotrwałe wspólnoty, czyli komuny, stosunki seksualne całkowicie swobodne, anarchiczne i stanowiące jeden z ważnych czynników protestu przeciw tak zwanemu establishmentowi, istniały i u tamtych, sprzed siedmiu wieków. Co pewien czas któryś z biskupów potępiał praktyki w tej materii panujące wśród na poły laickich, nie poddanych żadnej kościelnej dyscyplinie mnichów. Byli to, jak sądzę, ówczesni hippisi. Wiemy skądinąd, że mistyka religijna zazwyczaj łączy się ze swobodą seksualną, jeśli nie

wręcz z ekscesami w tej dziedzinie. Podobnie ma się sprawa z mistyką natury politycznej. Emocja, jaka ogarnia podnieconych hasłami politycznymi czy religijnymi — a czasami na jedno to wychodzi i ma identyczny niemal charakter z punktu widzenia i psychologii, i socjologii — znajduje wyładowanie w ekstazie seksualnej, w orgiach, zwłaszcza uprawianych zbiorowo jakby w narkotycznym upojeniu. Narkotyki odgrywają w tym dzisiaj niemałą rolę, niegdyś — w średniowieczu — musiały

istnieć podobne bodźce, o których jednak nic lub niewiele wiemy.

Wygląda to różnie w zależności od epoki i panującej w niej konwencji. Stan podniecenia i ekscytacji wywołany lub podtrzymywany sztucznymi środkami, huczne mityngi skrajnych politycznie ugrupowań w środowiskach młodzieżowych fanatyków oraz towarzyszących im kobiet będących w nieustannym podnieceniu i hysterii — wszystko to prowadzi nieuchronnie do eksplozji napięć w kilku jednocześnie pokrewnych i sąsiadujących, splątanych z sobą, dziedzinach: mistyczno-religijnej, ekstremistycznopolitycznej, głównie anarchistycznej, oraz seksualnej. Zna takie sprzężone zestawy zjawisk średniowiecze, znała Wielka Rewolucja Francuska, znają czasy dzisiejsze. Jesteśmy bardzo daleko od racjonalizmu, jaki cechował wiek ubiegły, dziewiętnasty, nawet mimo romantyzmu jego pierwszej połowy i ówczesnych skłonności do nauk hermetycznych.

Dowiedziałem się na przykład, że w Kolonii, w roku 1300, grupa mężczyzn oraz kobiet założyła związek nazywający się Domem Dobrowolnego Ubóstwa i pod przewodnictwem jakiegoś braciszka zakonnego, nie wiadomo, z jakiego zgromadzenia, zwanego „bratem Janem”, istniała pewien czas, stosując wśród swych członków zasadę całkowitego wyrzeczenia się jakiegokolwiek własności prywatnej, nawet najbardziej osobistych przedmiotów użytkowych. Istniała również wspólnota w dziedzinie płciowej. Gminę tę, rzecz jasna, potępiły władze kościelne oraz świeckie, tak że towarzystwo to, prześladowane i ścigane, rozpięchło się po całej niemal Nadrenii, a następnie znikło.

W roku 1534 anabaptyści opanowali, jak wiadomo, na jakiś czas władzę w mieście Munster. Podobny nieco program, co ich poprzedników z Kolonii, podobna też reakcja władz. Tym razem potępił również niebezpiecznych maksymalistów i anarchistów sam Marcin Luter. Czym się to skończyło, wszyscy wiemy z historii naszego kraju.

Można by, jak się okazuje, szukając analogii i kontynuacji przerywanej falami prześladowań zajadłych, okrutnych i krwawych, ciągle powtarzających się na nowo przy byle okazji, sięgnąć poprzez pewne ugrupowania z okresu tak wojny trzydziestoletniej, na marginesie buntów chłopskich, jak i z czasów terroru we Francji, aż do dzisiejszych paryskich kloszardów i beatników. Ich prorocy w latach pięćdziesiątych, tacy jak Ginsberg czy Ferlinghetti, a także Gary Snyder, ich na poły kontestatorska, na poły romantyczno-włóczęgowska, villonowska ideologia też nawiązywała pośrednio do starej jak świat tradycji buntów, protestów i nie sprecyzowanej wyraźnie negacji, bliskiej anarchii i nihilizmu. Tradycja ta z reguły dąży do pełnej, niczym nie ograniczonej, totalnej swobody we wszystkich bez wyjątku dziedzinach życia, stosując, co charakterystyczne, nietolerancję wobec wszystkiego, co odmienne, żądając całkowitej tolerancji dla siebie.

Ruchy hippisowskie zagrażają różnym świętościom cywilizacji i mentalności mieszczańskiej czy też drobnomieszczańskiej, to fakt. Mniej w praktyce groźne są dla ustroju kapitalistycznego, który jest jeszcze za mocny, by mogły nim wstrząsnąć tego rodzaju ruchy społeczne nie sięgające zbyt głęboko w masy. Stąd — z tego podwójnego spojrzenia na zagadnienia młodzieżowej kontestacji — często dwuznaczność i oceny, i środków stosowanych przez władze. Niezdecydowanie i dość szeroka tolerancja zwłaszcza w dziedzinie obyczajowej. Dopiero zagrożenie bezpośrednie, jakim były masowe protesty przeciw wojnie w Wietnamie, propaganda dezercji z armii interwencyjnej i wezwanie do biernego oporu, zmusiły władze amerykańskie do ostrzejszego kursu. Równocześnie wykorzystano niewątpliwe ekscesy pewnych jednostek i całych ugrupowań, jak przykładowo Manson i jego otoczenie, by zmobilizować opinię mieszczańską do walki przeciwko ruchom młodzieżowym, nawet tym najbardziej biernym i nieagresywnym. Że się to władzom udało, mamy wiele dowodów, nie tylko w Stanach Zjednoczonych, także w roku 1968 we Francji.

Jednocześnie nie sposób nie zgodzić się z twierdzeniem, iż ruchy kontestatorskie młodzieży są bezpośrednim produktem kultury mieszczańskiej, jej jak gdyby odwrotnością przez przekorę, poczucie przesyty, zagubienia i braku perspektyw rozwojowych, pogardę dla poprzedniej generacji doprowadzoną tu i ówdzie aż do nienawiści. Ale wszystko dzieje się w tej samej rodzinie, we wnętrzu ustroju, w środowisku burżuazji. Przypomina to w pewnej mierze faszyzm, głoszący zrazu hasła pozornie lewicowe, skrajnie radykalne, ruch społeczny zrodzony również w łonie mieszczaństwa. Przed laty wywołał go czy tylko ułatwił jego rozprzestrzenianie się wielki kryzys światowy i bezrobocie

z nim związane, brak perspektyw. Dziś jest to kryzys raczej w dziedzinie ustrojowej, politycznej, przy narastaniu stressów i frustracji, więc również zrodzony z braku perspektyw w epoce gwałtownego rozwoju gospodarczego. P*"*łtuchy młodzieżowe zwalczają purytański — z pozoru, [rzecz jasna, purytański, a w istocie obłudny i zakłamany — styl życia, podstawowy etos burżuazji. Wyrzekają się również pracy zorganizowanej, jako podstawy dobrobytu, lecz nie tylko, bo jednocześnie cnoty. Cnotą jest własność, posiadanie dowodem błogosławieństwa — bożego dla wierzących, moralnego — dla niewierzących.

Przy okazji przeczytałem artykuł Warrena Hinckle w miesięczniku „Ramparts”. Pisze on między innymi, że „hippisi zrzucają z siebie odpowiedzialność za to, co się dzieje w społeczeństwie, przez «niebranie w tym udziału», przez bierność jako protest. Nie podejmują żadnej pozytywnej akcji, pozostawiając wolną rękę różnym «aniołom piekieł»”. Przykłady: słynny gang motocyklowy — granatowe kurtki z wyhaftowanymi na nich emblematami i napisem „Helis Angels of California”, białe kaski, często opatrzone swastyką. W ogóle powstała moda na symbole i odznaki hitlerowskie, szczególnie formacji SS. Jest to w pojęciu niektórych kon- testatorów rodzajem prowokacji, wyzwania rzuconego społeczeństwu, a także swoiście, na poły mistycznie pojętym zawarciem paktu z siłami nieczystymi, z diabłem. Satanizm w ogóle jest modny. „Inne grupy — pisze Hinckle — to «Kaci», «Smoki Wschodu» i wiele innych, mnożących się i znikających, niektóre złożone wyłącznie z murzyńskich ekstremistów i czarnych rasistów.”

Thompson, autor książki o „Aniołach Piekieł”, napisał, że to nie wybryk natury, lecz kontynuacja tradycji Dzikiego Zachodu, rodzaj współczesnego westernu, spotwornia- go do stanu nie znanego dawniej, jego młodzieżowe przedłużenie, tylko bardziej jednoznaczne i konsekwentne. Na pół obłąkani pod wpływem łatwo dostępnych narkotyków, sfrustrowani młodzi ulegają nihilistycznym aktywistom, kapłanom swoistego kultu całkowitej negacji, a także kombinatorom i prowokatorom nasyłanym z różnych stron.

U nas po nagłym wzniesieniu się fali zaczęła ona szybko opadać, przybierając zresztą od samego początku formy nieporównanie łagodniejsze i mniej skrajne niż w Ameryce, a nawet we Francji. W miarę opadania fali obserwujemy

jemy pozostałości najbardziej trwałych formacji i jednocześnie najmniej politycznie zaangażowanych, takich jak różne sekty wzorowane na filozofach Wschodu, szczególnie buddyzmie, dzieci-kwiaty i sekta Zen, a także mistycy nawiązujący do lamaizmu w jego okultystycznych, mistycznych odmianach.

Miałem okazję widzieć scenę obrzędową takiej właśnie sekty młodzieżowej, na którą wprowadził mnie mój znajomy, lekarz. Odbywało się to w starym pustym hangarze na peryferiach Frankfurtu, a może była to nieczynna i na poły zdewastowana hala sportowa, tego dokładnie nie wiem. Młodzież, która się tam zebrała, należała podobno do jednej z sekt buddyjskich w pomieszeniu zresztą z chrystianizmem wzorowanym na jego najwcześniejszej erze, katakumb i prześladowań. Stałem w kącie za szczątkami jakiejś wielkiej paki, uprzedzony przez mego przyjaciela, by nie odzywać się i nie zwracać na siebie uwagi. Byliśmy tolerowani wprawdzie, lecz tylko do pewnych granic, jako zasadniczo niemiłe widziani natręci.

Młodzi ludzie w białych szatach do ziemi, z czaszkami ogolonymi do gołej skóry, z gałązkami w rękach, obwieszani różnymi ozdobami, wisiorami zrobionymi z drutu, takimi, jakie sprzedają hippisi na ulicach w centrum miasta. Również ich dziewczyny, bez wyjątku ładne i bardzo zgrabne, podobno, jak mnie objaśnił mój cicerone, studentki, głównie z akademii malarskiej, lecz, co dziwne, także z medycyny, a nawet tak mało ezoterycznych specjalności jak chemia czy matematyka. Było ich sporo. One też, podobnie jak chłopcy,

ogolone, z głowami przypominającymi kurze jaja. I — rzecz dziwna — mimo tego nie straciły bynajmniej atrakcyjności, ich uroda na tym nie ucierpiała, nabierając tylko jakiegoś perwersyjnego odcienia. To samo wrażenie odniósł, do czego się przyznał później, i mój przyjaciel. Dla niego to nie nowina, przychodzi tu często, jest jakby nadwornym lekarzem tej grupy młodzieżowej i korzysta z praw wyjątkowych. Dla mnie natomiast wszystko, co oglądałem, było zaskoczeniem. Widywałem wprawdzie przedtem na ulicy tak właśnie ogolone dziewczyny manifestujące przeciw wojnie wietnamskiej czy czemuś takiemu pod starą operą frankfurcką, a bodaj też w Monachium, lecz zawsze z daleka i nie miałem czasu zastanawiać się tak jak teraz nad gatunkiem wrażeń, jakie odnoszę.

^Odśpiewano chóralnie jakieś pieśni, potem zaczęły się [tańce i rodzaj pantomimy mającej cechy religijnego obrzędu. Było to zrazu monotonne kołysanie się przy akompaniamencie melodeklamacji. Widziałem oczy tych młodych adeptów nowej wiary, czy może starej, której aktualność docenili i przyjęli za swoją, rozszerzone źrenice, zapewne pod wpływem jakichś narkotyków, powolne ruchy rąk, ramiona uniesione nad głową, palce dłoni ułożone w jakiś, zapewne podpatrzony na rzeźbach czy może fotografiach, hieratyczny sposób. Podobno któryś z nauczycieli, guru czy przywódca tej grupy, odbył podróż do Katmandu, skąd przywiózł błogosławieństwo tamtejszych mnichów i gdzie uzyskał pierwszy stopień wtajemniczenia, jako też zezwolenie na kierowanie ceremoniałem i modłami.

Odgrywał w tym gronie taką właśnie rolę kapłana czy nauczyciela. Brodacz — gdy inni byli starannie wygoleni — z długimi kudłatymi włosami opadającymi w niechlujnych lokach aż na plecy, nagi do pasa, z ledwie wygojonymi bliznami, wystąpił ku przodowi i wtedy dziewczyna stojąca niedaleko mnie, wysoka i bardzo zgrabna w swej długiej, luźnej szacie przepasanej czerwonym sznurem, stanęła na czworakach, a tamten, który ją wybrał i przywołał skinieniem palca, usiadł na niej jak na koniu czy psie, unosząc w górę ramię z gałązką palmy; i ona zaczęła powoli posuwać się wokoło, pełznąć na kolanach i łokciach, dźwigając go na sobie. Przesunęli się obok mnie całkiem blisko, tak że miałem okazję przyjrzeć się dokładnie tej parze. Jej gładko ogolona głowa, lśniąca, jakby była pokryta lakierem, ledwo widoczna spomiędzy muskularnych ud brodacza ściskającego ją za uszy i w ten sposób kierującego jej ruchami, wydłużone szminką aż do skroni wąskie oczy dziewczyny, pomalowane na zielono powieki, lakierowane na czarno, niebywale długie, zapewne sztuczne rzęsy oraz wytatuowany czy naklejony jakiś znak między brwiami nad nosem. Wlekli się powoli dokoła posypanej piaskiem areny otoczonej kręgiem młodych wyznawców i współuczestników ceremonii, klaszczących i deklamujących coś w rodzaju litanii czy songu w takt rytmicznego kołysania się w miejscu. Nie udało mi się uchwycić sensu tej melodeklamacji. Ktoś obok mnie wyjaśnił: Chrystus jadący na grzbiecie oślicy. Babbi wjeżdżający do miasta, Odnowiciel — w duchu nauk i przykazań Sakja-Muni. Budda, czyli Przebudzony. Oko Umysłu.

Patrzyłem urzeczony rytmem melodii, powtarzanymi monotonicznie wersetami, widokiem tamtej pary, która powoli okrążyła arenę, pozostawiając na piasku za sobą wyżłobione ślady wlokących się nie bez trudu kolan i łokci dziewczyny oraz stóp jadącego na niej na oklep nie domytego kudłacza, którego wargi, ledwo widoczne wśród brody i wąsów, poruszały się w szepcie.

Ten ktoś, kto już raz nas objaśnił, powiedział teraz: — Niedziela Palmowa. Powinni okrążyć arenę trzykrotnie, jeśli dziewczyna nie osłabnie. Ale ona jest silna. Wytrzyma.

Gdy się uroczystość skończyła, a trwała ponad dwie godziny, i gdyśmy wyszli z hali, zadaliśmy sobie z przyjacielem pytanie niemal równocześnie:

— Co ty o tym sądzisz? -7— Co ja sądzę? A ty?

I okazało się, że myślimy obaj o jednym: o tym, że dziewczyny, mimo ogolonych, łysych głów, czaszek gładkich i lśniących w świetle wysoko zawieszonych kulistych lamp, wywarły na nas wrażenie jednoznacznie ekscytujące. Zaczęliśmy się więc obaj śmiać, stwierdziwszy naszą całkowitą zgodność.

— Ciekawe, mało znane dotychczas afrodisiacum — powiedział mój przyjaciel lekarz. Potem zgodziliśmy się, że nasza reakcja była chyba charakterystyczna dla stosunku starszej generacji do młodzieżowych kontestatorów bez względu na ich rodzaj, to znaczy na ogół lekceważąca, i że jest to jedna z przyczyn wzajemnego niezrozumienia i narastającego rozdzwiewku, pogłębiającej się przepaści między pokoleniami rodziców i dzieci. Nie sposób pominąć tego problemu w ocenie trudnej bez wątpienia sytuacji i naszej w niej roli.

Oto przykład: zamiast zastanowić się, jaki sens mają tego rodzaju mistyczne ceremonie młodzieży bądź co bądź inteligentnej, studenckiej i z czego się zrodziły, a także jak nam starszym wypada się do nich ustosunkować, obaj jednak, on lekarz, ja prawnik, stwierdziliśmy, że widok dziewczyn, a już szczególnie tej niosącej na sobie z wysiłkiem tęgiego, obrosłego jak mała faceta udającego Chrystusa w Niedzielę Palmową, po prostu podniecił nas w sposób,

do którego przyznaliśmy się z zażenowaniem, chcąc zachować pozory szczerości.

Więc traćiliśmy się porozumiewawczo łokciami, obracając wszystko w żart. Potem jednak, mimo wszystko, podjęliśmy temat godny dwu dorosłych i poważnych mężczyzn, to znaczy samo meritum zagadnienia. Doszliśmy do wniosku, identycznie rozumując, iż należałoby wpierw postawić takie pytanie: czy mianowicie zbyt natrętnie narzucana ideowość — obojętnie, lewicowa czy prawicowa — gdy w jakiejś chwili przekroczy „barierę dźwięku” i wytrzymałości, nie powoduje z czasem całkowitego zubożenia, odporności na bodźce i — jako odtrutki na masowe środki informacji i propagandy — rodzenia się prądów irracjonalnych, głównie mistycznych? Superracjonalizm przez przekorę kieruje myśli w stronę irracjonalizmu, i to byłoby zrozumiałe dla psychologa. Hasło, iż natura jest całkowicie poznawalna, każe niektórym chronić się w miejsca dotychczas nie spenetrowane, podobnie jak zaszczute zwierzęta uciekają do pieczar i jam. Natura bowiem istotnie jest być może w końcowym rezultacie i dalekiej perspektywie poznawalna, lecz coraz częściej, w praktyce za naszego życia, wyłącznie dla grupy specjalistów i poza możliwością jakiegokolwiek kontroli społecznej. Natręctwo cywilizacji, jej wyłącznie praktyczne, namacalne i materialne cele i towarzysząca im polityka usługowa, dla jej usprawiedliwienia i uwznioślenia pod pozorami ideologii społecznej, wspólnego dobra czy tylko czystej wiedzy, wciskający się zewsząd wrzask i hałas, drzwiami i oknami, za dnia i nawet w nocy, wszędzie, tak iż nie ma możliwości schronienia się w ciszę, ucieczki przed nawoływaniem, zachęcaniem, nakłanianiem, przekonywaniem, że należy tak, a nie inaczej, że jesteśmy wszyscy potrzebni, nawet niezbędni, bo tworzymy masę, jedno jej ziarenko, więc winniśmy zaakceptować i przyklasnąć, o to idzie, to jest naturą i celem gry! — wszystko służy czemuś, nic nie jest bezinteresowne! — więc marzymy o jakimś azylu i ta myśl jest zrozumiała. A że nie ma już wysp, na których można by się odosobnić, uniezależnić i schronić, ucieczka kieruje się do wewnątrz. Wyłączenie się psychiczne jest namiastką ucieczki w przestrzeń. Surogatem pojęcia wolności. Człowiek, przy rozszczepieniu się wiedzy na tysiące specjalizacji, zagubiony w tym wszystkim, bezradny, bez szans, by cokolwiek pojąć, by mieć najmniejszy bodaj wpływ na to, jak będą wykorzystane osiągnięcia nauk tajemnych, których klucze spoczywają w rękach wielkich magów wiedzy ścisłej i w sejfach strzeżonych przez władzę, która kieruje pracą uczonych, szuka bezpiecznego schronienia. My wszyscy zepchnięci na bok z wyślizganych, opętanych autostrad, w ogłuszającym wrzasku megafonów i błyskach fleszów, neonów, reklam, słów, melodii, gdyż i one potrafią oślepić i błyszczeć. Jaka na to rada? — zapytaliśmy obaj, ja i doktor L., mój towarzysz na młodzieżowym nabożeństwie? mityngu? zebraniu? Jak je inaczej, po ludzku, nazwać, jak określić?

My, dorośli, stare wygi, potrafimy jakoś urządzić się, potrafimy jak ryby krażyć w tym oceanie w pościgu za żerem — ale jak mają reagować młodzi? Niektórzy zwłaszcza, ci myślący, ci wrażliwi, ci wartościowi? Jedni zatykają uszy i oczy i w amoku uciekają, biegnąc na oślep przed siebie, by rozbić głowę o najbliższy mur lub pień drzewa za pierwszym zakrętem; inni buntują się czynnie, pragnąc przede wszystkim zburzyć co się da, opluć w napadzie wzdury wszystko dokoła, zaczynając od własnych rodziców uznanych za współników przysiężenia, za zdrajców, tchórzów i obłudników; jeszcze inni wpadają w sidła narkomanii, zubożenia, osłupienia i szaleństwa. Obłąd staje się ich wyspą ocalenia. Mój towarzysz, lekarz, opowiedział mi o takich przypadkach; należy do niewielu dorosłych, którym udało się zyskać nieco zaufania młodych zbuntowanych i zagubionych w tym chaosie, jaki tworzy nasze dziś.

Już u siebie, po powrocie do Koblencji, pomyślałem sobie — a obraz tamtej gromady w pustym hangarze czy zdefektowanej hali sportowej nie opuszczał mnie przez dłuższy czas,

tak widać mocno wrył mi się w pamięć — przyszło mi na myśl, gdy się rozbierałem w łazience na Bornweg, jak by się zachowała jedna z tych ogolonych do gołej skóry dziewczyn, ta na przykład, której przypadła rola oślicy niosącej na swych barkach proroka, gdybym ją zagadnął o cel życia, prosząc w pokorze o udzielenie braterskiej czy też siostrzanej pomocy. — Jakiej? — spytałaby. — Idzie o rzecz wielkiej wagi: o kierunek drogi — odparłbym z całą powagą. Czy, milcząc wzgardliwie, odwróciłaby się ode mnie i odeszła pozostawiając mnie zawsty

dzonogo? Czy też mimo możliwości podstępu z mojej strony, a nawet odrazy do mnie jako natręta, przystanąłaby wyprostowana w swej białej powłóczystej szacie niby antyczna kapłanka, z pękiem breloków czy też medalików nanizanych na drut, kołyszących się jej u szyi i podzwaniających na przegubach rąk, i zajrzawszy mi w oczy — żrenicami ptaka w oczy czworonoga, zwykłego przyziemnego ssaka, może nawet wieprza czy człekokształtnej małpy — powiedziałyby jak inna, jej rówieśnica, którą spotkałem wcześniej nieco, na jakiejś łące obok autostrady, gdy wyszedłszy z wozu zabłądziłem między namioty' i szalały zamieszkałe przez wędrującą komunę hippisów.:— Bracie, jakże mi cię żal, bowiem żyjesz w nieustannym lęku. Oczyść się z chmur zalegających twój umysł. Rozegnaj je. A jeśli poszukujesz prawdy, pójdz z nami. Porzuć wszystko, co dotychczas ukochałeś — pieniądze, te przede wszystkim, lecz nie tylko one, bo i dotychczasowe gusta, smaki, zapachy i melodie, cały twój dawny świat, wszystko aż do ostatniego ziarenka wygarnij z siebie i odrzuć, wymiń dawne jednym szerokim stąpnięciem, gestem przekroczenia i odejścia, a zarazem przyjścia, wejścia ze starego w nowe, na drogę, którą my kroczymy, tą, o którą pytasz, nieszczęsny przyjacielu, zagubiony człowieku spotkany na szosie, bracie płazie, bracie gadzie, kandydacie — może już jutro, kto wie? — na ptaka, pterodaktyla czy flaminga.

Spomiędzy bud, niezdarnie skleconych z blach, różnych opakowań, kartonu i mas plastycznych, resztek samochodowych karoserii służących jako sypialnie, szalasów i podartych namiotów, które jako zużyte i nieprzydatne zrzucano na zbiorowisko śmieci — wyszedł hippis na poły nagi, podobny do pustelnika czy żebrzącego mnicha z jakiegoś fresku trecenta, i podszedł do mnie rozmawiającego z dziewczyną hippiską. Podniósł na mnie zaczerwienione, ogromne, natchnione oczy fanatyka i położył mi rękę na ramieniu.

Nie wiedząc, co powiedzieć, spytałem jego i zarazem stojącej obok hippiski z opadającymi do pasa kruczymi włosami, okrytej nimi jakby czarnym płaszczem:

— Co tu robicie? •— i już w trakcie pytania zrozumiałem, że jest ono właściwie głupie, a także nietaktowne i zadane bez nadziei na jakąkolwiek rozsądną odpowiedź.

Odparł, wciąż trzymając dłoń na moim ramieniu i patrząc mi nieprzerwanie w oczy, poważnie i dojmująco:

— Czekamy.

— Na co? — zdziwiłem się, mimo iż moje zdziwienie również nie miało przecież w tej sytuacji żadnego sensu.

— Na to, co nadejdzie — powiedział z powagą i smutkiem, lecz i pewnością w głosie. A po chwili, gdy nie poruszyłem się, nie odchodząc patrzyłem w bok, jakby zawstydzony, dodał:

— Na nowe życie, a może śmierć. A ty na nic nie czekasz, człowieku?

Odszedłem do samochodu, myśląc, że oto ci ludzie, chłopcy i dziewczęta — a widziałem również dzieci, które przyszły na świat w tej komunie, pełzające po trawie pod namiotami nagie niemowlęta — przybyli tu skądś i udadzą się dokądś, w jakimś kierunku, który oni tylko znają, że trawi ich gorączka i pragnienie wyrzeczeń, by osiągnąć tym kosztem swój wymarzony raj. Absolut obejmujący całość i jedność człowieka, jego ciała i domniemanej duszy, gdy ktoś wierzy w jej istnienie. Zataczający coraz szersze kręgi aż ku nieznanym, nie określonym bliżej horyzontom.

I jeszcze — już jadąc autostradą, gdy tamci, obozujący na polanie, znikli mi z oczu (ostatnia ta wysoka dziewczyna z rozpuszczonymi czarnymi włosami, które rozwijał i motał wiatr, stojąca boso na brzegu szosy) — pomyślałem, że joachimici głosili nagie, niczym nie osłonięte, nie oswojone żadnymi komentarzami i głosami łagodzącymi surowość zasad, słowa wyjęte z Ewangelii: „Błogosławieni, którzy cierpią prześladowanie dla sprawiedliwości, albowiem ich jest Królestwo Niebieskie.”

I jeszcze taka scena przypominała mi się w drodze: gdy byłem we Włoszech, rok przed tym spotkaniem hippisów obozujących przy autostradzie Frankfurt nad Menem— — Mannheim—Karlsruhe, przeżyłem pod wpływem lektury, zwiedzanych po drodze muzeów, klasztorów i świątyń wrażenie wzrokowe, które było niemal halucynacją. Siedząc w cieniu jakiegoś muru na szczycie nagiego wzgórza, zmęczony wędrówką po stromym zboczu w upale i skwarnym, oślepiającym słońcu południa, od którego latały mi czarne plamy i skrzydlate fragmenty pajęczyn przed oczyma, wyobraziłem sobie — a w ślad za wyobraźnią ujrzałem, tak, tak, dosłownie i materialnie zobaczyłem — że spoza muru, pod którym przykucnąłem kryjąc się w jego nikłym cieniu, w całkowitej samotności i pustce (w promieniu kilku ki

lometrów co najmniej nie było żywego ducha w tym kamienistym pustkowiu, białym od spiekoty) — wylania się korowód jakby z oglądanych po drodze fresków Giotta, postacie mnichów czy osób zmarłych, owiniętych w ciemne całuny i kaptury zasłaniające twarze. Postacie te wypełzły niezawodnie z podziemia, z zawalonych katakumb, które przetrwały całe wieki w lochach ruiny, do której z takim wysiłkiem dotarłem, skuszony jej niezwykłym kształtem oglądanym z dołu, z autostrady del Sole.

Lochy takie, jak zresztą stwierdziłem w chwilę później, przy ruinie tej niezawodnie świeckiej budowli, może resztek młyna czy wiatraka, w ogóle nie istniały.

Mimo to widziałem — na to mógłbym przysiąc — na własne oczy i z niedużej odległości, jak tamci szli szeregiem wyłonieni nagle z tych nie istniejących piwnic, w których dotąd żyli w konspiracji i samotności. Kroczyli zgarbieni, strawieni gorączką, latami wyrzeczeń, wyzbyci radości życia, pozbawieni słońca i widoku chmur nadpływających z daleka, znad morza, wyzbyci bodaj nawet jakiegokolwiek pociechy wynikającej z poniesionych wyrzeczeń, lecz trwający uparcie i w całkowitym milczeniu w swej pierwotnej, ewangelicznej wspólnoty. Obdarci, brudni, zarośnięci, długowłosi — jak hippisi. Hippisi trecenta. Dźwigali na barkach, wynosili na jasność dnia i jawę trumny męczenników, by je uczcić przed nastaniem nocy. Ogarnął ich zapewne — jak i mnie patrzącego na nich idących nie-stryżoną procesją — żar nagiego, niczym nie osłoniętego słońca, ta iscie pogańska pogoda i uroda tego kraju. Więc zatrzymywali się jakby porażeni nagle tym rozległym widokiem, całkowicie pustym, ze skrajem morza na horyzoncie, zagubieni, niepewni, dokąd iść, zatroskani i bezradni.

Potem znikli, a ja wstałem i podszedłem do budynku w ruinie, obchodząc go dokoła i obmacując. Nic w nim nie było szczególnie ciekawego. Kilka jaszczurek zielonych jak szmaragd szmyrgnęło mi spod nóg, niezbyt daleko zresztą. Zatrzymały się o kilka metrów ode mnie, powyginane w kształcie litery S lub litery C. Widziałem, jak pulsują im podgardla. Wydawały się przyglądać mi z ciekawością, lecz bez strachu. Może byłem tu pierwszym od wielu miesięcy czy nawet lat przedstawicielem ludzkiego gatunku.

Gdyby nie to, że wyrosłem w całkowitym ateizmie — pod wpływem ojca, kolejarza i proletariusza z dziada pradziada, mniej matki, chłopki z Meklemburgii, która w poszukiwaniu pracy przybyła do Berlina i która zachowała do śmierci pewne pozostałości wiejskiej wiary, bardziej co prawda powierzchownej, niżby się z pozoru wydawało — otóż gdyby nie te tradycje wyniesione z domu rodzinnego, kto wie, czy dziś, po latach doświadczeń i rozczarowań, wkraczając w końcowy etap, który można by nazwać okresem stabilizacji, lecz zarazem poniekąd rezygnacji, nie wybrałbym z dwojga — luteranizmu i katolicyzmu — tego drugiego. Tak stałoby się, gdybym nagle odczuł potrzebę wiary usystematyzowanej. Pociągałaby mnie ku katolicyzmowi jego z wielowiekowej tradycji wynikająca tolerancja, bliska dziś w pewnych środowiskach kościelnych swoistego relatywizmu. Luteranizm, w którym się urodziłem, z którym nie miałem jednak wiele wspólnego od chwili przyścia na świat w szpitalu kolejowym w Berlinie, gdy zaczynała się właśnie wielka wojna 1914 i ojciec, świeżo zmobilizowany żołnierz, w mundurze połowym czekał na korytarzu na wiadomość, że ma syna, i zaraz potem pojechał na front gdzieś na Mazury, do Prus Wschodnich — stał się wyłącznie zapisem w moim akcie stanu cywilnego; tyle tylko wiem, że zostałem zapisany do gminy luteńskiej i moja matka, gdy jej mąż przebywał na froncie niemal bez przerwy aż po rok 1918, chodziła modlić się do kirchy i szukała pociechy u pastora, którego pamiętam jak przez mgłę; miałem cztery lata, gdy ojciec, zerwawszy cesarskie emblematy, założył czerwoną opaskę na rękaw żołnierskiego płaszcza i jako spartakowiec bił się w różnych miejscowościach Jtzeszy, parokrotnie rozbrajany i na nowo zdobywający broń, aresztowany i ranny, by w końcu powrócić do warsztatów kolejowych przy Yorkstrasse, obok stacji o tej samej nazwie.

Luteranizm, zapoczątkowany jako bunt i sprzeciw wobec skostnienia katolicyzmu, sam z biegiem stuleci zakrzepł, ulegając całkowitemu wyjałowieniu i laicyzacji, stając się wiarą — jeżeli jest to wiara? jaka wiara? w co wiara? w nienaruszalność posiadania? — przede wszystkim mieszczaństwa, klasy średniej i bogatych chłopów. Natomiast katolicyzm, zagrożony ze wszystkich stron, ewoluował pod "wpływem konieczności natury politycznej. Krok za krokiem, zawsze z niejakim opóźnieniem, dostosowywał jednak swe

wymagania i strategię do potrzeb dnia. Ewoluuował i nadal ewoluuje, gdyż jost to wypracowany przez blisko dwadzieścia wieków system samoobrony. Mając zresztą dziś całkiem innych nieprzyjaciół niż jakaś nowa schizma, będąc zagrożony, podmywany jak skała falami całkiem innymi niż za czasów Reformacji, stosuje z powodzeniem nową taktykę. Lutoranizm przestał mu zagrażać, nieaktywny od dawna i całkiem zobojętniały na sprawy wiary i różnice [dogmatyczne. I stąd chyba te ustępstwa w katolicyzmie, ta [giętkość, którą niegdyś, za młodu, pogardzaliśmy szczególnie, jako dowodem słynnego, przysłowiowego jezuityzmu, którą to nazwą z taką hojnością szafowaliśmy przy każdej okazji. Otóż teraz właśnie ten leciutko jak gdyby drwiący i bardzo zarazem mądry, wyrosły na wielowiekowym doświadczeniu, sceptyczny uśmiezek katolicyzmu, jego przedstawicieli, pociąga mnie w szczególny sposób. Optowałbym więc za nim, gdybym chciał w ogóle przynależć do jakiegokolwiek związku wyznaniowego. Katolicyzm krępowałby mnie znacznie mniej niż luteranizm. Notoryczny brak wiary nie byłby, jak się domyślam, kalectwem uniemożliwiającym mi przynależność do Kościoła, który niegdyś zwał się Kościołem Wojującym. Wiara nie jest dziś, na zasadzie cichej, milczącej zgody, wymagana na co dzień od członków i wyznawców, byle ci zachowali przynajmniej zewnętrzne pozory łączącej ich więzi z głową Kościoła i nie wygłaszali publicznie teorii sprzeciwiających się niewielu już niewzruszonym dogmatom. Wydaje mi się ponadto, że podobną ewolucję — od pełnej, totalnej nietolerancji dla najmniejszych objawów kacerstwa aż po tolerancję doprowadzoną do granic wytrzymałości, czyli zachowania wyłącznie niemal pozorów — będzie przechodzić każda wiara, także polityczna, to znaczy wszelkie ideologie mające ambicje stania się powszechnymi.

Zupełnie inaczej z wieloma filozofiami i teoriami religijnymi zrodzonymi w Azji. Wprowadzają wyznawcę nie w sferę polityki, nietolerancji i agresji w odniesieniu do obcych, lecz w dziedzinę transcendencji. Prozelityzm jest im obcy. Przyjęcie za swoje wierzeń i związanych z nimi obyczajów jest aktem łaski wobec nowicjusza. Stan wtajemniczenia jest osiągnięciem wyższego szczebla i tylko tym. By zrozumieć w pełni sumę wiedzy zesłanej przez stan dopuszczenia do wyższej strefy, trzeba być niemal że świętym. Trudno nam dziś tutaj u nas, w Europie, zwłaszcza na Zachodzie, zdobyć się na przekroczenie tego progu i osiągnięcie za cenę wyrzeczeń — strefy ciszy.

Poznałem nio tak dawno pewną panią, która zapewniała mnie całkiem serio, iż stan podobny do nirwany, zespolenia z bóstwem i całkowitego niemal rozplnięcia się swego odrębnego niezależnego Ja w magmie, którą uważa za pogranicze strefy bóstwa, jakby zagarnięcie czy muśnięcie jednym jego skrzydłem, osiąga obecnie, po wielu próbach i staraniach, bez większego trudu.

Wystarczy jej autosugestia, gdy poprzednio musiała posługiwać się sztucznymi bodźcami z zewnątrz, — Teraz — zapewniała mnie — wszystko mam w środku. W sobie. Niczego mi więcej nie potrzeba. Jestem samowystarczalna.

Schani Strauss, który ją leczył przed niespełna rokiem, opowiedział mi, że używała LSD-25, a także marihuany, nietrudnej do dostania nawet u nas, w Koblencji. Przy okazji dowiedziałem się, jak dalece groźnym problemem, chorobą społeczną staje się ostatnio u nas narkomania. Sądziłem dotąd, że o ile w Ameryce jest to wróg społeczny numer jeden, nam jeszcze taka klęska nie zagraża. Przynajmniej aż do tego stopnia. Poznałem różne nie znane mi dotąd nazwy; Czarny Afgańczyk — to szczególnie mocny haszysz, Jasny Turek — lżejszy gatunek, Mary Jane — to nazwa marihuany; to samo oznacza również Pot; Horse — to najgroźniejszy narkotyk — heroina; koksować — to palić opium; są palarnie, a jakże, we Frankfurcie na przykład, Jecz nie tylko, gdzie indziej też, chociażby w Hamburgu. Do nas narkotyki docierają różnymi kanałami. Przez porty północne — Hamburg i Bremę, a także drogą lądową — via Belgia i Luksemburg. Specjalizują się w tym przemyśle — bo to wielka,

potężna gałąź przemysłowa, znakomicie zorganizowana, zatrudniająca tysiące agentów i pośredników — zwłaszcza kolorowi, Murzyni i Algierczycy, ludzie przybyli do nas jako robotnicy z Mauretanii i z Tangeru, z Algieru i z Maroka, przez Francję i Belgię, gdy się im zaczynała tam ziemia palić pod stopami. Nasza w tym względzie tolerancja jest, zdaniem Schaniego, przesadna. Boimy się nawet pozorów nietolerancji. To reakcja na niedawne czasy. Teraz staramy się nadrobić wszystko, co zaniedbaliśmy w ciągu tamtych kilkunastu feralnych lat. *— Rodzaj katzenjammeru, pojmujesz? Aż roi się teraz, wiesz

przecież, od cudzoziemców, a zwłaszcza kolorowych różnych odcieni —' niektórzy zaliczają do nich Turków, a także Jugosłowian — całe ulice pełne ich, całe dzielnice. Zobacz, co się dzieje w Hanowerze, a już zwłaszcza we Frankfurcie w pobliżu centralnego dworca. Mają własne restauracje, całe kwartały ulic, roją się wieczorem i nocą na takiej na przykład Kaiserstrasse i jej przecznicach — cała wielka dzielnica, znasz ją przecież tak jak ja — przejść trudno, żeby nie być zaczepionym, molestowanym przez różnych pośredników, ofiarujących Bóg wie co, wstyd po prostu. Mieliliśmy dotychczas jedną taką osławioną dzielnicę, Sahkt Pauli, słynną Reeperbahn w Hamburgu, mamy ich teraz sto co najmniej, w każdym większym mieście. Narkotyki i prostytutka. Cudzoziemcy, którym udzielamy prawa pobytu jako rzekomym „gościom”, robotnikom mającym uzupełnić nasze braki na rynku pracy, w ogromnym procencie tworzą przestępcze podziemie, trudno dostępne jakiegokolwiek kontroli, bo płynne, przemieszczające się wciąż jak ruchome piaski. Istnieją lokale, gdzie obsługa i wszyscy goście są cudzoziemcami, Jugosłowianami czy Turkami, a może Włochami gdzieś z Południa albo Algierczykami, Bóg wie kim zresztą. Trudno ich rozróżnić i gdy tam przypadkiem wejdziesz, bywa, że nikt nie limie po niemiecku! Tuż obok centralnego dworca we Frankfurcie!

Gdy mi to mówił — a ja znałem przecież i te dzielnice, i tamte lokale, bodaj z zewnątrz, pobieżnie, i mnie też wielokrotnie proponowali różni cudzoziemcy, kaleczący nasz język, narkotyki, całkiem jawnie i bezkarnie, w jasny dzień! — przypomniała mi się taka z innej dziedziny scena z dworca frankfurckiego. Wychodziłem z peroncy przyjechawszy do Frankfurtu z Monachium koleją, bo mój VW był w remoncie, i wtedy minęło mnie większe towarzystwo, mówiące równocześnie — pół na pół — po niemiecku i po polsku, a ja polski trochę znam z obozu, było w nim sporo Polaków, z którymi się nawet przyjaźniłem. Pamiętam kilka zaledwie słów, ale zaraz poznam, że to nie po czesku, rosyjsku czy serbsku, tylko po polsku. W Berlinie na kolei wraz z ojcem też pracowało kilku Polaków. Jednego dobrze zapamiętałem, nazywał się Hans, ale nazwisko miał jakoś na -cki — Policki czy Tylicki, już zapomniałem.

Tam na dworcu we Frankfurcie, na tym samym peronie i z tego samego pociągu, którym przybyłem, wysiadła cała rodzina niewątpliwych emigrantów ze Wschodu, łatwo ich poznać, zwłaszcza tuż po przybyciu do nas. Potem się te różnice dość szybko zacierają. Oczekiwali na nich tutejsi, też pochodzący stamtąd, też Żydzi, lecz już osiadli u nas, i witali przyjezdnych, nieco zastrachanych i zagubionych w gwarze i ogromie dworcowej hali. Ściskano się i hałaśliwie zasypywano pytaniami, jedni drugich. Tamci, co przybyli, tutejszych, ci tamtych, co u was, jakeście jechali — a ja, idąc jakiś czas obok nich, dowiedziałem się, jak to u nas w Niemczech wspaniale się żyje, ile można zarobić, w jak krótkim czasie, po prostu — co tu gadać — raj na ziemi, całkowita swoboda, przekonacie się sami. Całe to towarzystwo — wraz z dziećmi z dziesięć osób co najmniej — wyszło przed dworzec i załadowało się do dwu wozów, a jeden z witających, zapewniając o swych kwitnących interesach — domyśliłem się z jego słów, że jest to grosista w tekstyliach — pokazywał przybyszom, wciąż jeszcze zastrachanym, oszołomionym, lecz już nieco uspokojonym i weselszym na widok tyłu wspaniałości, swój wóz, chwalił się swym Mercedese 300, istotnie imponującym, do którego zapraszał swych krewnych. Bo to byli niezawodnie krewni, którym udało się po długich staraniach wyjechać stamtąd, ze Wschodu, z kraju, w którym mieszkali dotychczas, by przybyć do tego raj, jakim jest Bundesrepublik. Teraz — ładując się i upychając bagaże, słuchali równocześnie zapewnień tego, co ich witał, iż jest to już drugi jego wóz, tamten pierwszy dostał na własność najstarszy syn.

Przyszło mi na myśl, że Żydzi, zwłaszcza ci ze wschodniej Europy, nieliczni, którym się udało przetrwać i uratować z pogromu, przyjeżdżają obecnie do tej ziemi obiecanej, jaką

dawniej, za dobrych czasów, jeszcze za Republiki Weimarskiej, a i za cesarstwa, była Rzesza Niemiecka, a dziś stała się nią na nowo, mimo wszystko, co ich, Żydów, z naszej winy spotkało, Bundesrepublik. Nawet gdy kanclerzem był Kiesinger czy dawniej był nim Adenauer, a cóż dopiero, gdy został nim Brandt. Płacimy im co prawda, i to hojne, odszkodowania, przygarniamy rozbitków ze wstydliwym zażenowaniem, dając im możliwość zarobkowania w warunkach całkowitej swobody, takiej, jakiej chyba nigdzie dzisiaj nie znajdzie się już w całej Europie, nie wyłączając Francji, Belgii czy nawet Anglii.

I pomyślałem jeszcze, iż te fakty potwierdzają raz je

szcze to, co zawsze wydawało mi się jakimś absurdem, iż ludzie wszystko zapomną, wszystko wybaczą, i to w bardzo krótkim czasie, krótszym, niż można się było spodziewać. Takie nawet sprawy zapomną, jak śmierć najbliższych, jak własny nieludzki strach trwający całe lata, a nawet — co chyba najtrudniejsze, a jak się okazało, jednak możliwe — gorzki zawód, jakiego doznali, niemal do końca wierząc absurdalnie z jakąś dziwną miłością zdradzonej kochanki w jakoś, w solidność, w wyższość cywilizacyjną naszej niemieckiej kultury, która nigdy nie posunie się aż do cofnięcia, i to świadomego i zaprogramowanego, w średniowiecze, w barbarzyństwo.

Straszliwie się zawiedli, więc znenawidzili nas, wykleli, a teraz jeden po drugim — nie wszyscy, są i tacy niezłomni, dla których nawet sam dźwięk naszego języka jest nie do wytrzymania, nienawistny i wstrętny — ale wielu, jakże wielu, wraca do dawnej Mekki, do Raju Utraconego, teraz na nowo Odzyskanego. Duży procent tych, co do nas przybywają, wyjedzie dalej, spora nadspodziewanie część jednak zostanie. Już miałem nawet klientów spośród takich właśnie, więc wiem.

Parę lat temu podjąłem się kilkunastu spraw o odszkodowanie dla Żydów przybyłych do nas w ciągu ostatnich lat, zwłaszcza po roku 1956. Z Węgier, z Polski, z Czechosłowacji. Udało mi się uzyskać dla nich wszystkich bez wyjątku poważne odszkodowania materialne, pozwalające im na wygodne urządzenie się czy to u nas, czy gdzieś dalej, dokąd zdecydują się wyemigrować. Staralem się zrozumieć ich uczucia. Sam, będąc na ich miejscu, nie pozostałbym tutaj ani minuty dłużej, niż by to było niezbędne dla zakończenia przewodu sądowego i przyznania jednorazowego odszkodowania czy też renty. Może nawet — ale to już takie moje całkiem osobiste i zapewne nieco skrajne uczucie — wahałbym się, czy jakakolwiek suma pieniędzy może być w ogóle ekwiwalentem za to, co straciłem i co wycierpiałem. Że nie ma zapłaty za śmierć najbliższych. I pomyślałbym chyba, że przyjmując odszkodowanie, wyraziłbym może pośrednio jakąś zgodę na takie przeliczenie mające charakter przetargu, a także jak gdyby maści na zabliznienie ran i zapomnienie o wszystkim, co było. Życie jednak ma swoje twarde prawa, toteż nie dziwiłem się moim klientom, gdy starali się o przychylną decyzję Komisji Odszkodowań. Ostatecznie z jakiej racji mieliby rezygnować, darując to, co im się prawnie jak najśluszniej należało.

I oto spośród tych, którym wyjednałem odszkodowanie, zaledwie dwu na jedenastu wyjechało od nas, do Ameryki, do Kanady czy może Izraela. Reszta została, zarabia, dorabia się, bogaci, sprowadza po pewnym czasie krewnych z Europy Środkowej. Czy tylko sprzyjająca koniunktura gospodarcza wpłynęła na ich decyzję pozostania u nas? Tego nie wiem, lecz podejrzewam, a mam takie prawo, na podstawie rozmów z moimi klientami i byłymi klientami, których od czasu do czasu spotykam, ich napomknięć, uwag, jakie im się wymykają, że ulegli atawistycznej, jak się okazuje, miłości do nas, naszej kultury i cywilizacji, mimo wszystkiego, co zaszło. Byłby to nader interesujący problem dla psychologa i zarazem socjologa.

Zrozumiałem poniekąd ewolucję uczuć, jaką przeszli od zakończenia wojny — wiosny-lata 1945 — po dzień dzisiejszy w krajach swego poprzedniego zamieszkania. Po krótkiej i zrozumiałej euforii, że się uratowali, że udało im się jakoś przetrwać, po wyjściu z ukrycia i włączeniu się aktywnym w życie społeczeństw, w łonie których żyli i przetrwali, z powrotem zawsze inni, odrębni, wyróżniający się; no i niektórzy nie wytrzymali, gdyż poczuli się na nowo zagrożeni przez sam fakt wyróżnienia i nazwania. Ta świadomość stała się dla nich — przyznało mi kilku moich klientów — w jakiejś chwili nie cło wytrzymania. Więc przy pierwszej okazji przyjechali do nas. Inni gdzie indziej. Niedenthal twierdzi, że dzieje się tak z tej przyczyny, iż większość Żydów zajęła w czasie wojny na Bliskim Wschodzie odmienne stanowisko niż rządy krajów ich zamieszkania. To bardzo możliwe. Nowa wędrówka, byle

dalej od wspomnień i od widma getta. Zniknąć w tłumie, zrównać się, być jak inni. Jak my — Niemcy. Ci dobrzy Niemcy. To pojęcie pojawiło się znowu. Stało się usprawiedliwieniem dla moich klientów i potencjalnych przyszłych klientów, gdyby im ktoś wytknął nietaktownie, iż zapomnieli, przyjeżdżając ufnie do nas. Gdyby się ktoś dziwił, gdyby się o to zapytał. Gdyby się zgorszył. W razie czego.

Jako „dobry Niemiec” wysłuchiwałem z zainteresowaniem tych relacji mających cechy usprawiedliwiania się w moich

oczach. W oczach sprawiedliwego, który być może w ich imieniu nie potrafi nigdy wybaczyć tego, co się stało. I który odczuwa coś w rodzaju wstydu rozmawiając z ofiarami własnych rodaków. Wstydzi się za całe Niemcy. A oni wstydzili się z kolei tego, że ja mógłbym pomyśleć o nich, iż zbyt łatwo zapomnieli. I że pieniądze, rzecz jasna, nie załatwią wszystkiego, nie zasypią przepaści, mimo że są przecież niezbędne jak powietrze dla płuc, jak woda dla ryby. Zapewniałem ich, iż racje są całkowicie po ich stronie i że ich w pełni rozumiem.

Pamiętam doskonale jednego z moich klientów, który przybył do nas z Węgier, z Budapesztu, i tłumaczył się przede mną, mimo że tego się nie domagałem, dlaczego wyjechał stamtąd, gdy się tylko nadarzyła okazja.

— Wy, Niemcy — mówił, a wyglądał na człowieka doświadczonego i rozumnego, który przeszedł przez ogień i wodę i którego niewiele już potrafi zdziwić — jesteście mimo tego wszystkiego, coście z nami zrobili, prawdziwymi Europejczykami. Po tamtych natomiast — wskazał za siebie ręką, krzywiąc się pogardliwie — można się spodziewać niejednego. Tam, niech mi pan wierzy, mecenasie, trudno żyć. Tam się w najlepszym razie wegetuje. Ja byłem tam cały czas zadyszany. Ja tutaj dopiero odetchnąłem.

Starąłem się, zadając mu szereg pytań, wywiedzieć się, na czym polega właściwie ten pogląd o „niemożności życia”. Dlaczego, bo nic nie rozumiem. Przecież to jest nie tylko nieprawdziwe, ale wręcz absurdalne.

Zasypał mnie, podniecając się niemal do krzyku, mnóstwem szczegółów, dla mnie błahych, dla niego zapewne nader ważnych, wręcz zasadniczych. Że stałe braki tego i tamtego, że nikt nie wie, co będzie jutro, taka nieustanna huśtawka i cen, i ustaw, i w ogóle niczego nie sposób zaplanować nawet na tydzień naprzód, a cóż dopiero na rok, dwa, dziesięć. — To jak ja mogłem myśleć, co się stanie z moim synem, pan pojmuje? Czy jak on się będzie uczyć, zostanie potem kimś, czy też w międzyczasie coś takiego zajdzie, czego nikt rozsądny nie przewidzi, bo to nie ma nic wspólnego z rozsądkiem ani jakkolwiek kalkulacją — a wtedy mój syn... Na imię ma Sandor, teraz Aleksander, od czasu gdy mieszkamy tutaj, nareszcie tutaj, u was. Otóż niech pan wie, panie mecenasie, że ja mu powiedziałem, gdyśmy przekraczali granicę: ty zapomnij, że kiedykolwiek nazywałeś się Sandor. I język węgierski i słowacki też — bo i po słowacku umiał, moja żona pochodzi z Koszyc — ty wyrzuć z pamięci, do ostatniego wyrazu, co do słowa. Po co ci, to?

Przyglądałem mu się ze zdumieniem.

Nie udało mi się przekonać go, że ustrój, w którym żył dotąd i gdzie chyba przy współdziałaniu tamtejszych ludzi, czy nie tak? — potwierdził skinieniem głowy, że tak, że temu nie przeczy — udało mu się przetrwać, nigdy "nie zezwolił na jakąkolwiek segregację ludzi na zasadzie rasowej, na szowinistyczne wyskoki, na odrodzenie się czegoś, co w najmniejszej mierze mogłoby przypominać faszyzm i tamte czasy, i że on sam jest przeczulony, może na podstawie jakichś istotnie przykrych zbiegów okoliczności, wyjątków, które niesłusznie uogólnia i dlatego krzywdząco ocenia tamtych, od których do nas przybył.

Popatrzył na mnie wyrozumiale, jakby rozmawiał z kimś naiwnym i żyjącym poza rzeczywistym światem, który on zna, i pogładziwszy mnie po ręce, oświadczył: — No tak. Ja pana pojmuje. Pan mecenas jest szlachetnym człowiekiem. Pan tego nie zrozumie i tak. Pan jest cywilizowany, w tym rzecz. Ja, proszę pana, należałem do tej grupy budapeszteńskich Żydów, których Eichmann chciał sprzedać aliantom za ciężarówki, no i oni odmówili. On nas nawet nie nienawdził, on uważał nas tylko za towar do wymiany i zwrócił się z propozycją transakcji do Anglików, też kupców. Jasne? Ile można utargować za jednego Żyda? A za stu? A za tysiąc? A za dziesięć tysięcy? No i oni wybrali naszą śmierć, pan o tym chyba słyszał, panie mecenasie. Im się ten interes nie opłacał. Okazaliśmy się towarem niesprzedajnym. Proste? Eichmann nie żyje, ale nie wiem, czy pan o tym słyszał, że on się bardzo dziwił

aliantom, iż wybrali naszą śmierć, byle nie dać Niemcom tych iluś tam samochodów, które i tak nie zmieniłyby niczego, nie mogłyby zaważyć na losach wojny. On był zdumiony, pan wie, on był — powiem to panu w sekrecie — nawet jakby tym zgorszony. On się na serio zasmucił wtedy, ten Eichmann. On nie żyje, i to jest dobrze. Ze jego schwytali nasi, to jeszcze lepiej. A pan, panie mecenasie, jest dobrym Niemcem i większość tych, których tutaj spotkałem, kupców, ekspedientów, kelnerów, ludzi na ulicy, w metrze, w tramwaju, a także mój gospodarz, od którego

wynająłem mieszkanie, wszyscy co do jednego — to sami dobrzy Niemcy. Ja nie żartuję, panie mecenasie, to nie jakaś ironia, to są fakty, to się wyczuwa. Ja się nie czuję tutaj obcym, ja jestem tutaj jednym z wielu, jednym z tych, co tu pracują i tutaj mieszkają, i kropka. Ja się pytam, gdzie się podzieli źli Niemcy? Czy to była tylko zła, okrutna legenda? Czy to się może, czy ja wiem — przywidziało, czy może przyśniło? Pan, panie mecenasie — wiem przecież, mnie o tym opowiadali, nim do pana przyszedłem, nim mi pan pomógł — pan siedział u nich w obozie. U kogo, pytam? U swoich? To jest stokroć gorsze, niech mi pan wierzy, niż być ofiarą obcych.

Przeczytałem artykuł w prasie, że Otto Hahn oraz Fritz Strassmann siedemnastego grudnia 1938 dokonali pierwszego eksperymentu rozbicia jądra atomowego. Czyżby? Dlaczego o tym dotąd nie wiedzieliśmy?

Więc znowu moi rodacy! Wszędzie, gdzie tylko zajrzeć, czego dotknąć — oni. Ponad trzydzieści lat temu! I już wtedy myśleli o wysadzeniu w powietrze — czego? ustalonych praw przyrody? zasad fizyki? matematyki? czy całej ludzkości, zaprzędając ją diabłu? Faust, wszędzie, gdzie spojrzeć! Za każdym murem, za każdym węglem, za każdym pnem przydrożnego dębu — wszędzie doktor Faust rozkłada swoje instrumenty oczekując Mefista!

Czytam w jakimś artykule: „Upiór stoi nad każdą cywilizacyjną transakcją i czatuje.” To a propos lotów kosmicznych. Ładnie napisane, lecz właściwie niewiele znaczy. Demonizowanie spraw całkiem prostych, aczkolwiek bez wątpienia nowych i imponujących. Zараźliwie. Bo i ja czasami się waham. Żyję w niepewności. Podejrzewam. Faustyzm to nie wyłącznie popularny problem odzyskania sił młodości, lecz zgoda na każdy przetarg, o każde dobro, nawet najbardziej istotne — kosztem zaprzędania się złu.

Niektórzy cudzoziemcy, pod wpływem sugestii, tendencji do uproszczeń, demonizowania wszystkiego, co ma cechy germańskie, włączyli faszyzm w naszym nazistowskim wydaniu do dziedziny demonologii stosowanej. Powtarzam raz jeszcze. I ta właśnie dwuznaczna aura formująca się wokół hitleryzmu, przynajmniej do roku 1933, a nawet aż 1939 — zdołała zafascynować ludzi, których trudno by było skądinąd posądzić o skłonności faszystowskie. Ten nurt szczególnie filozofii — jeśli w ogóle można mówić o jakiejkol

wiek myśli filozoficznej nazizmu — reprezentowany przez tak zwany krąg Stefana George czy Reński Goebbelsa, a także, z pewnymi zastrzeżeniami, zwolenników teorii Sperrglera o klęsce i zmierzchu Zachodu, a nawet parodii filozoficznych mitów & la Rosenberg, teorii, teoryjek zaprzędających do jakiegoś czasu głowy i umysły wyłącznie amatorów poszukiwań i porównań — tego z tym, tamtego z tamtym i na odwrót — niejednemu zawrócił w głowie. Nie tylko naszym, skłonnyms zawsze do teoretyzowania i uściślenia, lecz jednjąc, co ważne i zdumiewające, zwolenników za granicą, może i wariatów, lecz najwyższej klasy, jak Ezra Pound, a także zdawałoby się trzeźwych kalkulatorów politycznych jak Laval. Czym ujętych, jakim urokiem opętanych? Czyżby również tym nieco romantycznym, bo w romantyzmie mającym swe korzenie, nietzscheańskim i wagneriańskim mitem, pierwotną prostotą właściwą germańskim legendom, a nie wyłącznie kalkulacją, liczeniem jak u Lawała na zwycięstwo Niemiec?

Hasła takie jak „ziemia i krew” — dziś zamienione przez młodych gniewnych, przez mego własnego syna, na „krew i sperma” — wywierają bez wątpienia złowieszczy wpływ, jak narkotyki. Ukazywano arkadię w ucieczce od gwaru i hałasów cywilizacji, mawiało się wtedy — cywilizacji me-teków, niczym nie związanych z ziemią, gotowych ją sprzedać za byle trzydzieści srebrników i uciec, bo tam ojczyzna, gdzie lepiej płacą; cywilizacja ludzi bez przynależności, wyznawców wyłącznie kultu molocha zarobku; bez wątpienia gnijąca i cuchnąca cywilizacja Republiki Weimarskiej w jej schyłkowym okresie. Zrywając kurtynę osłaniającą tę zgniliznę, ten śmietnik, azyl zadzumionych — proponując w zamian pewnych

wyrzeczeń nowy model życia piękniejszego, czystego jak germańskie leśne źródło, mocnego jak pragermański tysiącletni dąb — potrafili, jak Mefisto Fausta, oęzarować i wymusić cyrograf zaprzędania się na wszystkie zbrodnie, z całą wiarą i wiernością Nibelungów — za samą tylko nadzieję odrhłodzenia.

W szerokim programie nienawiści nazizm głosił również potępienie rozkładającego się mieszczaństwa, jego bezideo-wości i zasady: wszystko za pieniądze, nic darmo. Sceptycyzm i liberalizm to były filary cynizmu i libertynizmu prowadzącego do degeneracji, do zguby całego narodu, do wynarodowienia, utraty wiary w cokolwiek poza złotym ciel

cem. Produkt rozkładowej mentalności żydowskiej — twierdził Geobbels. Żydzi, wedle niego, zachowując surowe przepisy wydane dla ochrony własnego nacjonalizmu, szowinizmu, odgródzenia się od innych celem zachowania spójności w poczuciu wyższości i specjalnego uprzywilejowania przez nemesis i bóstwo, naród wybrany przecież z decyzji Jehowy — propagowali u innych teorie wręcz przeciwne do wyznawanych przez siebie i zarezerwowanych wyłącznie dla siebie: nihilizmu ideowego, internacjonalizmu i anarchii. By osłabić przeciwnika, to jasne. Można było na ten temat czytać pseudonaukowe elaboraty privatdocentów z Heidelbergu i Getyngi oraz prymitywne, łobuzerskie wyzwiska w „Stiirmerze”. T[^]-Zarzuca się nam — twierdziło wielu, i to nie tylko w czasach nazizmu, i nie naziści bynajmniej mówią teraz, już po latach, jakby tytułem częściowego usprawiedliwienia...—[^] chęć wywyższenia się nad inne narody, jako naród panów, a czymże jest nasza teoria wyższości, uzasadniona poniekąd naszymi autentycznymi cechami, takimi jak pracowitość, solidność, uczciwość, umiar i dyscyplina, nie tylko ślepa, jak utrzymują nasi wrogowie, lecz istotna, bo posłuszna autorytetom, czymże są te nasze domniemane przewiny wobec ludzkości w dziedzinie teorii, a nie faktów — te są pożałowania godne, nie przeczymy w porównaniu z zasadą odwiecznie rządzącą Żydostwem i tak im wpojona od urodzenia, iż nie do wytrzebienia, mówiącą

O Izraelu, narodzie wybranym przez samego Stwórcę?

Dziś takie słowa niewiele już w gruncie rzeczy znaczą

I w praktyce nie wywierają większego wpływu, zwłaszcza na młode pokolenie, które wręcz drwi z nich. Lecz przed przejęciem władzy, w dobie narastania nazizmu, poczyniły wiele szkód, mając pozory złudnej prawdy.

No bo jak: stawianie celów pozamaterialnych jako najwartościowszych w życiu publicznym i osobistym; kult zdrowia jako siły i siły jako zdrowia — radości życia na tle natury; młodości jako symbolu i jednocześnie realnego źródła męstwa; lecz i odwrotnie: męstwa jako młodości samej przez się i samej w sobie i dla siebie; a także potępienie tego, co nazywamy skomercjalizowaniem życia i stosunków międzyludzkich; i że ziemia i domy, i wszelka nieruchomości — to nie wyłącznie wartość przeliczalna na pieniądze, lecz jakby puchar przechodni, fideikomis, przekazywany z pokolenia na pokolenie; dochody stąd płynące to sprawa ważna, gdyż wzbogacająca cały naród, lecz nie najbardziej istotna; istotny jest obowiązek każdorazowego posiadacza, by nie uszczuplił majątku całych pokoleń, narodu, zbiorowości, własności, której on jest tylko dożywočním stróżem. Iluż zwolenników na całym świecie zjednały sobie te właśnie i im podobne teorie i hasła!

Ciekawe, że niektóre z tych ówczesnych zauroczeń, mimo wszystkiego, co się później wydarzyło, przetrwały. Dowody tego znalazłem nawet w słowach Mailera, który łączy jakimś cudem, za pomocą trudnej do zrozumienia ekwilibrystyki, faszyzm zdemonizowany do niepoznaki, oderwany od gleby, na jakiej wyrósł, czy raczej wypreparowany z rzeczywistości, w jakiej istniał, poprzez von Brauna, rakiety V-1 i V-2, a także fascynujący go najwyraźniej obraz milczącego Hitlera na wydmach w Peenemunde — z całą w ogóle kosmonautyką, pozostającą w strefie faustycznej, inaczej mówiąc, demonicznej.

Mailer mówi o prymitywizmie nazizmu, który niepostrzeżenie nabiera uroku pierwotnego romantyzmu, świeżości i dziewiczości, będąc jednocześnie odgałęzieniem strefy satanicznej, dziedziny Mefista. Jak widać, upiory zrodzone całkiem realnie przez romantyzm, a następnie wykorzystane praktycznie przez faszyzm, żyją do dziś i fruują swobodnie, udając niewinne, aczkolwiek ponure, nocne ćmy, motyle śmierci. A śmierć ma też urok, fascynuje kolorem czarnym. Inni twierdzą natomiast, iż śmierć jest biała. Dwie różne teorie i jednocześnie wizje malarskie.

Niedawno, będąc we Frankfurcie, przeczytałem napis na luterańskim kościele w pobliżu uniwersytetu, gdzieś przy Sanckenberg Anlage, cytat z dzieła Karla Geroka, teologa ewangelickiego, z zeszłego stulecia, który mi się szczególnie podobał:

„Kto wie, jak czynić dobro, a czyni zło, ten grzeszy. Kto przetwarza dobro na zło — ten zdradza cechy diabelskie. Kto zło na zło — cechy zwierzęce. Dobro na dobro — cechy ludzkie. Zaś umieć zło zamieniać w dobro — jest darem niebios i cechą boską.”

Tamta moja była klientka, opowiadając mi, jak bez trudu przechodzi z jednej rzeczywistości w inną, podejrzewam, że pod wpływem LSD lub czegoś w tym rodzaju, mimo iż zastrzegła się stanowczo, iż wyłącznie za pomocą siły wo

li, autosugestii, nakazania tamtemu w zupełnym skupieniu, w całkowitej koncentracji: wejdź! — i tamto natychmiast istotnie wchodzi, czy raczej przechodzi przez nią na drugą stronę — starała mi się możliwie obrazowo przedstawić, jak to wygląda:

— Jakby z mego organizmu wydzielały się świetliste smugi, taka, wie pan, zwiewna materia, gaza czy zefir, albo też cieniutkie wiązki promieni lub sznureczki iskierki czy paciorków, czegoś nieokreślonego poruszanego biciem mego serca i przyspieszonym oddechem. I czegoś, co się w moich oczach najwyraźniej formuje z tej mgiełki — nie mgiełki, z tego czegoś, nie mogę w żaden sposób osiągnąć. Czuję tylko najwyraźniej coraz mocniejszy, upajający zapach kwiatów. I widzę, jak pana teraz, niech mi pan wierzy, przeźroczyste, a raczej świetliste ciało, każdą w nim pulsującą maleńką żyłkę napełnioną rubinową krwią, i wiem, że gdybym tylko potrafiła zdobyć się na jeszcze jeden wysiłek, on by się zmateriałizował, ucieleśnił, stałby się realny jak motyl trzepoczący skrzydłami — a może są to jego długie rzęsy, może, może, tego nie jestem pewna — albo jak żywy bożek.

Nie, ja, rzecz jasna, nie rozumiem, mimo iż jej, tej mojej« byłej klientce, tego nie powiedziałem, bo i po có? LSD nazwano bardzo ładnie — „zaproszeniem do podróży”. Ale jakim kosztem. Nieodwracalnych zmian osobowości i stopniowego otepienia.

Przypominam sobie, jak w filmie Powiększenie Antonio- niego Verusehka, ta, do której tak podobne jest Zwierzę Alfa, oświadczyła fotografowi, któremu służyła za modelkę w atelier, iż bardzo się spieszy, gdyż wybiera się do Paryża i boi się spóźnić na lotnisko. A potem, napotkana w nocnym lokalu, gdy on był zaskoczony, spodziewał się bowiem, iż jest już w drodze do Paryża albo na Wet w samym Paryżu — odparła całkiem naturalnie, jakby dziwiąc się, że on tego nie rozumie: „Przecież właśnie jestem w Paryżu.”

Otóż moja dawna klientka, która od czasu do czasu zaprasza mnie na drinka do swej willi w pobliżu Bad Salzig nad Renem, zbudowanej wysoko na skale, z cudownym widokiem z tarasu na pierwszym piętrze na rzekę — opowiedziawszy mi, jak tylko potrafiła najdokładniej i najbardziej obrazowo, swe doznania w transie czy ekstazie —

dołąła, zachęcając do odbycia podróży wraz z nią: — Warto, niech mi pan wierzy, przejść po niewidzialnej kładce, a może jest to naprężona lina, na tamten, inny brzeg.

Potem, zamyśliwszy się — a siedzieliśmy w wiosenny pogodny wieczór na tarasie jej willi i w dole, pod nami płynęły statki po Renie widocznym na długości szerokiego łuku, jaki zatacza on między wysokimi brzegami z obu stron, od Filsen i Kamp naprzeciwko mniej więcej Boppartu aż po ruiny zamku Rheinfels, St. Goar i wyspę Ehrenthal oraz domy Bad Salzig, nisko, kilka pięter pod nami, u stóp wzgórza, na którym stoi willa mojej eks-klientki - - ona, siedząca na leżaku, odwrócona plecami do tego wspaniałego widoku z Renem i skałami poza nim, jakby nie liczył się, był nieważny, nieistotny dla niej — i o tyra bowiem była między nami mowa, o nieistotności spraw i przedmiotów z pozoru istotnych, jak na przykład Ren i góry na tamtym brzegu — powiedziała do mnie, siedzącego na trzcinowym fotelu naprzeciwko niej, twarzą zwróconego ku rzece i mającego przez cały czas naszej długiej rozmowy tamten wspaniały widok przed oczyma, zadumana i na poły nieobecna:

— Wierzę, iż w końcu uda mi się i że to coś — kwiat, rozkwitający jak rozgwiazda, motyl czy anioł, jakaś jego esencja — stanie się bodaj antymateria, czymś, co się z niego ku mnie wysunie, wchłonie mnie całą w siebie, przyciągnie wreszcie czy zagarnie wszystko to, co jeszcze we mnie materialne. I dlatego wciąż z uporem ponawiam moje podróże i nie mogę dopłynąć...

Podejrzałem — była o tym mowa z doktorem Straussem — iż tamta pani miewa sny o zabarwieniu najwyraźniej kryptoerotycznym, co się często zdarza. Ale przecież mogą też istnieć inne zupełnie światy, inna kategoria „spotkań”, „objawień”, jak je nazywają narkomani. Sądzę tak wyłącznie na podstawie rozmów z lekarzami, jak Schani Strauss czy

taka sława jak doktor Meissner, lub z przypuszczalnymi narkomanami, jak tamta pani z Bad Salzig, a nie z własnych doświadczeń,, gdyż jak dotąd, mimo wielu okazji, nigdy narkotyków nie próbowałem. Nawet nie paliłem papierosów z marihuaną, jakimi częstowali mnie młodzi przyjaciele Ernesta, nie on sam, bo on w ogóle nie pali. Niepalenie, jak i unikanie na ogół alkoholu, należy, jak sądzę, do stylu, który pragnie zachować mój syn. Nie jest to

styl ani hippisa, ani playboya, raczej zdrowego chłopaka, wygimnastykowanego i rozrosłego, cieszącego się swym zdrowiem i kondycją sportowca, którym zresztą nigdy nie był i nie jest. Nie sposób mi zaklasyfikować mego własnego syna do jakiegoś określonego, wyraźnego gatunku młodzieży, aczkolwiek nie stanowi on wyjątku; wielu takich spotyka się na każdym kroku, zwłaszcza wśród studentów. Można by go nazwać modelem Juso, gdyby taki, w sensie fizycznym, istotnie istniał. Nosi długie włosy wprawdzie, co go upodabnia do dziewczyny, lecz jest jednocześnie męski, czy może raczej chłopięcy; nie nosi zarostu i ubiera się wedle mody młodzieżowej — dżinsy i sweter lub bluza otwarta na piersiach, ukazująca nagi, bezwłosy tors — lecz nigdy nie był i nie jest niechlujem; chodzi kołysząc się w biodrach jak większość jego równoletków, lecz jest to krok sprężysty i jakby przyczajony zarazem, krok drapieżcy, dzikiego kota czy rysia; jest beztroski, lecz rzadko się uśmiecha; jest wzgardliwy, lecz i miękki. Potrafi być nagle brutalny i w chwilę później tkliwie delikatny. Wszystko to wynika niewątpliwie z mody, jaką sobie obrał za wzór, lecz na pewno także z cech wrodzonych. Nic po mnie. Wszystko po matce, której tak jakby w ogóle nie znał.

Więc znów o nim. W ogóle o młodych, o tak rozreklamowanych walce pokoleń. Ile w tym prawdy? Moje osobiste doświadczenia z Ernestem i jego przyjaciółmi. Rzecz jasna, że oni są inni niż my, to znaczy, mam na myśli przede wszystkim siebie, gdy miałem ich lata. Ale to były całkiem inne warunki, środowisko, atmosfera. Bóżnice istniejące między na przykład pokoleniem 1800 a 1820 czy też 1840 a 1870 były niewielkie, podczas gdy ja, należący do pokolenia tamtej wojny, rocznik 1914, i mój syn, rocznik 1949, to dwie całkiem odmienne epoki. Dwa inne światy, inne modele ludzkie, jak samochód model 1914 i dzisiejszy.

Na przykład seks, który narobił tyle wrzawy obok spraw drugorzędnych, jak ubiór, uczesanie, odmienne gusty. Ewolucja w dziedzinie seksu zaczęła się tuż po tamtej wojnie, tylko my chętnie zapominamy, jak to wtedy wyglądało. Istotne jest jedno: jawność, gdy dawniej panowała w tej dziedzinie obłudna zмова milczenia, porozumiewawcze mruganie do siebie, setki obyczajowych tabu. Dziś młodzi mówią o tych sprawach jawnie, otwarcie. Ta ich otwartość w oczach nas, starych cyników, wygląda na cynizm, gdy

«ym

jest właśnie jego odwrotnością. Mam znajomych należących do mego pokolenia, którzy sobie wyobrażają, że młodzi nie uprawiają innych sposobów miłości jak cynicznie jawna kopulacja w piątkę czy w szóstkę przy zmieniających się wciąż partnerach.

Na ten temat mówiłem nie tak dawno z doktorem Weilerem i jego żoną, gdy z nimi wybrałem się na weekend w okolice Königssee. Pani Weiler jest jeszcze bardzo ładna i młodo wygląda, mimo iż jest matką trojga dorastających dzieci, z których najmłodsze, córka Irmgarda była wówczas z nami. Weiler powiedział ze śmiechem, iż ja mam rację, broniąc młodzieży przed zarzutami jego żony. — Byliśmy tylko bardziej obłudni — przyznał. — Mówię to otwarcie przy mojej córce — jako czternastolatek chadzałem za kradzione ojcu pieniądze wraz z kolegami do dziwki, a ty, przyznaj — zwrócił się do żony — gdy wybierałaś się do kina z chłopakami w tajemnicy przed matką i nauczycielkami, zdejmowałaś w ubikacji na wszelki wypadek majtki, chowając je do szkolnej teczki między książki i zeszyty, żeby nie musieć potem borykać się z nimi w czasie seansu. Sama mi się kiedyś przyznałaś, nie przecz.

Pani Emma Weiler najpierw oburzyła się, potem roześmiała. — Co ty wygadujesz, Hans! Jeżeli nawet tak i było, to nie ma jeszcze powodu, żebyś teraz o tym tutaj opowiadał z takim triumfem. A że zachowałam aż do poślubnej nocy, z tobą, tak, z tobą, ty obrzydliwcze, ten skarb, ten specjał, ten nietknięty anatomiczny szczegół, pamiętam przecież, że się tego nie

spodziewałeś i jakbyś się zacukał nawet, nie wiedząc, co z tym fantem zrobić, czy dasz sobie radę bez kompromitacji — gdy już mówimy na te tematy, no to do końca — widzisz, masz, czego chciałeś, nie trzeba było zaczynać — wszystko nietknięte, mimo że miałam wtedy aż siedemnaście lat i połowa co najmniej moich koleżanek z pensji dawno straciła dziewictwo. Virgo intacta! Co pan na to? — zwróciła się do mnie, sięgając po kieliszek wina i śmiejąc się. Jej córka skrzywiła się z wyraźnym niesmakiem.

Było to wieczorem, w drodze powrotnej, w Baden-Baden, w restauracji na górze, na Maurizius Höhe. Piękny letni wieczór i nieco zmęczenia daleką drogą aż niemal nad samą granicę Austrii. Zjedliśmy dobrą kolację i teraz popijaliśmy znakomite, chłodne wino mozelskie.

Hans Weiler opowiedział nam o jakiejś maści reklamującej się w czasopismach, mającej rzekomo właściwości magiczne. Pani Emma ożywiła się. Jej córka, panna Irmgard, cały czas wydawała się apatyczna i senna. Od czasu do czasu wydymała pogardliwie wargi lub wrzuszała ramionami. Swymi nieco zbyt wypukłymi, jakby szklanymi oczyma patrzyła na matkę z lekka ironicznie i pobłażliwie jednocześnie. Wyczuwałem w tym spojrzeniu córki nieco niesmaku, lecz i dobrotliwego lekceważenia, jakby odwrotność tego, do czego przywykliśmy w takich okolicznościach: to matki zwykły patrzeć tak pobłażliwie, z rozczuleniem na córki, które plotą byle co, zgrywając się na zepsute i przeżyte.

Więc, gdy tylko Weiler wspomniał o tej maści, pani Emma ożywiła się, a potem spytała o działanie tego cudownego balsamu oraz o jego skład.

— Bez wątpienia jest tam stramonium — powiedział — inaczej Solanum dulcamara, którą magowie średniowieczni ochrztili poetycznie „nocnym cieniem”, gdyż jakoby pachnie czy też zakwita, zapomniałem już dokładnie, wyłącznie nocą i przywabia swym zapachem wielkie, kosmate ćmy. Tak zresztą twierdzą jeszcze teraz chłopci bawarscy. Ponadto w skład tej mikstury wchodzi jeszcze Aconitum oraz Hyoscyanum niger, czyli blekot. A także niezawodna Atropa belladonna, czyli wilcza jagoda.

— To wspaniale! — wykrzyknęła pani Weiler, a właśnie nadleciała zwabiona światłem niewielkiej lampki nakrytej zielonym kloszem, którą kelner ustawił na naszym stoliku na werandzie, wielka ćma, szara, nakrapiana złotem, kosmata i nietoperzowata, i uderzywszy łebkiem o tkaninę abażuru, spadła wprost do talerzyka panny Irmgardy, na którym roztopiło się nieco ananasowych lodów. Zmrużywszy oczy o bardzo jasnych i długich rzęsach, próbowała końcem płaskiej łyżeczki wydobyć ćmę i w końcu jej się to udało. Otrzepawszy się, kosmaty owad zaczął ospale łązić po obrusie, pozostawiając za sobą wilgotne ślady. Dowłókszy się na brzeg stołu, ćma spadła na podłogę. Panna Irma nachyliła się, obserwując jej niezdarne ruchy na kamiennych tafelkach. Hans Weiler powiedział po chwili:

— Posłuchajcie, co dalej. Otóż ktoś, starając się przełożyć nazwę belladonna na język bardziej sugestywny, bar dziej literacki, usiłował dowieść, iż oznacza ona tyle co „bella donna”, czyli dosłownie „piękna panna” czy „dziewczyna”, ktoś w rodzaju baśniowej czarodziejki przynoszącej sen, a potem śmierć. Roślinna boginka czy nimfa. Tak to chemia i farmacja, szczególnie ona, lecz i botanika, obrastają w poetyckie mity. Farmacja zresztą zawsze moim zdaniem miała coś z alchemii i zachowała te cechy aż do dziś.

— Boże, jaki ty jesteś poetycki, Hans! Ależ to wprost cudowne, co mówisz! — wykrzyknęła pani Emma, a jej córka, która niemal wlaźła w poszukiwaniu ćmy pod stół, wyprostowała się i trzymając ją tuż przed sobą, bardzo blisko, zaczęła na nią dmuchać, wysunawszy wargi zwinięte w ryjek, pomalowane dość jaskrawą pomadką.

— Profesor Peuckert na pokazie, jaki zorganizował, pragnął udowodnić, że maść, o której wam powiedziałem, oparta na przepisach magicznych sięgających wczesnego średniowiecza i przechowanych w księgach, do których on trafił, działa istotnie w sposób nadzwyczajny. Pomazał nią skronie dwu młodych lekarzy, którzy zgodzili się na ten eksperyment. No i rzeczywiście, obaj zapadli wkrótce w rodzaj hipnotycznego może nie tyle snu, co rauszu, otumanienia. I ten stan trwał blisko dobę. Opowiedzieli potem o szalenie plastycznych wizjach, które im towarzyszyły w domu, na ulicy, wszędzie, bo oni mimo stanu, w jakim się znajdowali, spacerowali pod opieką samego profesora i pielęgniarki. I te postacie, które się zjawiały i znikwały, były podobno bardzo realne, prawie rzeczywiste, tyle że dość niezwykle i dziwnie się zachowujące. Nie muszę wam mówić, że wszystkie bez wyjątku wrażenia, wszystkie uczucia i myśli tych dwu młodych, całkiem zdrowych i niczym szczególnie nie odznaczających się lekarzy były związane obsesyjnie z dziedziną seksu w wydaniu satanicznym. Fenomenalne! Jeden z tych młodych ludzi,

posiadając pewne uzdolnienia plastyczne, wykonał, na ile potrafił, kilka szkiców kolorowymi kredkami, obaj zaś spisali dokładny protokół ze swych wrażeń, gdy rausz im minął. Czytałem, muszę wam powiedzieć, te wyznania i oglądałem szkice. Bardzo interesujące! Wręcz pasjonujące! Możecie mi wierzyć. Otóż co jest jeszcze ciekawsze: okazało się, że formy, w jakie układały się zwidy tych obu lekarzy, przypominają do złudzenia szkice i opisy na pół sennych majaków zachowane w muzeum medycyny, a pochodzące z drugiej po

łowy szesnastego wieku. Tamci młodzi ludzie, rzecz jasna, nie znali ich poprzednio, dopiero później profesor im je pokazał. Czy to nie zdumiewające? Te same czy podobne składniki chemiczne wywołują niemal identyczne reakcje i obrazy, mimo różnic otoczenia i jego wpływu na wrażliwość i wyobraźnię człowieka żyjącego przed czterema Stuleciami i obecnie. Wniosek: w niektórych strefach naszego życia nic się właściwie nie zmieniło. Stoimy w miejscu. Nie posunęliśmy się ani na jeden krok! Ty — powiedział śmiejąc się do żony i biorąc ją za rękę, aż jej bransoleta stuknęła o blat stołu, a panna Irmgard, wciąż zajęta ćmą, podniosła oczy w oczekiwaniu na słowa ojca — niewiele różnisz się od nawiedzonych mieszczyk, które skazano na stos w Kolonii w roku którymś tam; czytałem protokół ich kolejnych zeznań, po każdym zaostrzeniu metod wymuszania; jedna z nich podobno, jeśli wierzyć kronice sądowej, zeznawała swe przewiny śpiewem i wierszem, mimo iż była całkiem prostą dziewczyną usługującą w oberży i nie umiała oczywiście ani czytać, ani pisać; istnieją zatem dowody pośrednie, że pewne nasilenie cierpienia, fizycznego bólu, który przekroczył jakąś nie znaną dokładnie nam, lekarzom, barierę, bardzo indywidualną zresztą, może wywołać zjawiska, jakie powodują niektóre narkotyki, a także stan hipnozy: analfabeci piszą, czytają, tworzą wiersze, mówią nie znanymi im językami, i to bezbłędnie, wykonują taneczne ruchy, których nikt ich nigdy nie uczył i których nawet nigdy nie widzieli. Pewna stara kobieta, posądzona o czary i wzięta na męki, fikała kozły i stawiała na głowie... Nie do uwierzenia.

— Szkoda — powiedziała pani Emma wycofując dłoń z ręki męża i poprawiając nią uczesanie — wielka szkoda, że nie mogłeś w jakiś sposób zdobyć bodaj odrobiny tej maści profesora Peuckerta. Przecież go dobrze znasz. Zaraz bym na sobie wypróbowała. Powiedz, czy należy nią natrzeć całe ciało, czy tylko jakieś specjalnie dobrane miejsce? Nie wiesz? No to postaraj się koniecznie dowiedzieć, mój drogi.

Panna Irmgard puściła ćmę i patrząc na matkę zmarszczyła nos. Potem obraźliwie parsknęła, ale tamci oboje tego nie zauważyli. Weiler powiedział, nachylony do żony przez stół, dolewając jej wina z butelki:

— Nic straconego, moja kochana. W Kolonii istnieje taki

260

klub czy koło zajmujące się studiami nad magią, lecz także i jej praktycznym uprawianiem w bardzo niewielkim gronie. To są bzdury, rzecz jasna, ale jeśli ci aż tak na tym zależało, czemu nie.

— Czy mi na tym zależy! Boże kochany! Ty się jeszcze pytasz! Zawsze marzyłam o czymś podobnym. Życie jest tak okropnie nudne...

Wtedy doktor powiedział w zamyśleniu: — A swoją drogą, cóż się dziwić chłopom, kiedy i my, niby to ludzie nowocześni, wyzbyci wiary w cokolwiek nadzmysłowego, po tylu doświadczeniach, mający nasze własne, codzienne sprawy, zajęci pracą odległą, zdawałoby się, od wszelkiej mistyki, metafizyki, czy ja wiem — my też. No powiedz — zwrócił się do mnie. — Im bardziej wydajemy się przyziemni, realni — tym, wbrew logice, głębiej zanurzamy się w mistykę.

Nie pamiętam już, co mu na to odpowiedziałem, nie czekał zresztą odpowiedzi.

— Wicie — ciągnął dalej — że urzędowa statystyka stwierdza niezbitie, iż dziewięćdziesiąt blisko procent chłopów znad Bodensee do dziś wierzy w czary, gusła, czarownice i demony, w duchy zmarłych zamieniające się w upiory i tak dalej. Pełne średniowiecze mamy tuż pod bokiem wielkich metropolii superprzemysłu, ultranowoczesnej cywilizacji, czy to nie zabawne? W Liinebilrger Heide na przykład sześćdziesiąt pięć procent

chłopów, lecz nie wyłącznie chłopów, gdyż należy do nich dodać także pewną ilość drobnych kupców i rzemieślników, uprawia czynnie od czasu do czasu czarną magię. Podobno nawet kilku katolickich księży, a także pastorów... To są, moi drodzy, stwierdzone fakty. Wedle znawcy tych spraw, niejakiego Jana Kruse, mamy dziś na terenie całej Republiki Federalnej około dziesięciu tysięcy pokątnych znachorów i zamawia- czy czarów po wsiach i w małych miasteczkach, nie licząc wyprowadzaczy szczurów, a także pluskiew, karakonów i nawet pcheł. Podobno — ten Kruse utrzymuje, że widział to na własne oczy, a ja nie mam powodu mu nie wierzyć — na głos zamawiacza, rodzaj gwizdnięcia, pchły z sierści psa owczarka, a także z podłogi i pościeli, zewsząd, zbiegły się skacząc i posłusznie weszły do szklanego słoja, który trzymał na kolanach ten czarownik. Nie wolno mu tylko, powiedział Krusemu, stracić zaufania tych insektów, a więc

zabić czy wypuścić w miejscu, gdzie by zginęły z głodu czy z zimna. Nie chciał wyjaśnić jednak szczegółów dalszego z nimi postępowania. W Bawarii, a także w Wirtembergii istnieją, niemal że w każdej wsi, specjaliści od leczenia schorzeń skórnych, jak egzema, liszaje, krosty i wypryski, a także zatrzymania miesiączki, bezpłodności, impotencji, frigiditatis u kobiet — pomyśleć! w trzeciej ćwiartce dwudziestego wieku, u nas, w sercu Europy, po dwu wojnach trwa coś takiego jednocześnie i równoległe z cybernetyką i komputeryzacją, obok stada zainstalowanych mózgow elektronowych, i w dobie astronautyki, gdy najnowocześniejsze środki komunikacji, porozumienia się na odległość nie czynią już na nikim najmniejszego wrażenia. Cóż się dziwić, że i w nas czai się średniowiecze. Jesteśmy ogłuszeni i zim- munizowani, uodpornieni na nowoczesność, ktoś mówi coś, pokazuje nam, widzimy na własne oczy u siebie, w mieszkaniu, w telewizorze, a to przecież, gdyby się tak zastanowić, też cud. Nie interesuje nas, jaki cud, skąd się zrodził i jak, najwyżej ile kosztuje i czy najnowszy model. Widzimy ludzi chodzących po Księżycu i najnowszą kolej jed- noszynową gdzieś w Japonii, i coś tam jeszcze, i przeszczepienie serca i mówimy — dobrze, ale co nam z tego? A kilka kilometrów w bok od autostrady chłop fabrykuje w kotle wywar z jakichś ziół i nocą wychodzi, kiedy nów, czy może pełnia, i z tym garnkiem w rękach obraca się trzy razy w lewo i trzy razy w prawo, wypowiadając zaklęcia, zapisane przez kogoś czterysta lat temu, przekazywane z pokolenia na pokolenie, aktualne do dziś. I co najciekawsze, maść przyrządzona dla eksperymentu w naszym naukowym instytucie wedle recepty odnalezionnej w jakiejś klasztornej aptece działa bezbłędnie teraz, w dobie astronautyki i formuje wyobraźnię naszą w sposób identyczny jak pięćset lat temu, jakby nic, ale to absolutnie, się na świecie nie zmieniło!

— To piękne, fascynujące, to co ty mówisz! — wykrzyknęła pani Emma Weiler, a panna ^tznard znów popatrzyła drwiąco na matkę, potem na ojca, w końcu na mnie.

— Bzdury — mruknęła przez zęby i ziewnęła.

— Mów, co chcesz — powiedziała pani Weiler, nie zwracając uwagi na córkę — to jest takie piękne, że mimo tego wszystkiego, co mówiłeś — tej nieznośnej techniki, tej cybernetyki czy jak tam, telewizji i Bóg wie jeszcze czego, kina też, kino mnie nudzi od dawna — że Bogu dzięki ludz-

kość zachowała ten niewielki odcinek wolny od inwazji cywilizacji. Nieracjonalny, szaleńczy, i dlatego taki piękny! Chciałabym — zawsze o tym marzyłam — żeby móc żyć gdzieś w czternastym wieku, na jakimś zamku, ale niekoniecznie, mógłby być również klasztor, i wówczas byłabym na pewno czarownicą i żyłabym z diabłem, nawet gdyby mnie mieli dręczyć i wyciągać sznurami na takich zębatych wałkach, jakie pokazywałeś mi kiedyś w muzeum, i te powrozy skrzypiałyby, gdybym się naprężyła, kiedy kat pochylony nade mną kapalby roztopionym woskiem, a może gorącą oliwą na mnie, to tu, to tam, tak jak to robili wówczas, a ja śpiewałabym wysokim altem moje zeznania, jak jakąś arię czy hymn. W ogóle to były romantyczne czasy, nie to co dziś! Tylko monotonia i nuda. Jedyne problemy to — czy wygra SPD i Brandt, czy CDU z CSU i Strauss, czy może jakiś inny Kiesinger! A co mnie to wszystko obchodzi! Ciebie, Hans, pasjonuje przynajmniej piłka nożna i nie ma cię dla nikogo, jak jest jakiś mecz, ale ja? Kiedyś interesowałam się sportem, tak jak ty, chyba pamiętasz, Hans, byłam zupełnie nieprzytomna na stadionach, aż musiałeś mnie przytrzymywać i uspokajać. Na meczach piłki nożnej, ale i bokserskich. I nawet uprawiałam sama judo, ale teraz nic mnie już nie bawi. Nic, ale to zupełnie, absolutnie nic. Sama nie wiem, jak się to stało. Tak prawie nagle. Wszystko wyparowało czy wykopiało. Koniec i już. Jakoś się we mnie skończyła czy urwała taśma czy co. Pewnie się wyczerpał cały jej zapas.

Chyba nazajutrz po tym weekendzie z Weilerami i po fantej rozmowie spotkałem Turgieniewa, tego z grupy Ernesta. Ukłonił mi się na ulicy, a kiedy przystanąłem, podszedł do mnie. Weszliśmy razem do Cafe Central, bo ja miałem właśnie zamiar wypić moją

codzienną kawę z kremem i zjeść ulubione dwa rogaliki z migdałową masą, a on wszedł za mną. Bez wahania przysiadł się do mego stolika. Zagadnałem go, czy słyszał o istnieniu klubu satanistów w Kolonii, o którym wczoraj wspomniał Weiler.

Wzruszył ramionami przyglądając mi się przez dłuższą chwilę z nie ukrywaną ironią, jakby czymś ubawiony. Odruchowo sięgnąłem do kołnierzyka, poprawiłem krawat, strzepnąłem coś z klapy marynarki. Obserwował moje czynności gładząc brodę i uśmiechając się, bardzo z siebie zadowolony.

Oczywiście, jasne, że słyszał. On się — powinienem o tym wiedzieć — interesuje życiem, wszystkimi jego przejawami bez wyjątku, a zatem i tamtym też. Ale to są wierutne bzdury. Ulegają im ludzie ze starszego pokolenia, nieroby w rodzaju angielskich lordów, hiszpańskich grandów czy naszych superburzujów, w ogóle pasożyty różnego rodzaju, nie wiedzący, na co wydać pieniądze zrabowane ludziom pracy. Pijawki umierające z nudów i przesytu. W ogóle ludzki gnój. Produkt chemiczny gnicia. Ekskrementy.

Otrzymałem od niego pogładową lekcję, wykład na ten temat. Wysłuchałem go w milczeniu, nie protestując ani nie przerywając. Przez chwilę zdawało mi się, że oto czas się cofnął, że wróciłem w lata młodzieńcze i jestem znów na jakimś kursie na temat tego, co należy wiedzieć o prawach rządzących światem, na wykładzie wzbogaconym licznymi przykładami o ekscesach gnijącej burżuazji w jej schyłkowym stadium, tuż przed ostateczną klęską i naszym zwycięstwem. Arriba parias dela tierra! Bój to jest nasz ostatni! — bo to były czasy wojny hiszpańskiej i kilku moich kolegów walczyło gdzieś chyba pod Madrytem. Ciudad Universitaria. Jeden z nich poległ, mój najlepszy kumpel. A ja nie pojechałem. Drogi przerzutowe się spaliły czy coś takiego. Nie mogłem sobie tego darować przez dłuższy czas. Dopiero w więzieniu mi to przeszło. Uspokoilem się, bo oto zdobyłem dowód, że nie żyję dla byle czego, byle jak, bo zostałem w bojowych szeregach, w walce. I że nigdy się nie poddam. Nigdy, nigdy. Mimo tortur, nigdy! Całe życie aż do ostatniego tchnienia dla jednego celu, jednej idei. Boże kochany — jakże to dawno, aż nieprawdopodobnie dawno temu! Prehistoria! Wielkie ideały i wielkie mity! Niemal epoka wojen krzyżowych! Jaki ja byłem wówczas jeszcze młody! Co to były za piękne czasy! Mimo więzienia i obozu! Lata wiary, nadziei i miłości! Piękne dni, tygodnie, lata! Nawet piękna każda godzina spędzona i w Moabicie, i w Gross Rosen, i w Dachau. Razem, razem, razem! Wspólnie z innymi, ramię w ramię. Kiedy to było? I czy zdarzyło się istotnie?

Pamiętam, gdy mi w Gestapo z tryumfem pokazano jakieś zdjęcia z Hiszpanii, zakonnic gdzieś w Aragonie, z wy- lupionymi oczyma i oderżniętymi piersiami, nagie, porozwieszane na jakichś drutach czy drewnianych kozłach — „po zgwałceniu ich przez waszych!” — powiedział gestapo

wiec rozwalony na fotelu za stołem — a ja, wierząc, iż to albo faszystowska prowokacja, żeby nas zohydzić przed światem, a jeśli nawet nie, to na pewno anarchiści, którzy nam tyle zaszkodzili wówczas — chciałem się rzucić, napluć na tego tryumfującego zbira, lecz że byłem przytroczony rzemieniem do stołka i miałem kajdanki na rękach, mogłem zaledwie zakrzyknąć: to niecne kłamstwo, i wy o tym też wiecie! Więc, rzecz jasna, odpokutowałem za te słowa. Po godzinie rzucono mnie jak wór do podziemnego karceru, pobitego do nieprzytomności, z wyłamanymi dwoma palcami lewej ręki, które mam do dziś niezupełnie sprawne. Tak, tak — to były piękne, młode lata.

Tak mi się to wszystko wyraźnie przypomniało, jakbym teraz, w tej chwili, czekając, aż mi Heddi przyniesie moje ulubione rogaliki z migdałową masą, oglądał tamto na filmie: i ten pokój w Moabicie, i fotografie zakonnic, i bezczelnie tryumfujący pysk gestapowca. A ten mi tu, Turgieniew czy jak mu tam, który z nikim nigdy nie walczył, nigdy się tak naprawdę nikomu nie naraził, nic mu nie grozi, któremu wszystko wolno, który niczego nie rozumie, a mądrzy się — lecz w zamian nie pozna nigdy smaku takich pięknych chwil jak tamte moje, bo dzieli go od nich cała epoka, cała wieczność doznań i pojęć. I to od niego właśnie otrzymałem tę pogładową lekcję, ten aż wzruszający schemat powtórzony dokładnie po latach. I dzięki temu powrócił stary archiwalny film, nieco śmieszny być może, lecz który jednocześnie i wzrusza. Więc uśmiechnąłem się do siebie, ale tak, by tamten tego nie zauważył, żeby go nie przypuszczać do wspólnoty w tym wzruszeniu, gdyż nie był godzien. Żeby się od niego w moim wzruszeniu odgradzić.

Na wargach Turgieniewa błąkał się wciąż uśmieszek wyższości, zapewne w jego własnym pojęciu — z pozycji mędrca wobec durnia i cynika, za jakiego mnie uważał.

Przyniesiono mi kawę i rogaliki, więc sięgnąłem po nie, myśląc już o czym innym, lecz on uprzedził mnie. Jedząc już, powiedział mając pełne usta, więc niewyraźnie, iż tak magia jak i wyuzdanie seksualne — to objawy znane z historii, należy ją tylko lepiej poznać i czytać bez uprzedzeń i zakłamanych intencji. Rodzaje uciech, jakim oddawali się na przykład gnuśniejący Rzymianie tuż przed zagładą Her- culanum i Pompei. Kultura aleksandryjska. Rzym za Nerona. Coś w tym sensie w każdym razie. Radzi mi, żebym

sobie poczytał, bodaj Tacyta, ale nie tylko. Mógłby mi służyć wykazem autorów i tytułami lektur, które podbudowałyby moją wiedzę. Ale po co właściwie? Czy on ma czas zaprzętać sobie umysł stanem mego uświadomienia? Face- cje! Idiotyzm! Przecież ta cała epoka się na naszych oczach kończy, najwyraźniej się kończy. Ta, o której mi właśnie mówił. Ostatnie podrygi. Ohydna, gdyż bezwstydną agonią. Zrozumiałem chyba, o co mu idzie? Jeśli tak, no to znakomicie, aczkolwiek nie ma to najmniejszego praktycznego znaczenia. Gdyż takim jak ja nic już nie zdoła pomóc, nawet on sam, gdyby chciał. A nie chce. Bo mu wszystko jedno. Bo mu to wisi. Scheisse! — powiedział bez przekonania i nagle posmutniał, umilkł.

Poprawiwszy się na foteliku, dodał po chwili:

— Dekadencja całkowita. Totalne gnicie. Dno wychodka. Można, kto by chciał, zajrzeć do środka, w dół, a nawet wziąć kij i pobelać, ale po co? Że czuć? Wiadomo! Posypać wapnem, zasypać ziemią, udeptać, zaorać, wywalcować. Koniec. Kropka.

Przyglądałem mu się nie bez sympatii, życzliwie rozbawiony. Urywając łączywie kawałek rogalika i zaglądając, co w środku, odsunął okulary na czoło, ugryzł kawałek i posmakował, stwierdził, że nadzienie smaczne, gdy ja mu się wciąż przyglądałem coraz bardziej rozradowany wewnętrznie i przychylny. Powiedział żując ciasto:

— Dodam tylko, że przedśmiertelny taniec obecnego, pańskiego pokolenia jest w dodatku wyjątkowo obrzydliwy, znacznie przewyższający w swej ohydzie podobne rozrywki uprawiane w epokach upadającego Rzymu, kultury aleksandryjskiej, obu kalifatów, w Damaszku i Kordobie, feudalizmu w dobie Wielkiej Rewolucji, za Dyrektoriatu i tak dalej. Bardziej rozlazły, byle jaki, upodabniający was do sennych, nażartych pluskiew. Płasy brzuchatych impotentów — dodał ze smakiem kończąc moją kawę i otrzepując palce po ciastkach. Już stojąc, nachylony ku mnie, dodał tonem intymnego zwierzenia czy wyznania: — Ale i tak nie warto o tym mówić. No bo z kim? Nieprawdaż?

I poszedł sobie, a ja musiałem zamówić następną porcję ciastek i kawę ze śmietanką. Pijąc ją, myślałem z dużą dozą sympatii o tym zarozumiałym chłopcu w okularach, nie zdającym sobie dostatecznie sprawy, do jakiego stopnia jest dziecinny i śmieszny: miły młody człowiek, w gruncie rze czy. Bezsilny. Skazany z góry na klęskę. I chyba tego już świadomy. Wiele racji w tym, co mówi, szkoda tylko, że wyraża się tak schematycznie i że jest aż tak agresywny i zaczepny wbrew swoim wrodzonym skłonnościom. Gdyby nie to... No tak. Problem hysterii. Wywołanej sztucznymi podnieceniami, narkotykami, chociaż i tej zwyczajnej, jak Pan Bóg przykazał, a takiej nie brak i w mojej, potępionej generacji. Za duża huśtawka podrzucała nami, raz w górę, raz w dół. Kto by to tak bez śladu w sobie, bez skutków wytrzymał? Doprowadzenie się do histerycznych wybryków, zwolnienie wszystkich hamulców, ldey już nie stać na naturalne sposoby wyładowania się, ulżenia sobie.

Przeczytałem gdzieś, że w roku 1955 w londyńskim szpitalu „Royal Free Hospital” wybuchła epidemia hysterii, obejmując ponad stu chorych na różne choroby nie mające żadnego podkładu nerwowego ani neurastenicznego. Sytuacja stała się alarmująca do tego stopnia, że na okres od dwudziestego piątego lipca do dziesiątego października trzeba było szpital całkowicie zamknąć, nie przyjmując nowych pacjentów, by nie rozszerzać epidemii. Mikrobiologowie utrzymywali, że najprawdopodobniej szło o działanie jakiegoś nieznanego jeszcze wirusa. Wydaje mi się, że tego rodzaju epidemie hysterii musiały szerzyć się szczególnie w średniowieczu i kosztowały życie niejedną kobietę posądzoną o czary.

Wróciwszy wieczorem na Bornweg, zajrzałem do biblioteki i odnalazłem, czego szukałem. Pierwszy odnotowany w aktach prawnych proces o czary odbył się na terenie Niemiec w roku 1239, ostatni zaś w roku 1793. Głównymi pretekstami do wytoczenia procesów o uprawianie czarów były: u mężczyzn przeważnie podejrzenie o alchemię — rzecz jasna, jeśli nie była stosowana za zgodą lub z polecenia księcia czy biskupa w celu

znalezienia recepty na wytop złota z nieszlachetnych metali, piasku czy kamieni; ponadto: niezgodne z nauką Kościoła przekonania, a więc jawne lub skryte kacerstwo, głoszenie herezji oraz uznawanie sił nieczystych za równorzędne z wszechmocą boską, a także — jak dodaje uczony komentator — „wszelkie inne wykroczenia przeciwko wierze i nauce Kościoła powszechnego”, co dawało, rzecz prosta, możliwość interpretacji rozszerzającej i tak niemal nieograniczoną władzę organów świętej inkwizycji. Jeśli idzie o kobiety, najczęstszym motywem

oskarżenia była chęć zemsty, zazdrość czy chciwość konkurentek. Posądzano je o związki cielesne z szatanem. W tych warunkach głównymi ofiarami padały, rzecz jasna, kobiety wykazujące skłonności histeryczne.

Komentator wylicza kilkanaście gatunków schorzeń, które stawały się najczęstszym motywem oskarżenia: katatonia dająca objawy spazmatyczne — zeszywnienia lub tak zwanej woskowatości, pozwalającej układać i na dłuższy czas unieruchamiać członki w pozycjach normalnie nie spotykanych i trudnych do utrzymania się w nich dłużej; dalej wszelkie objawy epilepsji, uważanej jeszcze w siedemnastym wieku dość powszechnie za najmocniejszy dowód cielesnych związków z szatanem; drgawki epileptyczne, wedle komentarzy ówczesnych, równano z ruchami ciała w trakcie stosunku płciowego, z tym że zły, czyli inkub, nie był widoczny, tylko jego partnerka, czarownica. Pewien nader pobożny dominikanin z Wormacji utrzymywał, że dzięki ascezie, jaką uprawia, i umartwianiu ciała, a szczególnie postom, w czasie nawiedzania go przez wolę bożą, wprawiania się w rodzaj ekstazy, widuje nie tylko grzeszną niewiastę wijącą się w podrygach w objęciach złego ducha, lecz i jego samego, z rogami i ogonem, którym bije w trakcie coitu o ziemię, wywołując tym niesamowity hałas czy brzęk. Kazał swym pomocnikom, braciszkom zakonnym, przytrzymywać nawiedzoną mniszkę w trakcie ataku epilepsji mocno za ręce i nogi, sam zaś, głośno modląc się i śpiewając hymn do Ducha Świętego, wyciągnawszy oba ramiona nad miotaną drgawkami, usiłował ująć diabła pod pachy, za biodra lub za wijący się ogon i odciągnąć na siłę od nieszczęsnej, która miotła się w górę i w dół, i na boki, plując i charcząc, a gęsta piana pełna krwi z pokąsanych warg oraz języka pryskała na ręce trzymających ją braciszków zakonnych i na twarz nachylającego się nad nią egzorcysty. Gdy atak ustawał i ofiara, zmęczona diabelskim bestialstwem, popadała w rodzaj sztywnego omdlenia, pobożny egzorcysta ze świętego kolegium z Wormacji, klęcząc obok uspionej i modląc się bez przerwy całą noc aż do świtu, osiągał przynajmniej to, że nawiedzona, ocknąwszy się z omdlenia czy letargu, o niczym nie pamiętała, przysięgając, że tuż przed utratą świadomości opanował ją wielki, niezmierzony strach, iż upadnie i pokaleczy się, nic ponadto. Notujący-wszystko to braciszek zapisał, że, co najdziwniejsze, badanie szczegółowe oskarżonej ustaliło bez żadnej wątpliwości, iż pozostała nietkniętą, „jej błona dziewicza nie była naruszona w żaden widoczny sposób” — co zostało uznane za dowód, iż gorliwe modlitwy odprawiane przy molestowanej przez złego ducha spowodowały, że mimo usiłowań — „trykań co siła i wbijania swego ognistego, rozjarzonego do czerwoności fallusa na różne sposoby” — defloracji dokonać nie zdołał „i w końcu, wydając ze siebie smród nieznośny, ze wstydem uszedł z uniesionym ogonem, pozostawiając za sobą smugę krwawej zakrzepłej spermy”.

Odłożyłem gruby tom na swoje miejsce.

Znów powróciły w pamięci strzępki rozmów. Strapienia nękające matki i ojców rodzin, kłopoty z potomstwem. W kółko to samo.

Młoda generacja ma poniekąd swoje moralne racje. Nie w pełni jednak, to byłaby gruba przesada, i nie w pozer- skim nieco stylu kontestacji, raczej w ogólnym założeniu i wyborze kierunku. Wszyscy o tym mówimy, gdy się na te tematy zaczyna dyskutować. Modny temat i w praktyce niewyczerpany. Zwłaszcza niektóre panie rozsmakowu- ją się w tych dyskusjach. Mężczyźni są na ogół dyskretniej- si i bardziej powściągliwi w ujawnianiu szczegółów i wyliczaniu pretensji do swego potomstwa.

Nie raz toczyłem rozmowy na te tematy z moimi znajomymi i przyjaciółmi, kilku lekarzami, chociażby z Weilerem, •który ma kłopoty ze starszym synem, bo młodszy to od- wrotność tamtego — po prostu wzór, przyszły, bo ja wiem, syndyk bankowy, prokurent, przedsiębiorca budowlany, w każdym razie businessman, to pewne. Lecz dzieci innych... Zbuntowani synkowie, niesforne, wyuzdane jakoby córeczki! Groza, co tu ukrywać!

Szczęście, że babcia — zawsze jest w każdej rodzinie taka szczęśliwa babcia — tego nie dożyła! Albo że dziadek przygłuchy, nie słyszy, co opowiada jego ukochana wnuczka!

— U córki — niech pan mnie posłucha — mówi jedna z pań, żona mego kolegi z palestry — znalazłam w torebce pigułki antykoncepcyjne! I ona nic! Nawet śladu zażenowania! Jakby szło o pastylki Valda na kaszel czy o cukierki ślazowe. Całkowita beztroska, zaskakująca dezyn- woltura! Może jesteśmy oboje z mężem nieco tradycyjni, to fakt, ale pan wybaczy, takie coś! Wszystko ma swoje gra-

nice, nawet nasza tolerancja. Zabrałam jej, rzecz jasna, te pigułki i wrzuciłam do zlewu.

— I co ona na to? — spytała inna pani, żona innego kolegi, której dwie córki wyszły za mąż bardzo korzystnie i podobno nigdy jej nie sprawiały najmniejszych kłopotów. .

— A bo ja wiem — zachnęła się ta pierwsza. — Z pewnością kupi sobie nową porcję. Na zdrowiel Cóż ja biedna na to w końcu mogę poradzić. Ma swoje pieniądze...

Tamtą drugą na to: — Wolalabyś, żeby ci zaszła? I żeby się psuła? Ach, z tym też kłopoty, i to znacznie gorsze. I kosztuje, i szkodzi na zdrowie. Wszyscy tak mówią.

Ta pierwsza zamyśliła się: — Pewnie masz rację, moja droga. Ale gdybyś tak ty nagle, niespodziewanie natknęła się na takie coś, to też by cię poniosło.

Podobne rozmowy wciąż słyszę dokoła. Gdy pytają, jak z moim synem, odpowiadam, że nie odczuwam zbytnich trudności. Jest już zresztą dorosły i sam za siebie odpowiada. Niektóre panie robią wówczas do siebie różne miny; wiedzą coś niecoś o moich stosunkach z młodzieżą. Idzie o te dziewczyny. Może to tylko plotki — tak myślą sobie — ale kto go tam wie. Słyszała pani? No, o tej hippisce, którą trzyma u siebie w willi...

Ten stan zagrożenia, jak ktoś to nazwał, te kłopoty z młodymi, określa wyraźna granica wieku. Kzadko sięga poza dwadzieścia dwa — dwadzieścia cztery lata. U chłopaków trwa to zazwyczaj nieco dłużej, dziewczyny albo szybciej naginają się do obowiązujących norm, albo marnują się całkowicie, wykołują. Po studiach, niekiedy w czasie ich trwania, większość traci rozpęd, rozsądnieje, cała sprawa powoli i niepostrzeżenie wygasa, uspokaja się, konflikty rozmazują, blakną, zanikają. Niby para z przegrzanego kotła — zapał, pasja, chęć buntu uchodzą z sykiem, potem kocioł zaczyna stygnąć i po kłopotach. Trzeba pracować, produkować, zarabiać produkując i sprzedając więcej, żeby móc więcej konsumować, i tak w kółko. Błędne koło — produkcja—konsumpcja się zamyka. Nie starcza czasu na głupstwa, rodzą się własne dzieci, trzeba im zapewnić przyszłość. Te niegdyś ultranowoczesne dziewczyny, hippiski i koryfejki młodzieżowych band i komun, stają się pocziwymi matkami, żonami. Uczucia nigdy zbyt gwałtowne — więcej było w tym pozy i mody niż temperamentu — wygasają. Nastaje era sytości i lęku, żeby się koniunktura gospodarcza przypadkiem nie skończyła.

Ale na razie zdarzają się wyskoki wprost nie do pojęcia. Oto przypadek, jaki zdarzył się u nas, w Koblencji, nie dawniej niż rok temu, w 1968: pewien zamożny przedsię[^] biorca, jak wieść krąży, zabezpieczył się na wszelki wypadek przed niespodziankami ze strony córki na czas swego miesięcznego urlopu. Zamierzał spędzić go na Wyspach Kanaryjskich ze swą przyjaciółką. Jest wdowcem i ojcem panny w wieku lat siedemnastu, odznaczającej się dużą urodą, a także sporym, jak się zdaje, temperamentem i wzięciem u tutejszej młodzieży. Żeby być całkowicie pewnym, zamówił u rymarza odrysowany ze wzoru w jakiejś książce model pasa cnoty i razem ze swą przyjaciółką założył swej córeczce. Nie obyło się bez użycia gwałtu i przy okazji solidnego lania spuszczonego panience za pomocą szpicruty przez nienawidzącą jej przyjaciółkę tego pana, która, jak się wydaje, namówiła go do całej tej wprost nie do uwierzenia historii. Gdy go zapytano, w formie zresztą raczej żartu niż zarzutu — bo sprawa wydała się zanadto humorystyczna, by ją brać na serio, wręcz nieprawdopodobna — ze śmiechem wyparł się wszystkiego. Niemniej jakiś wścib- ski reporter dotarł do rymarza, który wykonał zamówienie, i ten, przekupiony czy po prostu gaduła, wydał całą tajemnicę. Ośmieszona panna musiała wyjechać z Koblencji do jakiejś ekskluzywnej szkoły zakonnej, o co zresztą zdaje się chodziło przyjaciółce pana X. Cały ten skandal, rozdmuchany przez prasę — dobrze jeszcze, że nie podano pełnego nazwiska zainteresowanego ani imienia jego córki, zaledwie ich inicjały — stał się przedmiotem rozradowania miejscowego towarzystwa, licznych żartów i jak wszystko, sensacją zaledwie jednego sezonu. Nie tak dawno znów spotkałem pannę X, ekstrawagancko odzianą,

spacerującą po Koblencji. Zatem wróciła, zaś przyjaciółka pana X postawiła na swoim i wyszła za niego za mąż. Wszystko więc powoli wróciło do normy.

Gdy tak ci z mego pokolenia przyrównują, wydziwiają, gorszą się, uśmiecham się. I oni wtedy też zazwyczaj wybuchają śmiechem. Bo okres ich młodości, ich dorastania, nie był aż tak znów niewinny. Rozumiemy się. Tamte lata, zwłaszcza trzydzieste. I późniejsze też. Bywało różnie. Często gorzej. Te mundury, te wykrzykiwane chóralnie hasła,

te ówczesne ideały. Lepiej tego nie wspominać. Nie budzić bez potrzeby uspiomych demonów przeszłości. W istocie nie byliśmy tacy święci, ma pan zupełną rację — mówią. Ale potem znów budzi się w nich nutka żalu, irytacja: bo czemu ci gówniarze wszystko muszą zaraz opluć, wyszydzić? Bezcelni i zarozumiali! Jeśli oni takimi zostaną, jacy są obecnie, gdy się nie zmieniają — czy się nie zmarnują, nie roztrwonią tego wszystkiego, cośmy z takim trudem własną pracą, w pocie czoła osiągnęli? Bóg raczy wiedzieć!

Rozmowa schodzi na tematy ogólniejsze. Czy hitleryzm, to znaczy właściwie jakiś neohitleryzm, dajmy na to NPD, ma jakiegokolwiek szanse, czy stanowi realne niebezpieczeństwo. Idzie, rzecz jasna, o młodzież, nie o starych niedobitków mających wciąż jeszcze czkawkę po tamtym, za czym skrycie tęsknią, co im się śni, i wtedy uśmiechają się przez sen, jak oseski marzące o ciepłym mleku z piersi matki. O tych mniejsza, nie warto o nich mówić, i tak wymrą. Ale młodzi? Prędzej czy później to oni zdecydują o przyszłości Niemiec, Europy, całego cywilizowanego świata. Stąd — nie byle problem. Jest się czym martwić, o co spierać.

— Nie można w ogóle mówić o neohitleryzmie — oburza się ktoś — najwyżej o neofaszyzmie. Tamten jest tak gruntownie skompromitowany, że nie ma o nim w ogóle mowy. Nie wchodzi się dwukrotnie do tej samej rzeki.

Powiedziałem, o ile dokładnie pamiętam — a rozmowa toczyła się wśród samych kolegów z miejscowej palestry, w bufecie, w czasie przerwy w obradach — że co do całkowitej kompromitacji pojęcia hitleryzmu, zgadzam się, lecz w ogóle słowo faszyzm niewiele dziś znaczy, tak jak i słowo demokracja. Bo co to jest demokracja? Gdy mnie pytają, co o niej sądzę, pytam przede wszystkim jaka. Tak samo faszyzm. To zbyt pakowne pojęcie, worek, do którego można wrzucić dosłownie wszystko, do czego czujemy anse, czego nie lubimy, czego nienawidzimy. Rodzaj obelgi, stygmatu hańby, napisu na murze, jakiegoś „Nigdy!” albo „Precz!” Należałoby jakoś te pojęcia uściślić. Co to właściwie jest? Jak i czym to się je? Inaczej — to się rozwadnia, banalizuje.

Obaj z mecenasem Alb. zgodziliśmy się bez trudu, że liberalizm, czy jak kto woli, demoliberalizm, zwłaszcza ta jego tradycyjna forma parlamentarnych rządów chwiejnej większości, tak typowa dla Francji Trzeciej Republiki — to przeżytek, przeszłość, zamknięta karta historii. Trzeba się z tym faktem pogodzić, trudno. Kto pokochał tę formę — niech teraz oplakuje jej zgon. Co do mnie — godzę się bez zbytniego żalu. Nie wyleję ani jednej łzy z tej przyczyny. Zresztą tak naprawdę ten autentyczny liberalizm skończył się wraz z dziewiętnastym stuleciem, w którym się urodził wraz ze zwycięstwem burżuazji. Gdy mieszczaństwo wstępowało po szczeblach drabiny, by stać się klasą zwycięską i niemal wszechwładną w całej Europie (z wyjątkiem tylko Turcji otomańskiej, no i carskiej Rosji) liberalizm był niezawodnie ideologią wstępującą również; gdy rola mieszczaństwa zaczęła się gwałtownie załamywać i kurczyć, liberalizm stawał się z roku na rok własną parodią. Stracił szanse. Jeśli jeszcze gdzieś istnieje, przetrwał wyłącznie siłą bezwładności. Pierwszy lepszy podmuch zwali go jak spróchniałe drzewo. Koniec pieśni. Pytanie tylko, co na miejsce tamtej przestarzałej formy ma nadejść, coś, co już może niepostrzeżenie się ku nam skrada, co odpowiada bardziej epoce postindustrialnej, sięgając aż w kosmos, a jednocześnie i do wnętrza człowieka, który traci zaufanie do siebie i do tego, co go otacza. Czuje się coraz bardziej samotny w tłumie takich jak on, zagrożony i niepewny, zdając sobie dobrze z tego sprawę, że jako jednostka traci nie tylko na znaczeniu, lecz i na wartości, według reguły: wzrastająca ilość obniża cenę. Jednostka przestaje się liczyć. Zapewne — wciąż jeszcze ludzie wybitni, potrzebni komuś do czegoś w jakiejś chwili, na jakimś etapie — ale cała reszta? Nawet już nie jako mięso armatnie. Do obsługi aparatury przyszłej wojny wystarczą przyuczone jednostki. Szare szeregi tradycyjnej, maszerującej w

kurzu piechoty, nawet zmotoryzowanej, jak w ostatniej wojnie, nawet w czołgach — to już chyba przeszłość.

Jeśli idzie o mnie, trudno wymagać, żebym kochał liberalizm jako system społeczny, jako model demokracji parlamentarnej, a nie jako racjonalne, stopniowe poszerzanie praw jednostki. Mimo iż korzystam przecież z ulg i przywilejów, jakie daje liberalizm. Inni, cokolwiek myślą, chowają głowy w piasek. Lepiej więc zmienić temat. Staje się w końcu nudny. Tak niewiele od nas zależy. W niewielkiej mierze — poprawia ktoś. Tak — wkrótce wybory. Też coś warte, mimo tego, coś nagadał tu przeciw liberalizmowi. Wolałbyś co? Faszyzm? Nie. No to co? Aha — wiemy,

wiemy — komunistyczne nawyki, komunistyczna czkawka, mimo wszystko jednak — jeszcze wciąż. — Ty — śmieje się jeden z kolegów patrząc na mnie i mrużąc filuternie oko — każesz sobie nawet do trumny włożyć w ręce obrazek święty, pytanie tylko z kim — Stalinem, Leninem czy Mao? — Bzdura! — mówię krzywiąc się. — Oczywiście, oczywiście. To przecież tylko żarty. Nie obrażaj się, przecież wiemy, jaki jesteś. — Oblaskawiony, co? — pytam. — Skądże znowu! — wołają — rozsądny, i w ogóle porządny Niemiec, swój chłop... Czy nie tak? — Zapewne, zapewne.

Rozmowa schodzi — wtedy czy innym razem, lecz w tym samym składzie i chyba również w bufecie sądowym, jeśli nie w restauracji „Zum Gockel” — ■jna temat mnożącej się jak grzyby po deszczu prasy młodzieżowej. Kto to wszystko czyta, kto finansuje? Kto się w tym orientuje? Przecież wszyscy wiemy, ile to może kosztować, a zatem?

Zwłaszcza w ostatnich dwu latach ukazywało się tego tyle, że mało kto z nas potrafiłby wymienić bodaj połowę tytułów tych efemeryd. Niektóre miały dwa, inne najwyżej trzy numery, trafiały się i jednorazowe edycje. Wydawane przez różne mało znane ugrupowania, za którymi zapewne stoi jakiś patron, który użycza kredytu, ale także, jak się okazuje, firmowane przez uniwersytety, nawet gimnazja. Jeden z moich kolegów, adwokatów, przyniósł, by nam pokazać, cały plik z ostatnich dwu miesięcy. Rzucił na stół. Góra zadrukowanego papieru. Niektóre pisemka nawet ilustrowane. Fotografie, fotomontaże, rysunki, jedno- i wielobarwne, na papierze gazetowym i 'na lepszym, nawet luksusowym, na kredzie.

Okazało się na przykład, że w takim Baden-Baden — kto by się tego spodziewał! — wychodziło, a może nawet jeszcze wychodzi pismo uczniowskie pod tytułem bardzo bojowym: „Ca ira”. Ultrarewolucyjne i straszliwie naiwne, wręcz dziecinne. Same slogany, pogrożki, zapowiedzi.

Albo inne: Kurftirstliche Gymnasium w Bensheim wydaje pisemko pod tytułem „Kurfurst”. Tytuł nie przypadł mi do gustu. Nasunął mi bowiem analogie do czasów, których moi koledzy z palestry wołają nie wspominać. Jakieś dekle, komersy. Nie chciało mi się czytać tasiemcowych artykułów tego „Kurftirsta”.

Herder-Schule w Kassel patronuje pisemku, które nazywa się MKieker”, zaś w zachodnim Berlinie ukazuje się „Schule-Echo”. Tutaj już pełnia seksualnego wyżycia się młodych redaktorów. Bez jakichkolwiek ograniczeń. Berlin bije zresztą na głowę w ostatnim czasie w tej dziedzinie wszystkie inne niemieckie miasta, nie wyłączając Hamburga. Wystarczą tematy felietonów, czy są to może problem* we artykuły w tym „Szkołnym Echu”, takie jak: reportaż z dzielnicy rozpusty w Berlinie, pod obiecującym tytułem „In der Berliner Fickanstalt” — „W berlińskim burdelu”; Młodzi nie liczą się z nazewnictwem, ze słownictwem, nie ma w tej dziedzinie zresztą praktycznie żadnej cenzury. Wyrazy, jakie można było dawniej odnaleźć tylko w szaletach publicznych i na parkanach przedmieść, drukuje się obecnie wielką czcionką na pierwszej stronie. Rysunki towarzyszące tym elaboratom należą do najordynarniejszej pornografii, jaką udało mi się spotkać. Kto to redaguje i dla kogo? Czy młodzież to wszystko czyta, czy ją to bawi, a może podnieca? Wątpię.

Tytuł w tym pisemku: „Czy trzeba będzie dziewczyny przytraczać do rusztowania, czy też przywiązywać do oparcia łóżka?”, a obok dezyderat, rozkaz, czy tylko prośba skierowana do płci pięknej: „Rajtki w dół — nogi szerzej 1” — „Hose runter — Beine breiter!” Przypomniało mi się, że podobne hasło gdzieś już czytałem obok fotografii w sposób naoczny i dosłowny ilustrujących kolejne stadia wykonywania tej mało skomplikowanej i od wieków stosowanej operacji wstępnej. I że było to pisemko wydawane w Sankt Pauli, o charakterze niedwuznacznym. I zastanowiłem się, czy tak daleko posunięta jawność, prowokacyjna i bezczelna, z jaką obecnie młodzież, czy też tylko jej część, ta najbardziej hałaśliwa i

rzucająca się w oczy — bo piśmiok berlińskie wydaje się skierowane do młodocianego odbiorcy, redagowane przez młodych dla młodych, a nie, jak wiele innych, przez spryciarzy całkiem dorosłych w celach zysku, korzystających z koniunktury, i przeznaczone dla dorosłych erotomanów — jest szczera, czy jest to raczej poza, zgrywa, jak to u nich, moda na cynizm lub ekshibicjonizm jako reakcja na mieszczańską obłudę i zakłamanie szczególnie jaskrawe w tej właśnie dziedzinie.

Jeden z moich kolegów, bynajmniej nie purytanin, oburzał się przeglądając te piśmioka. Potem przyznał mi się, że żał mu odtajnienia czy ujawnienia wszem wobec, jakby odtajnienia przez herolda na rynku — tych spraw okrytych

dotychczas tajemnicą. Tracą bowiem urok grzechu. Owocu zakazanego. Czy i ja tego tak nie odczuwam.

Na przykład w dziedzinie mody. Jej historia jest przeglądem wznoszenia się i opadania pewnych prądów, tendencji podyktowanych nie tylko interesami domów towarowych, wielkich firm, jakichś paryskich królowych w tej dziedzinie, narzucających gusty wszystkim kobietom na świecie, lecz także głębszymi potrzebami natury społecznej. Idzie o kokieterię, o słabnięcie i wzmacnianie bodźców niezbędnych dla utrzymania gatunku. Kokieteria — twierdzi mój znajomy, i chyba nie bez racji — wraz ze swą otoczką estetyczną nie jest niczym innym jak niezbędnym środkiem do wywoływania i podtrzymywania męskiego zainteresowania i co za tym, podniecenia. Gdy bodźce słabną, a następuje to wskutek przyzwyczajenia się, opatrzenia jakiegoś wzorca urody czy ubioru, trzeba wynaleźć nowy środek podniecający. Kobiety osłaniają się od stóp po szyję i wtedy rzadko widywane części ciała zwyczajują w cenie na giełdzie mody, stają się atrakcyjniejsze. Czytamy w literaturze dziewiętnastowiecznej, jakie wrażenie wywierała na mężczyznach przypadkowo, przy jakiejś okazji odkryta do kostki kobieca noga. Albo dekolty balowe. A także metody nieco perwersyjne, które podkreślały, niby to zakrywając, te części ciała, o których mawiało się wyłącznie szeptem i na ucho — idzie o tak zwane tiurniury. I tak dalej, i tak dalej. Mody zmieniają się łącznie z obyczajami, są ich wtórnym odbiciem. Rewolucja francuska odsłoniła kobietom gors, jak wówczas nazywano biust, a także nogi powyżej kolan. Moda wzorowana na antyku, na strojach greckich i rzymskich. Topless, nieco tylko zawoalowany, był już modny za czasów Dyrektoriatu. Później, w miarę stabilizacji Pierwszego Cesarstwa, nastąpił nawrót do purytanizmu.

Wiek tryumfu mieszczaństwa, dziewiętnaste stulecie, okrył kobietę suknią aż do ziemi. Być może, jest to niemal pewne, iż odegrało tu rolę tak nieodłączną od mentalności mieszczańskiej tamtego okresu poczucie prawa własności nietykalnej i świętej. Dalekie echa obyczajów panujących w haremach. Żona to własność. Na pokaz — tylko pod kontrolą. Jej suknie, stroje, precjoza świadczyły o zamożności męża, liczyły się jak akcje na giełdzie, jednocześnie — wara obcym od tej nietykalnej własności; kraty haremu zastępował kodeks obyczajowy i pancierz stroju. Tak to mniej więcej wyglądało.

Nasze czasy to zupełna w tej dziedzinie swoboda i anarchia. Daje to zabawne efekty w praktyce, gdy zetkną się pojęcia takie, jak zgorszenie — będące zarazem jednym ze składników miłego podniecenia wskutek zaskoczenia nowością u ludzi z poprzedniej generacji — i całkowite zubożenie na te bodźce u młodego pokolenia. Nasze zastrzeżenia, nasze zgorszenie podszyte zaciekawieniem, nasza dwuznaczna rola w tym wszystkim są w oczach młodzieży czymś niezamierzenie komicznym. Wyglądamy jak drepcący w miejscu z podniecenia podglądacze, z okiem przy dziurze w ogrodzeniu solarium.

Wielu mym znajomym szkoda tego właśnie zaciekawienia podszytego leciutkim zażenowaniem, tego wchodzenia nie od frontu, lecz tajnymi, tylnymi schodami. Czy nie tak? Można by powiedzieć w formie tak zwanej złotej myśli: im bardziej kobieta publicznie zasłonięta, jak to bywało ongiś, z tym większym zapałem odsłania się ją w miejscach, do których wejście jest zastrzeżone. To tak mniej więcej, jak z każdym zakazem, jak z prohibicją w Stanach przed laty. Każde ograniczenie podnosi cenę. I tyle tylko.

Gorset nie dopuszczał wprawdzie ani powietrza, ani niedyskretnych rąk do tej świątyni wdzięków, lecz wypychając biust w górę, spiętrzając go i ściskając do granic wytrzymałości i utraty tchu, zaznaczał przez to jego imponującą obfitość i kuszący kształt. Tak i z innymi częściami damskiej garderoby. Epoka kultury mieszczańskiej, długich majtek z falbankami i halek doprowadziła sztukę aluzji seksualnych do perfekcji, wręcz do mistrzostwa.

Obecnie przy pełnej swobodzie, usunięciu niemal całkowitym jakichkolwiek barier w tej dziedzinie, to odtajnienie i ujawnienie wszystkiego, co dawniej stanowiło tereny zastrzeżone

dla domysłów, aluzji i przedmiot kupna dla chętnych miabywców, przyniosło zblazowanie i przesyt. Zatem można by się spodziewać, iż dokonał się przewrót w odwrotnym kierunku niż ten z początków zeszłego stulecia. Trudno byłoby mi coś konkretnego powiedzieć na ten temat.

Jedno jest pewne, a stwierdziłem to sam, mając okazję spotkania młodych z otoczenia Ernesta, a także i bezpośrednio własne doświadczenia ze stosunków całkiem już

intymnych z dziewczętami z tegoż środowiska: że akt płciowy stał się u nich czymś całkowicie banalnym, zwyczajnym, czymś takim jak wypicie kawy, wypalenie papierosa, pójście do kina. Żadnych przy tym emocji wykraczających poza wszelkie inne, z okazji na przykład uczestniczenia w happeningu, słuchania jazzu, palenia haszyszu czy po wypiciu kilku kieliszków wódki. Ze strony dziewcząt całkowity brak kokieterii. Ani, tym bardziej, udawania wsty- dliwości czy podniecenia. Tego typu reakcje uważane byłyby za coś tak dalece archaicznego, śmiesznego i wręcz niezrozumiałego, jak wzięcie na serio konwencji zaczerpniętej z operetki Księżniczka czardasza czy Wesoła wdówka. W taki sposób żyły nasze babki, a może raczej już prababki. Epoka cesarza Wilhelma, i to tego pierwszego, tego który stał kiedyś na postumencie przy Deutsche Ecke u zbiegu Renu z Mozela, a nie tego drugiego, tego z Doorn, z bródką, a przedtem z wąsikami zaczesanymi do góry. Archiwum, muzeum osobliwości, panoptikum. Może dziadzio jeszcze pamięta, bo ojciec już nie. Czasami powraca jako moda retro.

Jeden z młodych pokazywał nawet bardzo zabawnie — wykonując rodzaj pantomimy w mojej kancelarii, przy wybuchach śmiechu całej reszty towarzystwa — jak jego dziadek zabierał się do babci w noc poślubną, a także jak się zachowywał w domu schadzek.

Otóż moje kolejne partnerki — a było ich kilka, z gestii, jakby się można wyrazić, czy na zlecenie mego syna — zachowały się tak, jakby szło o coś najzupełniej zwyczajnego, banalnego, niby wspólne obejrzenie filmu. Cienia zażenowania, ani sekundy wahania. Jedna z nich, nie znalazłszy w torebce pigulek antykoncepcyjnych, wysypawszy wszystkie drobiazgi z torebki na blat mego biurka i przekonawszy się, że ich zabrakło, zwróciła się do mnie, będąc przekonana, że na wszelki wypadek trzymam w którejś z szuflad spory ich zapas. Gdy się okazało — ku jej zdziwieniu — że nie posiadam ani jednej, że nie mam też prezerwatywy, powiedziała: — No nic. Poradzę sobie jakoś inaczej. Zresztą — policzyła na palcach dni — jest to okres bezpieczny, więc niewiele ryzykuję.

Wśród młodych straciły na atrakcyjności części ciała niegdyś tak podniecające, gdyż zakrywane, a dziś banalne, gdyż ujawniane na każdym kroku. Na ekranie, na scenie, w prasie, na prywatkach. Byłem świadkiem, jak w kancelarii, w upalny dzień, kilka dziewcząt bez wahania ściągnęło golfy przez głowy, obnażając się do pasa. Ich topless nie zrobił na chłopakach najmniejszego wrażenia, tak jakby zdjęły na przykład rękawiczki. Atrakcyjne pozostały już chyba tylko genitalia. One jedne.

Dopiero niektóre narkotyki powodują zmianę stylu w dziedzinie stosunków erotycznych, i to czasami w sposób nader gwałtowny, dochodzący do objawów hysterii. Wówczas niepowściągliwość w słowach i gestach, jako wywołana sztucznie, nie jest uważana w tym środowisku za coś wstydliwego, prowincjonalnego i staroświeckiego.

Na ostatniej stronie czasopisma, które przerzucałem, znajdował się anons, na który zwróciłem uwagę: Misja papieska, podając dokładny adres: Aachen 55, Hermannstrasse 14, zwraca się do wszystkich katolików, a także niewierzących lub innowierców, lecz dobrej woli, z apelem, by poparli Wielką Akcję. Przeczytałem:

„Człowiek zdobywa Kosmos i zapomina o Ziemi. Miliony głodują, pozostając w stanie niewolnictwa, prześladowane i mordowane. Serce człowieka potrafi być okrutniejsze od bomby atomowej. Zmieńmy to! Leży to w naszej mocy, byleśmy tylko gorąco pragnęli nie zważając na żadne przeszkody! Potrzeba nam nowych ludzi, osób ze świadomością i sumieniem, nie pozbawionych poczucia odpowiedzialności za los społeczeństwa i pełnych poczucia sprawiedliwości oraz miłości bliźniego. Chrystus nas wzywa: oto nasza Misja L”

Tuż obok, na rozkładówce tego samego pisma — fotka dziewczyny reklamującej elastyczne perfumowane majteczki. Krótka, na chłopaka ostrzyżona główka, grzywka spadająca na brwi, jedno oko filuternie zmrużone, koniuszek jasnorożowego języka wysunięty spomiędzy warg. Patrzy tak, robiąc do mnie oko, zachęcając, bym nie tracąc czasu udał się

natychmiast do najbliższego magazynu i nabył takie właśnie majteczki o zapachu różanym lub fiołkowym, albo jaśminowym. Symbol kwiatu wyszyty na skraju krótkiej nogawki majteczek. Dziewczyna na zdjęciu zgięła w kolanie nogę, celując szpicem stopy w otwór majtek, w nogawkę rozsuniętą nieco palcami. Paznokcie jej ręki lśnią jasnocynobrowym lakierem. Druga noga wyprostowana i wyprężona. Tkanina, z jakiej wykonano reklamowane majtki, rodzaj slipów, wygląda, jakby była z gumy. Jest

mięka, cieniutka, niemal przezroczysta i gładka, lecz zarazem matowa. Wygląda niemal jak nieco upudrowona ludzka skóra. Opina każdy załomek ciała, uwydatniając wszystkie szczegóły, na przykład wyjątkowo wydatny pubis dziewczyny na zdjęciu. Ciemne i gęste uwłosienie prześwituje przez cieniutką tkaninę, tworząc wyraźny i regularny trójkąt.

Boutique Lido sprzedaje te wszystkie cuda, para takich uperfumowanych majteczek kosztuje zaledwie sześć marek. Są tacy, jak na przykład doktor Weiler, którzy utrzymują, że perfumowane slipy zabijają naturalną woń, która go szczególnie podnieca. Zwierzał mi się z tego w obecności żony i córki.

Panią uśmiechając się do mnie jedną ręką naciąga majtki, drugą odchyliła na bok; wskazujący palec dłoni przypadkowo skierowany jest wprost ku ogłoszeniu zapowiadającemu „Niedzielę Akcji Światowej” w całym Pałacie-nadle. We wszystkich kościołach katolickich będą przez kwadrans bić dzwony, by zwołać wiernych i zachęcić ich do czynnego udziału w tej chwalebnej akcji.

Za czasów mojej młodości mieliśmy „Bettauer's Wochen-schrift”, zanim je zamknięto. Można było w nim znaleźć wśród artykułów politycznych i apelów do zwarcia szeregów i wspólnej walki z narastającą falą faszyzmu również zdjęcia i rysunki, które można by było określić jako — najłagodniej mówiąc — kryptopornograficzne. Były to znamiona liberalizmu, mogące w tamtym okresie oznaczać postępowość, a nawet skrajną lewicowość. To pojęcia ząbały się i wzajemnie mieszały, stwarzając zabawne sytuacje. Na mityngach, a także szkoleniach ktoś nas ostrzegł, że pismo wydawane przez Hugona Bettauera należy oceniać z rezerwą, gdyż propaguje obce nam idee zaczerpnięte z trockizmu, powodując dezorientację wśród mniej obytych, kusząc pornografią pod pokrywką swobody obyczajów i walki z mieszczańską obłudą. Że jest chytrze zakamuflowaną wrogą dywersją. Mimo to my, młodzi chłopcy, wyrwaliśmy sobie kolejne zeszyty tego pisma, komentując najrozmaiciej i artykuły, i karykatury, i satyryczne, zjadliwe wiersze, a także fotki rozebranych pańienek, za? mieszczane na przykład pod pretekstem druku felietonu na temat rozplenienia się prostytucji w Berlinie. Niektórzy z nas, wyciąwszy to ilustracje, przyszpilali je u siebie nad łóżkiem.

Przypominam sobie atmosferę tamtych odległych lat. Własną młodość. Berlin 1918, gdy miałem zaledwie cztery lata, i Berlin 1928, kiedy skończyłem czternaście i zacząłem brać udział w ruchu, w szeregach czerwonej organizacji młodzieżowej, odłamu Czerwonego Frontu; a także i Berlin 1933, gdy ukończyłem dziewiętnaście lat i po raz pierwszy mnie aresztowano, a potem wkrótce wypuszczono, by następnie, z końcem tego samego feralnego, tragicznego, i złowrogiego roku, znów mnie przyskrzynieć, tym razem na dłużej; i krótki okres wolności aż do zimy 1937; i ponowne aresztowanie; i następnie od 1938 roku aż do końca wojny — obozy. Jeden, drugi, trzeci. A także inne daty: rok 1929 — kiedy miałem pierwszą w życiu dziewczynę, i maj 1932, gdy zostałem dotkliwie pobity i pokaleczony przez chłopaków z SA.

Zastanawiam się, porównując dzisiejszą młodzież z tamtą, moją młodością, moją i moich kolegów, czy istniały jakieś podobieństwa. Na pewno tak. O wielu sprawach tak łatwo się zapomina. A potem wszystko nagle wraca w pamięci, jak mnie teraz.

Na przykład tak dziś ważny i omawiany problem jak stosowanie praw kolektywu, wspólnoty w dziedzinie stosunków seksualnych i związany z tym problem zazdrości.

Coś takiego, przynajmniej w teorii, na pewno istniało. Ultralewicowe, lewackie teorie, gdy już dawno podobne eksperymenty potępiono. Istniały nawet jakieś, co prawda krótkotrwałe, załączki komun za moich czasów. Jedną taką, gdzieś koło Tegel, w lasach tamtejszych, odwiedzałem; policja zlikwidowała ją w jakiś czas potem. Inną też sobie przypominam: kilkanaścioro niedoroslých chłopców i dziewczyn, głównie uciekinierów i uciekinierek ze szkół i domu sierot; grupa ta rozłożyła swe obozowisko pod gołym niebem na

leśnej polanie osłoniętej od drogi krzakami, nad Rummelsburger See, tuż za torami kolejowymi niedaleko od stacji Kietz-Ruthelsberg. Potem, gdy nastały jesienne deszcze, część wróciła do swych domów, reszta, bardziej uparta, dotrwała aż do ostrych mrozów i śniegów, które obficie spadły w słynną zimę roku 1929. Nocowali w barakach robotników leśnych na terenie Wuhl-Heide koło Ktipenick. Część słabszych zapadła na płuca. Wytropiła ich tam w końcu policja i zlikwidowała resztkę komuny, która o ile sobie przypominam, nosiła imię Liebknechta.

tnie: iak-że \a daleko

Nikt jednak ze starszych robotników, mój ojciec na przykład, nie mówiąc o matce, która miała poglądy dość staroświeckie, wyniesione z meklemburskiej wsi, nie pochwalał zakładania tych komun ani też prób propagowania wspólnoty kobiet, czy raczej wzajemnej wspólnoty wymiennej, jak to wtedy nazywaliśmy.

My, młodzi, nie zawsze bez szemrania godziliśmy się z zasadami głoszonymi przez naszych „starych”, mimo iż, w odróżnieniu od dzisiejszej młodzieży, mieliśmy do nich sporo autentycznego szacunku. Jeśli już nie jako do rodziców, to przynajmniej do starszych stażem, doświadczonych towarzyszy. Oni hamowali nasze lewackie zapędy. Byliśmy niecierpliwi, bezkompromisowi i z tym wszystkim straszliwie naiwni i bezbronni. Wręcz śmieszni na tle ówczesnych autentycznych konfliktów i narastającej, bezwzględnej walki, która miała się skończyć naszą klęską.

Nasi ojcowie pracowali na kolei, przeważnie w warsztatach naprawczych w okolicy Yorkstrasse, koło anhalckiego dworca, lub na terenie parowozowni. Nasze matki czyściły wagony na bocznych torach lub zamiataly wnętrza hal naprawczych, zmywając hydrantami betonowe podłogi pełne otworów, rynien i krat podziemnych instalacji. Widzę wciąż jeszcze moją matkę, jak stoi na drabince przystawionej do ścianki zielonych pulmanów lub na wiśniowo malowanych wagonów „Mitropa” i zmywa szerokie szyby, czyści jakimś białawym płynem i mydłem mosiężne emblematy na restauracyjnych wagonach, herby i napisy, klamki i poręcze przy schodkach. I jak głośno, by ją słyszano w tym hałasie, stuku młotków, brzęku metalowych przedmiotów ciskanych z góry, podnoszonych i znów gdzieś indziej rzucanych, w nieustającym szumie pary z lokomotyw i rur z gorącym powietrzem do suszenia mokrych ścianek wagonów, wykrzykuje jakieś nowiny, plotki, dowcipy do podobnych jej sprzątaczek, pomywaczek, sąsiadek z tej samej ulicy i tego samego bloku, stojących jak ona na identycznych drabinkach przystawionych do wagonów tego samego składu, tyle że dziesięć, dwadzieścia, trzydzieści metrów, dalej. Nie kończące się sznury wagonów mijających się na bocznicach, wjeżdżających pod szklany dach hali, wyjeżdżających w kierunku peronów dworca anhalckiego, gotowych już do podróży po odświeżającej kąpieli, po odbyciu gar

deroby u nas właśnie, w naszym małym świecie, zamkniętym parkanami i wysokim murem.

Niektórzy maszyniści, obsługujący lokalne, stare lokomotywy, używane już tylko do przesuwania składów wagonowych tam i z powrotem, wychyleni ze swych oszklonych budek, wykrzykiwali mijając pomywaczki, które znali od lat, coś, co je rozśmieszało. Zaczepki, dowcipy, nieraz mocno trefne. One się im odszczekiwały. Tak mijając cały ich szereg wspiętych na drabinki, jedną wyżej, drugą niżej, na samym dole, z nogą w gumowym bucie na najniższym szczeblu, niejeden dla kawału zniecka wypuszczał prąd gorącej pary pod ciśnieniem, celując w nogi i pośladki. Klęły otrząsając się, piszczały, zeskakując ze swoich drabinek. — Żeby cię szlag trafił, Max! — Albo i jeszcze gorzej: — Żebyś zdechł, Sepp! — Nie liczono się tutaj ze słowami. Nasz lokalny, berliński przedmiejski slang był mało zrozumiały już o kilometr dalej, poza obrębem naszego terenu. Wystarczyło pójść w kierunku Tiergartenu, a nawet tuż za dworzec poczdamski.

Nasi ojcowie byli to bez wyjątku żołnierze frontowi tamtej wojny, następnie spartakowcy, potem członkowie KPD i Czerwonego Frontu. Wielu z nich, jak mój ojciec, osobiście znało i Karola Liebknechta, i słynną Kózę. Ich fotografie w czarnych obwódkach żałobnych lub w otokach z laurowych liści wisiały w naszym mieszkaniu. Nosilem jakiś czas podobiznę Róży na medalionie, tak jak dzisiejsza młodzież obnosi wizerunek Mao albo Trockiego w cierniowej koronie męczennika. Naszymi męczennikami byli tamci dwoje: Karol i Róża. Miałem też podobiznę Klary Zetkin, przyszpiloną nad łóżkiem obok fotki jakiejś aktorki filmowej.

Nasi starzy to byli autentyczni weterani walk, którzy aż do samego końca — do wielkiej przegranej, do katastrofy lat trzydziestych, do zwycięstwa nazich nie złożyli dobrowolnie broni. Mój ojciec wielokrotnie miał porachunki z policją, potem z bojówkami SA i choć nie należał do ścisłego aktywu, był jednak zawsze oddanym towarzyszem, gotowym stawić się gdzie trzeba, na każde zawołanie. Parokrotnie brał udział w egzekutywach komitetów strajkowych i komórek partyjnych w naszych warsztatach przy Yorkstrasse oraz w Komitecie Czerwonej Pomocy. Wielokrotnie trafiał do aresztów. Znali go wszyscy pracujący

Inie: jakże ja daleko

w wielkim zespole zakładów kolejowych przynależnych do dworca anhalckiego, a po części i sąsiedniego, poczdamskiego, pozdrawiając go: — Jak się masz, Hans. — Było u nas pięciu Hansów w warsztatach, ale tym najbardziej autentycznym był mój ojciec. Byłem z niego dumny. Gdy, co się czasami zdarzało, zwłaszcza kiedy ojciec sobie nieco podchmielił, wynikły spory z matką, stawałem lojalnie jako mężczyzna z reguły po stronie ojca, o co ona miała do mnie pretensje i zastarzały żal. To moja starsza siostra, Karin, była niezmiennie stronnikiem matki, bodaj przez babską solidarność. Ja nigdy.

Gnieździłiśmy się w zatłoczonych blokach należących do dyrekcji kolejowej, w czworo albo i pięcioro w jednej izbie. Błaznane balkony łączyły mieszkania w tych długich galeriowcach z czerwonej cegły. Na tych balkonach odbywały się towarzyskie spotkania, narady. Plotkowały kobiety, żartowali lub spierali się mężczyźni. Wybuchwały kłótnie, czasami, lecz rzadziej, bójkę. Zawiały się znajomości, rodziły pierwsze uczucia.

Potem naszym długoletnim terenem własnym, miejscem meczów piłki nożnej, zabaw, lecz i spotkań i mityngów, stały się rozległe tereny wokół warsztatów kolejowych, ogromne, na pół opuszczone, zarosłe trawą poplamioną smarami i oliwą, szarą od miazgi węglowej, składowiska otoczone murem z potłuczonym szkłem na szczycie i pasmami kolczastego drutu, ciągnące się ponad kilometr chyba, a może więcej w kierunku stacji kolejowej nazywającej się Bahnhof-York-Strasse, wzdłuż Mtlckernstrasse i dalej. To był nasz własny świat, nasza najbezpośredniejsza ojczyzna, zamknięta w kształt wydłużonego prostokąta.

Były tam stopy porzucanych szyn, sterty zapasowych kół różnych rozmiarów, łańcuchy i tarcze zderzaków, stały wystygłe wraki lokomotyw na zarosłych trawą bocznicach, z kominami lub bez nich, a także leżały same kotły zrzucone na bok, w trawę i całkowicie zżarte rdzą. Ponadto przyłogi szerniałych od smoły czy teru podkładów kolejowych. Istny raj dla dzieci, a później, gdyśmy dorastali, miejsce kryjówek dla materiałów, które uważaliśmy za tajne. Ulotki, ale i dwa czy trzy stare wojskowe rewolwery i magazynki oraz nasza duma — kilka taśm naboju do karabinów maszynowych tamtej wojny — typu Schwarzlose. Tajny arsenał — „na wszelki wypadek”.

Polska Droga wsnócześnie w Państwowym

Nasi ojcowie, mężowie naszych matek, legalni i nielegalni, lecz faktyczni ich życiowi towarzysze, potrafili je uszanować, zastrzegając sobie jednak prawo do męskich radości życia: do kawalerskich rozrywek. Piwiarnie, kręgielnie, polityka, jakieś od czasu do czasu odskoki na bok, nieobowiązuące, nie szkodzące nikomu, jakieś dziewczyny; partyjki skata lub ferbla; bilard. Dziewcząt plątało się sporo po naszym królestwie. Młode sprzątaczkę, pomywaczki, pracownice w składach węgla, umorusane tak dalece, że trudno je było rozpoznać. I te, które pracowały w przepompowni, i inne jeszcze. W kuchniach dla załogi parowozowni. Od obierania kartofli i zmywania naczyń. Z naszej dzielnicy i z innych peryferii Wielkiego Berlina, a także przybyłe prosto ze wsi, głównie z Meklemburgii, jak niegdyś moja matka, a także z Brandenburgii i Pomorza.

Nasze matki nie były przesadnie zazdrosne; nie było zresztą zbyt wielu powodów do obaw; przelotne rozrywki ich mężczyzn to były sprawy nieważne, na marginesie życia. Nasze matki i siostry padały zresztą dosłownie z nóg, zwłaszcza wieczorami. Niektóre pracowały na dziennej, inne na nocnej zmianie. Niewiele było takich, które czy to z przyczyny słabego zdrowia, czy ilości dzieci pozostawały w domu.

Od wczesnych lat dzieciństwa przywykłem uważać dziedzinę seksu nie za rodzaj tabu, jak dzieci inteligentkie i mieszczańskie, lecz za sprawę tak zwyczajną jak jedzenie czy spanie. Ciasnota wspólnej, dusznej izby na trzecim piętrze z oknami wychodzącymi na błaznaną galerię, po której wciąż się ktoś szwendał i trzeba było zaciągać firanki, dawała okazję do zapoznania się od najwcześniejszych lat — moich i mojej starszej siostry, Karin —

z tą właśnie dziedziną życia. Słyszałem, leżąc z nią w jednym łóżku, jak ojciec dobierał się do matki, która go czasami odpędzała, wręcz spychała z siebie, klnąc, bo chciało jej się spać; była zmęczona i bolały ją wszystkie kości; albo też przyciągała go do siebie i tak wierzili się przez chwilę, słyszeliśmy z Karin słowa matki, jej pieszczotliwy głos: — No chodź, chodź, ależeś ciężki, ty draniu! — I słowa ojca, nie liczące się z tym, że wszystko słyszemy. Byliśmy jednym słowem tak otrzaskani z tym wszystkim, że trudno by nas było czymś zadziwić w tej dziedzinie. Znałem od dziecka terminy periodów matki, a potem i siostry. Wraz z mg

tnie: jakże ja daleko

mi martwiłem się, gdy się opóźniały, liczyłem dni jak one, notując kopiowym ołówkiem na ścianie nad łóżkiem. Wszystko dosłownie stawało się jawne i przez to naturalne, nie czyniło wrażenia, nie raziło swą bezpośredniością ujawnioną w szczegółach aż do końca.

Mijałem idąc na wagary wraz z kolegami na nasz teren, na składowisko za warsztatami, matkę, gdy stojąc wspięta na palce na szczeblach drabinki, trzymając szmatę w ręku, myła okna wagonu, i zapamiętałem gest przechodzącego tamtędy młodego kolejarza, naszego dobrego znajomego, palacza z lokomotywy sapiącej na sąsiednim torze, gdy z rozmachem, z całej siły, nie zatrzymując się nawet, na odlew zdzielił ją dłonią na płask w wydatny tyłek, opięty drelichowymi spodniami, a wiem, iż robi to odruchowo, bez złych intencji, dla żartu, lecz ze smakiem, mimo iż licząc lata, moja matka mogłaby być i jego matką. Zakłęła: — A idźże, pętaku! Żebyś zdechł! — ale jednocześnie, kuląc pośladki, obejrzała się za siebie ze śmiechem, gdy on, ten barczysty blondyn umazany pyłem węglowym, był już daleko. Wtedy ja, idąc w ślad za nim, mijając matkę wciąż odwróconą bokiem, dołożyłem jej od siebie, trzasnąłem w drugi pośladek, który miałem na wysokości mojej głowy, walnąłem tak mocno, aż mnie dłoń zapiekła, a matka, sądząc, że to wciąż dowcipy tamtego, Hansa czy Seppa, trąc tyłek coś jeszcze zawołała do niego, nie do nonie.

Nie uważałem tego, co zrobiłem, za coś niewłaściwego. To był zwyczajny męski odruch warunkowy, w stosunku do każdej mijanej kobiety. Nasze matki i siostry nie gniewały się zbyt. Przyjmowały te klapsy jak dopust boży, rytuał czasami bolesny co prawda, lecz nieunikniony, klęły i śmiały się na przemian, jednocześnie niby te złe, lecz i zadowolone, iż je w ten sposób wyróżniono.

Moja matka miała wtedy trzydzieści kilka, blisko czterdzieści lat i choć spracowana, była całkiem jeszcze do rzeczy. Zwłaszcza gdy zamiast chusteczki włożyła beret, a do tego granatowy kombinezon, albo w niedzielę, idąc z ojcem na piwo lub do kina, wdziała kolorową sukienkę i lakierki na wysokich obcasach. Z satysfakcją obserwowałem, jak mężczyźni się za nią oglądają, czyniąc pochlebne uwagi na jej temat, nie unikając słów i wyrażen soczystych i niedwuznacznych. Ojciec śmiał się, też chyba zadowolony

Polska orozą współczesna w

ny. Matka odgryzała się pochlebcom, lecz wiem, iż wcale nie gniewały jej te zaloty.

Tam również, na tych terenach kolejowych składowisk, zaznałem pierwszych uścisków kobiety, jeżeli za taką uznać dziewczyninę wyglądającą na dwanaście lat, a utrzymującą, iż ma już piętnaście. Może i miała, nie wiem. Ja natomiast na pewno skończyłem wtedy czternaście, pamiętam doskonale, gdyż był to rok 1929, wiosna, koniec zlej, twardej zimy, i w lutym warsztaty strajkowały dwukrotnie, żądając zwiększenia deputatu węglowego.

No i któregoś ranka, gdy się cała jedenastka — mniej więcej równolatków — zebrała na naszym terenie, znaleźliśmy podzwaniającą zębami, przemarzniętą i skuloną dziewczynkę, niemal dziecko, ukrytą w pustym pojemniku na śmiecie.

Utrzymywała, że uciekła z poprawczaka, gdzie ją umieściła opieka społeczna, a może zła macocha, i przelazszy, uchodząc przed pogonią, przez mur, schroniła się tutaj. Potem zmieniła dozorcynie z zakładu na zakonnice, a poprawczak na klasztor. Zorientowała się pewnie, iż w ten sposób zrobi na nas lepsze wrażenie, jako ofiara kleru, i zapewni sobie naszą opiekę. Opowiedziała nam, jak zakonnice głodziły ją, jak za karę, za byle co, za nieuwagę przy rannej modlitwie czy coś podobnego, wypędzały na mróz na wiele godzin, jak ją biły szpicrutą, maltretowały i poniżały. Pragnąc nas przekonać, że nie zmyśla, i wzbudzić litość, a także pragnienie pomszczenia jej krzywd, podka- sała do pasa sukienkę i zsunęła do kostek czarne, bawełniane, jakoby zakonne pończochy. Któryś z chłopaków, nie dowierzając zbyt, gdyż liczne sińce pokrywające jej uda i łydki wyglądały na plamy brudu, poślinił palec i sprawdził; ślady były jak najbardziej autentyczne. Nie tylko sińce, lecz i liczne

zadrapania. Ulla, bo takie imię nosiła nasza podopieczna, patrzyła na nas z tryumfującą miną: — A co? Nie mówiłam? Fajne, no nie? Kto jeszcze z was chciałby sprawdzić, że nie bujam, no?

Po naradzie zapadła uchwała, że bierzemy Ullę pod naszą kolektywną opiekę i będziemy ją też kolektywnie żywić. Z miejsca napiliśmy ją piwem. Musiała mieć duże pragnienie, gdyż wypila duszkiem dwie pełne butelki. — No — oświadczyła — teraz to ja wiem, że żyję. Ma który z was peta?

liie: jakże la daleko

Na wszelki wypadek, w razie gdyby ktoś niepowołany zjawił się na naszym terenie, a zachodzili od czasu do czasu robotnicy z warsztatów w poszukiwaniu jakiejś mutry, śruby czy zdatnego jeszcze haka, znaleźliśmy dla dziewczyny kryjówkę. Kazaliśmy jej wczołgać się do kotła starej, zardzewiałej lokomotywy stojącej na zarośniętej trawą bocznicy. Kłapa zamykająca kocioł od przodu dawała się jeszcze z trudem, skrzypiąc, odchylić. Ulla wpełzła na brzuchu do środka, a gdy wylazła z powrotem, okazało się, iż się umazała jak nieboskie stworzenie jakimś smarem czy smołą. Twarz, dłonie, cienka niebieska kiecka, w której do nas przybyła — wszystko było czarne i lepkie. Czuć ją było mazią, która oblepiała jej włosy, uszy, nos i szyję. Próbowaliśmy ją wymyć pod kranem mydłem i wyszorować ryżową szczotką, potem nawet ukropem przyniesionym w dzbanku, na nic. Zwłaszcza nie dały się zmyć w żaden sposób zacieki, podobne do jodyny, za uszami, między palcami rąk, wokół nozdrzy, a także rzęsy i brwi. Właściwie całe brwi były posklejane czymś, co przypominało asfalt i wydzielalo ostrą woń smoły. Usiłowaliśmy je obskubywać i wykruszać zeschnięty smar. Ulla heroicznie znosiła ten bolesny zabieg.

I tak utrwaliły się w mojej świadomości obok siebie, jakby z sobą splecione i nierozłączne czy zrosnięte, dwie różne zdawałoby się sprawy: mój pierwszy kontakt z kobietą i woń smoły czy też smarów. Przez kilka lat zapach teru czy asfaltu, gdy go tylko poczułem, kojarzył mi się z doznaniem erotycznym, stając się źródłem natychmiastowej ostrej podniety, rodzajem mocnego afrodisiacum.

Pamiętam, że parę lat później, gdy dorastałem, ślady tamtych kompleksów były we mnie na tyle jeszcze silne, że zapalałem gwałtownym, wyłącznie zresztą erotycznym uczuciem do pewnej dziewczyny posługującej u farmera w Meklemburgii, gdzie spędzałem część lata w wiosce, z której pochodziła moja matka. A stało się to tylko dlatego, że naprawiając płot pociągnięty świeżo pokostem czy terem, wydzielala woń tej zaprawy, mając w niej umazane do łokci ręce. Usiłowałem je pokrywać gwałtownymi pocałunkami, a ona starała mi się je wyrwać, kryjąc za plecami i piszcząc, nie orientując się, o co mi idzie, i na serio zaniepokojona moją narastającą gwałtownością.

Nie byłem pewien, czy splot tych dwu wrażeń wywoła-

je we mnie więcej obrzydzenia, czy narastającej erotycznej emocji i gotowości. Jeśli było to obrzydzenie, łączyło się w sposób dla mnie wówczas niezrozumiały i niepokojący z ekscytacją seksualną. Coś z tego pozostało we mnie niezawodnie aż do dzisiaj.

Schani Strauss utrzymuje, że siła pierwszych inicjacji jest tak duża, iż może w całości lub szczątkowo przetrwać lata całe, niemal przez całe życie. Tworzą się blizny czy zrosty, zwapnienia jak w płucach po zaleczonej gruźlicy czy po wysiękowym zapaleniu opłucnej.

Jeszcze o tamtej dziewczynie z poprawczaka, Ulli. Powstał problem, który rozpatrywaliśmy kolektywnie, zebrani pewnego popołudnia na naszym terytorium, koło starej lokomotywy. Szło o to, czy w związku z tym, że opiekę nad Ullą sprawujemy wspólnie, mamy nawet dyżury ściśle wyznaczone, kto którego dnia ma jej dostarczać pożywienia (mnie, pamiętam, przypadł wtorek), dziewczyna należy do nas wszystkich także w dziedzinie seksualnej — a grupa składała się z jedenastki w wieku od dwunastu do szesnastu lat, wszyscy z tych samych bloków kolejarskich, „od Yor-ka”. Ulla uczestniczyła w tych obradach jako strona zainteresowana bezpośrednio. Byliśmy mimo wszystko lojalni aż do przesady. Wiem, że dziewczyna oświadczyła, iż jest jej w zasadzie wszystko jedno i że nam pozostawia decyzję. Ja, który sądziłem, że tylko dla mnie uczyniła wyjątek, poczułem się zawiedziony i dotknięty, lecz starałem się w sobie to uczucie zazdrości czy zawodu zdusić, jako dowód nie wykorzenionych należycie drobnomieszczańskich tęsknot do wyłączności w posiadaniu.

Któryś z nas przyniósł książkę Pilniaka Arktyk i zrodził się z tej racji problem dziewczyny, uczestniczki wyprawy, która wywołała nieświadomie zatargi wśród reszty ekipy, tylko dlatego że była jedyną kobietą wśród grona mężczyzn. No i szef ekipy zdecydował, że nie ma innego wyjścia jak wybranie mniejszego zła: pozbycie się przyczyny rozdźwięków w grupie, mogących wywoływać coraz ostrzejsze zatargi i utrudnić, jeżeli nawet nie uniemożliwić, prace naukowe na dalekiej Północy.

Na ten temat wynikły ostre spory między nami. Większość uważała, że decyzja, acz okrutna, była bez wątpienia trafna: należy bowiem zawsze wybierać mniejsze zło. Ja należałem do opozycji. Żał mi było jedynej uczestniczki

wyprawy. Wyobrażałem ją sobie odzianą w skóry jak Eskimoska, z twarzą w typie eskimoskim, o wystających kościach policzkowych, płaskiej. Opis tego, jak dokonano na niej egzekucji, zwłaszcza moment, gdy jej głowa trafiona kulą — domyślać się było można, iż ekrazytowa — z trzaskiem rozpekła się, wydał mi się szczególnie sugestywny, a zarazem okrutny.

Później sprawa w ogóle upadła, gdyż dowiedzieliśmy się że Pilniak został potępiony za coś i wobec tego i my uznaliśmy go za nieprawomyślnego. Wygłosiłem nawet na ten temat referat, który bardzo pozytywnie został przyjęty przez nasz kolektyw, a także przysłanego do nas instruktora młodzieżowego. Powołałem się między innymi na decyzję pozbycia się człowieka, żywej kobiety, w dodatku politycznie czystej i szczerze oddanej sprawie, zgładzenia jej, tylko z tej przyczyny, że mężczyźni kłócą się między sobą, konkurując o jej względy. Uznałem za odchylenie ideologiczne autora Arktyku i poważny błąd polityczny opis takiego okrucieństwa. Trzeba było załatwić sprawę, jak należało komunistom, kolektywnie i lojalnie. Zapytać dziewczynę, kogo wybiera, i tego się trzymać, tak jak myśmy proponowali Ulli wybór partnera, i chociaż nic z tego nie wyszło, sam pomysł był słuszny i politycznie prawidłowy. Można również było w razie czego ustalić jakąś kolejność na prawach starszeństwa. W każdym wypadku to ona, zainteresowana, winna wybierać, jakie rozwiązanie woli. Każde byłoby lepsze, uczciwsze i słuszniejsze od tego, jakie wybrał autor Arktyku. Bodaj że nazwałem je nawet faszystowskim.

Ulli wtedy już nie było. Zrobiło się ciepło i ona pewnego dnia znikła. Więcej jej nie widzieliśmy. W mojej pamięci pozostało nieco niesmaku podszytego podnieceniem. Woń smarów i widok, z bardzo bliska, tuż, tuż, wąskiego skrawka jej ucha jakby pomazanego jodyną, a także uczernione skrzydełko nosa, skraj nozdrza.

Byliśmy w tamtym okresie — ja między czternastym i piętnastym rokiem życia — zapatrzeni we wzory zaczerpnięte z literatury radzieckiej. W Klima Samgina, w czasy, kiedy Michał Łyko, bohater RwaczdTbyT jeszcze bardzo młody i nie wiedział dokładnie, kim ma być i czym się zakończy jego życiowa przygoda. Czytaliśmy wspólnie na głos, jak dzieci wybierają się na podbój świata w Prze winie: jakże la daleko chodniej uliczce Erenburga lub jak u Niewierowa samotnie wędrują, niby w jakiejś dziecięcej krucjacie, aż na skraj świata do Taszkientu, miasta chleba, gdzie jest ciepło i gdzie nie ma głodu; tam, gdzie już niezadługo miała zagwizdać pierwsza lokomotywa Turk-Sibu, którą oklaskiwaliśmy w kinie.

Zapamiętałem najlepiej ojca, gdy siedząc w swym robo-' czym kombinezonie umazanym smarami i miałem węglowym na olbrzymim żelaznym kole lokomotywy pociągu pośpiesznego, zdjętym dla jakiejś naprawy, zajada ze smakiem pajdę chleba z kawałem krwawej kiszki lub salcesonu, popijając piwem z butelki. Jak ociera wąsy rękawem, bo dłonie ma czarne i mógłby do reszty uwalać nimi policzki. I ja czekający obok, aż się ojciec pożywi, by odnieść do domu menażki w ceratowej czarnej torbie. Zapamiętałem kształt dłoni ojca, ciężkich, pokrytych po wierzchu grubymi węzłami żył i rudawym włosiem, rąk poczerniałych od smarów, tak że nie udało się ich nigdy całkowicie domyc, podobnie jak uszu i powiek oraz nosa małej Ulli.

A także widok ojca nagiego, skulonego pod prysznicem za betonową przegrodą w kącie hali warsztatowej. I innych robotników, którzy obsiedli zębate koła i sterty szyn, by spokojnie wypić piwo, pojeść i pogawędzić. Przeważnie o polityce i drożyznie. O możliwości i szansach powodzenia strajku na kolejach, a może nawet o strajku powszechnym. Większość, podobnie jak ojciec, należała do KPD.

Tak jak zapamiętałem matkę, która była przeciwna zbyt niemu angażowaniu się ojca w politykę, ale jak zawsze w końcu to on stawał na swoim. Nie dowierzała nikomu. Miała swój

chłopski rozum, skłonny raczej do biernego oporu niż aktywnej walki. Patrzyła na ojca i jego kolegów, jak siedzieli jedząc wątrobiankę i rozprawiając o polityce. Jej zdaniem tak czy owak zawsze człowiek pracy będzie w końcu oszukany i zapłaci wszystkie rachunki polityki. Ojciec opędział się od niej dłonią wielką jak blat nocnej szafki. Śmiał się. Jego koledzy dowcipkowali. Matka parskła ze złości, ale potem także się śmiała. Małym szylkretowym grzebykiem przeczesywała karbowaną grzywkę. Ukradkiem zerkała w okrągłe lustro z jakąś gwiazdą filmową na odwrocie.

Kiedyś późnym wieczorem, zajrzawszy do hali, chodząc

^m wielokiflnie: jakże ja daleko w

w poszukiwaniu ojca po różnych kątach oświetlonych zielonawym światłem wysoko zawieszonych kulistych lamp pod szklanym dachem, w dźwięku młotów i syku pary, podpatrzyłem go, gdy przyciskał do betonowego przepierzenia koło natrysków jedną z młodych pomywaczek, trzymając ją za napiętki obu wysoko uniesionych rąk. A że miała na sobie fartuch bez rękawów, zobaczyłem przede wszystkim jej odsłonięte, lśniące, gdyż wilgotne od potu pachy porośnięte rudymi kłakami. Ojciec zgiął nogę i próbował wcisnąć kolano między jej uda, a ona szamotała się, przytrzymywana za uniesione nad głowę ręce, i coś gadała bez ustanku do ojca. Nie mogłem niczego usłyszeć w nieustannym hałasie. Wtedy jedna z wjeżdżających czy wyjeżdżających lokomotyw, na torze bliskim toalet, rzuciła na nas troje — bo przy okazji i na mnie stojącego z boku — snop światła z nakierowanego reflektora i równocześnie obaj, maszynista Franz i jego pomocnik, palacz, młody chłopak, którego imienia zapomniałem, zaczęli wołać śmiejąc się do ojca, dając mu jakieś praktyczne wskazówki. Odszedłem i nie wiem, co się tam dalej działo. Jednak wołałem, żeby mnie ojciec na podglądaniu nie przyłapał. Słyszałem za plecami jego tubalny śmiech; odróżniałem zawsze ten jego śmiech od śmiechu innych; śmiał się na całe gardło, tamci śmieli się również, lecz odmiennie, w innej nieco skali. Tylko młoda pomywaczka piszczała coraz donośniej, starając się wyrwać i uciec, lecz ojciec ścisnął mocno jej uniesione ponad głowę gołe ramiona jedną ręką, drugą sięgając jej między nogi.

Wszystko to zapewne nieco wulgarne, prostackie z pozoru, jak powitanie matki przychodzącej z wiktuałami do hali warsztatowej, przy kolegach, przy ludziach, zawsze jednakie — mocnym, celnie wymierzonym klapsem w pośladek, i ten śmiech ojca, i jej: — Ach, ty diable wcielony! A żeby cię pokręciło! — Ale zaraz potem też się śmiała; to był rytuał, jaki można by nazwać plebejskim, proletariackim i do jakiego zaliczam również twórczość malarską Ferdynanda Legera, te jego postacie robotników i robotnic przy maszynach, kołach zębatych i dźwigniach, na rusztowaniach i drabinach, ludzkie nieforemne, zawsze zbudowane z walców, kul i kłoców figury, upodobnione do maszyn, jakby były utworzone z tego samego surowca, zrośnięte na zawsze z narzędziami pracy; zaprzeczenie elegancji

i wykwintu osób należących do klas uprzywilejowanych; jakby rzucone im wyzwanie, tą odmienną budową fizyczną, tą zwalistą masą ciała, pozbawionego indywidualnych cech. ^f

Uważałem wówczas, a i długi czas później, że tak właśnie należy przedstawiać na rysunkach i rzeźbach człowieka fizycznej pracy, proletariusza. Że tylko w dłoni przypominającej potężny młot naturalnie wygląda to stalowe narzędzie, że po grubym, przypominającym walec czy tłok jakiejś maszyny karku nachylonej w ciężkim trudzie wyrobniczy spływa nie tylko pot wysiłku, lecz i blask słonecznego jutra. Wyłącznie taka sztuka wydawała mi się autentyczna, wyzbyta kokieterii, najdalsza od estetycznych wzorów stworzonych przez burżuazję dla burżuazji. pCobiety snujące się z miotłami, kubłami i ścierkami, nocą lub o świtaniu, po hałach warsztatowych pełnych nieustannego przeciągu zimą, dusznych latem, oświetlonych widmowo mlecznymi, zielonkawymi lampami, zawieszonymi wysoko i rozpylającymi w powietrzu jak gdyby księżycową poświatę, tak że wydawało się, jakby leżała tam nieustanna mgła, te sprzątaczkę, pomywaczki, starsze i młodsze, podobne do siebie, pozbawione cech indywidualnych, opatulone chustami, w spodniach wpuszczonych w krótkie, lecz szerokie cholewy gumowych butów, przypominały do złudzenia postacie z obrazów Legera, a czasami — w pewnych sytuacjach, w pewnym oświetleniu, w gestach nachylenia, przysiadu, rozkroku — także brutalne, okrutne obrazy naszych ekspresjonistów, które znałem z czasopism.

Gdy po latach, chyba już po wojnie, zobaczyłem w jakiejś galerii Siedzącą kobietę Legera, malowaną w roku 1925, w geście obu jej ramion podobnych do gładko utoczonych

aluminiowych kłoców czy walców, w jej jajowatej twarzy o geometrycznych soczewkach
oczu, w jej nodze zgiętej w kolanie, udzie mogącym posłużyć jako potężny stalowy lewar czy
dźwig, w tym bez wątpienia schematycznym modelu kobiety pracującej, jakiejś super-ro-
botnicy, odnalazłem echa tamtych lat, wróciłem w ślad za tym zbiorowiskiem samych
symboli, znaków i uproszczeń z powrotem na chwilę w zadymiony, pełen sadzy i pyłu
kosmos oszklonej hali, maszynowni pełnej zgrzytów i gwizdów, po której snują się postacie
ujednolicone sche

HHHPuuiie: jakże ia daleko

matyzmem pamięci, jakiegoś modelowego ideału, już niemal mitu.

Stałem w pustej sali wystawowej, naprzeciw Kobiety siedzącej, sięgającej dłonią olbrzymki, palcami przypominającymi rząd wytoczonych na tokarce klocków, po lśniącą, metalową kulę, która mogła być także i schematycznie wyobrażoną piersią, i doznałem patrząc na nią niemal uczucia słodczy, jakbym powrócił w swojskość. Jakiś Pierwszy Maj — którego to mogło być roku? — i chyba 1931 lub 1932, tak, to było chyba w trzydziestym drugim, na pewno w drugim, kiedy mnie pobito i tylko jakimś cudem nie zostałem całkowicie zmasakrowany.

Maszerowaliśmy zrazu w młodzieżowej grupie w ogonie dużego pochodu KPD. Nieśliśmy własne tablice z hasłami wypisanymi na nich czerwonym lakierem, którym maluje się wielkie koła lokomotyw ekspresowych. Portrety Karola Liebknechta i Róży, Marksa i Engelsa, a także Klary Zetkin. Śpiewając Międzynarodówkę, staraliśmy się, mimo policyjnych barier i usiłujących zaatakować nas parokrotnie bojówek SA, dotrzeć aż do dzielnic zamieszkałych wyłącznie przez burżuazję. Chcieliśmy przynajmniej naszą postawą, determinacją, groźnymi minami i lasem wzniesionych w górę pięści napędzić trochę strachu tym draniom, zaznaczyć naszą obecność. Rozpędzani przez brunatne szturmówki, rozbiegaliśmy się, kryjąc po bramach i przecznicach, po klatkach schodowych i podwórzach ogromnych kamienic śródmieścia, by po chwili znów uformować pochód i podjąć śpiew. Stosując taką taktykę, udało nam się dotrzeć aż do Friedrichstrasse, a stamtąd, po rozbiciu przez SA, tyralierą, w mniejszych grupach, przez Dorotheenstrasse i Tiergarten aż do serca kapitalistycznej twierdzy — na Ku-Damm i Berlinerstrasse.

Odprowadzani i ścigani przekleństwami i wyzwiskami zgromadzonej na trotuarach publiczności, obsypywani z okien i balkonów czym się da — nawet wazoniki były w robocie, jeden upadł mi pod nogi — i gwizdami, gwizdaliśmy w odpowiedzi i my, maszerując zwartym szykiem tak długo, jak się dało, potrząsając groźnie zaciśniętymi pięściami i wznosząc gromkie okrzyki. W pobliżu pomnika Wilhelma jakaś większa bojówka SA wypadła nagle z przecznicy i uderzyła na nas wymachując pałkami i metalowymi drągami. Jakiś rosły dryblas, niewiele starszy ode mnie, rozbił mi głowę pałką. Upadłem, lecz udało mi się podnieść, nim zdołał zdzielić mnie powtórnie. Ukryłem się w dużej kamienicy przy Tauentzienstrasse. Wbiegłem aż na trzecie piętro, zdyszany i z okrwawionym czołem. I wtedy na tej luksusowej klatce schodowej, pełnej marmurów, stiuków, chodników, a także palm na półpiętrach oraz półokrągłych kanapek krytych czerwonym aksamitem, kilka osób wybiegło z mieszkań słysząc hałas na schodach. Już na dole byli ci z SA i lokatorzy, którzy się nagle pojawili — chwycili mnie, by sprowadzić na parter i oddać w ręce brunatnych zbirów. Widziałem, jak zakasywali rękawy swych żółtych jak musztarda bluz, a także ich opaski ze swastyką; jak spluwali w garście w oczekiwaniu na mnie. Jakaś elegancka młoda dama, usiłując oderwać mi palce, którymi wczepiłem się kurczowo w poręcz, w żelazne ornamenty balustrady, zdzieliła mnie czymś ostrym, chyba obtłuczonym kryształowym flakonem od perfum, bo poczułem ból w ręce i jednocześnie woń perfum, pewnie tych najlepszych, paryskich, jakich nazwy znałem wyłącznie z reklam w czasopiśmie. Z dłoni trysnęła mi krew i tamta odskoczyła ode mnie z obrzydzeniem, krzycząc coś przeraźliwie. Widziałem jej przymrużone oczy, pełne pasji i nienawiści, jej rozchylone w krzyku usta. Na moje szczęście, już na dole, gdy mnie tam siłą sprowadzono, kopiąc i okładając pięściami, zostałem w ostatniej chwili wyzwolony z opresji przez kilku robotników, którzy, jak się okazało, również trafili do tej dzielnicy z pochodu pierwszomajowego i usłyszawszy mój rozpaczliwy krzyk, wpadli do kamienicy i odpędzili bojówkarzy z SA.

Te dwa zapachy, mazi, smoły czy asfaltu, połączony z obrazem chudej, niedoroślej dziewczyny, uciekiniarki z poprawczaka, skulonej na jakiejś pace w kącie pakamery na narzędzia — i ten inny, perfumy wymieszanej z krwią, równie mocno utrwalony w mojej węchowej pamięci, posiadający również swój kod, jak tamten dwuznaczny, bo łączący dwa zdawałoby się przeciwne sobie uczucia: obrzydzenie i zarazem ekscytację o zabarwieniu seksualnym.

Byłem wówczas tak dalece przejęty nienawiścią klasową, iż na widok takich elegantek siedzących latem na tarasach kawiarni śródmieścia lub wychodzących z luksusowych limuzyn przed wielkimi magazynami czy teatrem, odruchowo zaciskałem pięści i szczęki, rzucając zabójczo wzgardli

.iłem wielokrotnie: iakże ia dalekn

we spojrzenia na znienawidzone, rozleniwione, syte strój- nisie z pieskami na smyczach lub na rękach. Nienawidziłem ich psów, ich samochodów, ich ugalonowanych szoferów. Ku mej uciesze widywałem nieraz autentyczny lęk w ich oczach. Zniżały głos do szeptu na mój widok, gdy nie ustępując im z drogi, mijałem je z rękami w kieszeniach, w bluzie podobnej do tych, jakie nosili robotnicy z warsztatów ojca, gdzie w tym czasie zacząłem pracować, ucząc się jednocześnie. Widziałem, jak przerywają pogawędki kurcząc gestem obronnym ramiona, jak odwracają ode mnie twarze, udając, że mnie nie dostrzegają, czekając, aż je minę. W marzeniach widziałem nawet czasami gilotynę, tyle że zmodernizowaną, może nawet dołączoną jakimś kablem do sieci miejskiej, ustawioną koło Kolumny Zwycięstwa lub naprzeciwko Bramy Brandenburskiej, a może lepiej na Aleksie czy też w alei Unter den Linden, pod słynnymi lipami, naprzeciw ciemnego gmaszyska byłego pałacu Hohenzollernów. Patrzyłem wyzywająco w oczy moim wrogom, chłopcom w eleganckich garniturach, paniąkom w mundurkach jakiejś ekskluzywnej szkoły czy pensji dla dziewcząt z tak zwanych lepszych domów, pragnąc, by w moim wzroku odczytały pełnię zapiekłej nienawiści i pogardy oraz zapowiedź rychłej zagłady. Istotnie osiągałem przynajmniej to, iż niektóre z nich przytulały się do siebie, zbijając w gromadkę, szepcząc między sobą trwożnie i zerkając za mną odchodzącym już, spluwającym manifestacyjnie na trotuar, gwizdząc jakąś przedmiejską melodię. Lecz niestety zdarzały się i takie, które na widok mojej zabójczej miny marszczyły lekceważąco nosy albo nawet wybuchały obraźliwym śmiechem. — Frajer! — albo: — Ładny chłopak, szkoda, że taki śmieszny! Popatrz no, Inga, jakie on ma złe oczy. Komiczne, nie?

Ktoś powiedział czy napisał: „Polityka jest wyborem środków, nie wartości.” Jest to tylko pozorna prawda; jeśli to, co staraliśmy się zdziałać w tamtych latach, by zbudować tamę czy barierę groźbie faszyzmu, skoro nie da się na razie obalić gnijącego ustroju Weimarskiej Rzeszy, można nazwać polityką — to środki, jakie stosowaliśmy często, jakże często, niestety nie zawsze były trafne, a czasem wręcz samobójcze; natomiast ważne i trwałe były wartości, którym służyliśmy. Mimo sceptycyzmu, jaki mnie od tamtych lat oddzielił niby gęsta zasłona z mgły — tamte wartości jednak przetrwały. A może raczej jest to archiwum, rodzaj skarbcza czy sanktuarium, w którym przechowywane są relikwie. I jeszcze wciąż — jest to odruch warunkowy, niezniszczalny chyba już nigdy: jeśli ktoś mnie urazi w tym właśnie najczulszym miejscu, wzdrzgam się natychmiast wewnętrznie i otrząsam. Nie stać mnie już bowiem od dawna na inną reakcję.

Sprawa Oppenheim: bliski termin ostatecznej rozprawy. Data zakreślona aż dwukrotnie czerwonym ołówkiem w kalendarzu stojącym na biurku w mojej kancelarii przez pannę Alis Bergen, moją wierną i nieocenioną sekretarkę, moją prawą rękę, mój głos sumienia i co tam jeszcze. Żebym pamiętał, przypomniatł sobie za każdym razem, ilekroć zerknę na terminarz.

Panna Alis to wzór wszystkich cnót: jest systematyczna jak automat, skrupulatna i punktualna jak zegarek najlepszej marki — Patek, Longines czy Schaffhausen — a przy tym pełna życzliwej dyskrecji i tolerancji dla moich, niestety, tak licznych ułomności. Jest wyzbyta wścibstwa, a kiedy się patrzy na nią, jak się krząta, jak pracuje, jak jej wąskie nie malowane wargi zaciskają się w uporze czy zgorszeniu, można by ją o to posądzić. Jest natomiast czujna i uważna, wyczulona na każdy mój gest, na moje nastroje, dość zmienne, jak barometr na każde wahanie barometryczne. Gdyż ja nie jestem ani równy, ani solidny, jakim w jej wyobrażeniu winien być szef. Jest wszechwiedząca i zna swoje prawa i przywileje, a także ich granice. Jednym słowem — drugiej takiej nie ma w całej Bundesrepublik. Jej dodatkową zaletą jest to, że me ma bliższej rodziny, dla której starałaby się kraść mi czas, jest starą panną i nie ma dzieci. Żyje wyłącznie pracą i drobnymi przyjemnościami nie

grożącymi żadnymi konfliktami ani komplikacjami. Nie byłem z nią nigdy nawet na kawie, co dopiero mówić o kinie czy teatrze, i ona nigdy nie zrobiła najlżejszej aluzji w tej materii. Jak sądzę, nawet na myśl jej nie przyszło, by przekroczyć ramy nakreślone obowiązkami sekretarki adwokata, nawet jeśliby dodać — sekretarki szczególnie godnej zaufania. W dalszym ciągu w związku z procesem Oppenheima. Słowa Ernesta: że zawsze ofiary z pasją masochistów bronią swych byłych katów.

Już to wielokrotnie, aż do znudzenia słyszałem.

— Już mi to przecież mówiłeś, nie dalej jak tydzień temu. Zapomniałeś?

Nie, on nie zapomniał, lecz pragnął mi jeszcze raz przypomnieć. Tylko tyle. Tak przy okazji.

Teoria o fascynacji ofiary osobą i osobowością kata, wysnuta, jak sędzę, głównie z dyskusji w gronie młodych. Musieli znów o tym mówić. Z drugiej strony, nie jest to odkrycie. Wiele czytałem na ten temat. Te uwagi Ernest zrobił zresztą nie w związku ze sprawą Oppenheima, lecz z dwu poprzednimi moimi klientami oskarżonymi z tego samego paragrafu.

Ernest w dalszym ciągu:

że ofiary są na zawsze związane ze swymi prześladowcami i dręczycielami. Mają dla nich podziw, nawet rodzaj szacunku, a także uczucie bliskie nieszczęśliwej miłości. Dlaczego? To jasne: idzie o zazdrość, iż nie udało się samemu zostać kimś mocnym, zwycięskim, to znaczy katem, ciemieżcą, okrutnikiem. W znoszeniu bowiem przymusu, w cierpieniu tkwi element słabości, a słabość to sprawa wstydliva. Rodzaj, zgódźmy się na to, impotencji. Jasne? Być słabym, cierpieć czyjaś nad sobą przewagę, uznać w pokorze czyjaś nad sobą władzę, być przedmiotem, który można do woli dręczyć — to nie tylko wstyd, lecz i zbrodnia. Nie kata, lecz ofiary.

Stąd blisko już do logicznego wniosku: to my, nasze pokolenie, moje pokolenie czterdziesto-, pięćdziesięcio-, sześć- dziesięciolatków, winne jest — zdaniem Ernesta i jemu podobnych — temu wszystkiemu, co się wydarzyło w Niemczech i co się obecnie dzieje wciąż jeszcze na całym świecie — od Wietnamu po Boliwię i od Konga po Indonezję. Przetrwaliśmy wyłącznie dzięki zbiegom okoliczności, niedopatrzaniu katów i tępicielei, którym zabrakło czasu i wytrwałości, i teraz pielęgnujemy nasze dawne cechy: przede wszystkim bierność, dążenie do sytości, nawet przesyty. Nasze nie spełnione i niewyżyte tęsknoty. Wobec wszystkiego, co się dzieje dokoła, wobec siebie samych, w stosunku do młodego pokolenia — wygodna niefrasobliwość usprawiedliwiana przewrotnie i obłudnie pięknymi słówkami* czasami nawet protestami zgłaszany chyba do Pana Boga, w którego zresztą sami od dawna nie wierzymy* W gruncie rzeczy nic nas poza własnym dobrobytem nie

obchodzi. Niechże się tam gdzieś daleko dzieje co chce, w jakiejś Biafrze — a gdzie to właściwie jest? Trzeba by zajrzeć do atlasu. W jakiejś Grecji, na Malajach — o, to bardzo daleko od nas! Istotnie, potworne, nieludzkie, straszne, obejrzymy reportaż zdjęciowy w „Sternie” czy w „Qui- cku”. Boże, co oni tam wyprawiają! Ale kto właściwie? A w duchu, sami do siebie, z cynicznym, bezradnym westchnieniem: a co nas to w gruncie rzeczy obchodzi! Daleko od nas. Ulga. Mamy własne kłopoty. Ceny rosną. Wybory na karku. Konflikty w łonie EWG. Bliższa koszula ciału i tak dalej.

Czekałem, że w ślad za tą perorą, wygłoszoną z całą powagą jak na wiecu, usłyszę zaraz nazwiska-hasła, nazwiska-programy, nazwiska-symbole, sąsiadujące ze sobą na transparentach i w chóralnym skandowaniu: — Mao, Mao, Mao! — A potem: — Che, Che, Che Guevara, Che Guevara, Guevara, Guevara, Guevara — si! Cuba — si! Cuba — si! — I jeszcze Fidel Castro, a także żałobne wspomnienie Lwa Trockiego: — Towarzysze, chłopaki, chwila ciszy, wstajemy! A teraz chórem, uwaga: Pomścimy śmierć Lwa Trockiego!

| Ale jakoś tym razem nie. Nie chcąc może kłać tych ' świętości włączaniem ich imion w moje plugawe sprawy, Ernest ograniczył się do ogólników, które tyle już razy, do przesyty, słyszałem z jego ust lub z ust jego przyjaciół, iż sam je mógłbym wygłosić z pamięci. Wspomniałem mu o tym, kiedy zamilkł. On mi na to, że nigdy dość, jak to widać na moim przykładzie. I że wyczuł w tonie mego głosu jak gdyby drwinę. Więc stanowczo wyprasza

sobie coś takiego i zapowiada, że jeśli ja tak będę w dalszym ciągu — to on mógłby się zapomnieć i później tego żałować. Więc uprzedza bardzo lojalnie, ale stanowczo.

Powiedziałem mu, że nie ma mowy z mojej strony o jakimkolwiek lekceważeniu jego świętości, a tym mniej

o drwinkach. Że ja też poważnie tak jak on, że też wielbię

1 czcę. Bardzo to śmiesznie wygląda, zabawnie brzmi taka nasza ni to rozmowa, ni to przekomarzanie się. Jeśliby nagrać na taśmę magnetofonową, tonację głosu, akcenty i tak dalej, a potem, po jakimś czasie, odtworzyć, czy on, ten mój synalek, gdyby posłuchał, potrafiłby zachować powagę, czy może jednak parsknąłby śmiechem, bo nie brak mu przecież poczucia humoru.

HHPtnie: jakże la daleko

Widząc z mojej miny, iż jego wykład nie daje oczekiwanych rezultatów, że ja nie wyglądam na całkowicie zmiążdżonego, żeby jednak postawić na swoim, być górą, dobić mnie i do reszty zdemaskować, rzucił retoryczne pytanie: — Przyznaj przynajmniej, że wy tak wszyscy rozumiecie. I dlatego ty tak ich bronisz, tych niedobitków dawnych „twardych” i „mocnych”, tych zasłużonych emerytów i weteranów, czy nie tak? No powiedz! Ty nie dla zarobku ich bronisz, w każdym razie nie tylko dla forsy, wiem. Wciąż mi to przecież powtarzałeś i powtarzasz do znudzenia. No i w końcu ci uwierzyłem. Czemu nie. To wygląda, zgódź się przynajmniej raz ze mną — jeszcze gorzej. Żałośniej. Obrzydliwiej, pojmujesz, stary? Ty w tym zasmakowałeś, co tu ukrywać. Sprawia ci to najwyraźniej jakąś podejrzanego gatunku satysfakcję. Istnieje, jak mi się zdaje, rodzaj więzi między ofiarą i katem, natury seksualnej. Tak, tak, z wszelką pewnością! Przecież na tyle cię znam, że widzę, jak zacierasz ręce, gdy ci się uda oszukać sprawiedliwość i wybronić którąś z tych czcigodnych kanalii. Ja sobie to nawet potrafię naukowo wytłumaczyć: rodzaj niewątpliwego masochizmu. Ty zawsze chyba taki byłeś. A może nie zawsze, tylko dopiero obóz, w którym siedziałeś tyle czasu, zrobił z ciebie masochistę i mięczaka. Współczuję, ale nie zazdroszczę. Czemu, patrząc na mnie, tak się idiotycznie uśmiechasz? To nie jest wcale takie zabawne. Ty się powinieneś nie cieszyć, ale leczyć, i to u specjalisty. Rozumiesz mnie?

To była jedna z ostatnich naszych rozmów — jeśli ten jego wykład na temat mego morale i mego wypaczonego charakteru można nazwać rozmową. Po maturze Ernest zapisał się na medycynę we Frankfurcie i zdawało mi się przez pewien czas, że będzie się uczył, że się w końcu jakoś ustakuje. Potem jednak, w czasie drugiego semestru, nagle zjawił się w Koblencji i wprowadził na Stegemannstrasse, tłumacząc, że nie czas i nie pora na idiotyczne wkuwanie czegoś tam, o czym gładzą zakłamanii, zatabaczeni moralnie starzy dranie, eunuchy — tak o profesorach! — teraz pora na pełną mobilizację wewnętrzną, przygotowanie akcji i na samą akcję; no i zaczęły się te mityngi, konwentykły, nieustające dysputy u mnie w pokoiku przy kancelarii i w niej samej, i gdzieś na mieście, gdy sobie wyprosiłem, bo już miałem tego dosyć, a panna Alis wręcz postawiła ultimatum, że jeśli tak ma być nadal, to ona z żalem, ale niestety, nie będzie mogła kontynuować, bo istnieją, niechże ja ją zrozumieć, pewne granice, kancelaria przestała być kancelarią, a czym się stała, to wstyd jej powiedzieć, i tak dalej.

Zabrali się do mnie, do mojej edukacji czy też w celu pogrążenia mnie do reszty, chłopcy z grupy Ernesta. Bo ja wiem, co sobie wyobrażali. Ich to zresztą na pewno bawiło. Bo ja potrafię cierpliwie wysłuchiwać najgorszych bredni, teorii nie z tej ziemi, prowokacyjnych zaczepek, a nawet osobistych, obraźliwych aluzji. Oni nie mogą mnie przecież ani obrazić, ani dotknąć, a obserwacje, jakie wówczas czyniłem, sprawiały mi pewną satysfakcję. Mało kto z mego pokolenia miał okazję wysłuchać tylu często sprzecznych z sobą, wręcz absurdalnych sądów, teorii czy pomysłów. Potrafiłem słuchać, a takich słuchaczy z mojej generacji, takiego królika doświadczalnego, takiej morskiej świnki pod ręką, żeby móc na nim sprawdzić to i owo, oni tak łatwo nie znajdują. Brałem poważnie ich kłopoty — takie przynajmniej mogłem czynić na nich wrażenie; nie gorszyłem się ich zachowaniem, całą obyczajową otoczką ukazywaną mi prowokacyjnie, żebym się w końcu zachnął, zgorszył i oczywiście ośmieszył, a oni na to czekali — i nie udało się. Więc dali spokój od tej strony, a skierowali cały wysiłek na politykę, a zwłaszcza etykę i moralność.

•Spośród moich ówczesnych rozmówców — w tym okresie, nazwałbym go kancelaryjnym, bo wszystko odbywało się w mojej kancelarii, po południu, wieczorem, czasem do późnej nocy, u mnie, na Stegemannstrasse — Turgieniew, chłopak z wszelką pewnością bystry i odcytany, z pewnym swoistym poczuciem humoru, w odróżnieniu od takiego Fidela czy kilku innych fanatyków biorących wszystko bardzo serio i z ponurą pasją nienawistników,

był dla mnie i moich słabostek na ogół wyrozumiały i oględny w słowach. Taka, jak się zdaje, pedagogiczna metoda, którą wybrał w rozmowach ze mną.

Hugo przy jakiejś okazji wygłosił słynne zdanie o tym, że gdyby miał władzę, toby wszystkich powyżej iluś tam lat, zdaje się powyżej trzydziestki — chińskim wzorem, tak jak w Kantonie zrobiono z prostytutkami — kazał wyholować na pełne morze i zatopić. Podobno jedyna, radykalna, sprawdzona metoda. Ausrotten!

tfielojptnie: jakże la daleko

Potem również on, gdy się nie powstrzymałem i jednak uśmiechnąłem — podjął coś o celu, który uświęca środki. Nie umiał jednak, będąc, jak sędzę, po jakimś narkotyku, wysłowić się należycie, język mu się plątał, więc oddał głos Turgieniewowi. Ten, najzupełniej trzeźwy, w znakomitej wręcz formie, powiedział mniej więcej tak: iż zdawałoby się, że słynna teoria o celu i środkach to sprawa zamknięta raz na zawsze, zaklasyfikowana, oceniona, skompromitowana, potępiona i kropka, koniec. On podejrzewa, że ja również tak sędzę.

Przyznałem lojalnie, że tak.

Wtedy on nagle ożywiony, z błyskiem w oku:

— Otóż nie. Wcale tak nie jest. To pan tylko jest aż tak naiwny, a może nasiąkł pan do tego stopnia oportunizmem i obłudą, iż pan istotnie w to uwierzył, gubiąc się w niuansach. Jezuityzm, faryzeizm, suma cynicznej obłudy i tak dalej, i tak dalej — co? Takie to paskudne, prawda? Mówię o tych brzydkich środkach dla uzyskania pięknego celu. Otóż ja utrzymuję, tylko tyle, że tak właśnie twierdzą obłudnicy. W tym rzecz.

— Przykłady — wtrąciłem się. I— Proszę o przykłady. Same słowa nie wystarczą, ważne są fakty, które by uzasadniły pańską karkołomną koncepcję.

Wówczas dowiedziałem się ze słów Turgieniewa i z dyskusji, jaka się rozwinęła przy okazji, że to ja sam i tacy jak ja, to znaczy „byli ludzie”, pokolenie „schodzące” czy „spychane siłą” z areny życia, a gdy się nie da, to i tak jest to wyłącznie sprawa biologii (jak długo zamierza pan jeszcze żyć? — to do mnie wprost, Hugo czy ktoś inny, już zapomniałem), że tacy właśnie tak myślą dla swej wygody, schematycznie i powierzchownie, i że jest to typowe zwłaszcza dla drobnomieszczaństwa. A naprawdę problem wygląda tak — tu długo wywód Turgieniewa specjalnie przeznaczony dla mnie: teoria, o jakiej mowa, jest wedle niego wciąż żywa, to raz, a po wtóre, nie tylko aktualna, lecz i stale stosowana, bo przecież praktycznie inaczej nie sposób postępować, to myśmy tylko potrafili wytłumaczyć i sobie, że postępujemy inaczej.

— Pan żądał przykładów, oto one, pierwsze z brzegu: I wojna. Nawet taka nazwana uczciwą, obronną, w dobrej sprawie czy jak tam. To wasze, nie moje określenie, wasz jeszcze jeden obłudny wymysł. Dla mnie każda wojna jest zła, żadna nie jest warta życia nawet jednego człowieka. Niech pan posłucha: jednego nawet! A przecież na tej sprawiedliwej niby to wojnie, pozostaliśmy w granicach pańskiego rozumowania — zabija się miliony ludzi. Czy nie tak? Inaczej przecież nie można. Nawet w wojnach wyzwolenczych giną nie ci, którzy zawinili, tylko prosty człowiek, jak utrzymują liberałowie, na tyle jeszcze nieuświadomiony, iż dał się wciągnąć, tak mówią pacyfiści, ja nie — więc nie zdezerterował, nie uciekł, walczył, może myśląc, że broni ojczyzny, czegoś tam, własnej rodziny, sprawiedliwości, słuszności, takich bzdur, czy ja wiem. I gdyby nawet biedak miał rację, gdyby tak istotnie było, gdyby on walczył w słusznej sprawie — przeciw faszystom, imperialistom, kapitalistom, wszystkim najgorszym ludzkim bestiom — a zatem cel byłby słuszny i godziwy, czy nie tak? Obaj się na to godzimy? Przepraszam bardzo — a środki? Środki to zabijanie ludzi, których zabijający nawet nie zna, którzy nic mu nie zawinili. To anonimowa jednostka, do której się strzela, która ginie przeze mnie, z moich rąk, człowieka sprawiedliwego walczącego o dobry cel. No i co? Czy stara, niby to jezuicka teoryjka, nie jest wciąż żywa i nadal aktualna?

A rewolucje — podjął po chwili, nie doczekawszy się mojej słownej reakcji. — Rewolucje to sprawy nie tylko słuszne, lecz wręcz konieczne, jak odradzanie się tkanek w organizmie człowieka, łuszczenie się skóry, odrzucanie tego, co martwe, zbutwiałe, to odnowa, to odrodzenie, to młodość — czy nie tak? No więc właśnie. A rewolucja przecież, zgódźmy się na to, musi burzyć, niwelować pod nową budowę, wypalać, co zgniłe i zmurszałe. Nie ma,

nie było i nie będzie nigdy łagodnych rewolucji. Rewolucja połowiczna, bez kompletnej likwidacji tego, co stare, co wsteczne, rewolucja w rękawiczkach — to zaprzeczenie siebie samej. To założenie z góry skazujące cały wysiłek na niepowodzenie, to tolerowanie zarodków, z których nie dziś, to jutro zrodzi się kontrewolucja i biały terror. A zatem cel najpiękniejszy z pięknych •— kompletna odmiana świata — a środki? Gilotyna, ściana z plutonem egzekucyjnym, zsyłki, sądy doraźne i tak dalej. I nikt z nas nie zawaha się nawet przez chwilę, wybierając takie właśnie niedelikatne metody, gdyż są jedyne, nieuniknione, sprawdzone doświadczeniem wielu pokoleń, uświęca je bowiem cel tak wielki

■ ■ Potnie: jakże fa dąbn

— jak zwycięstwo rewolucji, lokomotywy historii. Mam rację czy nie?

Zgromadzeni, malowniczo porozkładani na dywanie, podłodze, na skraju mego biurka, z którego w pośpiechu zgarnąłem, co się dało, w poczekalni, a nawet na progu łazienki, do której otwarto szeroko drzwi — zakrzyknęli chórem, że tak, że wszyscy o tym wiedzą, że oczywiście on, Turgieniew, ma rację.

— A zatem zgodziliśmy się, oprócz pana mecenasa, ale pan się nie liczy, że słuszny cel uświęca paskudne środki, mimo iż uczono nas, że jest to zasada jezuicka, makiawelska, wykrętna?

Znów okrzyki. Któraś z dziewczyn leżących dotychczas na brzuchu w pobliżu mnie uniosła się na łokciach i zaczęła bębnić co sił pięściami w podłogę. Gdy się nieco uciszyło, Fidel zabrał głos kontynuując myśl podjętą przez Turgieniewa, zmęczonego długim gadaniem. Zaczął skandować jak doświadczony wiecowy trybun demagog:

— Zatem, przyjaciele, będziemy protestować aż do skutku! A gdy to nie wystarczy, jeśli się ludzkość nie opamięta, zapalimy lont i wysadzimy w powietrze ten spróchniały, ogłupiały świat! Będziemy rzucać bomby na banki i wysadzać stacje metra, a także gmachy telewizji i radia i redakcje gazet ogłupiających ludzi, i sale kinowe, i teatry, i muzea, antykwariaty i uniwersytety! Będziemy strzelać do imperialistów, gdziekolwiek są! Będziemy ich tępić aż do ostatniego! Naszych ojców i nasze matki, jeśli są przeciw nam! Żeby ani jeden... żeby nikt z nich! Nikt! Nikt! Bo nasz cel jest piękny, więc i środki do niego wiodące są nim uświęcone, opromienione jego światłem! Będziemy zabijać Amerykanów w Wietnamie oraz ich pachołków w Ameryce Łacińskiej! Katów, którzy zamordowali Che! Pomścimy Guevarę! Pomścimy Dutschkego! Będziemy popierać rewolucję, gdziekolwiek wybuchnie: w Grecji, w Syjamie, w Peru, w Chile, w Wenezueli i w Boliwii! Będziemy walczyć bez wytchnienia i bez burżuazyjnej litości i wahania! Ze zgniłym rewizjonizmem udającym marksizm i z marksizmem, który przestał nim dawno być, a wciąż się pod niego podszywa! Z dyktaturą z prawa, z lewa i ze środka! Z każdą! Naszym wodzem i przewodnikiem jest wielki Mao! Mao! Mao! Mao!

— Z każdą! Z każdą! Z każdą! — skandowali wszyscy, bijąc do taktu pięściami o podłogę. — Mao! Mao! Mao! Mao!

Pomyślałem: dobrze, że pode mną nikt nie mieszka, za chwilę ktoś by tu przybiegł protestować, a i tak słychać te wrzaski aż na ulicy, a także naprzeciwko w hotelu „Viktoria”. Zajrzałem. Istotnie w oknach pierwszego piętra ukazały się dwie pokojówki. Z niekłamanym zainteresowaniem i uciechą, szepcząc i trącając się łokciami, przyglądały się nam, zapewne słysząc każde słowo. Podeszedłem zatem do okna i zamknąłem je. Trudno, będzie zaduch, ale inaczej się nie da. Fidel surowo popatrzył na mnie, zerwał się z podłogi i zawołał:

— Dlaczego pan zamknął okno? Niech cały świat słyszy! O to właśnie nam chodzi. Nie damy sobie zakneblować ust! Otwieraj pan!

•— Cały świat — zgoda •— odparłem ze spokojem — ale stanowczo niekoniecznie ludzie z naprzeciwka. Przecież nie o nich panu idzie, nieprawdaż? Zresztą ja sobie tego nie życzę. Albo przestaniecie się tak głośno zachowywać, albo...

Fidel zamilkł. Usiadł z powrotem na progu łazienki i zasepił się. Je dna z dziewczyn, taka ruda, z długimi włosami, pogładziła go po plecach, potem po głowie, końcami palców po policzkach. Nie poruszył się, ponuro zadumany. Wtedy pocałowała go w czoło.

Innym razem całe to towarzystwo skandowało tak głośno: „Mao! Mao! Mao!” — że również doszło między nami do scysji. Fidel i kilkoro innych, a także ta właśnie ruda dziewczucha z dużymi piersiami widocznymi pod swetrem, wybiegli wówczas na ulicę i zaczęli skandować tam na dole, przed „Viktoria”, to samo hasło. Az wyszedł nocny portier, bo to się wydarzyło dobrze po dwunastej. Zamknąłem wszystkie okna, zgasilem światło w

kancelarii, cofnąłem się w głąb mieszkania,, udając, że mnie nie ma. Beszta towarzystwa po ciemku wyszła już bez hałasu. Spoza naroża Bahnhofstrasse ukazało się dwu policjantów. Wówczas tamta grupka, wciąż skandująca na cześć Mao, zdecydowała się odejść sprzed „Viktorii”, gdzie portier starał się im coś wytłumaczyć. Jeszcze z daleka, z Viktoria- strasse, słyszałem przez chwilę ich głosy. Ale wówczas, gdy Fidel się na mnie obraził i zamilkł, a ruda dziewczyna starała się go pocieszyć, jak umiała, rzucając na mnie zabójcze spojrzenia, oskarżając mnie zapew

rotnie: jakże la dalekn

ne o krzywdzenie proroka, inna dziewczucha, ta, która leżała niemal u. moich nóg, zaczęła rytmicznie klaskać i wydawać gardłowe okrzyki. Był to protest, jak się zdaje, i podkreślenie krzywdy, którą im wszystkim wyrządziłem obrażając Fidela. Wydobyła spod swetra Czerwoną książeczką Mao i zaczęła nią wymachiwać tak, jak to oni wszyscy czynią przy byle okazji. Później otworzyła ją i zaczęła okrywać zamieszczoną w niej fotografię chińskiego przywódcy namiętnymi pocałunkami. Obserwowałem ją z bliska nie bez satysfakcji. Podobała mi się w tym niekłamany entuzjazmie, w tej pozie. Zrobiło się ciemno od dymu, duszno, trudno było wręcz wytrzymać. Niechęć sporej części zgromadzonych do korzystania z takich urządzeń jak łazienka, jak się domyślam, ze względu na to, iż należy do instalacji mieszczańskich, wyrażając zniewieściałość schyłkowej formacji gnijącego imperializmu — słowa Hugona, szczególnego niechlujka i teoretyka w tej dziedzinie — dawała o sobie znać. Zwłaszcza dziewczyny, ułożone wokół mnie na podłodze wianuszkami zgrzanych ciał, wydzielaly duszną woń słodkawego potu. Żadna z nich, jak sądzę, nie używała dezodorantów ani wody kolońskiej, ani tym mniej perfum; są to bowiem produkty kapitalistycznej kultury, jaką odrzuciły i którą gardziły.

Byłem więc zmuszony, chcąc nie chcąc, podejść jednak ponownie do okna i szeroko je otworzyć. Naburmuszony, nadal pośepny, brodaty Fidel, gładzony ręką rudej dziewczyny po policzku i karku, zerknął na mnie ponuro i mruknął basem:

— A zatem kapituluje pan, czy tak? Wola większości przemogła. Okno otwarte, żeby cały świat usłyszał, iż mamy własne, odmienne zdanie na wiele spraw i że się nigdy nie poddamy. Nigdy! — zakończył z mocą.

Spojrzałem na niego, a widząc, że czeka na moją odpowiedź, powiedziałem:

— Jak pan uważa. Wolałbym jednak, żeby się to więcej nie powtórzyło. Te wrzaski, pan pojmuje? Możemy dyskutować, czemu nie, ale jakoś bardziej kameralnie.

Odwrócił głowę i coś tam mruknął. Ruda dziewczucha objęła go przez plecy ramieniem i przytuliła się do niego całym ciałem. Przełożyła nawet w pewnej chwili nogę przez niego, przeciągając się i gnąc. Przeszali się krępować. Zaczęła się o niego ocierać, mruczając jak kot i całując go

coraz namiętniej w spocony i czerwony kark, odgarnawszy z niego długie, skołtunione włosy. Odwróciłem dyskretnie oczy od tej pary.

fwó wczas przysiadł się do mnie Turgieniew. Uśmiechnął się życzliwie i pogodnie, poprawiając okulary, i rzeczowo, cichym głosem kogoś, kto jednak nie stracił nadziei, że mnie w końcu nawróci, wierząc, iż nie rzuca klejnotów w błoto czy perłę w koryto wieprza, za jakiego mnie uważał, zaczął mi wyjaśniać jak tępemu dziecku teorię „cel uświęca środki”. Jeszcze mu, jak widać; było mało. Na szczęście wyrażał się bez emfazy Fidela.

Cóż, nie udało się mnie przekonać, nie o to mu wreszcie chodziło. Ważna była bez wątpienia ta wprawka dyskusyjna czy dialektyczna, jak gdyby seminaryjne ćwiczenie dla całej grupy. Niechże ja zrozumieć, że na przykład nie wszystkie dziewczyny, które tu mamy w tej chwili, są należycie uświadomione. Nie nauczyły się jeszcze prawidłowo rozumować, dialektycznie myśleć.

— Podobnie jak pan, mecenasie. Powinien pan to docenić i być nam nawet wdzięczny. Bo przy okazji, mimo iż nie o przekonanie pana nam szło, skądże znowu.', niech pan nie będzie aż do tego stopnia zarozumiały — chyba pan nie jest, co? — przy okazji coś tam pan liźnie. Dobrze i to, nieprawdaż? Jak łyk źródlanej wody. Jak promy- czek słońca w piwnicy. Tak to się mniej więcej przedstawia. A chociażby cała legislatura? • szepnął mi niemal do ucha, konfidencjonalnie, poprawiając się na biurku, na którym siedział, i nachylając ku mnie, a jednocześnie odpychając bez ceregieli kolanami dziewczynę usadowioną najbliżej nas. Odsunęła się bez słowa, chowając pod siebie długie nogi w wyszarganych.dzinsach. Bez

przykrości — słuchając piąte przez dziesiąte tej gadaniny — przyglądałem się jej ruchom, gdy tak odpełzała bokiem. — Pan jako prawnik, więcej, bo obrońca karny, powinien chyba zrozumieć całą złożoność sprawy, jej specyfikę, a nawet na ten temat móc nam coś ciekawego powiedzieć. Tyle doświadczeń — Boże drogi! Taka na przykład kara. Myślę o sentencji wyroku opartego na takim czy innym paragrafie kodeksu. Sama motywacja tej kary nie jest prosta, a cóż dopiero problem, kto ma ją prawo wymierzać. W imię czego czy też kogo? Pan milczy. Ja się temu nie dziwię. Ja bym też milczał na pana miejscu. Bo albo musiałby pan zaprze

czyć wszystkiemu, co pan wyznaje ex definitione swego zawodu, fachu i mentalności prawnika, i raz na zawsze odrzucić tę obróć karnego, w ogóle wszystko, co ma cokolwiek wspólnego z tak zwanym wymiarem sprawiedliwości, albo też zakłamać się na śmierć. A pan tego nie chce. Tyle jeszcze w panu tych resztek uczciwości. Jest to wprawdzie uczciwość z gatunku mięczakowatych, galaretowatych, mieszczańskich, ale dobre i to. Zostańmy na razie przy tym. Pan milczy, lecz bez trudu odgaduję, co by mi pan tu obwieścił, gdyby się pan nie wstydził. Mianowicie że wyroki feruje się w imię sprawiedliwości jako takiej. Dobrze, ale co to takiego, ta sprawiedliwość? Nie znam prawidłowej nieschematycznej definicji, a pan? Doda pan, że jeszcze w imię ładu społecznego, o, to już jest coś, źdźbło prawdy. Bronicie swych praw do wyzysku, do rządzenia, do okłamywania się wzajemnie dla własnej wygody i pogody ducha. Ja to w pełni rozumiem. Taki ład. Pięknie. Cóż, kiedy ja właśnie pragnę go zburzyć i przygotowuję się do roli burzyciela, niszczyciela, tępiciele i pan o tym dobrze wie, i nadal milczy pan jak grób. Bo pan się do tego nigdy nie przyzna, że boi się szczególnie takich jak ja. Wróćmy jednak do tego ładu, któremu pan wiernie służy, a którym ja pogardzam aż do samego dna i który zamierzam unicestwić. Ten ład realnie istnieje, z tym jednak, że należy dodać przymiotnik, określenie, jaki to ład. Nie istnieje, przynajmniej ja nie znam ładu bez tego wyjaśniającego dodatku. Pan zresztą wie o tym również. Stoi pan zatem na straży ładu określonego, a nie jakiegoś tam fikcyjnego, anonimowego, prawda? No więc. Zgodziliśmy się przynajmniej na to. Sprawiedliwość zaś sama w sobie, jak już wspominałem, to pojęcie, które nawet ładnie brzmi, ale niewiele znaczy. Tak jak na przykład demokracja. Bo cóż to właściwie jest? Czym się to je? Przedwczorajski spis potraw. Makulatura pojęć! Śmietnik! Prawo — wiemy o tym obaj — zostało tak, a nie inaczej sformułowane przez konkretnych ludzi, dla obrony konkretnych, realnych interesów, a nie przez aniołów dla aniołów. Nie obwijajmy w bawełnę tych spraw. Wiemy już więc obaj, co znaczy sprawiedliwość, ład społeczny i kto dla kogo ustalił takie, a nie inne reguły postępowania obwarowane kodeksem. Kto zbudował te wszystkie prawne, lecz i moralne, i etyczne, to się łączy, zagrozenia, te bariery, i dla kogo. Tracimy niepotrzebnie czas. Wydaje mi się, że mówimy o sprawach jasnych i dostatecznie zrozumiałych, tyle że zakłamanych jak mało co. Różne moralne tabu. Nie tykać! Nie zbliżać się! Świętość! A my nie tylko ośmielamy się tykać, lecz i solidnie potrącać. A jeśli ja, zapytuję pana, zamierzam zburzyć ten ład, bo mi się nie podoba, no to co? Pańska policja będzie mnie ścigać. Pańska sprawiedliwość za pomocą pańskich paragrafów potępi mnie. A co będzie, gdy mi się uda wyrzucić wszystko do góry nogami i zawładnąć krajem, Europą, całym światem, gdy zaprowadzę nowy ład? Pan zgaduje, do czego zmierzam? To ja wówczas podyktuję nowe prawa, w imię nowej sprawiedliwości, odmiennej niż tamta, dawna, diametralnie innej. I co wtedy pozostanie z całego tego zagadnienia? Wszystko do gruntu zwalone, na miejsce zburzonego nowe, a nazwy takie same. Znow — sprawiedliwość, ład społeczny, prawo i tak dalej. Pozostaną, tylko że będą przeciwieństwem tamtego poprzedniego. Białe równa się czarnemu. Jedno i drugie wszak — kolory. Dwa kolory. Ale nazwa kolor — nic nie oznacza, tak jak tamte symbole, o których mówiliśmy — sprawiedliwość, ład, porządek, uczciwość i tak dalej, i tak dalej. Sam kolor to jest nic. Dopiero taki, a nie inny, to jest coś. Czarny kolor, biały kolor, czerwony kolor. Do czasu, aż się znow zmieni — dodał i uśmiechnął się pogodnie, a może nawet z odrobiną przekornego sceptycyzmu.

Siedząca po turecku obok mnie na dywanie długonoga dziewczyna ziewnęła tak szeroko, że zobaczyłem najdokładniej jej różowe podniebienie i dziąsła, a także górne i dolne zdrowe i bardzo białe zęby. Potem jakby się otrząsnęła, może przeszył ją dreszcz, bo robił się wieczór i od okna powiało chłodem. Wzdrygnęła się i skuliła jeszcze bardziej, podciągając nogi pod siebie. Zauważywszy, że się jej przyglądam, znowu ostentacyjnie ziewnęła. Miała zgrabne uszy.

— Swobodna gra sił — powiedział Turgieniew. — Tak, to jedno jeszcze się liczy. Przeważy, rzecz jasna, to co młode, silniejsze, zdrowsze. Kwestia czasu. Rok, dwa, dziesięć. Problem biologii, nie polityki. Wymrzecie przecież. Z przeżarcia, z przesytu. Wasze brzuchy. Wasze zwapniałe arterie. Zadyszka itede. Rak, skleroza, wodna puchlina, cukrzyca. Wypadki samochodowe też należałoby W to wliczyć. I tak się powoli wykruszacie, wykruszacie... To my będziemy stanowić prawa. A zatem, jak pan sam widzi, żadna

sprawiedliwość, żadna mityczna siła wyższa, tylko swobodna gra sił realnych i ziemskich — zstępujących, czyli wstecznych, i wstępujących, czyli postępowych. Teoria i praktyka. Maoizm jest chronologicznie najmłodszym i najbardziej konsekwentnym systemem w tej chwili. Beszta — to przeszłość, zmierzch. Ale nie o tym mówiliśmy. Wróćmy jeszcze raz do oceny moralnej czy etycznej, tej wyklętej przez obłudników zasady „cel uświęca środki”. Wyrok, który w majestacie prawa odbiera człowiekowi wolność, największą wartość, jaką posiada prócz życia, jest to środek okrutny, zgódźmy się. Pan mi odpowie na to, iż niezbędny, tak jak słuszną i usprawiedliwioną — jest obrona konieczna. Tą obroną konieczną w tym wypadku jest ochrona ładu, o którym już mówiliśmy — i świadomość tego usprawiedliwiania ograniczenia wolności winnego i osądzonego, jego odosobnienie, żeby nie mógł szkodzić. W myśl tej fikcji, jaką — ustaliliśmy wspólnie — jest abstrakcyjnie pojęta sprawiedliwość i ochrona ładu, a wiemy również, co to jest ten ład — zabieramy człowiekowi jego największe dobro, jakim jest wolność. Idzie mi o uzasadnienie w ogóle prawa, jakie rości sobie ktokolwiek do sądzenia drugiego, człowieka. Jedynym takim usprawiedliwieniem jest rewolucja, która wszystko niweluje. Ale to nie jest prawo nabyte czy nadane, lecz uzurpacja. A zatem fakt, nie fikcja. I nic tu nie ma do rzeczy żaden kodeks, gdyż zwycięska rewolucja, wywracając wszystko do góry nogami, stanowi nowe mierniki prawne, tworzy nowe kodeksy. To jest jedyna realna prawda — a cała reszta to bzdura, okłamywanie się wzajemne, obłuda. A zatem w końcu wychodzi na moje; cel uświęca środki. Z całą pewnością. I obaj o tym wiemy od dawna, z tą tylko różnicą, że ja się do tego przyznaję, acz być może ubolewam, pan zaś przeczy, cofa się, stara do końca okłamywać. Może kiedyś, gdy obalimy ten ustrój, wszystkie w ogóle ustroje dziś jeszcze istniejące, zniwelujemy wszystko — wymyślimy coś zupełnie innego, nowego, lepszego i słusniejszego. Ale na razie... Cóż począć? Jedno jeszcze, ostatnie już pytanie: jak się panu zdaje — kto z nas dwu jest cynikiem, pan czy ja?

Mruknąłem niechętnie, bo mnie znudził i zmęczył, a jednocześnie czułem, że w jego bałamutnej gadaninie mieści się niejedno ziarno prawdy: — Sofistyka, nic więcej. Może mi pan wierzyć lub nie, wszystko jedno, ale tak to wygląda. Niczego pan nie zdołał udowodnić. Puste słowa. Śd> fizmaty

Zachichotał, zacierając ręce z uciechy. Spojrzał na mnie przez te swoje grube szkła krótkowidza i powiedział łagodnie: — Właśnie tego się po panu spodziewałem. Na to czekałem. Brawo! Wszystko zatem się zgadza. Nie pomyliłem się. Jestem panu niepomierne wdzięczny za to wyznanie

Cały czas obserwowałem siedzącą u moich nóg skuloną dziewczynę.

Wyglądała na obojętną, gdy inne, jak się zdaje, brały wszystko bardzo serio, przejmując się tym, co słyszały. Te przyszłe egerie rewolucji, a po latach, jak to bywa — ciotki rewolucji. Wyznawczynie, które w razie czego potrafiłyby wydrapać oczy przeciwnikom. Stan podniecenia, jaki u nich stale obserwowałem, można by przyrównać do narkotycznego transu. A przecież byłem przekonany, iż tylko niewielka ich część kiedykolwiek w życiu zaznała tej groźnej uciechy, poza być może niewinną niemal marihuaną w papierosach kupowanych u nas czy w którymś z sąsiednich wielkich miast bez trudu i za niewielkie pieniądze.

Narkotykiem może stać się zresztą także muzyka, zwłaszcza jazz, big beat, w ogóle rytm, rytmiczny amok, upojenie rytmem, tak powszechne w naszych czasach. Atmosfera hysterii panująca wokół słynnych pieśniarzy, idoli naszej epoki, bijących na głowę dawne bożyszcza, gwiazdy filmowe i gwiazdorów dziesiątej muzy. Jedynie sport jest jeszcze popularniejszy. Czasami narkotycznie działa również happening. Rzadziej już, lecz jednak wciąż jeszcze wiece, mityngi, masowe manifestacje polityczne. Takie jest — jak się nieco patetycznie wyraziła pani Weiler — oblicze naszego dnia. Naszego Dziś przez wielkie D.

Parokrotnie uczestniczyłem jako świadek, obserwator, bierny widz — w tego rodzaju historycznych mityngach. Na samo brzmienie imienia Che czy Wielkiego Mao, wypowiedzianego w odpowiedniej chwili i odpowiedniej tonacji — niektóre dziewczyny traciły nad sobą panowanie. Szerzyło się to jak epidemia. Wystarczyło, że jedna zaczęła, za nią natychmiast inne. Nagły przeskok z zupełnej apatii — która zresztą również mogła być wynikiem mody czy pozy — do podniecenia, do euforii. Być może dałoby się to bez trudu wyjaśnić medycznie, naukowo nazwać, określić. Ma to bez wątpienia podkład kryptoerotyczny. Jak każda

"histeria, a może każdy autentyczny fanatyzm. Niektórzy chłopcy, lecz znacznie rzadziej, dawali się również pociągnąć przykładem dziewczyn. Zachowywali się podobnie jak one. Przeważnie ci, co i fizycznie mieli w sobie coś kobiecego. Bujne kędziory o starannie utrzymanych lokach, w odróżnieniu od rozczochranych, brudnych facetów w rodzaju Hugona czy Fidela. Kuchy dziewczęce, to charakterystyczne kołysanie się w biodrach, a także szczegóły ubrania. Upodobanie do świecidełek, łańcuszków, breloków. Ernest nie. U niego, jak sądzę — i co mnie zarówno cieszy, jak i chwilami niepokoi — przeważa kult męskości, mimo że i on, ulegając modzie młodzieżowej, nosi długie włosy.

Moje pokolenie było jednak inne. Reagowaliśmy odmiennie na rzeczywistość-,* która była groźna, gdy teraz może w oczach młodzieży wydać się najwyżej godna pogardy, bezideowa, syta i cyniczna. Udział dziewcząt w naszych mityngach i organizacjach był ograniczony do niewielkiej grupy bardziej aktywnych. Te starały się upodobnić do chłopców, tak jak dziś wielu chłopaków upodabnia się do dziewczyn. Wedle różnych modnych teorii, porównań, historycznych doświadczeń wskazywałoby to na zbliżanie się epoki schyłkowej, ery zmierzchu. Jak w Rzymie przed najazdem barbarzyńców. Zwykle w takich okresach mężczyźni niewieścieją, obyczaje stają się rozwiązłe, seks przeważa nad innymi dziedzinami życia. Uczta Trymalchiona.

Za mojej młodości i — przeciwnie. Cechy kobiece były w pogardzie. Na przykład nasze dziewczęta — te politycznie aktywne, nasze młodociane bojowniczkę — uważały kokieterię za grzech, seks zbyt eksponowany za cechę burżuazyjną, mieszczańskie relikty cywilizacyjne, niegodne świadomej kobiety, towarzyski mężczyzny w złym i w dobrym. Należy dodać, że nie było wśród nas dzieci burżuazji, odwrotnie niż dziś, gdy wszyscy niemal gniewni z niej się wywodzą. Nieliczni ówczesni nasi sympatycy, nie pochodzący z proletariatu, pozostawali pod naszą stałą, czujną obserwacją. Nie mieliśmy do nich zaufania. Wietrzyliśmy dywersję, obawialiśmy się wtyczek, prowokacji. Żyliśmy w nieustannym zagrożeniu, w stałej mobilizacji, pod wysokim ciśnieniem! Jak w oblężonej twierdzy. Cóż mogą wiedzieć o tym dzisiejsi kontestatorzy?

Zastanawiam się, czy ta odwrotność dzisiejszych czasów, jaką można by odnaleźć w tamtych latach trzydziestych, ta męskość wobec dzisiejszego zniewieścienia — nie oznaczałaby jednego, co byłoby wręcz groźne: jeżeli cechy naszych czasów upodabniałyby je do okresu upadku cywilizacji, epoki Aleksandryjskiej, schyłku imperium rzymskiego czy ostatnich lat Republiki Weimarskiej — no to jak należałoby logicznie nazwać męski, zwycięski, heroiczny etap następny; heroizm właśnie, ten kult męskości i siły to były hasła, które niósł z sobą faszyzm. Jakże z tego wnioski dałyby się wyciągnąć?

Jeśli nam w tamtych latach groziło stałe niebezpieczeństwo, tym młodym kontestatorom nic w praktyce nie grozi. Musieliby przekroczyć jakiś próg, poza którym władze każdego państwa bez wyjątku mówią stanowczo: Dość! Więcej już ani kroku! Ale, jak na razie, na nic takiego, przynajmniej na większą skalę, się nie zanosi.

My nie byliśmy w najmniejszym stopniu histerykami. Naiwni — być może, lecz nie histeryczni. Histeria zresztą nie była i nie jest cechą proletariacką; jest to produkt kultury mieszczańskiej; feudałowie również nie byli histerykami, a ich romantyzm, który tak upajał naśladowców, tych, którzy radzi by byli cofnąć wszystko aż w średniowiecze, był cechą powierzchowną, nie sięgał głębiej, nie był rozkładowy czy niszczyielski jak neoromantyzm schyłkowców epoki modernistycznej.

Ale czy ja potrafię sobie teraz, po tylu latach, dokładnie uświadomić, jaki byłem wówczas? Pewne szczegóły zacierają się zbyt łatwo, gdyż nie przystają do obrazu, jakiśmy sobie uformowali czy wymarzyli. Niektóre sprawy na pewno upraszczam, o innych staram

się zapomnieć, jeszcze inne — schematyzuję. Myślę i mówię: tak to powinno było wyglądać; dobrze, ale jak wyglądało naprawdę? Nie jestem tego pewien.

Byliśmy w mniejszości i zdawaliśmy sobie z tego sprawę, aczkolwiek nie docenialiśmy powagi sytuacji. No i w rezultacie nie udało nam się niczemu zapobiec. Było nas coraz to mniej. Jedni wpadali w łapy policji, inni ze strachu dezercerowali, zniechęceni i zrezygnowani. Trafiali się niestety i tacy, a było ich niemało, którzy przeszli wprost od nas do szeregów wroga. Nie potrafię odpowiedzieć, czy brakło im siły, żeby wytrwać, czy urzekła ich, zafascynowała, wręcz zahipnotyzowała siła, którą emanował faszyzm. Jego zewnętrzny, niemal magiczny ceremonial. Kult masy.

Tysiące i dziesiątki tysięcy. Proporce i hasła. Capstrzyki i pochodnie. Ryk z tysięcy gardeł. Las wzniesionych ramion. Kult wodza. Jakże nie miało to oszołomić słabszych umysłów i charakterów!

A ci teraz? Ci dzisiejsi gniewni? O co właściwie walczą? Jaki nowy ład pragnęliby zaprowadzić? Chyba sami dobrze nie wiedzą. A obok nich, synów klasy panującej, lecz zbuntowanych . ■ przeciwko czemu? pozorom, zewnętrznym objawom czy — co nader wątpliwe — podstawom ustroju — istnieje gdzieś z boku masa proletariatu. Jaka ona? I tego nie wiemy. Młodzi robotnicy. Coraz lepiej sytuowani, zbliżeni do tego, co Garaudy nazwał salariatem. Już nie proletariatem w dawnym rozumieniu tego słowa, bo żyją na innej stopie, a wiadomo, że byt określa świadomość. Czyżby rolę proletariatu, tego pariasa zepchniętego w dół, pozbawionego praw i żyjącego na skrajach biedy, jeśli nie nędzy, przejęli obecnie gasterbeiterzy? Te setki tysięcy, już dzisiaj miliony robotników cudzoziemskich -^Turków, Jugosłowian, Włochów, Arabów, Bóg wie kogo jeszcze? Bez prawa udziału w wyborach, pierwsi w razie zachwiania koniunktury w kolejce do zwolnienia z pracy i ekstradycji z kraju, żyjący w gettach, w tymczasowości i na marginesie naszego życia?

Skąd zatem, z jakiego ośrodka wyjdzie zasadniczy atak, szturm na okopy establishmentu, ładu i porządku? Studenci stanowią dziś w całym cywilizowanym świecie wielką armię, z którą wszyscy muszą się liczyć. Nową siłę, o której niewiele w gruncie rzeczy i nie wszystko wiemy. Uniwersytety stały się ośrodkami walki, buntu, protestu. Czyżby wyrastała pod bokiem nam, tradycjonalistom przywykłym do schematów, do wczorajszego podziału społeczeństwa, jakaś nowa warstwa, armia nawet, klasa, trzecia czy czwarta? Byłoby to niezgodne z moimi poglądami. Lecz czy prawa dialektyki, którym pozostałem wierny, nie nakazują liczyć się z czymś takim? Nie ma, jak sądzę, form stałych, niezmiennych. *Panta rhei!* Do czasu, aż ktoś wynajdzie inną, słuszniejszą nazwę, możemy umownie uznać miliony studentów za coś w rodzaju nowej, odrębnej klasy społecznej. Rządzą się przecież własnymi prawami, i to bez względu na pochodzenie społeczne i interesy tych klas, z których się wywodzą.

Czy to ta właśnie nowa siła przypuści szturm do murów Jerycha? Jak długo się ostaną? Atakują przy każdej nadarzającej się okazji. Przegrywają z policją, ze społeczeństwem, zastrachanym i zdeorientowanym, zaskoczonym zdradą własnych synów i córek. Przegrywają ze społeczeństwem, które pragnie spokoju, lecz jak długo będą przegrywać? Przecież rosną w siłę. Tworzą nie tylko polityczny ruch społeczny, lecz i obyczajowy, a także modę. A moda to potęga. Z modą trudniej nieraz walczyć niż z określoną organizacją polityczną. Przekonali się o tym ci, którzy, z takich czy innych dogmatycznych względów, bardziej lub mniej teoretycznie uzasadnionych, zwalczali jazz czy nowoczesne tańce jako rzekomo związane nierozłącznie z zachodnimi kapitalistycznym stylem życia.

I jeszcze jedno przyszło mi na myśl, gdy wczesnym rankiem wybierając się na rozprawę Oppenheima przeglądałem po raz ostatni już chyba teczkę z jego aktami, by sobie to i owo przypomnieć: jeden z chłopaków, przyjaciel mego Ernesta, oświadczył mi kiedyś, bez wahania i ogródek, że moralność jest właściwie pojęciem drobnomieszczańskim z samego założenia. Po prostu — jak się wyraził — dymna zasłona, by nią pokryć własne draństwo. Wygodny unik, pretekst, nic więcej. Moralność — dowodził — to wyłącznie sprawa taktyki. W najlepszym razie — strategii. Tchórze czasami, w chwilach szczerości, przyznają się do stosowania zasad moralnych jako broni wyłącznie taktycznej, zastrzegając się obłudnie, że w dziedzinie strategii obowiązują ich nadal prawa niezmiennych — po prostu etyka, taka bez żadnych dodatków, a z nią żartów nie ma. Mówiąc tak, nie zdają sobie sprawy, iż żartują. Wedle starej szkoły etyka, o której mówią, nie zmieniła się od czasów nieboszczyka Wilhelma II i profesora Unrata. Prawo naturalne, rzekomo zesłane przez Boga, od dawna jest celem

drwinek i tematem kawałów, z których oni sami zarykują się przy piwie, gdy nikt niepowołany ich nie słyszy. Cynicy natomiast już mówią jawnie o etyce jako broni przydatnej w dziedzinie strategii. Inna jest w istocie moralność polityka, a zawsze znajdzie on pod dostatkiem racji, by ją przedstawić jako jedynie obowiązującą; inna księdza, który zresztą zawsze w jakiejś mierze jest również i politykiem, operującym tylko nieco odmiennymi metodami, czerpanymi z arsenału rzekomych praw boskich, i posiłkującym się tak znakomitą — jeśli idzie o Kościół katolicki — bronią jak spowiedź, cu-

downe źródło podśluchu, a jednocześnie propagandy szeptanej i nie do skontrolowania; inna policjanta, inna sędziego, a jeszcze inna zacnego ojca mieszczańskiej rodziny, kupca czy przemysłowca. Warto też zwrócić szczególną uwagę na metody wychowawcze, na prawa moralne — a są one środkiem nacisku — stosowane przez pedagogów przekazujących swym podopiecznym, nie uformowanym jeszcze dostatecznie umysłem, to wszystko, co w danym czasie, danemu konkretnie ustrojowi wydaje się -ważne i podstawowe i co się nazywa prawem boskim albo naturalnym, lub tylko moralnym. Rzecz jasna, niezmiennie obowiązującym. Zakwestionowanie tej najważniejszej zasady, jaką jest niezmienność, staje się klęską, wysadzeniem z siodła, początkiem końca całej epoki. Nawet męczyzny rewolucji, gdy zwyciężą, stają się natychmiast konserwatystami. I to jest całkiem zrozumiałe: osiągnąwszy zwycięstwo, nie pragną dalszych zmian ani bardziej radykalnych reform; przy okazji mogliby utracić władzę, a więc to, co najważniejsze: życiową sytuację. Awans wymaga stabilizacji, kariera okresu ciszy i bezruchu. — Proces zatruwania umysłów młodzieży od kołyski poprzez ławki gimnazjalne aż po służbę wojskową i aule uniwersyteckie trwa nieprzerwanie i z tym właśnie postanowiliśmy przede wszystkim skończyć — ■ oświadczył mi ten młodzieniec, najbliższy przyjaciel mego Ernesta, chłopiec z nagim torsem, z opadającymi na ramiona złotymi lokami, o lazurowych oczach i wargach dziewczyny. Mówiąc to wszystko ze spokojem i przyciszonym głosem, lecz jakby w upojeniu czy natchnieniu, patrzył gdzieś nade mną, jakby wygłaszał swoje credo w przestrzeń. Był piękny, wręcz urzekający w tej chwili. Obserwowałem go też z nieklamana satysfakcją, jakbym oglądał ożywioną posąg greckiego młodzieńca, wysportowanego, lecz i nieco dziewczęcego w swych gestach, efeba czy może nawet półboga. I nie tylko ja byłem nim zafascynowany. Widziałem dokoła oczy chłopców wpatrzone w niego z zachwytem. A cóż dopiero mówić o dziewczynach.

Powiedział jeszcze:

—< Niby wszyscy od dawna wiedzą, co o tym sądzić, lecz człowiek wskutek tresury stosowanej od wielu pokoleń przywykł do podwójnego myślenia, gdyż wygodnie mu żyć w kłamstwie. Ludzie są od dawna doszczętnie skorumpowani. Żyt w obłudzie to żyć bezpieczniej i wygodniej niż
owym

TO

w proteście i walce. Tkwią zatem w posłuszeństwie dla siły i kłamstwa. Nawet sami przed sobą nie przyznają się, iż w gruncie rzeczy, gdzieś tam na dnie, kpią z prawd, w jakie każe im wierzyć obyczaj, rutyna, dobre maniere, wygoda. Rodzaj wygodnego tabu: lepiej milczeć. Zaś ci nieliczni, którzy odważyli się na głos powiedzieć, iż król jest nagi, obrazoburcy i kacerze, idą odwiecznym obyczajem na stos lub za kraty azylu dla obłąkanych. Przedwczoraj wszędzie tak było, dziś jeszcze w wielu krajach tak jest, ale czy musi tak trwać zawsze? Jak to wygodnie kogoś, kto zawadza, nazwać nie zbrodniarzem, lecz wariatem. Wariat nie bywa męczennikiem. Wariat to pojęcie medyczne, nie polityczne. Wariatów się zamyka, ale nie po to, by ich karać, lecz by ich izolować od zdrowych i leczyć. To wygląda szlachetnie, nie-prawdaż?

Zadawał te pytania nie mnie, nie czekał na odpowiedź, mówił dla siebie, pewnie po to tylko, by usłyszeć swój własny głos. Może wyobrażał sobie, iż przemawia do jakiegoś znacznie liczniejszego grona.

Pani Oppenheim przychwyciła mnie tuż przed sesją. Czatowała na mnie w przejściu na samym dole. Nie udało mi się uniknąć spotkania z nią ani rozmowy, całkowicie już teraz zbytecznej.

— Panie mecenasie, jak pan sądzi? Czy pan istotnie jest przekonany, że oni nie skażą mego męża?... Ze, jak pan nam obiecał ostatnio, wszystko pójdzie szybko, prawie tak, jakby

rozprawy w ogóle nie było?"Bo ja się bardzo boję, panie mecenasie... Z jego chorym sercem... Gdyby, nie daj Boże, trzeci zawał... On by już tego nie przetrzymał... Cała nadzieja w panu... — i tak dalej.

Uspokoilem ją, na ile mogłem, i szybko wyprzedzając ją pobiegłem na piętro po szerokich, startych i wyślizganych schodach. Na korytarzu przed salą sądową, jak się okazało, czekał na nią mąż. Udałem, że go nie zauważam. Być może, że on mnie nie spostrzegł. Wsparty o laskę z gumką na końcu, siedział na ławce pod oknem odziany w elegancki granatowy garnitur. Na oczach miał duże czarne szkła. Zdawał się drzemać. W znakomitym humorze, a wpłynęła na ten mój stan zapewne i piękna wczesno jesienna pogoda, i, jak sądzę również, znakomite trawienie po paru dniach lekkich, lecz deniwujących żołądkowych przypadłości, coś sobie w duchu

31T

nucąc, wszedłem do pokoju dla adwokatów, gdzie już zastałem paru moich kolegów. Rozmawiało się o tym i owym. Zajrzał prokurator Niedenthal. Uścisnęliśmy sobie ręce. — No jak? — zapytał wkładając toęę. — Zaczynamy? To potrwa krótko. Obaj zdajemy sobie sprawę, że ustawa uzupełniająca z drugiego sierpnia — ależ ma pan szczęście! — właściwie załatwia wszystko. To będzie czysta formalność. Ja już się poddaję — i śmiejąc się podniósł obie ręce do góry.

Niewiele osób na sali. Pani Hilda, kilkoro jej znajomych, jakiś starszy jegomość o wyglądzie emerytowanego wojskowego. Minęły dawno te czasy, gdy przy takich okazjach bywało tutaj tłoczno, a nawet burzliwie. Ostatni raz chyba jeszcze tylko na słynnym procesie oświęcimskim we Frankfurcie nad Menem. Teraz — kogo to właściwie obchodzi poza najbliższą rodziną. Zwłaszcza gdy przed sądem staje nie jakiś as, lecz płotka, \$ak ten stary Oppenheim. Z trudem udałoby się udowodnić mu śmierć iluś tam ludzi, i to zadaną nie własnoręcznie, a w dodatku bardzo dawno temu, w warunkach wojennych. Ta sala zresztą należy do najmniejszych w gmachu sądu i o ile sobie przypominam, nigdy w niej nie sędzono spraw naprawdę poważnych, kiedy to należało spodziewać się dużej ilości widzów. W tej zmieściłoby się z trudem najwyżej osiemdziesiąt osób, a jest ich dziś zaledwie trzydzieści dwie. Z pustej ciekawości zliczyłem je poruszając po cichu wargami, tak że ktoś obserwujący mnie z daleka, jak na przykład w tym momencie pani Hilda Oppenheim, mógłby sobie wyobrazić, że powtarzam w pamięci przygotowaną mowę obrończą.

Brak świadków, poza jednym — pewną panią w starszym wieku, zamieszkałą w Hanowerze. Żydówką, która w czasie wojny mieszkała gdzieś tam na Śląsku. Rzecz jasna, ukrywała się wówczas, więc niewiele może wiedzieć o przebiegu wydarzeń. Nie będzie zresztą, mam nadzieję, nawet potrzeby przesłuchiwania jej i zaprzysięgania. Koszty podróży świadka z Hanoweru do Koblencji, diety i bilet powrotny zapłaci skarb państwa.

Ze świadków obrony, których usiłowała mi narzucić gorliwa pani Hilda, z góry zrezygnowałem, mimo jej nalegań. Po co przeciągać rozprawę, fatygować ludzi, mnożyć koszty? Siadając w mojej ławce uśmiechnąłem się do sędziego Brauna i prokuratora Niedenthala. Poprawia rękawy togi,

HHHHHI

niecو za długie, wciąż zakrywają mu dłonie, palce, w których trzyma długopis koloru jaskrawoczerwonego. Wszyscy, ilu nas jest, zdajemy sobie sprawę ze straty czasu, jaką jesteśmy zmuszeni ponieść wskutek przepisów prawnych. Formalnościom musi się jednak stać zadość i nic na to nie poradzimy. Sędzia Braun, sekretarz Lauthner i prokurator Niedenthal. Poważnie całą rzecz bierze małżeństwo Oppenheim. A może i ten stary oficer siedzący w zamyśleniu w trzeciej ławce od strony okna. Pewnie przyjaciel oskarżonego, kolega z wojska. Lecz znam również i takich amatorów, którzy zjawiają się tu stale, nie mając innego zajęcia. Niektórzy wcześniej już karani i kiedyś tam uwięzieni, byli esesmani czy inni uznani niegdyś za przestępców wojennych, obecnie już wolni. Emeryci, renciści, wciąż przychodzący tutaj. Po co? Żeby czuć, sprawdzać, porównywać? Może nawet wspomnieć przy okazji rozprawy dawne, dobre czasy, własną młodość.

Zajęty myślami zapomniałem niemal, że już się rozprawa zaczęła. Przyszedł sędzia apelacyjny Weber, mój dobry znajomy. Usiadł w pierwszej ławce z boku. Jest widać przerwa między sesjami, nie ma co robić, więc wpadł tutaj, żeby się przysłuchać.

A mnie, sam nie wiem czemu — może w związku z Weberem, którego często spotykam w „Kónigsbacher Restau- rant" niedaleko stąd, gdzie popijamy dobre miejscowe piwo o takiej samej nazwie, „Kónigsbacher" — przychodzi na myśl naklejka na butelkach tego piwa: herb z krzyżem i koroną na czerwonym polu i dumnie brzmiąca data założenia browaru: 1689. Są tacy, którzy utrzymują, że „Kónigsbacher" nie jest wcale gorsze od słynnego „Spaten" czy też „Loven". Do tych należy także sędzia Weber, który właśnie w tym

momencie strannie złożył wielką płachtę „Zei- tu”, chowa ją do płaskiej skórzanej teczki i patrzy z uwagą na sędziego Brauna przewodniczącego dzisiejszej rozprawie.

Wszedł spóźniony, lekko zadyszany sprawozdawca sądowy z „Rheinischer Merkur”, Weiss. Znam go od paru lat Pytał mnie wczoraj telefonicznie, co to za sprawa i czy warto mu przychodzić, bo ma w tym samym czasie inną, na innym piętrze, kryminalną, chyba ciekawszą. Zapewniłem go, że nie warto, ale okazuje się, że jednak przyszedł. Jeśli, nie dowierzając mi, oczekuje jakichś sensacji, srodze się zawiedzie. Powitał mnie z daleka lekkim skinieniem głowy. Prze-

czesuje dłonią nieco rozwichrzoną, siwiejącą, bujną fryzurą. Ilekroć go widzę, przychodzi mi na myśl sylwetka Einsteina.

I tak płynął czas na wstępnych, niezbędnych, nie do uniknięcia czynnościach. Zwyczajna rutyna. Personalia oskarżonego, odczytanie aktu oskarżenia, wymienienie świadków — razem aż dziewiętnastu się nazbierało. Woźny od drzwi melduje: — Nieobecny, nieobecny, nieobecny! — Tylko ta jedna starszawa Żydówka z Hanoweru.

Uprzedziłem mego klienta, żeby zeznawał możliwie krótkimi zdaniami, rzeczowo, nie negując oczywistych faktów, nie przyznając się jednak do winy, skoro takie jest jego najgłębsze przekonanie. Szacunek dla trybunału, żadnej arogancji, nawet w najmniejszym skrzywieniu warg, w tonacji głosu, w niczym. Sąd tego nie lubi. Nawet taki jak ten — dodałem już w duchu. No więc.

I tak istotnie zeznawał Oppenheim. Czy czuje się winnym, iż w dniach drugiego, trzeciego, piątego i jedenastego miesiąca lutego roku 1945... Sędzia Braun łyka wyrazy, śpieszy się, poprawia okulary, czyta dalej nie patrząc na oskarżonego, który trwa nieporuszony, jakby nie o niego chodziło. Czarne szkła całkowicie zakrywają mu oczy. Wygląda na ślepcę. — ...na Śląsku, w miejscowości... aha, Mistek, tak, Mistek... a zatem? — kończąc sędzia Braun odkłada okulary używane tylko do czytania i spogląda pytająco na mego klienta.

Nie. Pan Oppenheim nie poczuwa się do winy. Spełniał jedynie swój obowiązek. Nic ponadto. Sędzia odkłada papiery, odsuwa je od siebie jakby z obrzydzeniem. Wstaje. Wszyscy wtajemniczeni wiedzą, co im powiem. Prokurator Niedenthal nie zgłasza żadnych Sprzeciwów ani zastrzeżeń. Całkowite desintéressement. Przerwa w rozprawie. Sąd udaje się na naradę.

Zamykam teczkę na zameczek. Nie będzie mi już potrzebna. Identyczny gest wykonuje w tym samym momencie prokurator Niedenthal. Trzask, trzask. Nawet nasze teuczki, płaskie, miękkie, z czarnej matowej skóry, są identyczne.

Oppenheim wstał ze swej ławki dopiero wtedy, gdy po- deszła do niego żona. Kiedy zmierzałem do kancelarii, udało jej się złapać mnie. Mimo wszystkiego, co słyszała przed chwilą na sali, nie jest pewna wyniku. — Oni mogą jeszcze w ostatniej chwili... — Co ja o tym myślę? Że będzie dobrze. — Ale na pewno, na pewno? — Przekonamy się *a

U

chwilę. Nieco cierpliwości, proszę pani. — A może ten prokurator?... — pyta mną w dłoni chusteczkę, a ja wykonuję nieco może zbyt jawnie zniecierpliwiony gest dłonią w powietrzu. Lekko się jednak przy tym uśmiecham. I z tym uśmiechem, który pani Hilda kwituje swoim, wyrażającym zapewne wdzięczność, udaje mi się wykręcić od dalszej rozmowy i zniknąć w kancelarii sądu.

W czasie tej na szczęście krótkiej rozmowy z panią Oppenheim jej mąż stał cały czas o parę kroków dalej, pod oknem na korytarzu, nieruchomy jak manekin, z kamienną twarzą, jakby go to wszystko nic nie obchodziło. Jakby nie o niego szło. Nieco mnie jednak drażni olimpijski spokój tego czcigodnego starca. Idąc szybko korytarzem, jakbym przed tą parą uciekał, zastanawiałem się, o czym on, ten mój klient, w tej chwili może myśleć. Ten stary, dystygowany, szpakowaty jegomość ze sztucznym okiem w znakomitym gatunku. Czy bodaj na krótką chwilę, siedząc tutaj, na ławie oskarżonych, ujrzał wzrokiem pamięci tamten daleki zakątek Europy i tamte dni z końca ostatniej wojny? Czy mu się kiedyś tamto śni? Czy wraca do niego? Diabli go wiedzą! Podejrzewam, że nie. Co mnie to zresztą obchodzi. Zainkasuję dość pokaźne honorarium i do widzenia. Adieu — małżeństwo Oppenheim!

Po przerwie, która trwała nie dłużej niż pół godziny — decyzja sądu. Rzecz jasna, taka, jakiej oczekiwałem. Stojąc, wysłuchujemy jej, myśląc, żeby jak najprędzej stąd wyjść, skoczyć na piwo do „KSnigsbachera”. Umówiłem się tam z Niedenthalem. Cała ta sądowa komedia zajęła nam zaledwie dwie godziny i czterdzieści minut

Przy samych schodach znów mnie dopada pani Hilda, zadyszana, szczęśliwa, rozpromieniona. Pragnie mi najserdeczniej, jak potrafi, w imieniu swoim i męża przekazać, wyrazić i tak dalej. On milczy stojąc obok. Jakoby braknie mu słów. Przerrywam jej w pół zdania: — Zrobiłem, co do mnie należało. Nic ponadto. To był tylko obowiązek adwokata, któremuście państwo powierzyli sprawę. — Na to ona, z uśmiechem osoby znakomicie wychowanej i znającej się na niuansach tego rodzaju: —■ Wiem, wiem. Pan mecenas przecież mnie zapewniał, że to tylko jego obowiązek, wiem. Ale pozwoli mi pan inaczej nieco ocenić jego trud włożony w tę przykrą sprawę, w którą tak brutalnie i niehumanie wpłątano mego męża. Tego mi nikt nie wytłumaczy, iż pan,

panie mecenasie, tylko i wyłącznie jako prawnik bronił Leopolda. Również — jako człowiek. Bogu niech będą stokrotne dzięki, że sprawiedliwości stało się zadość! I to pan był wyrazicielem i wykonawcą boskiego wyroku. To dzięki panu odzyskałam wiarę, że istnieje jeszcze mimo wszystko na tym świecie coś takiego jak sprawiedliwość. I tego panu oboje nigdy nie zapomnimy, panie mecenasie... Nigdy, nigdy... I nie zdołamy mu się wywdziękzyć ani go wynagrodzić w żaden godny i dostępny nam sposób.

Machając rękami, jakbym odganiał natrętą muchę, stałem naprzeciw tej kobiety, jak sędzę, w tym momencie bardzo szczerzej i naprawdę wzruszonej. Ostatecznie, co ona winna... A on sam? Dajcie spokój... Po tylu latach! Czy po takim długim czasie można go uważać za tego samego człowieka? Ale tak rozumując, jak ja w tej chwili... No, Bóg z nim! Dość tego! Nigdy nie lubiłem takich scen, zawsze uciekałem od wdzięczności moich klientów, jak tylko się dało.

Wyzwolił mnie od pani Hildy i wciąż stojącego nieco z boku, milczącego jej męża prokurator Niedenthal. — Idzie pan? — spytał. — Tak, tak, już idę, do widzenia pani, do widzenia panu! — I tak ich zostawiłem oboje na tym korytarzu sądowym, ją, jeśli poznała Niedenthala ubranego już po cywilnemu, bez togi, a to bardzo zmienia, zaskoczona zapewne, że z nim razem wychodzę z sądu. Osoby mało obeznane z aparatem sprawiedliwości sądzą — przekonałem się

o tym wielokrotnie — że obrońca z prokuratorem powinni nie znać się, jeśli nie być jak pies z kotem, także w życiu prywatnym. I takie wspólne wyjście z sądu z oskarżycielem publicznym uważają za coś wręcz podejrzanego, karygodnego. Są zgorzeleni, bliscy całkowitego zwątpienia w bezstronność trybunału.

Skończyło się na kolacji spożytej w chińskiej restauracji „Asia” na Starym Mieście z Niedenthalem, jego żoną, Heidi,

1 mecenaszem H., moim dawnym znajomym, jeszcze z czasów pracy w amerykańskiej komisji denazyfikacyjnej. Jedząc znakomicie przyrządzoną kure'po nankińsku, omawialiśmy wspólnie szanse wyborcze SPD u nas, w Pa la ty nacie, a także w skali całej Republiki. Kurt H. mówił, że za Adenauera sytuacja była zupełnie inna. Dopóki żył Adenauer, prawdziwy, autentyczny i nieposzlakowany politycznie mąż stanu, przyznaje się, że on sam oddał aż trzykrotnie swój głos na

822

CDU. Ale obecnie nie można już stosować tych samych metod co w 1049. Rok 1969 to nie to samo co 1949. Co wówczas miało jeszcze jakiś sens, bo wydawało się, iż wystarczy przetrwać i doczekać spodziewanych zmian, teraz, w całkowicie zmienionych warunkach, stało się szkodliwą brednią, kulą u nogi, balastem. Mimo wciąż korzystnej koniunktury gospodarczej, w razie najmniejszego jej zachwiania — a tego należy oczekiwać, nie jest to aż tak niemożliwe, jak się niektórym zdaje — groziłby nam zastój, izolacja, ponowne zachwianie równowagi, gorzej — to, co Francuzi tak słusznie nazywają „rasphyxie” — uduszenie się we własnym dobrobycie. Tak. A my już właściwie zaczynamy się dusić. I politycznie, i gospodarczo w konsekwencji odcięcia od rynków Europy Środkowej i Wschodniej. To absurd! Przekreślać dla politycznej fikcji realne interesy. A my tak często. Adenauer to był przynajmniej ktoś. Ktoś taki, jak Stresemann. Niezupełnie, ale jednak. Pół Bismarck, pół Stresemann. W każdym razie — wielki starzec. No a teraz... Nasz Kohl? Potem Niedenthal mówił o przykrej aferze Defreggera.

0 jej reperkusjach politycznych, teraz właśnie, na pięć minut przed wyborami. Okropnie niewygodna, niezręczna sytuacja. Ataki całej prasy prawicowej, CDU i CSU, całego, rzecz jasna, koncernu Springera. Jak na komendę huraganowy ogień skierowany na kardynała

Doepfnera z Monachium, na którego teraz zwała się całą winę za ten istotny błąd polityczny, jakim było mianowanie sufragana człowieka skompromitowanego w czasie wojny.

Kurt H. widzi w tym duże niebezpieczeństwo. Wzrost szans CDU. Bo monsignore Doepfner jest jedynym w tej chwili spośród naszych kardynałów, w ogóle spośród przedstawicieli wysokiego kleru, który jawnie popiera SPD. No

1 obecnie tajne machinacje sfer watykańskich, którym monsignore Doepfner był niewygodny, jako liberał, jeden z najwybitniejszych umysłów w kościelnej elicie, zwolennik reform na synodzie. A także — co przeciw niemu zjednoczyło w Watykanie nie tylko konserwatystów — nie należy zapominać, że arcybiskup monachijski był i jest zwolennikiem uniezależnienia niemieckiego kleru od Watykanu.

— Rozumiecie, panowie, sytuację? Co za okazja, przez tego durnego Defreggera, do skompromitowania kardynała* Co za wyjątkowa gratka, i to w tak delikatnym momencie jak wilia wyborów mających znaczenie przecież nie tylko

BfMR

dla nasi No więc jasne, że monsignore Bafile, nuncjusz w Bonn — były, pamiętajcie, panowie, biskup z Aquili, a tam, w tej jego diecezji, działał właśnie Dcfregger, co za szczególny zbieg okoliczności — on, znany konserwatysta w kolegium biskupim, pierwszy dał znak do ogólnego ataku na kardynała. To inna rzecz, iż dziwiłoby mnie, gdyby postąpił inaczej i przegapił taką szczęśliwą okazję, ale że dla nas sytuacja jest arcyniewygodna, to fakt. Więc, rzecz jasna, taki Springer musiał po prostu aż zaklaskać z uciechy. No i Strauss, który szczególnie nienawidzi kardynała. Wyobrażacie sobie zatem... Ten Defrogger powinien szybciotko zniknąć. Jakiś zaciszny, niewielki klasztor. Pokutne rozmyślania, czy ja wiem. Rekolekcje może? Jak myślicie, co? Najlepiej we Włoszech. Rodzaj kary duchownej. Inaczej 0 wypadkach w tym Filetto z czerwca 1044 każą nam długo jeszcze pamiętać i eminencja będzie miał związane ręce. Bo cóż począć, to są niestety niezbitne fakty. Co za szczególny pech! Na pięć przed dwunastą taki pasztet!

Wstaliśmy i poszliśmy piechotą do „Royalu”, wciąż żywo dyskutując. Nawet żona prokuratora Niedenthala brała żywy udział w tej rozmowie. Wypiliśmy co nieco na dancingu, tańczyłem z panią Heidi, zrobiło się późno, wolałem nie wracać na Bornweg. Postanowiłem przespać się w pokoiku przy Stegemannstrasse, zwłaszcza że nazajutrz od samego rana czekało mnie sporo ważnych zajęć.

(■) Było dobrze po północy, gdy otworzyłem drzwi z klucza i wszedłem do poczekalni, a stamtąd do kancelarii. Zapaliłem światło i wtedy ona, Dziewczyna Alfa, wstała na mój widok. Siedziała, jak się okazuje, w kącie obok szafy z aktami po ciemku już wiele godzin. Co najmniej od trzeciej po południu.

Wkradła się tutaj, jak mi wyjaśniła bez cienia zażenowania, wraz z parą klientów, nie zauważona przez pannę Alis, czymś pilnie zajęta. Zdołała poza jej plecami wśliznąć się szybciotko do kancelarii, a następnie, korzystając, że drzwi do przedpokoiku dzielącego kancelarię od reszty pomieszczenia były otwarte, weszła do łazienki i tam doczekała chwili, gdy nikogo z klientów już nie było, panna Bergen pogasiła światła, zamknęła drzwi na klucz i wyszła. Wtedy dziewczyna wróciła do kancelarii i nieco senna, usiadła na podłodze w kącie i zdrzemnęła się. Przebudziłem ją zapalając światło. — Nie miałam innego wyjścia, skoro ta stara wiedźma uparła się nie wpuszczać mnie tutaj. Trudno.

Przesiedziała u mnie, jak z tego wynikało, blisko pół doby! Pomyślałem: pewnie myszkowała po wyjściu panny Alis po całym mieszkaniu. Na wszelki wypadek sprawdziłem. Na szczęście wszystko było pozamykane: biurko, szafka na akta, szuflada stolika od maszyny, gdzie panna Alis trzymała różne drobiazgi.

Patrzyłem na rozespaną dziewczynę w dzinsach, a ona na mnie. Ziewnęła bardzo szeroko, a następnie przeciągnęła się z wyraźnym zadowoleniem, wcale nie zażenowana tą sytuacją.

Marszcząc brwi, spytałem bez cienia pobłażliwości, bez uśmiechu:

— Co pani tu właściwie robi? — A gdy milczała wciąż ziewając, wyższa ode mnie, nieco chłopcowata i z bezczelną miną, bardzo pewna siebie, dodałem rozdrażniony: — No niechże pani mówi, do wszystkich diabłów!

— Tyle czasu siedzę o suchym pysku. Tamta wydra zamknęła mnie na klucz, no i nie miałam innego wyjścia jak siedzieć tu aż do teraz. Więc może by się coś znalazło do zjedzenia. Szukałam nawet, ale niczego takiego nie było. Ale jak nic ma, no to trudno, obejdzie się.

Podszedłem do szafki, tej antycznej, w której trzymam alkohole i cygara, gdzie spodziewałem się znaleźć może jakieś krakersy. Dawno tam nie zaglądałem, więc nie byłem tego pewien. Kręciło mi się w głowie od trunków wypitych w „Royalu”. Zaczęła mi pomagać w tych poszukiwaniach, Przykucnąwszy wyjęła z dolnej półki butelkę calvadosu, od-

korkowała, powąchała, skrzywiła się. Odstawiła z powrotem. W końcu udało mi się natrafić jakimś cudem na pudełko keksów. Ona usiadła zaraz obok na podłodze, wyciągnęła swoje niepomiarne długie nogi, odrzuciła włosy na plecy, oblizała się i zaczęła jeść szybko i łapczywie. Przypatrywałem się temu stojąc nad nią przy uchylonych drzwiczkach szafki. Nie przestając jeść, sięgnęła po butelkę whisky „Old Smuggler”, odkorkowała ją, łyknęła, mrużąc jedno oko, posmakowała językiem, łyknęła ponownie i mając pełne usta pytająco zerknęła na mnie. Wskazała palcem butelkę, najwidoczniej milcząco proponując mi, bym też wypił. Ale mnie się nie chciało. Wyjąłem jej z ręki flaszkę, stawiając ją z powrotem na półeczce.

— Nie? No to nie. Szkoda, byłoby fajniej.

Odwrociłem się i ciężko opadłem na fotel koło biurka.

Miałem chaos w głowie. Nie bardzo wiedziałem, co mam teraz zrobić. Wyprosić ją stąd, zatrzaskać za nią drzwi, a może sprowadzić na dół, żeby dozorczyńni nie widziała. O tej porze? Po wpół do pierwszej? No to co? Ale jakoś nie mogłem się na nic zdecydować, a ona wciąż siedziała koło szafki jedząc i krusząc wokół siebie. Zajęta wyłącznie sobą, nie patrzyła na mnie.

Potem, gdy się tego najmniej spodziewałem, podniosła się na całą wysokość — musiała mieć co najmniej sto osiemdziesiąt centymetrów wzrostu, jeśli nie więcej — i powoli podeszła do mnie, tak blisko, że dotknęła kolanami moich nóg.

Stała tak chwilę nade mną żując krakersa. Patrzyła na mnie. Jej oczy nienaturalnie błyszczały, a może tak mi się tylko wydało. Za moimi plecami na biurku paliła się lampka i oświetlała ją mniej więcej do pasa, wyżej padał cień, tak że twarz wydawała się ciemna, niemal brunatna.

Zupełnie oklapłem, cholernie zmęczony, za dużo wypłem, byłem senny, odechciało mi się mówić, żywiej reagować. Było mi właściwie wszystko jedno. Przyszła, no to co? Nic takiego. Pójdzie sobie. Nawet mi się właściwie w tej chwili nie podobała. A przecież poprzednio, diabli wiedzą czemu, wydała mi się wyjątkowa, wręcz fascynująca. Nazwana od pierwszej litery alfabetu Zwierzęciem Alfa. A teraz? Obserwowałem ją z całkowitą obojętnością, gdy tak stała przede mną i przyglądała mi się oczyma jasnymi jak woda, wciąż poruszając szczękami.

Tak patrząc na mnie, bez słowa podciągnęła powoli obu rękami gruby różowy, nieco przybrudzony golf, odsłaniając bardzo biały goły brzuch. Siedziałem nieruchomo, nie reagując, ocieślały i bierny.

— No? Jak tam? Co pan o nim sądzi? Bo niektórzy utrzymują, że jest fajny. A jeśli idzie o pepek, to jest na pewno bardzo sexy. Chciałabym więc poznać pana zdanie na ten temat — i jeszcze wyżej oburącz podciągnęła sweter.

Gdy się nie poruszałem ani nie odzywałem, dodała: — Jest bardzo głęboko wcięty. Niech pan spróbuje wetknąć palec. Zobacz pan. Jak pan będzie go potem wyciągał, to usłyszysz pan takie — flok-flok. Jak gumowy korek, co? Czemu pan nie chce spróbować? W jednym atelier, jesz

cze w Wiesbaden, zrobiono nawet całą serię fotek mego brzucha, a także gipsowy odlew.

Przerwałem jej ten wywód, ochłonawszy nareszcie z zaskoczenia. Wracała mi powoli energia i możliwość działania. Odepchnąłem dziewczynę od siebie, trącając dłonią jej brzuch, który pod naciskiem ugiął się elastycznie. Cofnęła się o krok unosząc wysoko brwi.

— Uspokój się natychmiast! — krzyknąłem wstając. — Wcale nie jestem ciekaw, jaki masz brzuch! I w ogóle, jeżeli idzie o te sprawy, proszę na mnie nie liczyć! Po prostu — nie podobasz mi się, rozumiesz? Poza tym nie mam czasu. Na nic nie lic z mojej strony. Słyszysz? Proszę doprowadzić do porządku swoją garderobę — bo zaraz wychodzimy.

Patrzyła na mnie na wpół przytomnie mrużąc oczy, a potem zaczęła recytować jakby wyuczoną lekcję czy sceniczną kwestię. W miarę jak mówiła, narastało w niej wyraźne podniecenie. Jej niski i schrypnięty nieco głos nabierał siły, przechodząc w końcu w histeryczny niemal że krzyk:

— Dobrze! Jak nie, to nie! Zobacz pan! Będzie pan jeszcze gorzko żałował! I to wkrótce. Może już dziś rano! Gdy się pan tylko o tym dowie! Bo ja już! Na miejscu! Tutaj! Albo na schodach, jeśli pan mnie wyrzuci za drzwi! Zobacz pan! Będzie o tym w gazetach! I to się stanie z pańskiej winy! Zostawię karteczkę! Wszyscy się o tym dowiedzą! Zobacz pan! Przeczytają, gdy mnie odnajdą! Dobrze! Jeżeli tak, to doskonale! Wspaniale po prostu! A mnie o to tylko szło, żeby pan zgodził się być moim starym, rozumie pan? Nic więcej! Co

pan sobie wyobraża? A tamto, ta sprawa z ojcem, jest mi do czegoś potrzebna. Koniecznie! Tak. Na pewno! Słyszysz pan? Mój Boże, czy pan tego nie potrafi zrozumieć?! Coś takiego! Przecież to takie proste, zdawałoby się.

Przerwałem jej, chwyciwszy za ramię, bo znów starała się do mnie zbliżyć. Krzyknąłem ostro: — Co takiego? Jakiś szantaż? O co ci idzie, ty wariatko? Ty idiotko! Zażyłas jakieś świństwo, przyznaj się?

— Żaden szantaż. Przysięgam, że nie. Bo może panu się zdawało, że ja... A ja wcale nie... Nie tak w każdym razie, jak pan myślał. I pański Ernest nie ma z tym nic wspólnego. On w ogóle nie wie, że tu jestem. Gdyby wiedział... Ale on nie wie. Dostałabym ile wlezie. Po mordzie. Ale on nie

— Dlaczego koniecznie ze mną? Jako z kim? Z adwokatem? Masz jakieś kłopoty? Jeśli tak, to przyjdź jutro, tutaj, do kancelarii, przyjmę cię z całą pewnością i zrobię dla ciebie, co będę mógł. Ale nie dziś. Jest przecież późno, noc. Jestem zmęczony, spać mi się chce. Czy ty tego nie możesz zrozumieć, mała idiotko?

Pociągnęła nosem. Skuliła ramiona. Usłyszałem wyraźnie, że płacze. Że zaczyna się cała trząść, że teraz na pewno nie udaje. Histeria? Reakcja po jakimś narkotyku? Nie daj Boże — heroinie? Trochę się przeląkałem. Zreflektowawszy się, postanowiłem działać łagodną perswazją. Położyłem jej dłoń na ramieniu. Odtrąciła ją. Więc powiedziałem cofając rękę: — Pomówmy teraz serio. Posłuchaj mnie spokojnie, moja mała. Mogę, jeżeli masz jakieś kłopoty, skierować cię do mego przyjaciela lekarza, bo ty przede wszystkim powinnaś się leczyć. To raz. A po drugie — wybij sobie z głowy te wszystkie bzdury na temat jakiegoś ojca. Zrozumiałaś?

Stała nieruchomo. Widziałem, jak drży, kuli ramiona, szlocha połykając głośno ślinę. Straciła cały tupet. Wyglądała teraz żałośnie. Niebieski tusz rozmazał się, spływając z oczu po policzkach, a wargi wykrzywiły się, upodabniając jej twarz do maski kłowna. Nieco tym wzruszony dodałem jeszcze łagodniej, niemal tkliwie, gładząc ją po głowie: — Gdzie ty mieszkasz? I jak się właściwie nazywasz, bo i tego nie wiem. Zaraz zadzwonię do twoich rodziców czy do kogo tam... Nie? — Potrząsnęła głową, że nie. — No to odwiozę cię, dokąd zechcesz. Tak będzie chyba najlepiej. Ile masz lat?

Odjęła dłonie od twarzy, wyjrzało jedno oko, pełne łez.

— Dziewiętnaście — powiedziała. — I co z tego?

— Istotnie, niewiele. Jesteś jednak niezupełnie pełnoletnia pojęcia o tym. Nic a nic! Czekałam na ulicy parę razy, ale pan mnie nie zauważył, a może nie poznał. Potem w sądzie. Też nie. Nie i nie. Cholera! Pomyślałam sobie — muszę, koniecznie. Takie to dla mnie strasznie ważne. Zasadnicze. Przecież już mówiłam. A pan ciągle nic. Jak do słupa. Wprost pojąć trudno! Ręce opadają. I co ja teraz zrobię? Pan tak naprawdę nic? Nic a nic? Bo ja tylko i wyłącznie z panem. I już. Koniec! Nie ma dyskusji! To już postanowione. A jak nie, no to... Już powiedziałam. Nie będę powtarzać.

nia, moja droga. I na to oboje nic nie poradzimy, rozumiesz mnie?

— A Hilda ma trzy miesiące mniej niż ja i mimo to pan z nią... Sama mi opowiadała, jak to było. Że fajnie. Dlaczego więc ze mną nie? Bo jestem brzydka? Dobrze o tym wiem, ale mimo to jednak... No? — i znów postąpiła krok naprzód.

Potrząsnęłam ją dwa razy, dość mocno: — Znowu zaczynasz? A już mi się zdawało...

— Co się panu zaczynało zdawać? — mruknęła jakby nieco senna i jednym szarpnięciem rozsunęła zamek błyskawiczny przy swych dzinsach. W samą porę udało mi się podciągnąć z powrotem. Przytrzymałem ją za napiętek: — Po co to wszystko? Przecież ci już wszystko wyjaśniłem, a ty znów? To nie ma żadnego sensu. Ubieraj się, ale już! — Podniosłem głos. Było już dobrze po pierwszej. Czuję się szalenie zmęczony. Ręce mi drżały i to mnie najbardziej złościło. Nie chciałem, żeby spostrzegła. Wyobraziłem sobie raptem, że jestem już bardzo stary.

Pociągając głośno nosem, powiedziała ponuro, nie patrząc na mnie:

— Rozumiem. Pan mnie po prostu chce spławić. Doskonale! Już wszystko wiem. To dlatego, że się panu nie podobam. Nie działałam na pana. I że jestem wariatka. To fakt. Ze mną nikt długo nie wytrzymał. Ernest też ma mnie dość. I inni. Tak. Jeden po drugim. Więc sobie pójdę, ale niech mnie pan przedtem zbije. Jak dorosły mężczyzna swoją dziewczynę. Ile wlezie. Przyrzekam, że nie narobię krzyku. Nawet gdyby bardzo bolało. To nic. Wytrzymam. Nikt nie usłyszy, wszystko odbędzie się jak należy, po cichutku... Szpicrutą na psa. Nie ma pan psa? No to .czymś innym. Wszystko mi jedno. Ani pisnę, przekona się pan. Niech mi pan to jedno obieca, dobrze? Że się pan zgadza... No? Jak ojciec niesforną córeczkę... jak...

Znów zaczęła majstrować przy zamku błyskawicznym, już go zdążyła nawet szybko rozsunąć aż do samego dołu, gwałtownymi ruchami zepchnąć dzinsy do kolan, usiłowała z nich wydobyć jedną nogę, skakała na drugiej, chwiejąc się; stało się to tak szybko, iż dopiero po chwili zdołałem ją powstrzymać. Niestety, byłem zmuszony, pamiętając słowa Schaniego Straussa, że w pewnych przypadkach to pomaga, gdy sprawa z historyczkami, dać jej kilka razy

z rzędu w twarz, raz spodem, raz wierzchem dłoni, a ona cicho pisnęła, jakby pies zaskomlał, tak to jakoś zabrzmiało, i schwyciła się obu rękami za policzki, na których natychmiast wystąpiły czerwone plamy. Wypuściła z rąk rozpięte dżinsy, które zsunęły się jej do kostek, odsłaniając nagie uda, kolana i łydki. Zdołałem spostrzec, że podbrzusze ma wygolone. Zatoczyła się, byłaby z pewnością upadła, zaplątana w tych spodniach pętających jej nogi, gdybym jej w porę nie przytrzymał ściskając z całej siły za ramiona. Jej długie, wysmukłe palce przesuwaly się powoli po policzkach i szyi, sprawdzając i obmacując dokładnie całą twarz. Pociągała nosem, ale nie płakała. Oczy miała całkiem suche.

Puściłem ją, odszedłem na bok, w stronę biurka, podenerwowany i całkiem otrzeźwiał. Nawet spać mi się odechciało. Ta przykra scena kosztowała mnie jednak nieco nerwów. Czułem wyraźny niesmak. No trudno. Co było robić w tej sytuacji. Stało się. Może wyszło odrobinę za mocno, ale chyba nie wyrządziłem jej zbytnej krzywdy. Nie, sposób tak dokładnie obliczyć. Nie miałem przecież wprawy w takim czymś. Przynajmniej wyglądało na to, że wreszcie się uspokoiła. Jakby lekki uśmiezek przewinał się jej po wargach, potem znikł. A może mi się przywidziało.

Po chwili milczenia powiedziałem do niej spokojnie, ale stanowczo:

— A teraz, moja kochana, idź do łazienki i obmyj sobie twarz, nim stąd wyjdziemy. Potem odwiozę cię, gdzie zechcesz, .mogę nawet wytłumaczyć komu trzeba, dlaczego wracasz o takiej porze. Już po trzeciej. Nie, ja z tobą na dancing nie pójdę, co ci strzeliło do głowy? Mowy nie ma! Znów zaczynasz? I jedno sobie zapamiętaj raz na zawsze: nie nadaję się ani na twego ojca, ani na opiekuna, w ogóle na nikogo takiego, jak ci się zdawało. Nic z tego, moja mała. Uroiłaś sobie jakieś bzdury, ale ci to minie, jestem pewien. No a teraz — marsz do łazienki. Wiesz chyba, gdzie to jest. Drzwi na lewo. Obiecujesz, że nie zrobisz żadnego głupstwa? Wiem, że żartowałaś, ale tak na wszelki wypadek.

— Obiecuję — mruknęła podciągając i zapinając spodnie.

Nie byłem pewien, czy trafiło do niej wszystko to, co jej powiedziałem. Propozycja rzucona ni z tego, ni z owego, żebym na zgodę poszedł z nią zatańczyć do „Royalu”, zresztą już dawno zamkniętego o tej porze, nie wróżyła nic dobrego. Zamiast udać się do łazienki, powędrowała ze spuszczoną głową w kąt pod szafę z aktami i tam usiadła na podłodze, w takiej pozie, w jakiej zastałem ją przed dwoma godzinami. Głowa opadła jej na piersi, włosy obsunęły się na twarz, wyglądało na to, że zasypia. Może z wyczerpania? — pomyślałem i zamiast niej sam poszedłem do łazienki. Odświeżywszy się, oblawszy twarz zimną wodą, przygłodziwszy włosy, wróciłem do kancelarii, zdecydowany zabrać ją bodaj siłą, nie umyła, z taką umazaną twarzą, z policzkami czerwonymi od razów, które jej wymierzyłem. Nie szkodzi, i tak jest noc, nikt nie zauważy. Odwieźć ją byle gdzie, nawet do hotelu, wynająć jej pokój. W ostateczności, jeśli się uprze i nie poda mi adresu, zostawię ją gdziekolwiek na ulicy, trudno, co robić, i wrócę, wreszcie wrócę, śmiertelnie wyczerpany, dosłownie ślaniający się na nogach. Nie mogłem w żadnym wypadku dopuścić do jakiegokolwiek fizycznego zbliżenia, do czego by w końcu doszło, gdybym ją tutaj zatrzymał do rana. Bałem się jak ognia histeryczek, to raz, a po drugie wciąż węszyłem prowokację, ukartowaną w jakimś celu przez Ernesta, może tylko po to, żeby mnie skompromitować i wywołać skandal. Gdy wróciłem z łazienki i zerknąłem w stronę szafki, gdzie ją pozostawiłem niby to śpiącą, nie było jej tam. Pomyślałem: może jednak namyśliła się i niespostrzeżenie wyszła. Odczułem nawet ulgę. Otóż nie. Znalazłem ją pod biurkiem. Podchodząc tam, by wziąć klucze i zgasić lampkę, która razila mi zmęczone oczy, nie zauważywszy nadepnąłem na jej włosy rozsypane na podłodze. Potracona, głośno westchnęła, po czym poprawiła się, zwijając w kłębek. Nachylony, odsunąwszy fotel, patrzyłem na nią nie wiedząc, co począć. Zostawić na miejscu? Absurd. Żeby ją rano zastała tutaj sprzątaczką? Skandal na całe miasto. Uciecha dla wrogów — a któż ich nie ma — a także przyjaciół. Kogo to znajduje się rankiem w

kancelarii znanego i poważanego mecenasa. I gdzie? Pod biurkiem. Ładna historia. Jeszcze tylko tego mi potrzeba do szczęścia!

Więc nachyliwszy się, krzyknąłem potrząsając ją za ramię: — Jazda stąd, ale już!

Otworzyła jedno oko i smacznie ziewnęła. Przeciągnęła się, uderzając łokciem o blat biurka, i zaklęła: — Scheisse! — Wówczas schwyciłem ją za nogę w kostce i wyciągnąłem

[aż na środek pokoju. Wyjechała spod biurka sunąc bezszelestnie po śliskim parkiecie, zaczepiając po drodze o dywa- Inik, który się zwinął i jechał razem z nią. Nie stawiała oporu. Nawet powiedziała do siebie coś w rodzaju: — Fiuutl I już! — Podniosłem ją nie bez wysiłku, ująwszy pod pachy, i całkiem bezwolną postawiłem na nogi. Zatoczyła się, lecz nie upadła. Zrezygnowała, zdaje się, z dalszego udawania, jeśli istotnie to było wyłącznie udawanie. Potrząsnęła włosami, ziewając raz za razem i klepiąc dłonią na płask po otwartych ustach. Była wyższa ode mnie, gdyśmy tak sfo*li, jedno przy drugim. I tak podobna do Veruschki, jak nigdy dotąd, a podobieństwo to uderzyło mnie już za pierwszym razem, jeszcze wtedy, w Café Central. Nie tylko z figury. Z twarzy też. Wykrój ust, oczy, wszystko. Kopia trutej. Znow wydała mi się jeśli nie ładna, to w każdym razie fascynująca, jak może żadna inna w jej wieku. Toteż nie od razu ją puściłem, trzymając ciągle jeszcze dłonie wciśnięte pod jej pachy. Bił stamtąd upał przez grubego sweter nieco w tym miejscu wilgotny. Może więc szkoda, mimo wszystko... Ale natychmiast pohamowałem się. Nie, stanowczo nie! W każdym razie nie teraz i nie tutaj. Więc wysunąłem dłonie spod jej ramion, mimo że zacisnęła je przez krótki moment, jakby chciała tam zatrzymać moje palce.

Trzeba się śpieszyć. Po czwartej. Już za oknami pojaśniało. Sytuacja przeciągała się, zaczynała być nieznośna. Co ja tu jeszcze robię? Na co czekam? Prędeż, prędeż. Pchnąłem ją w plecy, nawet dość mocno, może zbyt brutalnie, trudno, znow narastała we mnie irytacja. Przedpokój, schody, drzwi frontowe, ulica, chłodne, świeże powietrze wczesnego poranka. Światło gdzieś tam, daleko poza dachami domów. W oknach pierwszego piętra hotelu „Viktoria” odbił się blask wschodzącego słońca. Szyby zaśniły złoto i pomarańczowo, jakby za nimi wybuchł pożar. Weszliśmy do samochodu, który od wczoraj był jeszcze nieco nagrany i duszny. Więc zsunąłem szybę aż do samego dołu. Dziewczyna Alfa siedziała obok mnie, naburmuszona, milcząca. Zdołała, gdy tego nie zauważyłem, zetrzeć nieco tuszu z twarzy, niestety jednak, czerwone placki na policzkach uwydatniły się jeszcze bardziej.

— Gdzie mam cię odwieźć?

— Wszystko mi jedno — odburknęła wkładając ciemne okulary, takie ostatnio bardzo modne, ze szklami jak małe talerzyki. Zakrywając niemal pół twarzy, przysłoniły i te kompromitujące ślady moich pięciu palców na obu policzkach. Gdy skręciliśmy w Ebert Ring i wschodzące słońce zalało wszystko dokoła, oślepiając mnie, zdecydowałem się pojechać w stronę stacji. Widziałem ją przecież parę tygodni temu wchodzącą na dworzec. Może dojeżdża do Koblencji. Tyle o tej porze rannych pociągów w różne strony. Poczekaj, pojedzie, Bóg z nią. Ale ona, nim dojechalismy na plac przed stacją, nagle trącając mnie łokciem odezwała się zupełnie naturalnym tonem: — No cóż. Tym razem jakoś nie wyszło. Nie szkodzi. Nie dziś, to jutro uda się. Albo pojutrze. Jestem tego tak pewna, jak tego, że mi się chce w tej chwili okropnie siusiu. Więc wysiadam. O, tu właśnie, na tym narożu. Do zobaczenia. I tak fajnie było.

Przyhamowałem. I ona natychmiast wyskoczyła z wozu obok prześwitu łączącego Bahnhofstrasse z placem dworcowym. Nie obejrzawszy się, szybko pomaszerowała w lewo. Minęła hotel „Reinhard” i zamkniętą już o tej porze od dawna bramę restauracji „Conti”. I gdzieś tuż za rogiem Schiillerstrasse znikła mi. Wychylony z wozu patrzyłem za nią, po czym powoli ruszyłem, zawracając na pustym placu. Miałem nadzieję, że uda mi się stwierdzić, dokąd poszła, a może nawet zajeżdżać jej drogę. Bądź co bądź, byłem mimo woli za nią w tej chwili w jakiejś mierze odpowiedzialny. Ogarnęło mnie jednak tak mocne zmęczenie i taka senność, że rezygnując z zamiaru, dodałem gazu za narożem i nie obejrzawszy się za siebie, pustymi ulicami szybko pojechałem przez most na tamtą stronę, w górę serpentynami do siebie, na Arzheim.

Na zakrętach parokrotnie przednią szybę zalało czerwone światło świtu, oślepiając mnie do tego stopnia, że musiałem opuścić zasłonę przeciwsłoneczną. Widziałem to z prawej, to z

lewej strony, z coraz to wyższego piętra wzniesienia, jak pierwsze, ukośne promienie ślizgają się po powierzchni wody w Renie, którego ten bliższy mi brzeg leżał jeszcze w kontrastowym, niemal granatowym cieniu. Gdzieś na końcu wyspy Niederwerth zrodził się niewielki obłoczek na bezchmurnym niebie i zaczął się szybko unosić w górę, nabierając z każdą sekundą bardziej ognistej barwy. Aż całkiem blisko, tuż, tuż, za moimi plecami, kiedy już byłem na Koblenzerstrasse, wytrysło zza góry słońce. Niebo pobladło, z jasnozielonego stając się bladoniebieskie, niemal

białe. Piekły mnie oczy i chwilami — a przecież droga nie trwała długo — łapałem się na tym, że zasypiam nad kierownicą i że mi się coś śni.

Toteż ledwie znalazłem się w sypialni i otworzyłem okna zapuszczając jednocześnie zasłony, wzięwszy tylko prysznic upadłem na łóżko i zasnąłem.

Nazajutrz musiałem nieszczególnie wyglądać, gdyż panna Alis, gdy tylko wszedłem do kancelarii spóźniwszy się co najmniej o pół godziny, popatrzyła na mnie bacznie, nie powiedziawszy jednak ani słowa. Zabraliśmy się rażno do roboty. Podyktowałem jej kilka listów, potem zacząłem przerzucać akta sprawy, myśląc uparcie o tym, co tu, w tej kancelarii działo się kilka godzin temu. Skontrolowałem ukradkiem cały pokój: na szczęście nie znalazłem żadnych widocznych śladów.

Pomyślałem również i o tym, że panna Alis, która w tej chwili pisze na maszynie, odwrócona do mnie profilem, ma niezawodny kobiecy instynkt w tych sprawach i być może od razu wyczuła, ujrawszy Dziewczynę Alfa, co to za ptaszek. Po oczach poznała jak się wyraziła. Nie wiem, czy ja bym coś takiego umiał odgadnąć i w ogóle jak bym określił te jej oczy. Jasne i szkliste, ale poza tym? Miałem zresztą inne kłopoty niż sprawdzanie koloru i wyrazu oczu tamtej dziewczyny. Zapamiętałem tylko wielkie jak groch, ciężkie łzy, staczające się po policzkach, zlizywane z wargi językiem, i znów nowe, wciąż nowe pojawiające się jedna za drugą, podobne do wielkich i ciężkich kropel deszczu na szybie. Jest coś podejrzanego w takich łzach na zawołanie. Nieszczerego, aktorskiego. Zdrowa z niej musi być komediantka. Przypomniał mi się jej śmiech sprzed dwu miesięcy, gdy ją pierwszy raz zauważyłem. Wtedy w kawiarni. Hysteryczny, nieprzyjemny, nagle urwany, zakończony jakby szlochem czy zachłyśnięciem się. Dziwaczny śmiech, na pograniczu łkania. Podobno niektóre histeryczki przechodzą bezpośrednio z płaczu w śmiech i na odwrót. Strauss twierdzi, że na histerię dobrze działa zimny tus: Szkoda może, że nie użyłem go tej nocy, zamiast niepotrzebnej, przykrej sceny bicia po twarzy.

Zły na siebie, że mimo wszystko wciąż tak o tym myślę i myślę, wstałem i powiedziawszy panie Alis, iż mam ważne spotkanie na mieście i nie wrócę wcześniej niż za godzinę, zbiegłem po schodach i skręciłem w prawo, z zamiarem

Owym cu

wypicia kawy w Cafe Central. Wysoko nad wejściem — znana kolekcja z piekła rodem: siedzące rzędem lalki, żalotne w swym jawnie prezentowanym kalectwie — jedna bez obu rąk, znałem ją od kilku miesięcy, z głową w lokach jasnolotych, pyzata, niebieskooka, spoglądająca gdzieś daleko, ponad moją głowę, w szyby pierwszego piętra domu naprzeciwko, drugiej brakło głowy; te dwie siedziały przytulone do siebie, podpierając się nawzajem; trzecia miała wprawdzie i ręce, i głowę, jednak nieco za wielką, bo chyba nie swoją, może pożyczoną od innej, większej; zwiesiła ją na bok, patrząc ukośnie w dół na noski swych lakierowanych pantofelków, a platynowa fryzura, zapewne z winylu, zdawała się kołysać; a może istotnie poruszał ją przeciąg wiejący z wnętrza sklepu.

Gdy po mniej więcej dwu godzinach wróciłem do kancelarii, panna Alis, nie odrywając oczu od maszyny, powiedziała beznamiętnie:

— Znów tu była. Przed chwilą.

Zrobiłem niewyraźną minę, udając, że się niczego nie domyślam. Wtedy panna Bergen przestała pisać, poprawiła okulary i popatrzyła na mnie ze złośliwym uśmiechem:

— No, ta pańska, panie mecenasie, tajemnicza klientka. Ta hippiska, co tu już kiedyś raczyła nam złożyć wizytę, pan sobie przypomina? Wpuściłam ją, tak jak pan mecenas sobie życzył.

— Powiedziała w końcu, o co jej idzie?

— Nie. Niczego nie powiedziała. Wręczyła mi natomiast bez słowa bilet wizytowy. Położyłam go razem z pocztą na biurku. Leży na samym wierzchu.

Podszedłem do biurka, sięgnąłem po wizytówkę. Istotnie. Na lśniącem brystolu — imię i nazwisko gotykiem dość wymyślnym: „Gertrude Uhrmacher” — i poniżej: „studentka”, a jeszcze niżej, zamasztyłem, męskim pismem: „składa niski ukłon i poleca się na przyszłość”.

Bezczelna dziewczyna! Coś takiego! A ja całkiem na serio bałem się, że z mojej przyczyny może sobie jeszcze coś zrobić. Idiota!

Panna Alis obserwowała mnie bacznie przez okulary. Odchrząknęła i wróciła do pisania. Nie odezwałem się. Bilecik wrzuciłem do szuflady.

Prasa. Wietnam. SJCutki napalmu. Zwęglone zwłoki kobiet i dzieci, poskręcane jak czarne strzepy czy szmaty. Niektóre

fragmenty ciał — chyba nogi, a może resztki ramion wyrzuconych w górę jakimś ostatnim, rozpaczliwym gestem! — wyglądają na zdjęciu niby polane smołą, bo lśnią jak lakierowane. Okropność! Inne ciała podobne do skamieniałych jaszczurek pokrytych czarną łuską.

Kilka tygodni temu, przy okazji oglądania podobnych zdjęć, jeden z moich kolegów z palestry powiedział z uśmiechem: — Jak to dobrze, nieprawdaż, że tym razem wreszcie nie my, co?

Teraz, przyglądając się z dreszczem grozy tym znakomitym technicznie, niezmiernie plastycznym kolorowym fotografiom, pomyślałem: istotnie. I chyba dlatego tyle u nas tych zdjęć, pokazywanych z takim smakiem. Nasza prasa ma, to prawda, znakomity fotoserwis z całego świata, na najwyższym technicznie poziomie, i korzysta z każdej okazji, żeby nas szybko i sprawnie obsłużyć. Istnieje jednak Jtakże kwestia wyboru. Specjalizujemy się szczególnie w wyszukiwaniu okrucieństw. Z Wietnamu, jak te, które mam przed sobą. AJe przecież była już Biafra, tamtejsze dzieci ginące bez pomocy, małe straszliwe szkieleciki z wyrazem oczu, którego nie sposób zapomnieć, obrazy wołające o pomstę do nieba. A także inne — jakieś bezceństwa popełniane w Kongo, w Angoli, w Mozambiku, w Ameryce Łacińskiej, w dorzeczu Amazonki, gdzie wytępiono całe pierwotne indiańskie plemiona, jak za czasów konkwisty.

I nie wyłącznie dlatego pokazujemy ze szczególnym naciskiem, w dużej ilości, z taką precyzją te okrucieństwa, że są to aktualności dnia, których nie sposób ukryć — lecz także i z innego powodu. Mój przyjaciel ma sporo racji. My, którzy mamy tyle na sumieniu, i cały świat jeszcze o tym pamięta, jeszcze wciąż przy różnych okazjach przypomina nam, że to my, że to przez nas — chcielibyśmy za każdą cenę doprowadzić do tego, by wreszcie o nas zapomniano.. A najlepszym sposobem jest pokazywanie nowych zbrodni, nie mniejszych niż tamte nasze. Ilościowo może nikt nam dotąd nie sprostał, lecz jakość przede wszystkim rzuca się w oczy i to ona przesłania złą pamięć o nas. Rozmazuje, rozwadnia, włącza nas w chór tych, którzy najgłośniej potępiają zbrodnie popełniane wciąż, każdego dnia na całym świecie. Pokazując, głośno wołamy: — Zgroza! — Posyłamy Lufthansą nasze znakomite lekarstwa, zrzucamy r<a spadochronach w dżunglę nasze konserwowe mleko dla dzieci umierających z głodu. I może nawet lslki dla nich, i wiele jeszcze innych cennych darów na otarcie łez.

Przoduje prasa Springera: od „Die Welt” poprzez „Welt am Sonntag” i „Bild-Zeitung”, „Hamburger Abendsblatt” i „Berliner Morgenpost”, „Hor zu”, „Funk Uhr” — aż po „Ullstein-Buchverlag”. Koncern jest olbrzymi i wpływowy. Zajrzawszy do któregośkolwiek z tych Springerow- skich pism, jeśli tylko posiada ilustracje, znajdujemy na każdym kroku amerykańskich żołnierzy, popularnych „chłopców z Teksasu”, nachylonych nad trupami wietnamskich chłopów, kobiet i dzieci lub partyzantów Vietcongu. Niektórzy się nawet beztrudnie uśmiechają. Niewiele różni się od naszych chłopaków z SS, ale i niestety również z Wehrmachtu na zdjęciach niegdyś kolportowanych. Podobne pozy, podobnie wesołe miny. Jaki stąd wniosek? Jasny. Że w specyficznych sytuacjach, na przykład zwalczania partyzantki na tyłach, z okazji niezbędnych pacyfikacji obszarów przyfrontowych, przy sabotażach i tak dalej — takie właśnie metody walki są najzupełniej naturalne, a zatem i uzasadnione, więc w rezultacie usprawiedliwione. Przecież my też zwalczaliśmy partyzantów i sabotażystów, również pacyfikowaliśmy zaplecze frontu. My też bywaliśmy w pewnych szczególnych warunkach okrutni. Jak wszyscy. A o to właśnie idzie.

Ale swoją drogą nie zrzucaliśmy jednak napalmu, to fakt. Ani na spokojne wioski, ani na uprawne pola. Nie jestem pewien, czy tylko dlatego, iż nie mieliśmy go wówczas; tego nie jestem pewien. A powinniśmy byli mieć, skoro mieli go Anglicy i używali przeciw nam. Dwudziestego dziewiątego czerwca 1943 nalot na Kolonię. Dwadzieścia tysięcy zabitych i tak dalej. Może byliśmy istotnie aż tak humanitarni, albo też istniała jakaś inna przyczyna,

jakiś sekret, którego nie znam. Walczyliśmy raczej bronią konwencjonalną i zadawaliśmy śmierć konwencjonalnie. Niemcy rzadko bywają sadystami w sensie klinicznym, psychopatycznym, są natomiast nader dokładni i systematyczni, bodaj drobiazgowi w swojej solidności i precyzji wykończenia każdego szczegółu. Sadyzmem odznaczają się Anglicy, a może również Francuzi. To nie przypadek tylko, iż patron sadyzmu, „boski markiz”, był Francuzem. U nas nigdy by go nie nazwano „boskim”, gdyby się nawet urodził nad Henem. Pastwimy się rzadko, niechętnie i tylko z koniecz-

ności. W śledztwie albo jako odwet. Prawie nigdy dla samej satysfakcji zadawania bólu. Niektórzy utrzymują, iż nam brak na to wyobraźni. A może jesteśmy po prostu za liryczni, za delikatni i za mało wytrzymali, żeby gustować w takich zabawach i rozrywkach bezinteresownie.

Teraz niejeden odczuwa satysfakcję, iż to nie tylko my, nie zawsze my. Szkoda wprawdzie, że przodują obecnie głównie Amerykanie, a nie na przykład Chińczycy, albo jeszcze lepiej — Rosjanie. Ale cóż począć, dobre i to. Coraz też rzadziej będą się zdarzać takie niemiłe sprawy, jak obowiązujący podobno po dziś dzień fakt zakazu przejazdu wozem ze znakiem „D” w pewnym mieście jugosłowiańskim. W Dalmacji trafia się też czasami, co prawda już obecnie coraz rzadziej — iż na widok Niemca w pewnym wieku, zwłaszcza inwalidy, niezwykle ciekawi szczegółów ludzie miejscowi zadają mu pytanie: — A co łaskawy pan robił w czasie ostatniej wojny? Nie był pan wówczas przypadkiem z wizytą u nas? Nie? Więc naprawdę jest pan po raz pierwszy w naszej pięknej Dalmacji, w Bośni, w Hercegowinie, co? I Belgradu też pan nie zna? No, no...

Otóż to nie jest przyjemne. Podenerwowani, mówimy: — Czas by już był najwyższy... Ile lat jeszcze? Czy tak ma być do końca świata? Ciągłe w kącie jak niegrzeczny u- czeń? Wciąż na cenzurowanym? Na ławie oskarżonych? Dość, dość, dość!!! Świat ma chyba inne sprawy na głowie, inne, bardziej aktualne kłopoty. Więc może wreszcie zaniknie niedobra pamięć, czarna pamięć o nas.

Sięgam do Meyera, by spojrzeć do tomu z literą G. Hasło „Gertrud”. Czytam: „Gerti, Trude”, lingwistycznie czy etymologicznie znaczy tyle co „mocna jak lanca, grot lub dzida” — „die Speerstarke” albo „Speerjungfrau” — rodzaj, jak się zdaje, Walkirii; również odpowiednik starogermań- skiego „orurd”, synonim siły; lecz i czarodziejka, a nawet czarownica. Dalej: święta Gertruda, rok 659 — córka frankońskiego majordomusa Peppina von Landen, przeorysza w klasztorze w Nyvel. Inna Gertruda — von Hackeboin, zakonnica w klasztorze cysterek w Helfta koło Eisleben — rok 1292; i jeszcze trzecia tegoż imienia: katolicka święta czy tylko błogosławiona, tak zwana „Wielka Gertruda”, również z tego samego Helft, rok 1311; mieszała wizje i spisała je w książce, która w rękopisie przetrwała do naszych czasów. Zatytułowana Legatus divinae pietatis. Jej zawdzię-

°Wym >ku

czarny również zbiór modlitw — Exerctia spiritualia, zwany popularnie — Gertrudbuch.

Przyszło mi następnie na myśl — może pod wpływem przeczytanych w Meyerze informacji na temat etymologicznych związków imienia Gertruda z dziewczyną uzbrojoną — jak by się Dziewczyna Alfa, już teraz po prostu Truda, zachowała w różnych wymyślonych przeze mnie sytuacjach. Na przykład w czasie jakichś studenckich zaburzeń, manifestacji podobnych do tych z wiosny 1968 w Paryżu, a także później w Berlinie w związku ze zranieniem Rudiego Dutschke. Wyobraziłem ją sobie z narastającą satysfakcją, jak ciska z rozmachem butelki z benzyną do wnętrz luksusowych magazynów, jak z radością obserwuje spowodowane przez siebie zniszczenie: płonące futra, zwęglona luksusowa bielizna. Gdy po dokonaniu tych spustoszeń, zafascynowana wznieconym przez siebie pożarem, stoi przez krótki moment z palcem na wargach, może nawet wsadziła go sobie w usta i ssie w stanie niemal ekstazy, nim zacznie uciekać przed pościgiem policji. Widzę ją już, jak biegnie, dając swymi długimi nogami susy rasowego zwierzęcia, charcicy czy sarny, rzucając ścigającym ją prześladowcom horrendalne wręcz obelgi; jak osaczona przez kilku naraz policjantów, rozjuszonych jej zachowaniem, jej bezczelnością, usiłuje kucnąć, szamoce się przytrzymywana i szarpana, w końcu obalona na bruk i wleczona po nim za ręce i nogi, utyłana w błocie, zdyszana, plująca dokoła, usiłująca kopać i kąsać; jak wreszcie doprowadzona z trudem na komisariat, zrywa z siebie wszystko, ciskając z rozmachem poszczególne części garderoby na głowy na pół rozbawionych, na pół rozwścieczonych po-

licjantów, nieustannie klnąc wyrazami, których nie powstydziliby się portowy pijak czy włóczęga, a nawet suter z Sankt Pauli.

Te i tym podobne sytuacje i związane z nimi obrazy, tworzone na poczekaniu niby filmowe zbliżenia i migawki, stały się w końcu tak dalece natrętne, że aż trudne do wytrzymania. Więc żeby się uwolnić od tych obsesji, wyjąłem z szafki na akta książkę bardzo starannie prowadzoną od lat przez pannę Bergen, a przedtem przez jej poprzedniczkę, niejaką Irmę Hochmeister, znacznie od panny Alis młodszą, mniej systematyczną i godną zaufania. Jest to rodzaj katalogu czy rejestru wszystkich po kolei spraw

sądowych przeze mnie prowadzonych od wielu lat. Oprócz niego istnieje oczywiście niezależnie również i kartoteka spraw aktualnych lub niedawno ukończonych. Rejestr zaś, po który rzadko sięgam, jest jakby historyczną już księgą, nieocenionym źródłem informacji, a także wspomnień.

Chciałem obecnie przekonać się, ile razy podjąłem się z własnej woli, a nie jako obrońca wyznaczony z urzędu, spraw związanych bezpośrednio ze zbrodniami wojennymi. Otóż okazało się, że od roku 1958 — jest to data najdawniejszego zapisu w mojej historycznej księdze — zaledwie pięcioro: czterech mężczyzn i jedna kobieta. Mniej, niż zrazu sądziłem. Przed 1958 było ich niezawodnie znacznie więcej. Były to jednak przeważnie sprawy wyznaczane mi z urzędu.

Ta klientka — ■ pamiętam ją bardzo dokładnie, gdyż była jedyną przeze mnie bronią kobietą w tej kategorii — rok 1958, wiosna, chyba marzec. Sprawdzam: tak, zapamiętałem bezbłędnie, w rubryce wpisane daty: pierwszego marca otrzymałem akt oskarżenia, wyrok dwudziestego siódmego czerwca 1958; personalia klientki, jej ówczesny adres, suma a conto honorarium, wypis z akt sądowych w skrócie, sentencja wyroku i tak dalej, i tak dalej. Pamięć powraca wraz z tymi zapiskami.

To była młoda jeszcze kobieta, siostra mojej ówczesnej sprzątaczkii. Pracowała wówczas, gdy ją oskarżono, jako bileterka tramwajowa we Frankfurcie nad Menem. Jak to się zdarzało, ktoś ją rozpoznał, właśnie w czasie jazdy, narobił gwałtu, dziewczynę natychmiast wywleczono z tramwaju, bodaj nawet poturbowano i w rezultacie przymknięto. Oskarżenie brzmiało groźnie: szczególnie perfidne znęcanie się nad więźniarkami. Była, jak się okazało, nadzorczynią w jednym z mniejszych obozów kobiecych w czasie wojny. Zgłosiła się do tej pracy ochotniczo wprost z szeregów BDM, gdzie wyróżniała się niezwykle dyscypliną, oddaniem i gorliwością. Uzyskała tam również kilka odznak za osiągnięcia w sporcie, głównie w lekkoatletyce. Podobno najlepsza sprinterka, a także mistrzyni w skokach. O tym, jak się zachowywała w obozie — a ukończyła zaledwie szesnaście lat, gdy ją tam zatrudniono — świadkowie mówili różnie. Zadałem sobie sporo pracy i wysiłku, by odszukać możliwie jak najwięcej kobiet, które ją w tamtych latach znały. Niektóre twierdziły, że w gruncie rzeczy

4

była ludzka, tylko nieco szusowata, jak się wyraziły, postrzelona i chimeryczna. Gdy się trafiło na zły moment, można było istotnie solidnie od niej oberwać, a że była silna i sportowo wytrenowana, razy przez nią zadawane w chwili gniewu i pasji, w jaką potrafiła od czasu do czasu wpadać bez wyraźnej przyczyny, bywały niebezpieczne. Pęknięte szczęki, połamane żebra i tak dalej. Co było podobno najgorsze, to jej zamięłowanie do gimnastyki. Miewała, nawet będąc w dobrym nastroju, pomysły szczególnie męczące dla źle odżywianych więźniarek, zwłaszcza tych starszych. Gdy nie umiały wykonać jakiegoś nakazanego skłonu, podskoku czy innej figury gimnastycznej, potrafiła w nagłym gniewie zadawać im boksyerskie ciosy pięścią w brzuch, kopała je w podbrzusza, kazała czołgać się lub skakać żabką aż do omdlenia. Spytałem jej, czy to prawda i czy nie zdawała sobie sprawy, że zmuszając w warunkach obozowych, wycieńczenia i głodu, swe podopieczne do wielogodzinnych nierzadko ćwiczeń, mogła je przecież po prostu zabić, odparła, iż istotnie wtedy o tym nie myślała. Nie przyszło jej to po prostu do głowy. Była smarkata i durna. Zdawało jej się, że skoro ona potrafi — to i tamte mogą, a tylko nie chcą przez upór. A przecież wiadomo, iż ruch na świeżym powietrzu jest nader zdrowy.

— One mi robiły na złość — powiedziała. — Może nie wszystkie, ale niektóre na pewno. Ja wcale nie zmyślam. Tak było.

Teraz jednak zdaje sobie sprawę, że postępowała niesłusznie, może nieostroźnie i że mogła tej czy owej istotnie dokuczyć, a nawet zaszkodzić, i że tego bardzo żałuje.

— Byłam wtedy głupia, to fakt — powiedziała robiąc smutną minę. Dodała jednak natychmiast, że żadnej więźniarki bez przyczyny, tak sobie, nie uderzyła. To co wygadują o tym boksowaniu — zwyczajne oszczerstwo. Pomyliły ją na pewno z taką jedną, która nazywała się tak i tak. Tamta biła w ten właśnie sposób, ona nigdy. Pamiętam dokładnie tę rozmowę, może dlatego, że była to pierwsza okazja bronięcia kobiety w podobnej sprawie i jej mentalność interesowała mnie w sposób szczególny. Wiele się nasłuchałem o tak zwanych „nadzorczy- niach” obozowych, ich sadyzmie nieraz perfidniejszym niż u mężczyzn. Teraz miałem okazję przekonać się sam, jak to mogło wyglądać naprawdę.

Obrona poszła „miętko”, jak to nazywamy między sobą w palestrze. Oskarżona była w ciąży, w piątym czy nawet szóstym miesiącu, miała już dwoje dzieci, jedno całkiem małe, a ponadto czasy się zmieniły. Rok 1958 to nie 1948, a tym bardziej 1945. Moja klientka dostała znakomite świadectwo z miejsca pracy, a także ze związków zawodowych. Zaś świadkowie — poza jedną starszą kobietą, tą, która rozpoznała oskarżoną w tramwaju i spowodowała wytoczenie sprawy, bardzo trudną i upartą, do końca utrzymującą, że moja klientka* była szczególnie okrutna i złośliwa — płatali się w zeznaniach, wycofując złożone uprzednio w śledztwie, twierdząc na rozprawie, że zdawało im się, że być może istotnie to była inna, podobna do tej, jakaś Krwawa Mitzi czy Liza, jakoś zdaje się tak. No i w rezultacie uzyskałem wyrok uniewinniający.

Moja klientka tuż po rozprawie odwiedziła mnie w kancelarii wraz ze swym mężem, technikiem samochodowym, a i później • jeszcze przysyłała mi parokrotnie na święta wielkanocne tort i czekoladowego zajaczkę w porcelanowym koszyczku. Skończyło się na tym, że już tutaj, w Koblencji, po moim osiedleniu się w tym mieście, wstąpiła do mnie będąc przejazdem i przyprowadziła swoje dziecko, istotnie rozkosznego chłopczyka, który przyszedł na świat w kilka miesięcy po jej wyjściu z więzienia. Musiała mieć już ponad trzydzieści lat, a w czasie rozprawy blisko trzydzieści, a wciąż wyglądała na dziewczynę. Miała zabawny koci pyszczek i ten jej wygląd, jak również skrucha okazana na rozprawie, pokorne i grzeczne zachowanie się w sądzie odegrały ważną rolę, wpływając na sentencję wyroku ijjłatwiając mi rolę obrońcy.

IKolejnym moim klientem tej kategorii był w roku następnym, 1959, niejaki Peters, Franz Peters z Wiesbaden. Właściwie płotka. Przed wojną kelner, potem, po wojnie e-- również. W czasie wojny zmobilizowany, ranny i przydzielony do SS-Totenkopf Standarte, pełnił służbę nadzorcą w obozach. Utrzymał, że do SS skierowano go wbrew jego woli, nie pytając, czy się zgadza. Było to zwyczajne przeniesienie z jednej jednostki do drugiej. Na rozprawie nie udowodniono mu, żeby kłamał. Przypominał nieco mego pierwszego, historycznego klienta, Kurta Janischke, którego przed laty broniłem z urzędu; był tylko od niego mniej tępy i mniej brutalny, toteż otrzymał zaledwie pięć lat, których zresztą i tak nie odsiedział. Zwolniono go przed terminem.

Niewiele pamiętam z tego procesu. Nieciekawa figura, nieciekawa sprawa. Rutyna i sztampa.

Dwaj następni to bardziej autentyczni i poważni przestępcy, nie byle kto. Nie jakieś tam płotki: Alfred Rotwa- cher i Walter von Podlaski. Obaj członkowie SS o dość poważnym stażu i niskiej, czyli wczesnej numeracji. Ich procesy to lata 1961—1962. W krótkim, najwyżej półrocznym odstępie czasu broniłem ich obu oddzielnie już tu, w naszym sądzie w Koblencji. Można by uznać te oba procesy za mój koblencki' debiut. Poprzednio stawałem przed trybunałem w Monachium, a także we Frankfurcie nad Menem. Rezultat moich starań okazał się dość względny, został jednak uznany w tutejszym środowisku, nie tylko prawniczym, za spore osiągnięcie, biorąc pod uwagę, że obaj ci panowie, jeden w randze Hauptsturmführera, a drugi Oberscharführera, mieli tak wiele na sumieniu i tylu świadków poświadczających ich zbrodnie, że trudno było uzyskać cokolwiek ponad to, co mi się udało: dziesięć lat i osiem lat. O ile wiem, jeden z nich, zdaje się ten Rotwa- cher, zmarł w więzieniu, a drugi po kilku latach wyszedł na wolność.

Ostatnim, jak na razie, jest Leopold Oppenheim. Nie moja zasługa, że uniknął kary. Objęła go ustawa mająca charakter jak gdyby ukrytej częściowej amnestii, co, jak myślę, spowoduje, iż ten rodzaj klienteli-ostatecznie i bezpowrotnie stracę. Bez żalu zresztą.

Tak jak ja to obecnie oceniam, pod różnym kątem widzenia, etyki adwokackiej oraz etyki bez dodatkowego określenia, a także biorąc pod uwagę racje polityczne oraz prawo związane z naszym, i nie tylko naszym, wymiarem sprawiedliwości — wydaje mi się, że nie mam

sobie nic do wyrzucenia. Byłem przez cały czas w porządku z sumieniem. Już o tym zresztą niejednokrotnie rozmyślałem, szczególnie w związku ze spotykającymi mnie zarzutami ze strony Ernesta, i nie tylko jego. I dotychczas nie zmieniłem zdania.

Oskarżony ma prawo do obrony. Jest to fakt niezbity, fundament i baza, wręcz truizm, nad którym nie warto dyskutować. Mogą mieć zastrzeżenia tylko anarchiści, zwolennicy doraźnych i przed nikim nieodpowiedzialnych try

bunałów rewolucyjnych, w których pod pokrywką rzekomej woli ludu zapadają wyroki z góry wiadome, podyktowane wymaganiami stanu wyjątkowego, atmosferą terroru, zagrożenia, gniewu i chęci odwetu na przedstawicielach wrogiej klasy społecznej czy, jak bywało w średniowieczu, sekty uznanej za kacerską, bluźnierczą lub satanistyczną. Działają też nastroje podnieconego tłumu.

Prawa do obrony oskarżonych nie stosują niektóre ustroje o charakterze despotycznym czy dyktatorskim i zacofane, feudalne emiraty i szejkaty na Bliskim Wschodzie. U nas, w Europie — wyłącznie nazizm, i to właściwie masowo dopiero w czasie wojny; przedtem i on nieszczerze, lecz pozornie przynajmniej organizował parodie niezależnych trybunałów wraz z funkcją obrońcy z urzędu.

Pragnęliby usankcjonowane prawo linczu wprowadzić obecnie ekstremiści w rodzaju Fidela czy Hugona, ponurzy inkwizytorzy, w imię nihilistycznej nad-sprawiedliwości, jak istnieje nad-realizm.

Inna sprawa — nieco może istotnie wstydlivy szczegół, który najbardziej, jak się zdaje, zabolął Ernesta — to kwestia honorarium. Są to, jak się wyraził mój syn, pieniądze wyjęte z kieszeni hitlerowskich zbrodniarzy, judaszowe srebrniki, które winny parzyć mi palce, wstydlivy haracz za pomoc w uniknięciu słusznej kary za zbrodnie. I w tym zarzucie, na pierwszy rzut oka, jest nieco racji. Jakiejś rzekomej racji. Smutnej racji maksymalistów, fanatyków moralności. Ale tylko pozornej. Podyktowanej odruchem obrzydzenia. Szlachetny gest, pragnienie odcięcia się od spraw, z którymi, wolelibyśmy nie mieć do czynienia, a jeśli jest to już niezbędne, to przynajmniej bez materialnych korzyści płynących z tej czynności. Ma on jedną słabą stronę, jest mianowicie nielogiczny. No bo jakże? Skoro wolno mi, gdy zawód obrońcy sądowego daje mi środki utrzymania, a nie jest jakimś hobby wspaniałomyślnego fanta- sty, brać honorarium od pospolitego przestępcy, oszusta czy fałszerza, to bronienie gratis zbrodniarzy wojennych byłoby co najmniej dziwne i dwuznaczne. Czemu to wyjątek miałbym czynić dla nich właśnie? Przywilej dla najgorszych? Premia dla kanalii? Więc albo nie należy podejmować się takich spraw, albo kazać sobie płacić jak za każde inne, jeśli nie więcej. Byłoby to poniekąd uzasadnione. jako dodatkowe wynagrodzenie za przewyciężenie wstrętu do tego typu spraw.

Na przykład lekarz — a porównanie z lekarzem jest tu najbardziej właściwe, fakt niezbity, iż są to zajęcia zbliżone — ma prawo, a nawet obowiązek ratować życie każdemu potrzebującemu pomocy, i na ten temat na ogół nikt już od dawna nie zgłasza zastrzeżeń. Ma ratować nawet rannych czy chorych zbrodniarzy. Ale czy za darmo? Dlaczego mielibyśmy właśnie tych najgorszych, tych przestępców moralnie najbardziej obciążonych — uprzywilejować tym, że nie bralibyśmy od nich pieniędzy, bez względu na subiektywny powód takiej decyzji? Co powiedzieliby ci mniej winni? Że im większa zbrodnia, tym taniej wypada obrona? Absurd, po stokroć absurd!

Ernest zatem i tutaj nie ma racji.

Zdarzają się jednak sprawy istotnie kłopotliwe, wręcz dwuznaczne. I tak, Rotwacher, ów Hauptsturmführer z ty.- tułem doktora praw — doktor Alfred Rotwacher — którego obrony podjąłem się w roku 1961 i który dostał wyrok dziesięcioletni, siedział w więzieniu już od paru lat, zatem nie zarabiał, nie miał rodziny, ktoś tam, o ile pamiętam, żył wprawdzie, lecz wyrzekł go się, żona czy córka, była o tym mowa, mieszkała w DDR — nie miał więc czym zapłacić. No i ktoś zgłosił się do mnie w tej sprawie, nie chcąc wyjawić, z czyjego polecenia ani w czyim imieniu. Podejrzewam, i chyba słusznie, że honorarium otrzymałem z kasy O.D.E.S.S.A .*, czyli Związku Byłych Członków SS. Nie posiadam jednak na to żadnych dowodów. Nie widziałem przyczyny, dla której miałbym bronić Haupt- sturmführera Rotwachera za darmo.

Istotnie, Ernest o tyle ma rację, iż mogłem znaleźć inne wyjście: po prostu nie podejmować się takich spraw, nie przecząc jednocześnie teoretycznie-słusznej zasadzie prawa oskarżonych do obrony, najspokojniej zwalając ten obowiązek na innych. A tacy zawsze się znajdują. Wielu zazdrościło mi przecież klienteli tego rodzaju, biorąc w dodatku pod uwagę moją przeszłość wykluczającą posądzenie mnie o sprzyjanie czy sympatię dla byłych nazich. Cóż, nie zdecydowałem się na takie przrzucanie obowiązku słusznej obrony na innych. Byłem konsekwentny. Wykrę-

canic się, odstępowanie dwuznacznych spraw innym, mniej moralnie przeczulonym, uważałbym za obłudę i wykręt.

Przyznam, iż miewałem takie chwile, kiedy chciałem nawet zmienić specjalizację. Z obrońcy karnego na cywilistę. Kontrakty kupna—sprzedaży, bogata klientela, spadki, może nawet rozwody. To popłaca, daje rozległe stosunki, nie obciąża sumienia, nie rodzi poczucia ryzyka. Lecz w końcu jakoś nie mogłem się na to zdecydować. Byłaby to bowiem kapitulacja wobec dawnych, jeszcze wciąż obowiązujących mnie zasad: występowałbym w obronie interesów kapitalistów, jako ich najemnik, poniekąd ich człowiek. Nie mógłbym się ograniczyć wyłącznie do obrony cywilnych pretensji majątkowych ludzi ubogich, przez nasz ustrój pokrzywdzonych.

Adwokatura podlega podobnym prawom i regułom co polityka. Na każdym kroku czyhają pułapki, zwłaszcza na skrupulantów. Jeśli, rzecz jasna, nie chcemy zaprzeczyć prawom rządzącym zawodem, który sami obraliśmy. Cel piękny — ze środkami bywa różnie. W tym względzie Turgieniew miał wiele racji. Turgieniew jest bez wątpienia doktrynerem, a nawet demagogiem, lecz umie rozumować poprawnie i wyciągać wnioski zaskakująco i niebezpiecznie trafne i logiczne. W tego rodzaju myśleniu jest wiele cech wręcz groźnych. Tacy ludzie mogą stać się nie dziś, to jutro niebezpieczni. Goebbels również często miewał rację w tym, co mówił, tyle że racja ta miała charakter logicznego doktrynerstwa, stosowanego świadomie cynicznie, jako wypróbowana broń w walce politycznej. Otóż w obronie sądowej jakże często nie sposób zrezygnować z takiej właśnie broni i takich metod, wyrzec się demagogii przynajmniej na użytek sali, widzów lub świadków, a także samego oskarżonego, jeśli już nie składu sędziowskiego, o- trzaskanego zresztą z tego typu metodami, nie ulegającego tak łatwo ani wzruszeniom, ani pięknym słówkom, ani perswazji opartej na sprytnych demagogicznych chwytach. Nie napotkałem dotąd jeszcze sędziego, który miałby łzy w oczach słuchając najbardziej wzruszających tyrad obrońcy, i chyba już nigdy mi się coś takiego nie przydarzy.

Czasami nachodzą mnie wątpliwości co do bezinteresowności mego drogiego zbuntowanego synalka. Jeśli wiedział co najmniej od paru lat, od kiedy stał się dorosły, z jakiego źródła czerpię dochody, z których przecież i on korzysta, sta, dlaczego, zamiast czynić mi gorzkie wyrzuty, nie odmówił przyjmowania pieniędzy wypłacanych mu regularnie przeze mnie, nie tylko na utrzymanie i ubranie, lecz i na różne kosztowne rozrywki. Co prawda, ostatnio brał wyłącznie na samo życie. Odmówił, gdy mu zaproponowałem kupienie na zimę jakiegoś ciepłego płaszcza lub kurtki podbitej futrem. No i na złość mi teraz marznie.

W okresie, kiedy najgłośniej wykrzykiwał, najbardziej się całemu światu odgrażał, gdy się związał z najsakrajniej- szymi doktrynerami, fanatykami i anarchistami, powiedziałem mu kiedyś: — Posłuchaj mnie, chłopcze... Ten twój ukochany Guevara, wiem, wiem... Nie potrzebujesz mnie tak gorąco zapewniać, Chrystus, męczennik, bohater, święty Sebastian i tak dalej. Ja to przecież rozumiem. Sądzisz, że go nie czczę, nie szanuję tak samo jak ty? Zapewniam cię, że tak. Przecież wiesz, kim byłem i kim pozostałem, z kim i o co walczyłem, gdzie przesiedziałem całą wojnę. Lecz z drugiej strony, obiektywnie rzecz biorąc, nawet kiedy spróbuję wstawić się w twoje położenie, w wasze położenie, młodych, którym się wiele spraw nie podoba i słusznie... To jest model bohatera, niezawodnie — ten Guevara piękny i wzruszający — lecz chyba nie do naśladowania, zwłaszcza u nas, w Europie.

On mi na to: — To jest zwyczajny, parszywy obiektywizm. A obiektywizm to łajno. Pluję na wasze zasady, na wasz tchórzliwy rozsądek, na wasze uczone racje. Sram na nie.

— I to wiem. Tysiąc razy mówiłeś. Może masz i nieco słuszności. Nie przeczę. Usiłuję, jak widzisz, ciebie i twoich przyjaciół zrozumieć. I ja kiedyś byłem młody, zapalony, jak ty teraz, zacięty i bezkompromisowy. I to w czasach, wierz mi, znacznie, ale to znacznie, bez

porównania wprost trudniejszych. Gdy tobie, gdy wam wszystkim nic lub prawie nic nie grozi, to nam... Sam zresztą wiesz, po co powtarzać rzeczy oczywiste.

Milczał, rzucając mi spod oka złe spojrzenia urażonego szczeniaka. Brak mu było argumentów, a do porażki za nic by się nie przyznał.

— Że co? — spytał po chwili. — O co ci właściwie idzie, powiedz w końcu. Ciągłe to samo i to samo, w kółko to samo, oszaleć można z nudów. Rzygać się chce. Scheisse!

— Wołacie: będziemy podpalać wasze samochody. Ale

dłaczego, na litość boską? Czy samochód musi być symbolem bogactwa? Przed wojną — może, ale dziś, gdy każdy lepiej zarabiający robotnik zajeżdża takim samym VW-1300 jak ja do pracy? Mówicie: będziemy niszczyć wasze bur-żuazyjne mieszkania, wasze meble, wasze — jakżeś sam powiedział — luksusowe gniazda nabyte za zrabowane klasie robotniczej pieniądze, wasze sklepy pełne luksusowych towarów dla — znów cytuję własne twoje słowa, mój kochany — parszywych burżujów i ich kurew, czy nie tak się wyraziłeś? No więc właśnie. Że nawet nie darujecie naszym perfumowanym jakoby piżamom. Czy ja perfumuję moją piżamę? Możesz sprawdzić. Jak nie wierzysz, no to otwórz szafę, wetknij nos i powąchaj. I że zniszczycie nasze giełdy, banki, a także burdele. Na to zgoda. Zlikwidować, ale po co zaraz palić? Ostatecznie zgoda i na spalenie kilku banków czy redakcji pism Springera. Ale co potem? Tabula rasa? Gdy już tak zniszczycie, spalicie, zburzycie, naplujecie, wypróżnicie się na zgliszcza, wywrócićie dały świat do góry nogami — co wtedy?

Milczał naburmuszony, obrażony, zły. Więc ja znów: — Niechże ci przypomnę, co wy sami, tacy jak ty, jak ten twój Hugo i ten drugi — jakże mu tam — aha, Rudi, a także i sam Cohn-Bendit i inni wykrzykiwali do waszego prawodawcy, ustawodawcy i mistrza, pana Marcuse — nie pamiętasz? Cohn-Bendit zapytał go publicznie, czy i dlaczego zaprzedał się CIA. Już zapomniałeś? To było zaledwie rok temu.

— Pluję na Marcusego. I na Cohn-Bendita też... Obojętne, kto nam dostarcza amunicji. Byle dynamit wybuchał jak i gdzie należy.

Teraz nie mam okazji prowadzić z nim już nawet takich rozmów, odkąd się wyniósł ze Stegemanstrasse. I mimo wszystko trochę mi ich brak.

Nazajutrz po ostatecznym uregulowaniu sprawy spadkowej państwa S. w Andernach — która mi przyniosła spore honorarium ustalone procentowo, no i wyszło z obliczenia, iż mam otrzymać ponad dziesięć tysięcy marek — wybrałem się do Monachium autem. Mgła, trochę ślisko, potem, gdzieś tak od połowy drogi — mżawka. Żałowałem, że nie pojechałem koleją, jak zrazu zamierzałem. Nazajutrz w Monachium rozjaśniło się, ukazało się nawet słońce. Był pogodny jesienny dzień, drzewa w ogrodach na Schwabingu miały żółte i czerwone liście. Postanowiłem wybrać się piechotą do Starej Pinakoteki. Dawno w niej nie byłem, chyba rok, a może i więcej.

Wędrowałem nie śpiesząc się przez Theresien Gasse, w stronę Tiirken Gasse, a ja zawsze lubiłem takie samotne wędrowki. O tej porze roku muzeum bywa puste. Późne popołudnie, okazja, żeby połączyć i pogapić się swobodnie. Po drodze przystawałem przy witrynach antykwariatów, których pełno w tamtej okolicy. Jeden obok drugiego. Theresien Gasse 72, na rogu Barer Strasse, pierwszy z kolei. Obok mieści się doskonała winiarnia „Wein-Schatulle”. Parokrotnie wstępowałem tu na szklaneczkę wina. Niedaleko, na tej samej Theresien Gasse, dwa antykwariaty w najbliższym sąsiedztwie: jeden pełen ładnych sztychów, a także starych, pięknie oprawnych w skórę książek, drugi — „Antiquitäten — Kleinkunst — Furst Mirski”, gdzie na wystawie sporo ładnych drobiazgów. Dalej, idąc powoli tą samą stroną ulicy w kierunku muzeum, minąłem dobrze mi znaną kawiarnię „Cafe Pinakothek-Espresso” oraz luksusowy niewielki magazyn mody „New Look”.

W Starej Pinakotece, jak tego oczekiwałem, pustawo. Nieco cudzoziemskich turystów, przeważnie Anglików, zwłaszcza na dole, w hallu, przy kioskach z folderami, albumami, reprodukcjami. Znam wszystkie sale Pinakoteki na tyle, że bez trudu potrafię znaleźć obrazy, które chciałbym jeszcze raz obejrzeć. Nie są to wyłącznie te ogólnie znane, sławne i okrzyczane arcydzieła. Przystaję na przykład obok Uwolnienia Andromedy Sebastiana Bourbona. I za każdym razem, ilekroć na nią patrzę, ogarnia mnie zachwyt. Ten biały skrzydlaty koń na tle fragmentu nieba w barwie nie do opisanego, jedynej w swoim rodzaju, przejrzystej i zarazem chłodnej. Albo Veronese: Amor z dwoma psami. Białe z czarnymi

głowami i jaskrawoczerwonymi językami. Po tylu latach farba nie przygasła, nie zmatowiała, jest wciąż taka sama, świeża i urzekająca w swej świeżości. Stoję zapałszy, zadumany, oddalam się, by znów powrócić. Podchodzę wreszcie do ulubionej Wizji świętego Franciszka pędzla Carlo Saraceni. Ascetyczna twarz świętego wyzbyta tak dalece wszystkiego, co ziemskie, że aż straszna w swym ekstatycznym uniesieniu. I jeszcze jeden obraz: Griinewalda Biczowanie Jezusa Chrystusa. Siedzi ze związanymi rękami, okrutnie smagany przez

oprawców. Twarz przykryta chustą. Czyni to tym mocniejsze wrażenie, że nie widzimy wyrazu jego oczu. Wygląda na umęczonego do kresu wytrzymałości starego Żyda, niemal że nam współczesnego.

Szybko minąłem salę Rubensa. Zaledwie rzut oka tu i tam po ścianach, bez zatrzymywania się, Porwanie córek Leukippa tylekroć reprodukowane, powielane w setkach tysięcy egzemplarzy na widokówkach, w albumach i katalogach wystawy. Różowe ciała, zwłaszcza tej z uniesionym ramieniem, pełne rubensowskiej urody, przepychu kształtów, lecz jeszcze nie tych późniejszych, przejrzałych, w swym przesycie jakby nieco zwiotczałych. Obie córki Leukippa mają ciała jędrne, bez tych fałd i przesadnych wypukłości, które mnie tak rażą u kobiet Rubensa. Obok — mój ulubiony obraz — Nilpferdjagd, polowanie na krokodyla. Co za rozmach! Ileż ruchu, utrwalonego z niesłychaną, nieprawdopodobną wręcz maestrią. Zatrzymane na ułamek sekundy, wystarczający, by je utrwalić, nie zezwalają widzowi ani na chwilę zapomnieć, iż ruch ten wciąż jeszcze trwa. Wystarczy odwrócić na chwilę wzrok, odejść na parę kroków i już wszystko zaczyna się kłębić, zwijać i rozwijać, rozprężyć, rozkręcać niby spirala. Odszedłem, kiedy już woźni podzwaniając kluczami zamykali muzeum.

Dwa dni po powrocie z Monachium, odstawivszy wóz do przeglądu w warsztacie Paula Wirtza przy Bahnhofstrasse, udałem się do salonu samochodowego, gdzie mam paru znajomych. Mieści się na narożu Bahnhofstrasse i Rizzastrasse i należy do firmy „Lohr i Becker”. Zdecydowałem się sprzedać wysłużonego VW-1300, którym byłem dwukrotnie we Włoszech i raz via Francja w Hiszpanii aż po Gibraltar — ponad sto tysięcy kilometrów na liczniku! Najwyższy czas kupić jakiś nowy wóz. Ale jaki? Myślałem o takim samym lub podobnym. Wirtz odradza. Powiada, żeby zmienić markę. Na jaką? Może na BMW? Model 1600 kosztuje 6750 marek, zaś model 2000 — aż 8850. Mógłbym obecnie bez trudu wydatkować taką sumę, dostanę honorarium od S. za sprawę spadkową w Andernach, ale że mam zamiar kupić dom przy Bornweg, więc wolę się powstrzymać od pokusy. Opel Kadett kosztuje zaledwie 4300 marek, ale tak Wirtz jak inżynier Dóbnner z firmy „Lohr i Becker”, którym ufam, stanowczo odradzają. Przeszarżały model. To już może istotnie lepiej VW? Na wystawie u Lohra stoi Porsche 912, w kolorze kawy z mlekiem. Tego to bym kupił, mimo że właściwie, prawdę powiedziawszy, na co mi taki sportowy wóz. Ale jakże piękny! Cóż, kiedy kosztuje ni mniej, ni więcej — tylko głupich 12550 marek. Inżynier Dobner otwiera szerokie drzwi wozu, pokazując mi jego wnętrze. Kusi mnie. Skóra brunatna, nieco ciemniejsza od karoserii. Woń autentycznego skórzanego obicia. Siadam za kierownicą, opieram się wygodnie o poduszkę, oglądam tablicę rozdzielczą, słucham objaśnień Dóbnnera, wręcz zakochanego w Porsche. Burżuazyjne, luksusowe zachcianki. Z zalem wychodzę z wozu, zatraskuję drzwiczki. — Może innym razem — mówię — gdy więcej zarobię. Przerzucając się na sprawy cywilne. Można więcej zarobić, a mniej przykrości... — Dobner uśmiecha się do mnie? — Jakże ma pan jeszcze wozy, inżynierze, do odebrania zaraz? — pytam go wciąż patrząc na Porsche. Z wozów obcych marek, które zna i ceni, radzi mi — Forda Escort, tanio, bo zaledwie za 4000 marek. A może wolałbym Alfa Romeo, typ Giulia Super? Stoi na wystawie od kilku dni, oglądałem go przechodząc tędy parokrotnie. Ciemnozielony, zgrabny, kosztuje 7250, ale rzekomo wart tyle. Na razie wstrzymam się jeszcze z kupnem. Poczekam. Inżynier Dobner, miody człowiek, z którym parokrotnie miewałem różne interesy, odprowadza mnie kilkaset kroków. Wciąż rozmawiamy o samochodach. Obiecuje, że będzie o mnie pamiętać. Z daleka woła na mnie jeszcze: — A może kupi pan okazjnie prawie nie używane Volvo 144-S? Wzięliśmy wczoraj w komis. Mógłby je pan dostać za niecałe 8000. — Potem sam się orientuje, że to wóz nie dla mnie, i macha ręką: — Ale to istny smok. Po co panu taki duży wóz? Zapomniałem o tym, panie mecenasie, że przecież pan nie ma rodziny i przeważnie jeździ sam.

Tego samego dnia, po obiedzie zjedzonym tym razem samotnie w restauracji „Zum Gockel”, idąc piechotą przez Lohrstrasse, mniej więcej na rogu starej i wąskiej, zabytkowej uliczki Altengraben niespodziewanie natknąłem się na Ernesta, którego nie widziałem co najmniej dwa tygodnie i nawet nie byłem pewny, czy jest jeszcze w Koblencji, czy też może nareszcie zdecydował się wrócić na medycynę do Frankfurtu, jeżeli, rzecz jasna, udało mu się jakoś uniknąć grożącego skreślenia z listy studentów. Ja

się ostatnio postanowiłem więcej do jego spraw nie mieszać. Niech robi, jak uważa. Ostatecznie, ma tych swoich skończonych dwadzieścia lat. Powinien wreszcie wiedzieć, co robi.

r"3zedł z jakąś wysoką, bardzo szczupłą dziewczyną o czarnych puszystych włosach opadających aż na ramiona i w towarzystwie młodzieńca o wyglądzie dość niechlujnego hippisa. Przystanąłem, i oni też przystanęli, wyraźnie zaskoczeni tym spotkaniem. Potem Ernest powoli ruszył ku mnie, a tamtych dwoje zostało w tyle. Hippis zatrzymał się przy jakiejś otwartej bramie, a dziewczyna rzuciła się nagle w bok, jak spłoszona. Widziałem, jak susem wskakuje w tę samą bramę, koło której przystanął jej kudłaty towarzysz. W tym momencie ujrzałem jej profil i poznałem: to była Truda, Dziewczyna Alfa, tyle że ufarbowana na czarno, a może w czarnej peruce. Wbiegła do bramy, znikając mi z oczu, a ja wciąż stałem nieco zaskoczony tym niespodzianym spotkaniem, co Ernest na pewno zauważył, bo podchodząc do mnie, nie wyjmując rąk z kieszeni czarnych skórzanych spodni i uśmiechając się ironicznie, powiedział: — Nie krępuj się, stary. Kazałem jej spłynąć, żeby ci oszczędzić niepotrzebnej konfrontacji. Widzisz, jak dbam o twoją dobrą opinię i twoje nerwy. Zresztą mniejsza o to. Nieważne. .

Wówczas zbliżył się do nas hippis obwieszony kilkoma rzędami cienkich naszyjników zrobionych z drutu i nanizanych nań koralików czy szkiełek i przystanąwszy obok, zaczął mi się natrętnie przyglądać. Nigdy go dotychczas nie widziałem. Spytał Ernesta, pokazując na mnie gestem brody: — To ten, o którym właśnie mówiliśmy?

— Tak, to mój stary. Ale teraz zostaw nas samych. Mam z nim do pogadania. Spotkamy się tam, dokądśmy szli. To niedługo potrwa. Najwyżej kwadrans. Więc spływaj.

I tamten istotnie bez słowa odszedł, zaś Ernest wziął mnie niespodziewanie pod rękę i pociągnął w kierunku śródmieścia. Nie odzywał się na razie. Szliśmy tak obok siebie w milczeniu aż do rogu Schlosstrasse i tam Ernest przystanął.

— Wiem — powiedział zapalając papierosa — że mnie szukałeś. Otóż mam ci do zakomunikowania, że po głębo kim namyśle doszedłem do przekonania, iż nie będę więcej korzystał z twojej pomocy, rozumiesz mnie? Żałuję, że

vym dotychczas brałem od ciebie forszę. No ale stało się. Trudno. Jak dostanę skądś, to zwrócę ci ratami. I zapamiętaj sobie raz na zawsze, że jak mnie nie ma, to mnie nie ma, i żadne poszukiwania nie dadzą rezultatu. Nie mam obowiązku ani ochoty spowiadać się przed tobą z moich zamiarów ani decyzji. Ani z tego, jak żyję i za co. Pojmujesz? Skoro tak, no to fajnie. A forszę, którą mi przesłałeś przekazem za ten miesiąc i której nie podjąłem, zwróci ci dziś-jutro poczta. Możesz sobie te swoje marki podrzeć lub się nimi podetrzeć, albo dać jakiejś kurwie, jak wolisz. Scheisse. Od teraz, dowiedz się o tym, nie masz więcej syna, a ja, Bogu dzięki, nie mam ojca. Nareszcie! Bo matki jak gdyby nigdy nie miałem, przynajmniej jej nie pamiętam. No i bardzo dobrze. Wprost znakomicie. Normalka. A jeśli byś mimo tego, co usłyszałeś ode mnie, miał mi coś do zakomunikowania, to skorzystaj z okazji i pośpiesz się, bo wiele czasu nie mam. Sam widziałeś: człowiek na mnie czeka. Szkoda go, no nie? Chłodno dzisiaj.

— Co się stało? — zapytałem.

— Nic. A co się miało takiego stać? — rzucił niedopałek na trotuar, gniotąc go butem. Odsunął się ode mnie o krok. Zauważyłem wówczas, jak źle wygląda. Że jest wymizerowany, policzki ma zapadnięte, rysy mu się wyostrzyły, szczególnie nos. I że w tej chwili jest niezwykle podobny do swej matki z czasów, gdyśmy oboje z nią chodzili po górach w okolicy Bad Reichenhall pewnej pogodnej jesieni przed wielu laty i ona po jakiejś grypie mizernie wyglądała, tak jak jej syn teraz. Stały mi przed oczami na kilka sekund kamieniste ścieżką i strome zbocza porośłe bukowym lasem w złotych i purpurowych

liściach. Ich szelest pod naszymi nogami i ich zapach. Woń przegniłych łąk, grzybów i górskich ziół. Zobaczyłem na krótki moment jak żywą moją żonę, matkę tego pięknego chłopaka, który ma już przecież aż dwadzieścia lat — ile to więc jesieni minęło od tamtego czasu? — ujrzałem Heddi taką, jakiej nie oglądałem w pamięci i wyobraźni od bardzo dawna, gdyż o niej nigdy prawie już nie myślałem, a jeśli nawet, to przelotnie, z odcieniem niechęci czy irytacji. I oto teraz, w takiej chwili, nie sprzyjającej przecież tego rodzaju myślom ani wrażeniom. Po raz pierwszy chyba w ogóle mój Ernest — i jej Ernest. Aż się zdziwiłem tym odkryciem. Mimo wszystko, co między nami zaszło, co nas

V

rozdzieliło i co nas od siebie oddaliło — uważałem Ernesta za moją wyłącznie własność, za mój osobisty produkt czy wynalazek, jakbym nie tylko go spłodził, lecz i zamiast matki również urodził, i którym nie chciałem z nikim się dzielić. I oto on teraz, na tle kamienicy przy Schlosstrasse i ulicznej latarni, kształtem policzków i czoła, a także wyrazem oczu chmurnych i gniewnych, zarysem brwi — przypomniawszy mi figurę, twarz, rysy, a szczególnie oczy, brwi i usta tamtej dalekiej i wyrzuconej z pamięci tak doszczętnie i tak dawno temu, że on, Ernest, jakby jej nigdy w życiu nie widział, a na pewno jej nie pamięta, tak wczesnie odeszła, tej której samo istnienie wymazałem raz na zawsze i do tego stopnia gruntownie, że znikła, rozwiła się, przestała istnieć, nigdy nie istniała.

Trudno byłoby mi dokładnie sprecyzować uczucia, jakich doznałem. Był to bez wątpienia żal, tak jest, najautentyczniejszy żal, jaki może odczuć ojciec, ale poniekąd zarazem i matka, której rolę i miłość do syna na siebie wzięłem, taki żal i taki ból, jaki musi odczuwać kobieta tracąca dziecko. I zarazem pretensja do tamtej nieobecnej, zapomnianej i wygnanej z pamięci, za to, że pozostawiła mnie samego z brzemieniem tej podwójnej miłości i odpowiedzialności za tego zwariowanego chłopaka o włosach długich jak u dziewczyny. I że to z jej winy tę stratę ponoszę.

On zaś, czekając jednak, że mu coś jeszcze powiem, domyślił się chyba w jakiś sposób — a intuicji nigdy mi nie brakło, odziedziczonej nie po mnie, lecz po tamtej, której wcale nie znał, i może z tej przyczyny również, mimo iż mi tego nigdy nie wyjawiał, ma do mnie żal i pretensję, jakiś niezatarty uraz, że go tej matki pozbawiłem — odgadł, o czym w tej chwili myślę, i pojął, w jakim się stanie znajduję, bo nagle uśmiechnął się do mnie niemal tak, jak się potrafił uśmiechać, gdy był małym niedorostkiem, chłopakiem, który nie miał dla mnie żadnych tajemnic, gdyż postąpiwszy ku mnie krok, wyciągnął rękę i pogładził mnie nią nieśmiało i niezdarnie po ramieniu. Był to zapewne odruch pobłażania, lecz może również i starannie skrywany pod pozorami bezwzględności, pod maską chłodu i wzgardy, a także buntu i negacji wszelkich łączących nas dotąd, mimo wszystko, więzów — gest tkliwości. Gest niemych przeprosin.

Potem, jakby zawstydzony, odwrócił się i szybko odszedł,
wym

a ja stałem jeszcze przez chwilę z rękami w kieszeniach burberry, ściskając w garści plik banknotów, które miałem zamiar mu wręczyć, żeby nie został całkiem bez środków. Wyjąłem po chwili tę dłoń i przyjrzałem się z uwagą zaciśniętym jeszcze palcom.

Nie zauważyłem, że chyłkiem, bezgłośnie podkradła się ku mnie Truda, przystając z boku, jakby zalekniona, i trzymając dłoń przy ustach przygląda mi się uważnie, w milczeniu, mrużąc wąskie oczy. A ja wciąż jeszcze oszołomiony, w chaosie myśli, przypomnień, wyolbrzymionych żalów i pretensji do siebie, Ernesta, jego matki, do całego świata, zacząłem szybko iść w stronę skweru przed Zamkiem. Minąłem szerokie zakole podjazdu i wszedłem między już niemal bezlistne drzewa, idąc bez celu wprost przed siebie w stanie podniecenia i z pustą niemal głową, nie myśląc już w tej chwili o niczym konkretnym. Zatrzymałem się dopiero nad rzeką, gdzie znalazłem obok gmachu Sądu Administracyjnego pustą ławeczkę pod drzewem. Usiadłem, starając się ochłonać.

Nic się właściwie takiego nie stało — tłumaczyłem sobie. — I tak przecież, co tu ukrywać, od dawna Ernest ze mną zerwał, jak gdyby zerwał, tyle że milcząco godził się jeszcze wielkodusznie korzystać z moich pieniędzy. To były już tylko nędzne pozostałości, strzępki, parodia dawnej wspólnoty. Nie powinien mnie wyprowadzać z równowagi fakt, że obecnie potwierdził raz jeszcze to, co od dawna wielokrotnie mówił. Po jakimś czasie przeprosi się i wróci, gdy się tylko przekona, jak to łatwo żyć o chlebie i wodzie, jak lekkomyślnie zrzekać się wszelkiej pomocy. Czy on w ogóle potrafi uczciwie na siebie

zarobić? Czym się to może skończyć? Stoczeniem się do poziomu — nie chcę już sobie wyobrazić jakiego. Na utrzymanka dziewczuch, alfonsa, bo ładny z niego chłopak. Albo jeszcze gorzej. Niby wiele nie wymagał, wzorował się na hippisach, chociaż hippisem nie był. Ze wzdrganiem odrzucał gesty, maniery i sposób ubierania się burżuazyjnej młodzieży, tych, jak ich dziś nazywają, playboyów ery postindustrialnej, przyszłych prokurentów bankowych lub przedstawicieli wielkich firm eksportowych, odzianych nienagannie wedle ostatniej mody, ostrzyżonych na wzór pruskich oficerów gwardii sprzed wojny. Ale znów nie do tego stopnia, żeby sobie odmawiać drogich przedmiotów, jakichś najnowszych magnetofonów,

to złotej bransolety, to znów Leiki z teleobiektywem i kompletem filtrów, na które dawałem mu dodatkowo spore sumy. Gdy się okaże, iż to wszystko, do czego przywykł, czego trudno będzie mu się wyrzec, stanie się nagle niedostępne wskutek braku funduszków — zmięknie i przeprosi się. Już ja to widzę.

Pomyślałem w końcu: dlatego się tak tym przejąłem, że po prostu nagle poczułem się stary.

Uniosłem głowę i dostrzegłem parę kroków od siebie, za najbliższym drzewem, wspartą plecami o słup latarni Trudę. Stała tam przyglądając mi się spod oka, marszcząc brwi i przestępując z nogi na nogę. Gdy tylko zauważyła, że na nią patrzę, powoli, skradając się podeszła do mnie i przysiadła na drugim końcu ławki. Położyła palec na listwach, jakby miała zaraz powiedzieć: cyt! Nie odzywałem się, odwróciłem nawet od niej wzrok, patrząc na statek płynący po rzece, udając, że jej nie zauważam. Istotnie w tym momencie o niej chyba nie myślałem, wracając do tamtych niewesołych spraw. Wtedy odezwała się cichutko:

— Proszę pana, ja chciałam tylko... Niech mnie pan wysłucha i nie odchodzi — gdyż ja istotnie odruchowo uniosłem się z miejsca, żeby wstać i odejść; nie miałem ochoty wysłuchiwać jej gadaniny, nie byłem jej ciekaw.

Chwyliła mnie za rękę, mówiąc w pośpiechu, coraz szybciej, żebym jej nie uciekł:

— Niech mnie pan wysłucha. Ernest kazał, żebym szła cały czas za panem i pilnowała, co pan zrobi. Bo on się bał, żeby pan sobie przypadkiem czegoś złego... To ze strachu o pana... Więc ja teraz...

Umilkła, patrząc na mnie oczyma przedłużonymi niebieską szminką niemal aż do skroni. A były to oczy ptaka, a może jakiegoś węża, czy ja wiem. Miałem chyba rację, gdy ujrzawszy ją po raz pierwszy, już wtedy, w kawiarni, pomyślałem sobie: ona ma bardzo dziwne oczy, oczy bez wątpienia jakiegoś zwierzęcia, tylko jakiego zwierzęcia? Idąc wówczas do kancelarii, tamtego ranka, wciąż o tym myślałem nie mogąc się zdecydować, jakby to było aż takie ważne. I dopiero później uświadomiłem sobie: to są źrenice ptaka. Tak, tak, bez wątpienia. Rybitwy albo mewy, a może nawet jastrzębia. Jakoś tak chyba. Oczy koloru właściwie nijakiego, przezroczyste jak woda, tęczęwki ledwo, ledwo zabarwione, zlewające się z sinawym białościem, pełne zagadkowego wyrazu, który potem okazuje się całkowitym brakiem wyrazu, znakiem pustki. Odezwałem się do niej:

— Dokąd on poszedł? — a Truda uradowana najwyraźniej, że wziąłem 'pod uwagę jej obecność, nachylona ku mnie przez całą długość ławki, zaczęła mówić szybko, jakby się bała, że się rozmyślę i odejdę:

— Jeszcze nie wiem, proszę pana. Ale będę wiedzieć. |Z pewnością. Pewnie już jutro z samego rana. A może nawet jeszcze dzisiaj. Tak, na pewno. Myśmy mieszkali we troje — Ernest, Max i ja. Max to ten z brodą, który był dziś z nami. Mieliśmy jutro rano wyjechać do Frankfurtu, gdzie mieszka siostra Maxa i gdzie moglibyśmy na jakiś czas zatrzymać się. No i Ernest w ostatniej chwili zdecydował, że ja zostaję. Więc zostałam. Tylko do pierwszego, bo za tyle opłacony czynsz. Potem sama nie wiem. Chciałam koniecznie jechać z nimi, ale Ernest powiedział: nie! Jak nie, tó nie. Scheisse! Obejdzie się — powiedziałam. A tak — on na to — obejdzie się. Chciałam, żeby ten ostatni raz zgodził się przyjąć forszę od pana, kiedy przyszedł przekaz I na poste restante. Zrugął mnie od ostatnich. Ze nie Max również był tego zdania, żeby nie. A już nie mieliśmy forsy od dawna. Więc ja jeszcze: Max ma siostrę, to mu dobrze, a ja co? Mam iść ustawić się w kolejce z innymi pod

— J amerykańską kantyną? Rób, jak chcesz — oni na to. Ernest dodał, że tych — jak się wyraził — hitlerowskich pieniędzy więcej nie tknie, żeby nawet miał zdechnąć z głodu. Trudno — powiedział — trudno. Tyle że zgodził się wziąć ode mnie wszystko, co nam zostało. Bo ja prowadziłam wspólne gospodarstwo. Było tego ze czterdzieści marek.

Starczy im obu na papierosy i piwo. Dobrze i to. Kolejną pojedą na gapę. Nigdy inaczej nie jeździmy.

Milczałem, wciąż patrząc na rzekę. Truda po chwili:

— Mieliśmy, ale to było jakieś dwa tygodnie temu, wyjechać razem, całą bandą do takiej komuny koło Heidelbergu. Ale Max, który od nich właśnie wrócił, naopowiadał różnych rzeczy i projekt nasz upadł. On się z tamtymi z komuny o coś pokłócił. Poszło im, jak się zdaje, o Trockiego. No i do Heidelbergu wyjechali nazajutrz tylko Hugo, Erich, Alfred, taka jedna, co z nami ostatnio mieszkała, Inga, i druga, Gusta, a my we troje zostaliśmy w naszej starej budzie. Gusta to taka ruda, na krótko ostrzyżona,

pan ją na pewno zna, przychodziła do pana na Stegemannstrasse, wiem na pewno. Turgieniew — pan wie, ten co go podobno pan tak nazwał — chce pojechać koniecznie do Chin i obiecali mu w takim komitecie we Frankfurcie, że się wystarają o to, ale ja nie wierzę, bo on często buja. Powiem panu, że mi się już to całe towarzystwo przejadło. Scheisse! W ogóle, żeby pan wiedział... Ho, ho!... Bardzo różne rzeczy. Nie dziwię się wcale Ernestowi, że miał tego wszystkiego dosyć i że z nimi zerwał. Powiedział wyraźnie — wiem, bo byłam przy tym — że ma wyżej uszu tego całego bajzlu, tej gadaniny, tego branzlowania się, tej onanii na cztery ręce. Tak się o nich wyraził. O Turgieniewie też. I o Guście. Ona taka mądrała, że ho, ho! Wszystkie rozумы zjadła! Scheisse! — powiedział Ernest. — Scheisse i już! Beze mnie, moi kochani — ohne mich! —■ tak im dogadał. Więc ja też. Że mam ich wszystkich gdzieś, na okrągło cztery razy palec do środka, i schluss. Już dawno sobie powiedziałam: moja droga, wyskakuj z tego interesu, póki czas. Ale się bałam. Dopiero kiedy Ernest, a za nim i Max, wtedy i ja. Oni — ci wszyscy inni, cała reszta. Turgieniew, Hugo, Alf, Gusta —■ huzia na mnie. Zamknij się! — tak do mnie. A czemu to? Nie wolno mi? — ja im na to. — Od kiedy to? Wszyscy mamy równe prawa w komunie, może nie? Stul mordę — Gusta do mnie. — Nikt cię o zdanie nie pyta, nie znasz się na tym, idiotko jedna! Więc ja na to: Ładnie tak? A pewnie. Gównu ci do tego — i jak mi da w pysk. No, myślę sobie, ale zamknęłam się, cicho siedzę, a wtedy Ernest: Niech mówi. Kobiety mają u nas równe prawa, tak czy nie? Wtedy nabrałam odwagi i wygarnęłam im wszystko, co o nich myślę. A po mnie Max. No i z tego chryja, że hej. Aż się zakotłowało. Najgłośniej Gusta, aż ją Turgieniew musiał usadzić. Myślałam sobie: jeszcze chwila, a pobiją się. Ale jakoś nie. No i nazajutrz — Hugo, Alf, Gusta i taka jedna, nazywała się Inga, a także Turgieniew, w ogóle cała dawna paczka oprócz nas trojga zabrała się i wyniosła. Zostaliśmy sami. Uff! — pomyślałam — nareszcie się solidnie wyśpię. Bo przedtem tyle nas było na kupie, że zabrakło miejsca nawet na podłodze. A jeszcze zdarzali się przyjezdni. No a teraz zostałam sama. Schluss — skończyło się. Może lepiej, że tak. I w ogóle. Ostatnio wytrzymać było trudno. Żeby pan to widział. Ja wcale nie bujam. Rzygać mi się chciało. Gównu! Interesuje to pana? Co? Mam mówić? Tak? No to jadę dalej, niech pan słucha.

Słuchałam piąte przez dziesiąte, chwilami myśląc o czym innym, widząc kątem oka, jak ona ożywia się, zaczyna gestykulować, jak się kręci na ławeczce, przesiada, zakłada nogę na nogę, zdejmuje ją, znów zakłada, obskubuje nerwowo nogawki wystrzępionych wypłowiałych dzinsów, jak szura nogami pod ławką, te jej grube, męskie buciory, nigdy chyba nie czyszczone, szare od kurzu. A ona mówiła, sprawdzając od czasu do czasu, czy jej słucham, trącając mnie bez ceregieli łokciem albo wskazującym palcem. Zdjęła czarną perukę i położyła sobie na kolanie, rozczesywała ją palcami, wygładzała i znów mierzwiała z powrotem. Swe własne włosy, bardzo jasne, miała splecione ciasno w dwa zabawne warkoczyki, cienkie jak mysie ogonki, związane z tyłu głowy tasiemką, pewnie dlatego, żeby się jej zmieściły pod peruką. Spostrzegłszy, że ją obserwuję, przestała gładzić perukę, założyła ją szybko i byle jak na głowę, zaklęła: — Scheisse! Wyglądam jak łysa zołza. Albo jak szczur. Tak, na pewno jak szczur. Już mi to nie raz mówiono.

Zamyśliła się, milczała chwilę, szurając nogą i wzniecając kurz, potem popatrzyła na mnie pytająco i powiedziała:

— Miałam tego dość. Tylko ja, ciągle ja, wszystko ja. Inga, taki śmierdzący leń, wylegiwała się do południa, a jak dobrze poszło, to potrafiła nie wstawać cały dzień. Że niby ona była w komunie pierwsza, dawno przede mną, ho, ho, gdzie tam ja, ja przybyłam ostatnia, ale nawet Gusta, ona też była po niej. Więc że się jej należą takie prawa i już. Gównu — powiedziałam — sram na te twoje prawa już teraz, wiesz? A muszę dodać, że bywało nas dziewięcioro, a nawet przez trzy tygodnie aż jedenaścioro. Da pan wiarę, co się

działo? A zaczęło się od tego, że ten pokój, a raczej strych przerobiony na pracownię malarską należał do takiego jednego, nazywał się Peter. Fotografik właściwie, a także malarz, projektant wystaw sklepowych, no i plakatów. Strasznie fajny facet. Teraz mieszka gdzie indziej, ma pracownię prima, robi informel, miał już nawet wystawę, z nim jest Karin, pan jej nie zna. To jego dawna modelka, kiedy jeszcze robił fotki dla prasy i akty na specjalny obstalunek. Ja też mu pozowałam, ale to daw

ne czasy. Jak przyjechałam do Koblencji, to przez tę właśnie dziewczynę, tę Karin, którą dawniej już znałam, trafiłam do Petera. I jakiś czas mieszkaliśmy we trójkę: Peter, ja i Karin. Potem ona odeszła i zostałam tylko ja z Peterem. On od czasu do czasu coś sprzedawał, zaprojektował albo zrobił fotki do pisma, wtedy była forsa, zapraszaliśmy moc ludzi i urządzaliśmy bal na sto dwa. Fajnie było. Tak coś pół roku trwało. Potem nagle wróciła Karin. I to ona wynalazła i tę nową pracownię dla Petera, i zarobek dla niego przy projektowaniu wystaw sklepowych, i w ogóle, no i po jakimś czasie oboje wynieśli sięgną nowy adres, koło Floriani Kirche, na poddasze. A że Peter opłacił czynsz z góry, więc zostałam na starych śmieciach, ale sama tylko przez parę dni. Sprowadzali się po kolei — bo znali adres, bywali u nas, a nie mieli gdzie mieszkać — Turgieniew, Irma, Gusta, Inga, ten flejtuch, i inni. W ogóle przeniosła się tam cała komuna już zawiązana dawniej. Potem i Willy, i Hans, i jeszcze trzy dziewczyny, a na samym końcu Ernest, kiedy się wyniósł od pana, ze Stegemannstrasse. Gdy najostatniejszy niedawno przybył do nas Max, nie miał już gdzie spać. Ułożył sobie posłanie na noc na stole, płaszcz zwinięty pod głowę, i tak jakoś przetrwał przez dwa tygodnie. Niby komuna, a niby nie. Jedni twierdzili, że mają dawne prawa pierwszeństwa, a że inni nie. Ja, na przykład, że niby nie. Mimo że przecież na tym miejscu, na starej chacie, byłam pierwsza. Ale dla nich to nic. Że się niby nie liczy. Dobrze, szlag was trafił — powiedziałam — nie zależy mi. Ja zrazu, po tym gdy Peter się wyniósł z Karin, byłam niby to z Ludwikiem, później z Ludwikiem była Gusta, a ja z Willym, ale się z nim pożarłam, i na sam koniec do dziś rana byłam z Ernestem, a także troszkę i z Maxem, kiedyśmy zostali we trójkę. Z Turgieniewem nigdy, i w ogóle kłóciliśmy się zęb za zęb, na udry dosłownie o wszystko. Jak on tak, to ja tak. I na odwrót. Potrafiliśmy się wyklócać bez przerwy, żreć się non stop po kilka godzin. W nocy też. Leżałam na materacu na podłodze, a Ludwik ze mną. Turgieniew, żeby się ze mną wyklócać, przysiadł się do nas. Ludwik chciał spać, więc zły. Że wciąż gadamy. Na mnie. Żebym się zamknęła. Czemu na mnie? A bo gadasz i gadasz. Ja? Wtedy obaj na mnie. Raz to tak z przerwami trwała ta użerka całą noc aż do rana. O różne rzeczy. Głównie o Trockiego, ale nie tylko. Za czyniało się od Trockiego, a potem, że nie jestem zdyscyplinowana, bo gdybym była, tobym to i tamto, i w ogóle. Mówię mu spokojnie: Powieś się. A widzisz — on na to. — Że niby co? Idiotka jesteś, nie uświadomiona. Godziliśmy się, ale tylko z pozoru. Zwykle mnie coś podkusiło i zaczynało się od nowa. I tak w kółko, dnie, tygodnie, miesiące. Wściec się można. Mogę — powiedziałam na zebraniu całej komuny — być na równych prawach, zgoda, ale nie żebym miała obsługiwać wszystkich. Co to, to nie. Mogę gotować, biegać po wiktuały, myć gary, łątać gacie Ludwika, skarpetki i w ogóle, ale żebym miała obsługiwać wszystkich, co to, to nie. Mogę spać z jednym, z dwoma, no, z trzema — ale nie z sześcioma. Bo Indze się nie chce. Jaka to komuna, kiedy nie ma równości, ja się pytam? Dlaczego Inga albo Lutzi na innych prawach niż ja? Dlatego — powiedzieli — że one mają długi staż w komunie, a ty jesteś od niedawna, jak gdyby na praktyce czy na próbie. Bo to jeszcze pytanie, czy się w ogóle nadasz. Scheisse! , —» ja na to. Pytam Ludwika, co on powie. Żeby nas rozsądził. A on, że większość zawsze ma rację, więc muszę słuchać. Mam ze wszystkimi po kolei? Tak! — on na to — ze wszystkimi. Gówno! — powiedziałam. — Pfui, Teufel! Ani mi się śni. Nie, bo nie, i kropka. Wówczas oni zwołali sąd nade mną. Już był wtedy u nas od niedawna i Ernest, ale ja jeszcze z nim nie spałam. Ledwo go znałam. Zdecydował: Jak komuna, to komuna. Macie chłopaki rację. Albo — albo. Powiedziałam: zgoda. Ale że świństwo, to fakt. Do bani, do kitu z taką równością, w ogóle z takim zaszranym życiem. Jak się zezłoszczę, to zbiorę manatki i pojedę do mojej starej, do Stuttgartu. Przepraszę się z nią i będzie fajnie. Co mi tam! Bo ja, żeby pan wiedział, jestem ze Stuttgartu, moja mama jest tam pielęgniarką w miejskim szpitalu. Przynajmniej sobie odpocznę, a potem zobaczę sama, co dalej. A oni: Możesz sobie iść, dokąd chcesz, ale nim sobie pójdiesz, poznasz, co to znaczy

kolektyw i dyscyplina w kolektywie. Ja im na to: Sram na kolektyw. Sram na waszą dyscyplinę. No i wtedy zwołali nade mną sąd. Dostałam po mordzie od całego kolektywu. Jeden mnie trzymał, wykręcił mi ręce do tyłu, że ani się wyrwać, a reszta biła po kolei. Siedmiu, a nawet ośmiu, bo wstąpił do nas taki chłopak z garażu, strasznie silny, Sepp, i on też włączył się do akcji. Pierwszy Ernest, a za nim Ludwik.

A potem inni po kolei. Myślałam, że mi głowa odpadnie. Jak mnie Sepp strzelił w pysk, to o mało nie zламаł mi szczęki. W końcu Ernest pyta mnie: — Zapamiętasz sobie? Zapamiętam — ja na to, myjąc sobie mordę pod kranem.

— No to już teraz wszystko będzie okey, jak myślisz, co? — powiada, a ja mu mówię: Okey. Już teraz będziesz wiedzieć, co i jak? Już będę wiedzieć. No to fajno — mówi — że już teraz będziesz wiedzieć, no nie? Pewnie, że tak — ja na to.

— Będziesz odtąd posłuszna? Będę — powiedziałam.

Aż od tego gadania dostała rumieńców i zadyszała się. W końcu urwała i palcem odsunęła włosy, by mi pokazać ucho. Było spore, lecz kształtne, ściśle przylegające i bardzo białe. Obmacywała ostrożnie dwoma palcami skraj muszli usznej, patrząc na mnie.

— O, tutaj, widzi pan? Jeszcze niezupełnie wygojone. To Sepp mnie tak urządził.

Wzruszyłem ramionami, podnosząc się z ławeczki. Miałem zamiar odejść. Ona wciąż siedziała, trzymając się za ucho i patrząc na mnie. Przystanąłem niezdecydowany. Powiedziała: — Jeśli pan ciekaw, co ja osobiście sędzę o Trockim, no to...

Przerwałem jej: — Wiem, że mnie szpiegowałaś z polecenia Ernesta i tych tam innych z tej waszej niby to komuny. Że za mną łąziłaś po to tylko. Wspomniałaś, że Ernest mówił o hitlerowskich pieniądzach czy jakoś tak, nieprawdaż? Jakich hitlerowskich, na litość boską? O co wam wszystkim idzie, do diabła?

Odjęła dłoń od ucha, potrząsnęła głową, powiedziała niepewnie, jak gdyby przełknięta, że jej coś zrobię — musiałem mieć groźną minę:

— No bo pan podobno brał forszę od tych, co ich pan bronił. No, od tych drani... Sama widziałam jednego z nich w sądzie. Takiego starego ze sztucznym okiem. Nie tak dawno... Pan go bronił. Siedziałam na rozprawie. Potem pan z nim rozmawiał na korytarzu. Stałam obok, ale mnie pan nie poznał. Mnie ganz Wurst, nie wiem, co i jak, ale Ernest i inni... Powiedział nam kiedyś, że od dziecka był wychowywany, karmiony i ubierany za hitlerowskie pieniądze i że to mu nie daje spokoju. Że ma już tego dość. No i kazał mi pana śledzić. Żebym się dowiadywała, z kig się pan styka, o czym pan mówi... Znałam wszystkie terminy pańskich rozpraw, zrobiłam sobie taki terminarzyk.

Ernest kwitował w nim składane przeze mnie raporty. Ja nawet nawiązałam kontakt z jednym kelnerem z restauracji „Kónigsbacher", gdzie pan często się spotykał z kolegami adwokatami. On pana podsłuchiwał i mnie meldował, o czym rozmawialiście. Wszystko, każde słowo. Z tym kelnerem, on nazywa się Hans, młody jeszcze, pan wie który, taki z wąsikiem, byłam motorem za miastem dwa razy, w lesie, kilka kilometrów za Andernach, nad jeziorem Laa-cher See. Kapaliśmy się tam razem późno w nocy przy księżycu. Chciał koniecznie, żebym z nim stale chodziła, nachalny taki. Scheisse, noch a'mal! A w sądzie byłam parę razy, aż mnie przegnał taki gruby woźny, kulawy. Dlatego, powiedział, że niby to jestem nieodpowiednio ubrana. Wyprowadził mnie za rękę. Taki drań. Kto by pomyślał. Dodał, że tak jak jestem odziana, to uwłaczam powadze trybunału. Głupi osioł!

Powiedziałam mu, że może mnie pocałować. Bałam się już tam wracać, więc czekałam przed sądem. Parę razy aż do wieczora. I potem szłam za panem krok w krok, kiedy pan wychodził z kolegami i rozmawiał z nimi na ulicy. Notowałam słowo w słowo, przystając pod latarnią, gdy było ciemno. No i byłam u pana w kancelarii. Pan wie. Aż trzy razy. Ile ja na to czasu straciłam, nno!... I, niech pan pomyśli — Ernest, a także ostatnio i Max, bo oni się bardzo zaprzyjaźnili — byli ze mnie niezadowoleni i wciąż mnie podejrzewali, że zaczynam na własną rękę jakieś konszachty z panem... Nie dowierzali mi. Gdy wychodzili beze mnie, zamykali mnie na klucz. Na parę godzin. Musiałam siedzieć po ciemku, bo ostatnio wyłączono nam światło za niepłacenie rachunku. Raz to tak przesiadywałam, o suchym pysku i bez papierosów, od szóstej rano w niedzielę aż do południa w poniedziałek. Dobrze jeszcze,

że znalazłam pod łóżkiem trochę petów. Gdyby nie to, bez palenia chyba bym się wściekła. Łatwiej na głodnego wytrzymać niż bez papierosów. Może mnie pan poczęstować?

Podąłem jej, a ona łąpczywie zapaliła. Jakaś para zbliżyła się do naszej ławki, rozglądając się, gdzie by usiąść, więc szybko odszedłem, a ona paląc papierosa szła za mną w pewnym oddaleniu, może jakichś dziesięć kroków. Nie oglądałem się, idąc coraz szybciej. Wciąż ją jednak czułem za sobą. Jej grube buciory skrzypiały na żwirze. Szła

za mną, jak idą za kimś, kto się do nich odezwał, bezdomne psy. Pokornie, niepewnie, stawiając ostrożnie kroki.

Tak doszliśmy, jedno za drugim, aż do Deutsches Eck, gdzie stało kilka dużych autokarów z jakąś zdaje się angielską wycieczką. Słyszałem, jak dopytują się łamaną niemiecką o coś przy kiosku z pamiątkami. Widziałem, jak wybierają u handlarki polewane i malowane barwnie kufle na piwo z rzeźbionymi pokrywkami wielkości naturalnej, a także ich ozdobne miniatury. Przy niektórych kioskach kłębił się tłum. Gdy zatrzymałem się, by zapalić papierosa, Truda zbliżyła się i stanęła milcząco przy mnie. Nie odczepię się od niej, zwłaszcza teraz, kiedy Ernest ją zostawił samą! — pomyślałem z narastającą irytacją. Straciła dla mnie całą dotychczasową atrakcyjność. Przestała mi się w ogóle podobać i działać na mnie. Ze zdziwieniem przyjrzałem jej się. Czy być może, że to dziewczynisko, wysokie jak dragon, w butach o rozmiarze chyba 44 lub 45,

0 wodnistych oczach, szerokich od ucha do ucha bladych wargach i wielkich, białych, nie opalonych dłoniach mogło mi się kiedykolwiek wydać aż tak pociągające?

Gdy dostrzegła, że się jej przyglądam, chyba coś odgadła, nie wiem, dość, że odeszła kilkanaście kroków na bok i tam przystanąła, oparta plecami o metalową barierę nadbrzeża. Wciąż na mnie patrzyła. Po krótkim wahaniu podszedłem do niej, a ona, jakby przestraszona, szybko odsunęła się, trzymając się kurczowo balustrady. Miała oczy szeroko otwarte. Przesuwała nerwowo językiem po górnej wardze. Widziałem, jak przelęka ślinę, a usta jej powoli wyginają się w podkówkę, jak do płaczu. Więc przysunąłem się bliżej, bo otaczali nas ludzie, pełno ich było obok kiosków. Niektórzy już się nam zaczęli przyglądać. Powiedziałem do niej cicho, lecz dobitnie:

— Słuchaj, mała, jeśli to prawda, że oddałaś Ernestowi ostatnie swoje pieniądze, no to weź to — i wyjąłem z kieszeni zwitek zgniecionych banknotów przeznaczonych poprzednio dla Ernesta. Było tego chyba ze dwieście marek, nie liczyłem.

Zawahała się, wysunęła rękę, potem ją gwałtownie cofnęła, spojrzała na mnie pytająco, znów przełknęła ślinę

I w końcu, gdy ciągle trzymałem przed nią dłoń z plikiem banknotów, zdecydowała się i nagłym ruchem, łapczywie zagarnęła cały zwitek, rozglądając się, czy ktoś nie widzi. Szybko wcisnęła pieniądze do kieszeni dzinsów, poprawiła palcami, wpychając głębiej, przyklepała kieszeń po wierzchu, mruknęła coś niewyraźnie, nie patrząc na mnie. Kołysała miarowo nogą, kopiąc nią dołek w piasku, odwrócona teraz w stronę rzeki, po której płynął blisko brzegu spory statek wycieczkowy pełen rozśpiewanej, hałaśliwej młodzieży. Ktoś ją z pokładu zauważył, bo uniósł ramiona krzycząc. Powiały kity u bawarskich kapeluszy, chusteczki i fulary uniesione w górę. Ktoś stuliwszy dłonie przy ustach głośno wołał, wychylony za burzę, inni zaczęli jodłować, parowiec szedł pod prąd, płynął z Kolonii w stronę Moguncji i Wiesbaden, rozgarniał dziobem falę, brudnoczekoladowa piana wzdymała się przed nim, tworząc wysoko wzniesiony trójkątny wir.

Stałem obok Trudy, czując na policzkach ciepły, niemal letni powiew idący od wody, mimo że była jesień, lecz dzień wyjątkowo pogodny, bezchmurny i bezwietrzny. Dolatywały mnie strzępy rozmów, zawołań, okrzyków z mijającego nas statku. Powiedziałem do niej wciąż odwróconej twarzą ku rzece:

—¹ Posłuchaj mnie teraz, co ci powiem. Możesz mi nie odpowiadać, jeżeli nie chcesz. Wszystko mi jedno, co zdecydujesz. Otóż wiedziałem o tym, że za mną łąziłaś, że mnie szpiegowałaś na polecenie Ernesta, zanim jeszcze sama mi o tym powiedziałaś. Idzie mi teraz o jedno: czy cały czas odgrywałaś komedię, wtedy także, pamiętasz, gdy cię zastałem późnym wieczorem u mnie w kancelarii, czy też miałaś również jakieś własne kalkulacje. Jakie? Nie jest to już obecnie ważne, jeżeli jednak mogłabyś mi szczerze powiedzieć...

Zerknęła na mnie. W jej wąskich wydłużonych oczach pojawił się na ułamek sekundy jakiś błysk, coś się tam zapaliło i zgasło. Może szczypta ironii, może przekory, złościwości, ale też może i starannie skrywana radość. Potem spuściła powieki i powiedziała bardzo cicho, znów odwrócona twarzą ku rzece:

— Sama nie wiem. Ernest pokazał mi pana w kawiarni, mówiąc, żebym sobie dobrze zapamiętała i nie pomyliła z kimś innym. I dokładnie wytłumaczył, co mam robić. Więc robiłam, co mi nakazał. Jeszcze z nim nawet wtedy nie chodziłam, tylko z Ludwikiem. Ludwik powiedział, że mam słuchać Ernesta i robić wszystko, co mi każe. Byłam

nawet parę razy za rzeką, kolo tej willi, gdzie pan mieszka. Przelazłam mur i ukryłam się w krzakach. Widziałam, jak pan siedzi przy biurku i czyta. A potem, za drugim razem, z jakąś babką. Była u pana. Dowiedziałam się także jej nazwiska i adresu. Tak na wszelki wypadek. Zawsze lepiej wiedzieć, może kiedyś się przydać. A raz pojechałam w ślad za panem aż do Urmitz, bo tam pan miał interesy, a ja chciałam koniecznie wiedzieć jakie. Już mnie zaczęło bawić to śledzenie pana. Jakby kryminalny film. Już nie tylko dlatego, że mi kazał Ernest, ale sama dla siebie. Tak dla hecy. Więc pojechałam na rowerze goniąc pana jadącego wozem z tą babką aż do samego Andernach. Gnałam jak szalona, żeby was nie zgubić. Miałam krakę, potłukłam sobie kolana i łokcie, zwichrowałam koło. Musiałam dźwigać ten cholerny rower aż na stację kolejową i nadać na bagaż. Zmokłam, bo złapała mnie ulewa. Głupstwo. Były potem u nas głosowania, jak należy w stosunku do pana postąpić. Jakie zastosować środki perswazji, a w razie czego, nacisku. Czy od razu mamy użyć terroru, tak jak to robią Tupamaros, czy najpierw poprobować środków łagodniejszych. Stało na tym, żeby na razie poczekać i zdobyć nowe dowody pana kolaboracji. To dlatego starałam się koniecznie dostać do pana kancelarii. No i wreszcie udało mi się, ale niczego takiego, o czym już byśmy nie wiedzieli, nie znalazłam. A szło głównie o to, żebyśmy mieli czarno na białym, że pana finansuje O.D.E.S.S.A. Gdyby się to potwierdziło, miałam panu podrzucić pierwsze poważne ostrzeżenie, że jeśli pan nie przestanie, będziemy zmuszeni oblać pana kancelarię benzyną i podpalić. Gdyby pan nadal trwał przy swoim, podrzucilibyśmy kolejne poważne ostrzeżenia, na wzór tych, jakie Chińczycy wysyłali Amerykanom. Że porwiemy jako zakładnika tę babkę, którą pan u siebie przyjmował. Gdyby pan mimo to uparł się i nie chciał się poddać, ogolilibyśmy jej wszystkie włosy, a potem obcielibyśmy uszy i wysłali panu jako dowód rzeczowy. A następnie nos i tak dalej, kawałek po kawałku. Aż do skutku. To były projekty Hugona. Inni nie bardzo wiedzieli, co robić. Więc nieustanne obrady, aż mi od tego huczało w głowie! Scheisse! Biegłam na miasto, czekałam, aż pan wyjdzie z kancelarii, szłam za panem do sądu, potem z powrotem, i tak w kółko. Aż pomyślałam sobie pewnego dnia, nie bądź głupia... No i co pan teraz robi z tym fantem? — podniosła na mnie oczy. Ujrzałam w nich autentyczne, ogromne łzy. Jedna z nich urwała się od rzęsy, na której wisiała, i zaczęła staczać się powolutku po policzku. Patrzyła na mnie z jakąś zwierzęcą, psią pokorą. Łzy spływały jej teraz szybko jedna za drugą na wargi i na brodę.

— Co ja zrobię? Nic, absolutnie nic. Jeżeli Ernest się odezwie, jeśli się dowiesz, gdzie on się teraz podziewa, jeśli zdobędziesz jego adres, to daj mi znać. I gdyby ci było ciężko, to też. Pomogę ci. Z całą pewnością. Ale nic ponadto. Na nic więcej nie licz, moja mała. Już ci to zresztą powiedziałem wyraźnie wtedy w kancelarii.

Zamrugnęła powiekami. Były mokre i czerwone, błyszczwały.

— A ja myślałam, że już teraz wszystko będzie między nami okey... Boże, co za cholerna idiotka ze mnie! Powinnam była przewidzieć... No trudno. Głupstwo — popatrzyła na mnie, gotowa odejść, z jedną nogą nieco uniesioną. — Nic? — Naprawdę nic?

— Nic — powtórzyłam. — Nie licz na mnie. Na nic.

— Dobrze — powiedziała. — Doskonale. A teraz — niech pan patrzy, co się zaraz stanie. Żeby pan potem nie żałował. O — widzi pan? — i jednym susem przesadziła żelazną poręcz oddzielającą nadbrzeże od rzeki, gotując się do skoku wprost z kamiennej skarpy do Renu. Nim zdołałam wykonać jakiś ruch, już ktoś, uprzedzając mnie, podskoczył z boku, spod kiosku z pamiętkami. Inni także dobiegli, wśród nich kierowca autobusu. Stałam w miejscu, niezdolny poruszyć się, jak sparaliżowany.

Truda próbowała się wyrwać. Widziałem, jak starając się przeciągnąć ją przez barierkę, urwali jej rękaw bluzy. Wywinęła się, usiłując przykucnąć, uczepiła się kurczowo poręczy.

Odrywali jej palec po palcu. W końcu jakoś wspólnymi siłami, w trzech czy w czterech, mocno trzymając, przenieśli ją górą ponad barierą na rękach. Upadła na czworaki, więc podnieśli ją chwytając mocno pod pachy i postawili przytrzymując za ramiona. Wówczas nagle przestała się wyrywać; ziajała, dysząc przez szeroko otwarte usta. Jeden z cieniutkich warkoczków rozwiązał się i powiewał z boku, drugi sztywno sterczał do przodu. Kilka kroków ode mnie wałała się na trawniku czarna peruka i otwarta torebka, z której wysypały się drobiazgi. Pozbierałem je.

Trzymając w rękę i torbę, i perukę, stałem z boku niezdecydowany. Któryś z mężczyzn, obejmując Trudę w pól, zapewne w obawie, że spróbuje się wyrwać, otrząpywał jej granatową czapkę plecy i nogi z kurzu i piasku. To był szofer autobusu, barczysty, atletycznie zbudowany chłopak z krótko postrzyżonym nastroszonym wąsikiem. Trwało to jakiś czas; potem ją puścił. Coś do niej mówił, ale nie dosłyszałem co.

Powoli zainteresowanie incydentem malało i ludzie zaczęli się rozchodzić. Odszedł i szofer. Poklepał Trudę po tyłku. Śmiał się. Wyjął mi z rąk czarną perukę i nasadził dziewczynie energicznie na głowę. Truda stała nieruchomo. Nie odezwała się ani słowem. W jakimś momencie wydało mi się, iż uśmiechnęła się do szofera, który już odchodził coś jeszcze do niej mówiąc. Trąbiono na niego. Angielscy turyści, z których część obserwowała cały wypadek, komentując domniemane przyczyny zajścia, wsiadali teraz śpiesząc się. Potem autobus ruszył, zataczając koło przed postumentem, który pozostał po statui cesarza Wilhelma I, jaka tu stała przed wojną.

Ktoś do mnie podszedł. Policjant. Przyłożył dłoń do czapki. Okazało się, iż zna mnie z sądu, gdzie od czasu do czasu pełni służbę.

— Przepraszam, panie mecenasie — powiedział wciąż salutując. — Pan zdaje się być na miejscu i może mi wyjaśnić, co się tutaj stało.

— Nic szczególnego, sierżancie. Po prostu zwykły żart. Nieporozumienie. Tamta panienska chciała tylko pokazać, jak by zrobiła, gdyby jej było wolno skoczyć w tym miejscu do Renu i przepłynąć czałem na tamten brzeg. Tak sobie, dla kawału. Ale, jak pan widzi, jest zupełnie sucha, dowód, że nie skoczyła. Udawała tylko, a wszyscy uwierzyli. I przelekli się, że nie umie pływać. A to jest, musi pan wiedzieć, znana pływaczka z reprezentacji młodzieżowej i obecnie forsownie trenuje. Nie jest wykluczone, iż za dwa lata zobaczy ją pan w naszej ekipie olimpijskiej w Monachium. Niech więc pan teraz korzysta ze sposobności i dobrze się jej przyjrzy.

Tamten aż gwizdnął, a potem krótko się zaśmiał: — A ja już myślałem w pierwszej chwili... Biegłem aż stamtąd, z daleka, widząc zbiegowisko.

Chwilę stojąc obok siebie patrzyliśmy na Trudę. Kilku przypadkowych przechodni również. Nie orientowali się, co się tu wydarzyło. Przyszli za późno, już po wszystkim. Teraz chcieli koniecznie czegoś się dowiedzieć. Byli tu jednak i tacy, którzy brali udział w ratowaniu Trudy, i ci teraz, zdezorientowani tym, co powiedziałem policjantowi, ze śmiechem komentowali cały wypadek: — A to nas nabrała! Kto by pomyślał... Tak się wyrывała, że dopiero ten szofer... Zaraz widać, że sportsmenka, taka silna. Trzymałem ją w pól z całej siły i ledwo dałem radę.

Kioskarka z budki z pamiętkami podeszła do nas i zagadała do policjanta.

— Pani też widziała, pani Matylde? — pytał zapalając papierosa, którym go poczęstowałem. — Widzi pani, to jest właśnie ta sławna pływaczka z naszej ekipy olimpijskiej. Może widziała ją pani w telewizji w zeszły piątek?

— Tak, na pewno. Teraz sobie doskonale przypominam. Od razu mi się zdawało, że ją skądś znam. A mimo to byłem z początku pewna, że wydarzyło się jakieś nieszczęście. Wszystkich nas nabrała. Gdyby naprawdę skoczyła, już by było po niej. Właśnie nadpływał statek. Poszłaby pod koło, dostałaby po głowie — i na dno. Już raz widziałam taki wypadek... Nie daj Boże...

— Pan ją zna, panie mecenasie? — policjant gotował się do odejścia. Sprawa była należycie wyjaśniona. Schował nawet kajet i ołówek, nie mając w tej sytuacji zamiaru spisywać protokołu. Kioskarka również wróciła do budki. Wszystkie autobusy już odjechały. Zrobiło się pusto na Deutsche Ecke. Tylko jeszcze jakiś starszy pan z siwymi wąsami stał nie opodal i w milczeniu, z zainteresowaniem przyglądał się Trudzie.

— Tak, znam ją i gdyby coś... Jakieś dodatkowe wyjaśnienia... W razie czego wie pan, gdzie mnie znaleźć?

Odchodząc zaszutował: — Ależ nie. To zbyt ciche. Nawet, jak pan widzi, niczego nie zanotowałem. Po co? Jeżeli to był tylko żart... Jeśli nic takiego nie zaszło, prawda?

— Istotnie, nie.

Wtedy podszedłem do Trudy, przy której kręcił się ten starszy facet oglądając ją z bliska. Był od niej niższy niemal o głowę. Próbował dotknąć jej nagiego ramienia, z którego zwisał naderwany rękaw.

Powiedziałem: — Przepraszam! — i delikatnie odsunąłem go na bok. Odkoczył. Truda stała nieruchomo od chwi-

lii, gdy ją postawiono na nogi i otrzepano, a jowialny, barczysty szofer autobusu nasadził jej nieco krzywo czarną skudłaczoną perukę. Patrzyła w bok, na rzekę. Widziałem jej ostry profil, zaczerwieniony nos, pomalowane na błękitno powieki.

Idziemy — powiedziałem. Nie oderwała się. Zdjąłem z jej głowy perukę i odłożyłem na bok, wieszając na barierce nadbrzeża. Truda nie poruszyła się. Więc wziąłem ją za rękę. Poczulem jej niemal męską, sporą dłoń w swojej, wilgotną od łez, a może tylko spotniałą w czasie szarpaniny z ratownikami. Pozwoliła mi się prowadzić bez oporu, nie patrząc na mnie.

Podjechała właśnie taksówka, z której wysiadła jakaś kobieta. Więc zaraz potem myśmy do niej wsiedli. Jak się okazało, taksiarz znał mnie również. Koblencja to jednak strasznie prowincjonalna dziura, niemal wszyscy się tutaj znają, przynajmniej z widzenia. Popatrzył na mnie w lusterku nad kierownicą, zmrużył filuternie oko i wskazując mi gestem brody dziewczynę wciśniętą w kąt tylnego siedzenia spytał: Do Arzheim? Znał nawet mój prywatny adres za rzeką, mimo iż, o ile pamiętam, nigdy tam nie jeździłem taksówką.

Truda ciągle milczała. Nie odezwała się ani słowem w czasie jazdy. Milczała również, kiedy wysiedliśmy i weszli do środka. Trzymałem w ręku jej torebkę. Przystanęła niezdecydowana na środku hallu na parterze, potem, gdy wszedłem do dużego pokoju, dawnego living roomu byłych właścicieli, namyśliła się widocznie, bo poszła za mną i zatrzymała się przy telewizorze. Położyłem na taborecie jej torebkę i wyszedłem do łazienki, żeby umyć ręce. Kiedy wróciłem, zastałem ją przeglądającą najspokojniej „Quicka” czy też „Sterna”. Usłyszawszy, że się zbliżam, pokazała mi kolorową, na całą stronę fotografię Veruschki. Jak się zdaje, z filmu Stop Veruschka!, na którym reżyser, a jednocześnie długotrwały jej partner, niejaki Franco Rubarte-lli, z zawodu fotoreporter, kazał bohaterce swego nieudanego podobno filmu udawać martwą statuetę. Na zdjęciu Veruschka, oklejona całkowicie cementem czy może gipsem i wytarzana w piasku, była niemal nie do rozpoznania. Jej mała jajowata głowa, podobna istotnie do owalnego kamienia, miała w sobie coś niesamowitego, wręcz niehumanoidalnego.

— Ale hecna babka! — Truda pokazała mi palcem zdjęcie Veruschki. — Co to za jedna?

— Nigdy jej nie widziałaś? Grała w filmie. Podobna do ciebie.

— Do mnie? — wzruszyła ramionami i szeroko, smacznie ziewnęła. Potem przeciągnęła się i gdy właśnie miałem zamiar wygłosić kazanie za komedię, jaką urządziła nad rzeką, ona, odwróciwszy się do mnie plecami, szybko, jednym energicznym szarpnięciem rozsunęła zamek przy dżinsach i oburącz zepchnęła je niżej kolan wraz ze slipami. Po czym ugrzęzła w nogawkach, gdyż zapomniała zdjąć grube podkute buty. Zachwiała się, więc złapałem ją wpół. Skakała raz na jednej, raz na drugiej nodze, klnąc coraz głośniejszym głosem. Nachyliła się, by się uwolnić od obuwia, szarpała poplątane skórzane sznurowadła, nie mogąc dać rady. — Scheisse! — Zgięta wpół, potrząsając parą cieniutkich warkoczyków sterczących jak dwa rożki, podsunęła mi w tej pozie wprost do rąk obnażone, szczupłe pośladki. Chwyciłem je i zacisnąłem na nich palce z całej siły. Poczulem, jak prężą się i twardnieją, więc ścisnąłem je jeszcze mocniej, aż mi ręce zdrętwiały, a Truda, wyginając się do tyłu, tak że uderzyła mnie głową w brodę, syknęła, opierając się

o mnie całym ciałem. Nogi miała wciąż uwięzione w zwiniętych u kostek nogawkach spodni, tworzących rodzaj pęt, jak u źrebaka na pastwisku. Narastała we mnie pasja, podniecenie gwałtowne, aż bolesne. Widziałem tuż przy twarzy jej odrzuconą w bok głowę, jej profil, zaciśnięte niebieskie powieki, dyszące, oślinione wargi. Jeden z warkoczyków łaskotał mnie po uchu i karku przy każdym poruszeniu. Usiłowałem odsunąć go brodą, mając obie ręce zajęte. Truda oparta o mnie plecami, wygięta w łuk, kłęła bez przerwy. Najbardziej ordynarne wyzwiska, na zmianę z całą serią najwyuzdańszych propozycji i porównań. Musiało ją to najwidoczniej podniecać, być może było niezbędnym akompaniamentem, nieodłącznym składnikiem narastającego podniecenia. I mnie zaczęło to nieoczekiwanie

ekscytować. Nie zdając sobie z tego sprawy zacząłem coś dogadywać, ni to uciszać ją, ni to włączać się w tę jej bezładną gadaninę, ten potok wyzwisk. Usiłując wciąż wyswobodzić się z pęt zwiniętych nogawek, miotała się coraz gwałtowniej w przód i w tył, bijąc mnie rytmicznie pośladkami, które wciąż z całej siły gniołem, rozciągając jednocześnie na boki; W ja

kimś momencie sięgnęła za siebie ramieniem, rozrywając na mnie spodnie. Wymierzyłem jej solidnego klapsa, aż syknęła i szarpnęła się do tyłu, nadziejąc się na mnie i krzycząc histerycznie. Spomiędzy jej warg wyciekała waziotka nitka śliny, skapując na posadzkę, potem uformowała się jak gdyby bańka mydlana, taka jaką w zabawie puszczają dzieci, pęcherzyk ten pękł następnie, a ja urzeczony sam nie wiem czemu tym widokiem, nie mogłem wzroku oderwać od jej warg, z których teraz tryskała ślina, opryskując mi policzki i szyję. Wykonywaliśmy nieskoordynowane, spazmatyczne ruchy, zapewne dla kogoś, kto by mógł nas oboje w tej chwili widzieć, dość obrzydliwe i zarazem niepomierne komiczne. Ona wciąż dreptała spętana w kostkach dzinsami, które nadeptywaliśmy oboje, które wlokły się za nami, potraçały o mijane po drodze meble, zaczepiały o nie, tłukąc i pobrzękując klamerką od paska. Wreszcie jedna nogawka, mocniej przydeptana, urwała się z trzaskiem. Truda zachwiała się i byłaby upadła, lecz w ostatniej chwili zdołała uczepić się ręką wierzchu antycznej szafki, opierając wnętrzem dłoni o naderwany, sterczący brąz. Ujrzałem jej dłoń uniesioną do góry, przekreśloną czerwoną pręgą, rzędem maleńkich kropelek krwi, które w okamgnieniu zlały się w jednolitą smugę, skapując na podłogę. Otarła dłoń o drzwi łazienki, potem o uda i brzuch, coś do siebie mówiąc. Straciłem świadomość czasu. Jak to długo wszystko trwało? Kilkanaście minut? Godzinę? Dwie? Za oknami było już całkiem ciemno, jedno było uchylone, kołysała się w nim poruszana przeciągiem firanka. W łazience wciąż się paliła jeszcze lampka nad umywalnią.

Nieco później — a może wiele godzin później? — wyostrzony profil Trudy nisko, przy samej ziemi, w smudze światła padającego z łazienki. Głowa czołem przytknięta do podłogi, półotwarte, sinawe wargi lśniące od śliny. Kolana podciągnięte pod brzuch, podeszwy alpejskich butów umazane gliną. I resztki pourywanego nogawek: jedna aż na progu — w świetle, druga trzymająca się jeszcze jakimś cudem na nodze — już w cieniu. Dźwignąłem się na klęczki, dysząc. Oślepił mnie rażący blask mocnej żarówki odbitej w kafelkach nad wanną. Zmrużyłem oczy. Miałem wilgotne dłonie, umazane śliną, a także w paru miejscach krwią Trudy. Krwawe smugi na lakierze drzwi. Wszystko to widziane z bardzo bliska i w poczuciu jak gdyby nie realności. Wstałem zataczając się, minąłem Trudę. Leżała teraz bokiem, dziwacznie wykręcona. Jedną nogę wysunęła wyprostowaną na pokój, drugą podciągnęła pod siebie, kolaniem dotykając niemal piersi. Z kieszeni jej spodni wypadł pęk kluczy, które nie zauważywszy trąciłem, a obok zwitek banknotów wręczonych jej przeze mnie nad rzeką. Oparłem się plecami o ścianę, słysząc, jak głośno bije mi serce.

Jak psy — pomyślałem — zupełnie jak dwa psy.

Potem zaczęło mi się wydawać, że tamto wszystko — i ta rozmowa z Ernestem na ulicy, i scena z Trudą przy Deu- tsches Eck, i jazda z nią taksówką z mrugającym do mnie filuternie kierowcą — wydarzyło się bardzo dawno temu. Przed rokiem, może dwoma, czy ja wiem. Zerknąłem, żeby sprawdzić: Truda leżała tam ciągle. Może usnęła, nie wiem. Ledwie widoczna w mroku. Tylko jej wysunięta na bok, na pokój noga białała w smudze światła z łazienki. Drzwi do hallu były również uchylone. Za nimi, gdzieś daleko, jakby poza granicą realnego widzenia, kołysały się na ciemnym niebie jeszcze czarniejsze, nagie gałęzie drzew. Poczulem zimno, wstrząsnął mną dreszcz, a jednocześnie znów zaczęło nierytmicznie uderzać serce. Ogarnął mnie nagle lęk niczym właściwie nie uzasadniony, nic mnie nie bolało. A mimo to wyraźnie zacząłem się bać, więc ostrożnie podszedłem do fotela i usiadłem w nim przymykając oczy. Było zupełnie cicho. Która godzina? — pomyślałem jeszcze.

Nie pamiętam, czy to ja sam wdrapałem się na piętro i położyłem na tapczanie, czy zaprowadziła mnie tam Truda. W każdym razie było już na dworze dość jasno, a jedno z

okien wychodzących na ogród na tyłach domu otwarte na oścież. Wciągnąłem głęboko w płuca rześkie, chłodne powietrze. Bolało mnie gdzieś w głębi, w piersi poza mostkiem.

— Już miałam pietra, że pan wykitował — powiedziała nachylając się nade mną. Położyła mi na piersi mokry ręcznik, przyciskając go ręką. Była jeszcze umazana krwią i na ręczniku widniały czerwone ślady jej palców. Snuła się po pokoju, postukując ciężkimi butami. Wciąż ich jeszcze nie zdjęła, poza tym całkowicie naga, niezmiernie wysmukła, niemal chuda, lecz nie aż tak, jak się tego można było domyślać widząc ją odzianą.

Zerknąłem na zegarek: była szósta.

Nazajutrz, a właściwie to było tego samego dnia po południu, doktor Miedtke uspokoił mnie. Nic aż tak groźnego.

Warto by jednak zrobić ekg. Po to właściwie, żeby mieć całkowitą pewność. Raczej tylko dla mego własnego spokoju. Ciśnienie nieco podskoczyło, to fakt, ale nie aż do tego stopnia, żeby się czegokolwiek obawiać. Musiałem mieć wyższe, gdy poczułem, że się duszę, gdy rozerwałem koszulę na piersiach i ogarnął mnie wielki, przemożny strach, że umieram. Spytałem Miedtkego, jakie ciśnienie może wytrzymać serce. Czy dwieście to dużo? — To zależy — powiedział. — W każdym razie u ciebie, który miałeś dotychczas raczej niskie, stanowczo za dużo. Ale można wytrzymać i trzysta, a nawet więcej, czemu nie.

Dodał śmiejąc się i poklepując mnie po plecach, żebym jednak uważał na siebie. „In Venere” — jak się wyraził — unikał zbytnych ekscesów. — Żadnych rekordów i Nie na twoje lata. Pamiętaj, bo następnym razem to nie ty do mnie przyjdiesz, ale mnie zawezwą do ciebie. Nie jesteś już młodzieniaszkiem, chyba się orientujesz.

Potem zapytał, na jakiej to amazonce tak sobie pohula-łem. Użył zabawnego określenia — amazonka. — Dwa, trzy numery — przyznaj się — a może aż cztery? Bo w pięć nigdy nie uwierzę. A ile latek liczy sobie ta westalka? — dopytywał, zapisując mi digitalis i coś tam jeszcze, jakiś specyfik. — Najwyżej możesz się zabawić raz na dobę — a i to dopiero, gdy poczujesz się lepiej. Tyle ci pozwalam. Pamiętaj, że jesteś dobrze po pięćdziesiątce. Już Luter radził, żeby dwa razy w tygodniu, co daje na rok sto cztery sztosy. Wystarczy. Miedtke jest katolikiem i podejrzewam go, iż chodzi się spowiadać. — Tobie, jak już wspomniałem, pozwalam tylko raz na dobę. Maksimum. I żadnych, niech cię Bóg strzeże, chemicznych świństw! Nawet hormonalnych, takich, co to wiesz. To byłoby wręcz zabójcze, rozumiesz? — pogroził mi palcem. Powiedziałem, że dotąd nigdy, żadnych, no i okłamałem go. Zapisał mi sexvital, nie wiedząc, że go używam od dawna. Sześć tabletek dziennie, jeśli już koniecznie chcę.

Byłem również u mego przyjaciela Schaniego Straussa po blisko rocznej niebytności.

Z czym przychodzę? Jakież kłopoty? Czyżby? — Po ostatniej wizycie zdawało się, że wszystko jak najlepiej i jakakolwiek moja interwencja byłaby wręcz nietaktem — powiedział patrząc na mnie z uśmiechem. — Siadaj. Napi

jesz się czegoś? — Odmówiłem. — Oho! — powiedział. — To aż tak źle? — Przyznałem się szczerze, co i jak. Zamyślił się, skubiąc siwąwą bródkę. Spytał o serce, o ciśnienie. Machnął ręką. Uspokoił: — Nie bój się. Możesz, ile tylko chcesz, ile potrafisz, to nawet lepiej w sytuacji takiej, o jakiej wspominałeś. Im częściej, tym ci prędzej przejdzie ten amok, bo widzę przecież, że to amok. Szkoda, że wcześniej z nią nie tego, no... Takie hamowane, przytrzymywane, odkładane na potem — mści się. Daje gwałtowną reakcję, jak u ciebie. Żadnych afrodysiaków, chyba że ci je sam przepiszę. Potrzebne? — i przepisał istotnie. — Innych ci nie wolno, jeśli nie chcesz kiedyś zakończyć życia tak, jak nieboszczyk Leopold belgijski. To zresztą śmierć nie tak znów przykra, tylko, być może, trochę śmieszna. Zresztą umarłakowi i tak wszystko jedno — machnął ręką.

Szukając jakiś czas temu informacji na temat imienia Trudy, znalazłem przy tej okazji nazwę czarodziejskiego napoju używanego w średniowieczu przez zakochanych, a mającego właściwości afrodysyaku: nazywał się od imienia Gertrudy — Gertrudenminne.

Drugi raz miałem podobne sensacje sercowe w drodze do Andernach i Truda nazwała je kolejnym poważnym ostrzeżeniem. Tuż koło Weissenthurra. Zastanawialiśmy się oboje — a był piękny, wyjątkowo ciepły i pogodny jesienny dzień — czy przejechać w tym miejscu Ren i następnie zaparkować wóz na wysepce zwanej Weissenthurmen Werth, czy raczej pojechać dalej, do Neuwied, a może aż do Bad Honningen, gdzie znałem niewielką, lecz zaciszną restauracyjkę, w której dają znakomicie jeść, szczególnie pstrągi z wody, a ja obiecałem Trudzie, która wtedy, od tamtego popołudnia, gdy ją zabrałem z Deutsche Ecke, mieszkała u mnie, że ją tam zawiozę. No i na rozgałęzieniu autostrady obok pętli naprzeciw miasteczka Weissenthurm poczułem nagle, że się ze mną dzieje coś niedobrego. Migotanie, duszność,

potem na moment, który wydawał mi się wiecznością, przestało mi w ogóle bić serce. Czekałem, czy się jeszcze odezwie, nawet tym faktem zbyt nie zmartwiony, tylko jakby zdziwiony. Odezwało się, gdy hamowałem na brzegu szosy, i potykając się, szybko, coraz to szybciej zaczęło nadrabiać przerwę, ten moment milczenia — regularny rytm zagubiony w drodze. Z trudem odchyliłem się na siedzeniu do tyłu, wciągając głęboko powietrze, i wówczas poczułem

tak mocny ból, że zacisnąłem powieki i na ślepo już nacisnąłem mocno aż do deski hamulec. Usłyszałem szelest opon na poboczu szosy.

Truda, inaczej Ru, a nawet bywało, że Ru-Ru, siedząc obok mnie nuciała coś pod nosem, mażąc wskazującym palcem jakieś esy-floresy na nieco zakurzonej przedniej szybie. Zrobiło się nagle ciepło, choć już początek listopada. Było samo południe^ słońce stało w zenicie. Gdy tak, zahamowawszy ostro, nie odzywałem się, spojrzała na mnie i należy przyznać, mocno się przełękła. Powiedziałem jej zresztą kiedyś na wszelki wypadek, co ma w razie potrzeby robić. Ze noszę z sobą stale w prawej kieszeni marynarki fiolkę z nitrogliceryną. Dwie pastylki wytrząśnięte na jej dłoń i podane mi do ust — no i po jakimś czasie wróciłem do normy. Wszystko to razem trwało jednak prawie pół godziny. Mijały nas wozy, staliśmy na skraju szosy, tuż za rozwidleniem, bez odrobiny cienia. Więc Truda siadła na moim miejscu za kierownicą i sprowadziła wóz tam, gdzie na bocznej nie asfaltowanej drodze wiodącej do jakiejś farmy rosły drzewa, tworząc coś w rodzaju alei. Nie miały już wprawdzie liści, lecz ich grube pnie i konary dawały jednak nieco cienia.

Liczyłem puls, zawiąawszy rękaw marynarki, czując się stary i śmieszny. Potem mierzyła mi go Truda, rachując na głos: — Sto osiem, sto dziewięć, przerwa — ojej! co to takiego? — no nareszcie!, sto jedenaście. Mało czy dużo? Powiedz! Znów ustało!... Co, do diabła? O, już ruszyło... Dużo — odparłem siedząc z przymkniętymi powiekami. Byłem zmęczony, lecz czułem się już lepiej. Powiedziałem trochę rozkapryszony: — Pociesz mnie — więc natychmiast poczułem, jak jej wprawna ręka zmierza do celu. Potrwało to jakąś chwilę. Krótki, bolesny spazm.

Pomyślałem, że dobrze by było napić się koniaku. I Miedtke, i Schani pozwolili mi, nawet zalecili. Uczułem przy tym głód. Więc pojechaliśmy jednak aż do Bad Honningen i tam znaleźliśmy wolny stolik w kącie werandy. Były pstrągi, mimo że o tej porze roku często ich brakuje, czego się obawiałem. Wypiliśmy po trzy koniaki, zapadał wieczór, poczułem się prawie dobrze, ale Truda uparła się, że w drodze powrotnej ona poprowadzi wóz. Zgodziłem się, tak mnie błagała, tak się po dziecinnemu napraszała. Jechaliśmy z powrotem bardzo szybko. Wciąż ją strofowałem, upomi nałem — uważaj, przyhamuj, teraz! — czując, że prowadzi może wprawnie, lecz nieostroźnie. Niewiele pomagało. Aż w pobliżu wioski Fahr, niedaleko Neuwied, gdzie należało przejechać pod wiaduktem kolejowym, zarzuciło nas, otarliśmy się o nadjeżdżający z naprzeciwka wóz, odrzuciło nas w prawo, trąciliśmy inny samochód, jadący tuż za nami, i tylko jakimś cudem udało mi się, wyrwawszy Trudzie kierownicę, wyprowadzić Volkswagena z poślizgu już za wiaduktem i zahamować na skraju szosy.

— Widzisz, coś narobiła! — a już ktoś z tamtego potrąconego przez nas wozu nadchodził. Po załatwieniu nudnych formalności — policja, spisanie protokołów, gdy wzięłem wszystko na siebie, ona nie miała nawet, jak się okazało, prawa jazdy, a nikt na szczęście nie zauważył, które z nas prowadziło — wróciliśmy do Arzheim taksówką znaną ■w Neuwied.

W domu przy Bornweg poczułem znów coś, jakby drętwienie palców lewej ręki, ale mi to przeszło po wypiciu jeszcze dwu kieliszków koniaku. Truda, bardzo czuła, objęła mnie, podeszliśmy do stołu z resztkami rannego śniadania nie uprzątniętymi do tej pory, oparliśmy się łokciami o blat, jedząc palcami płyty wędzonego łososia. Zobaczyłem, jak jej oczy ciemnieją i zwięzają się, jak szarpiąc na sobie dzinsy i zrywając slipy, nie przestając żuć zaczyna wyrzucać z siebie najgorsze wyzwiska, kłąć — cała długa, skomplikowana litania świństw, więc i ja — coś mnie takiego nagle opętało, i ja również zacząłem na cały głos wymawiać najbardziej plugawe wyrazy z berlińskiego przedmiejskiego repertuaru, jakie tylko zapamiętałem i znałem kiedykolwiek, a także i te późniejsze, zaczerpnięte z gwary

więziennej i obozowej — wszystko jedno, myślałem, i tak wszystko jedno! Przegiąłem Trudę przez kant stołu, spadł z niego jakiś talerz, klęła przez cały czas. — Scheisse! Scheisse!

Z pewnym wysiłkiem — była duża i nie tak znów lekka, na jaką z pozoru wyglądała — podsadziłem ją sobie unosząc oburącz za oba pośladki. Oparła się o blat stołu, zapierając mocno nogami. W jakiejś chwili zdawało mi się, że ktoś chodzi po tarasie, i Truda głośno krzyknęła. Potem zadzwonił telefon w gabinecie. Dzwonił i dzwonił, w końcu zamilkł. Wierciła się, ledwie mogłem ją utrzymać, ściskając mocno w pasie. Rzuciła się tak gwałtownie, że stół kołysał się trzeszcząc. Było ciemno, nie zapaliliśmy światła.

Trwało to bardzo długo, nieprawdopodobnie długo, aż zacząłem jęczeć.

Potem oboje znaleźliśmy się w łazience. Truda nachylona nad umywalnią. Jej od niedawna krótko obcięte, zgarnięte na bok włosy. Chłopięcy kształt głowy. Nieco zaczerwienione, spore uszy, robiące na mnie zawsze, sam nie wiem czemu, wrażenie szczególnie jaskrawej nagości. Była zajęta sobą, swoimi sprawami, coś do siebie niewyraźnie mrużąc. Wykręcała z całej siły mokry ręcznik, formując z niego rodzaj grubego harapa. Pilno jej było, śpieszyła się. Upadła na czworaki, podciągnęła pod brzuch kolana, zgięła się tak, że dotykała czołem podłogi. — ■ No! — powiedziała, więc jak się tego domagała, nie bardzo zdając sobie sprawę, co robię, zacząłem smagać ją z całej siły mierząc między pośladki, które zaciskały się i rozchyłały w rytmie razów. Krzyczała coraz głośniejsze, całując mnie w dzikim upojeniu po nogach: — O tak! Tak! Tak! Mocniej!... O Boże! Jeszcze mocniej! Jeszcze, jeszcze, no, no, no!...

Cisnąłem ręcznik do wanny, odgarniając mokre włosy z czoła. Zgrzałem się. I ja dyszałem z otwartymi ustami, jak ona nie mogąc wymówić słowa. Zatoczyłem się czepiając ściany. Chwyciłem Trudę za nogi i zawlokłem na tapczan. Padła nań bokiem, na ukos, nogami na pokój, zupełnie bezwładna. Pojękiwała cicho. Zwaliłem się ciężko na nią. Potem pół leżąc, pół klęcząc gładziłem sobie rozpalone policzki wilgotnymi podszwami jej bosych stóp. Czuć je było linoleum z łazienki. Czułem na wargach i języku smak mokrej ceraty. Później, znacznie już później poczułem na sobie jej myszkujące gorączkowo dłonie. Natrętna, znów nagle ruchliwa i przedsiębiorcza. Oparłem się plecami o ścianę, rozsuwając nogi i zezwalając jej na wszystko.

Zasypialiśmy, budziliśmy się. Żadne z nas nie wiedziało, która godzina. Story w oknach były pozaciągane. Okazało się, że w nocy spadł pierwszy śnieg. Wstawiliśmy, wędrowaliśmy do łazienki, raz ona, raz ja. W jakiejś chwili wyszła na taras, zgarnęła garść śniegu w obie ręce. Topił się, skapywał na dywan. Zaczęła nacierać nim sobie po kolei piersi, brzuch, wygolony, szczególnie wydatny i mięsisty wzgórek łonowy, pachwiny i uda. Następnie mokre i zimne dłonie wytarła o moje policzki i czoło. Stała dłuższą chwilę nachylona nade mną w milczeniu. Przyciągnąłem ją znów do siebie.

A potem ważna data: siedemnasty marca, wtorek. Na dworze trwała odwilż. Nie miałem pojęcia, jakim cudem udało się Ernestowi niepostrzeżenie dostać do środka. Musieli- * śmy zapomnieć je zamknąć na klucz, ja albo Truda. Więc wszedł na werandę, a następnie po schodach na górę. Ani ja, ani Truda, zajęci sobą, nie usłyszeliśmy jego kroków. Nie spodziewaliśmy się tych odwiedzin. Nie miałem pojęcia, gdzie przebywa, nie miałem od niego od dawna żadnych wiadomości.

Niestety przyłapał nas, jak się to fachowo nazywa, in flagranti. Było kilka minut po trzeciej, zaledwie wróciliśmy oboje z miasta. Mój świeżo kupiony Ford Capri stał przed wejściem. Nie zdołałem go jeszcze nawet wprowadzić do garażu. Spieszno nam było. No i gdy Ernest wszedł niepostrzeżenie, w pokoju na piętrze panował półmrok, ale nie na tyle, żeby nie móc zobaczyć, co się w nim dzieje. I on stał i patrzył, a potem nagle zapalił światło. Oblał nas jaskrawy blask trzystu świec z żyrandola nieproporcjonalnie dużego w niewielkim pokoju; spadek po poprzednim właścicielu willi. W tym oślepiającym świetle — istna iluminacja! — ja całkowicie nagi na środku pokoju i Truda na klęczkach przede mną, plecami do drzwi, w których ukazał się Ernest, tak zajęta, iż nie zauważyła niczego i nadal rola swoje, mając na sobie wyłącznie rodzaj skautowskiej bluzy z jasnoniebieskiego drelichu, w której jej było bardzo do twarzy i w czym ją szczególnie lubiłem.

Krzyknąłem i dopiero wówczas, odepchnięta gwałtownie kolanami, zerwała się na równe nogi i odskoczyła na bok. Ta jej bezczelna dezynwoltura, to nic sobie nierobienie w sytuacji bądź co bądź nieco krepującej! Przymrużone oczy, oślepione nagłym blaskiem aż trzystu świec, nerwowe oblizywanie warg i nic ponadto. Żadnego gestu, bodaj próby osłonięcia

rękami wyjątkowo wydatnego wzniesienia Wenus, ledwo, ledwo porastającego na nowo
rzadkim jasnym zarostem po niedawnym ogoleniu. Skubała palcami dolną wargę i tyle tego.

A potem, raz, dwa, trzy, cztery mocne uderzenia na płask dłoń, i jeszcze raz z lewa i z
prawa, na odlew, aż głowa bezwładnie zataczała się na boki, a ręce usiłowały osłonić twarz;
policzki trzaskały, pischęła; a ja, widząc to, zaskoczony, zamiast interweniować, pewnie
dlatego, że byłem zupełnie nagi i wskutek tego jakby bezbronny i zarazem

śmieszny i żaloszny, okropnie komiczny w oczach własnego ubranego syna, tylko dreptałem bezradnie w miejscu, coś niewyraźnie bełkocząc. Członek miałem jeszcze w częściowym wzwodzie. A on krzyczał:

— Ty durna krowo! Ty kurwo! — wałąc ją ile wlezie, aż klaskało. Słyszałem jej koci miauk, zachłysnęła się, zatoczyła aż pod ścianę, ocierała palcami krew płynącą z wargi i nosa. I moja nieudana próba wyrzucenia Ernesta za drzwi, szamotanina, on już całkiem spokojny, nad podziw spokojny, mimo że przecież musiał się porządnie zmasać. Wycierał dłonie o aksamitne spodnie, odrzucając niedbałym gestem włosy z czoła.

Poczułem gwałtowny skurcz serca, duszność, brak powietrza w płucach. Odruchowo sięgnąłem po fiolkę z nitrogliceryną, lecz dłoń ześlizgnęła się po nagim biodrze. Wciąż byłem nagi. Oparłem się zatem, żeby nie upaść, obu rękami o brzeg stolika do kart, na którym od wczoraj stały jeszcze dwie szklanki i butelka Remy Martin wypróżniona do połowy. Nalałem sobie pełną szklankę koniaku i wypiliśmy duszkiem. Trzęsły mi się ręce, tak że chłodny, złotawy płyn ochlapał mi kolana i stopy.

Wówczas Ernest powiedział całkiem spokojnie, tonem tak naturalnym, jak gdyby wyjaśniał jakiś problem natury ogólnej, nie patrząc ani na mnie, ani na Trudę:

— Doszły mnie słuchy, już gadają na mieście, że masz się zżamiar ożenić. Czemu nie. Zdarza się! Ciekawostka. Mnie tam w przybliżeniu pip-egal — pojmujesz mnie? Ganz Wurst. Wiesz chyba, że nigdy nie miałem burżuazyjnych przesądów w tym względzie. Nowa mama... Hm... Normalnie. Że kurwa, no to co? Jeśli idzie o mnie, z góry udzielam wam obojgu synowskiego błogosławieństwa na nową drogę życia.

Milczałem, szamocąc się ze szlafrokiem wiszącym dotąd na poręczy krzesła. Miał wyrócone rękawy i w dodatku gdzieś zapodział się pasek. Jakoś się jednak ogarnąłem, tylko pantofli' nie mogłem nigdzie odnaleźć i zacząłem marznąć w nogi. Ernest nie zamknął za sobą drzwi na dole i aż tu, na górę wiało lodowatym przeciągiem. Kichnąłem. Truda wciąż z boku, z dziwnym uśmiechem, obmacywała palcami puchnące, czerwone policzki i rozciętą wargę. Zlizywała koniuszkiem języka krew ciekącą jej po brodzie. Zdawała się nie słyszeć słów Ernesta, zajęta wyłącznie sobą. A on nagle podniósł głos do krzyku:

— JaK zatem z tego wynika, zafundujesz mi nową mamusię, tatku! Mamusię kurwę! Słyszysz mnie? Zdzirę! Kurwiszona 1

— Przestań! — krzyknąłem, bijąc pięścią w stół, aż jedna z dwu szklanek podskoczyła i spadła na dywanik, nie tłukąc się jednak. Schyliłem się, by ją podnieść.

— Starąłem się — powiedział Ernest znów tym swoim spokojnym konwersacyjnym tonem, niemal dobrotliwie — usiłowałem, pojmujesz mnie, stary, dbać jako kochający syn o twoje zdrowie psychiczne i fizyczne, czyli o tak zwaną równowagę fizjologiczną. A jest to, zważ, problem natury przede wszystkim higienicznej. Szło mi głównie o to, byś nie stetryczał do reszty w bezruchu, żeby ci gruczoły płciowe przedwcześnie nie zwiędły. Bo to byłby klops, koniec pieśni, maligna. Ale tyś, kochany, moje wokół ciebie synowskie serdeczne starania wziął zbyt, jakby to powiedzieć, dosłownie. A to niedobrze, mój stary. Stajesz się nie- możebnie komiczny, poniekąd nieuleczalnie śmieszny, nie da rady. Klasyczne. No nie? Mniejsza... W każdym razie daj w porę znać o dacie ślubu. Jestem, widzisz, gotów dla was obojga, bo was kocham, wygłupić się do tego stopnia, żeby przywdziać frak albo smoking. Co ty na to? Można. Tylko uprzedzam, że zjawię się wraz z moimi przyjaciółmi, będącymi poniekąd także przyjaciółmi panny młodej. Pojmujesz? Stado serdecznych szwagrów... Wręczmy jej gromadnie bukiet białych bzów. A może byłyby właściwsze lilie? Powiedz, mała, czy ci się w dowód wdzięcznej pamięci od całej naszej paczki nie należą?

Ona milczała, oglądając po kolei przysunięte do samych oczu palce umazane w schnącej już krwi. Nie usiłowała nawet sięgnąć po zwinięte w kącie, ciśnięte tam przed godziną dzinsy.

Mruknałem drżąc z zimna: — Przestań już.

Ale on rozgadał się na dobre, zapalając się na nowo:

— I jeszcze jedno, żebym nie zapomniał. Uprzedzam cię, mój stary, że ci ją zerżnę, tę twoją ukochaną, tę wyśnioną, mama, nie mama, ile tylko razy zechcę i gdzie mi się spodoba. I jeszcze coś zostanie dla przyjaciół. Widzisz, kochany, jakaś lojalność być musi. Biedne chłopaki, mieliby się tylko przyglądać, jak ja ją będę rżnąć na potęgę, ile wlezie? Farsa! Przykro by im było, uważasz. Zresztą nie tak znów wielu nas. zostało na chodzie. Siedmiu, ośmiu... Jak daw

niej, maleńka, po kolei wszyscy, co? Nie skarżyłaś się zbyt na nas, o ile wiem, powiedz!

Wydawało mi się, że»nieznacznie wzruszyła ramionami, przestępowała z nogi na nogę. Przestała się jednak głupio uśmiechać. Spoważniała.

— Tak to, widzisz, w praktyce wygląda. Ale pociesz się, że i tak nie ubędzie jej. Ona sporo wytrzyma. Ma wprawę. Zostanie i dla ciebie tego miodu na dnie garnuszka. Starczy dla wszystkich. Zobaczysz, stary. Głowa do góry! Trzymaj się!

Popatrzył na mnie, jakby czekając, czy coś powiem, a że milczałem, odwrócił się na pięcie i szybko wyszedł. Już na schodach, w połowie piętra nagle zagwizdał, tak jak to od dziecka potrafił, dojmująco, przeraźliwie, włożywszy dwa palce do ust.

Wtedy ocknęła się Truda. Wspięła się na palce, podrzuciła głowę jak żreback i porwawszy w biegu walające się na podłodze dzinsy, w kilku susach zbiegła po schodach za nim, dudniąc bosymi nogami, gdy on już mijał drzwi wejściowe i wbiwszy ręce w kieszenie swych aksamitnych spodni wychodził na ulicę. Mignęły mi jeszcze jej gołe pośladki, długie i białe nogi. Wychylony przez poręcz na półpiętrze, widziałem, jak stara się wdziac po drodze, nie przerywając biegu, dzinsy, jak je przydeptuje, wbija w pośpiechu nogi w nogawki, zaciąga błyskawiczny zamek, jak wyciera

0 ściany hallu zakrwawione dłonie, zostawiając po sobie ten jedyny ślad jej tutaj pobytu, jakby znak runiczny, i tak, nie zważając na nic i na nikogo, z dłońmi umazanymi krwią, z pałającymi, czerwonymi policzkami, skacze prosto w topiący się śnieg, już po wierzchu lekko przymarzający, i w błoto na ścieżce za furtką, bosy, zapomniawszy obuwia, rozchlapując kałuże, biegnie na przelaj, dalej i dalej, aż znika za zakrętem w ślad za Ernestem, który nie zwolnił kroku

1 ani się nawet nie obejrzał.

Widziałem tę gonitwę przez okno, zapomniawszy podobnie jak Truda wdziac bodaj ranne pantofle, podzwaniając zębami z zimna, drząc cały i przytupując w miejscu, i dopiero po dobrej chwili, gdy tamci dwoje dawno już znikli mi z oczu, wróciłem powoli na górę i wypłem duszkiem pod rząd trzy szklanki koniaku, jedną po drugiej, po czym dopiero ciężko opadłem na fotel i sięgnąłem po papierosa.

Pomyślałem: zostawiła mi po sobie tylko ślady na poręczach \ ścianach. Swoją krew i moją spermę. Jest w tym coś bardzo śmiesznego i jednocześnie niepomiaralnie żalnego.

I jeszcze to. pijąc, już uspokojony, zagrzany od wewnątrz, nareszcie w pantoflach na skostniałych z zimna stopach, właściwie całkowicie pocieszony i w narastającym poczuciu wygody i powracającego zdrowego humoru: że przecież ona — ta Ru, Truda, Zwierzę Alfa, Dziewczyna z Włócznią — tak pognęła za Ernestem przez śnieg i marznące kałuże na bosaka, jak Marlina w filmie Marokko za swoim legionistą po gorącym piasku. Boże drogi — a cóż to za kicz! Co za szmira! I jaka rola mnie by przypadła w tym filmie? Starszego pana z wąsikami zakochanego w Marlenie, którego grał Menjou? Tak czy owak, rola ta byłaby i jest chyba o wiele bardziej szmatława i kiczowata niż tamtych dwojga.

Machnąłem w końcu ręką, odzegnując się od nich, od wspomnień, od niedawnej przeszłości, od pamięci pobytu tej dziewczyny u mnie, od pozostałych po niej śladów. Więc podniosłem się z fotela, a kręciło mi się nieco w głowie po tylu wypitych szklankach koniaku, i wzięwszy z przedpokoju kawał flaneli do kurzu, zacząłem się mozolić nad ścieraniem krwi z poręczy schodów. Udało mi się to nie bez trudu. Gorzej natomiast było ze śladami na ścianie. Wyraźny odcisk dłoni, wszystkich pięciu szeroko rozstawionych palców, które w takim uniesieniu, drząc z podniecenia, nie tak dawno jeszcze okrywałem pocałunkami. Zrezygnowałem w końcu z tych prób, postanawiając jutro za dnia' zeszkrobać krew nożem lub pilnikiem do paznokci.

Później, ale to znacznie, znacznie później, gdzieś na jesieni, gdy od tamtego wydarzenia upłynęło wiele dni, a nawet miesiący, całe lato wraz z moim pobytem na Costa de Sol w Andaluzji, dowiedziałem się dopiero czegoś o nich, zwłaszcza o moim Erneście.

Gdy wracałem pewnego ranka z Kolonii do Koblencki, zachciało mi się gwałtownie pić, bo dzień był niemal upalny i wyschło mi solidnie w gardle. Więc zaparkowałem Capri przed oberżą w niewielkiej miejscinie nie opodal Rolandswerth, z widokiem na leżące bliżej tamtego brzegu Renu dwie obok siebie wyspy, odbijające się w gładkiej powierzchni rzeki, niby dwa mijające się statki — Nonnen- werth ze starym klasztorem i wieżą oraz druga, Grafen- werth, nieco dalej i bardziej w prawo, na wprost miejscowości Bad Honnef. A zatem, jak się orientuję, musiało się

to spotkanie zdarzyć najpewniej w Rolandseck. co zresztą nie ma większego znaczenia.

Podszedłem do bufetu z zamiarem wypicia co najmniej dwu po kolei, duszkiem kufli zimnego beczkowego piwa i natknąłem się tam na młodzieńca w ciemnych okularach, pochylonego jakoś tak dziwnie, jak gdyby przełamanego w krzyżu. Stał i bacznie mi się przyglądał. Poznałem go po chwili. To był ten mądrzący się w nie kończących się pseudodyskusjach chłopak z byłej grupy Ernesta, jeszcze z czasów gdy odwiedzali moją kancelarię przy Stegemannstrasse, którego ja, sam już dobrze nie wiem czemu, przezwąłem Turgieniewem. Kiwnąłem głową, a on natychmiast podszedł do mnie, nie wyjmując rąk z kieszeni wąziutkich, czarnych, mocno znoszonych spodni podwiniętych dołem powyżej chudych kostek. Zgolił brodę i wąsy, zachowując jednak chyba jeszcze dłuższe kędziory, opadające mu aż na ramiona. Miał na sobie rozchełstaną, czarną, dość grubą koszulę ukazującą nieco rudawych kudłów na piersiach. Od tamtej pory jeszcze bardziej wychudł i wykrzywił się, zgarbił, chyba nawet postarzał.

Poznaje mnie pan, panie mecenasie? — a ja ucieszyłem się na jego widok całkiem serio, mimo iż dawniej często mnie drażnił i niecierpliwił, uradowałem się tak, jakby mi wrócił kawałek dawnego czasu, który wydał mi się nagle okresem niemal że niezrozumiałego i na ludzki rozum niczym nie uzasadnionego szczęścia. Mniej więcej półtora roku minęło od tamtej pory, albo i więcej. Więc w obawie, że zaraz odejdzie, gdyż stanął bokiem i już, już odwracał się ku drzwiom, szybko zaproponowałem mu wypicie ze mną piwa. Musiał nie mieć nawet na jedno małe jasne, gdyż natychmiast z ochotą przystał i wypił dwa, jeden po drugim spore kufle, jednym haustem, bardzo łąpczywie, po czym oblizał wargi i odetchnąwszy głęboko jak po dużym wysiłku, zapytał, czy nie mógłby poprosić również po jednym piwie dla swych przyjaciół, którzy czekają na niego na zewnątrz i których ja chyba również winienem znać. — Niestety — dodał z uśmiechem czyniąc szeroki gest ramieniem — zabrakło nam chwilowo środków obiegowych, pan rozumie?

sfH Ależ tak, oczywiście ucieszyłem się, że zobaczę dawno nie oglądane twarze, zapamiętane sprzed dwu lat. jesz-; cze ze Stegemannstrasse — i wyjrzałem przez okno. Stali tam całą gromadą: ponury brodac, jakiś kudłaty chłopak, Hermann o twarzy i lokach cherubina i dziewczęcych wargach, bosi, w aksamitnych spodniach z indiańskimi frędzlami po bokach, a także dwie dziewczyny, z których jedną kiedyś widywałem.

— Hej, wy tam! — zakrzyknąłem. — Chodźcie no tutaj. Wypijemy razem po piwie i zjemy coś do tego.

No i oni weszli i usadowiliśmy się razem przy dużym dębowym stole w kącie sali tuż pod gotyckim oknem z ciemnym witrażem. Lokal był urządzony na modłę ludową. Naprzeciw mnie usiadł Turgieniew, obok dziewczyna, która miała na imię Karin i jak się okazało, była tą, o której parokrotnie opowiadała mi Truda, tą, która dłuższy czas mieszkała razem z nią w pracowni jakiegoś malarza czy dekoratora. O Erneście wyrażała się ciepło, o Trudzie jak najgorzej i nie starała się tego ukryć. Należała niezawodnie do dziewczyn pozujących na „sophisticated”: ciemne, ogromne okulary w białych oprawkach w czarną szachownicę, wiśniowe, aksamitne, szersze u dołu spodnie, do tego mocno zdezolowane i popękane w paru miejscach złote pantofelki na bosych, zakurzonych nogach; paznokcie pomalowane na srebrno.

— To była, proszę pana, nieszczęsna nimfomanka, histeryczka. Zupełna wariatka. Miałam z nią, i nie tylko ja, milion kłopotów. Jeszcze wtedy, kiedy mieszkałam z Peterem. Pan wie, to taki znany fotografik i dekorator, plastik, strasznie fajny facet. Otóż Ru, która знаła ranie jeszcze z Frankfurtu, ale tylko tak ledwo, ledwo, wprowadziła się do nas niby to na dzień, dwa, póki się jakoś nie urządzi po przyjeździe do Koblencki. I w końcu została u nas. Uparła się, żeby koniecznie Peterowi pozować. Bo Peter w tamtym czasie robił różne fotki dla prasy i do reklam. Tak się narzucała, tak napraszała, że w końcu na odczepne

zgodził się zrobić jej parę aktów. Trudno było dłużej wytrzymać. Nikt nie mógł. Ani Ludwik, ani Max, ani Sepp, ani pański Ernest. Wszyscy próbowali po kolei. Wariatka i w dodatku flejtuch. Wiem, co mówię. Ja ją, proszę pana, dobrze poznałam. Aż zanadto.

Inni kiwali głowami, popijając piwo. Turgieniew przyglądał mi się z ironicznym uśmiechem. Karin bezceremonialnie trącając mnie co chwila łokciem, gryząc kawał smażonej kiełbasy wbitej na widelec:

■ H

— Wie pan, co się kiedyś stało? Jakies dwa lata temu? Ernest miał jej dość, zdenerwował się, no i sprął ją, ale tak fest, ile wlezie. Myśmy już leżeli, cała reszta, zezłościłam się, bo chciałam się wyspać, miałam rano pilną robotę w pracowni, wołam więc: Dacie wy w końcu spać człowiekowi, zbrodniarze? Zamknij się — on mi na to — widzisz sama, że jestem zajęty. Jak jej solidnie dołożę, to się może wreszcie uspokoi, wiesz przecież, jak to z nią jest. Istotnie, tak było. Ona — mówię wciąż o Ru —■ na domiar wszystkiego jest masochistką i wręcz domaga się, żeby ją wyłoić. Prowokuje, prowokuje, aż się w końcu każdy zdenerwuje i spierze ją na odczepne. W dodatku ona wydziera się przy stosunku i trzeba jej było zatykać usta ręką lub przyciskać pysk do poduszki. W końcu Ernest otworzył drzwi i wyrzucił ją na podwórko. A była noc, śnieg z deszczem, plucha. Ru solidnie przemarzła i zmokła, więc zaczęła się dobijać do okna. A Ernest uparł się, że nie otworzy, i schował klucz. Zlitował się nad nią Hermann i wciągnął ją za ręce przez okno. Przypominasz sobie, Hermann, prawda, że tak było? Zmarzła na kość, dzwoniła zębami. Pomyślałam sobie: no, to się teraz może uspokoi i da mi spać. Ale gdzie tam! Tak jak weszła przez to okno, cała mokra, wlaźła, żeby się ogrzać, do Hermanna pod koc. On do niej: Raus! — powiada — spać mi się chce, wynoś się do wszystkich diabłów, mokra jesteś. I wykopał ją z wyrka. Więc ona polazła do Ludwika, no i jak, powiadam panu, zaczęli się kłębić, rzucać po łóżku, bo Ludwik sypiał na polowym, które okropnie skrzypiało, to mnie diabli wzięli. Usiadłam na posłaniu, wołam: Czy wy się uspokoiacie w końcu czy nie? No i Ludwik zatkał jej gębę dłonią, a ona się dalej ciskała, nogami biła o ścianę, w końcu Ernest zagroził, że jeżeli się natychmiast nie uspokoją, to ich oboje wyrzuci na dwór. Prawda, chłopcy, że nie zmyślam?

Turgieniew powiedział: — Gadasz i gadasz, a pana może to wcale nie interesuje. Jemu idzie o Ernesta, syn bądź co bądź, nie da się tego ukryć. Człowiek ciekawy, co z nim, a ty w koło o swoim.

Wtedy druga dziewczyna, z krótko obciętymi włosami, wyglądająca trochę na chłopaka, opalona na brąz, bardzo zgrabna, powiedziała zwracając się do mnie, iż wie tylko tyle, że Ernest był jeszcze niedawno w Berlinie i coś tam

miał do czynienia z filmem. Doniósł jej o tym chłopak, który też robi w filmie.

Turgieniew zdecydował: — Tak czy inaczej, jedno jest pewne: Ernest odszedł od nas, to fakt. Reszta głupstwo. Ale na to się od dawna zanosilo. On przeszedł ewolucję tak gruntowną, że ani ja, ani Sepp, ani nawet Franz nie mogliśmy dłużej tego tolerować. Musieliśmy go wykluczyć z naszej wspólnoty.

— O co wam poszło? — spytałem.

— Odszedł, proszę pana, od idei i założeń Przewodniczącego Mao. Wystarczy panu? — spojrzał na mnie surowo, poważnie, po czym zdjął okulary i zaczął je wycierać bibułkową serwetką.

— Najzupełniej wystarczy — powiedziałem bardzo serio, a wówczas Karin objęła mnie niespodzianie przez plecy, przycisnęła do siebie, wykrzykując:

— Widzisz? A nie mówiłam ci, że on zrozumie? Brawo! — i poklepała mnie familiarnie po plecach z wyrazem dużej sympatii. —■ Chciałabym uwierzyć w pana dobrą wolę!

Turgieniew skrzywił się. Założył z powrotem okulary, spojrzał na mnie z tą swoją zwykłą ironią i złośliwością: ^ Nie sądzą. Ty jesteś zawsze łatwowierna, Karin. Zostaw, proszę. Nie wtrącaj się. Przecież idzie zupełnie o coś innego. Nie rozumiesz?

Zdołała jeszcze powiedzieć, zwrócona do mnie twarzą: — A Ru właściwie, musi pan wiedzieć, nigdy nie uzyskała pełnych praw członka naszej wspólnoty. Zgodziliśmy się przyjmując ją warunkowo.

Turgieniew przerwał jej: — Zostaw, proszę cię. To nieważne, zupełnie już nieważne. Jedno jest tylko istotne, jedno się w tym wszystkim liczy: że on nas zdradził. Bo jak to inaczej nazwać? Nasze drogi rozeszły się. A szkoda.

Hermann, ten jasnowłosy paż, ten młodzieniaszek, skończywszy jeść, dopijając któreś z kolei piwo, odezwał się, patrząc na mnie pięknymi, błękitnymi oczyma efeba:

— Jesteśmy, widzi pan, może i skrajni w naszych poglądach, ale jednocześnie przeciwni stosowaniu terroru indywidualnego za każdą cenę i bez względu na skutki. Nie jesteśmy Tupamaros. Chcemy świat zmienić, taki jest nasz cel, i wzorujemy się na jedynie konsekwentnej i słusznej drodze wytyczonej ludzkości przez Przewodniczącego Mao. Ale to nie znaczy, że mamy świat podpalać lub wysadzać

w powietrze. Szkoda go. Może się jeszcze przydać. Pan się chyba orientuje, dokąd od nas odszedł pański syn?

Nim zdołałem odezwać się, Turgieniew powiedział:

— Nie jestem tego aż tak pewien. Więc może wyjaśnię, skoro nadarzyła się okazja: pański Ernest trafił pod opiekuńcze skrzydła tej wariatki Ulriki Meinhof. Pan chyba wie, kim ona jest i co sobą reprezentuje?

'— A my jesteśmy przeciw — dorzucił Hermann.

Karin położyła mi dłoń na ramieniu: — Wszyscy jesteśmy wierni przykazaniom Przewodniczącego. Każdego rana odczytujemy jakiś werset, jeden albo dwa, czasami więcej, z jego Czerwonej książeczki. To nas podtrzymuje, utwierdza w wierze, dodaje sił i otuchy. Ale pan tego zdaje się nie rozumie. A szkoda. Nam potrzeba takich nawet jak pan. Kiedyś, być może, pojmie pan swój zasadniczy błąd. Nadejdzie jeszcze taki dzień, iż przyjdzie pan do nas w pokorze. Ogarnie pana wielkie zdumienie i wówczas otworzą się panu oczy.

Trochę mnie to jednak zdenerwowało, mimo że starałem się nie przejmować ani informacjami o Erneście, ani zachowaniem się tej gromadki młodych, którzy skądinąd, mimo wszystko, byli mi sympatyczni. Więc ze złośliwym uśmiechem spytałem Turgieniewa, przerywając Karin, która usiłowała coś jeszcze mówić, jakieś — gdyby żył Trocki...

— Proszę pana |— powiedziałem patrząc na Turgieniewa — te wasze chińskie sympatie, ja się do tego nie chcę wtrącać. Za mało się na tym znam, ale pragnąłbym powiedzieć jedno: pan tu tak mówi, agituje, snuje plany, nie pracując, o ile wiem, ani nie studiując... |— starał się przerwać, ale go powstrzymałem gestem ręki. — Nie moja sprawa, niech pan robi, co pan chce, jak panu wygodniej, ale widzi pan, w Chinach, gdyby pan tam był, jestem pewien, iż nie pozwolono by panu w ten sposób żyć. Obawiam się, a chyba nie bez racji, że wszystkich was, jak tu siedzicie, zapędzono by do roboty, i to nie takiej, o jakiej może myślicie — politycznej czy społecznej — ale zwyczajnej, ciężkiej, fizycznej. Już pana widzę, jak pan stoi po kolana w wodzie i oczyszcza kanał lub pracuje na polach ryżowych, albo kopie studnie, a może takie płytkie, odkrywkowe pokłady węgla, buduje jakieś polowe piece do wytopiania metalu, coś w tym rodzaju. Pan słyszał o tym na pewno i na tyle się chyba orientuje.

— Tak — potwierdził Turgieniew, a za nim chórem cała reszta. — Oczywiście orientujemy się, że tak by było. I byłaby to jedynie słuszna decyzja wobec nas. Tylko że pan niepotrzebnie tak się złośliwie z tego cieszy. Bo widzi pan, gdybyśmy teraz tam pojechali — a o to się staramy, cała nasza wspólnota, i czekamy tylko na ostateczną decyzję i termin wyjazdu — z ochotą pracowalibyśmy tak jak tamtejsi ludzie. Nie przyjęlibyśmy żadnych przywilejów. Najmniejszych. Pragnęlibyśmy tylko, gdyby się nam udało, pracować nie gorzej niż chińska młodzież, by nie zrobić wstydu nam samym i tym, którzy stąd, z Europy, po nas przybędą, by pomóc chińskim braciom, w tym sensie, żeby się czegoś od nich nauczyć i móc z kolei przekazać innym, naszym następcom tutaj, na miejscu, w Europie. Ale to nie wszystko. My tutaj, u nas, gdy odniesiemy zwycięstwo, a to nastąpi, nie dziś, to jutro, może dopiero w przyszłym pokoleniu, tak, my nie jesteśmy aż tak naiwni, jak pan sobie wyobraża, liczymy się z realiami życia i trudnościami, jakie nas jeszcze czekają, lecz my czy nasi następcy, kiedy zaprowadzimy wreszcie Nowy Ład, Trzeci Świat Wiecznego Trwania, nie będziemy musieli kopać prymitywnych kanałów ani drążyć ręcznie kopalnianych sztolni. Przyniesiemy bowiem w spadku po was, jako nasze wiano, przyszłym pokoleniom to wszystko, co zbudował krzywdą ludzką, ale technicznie prawidłowo, wasz kapitalistyczny

ustrój społeczny: autostrady i fabryki, kopalnie i ośrodki naukowe, laboratoria i stadiony, wszystko to, co warte zachowania, przekazania w inne ręce, kontynuacji na innych politycznych zasadach, ale niekoniecznie przecież odmiennych technicznie. Pan nas, zdaje mi się, uważa za kompletnych idiotów zadając podobne pytania.

— Nie, skądże znowu. Może nawet, kto wie, chciałbym ujrzeć na własne oczy ten wasz przyszły, lepszy świat. To wasze oczekiwane Trzecie Królestwo na ziemi. Rad bym doczekać, ale cóż, nie bardzo w to wierzę. Może dlatego, że jestem już na to za stary.

— Jeszcze go pan doczeka, przekona się pan. Głowa do góry! — zawołała Karin obejmując mnie znowu i poklepując po łopacie. — Chciałabym, ach, jak bardzo chciałabym, żeby pan nam uwierzył i przekonał się, że tylko my, skromni szeregowcy ruchu, nieudolni być może, lecz pełni wiary i najlepszych chęci uczniowie Wielkiego Naszego Wodza,

Przewodniczącego Mao, mamy rację, bo niezłomnie wierzymy w nasze ideały, w naszą misję, w słuszność wybranej przez nas drogi, jedynej, jaka pozostała ludzkości, jeśli nie ma zmarnieć, zginąć, pozostawić po sobie tylko ślady takie, jak ten słynny cień na ścianie jakiegoś domu w Hiroszynie, jakąś nową Pompeję, jakieś tragiczne błazeńskie Herculanum.

Wróciłem do Koblencji, a po drodze, wciąż pod wrażeniem wiadomości o Ernieście, zapewne tendencyjnych, być może przesadnych, lecz niestety, jak sądziłem, prawdopodobnych, przeczytałem na jakimś domu w mijanej małej miejscowości wywieszkę nad warsztatem stolarza i nazwisko właściciela; brzmiało: Kurt Janischke. Dziwne. Takie samo imię i takie samo nazwisko nosił mój pierwszy klient, zbrodniarz wojenny, małego zresztą formatu, przed wielu, wielu laty, chyba jeszcze w 1947 roku we Frankfurcie. Moje pierwsze kroki w karierze sądowego obrońcy. Amerykańskie władze okupacyjne wydały mi zaświadczenie niezupełnie zgodne z naszym prawodawstwem — lecz kto się z nim wtedy tak dosłownie liczył? — zezwalając mi na stawanie w takim właśnie charakterze przed sądami w strefie amerykańskiej. Jeden z zastępców samego generała Claya, o ile pamiętam, własnoręcznie podpisał mi takie zaświadczenie.

Pierwszy klient. Wróciły mi w pamięci jakieś luźne obrazy, fragmenty sali, amerykańska eskorta — chłopcy w białych kaskach, MP, młody prokurator, którego wtedy dopiero poznałem, skład sędziowski, twarze świadków, nastrój sali, tępy wyraz twarzy mego klienta.

Nazywał się właśnie jak ten tutaj stolarz — to pamiętam znakomicie, dlatego że był moim pierwszym, jak pamięta się imię dziewczyny, która pierwsza zawróciła, w głowie, albo tytuł pierwszego filmu w życiu — Kurt Janischke. Gdybym nie wiedział, że nie żyje od dawna, gdybym nie miał w ręku — a bodaj odpis zachował się w moim archiwum — aktu zgonu tego człowieka, zatrzymałbym się teraz, wracając do domu, do Koblencji, przed parterowym domkiem tuż przy szosie i wstąpiłbym może do tego stolarza, żeby się przekonać, czy to nie on właśnie, ten sam, a jeśli tak, to jak wygląda obecnie i jak mu się żyje. I co by mi powiedział, gdybym wszedłszy do jego pracowni, zapytał niespodzianie, czy sobie przypomina rok 1947 i mnie, z którym tyle razy rozmawiał jako ze swym obrońcą. Ale on przecież od dawna nie żyje i tylko dziwnym zbiegiem okoliczności, po tylu latach napotkałem identyczne nie tylko nazwisko, lecz również imię.

Ten prawdziwy, to znaczy tamten dawny, autentyczny, mój własny Kurt Janischke był człowiekiem zwyczajnym, osobistością nieciekawą, poślednią w porównaniu z rekinami, jacy w tamtym okresie, co prawda coraz to rzadziej, stawali przed sądami. To była, co tu gadać, zwyczajna płotka. Być może, właśnie dlatego podjąłem się jego obrony, bo nie musiałem przecież. Mój kolega, wyznaczony z urzędu, zachorował czy też gdzieś wyjechał i sędzia Griinewald, pamiętam, zaproponował mi zastępstwo. Mogłem się wykręcić, nigdy jeszcze nikogo nie broniłem, zgodziłem się jednak. Sędzia Griinewald, znając moją przeszłość, pragnąc mi oszczędzić przykrości, wahał się do tej pory, czy wyznaczać mi takie sprawy, tym razem również zbytnio nie nalegał i bodaj nawet nieco się zdziwił, gdy tak łatwo przystałem.

Janischke był kiedyś robotnikiem portowym gdzieś w Szczecinie czy może w Gdańsku, później członkiem Rotter Frontkämpfer Bundu. Nie jest wykluczone, iż mogliśmy się gdzieś w tamtych latach — 1930—1933 — spotkać, wyminąć. I ja przecież w tamtych nadbałtyckich stronach wówczas bywałem. Gdzieś w 1933, o ile zapamiętałem dokładnie jego curriculum vitae, wstąpił do SA. To był, jak sądzę, szczyt jego życiowej kariery. No i trafił w końcu jako nadzorca w randze Unterscharführera SS do jednego z obozów koncentracyjnych. Inwalida z tamtej wojny. Verdun, o ile pamiętam. Jakaś Landwehra, zdaje mi się. Zgłosił się w 1939 do armii, nie przyjęto go jako niezdolnego do służby, skierowano na "własną prośbę, parokrotnie ponawianą, do SS. Zapomniałem, czy debiutował w Sachsenhausen, czy w Buchenwaldzie.

No i tu mój Kurt wykazał gorliwość rzadką nawet u osobników z tej formacji, jaką była osławiona SS-Totenkopf- -Standarte. Zapewne, był neofitą, to fakt. Był również w swym pojęciu jako inwalida upośledzony, szczególnie i z tej przyczyny, że jak wynikało z orzeczenia więziennego lekarza, rana poniesiona w tamtej wojnie pozbawiła go raz na zawsze radości kochania kobiet. Wyróżnił się w obu obozach, w których pełnił służbę, wręcz wyjątkowym be-

stiałstwem. A ja, który spędziłem tyle lat w obozach, mogę coś na ten temat powiedzieć.

Stawiło się sporo świadków, Niemców, a także cudzoziemców, z których zeznaniami nie sposób było polemizować. Sprawa była zatem jasna i wyrok niewątpliwy, łatwy do przewidzenia. Nie miałem możliwości jako obrońca wykroczyć poza rolę niemal biernego uczestnika rozprawy. Żadnych okoliczności łagodzących. Ani cienia skruchy czy przynajmniej zrozumienia swego postępowania u mego klienta. Tępe, zacięte milczenie. Gdy się do niego zwracano, kiedy zeznawał kwitując nasze pytania zazwyczaj krótkimi „tak” lub „nie” — stał wyprostowany karnie na baczność. Stukał obcasami przy każdej okazji, prężąc się jak struna.

Ścierały się we mnie dwa uczucia: obrzydzenie dla mego klienta, które kazało mi wbrew mojej roli cieszyć się jego całkowitą klęską — i jakiś, wówczas mało jeszcze uświadomiony, rodzący się we mnie dopiero odruch, pierwsza próba wcielenia się w rolę autentycznego obrońcy karnego zaangażowanego w pełni na korzyść oskarżonego.

Kurt Janischke czynił wrażenie niedorozwiniętego, ale mógł przecież tylko udawać aż takiego idiotę. Był chyba istotnie chory. Niektórzy jednak byli przekonani, że symuluje chorobę. Nawet ja nie byłem pewien, jak to jest naprawdę. Ta na przykład jego stała, chroniczna chrypka, jakoby uniemożliwiająca mu zeznania. Po kilku słowach krztusił się, dławił, oczy wylażyły mu na wierzch, czerwieniał, dostawał ataków kaszlu, jakby miał koklusz. Chry- piał lub piał jak kogut. Także wiele innych dolegliwości, na które się skarżył więziennemu lekarzowi. Ten często zaświadczał, że oskarżony nie jest zdolny stawić się przed sądem. Wezwany przez prokuratora inny lekarz potwierdził diagnozę swego kolegi, lecz myśmy przecież wiedzieli, i mieliśmy na to dowody, iż podówczas wielu lekarzy skrycie sprzyjało oskarżonym, sabotując, na ile mogli, prace sądów, szczególnie, że te działały pod patronatem i nadzorem władz okupacyjnych. W końcu wszyscyśmy się zniecierpliwili. Ja również. Sprawa się rwała, przeciągała, zabierając nam sporo czasu. Gra nie była warta świeczki. Gdyby jeszcze chodziło o jakiegoś prominenta, komendanta obozu, czy ja wiem, fiszę z SS w jakimś większym wymiarze. Ale wtedy już takich było niewielu. Dno szuflady

Vym — jak mawiał prokurator. Paprochy. Śmietnik. Same wy- biórki.

Więc te prymitywne próby symulacji, usiłowania i Jrze- wleczenia procesu, wywoływały u nas zrozumiałe odruch zniecierpliwienia i niechęci do obwinionego. Na co się to wszystko zda? Czy on się nie orientuje, że wyrok tak czy owak jest już od samego początku wiadomy? Próbowałem parokrotnie w rozmowach z moim klientem wyperswadować mu, na ile potrafiłem, że i tak nic mu nie pomoże to udawanie, ta jego gra na zwłokę. Tylko zdenerwuje sąd. Lecz Janischke upierał się przy swoim. Zaklinał się swoim skrzypiącym szeptem, że wcale nie udaje.

Pytałem go również, czym można by wytłumaczyć tę jego szczególną nadgorliwość w obozie, ten jego bezinteresowny sadyzm. Zdarzało mi się bowiem widywać w więzieniach i obozach wielu autentycznych sadystów, którzy korzystając z okazji, pod pokrywką surowych nakazów i swoistych metod stosowanych wówczas wobec więźniów, dawali upust swym dotychczas z różnych przyczyn nie urzeczywistnionym pasjom, które ich od dawna nurtowały. Ale w tym rzecz, iż żaden z nich w niczym nie przypominał mego klienta, Kurta Janischke.

Przecież, tłumaczyłem mu, chyba zdaje sobie, przynajmniej teraz, sprawę z roli, jaką z takim zapałem pełnił w stosunku do ludzi, którzy mu osobiście w niczym nie zawinili i których przedtem nie znał i nigdy nawet nie widział. Skąd więc ta jego dzika pasja? Ta nienawiść? Jeśli to była istotnie nienawiść, a nie rodzaj transu, w jaki popadał na widok bezbronności ofiar. Tak podobno rekiny rzucają się dopiero wtedy na człowieka, gdy poczują w wodzie smak jego krwi. Tak bywa też z niektórymi wielkimi kotami, drapieżcami w rodzaju tygrysa

czy lwa, posłusznie spełniającymi każdy rozkaz poskromiciela czy tresera, a nawet zdradzającymi w stosunku do niego objawy przywiązania. Gdy jednak nie daj Boże przypadkowo wejdzie do ich klatki skaleczony i one poczują zapach krwi, rzucają się na niego, gdyż wyzwala się w nich dotąd utajona siła, otwiera się jakaś komórka, instynkt łowny bierze górę nad rutyną, tresurą, odruchami nabytymi w niewoli; po prostu na moment wracają do natury drapieżcy. Tak również bywa z ludźmi, tyle że nie idzie tu zazwyczaj o drapieżców, lecz często odwrotnie — bywają to wstydl-

I wi i nieśmiali marzyciele, jeśli zatajanie takich instynktów, | wydobywających się z pierwotnego dna, można nazwać marzeniem. Otóż tacy właśnie nieśmiali fantaści stawali się, jakże często — obok zwykłych tępych brutali, jakimi byli zazwyczaj kryminaliści, bandyci, sutenerzy, stanowiący w obozach do pewnego czasu większość przedstawicieli władzy, różni kapowie czy blokowi — groźnymi, bo perfidnymi okrutnikami. Wyhodowali bowiem w sobie, w swych tajnych marzeniach, których nie mogli w normalnym życiu urzeczywistnić — ze strachu przed karą czy z lęku przed samym podjęciem decyzji — najbardziej wyszukane i jakby zapiekłe w oczekiwaniu na realizację metody wyrafinowanej rozkoszy, której doznawali na widok bezbronności ofiar.

Ale on, Kurt Janischke, jak sądzę, nie miał ani takiej wyobraźni, ani takich nie spełnionych marzeń. Rzecz w tym, iż był niesłychanie zwyczajny, tak dalece płaski i niczym właściwie nie wyróżniający się od innych, że trudno by go było posądzić o jakiegokolwiek wyrafinowanie czy bodaj wzlot ponad normę, jeśli przyjmiemy, że nawet zbrodnia bywa czasami swoistym wzlotem. Dopiero później, gdy rozmawiałem po latach na temat mego pierwszego klienta z Schanim Straussem, ten, dowiedziawszy się ode mnie, że Janischke był swoistym inwalidą, gdyż rany odniesione w okopach pod Verdun pozbawiły go radości posiadania kobiet, wykrzyknął: — Tak trzeba było od razu mówić, mój kochany! Oto masz klucz do całej sprawy. Tak zwykle bywa z impotentami. Ich nie wygasłe pasje, nie mogące inaczej, normalnie się wyładować, gromadząc się przez miesiące i lata, tworzą złoża materiałów palnych, które gdy nadarzy się okazja, nagle wybuchają najbardziej dzikim sadyzmem.

Indagowany przeze mnie, Kurt Janischke zachrypłym, żalonym szeptem starał się wytłumaczyć mi, iż czuł się pokrzywdzony, a nawet głęboko upokorzony tym, że uznano go niezdolnym do służby frontowej, że gdyby wówczas, tak jak o to gorąco prosił, zgodzono się wcielić go do jednostki frontowej, wszystko potoczyłoby się całkiem inaczej. Jego całe życie, samopoczucie, przyszłość. Byłby pełnosprawnym mężczyzną, który zdolny jest walczyć. Zrobili mu krzywdę, ci panowie z komisji. Wyznał mi, zniżając głos do jeszcze głębszego szeptu, tak że byłem zmuszony nachylić się ku niemu, by cokolwiek usłyszeć, mimo odrazy, jaką we mnie wzbudzał, iż podejrzewa lekarza, a także oficerów i podoficerów z komisji poborowej, którzy wydali wyrok odejmujący mu nawet nadzieję na wzięcie czynnego udziału w walce, o chęć wywarcia na nim zemsty za jego komunistyczną przeszłość. — Oni wiedzieli na pewno — szeptał — że przed 1933 rokiem byłem członkiem Czerwonego Frontu, a jeszcze dawniej, po tamtej wojnie, w batalionach Spartakusa, i moja późniejsza praca w formacji SA jak widać nie wystarczyła jako pokuta za moją życiową pomyłkę. — Czy ja też tak uważam? On, Janischke, gorzko żałuje, iż tak się stało i że wówczas, w 1939 roku wyrządzono mu aż taką krzywdę. I dlatego to właśnie później katował więźniów. A także i z tej przyczyny, że byli to nasi wrogowie. Wszyscy, co do jednego. Przez nich ginęły przecież tysiące naszych niemieckich kobiet, dzieci i starców, waliły się nasze domy, paliły kościoły. Bo to oni dawali znać naszym wrogom, gdzie mają rzucać bomby. Zresztą inni nie byli jako dozorczy od niego lepsi. Chyba o tym wiem. Jego koledzy. Czy on był gorszy od innych, bardziej surowy? Chyba nie. Może tylko dokładniejszy, bardziej systematyczny, gdy innym często nie chciało się, bo się lenili, woleli grać w skata niż pilnować porządku w lagrze. W tym rzecz. Ale czy solidność w wykonywaniu rozkazów, które nie on wymyślił, jest zbrodnią? On mnie się o to pyta. To w takim razie — co nią nie jest? W takich czasach? Przecież to były straszne lata, on o tym wie i ja powinienem wiedzieć. A więc? Gdy nawet sam Bóg na to zezwalał, dając ludziom dyspensę od stosowania jego przykazań? Gdyby on tylko wierzył w Boga, jak nie wierzy!

1 tę bowiem niewątpliwą łaskę, jaką jest w życiu człowieka wiara, odebrano mu przed laty. W szeregach Czerwonego Frontu. I to też było jeszcze jedną, bodaj najcięższą, nie do wybaczenia z tak wielu krzywd wyrządzonych mu przez ludzi i samo życie.

Potem jeszcze dodał: Czy ja — o mnie szło, jako jego obrońcę — wiem w ogóle, co to był obóz? I jakie tam panowały prawa i obyczaje? Co ja mogę w takim razie na ten temat mówić, jeśli nie znam tych praw, i w jaki sposób go osądzać?

Powiedziałem mu, że mogę i że mam prawo, bo sam to przeżyłem. Nie pytał, gdzie i kiedy. Wydał mi się całko-

wicie zrezygnowany. Otepiały i zobojetniały. Nie interesowało go zbytnio nawet, czy istnieją jakiegokolwiek szanse na uzyskanie łagodnego wyroku. Chwilami odnosiłem wrażenie, iż mnie, swego obrońcę, uważa za intruza, który go tylko męczy swymi pytaniami, swą ciekawością, swym nieznośnym wścibstwem. W końcu przestał się do mnie odzywać, popadł w całkowitą prostrację, siedział cały dzień bez ruchu w kącie celi, skulony, z głową przykrytą kocem.

Dostał w rezultacie dożywocie. Wyroki śmierci stawały się już w tamtym okresie raczej rzadkie. Przestano nimi szafować. Może w tym przypadku zaważył również wyjątkowo niski poziom intelektualny oskarżonego. Do tego stopnia mieliśmy go od dawna dosyć, od prokuratora zaczynając, a na mnie kończąc, że wszyscy odetchnęliśmy, mając go wreszcie z głowy. Usiłowałem lojalnie, na ile potrafiłem, podkreślić jego upośledzenie fizyczne i psychiczne, prosząc o zastosowanie okoliczności łagodzących.

No i jak mi doniesiono, zaraz w pierwszym roku odsiadki kary Janischke zmarł w szpitalu więziennym na raka krtani. A zatem nie symulował. Jego chroniczna chrypka była najautentyczniejszą z chrypek, jakie znałem. To o niczym zresztą nie świadczyło, niemniej wywarło niejakiemu wrażenie na mnie, początkującym obrońcy, który skłonny był jeszcze brać wszystko bardzo serio w poczuciu swojej wyjątkowej odpowiedzialności z racji wykonywanej funkcji. Kiedy po ogłoszeniu wyroku wyprowadzano skazanego z sali, trzeba było bronić go przed gniewem zgromadzonej licznie publiczności i świadków oskarżenia. Niektórzy z nich byli przecież niedawnymi ofiarami skazanego. Tamte lata były jeszcze zbyt bliskie, by je zapomnieć. Dowiedzione fakty, zbyt ohydne i nieludzkie, pamięć o nich zbyt żywa. Zastanawiałem się wówczas, czy mój klient doznaje uczucia strachu, czy też całkowicie zobojetniał i otepiał do tego stopnia, że jest mu wszystko jedno. Tępotą i rezygnacją prowadzonego na rzeź zwierzęcia.

Mimo że w jakiejś mierze, niewielkiej wprawdzie, lecz jednak, przyczyniłem się do złagodzenia wyroku, do orzeczenia kary dożywocia zamiast kary śmierci, doznałem wówczas nieco żenującego, lecz mocnego pragnienia: żeby poczuł nareszcie, co to jest prawdziwy strach. Nie ten przed dożywcotnią celą — na tyle brak mu było wyobraźni, mogła stać się nawet swoistym azylem — lecz ten zrodzony z bez-

i - - - rmMimifc- —

ffiyią

pośredniego zagrożenia życia ze strony rozjuszonego tłumu. Tak. jak musieli drzeć na jego widok więźniowie w obozie, gdy do nich podchodził trzymając na smyczy ogromnego wilczura.

Doszedłem w ciągu wielu lat praktyki sądowej do przekonania, iż być może największą karą nie jest więzienie — do niego można przywyknąć, jakoś się adaptować, liczyć na amnestię czy wcześniejsze zwolnienie z jakiejś innej przyczyny — nawet nie wyczekiwanie na wyrok, choć jest stokroć gorsze niż odsiadka po wyroku, lecz że najokrutniejszą ze wszystkich udręk jest strach przed wykryciem, zdemaskowaniem i stawieniem przed trybunałem u tych, którym udało się i udaje nadal uchylać całymi latami od odpowiedzialności. Na przykład — jak Eichmann. A ilu jeszcze takich kryje się gdzieś w republikach Ameryki Łacińskiej, pod innym nazwiskiem, z twarzą zmienioną do niepoznaki dzięki kosmetycznej operacji. Ci, szczególnie po aferze Eichmanna, jego wykryciu i porwaniu, poczuli się na nowo bezpośrednio zagrożeni i żyją w nieustannym lęku. Ten trwający całe lata niepokój, ten permanentny strach jest karą bodaj najdotkliwszą. I dlatego sądzę, iż amnestia dla byłych zbrodniarzy wojennych byłaby nie tylko wielkim błędem politycznym, lecz także moralnym, jako premia dla nieuchwytnych i najgroźniejszych.

A z drugiej strony — tak sobie czasami myślę — jak długo jeszcze może trwać ten stan zawieszenia? Pół wieku? Za mało? Do końca życia ostatniego z ostatnich, jakiegoś

zgrzybiałego starca, który, na pół już dziecinniejały, nie potrafi sobie nawet przypomnieć ani uświadomić, o co go oskarżają i czy ileś lat temu był bohaterem, czy łotrem, w stosunku do kogo i dlaczego? I czy, poza poczuciem praworządności doprowadzonej do absurdu, odpowiedzialności stosowanej bezterminowo, przeczącej więc odwiecznej zasadzie przedawnienia, miałyby to jakieś istotne, praktyczne znaczenie. Na przykład — jako metoda odstraszenia na przyszłość, tak ważna w zasadzie dla moralistów, a tak wątpliwa dla wielu prawników i teoretyków prawodawstwa? Zatem co? Czyżby już wyłącznie archaiczne prawo odwetu? Oko za oko, ząb za ząb? Nawrót do kodeksu Hamurabiego?

Długoletnie doświadczenie obrońcy karnego pozbawiło mnie również jakichkolwiek złudzeń na temat wyrzutów

sumienia u oskarżonych. Pojęcie to należy, jak mi się wydaje, do zeszlowiecznych rekwizytów wywodzących się, a w każdym razie najprecyzyjniej opisanych w powieściach Dostojewskiego. Wprawdzie dzisiaj też, przynajmniej teoretycznie, istnieją pojęcia zbrodni i kary, lecz ich wzajemna relacja jest inna wskutek zmienionych okoliczności, ^wiązek tych obu pojęć uległ i nadal ulega dewiacji. Inaczej to wygląda, niż sobie zapewne wyobrażał genialny rosyjski pisarz, jeden, jak mi się zdaje, z największych, jakich wydała ludzkość. Lecz i on w pełni nie przewidział wszystkiego w tej dziedzinie.

Spotykałem się i nadal spotykam z notorycznym brakiem poczucia winy. Być może, gdy chodzi o tak zwanych zbrodniarzy wojennych, działa tu teoria, którą można by istotnie przynajmniej częściowo uzasadnić — ^ iż kara spotyka wyłącznie przestępców wykraczających przeciwko prawu międzynarodowemu, a należących do grona pokonanych. Zwycięzcy bez trudu unikają kary za podobne zbrodnie, jest to reguła i nie kwestionowane prawo tryumfatorów. Nie brak przykładów: chociażby Wietnam. Amerykanie należą do głównych zwycięzców ostatniej wojny i dlatego ich zbrodniarze są inaczej traktowani, niż gdyby Ameryka znalazła się wśród państw pokonanych. Wówczas nawet ci, którzy zniszczyli Drezno i mają na sumieniu tyle cywilnych ofiar, co usprawiedliwiano koniecznościami wojny, a także ci, którzy rzucili bomby na Hiroszimę i Nagasaki, pod identycznym pretekstem wymagań strategii, stanęliby przed trybunałem przyszłych zwycięzców, którzy z kolei mieliby własne wstydlive fakty do usprawiedliwienia wyższymi względami, ukrycia czy też zatuszowania. I tak w kółko. A zatem — mówią niektórzy — nie tylko my, Niemcy. To nie wyłącznie nasza specyfika, jak nam chcą wmówić. To tylko odwieczne prawo walki, wojny, wielkich wstrząsów społecznych — i na to nie ma rady, póki istnieje człowiek. Ostatni żyjący człowiek na ziemi.

Jeden z moich byłych klientów, o ile wiem, już dawno nieżyjący, niejaki Rotwacher, Hauptsturmführer SS, mający na sumieniu bardzo dużo ofiar zamordowanych pośrednio, na jego rozkaz, a także bezpośrednio, z amatorstwa, gdyż był zawołanym myśliwym i lubił strzelać, doktor praw | były docent jednego z uniwersytetów, wyznał mi w rozmowie w celi, iż poczuwa się tylko do jednej winy: braku dostatecznej konsekwencji w postępowaniu. Po prostu do zbrodni słabości czy też niedoceny swych ówczesnych obowiązków. Uważa poniekąd fakt ten za zdradę sprawy, której służył, za co zgodziłby się być sądzonym, lecz wyłącznie przez uprawniony do tego trybunał SS. Taki wyrok gotów by zaakceptować i karnie poddać się jego rygorom aż do pozbawienia go życia włącznie. Oświadczył mi, że gdyby miał okazję żyć jeszcze raz i wszystko zaczynać od początku, jeśli się taka sytuacja jakimś cudem powtórzyła, to obecnie wiedziałby, jak ma postępować.

Wysłuchawszy jego stanowczym tonem wypowiedzianych słów, jako też decyzji, iż mojej pomocy jako obrońcy nie potrzebuje, wręcz ją sobie wyprasza, gdyż odmawia prawa sądenia go przez trybunał, którego kompetencji nie uznaje — pomyślałem, iż jego postępowanie należałoby uznać za w jakiejś mierze konsekwentne, a zatem poniekąd i słuszne, rzecz prosta, gdyby się rozumowało tak jak on. Byłaby to słuszność jakby na wywrót, doprowadzona wskutek swego maksymalizmu, jak każdy maksymalizm, praktycznie do absurdu; nie byłaby jednak ani wykrętna, ani tchórzliwa, ani obłudna. Ani — tym bardziej — nielogiczna.

I tkwiła, czaiła się w takim stanowisku mego klienta utajona pokusa, której doznałem na sobie samym. Oto bowiem w pewnym momencie doceniłem z niejaką satysfakcją fakt, iż on nie uległ ani panice, ani załamaniu, że się w ogóle nie zamierza tłumaczyć ani prosić o pomoc, że w ogóle niczego nie chce, do wszystkiego się przyznaje, jest bowiem ze swych zbrodni wręcz dumny, żałuje jedynie, że nie udało mu się wykonać swych zamierzeń tak, jakby się to należało oficerowi SS. Jakiś w nim wyczułem bandycki heroizm,* jakaś z niego

emanowała zła, zimna, lecz fascynująca siła, którą mają niektórzy gangsterzy dużego formatu, a także zapewne psychopaci. Poczawszy jak gdyby cień podziwu dla tego spokojnego szaleńca, którego wbrew jego woli miałem jednak bronić — w czym mi zresztą na sali sądowej usiłował przeszkadzać, w praktyce uniemożliwiając mi obronę — przeląknęłam się nieco. Oto jak łatwo ulec fascynacji złem, gdy ma ono pozory heroizmu, nawet w wydaniu gangsterskim. Jakże można się zatem dziwić zbytnio tym, którzy jak Gentile, Malaparte czy nawet Pirandello, a także Spengler, Salomon, Bronnen, Yeats, Campbell, Pound i wielu, wielu innych dało się opętać i zniewolić

groźnej urodzie, jaką emanował w różnych okresach faszyzm, przynajmniej wówczas, gdy zachowywał łudzące pozory. dekoracje i snuł dymne zasłony, jak heroizm, wierność, romantyzm — gdy ja, zdawałoby się najmniej podatny na podobne trucizny, ja, były więzień, ja, od dziecka/żyjący w odwrotności tego wszystkiego, czym oni szermowali i do czego otwarcie dążyli, nie ukrywając nawet zbytnio swych celów — na krótki moment zaznałem pokusy/ zrozumienia, wytłumaczenia czy nawet podziwu dla zbrodniarza tylko dlatego, że cynicznie i zimno trwał przy Swych zbrodniach, jakby na straży skarbu, pierścienia Nibelungów czy też czary Graala. Mogłoby się chwilami wydawać, że zbrodnia jest wyłącznie pojęciem prawnym podlegającym rygorom takiego czy innego paragrafu kodeksu karnego; problemem moralnym staje się dopiero stosunek zbrodniarza do winy: gdy nie okaże ani skruchy, ani nie uzna winy — staje się w sposób przewrotny. — jednocześnie bliskim niemal że heroizmu, a więc godnym szacunku i podziwu, i zarazem w obliczu prawa pozbywa się jakichkolwiek okoliczności usprawiedliwiających złagodzenie wyroku; gdy się kaja i drży ze strachu || wywołuje również podwójne uczucia: obrzydzenia i wzdrywania dla tchórza i jednocześnie daje obronie atut do ręki; obrońca, kładąc mu dłoń na schylonej kornie głowie, ma prawo zaapelować do sędziów: oto skruszony grzesznik; wybaczcie mu, a przynajmniej zdejmijcie z niego połowę winy.

Kiedy tego mego najbardziej zdecydowanego klienta, nim mi oświadczył, co myśli, ostrzegłem, iż jego upór może mu tylko zaszkodzić, powiedział mi z wyższością i nie ukrywaną wzdrywką, iż byłoby poniżej jego godności kłamać czy wypierać się czegokolwiek, a nawet ukrywać swoje istotne intencje. W jakimś momencie, gdy mu tłumaczyłem, że tak czy owak będzie musiał poddać się woli i decyzji trybunału, odparł, iż — „na rannego wilka rzucają się nawet insekty”.

' A zatem właściwie nie ma winnych, są tylko pokonani, a także zdziwieni czy nawet zgorszeni, iż ktoś obecnie, po tylu latach, stawia im jakiegokolwiek zarzuty, gdy połowa co najmniej społeczeństwa nie może sobie nawet wyobrazić warunków, w jakich te rzekome zbrodnie zostały po~ pełnione. Są urażeni i rozgoryczeni, jak Oppenheim i wielu innych. Istnieją również jednostki żyjące w poczuciu życiowej klęski, zawodu i psychicznego załamania, lecz nader rzadko w świadomości winy. I na tym właściwie byłby koniec.

Jest faktem, że oddalenie w czasie powoduje coraz to bardziej widoczne odkształcenia, zaburzenia proporcji, zatarcie tła, na jakim działały się tamte, tak już dawne sprawy. Niektóre nazwiska i pojęcia zwietrzały, straciły jaskrawość barw i jakąkolwiek emocjonalną wartość. Nie myślę, rzecz jasna, w tej chwili wyłącznie o zagadnieniu wojennych przestępstw i zbrodni. Idzie mi o całość pamięci, przeszłości jako takiej.

:Tak na przykład opowiedziałem kiedyś Trudzie o moim spotkaniu w roku 1948 czy 1949 w Paryżu, na rue Rivoli, słynnej aktorki filmowej, ówczesnej wielkiej gwiazdy, Rity Hayworth. I to, że jej filmowym imieniem Gilda ochrzczono bombę atomową zrzuconą przez Amerykanów na jakiś atol na oceanie. I potem także to, że inna, bodaj pierwsza, próbna bomba została zrzucona na wyspę Bikini. I stąd światowa kariera nazwy Bikini.

Niewiele jej to mówiło. Po dłuższym namyśle, gdy nalegałem, żeby sobie bodaj coś przypomniała czy skojarzyła, niepewna, czy czegoś nie płacze, powiedziała, patrząc mi pytająco w oczy, że bikini to nazwa niegdyś modnych kostiumów kąpielowych. Tak, przytaknąłem — masz rację, także kostiumów, ale dlaczego tak je nazwano? Skąd sama nazwa — bikini? Nie wiedziała. Wzruszyła ramionami, robiąc minę osoby pokrzywdzonej, którą okrutnie prześladowają, zadając jej głupie pytania.

Widziałem na własne oczy i z bardzo bliska Gildę, matkę chrzestną bomby atomowej, i łączył w jej oczach, gdy dowiedziała się od kogoś, kto ją oprowadzał po Paryżu, a zwłaszcza po sklepach w okolicy place Vendôme i rue Royale, iż wyłaczany pomnik dziewczyny na koniu

obok Luwru przy rue Rivoli przedstawia kogoś, kogo spalono na stosie. Jak Truda o niej samej, o Gildzie, i o wyspie Bikini, tak ona, patronka tejże „Gildy” i słynna gwiazda, w pobliżu pomnika Joanny d'Arc dowiedziała się po raz pierwszy o niej i jej tragicznym losie. Widziałem zatem i ją, i jej łzy wylane nad losem Dziewicy Orleańskiej, i małą malutką, którą kupiła i którą uwiązaną na smyczy, skrzeczącą i przerażoną tuliła do siebie, pocieszając, zalana łzami, prowadzo

na przez sekretarkę i tłumacza i jeszcze kogoś do wspaniałego Rolls Royce'a.

I to dopiero zdołało nieco zainteresować Trudę. Lecz Inie na długo. Nie oglądała nigdy żadnego filmu z „boską” Ritą, ode mnie dowiedziała się, co oznacza słowo Bikini. Czas szybko płynie. Zacierają się ślady, bledną najjaskrawsze obrazy, przestają cokolwiek oznaczać najważniejsze symbole i hasła, odchodzą w zapomnienie idole, zarówno bohaterowie jak zbrodniarze.

Truda, słuchając mnie, siedziała na podłodze w dużym pokoju w willi na Bornweg, kołysząc się do rytmu melodii płynącej z tranzystora. Żuła gumę, poruszały się w takt jazzu jej nieco męskie ramiona, a także szczęki. Słuchała mojej gadaniny, mego dla niej po części, lecz bardziej dla siebie samego przeznaczonego wykładu na temat znikomości symboli, złudnej trwałości znaków, haseł, zaszczytów i sławy, i chyba również dwuznaczności pojęcia winy i zbrodni. Wszystko wsiąka w ziemię jak przelana krew. Kto, dla kogo i po co ją przelał — czy długo pamiętamy? Po czyjej stronie był Dante pisząc Boską komedią — papieża czy cesarza? Jakie zbrodnie popełnił Ezra Pound? A Katyliną?

Zgięta w pasie, podciągając kolano pod brodę, wciąż monotonicznie żuła gumę poruszając szczękami i słuchając bardziej muzyki z tranzystora, ściszonej na moje żądanie, niż tego, co do niej mówię. I ja, jakby dostosowując się do rytmu jazzu towarzyszącego moim słowom jako tło i do rytmicznego kołysania się Trudy siedzącej u moich nóg na podłodze, nadałem bezwiednie moim słowom, memu głosowi rodzaj skandującego rytmu. Kiedy się w tym zorientowałem, nagle rozgniewany zamilkłem, a wtedy Truda przestała poruszać szczękami o napiętej, gładko śniadej skórze, a było coś psiego w jej twarzy i jej ruchach, i wysunąwszy na końcu języka żutą gumę, spojrzała ku górze na mnie, zdziwiona nagłą ciszą, po czym przykleiwszy gumę do gołej pięty, kucając na drugiej nodze, przysunęła się do odstawionego przede mną na bok, by jej nie kusił zbyt, tranzystora, zadowolona, że już jej wolno wzmocnić jego natężenie głosu. I istotnie rytm jazzu fortissimo wypłynął z aparatu, a ja, nawet gdybym chciał podjąć mój przerwany monolog, byłbym całkowicie przytłumiony, zagłuszony i zdominowany przez hałas iluś tam decybeli.

Dla młodych — nie szło przecież tylko o Trudę, lecz i o innych, o Ernesta przede wszystkim — symbole, zdawałoby się odwieczne, niezniszczalne, trwałe straciły pierwotne znaczenie, stając się muzealnym zabytkiem, szkolną piłą, maniactwem belfrów. Stalingrad czy Auschwitz, Dachau czy Verdun, lecz także Austerlitz i Kanny, wszystko zrównało się w ich świadomości, tworząc jednolitą magmę, bezkształtną masę informacji bez większej praktycznej wartości. Takie nazwiska jak Mussolini czy Goering, lecz obok nich i równolegle — Foch, Clemenceau czy Petain lub Churchill, i wiele, wiele innych, dla mego pokolenia tak ważnych, znaczących i istotnych to już w większości martwe pozycje wyjęte z encyklopedii.

— Przestałbyś wreszcie nudzić — tak wielokrotnie Ernest do mnie. — Przecież to są starocie zupełnie, archiwum, śmietnik, czy ty tego nie rozumiesz?

Zaś panna Truda Uhrmacher — inaczej Ru albo podwójnie Ru-Ru — gdy miała dość mojej gadaniny, korzystając z chwili przerwy, przysuwała się, jak wtedy gdy jej opowiedziałem o Gildzie i o Bikini, podpełzała ku mnie na kolanach i zaczynała majstrować przy moich spodniach. — Zostaw — mówiła, gdy jej bronilem, a głos jej natychmiast matowiał, a potem chrząkał pod wpływem ekscytacji, w jaką wpadała — pozwól, wiem sama, co robię, zostaw! —

I odpychała moje ręce — masz taki tłusty brzuch, takie brzuszysko, śliczne różowe sadelko, lubię strasznie całować to twoje wstrętne brzuszysko — popatrz, już od spodu siwiejesz, no, nie przeszkadzaj mi! — i tak dalej. Potem, jak zawsze, gdy wpadała w trans, zaczynała wyrzucać z siebie najohydniejsze, rynsztokowe wyrazy, które nawet ja, obeznany z aresztanckim slangiem, nie zawsze znałem, stek wyzwisk, klątw, okrzyków nieodłącznych od stanu podniecenia wzrastającego crescendo. Jakby się nagle zapalały alarmowe światełka,

stawała się kimś nie do poznania, zmieniała się w ciągu ułamka sekundy z apatycznej z pozoru dziewczyny — w miotającą się, agresywną histeryczkę, krzyżącą na głos, mieszającą śmiech z płaczem, wrzaski

2 ochryłym szeptem. Ciskała się po podłodze, bijąc nogami o meble, tarzała się zrywając z siebie i ze mnie wszystko; uspokajała się dopiero po całkowitym wyładowaniu, i to wielokrotnym, albo po otrzymaniu paru siarczystych policzków; wtedy cichła, trzeźwiała, ukazywała zdziwione,

wielkie oczy, jakby nie wiedziała, co wyprawiała przed chwilą. Mówiłem do niej: — Ty idiotko, ty kretynko, ty głupi zwierzaku, popatrz, coś narobiła — stłukłaś wazon. — Albo: — Nabilaś sobie guza.

Sądzę, że gdyby wtedy, na wiosnę 1970, nie znikła, idąc za Ernestem, zapłaciłbym zdrowiem za ten bzdurny, szalony romans. Wpadłbym niezawodnie w neurastenię, znosząc jej wariactwa, wyskoki i histeryczne wybryki, a także wymagania przerastające moje siły fizyczne. I tak odchorowałem tych kilka miesięcy spędzonych z nią . razem.

I potem nagle ten niespodziewany telefon z Rizzastrasse, z Prezydium Policji. Rozmowa z komisarzem. Wyjazd do Hamburga jeszcze tego samego dnia, ekspresem „Gambri- nus”. Moje myśli, gdy tak stałem na korytarzu, patrząc, jak za szybą migają w ciemności mijane drzewa, dachy, ułamki widoków wyłaniających się z mroku i zapadających weń z powrotem. I jakiś ksiądz w sutannie stojący przy oknie obok mnie.

Moje myśli o młodych. O takich jak mój Ernest. Jak Ru Że podział na generacje, wszędzie bardzo jaskrawo się zaznaczający, ostrzej niż kiedykolwiek poprzednio — u nas w Niemczech stał się jeszcze wyraźniejszy niż gdzie indziej. I że przyczyna leży głównie w tym, że my, starsze pokolenie, tyle spraw przegraliśmy, tracąc do reszty autorytet. Nie idzie tylko o wojnę. Przegraliśmy, zdaniem młodych — niektórych młodych, i sądzą, że właśnie tej nie najgorszej części naszego młodszego pokolenia, która w ogóle rozumuje, czegoś chce, czemuś się sprzeciwia w odróżnieniu od innych, wzorowych synów mieszczańskich, uładowanych, grzecznych przedstawicieli konsumpcyjnej cywilizacji, groźnych na przyszłość, gdyż bezwzględnych w swym egoizmie i zdyscyplinowanych jak ileś tam lat temu ich ojcowie — że to nasze pokolenie poniosło klęskę nie tylko wojenną, lecz jak gdyby totalną.

Pamiętam, że jeszcze Sartre w Brudnych rękach pisał: „Nie wiem, co to młodość. Przeszedłem bezpośrednio od dzieciństwa do wieku męskiego.” Tak się wyraził jeden z bohaterów jego sztuki, zdaje się, Hoederer. I on, ten człowiek, był jak ja pochodzenia proletariackiego, więc nie dźwigał na sobie całego balastu mieszczańskiej kultury i jej nawyków działających jak worek kamieni u szyi. I że na te słowa odpowiada mu inny bohater tej samej sztuki, Hu-

wym
go, typowy francuski petit bourgeois: „Młodość to choroba mieszczańska. Wielu na nią choruje, a nawet umiera.”

Jakoś tak, o ile dobrze pamiętam. Dziś Sartre by już tego chyba nie napisał. Jego znamienna ewolucja też o czymś świadczy. A młodzi z grupy Ernesta nie przyjęli go za swego, podobnie jak odrzucili po pierwszych zachwytach starego proroka, jakim był zrazu Marcuse. O Sartrze powiedział Turgieniew czy może Hugo, a może nawet sam Ernest: „Stary lizus! Podglądacz! Onanista! Obłudnik!” Że schlebia młodym, pragnąc przedłużyć sztucznie złudzenia własnej młodości dawno straconej, sprostytuowanej do cna, rozmienionej na drobne, komplet uczuć wyprzedanych na różnych kramach i kramikach politycznych targowisk. Że jednym słowem, pragnąc uzyskać za wszelką cenę uznanie młodych, chce się przy tej okazji sam odmłodzić. To samo usłyszałem o Adorno i o Salomonie. „Śmietniki! — oświadczył Ernest i wzruszył ramionami. — Kubły na śmiecie! Spluwaczki!”

Wydaje mi się, że jedyny marksizm umie logicznie rozumować, a także przewidzieć i należycie ocenić procesy kolejnych ewolucji społecznych. Lecz, jak niektórzy utrzymują, potrafi wprawdzie uzasadnić rewolucję jako konieczność, jako jedyne rozwiązanie wciąż rosnących trudności, to jednak niezupełnie radzi sobie z konfliktem pokoleń. Nie umiejąc zaś ująć go w jakieś logiczne normy ani należycie wykorzystać dla celów przyszłości — po prostu neguje sam problem. Istnieje tylko walka klas — nie ma, gdyż nie może istnieć — żadnej walki pokoleń. Nie potrafię w tej sprawie wypowiedzieć się i osądzić, kto tu ma rację. Czy na przykład konflikt między mną a Ernestem świadczy o czymś więcej niż o braku

porozumienia często sztucznie podkreślanym, i to przez obydwie strony, czy jest w nim coś więcej, jakaś reguła?

Jusos, którzy ostatnio wyraźnie górują nad innymi politycznymi ugrupowaniami na wyższych uczelniach, gdy jeszcze dwa lata temu różnego pokroju ekstremiści panowali w uniwersytetach, rzucili hasło: „Terroryzujcie terrorystów!” — i kilkunastu młodych wyrzucili ze swych szeregów za zbyt skrajne poglądy. Wydaje się, że Jusos po zwycięstwie koalicji SPD-FDP i Brandta znacznie stracili na rozmachu, zrezygnowali z bardziej lewicowych programów, uspokoili się i przesunęli bez wątpienia nieco na prawo.

Nie chcą uchodzić za opozycję. Stanowią wśród młodzieży coraz to potężniejsze centrum. Wszystko'zatem jak gdyby wraca do normy. Ci, którzy pozostali przy nieustępliwej kontestacji, prawem kontrastu odeszli jeszcze dalej, na sam skraj ultralewicy, aż po całkowitą anarchię.

Skrajna prawica jak gdyby przycichła, ale nie straciła na sile, nie stanowiąc jednak, jak się zdaje, na razie większego niebezpieczeństwa, pod warunkiem że sytuacja gospodarcza nie ulegnie większym zmianom na niekorzyść.

Co zatem pozostanie po latach buntu, złudzeń, nadziei, totalnej negacji? Nieco dymu, swędu, spalenizny po pożarach, które przygasły? Kilka zdemolowanych magazynów, auli uniwersyteckich tu i tam, sporo złudzeń, zniechęcenia i goryczy? I tylko tyle?

Wydaje mi się, iż mimo wszystko należy odnotować skrzętnie co najmniej dwa pozytywne zjawiska: pierwsze to upadek autorytetu ojca, czyli głowy rodziny; odczułem to na sobie; raz wyśmiana instytucja, zeszlowieczny model mieszczańskiej rodziny, w której wyrocznią i dyktatorem był ojciec — nigdy nie wróci. A kiedy ojciec, to i szef, czyli patron w biurze czy w fabryce, to kapral i generał w armii; to wreszcie wierzchołek piramidy wszelkich autorytetów, Wódz, Fuhrer. Po drugie — zachwianie kultu uniformu. Ten spadek po Prusach, powszechny w całych Niemczech gdzieś od czasów Sedanu i ogłoszenia Cesarstwa w Wersalu, rozprzestrzeniony od granic Prus Wschodnich aż po Alzację i Lotaryngię, nie skompromitowany dostatecznie po tamtej wojnie, odwrotnie, opromieniony legendą, obrósł setką przeróżnych mitów. Obecnie upadł, skończył się, przynajmniej u młodych. Jeden z kolegów Ernesta, który niedawno odslugiwał wojsko, gdy go spotkałem po południu w kawiarni „Royal” po cywilnemu, na moje pytanie, czemu nie nosi uniformu, odparł zdziwiony, iż się aż tak dalece nie orientuję:

— Moja dziewczyna nie poszłaby nigdy ze mną ani do kina, ani do parku, ani na dancing, gdybym był w mundurze zupaka.

— A gdybyś był oficerem? — spytałem zaciekawiony.

— Tym bardziej nie! — mruknął niechętnie znudzony moimi indagacjami. — Z takim pajacem?

A zatem dwie korzyści, z dwu spraw załatwionych na Nie. Upadek dwu ważnych i groźnych autorytetów. Przy najmniej na dziś. Zapewne — to niemało, ale jakie mamy zyski na Tak? Obawiam się, że przeżywamy w ogóle powszechny zmierzch autorytetów, i to bez względu na to, jakie są i co sobą reprezentują. Nie zmierzch ideologii — jak utrzymują Aaron i inni — tych się namnożyło co niemiara i wciąż istnieje popyt na nowe, lecz właśnie autorytetów. A to są dwie różne sprawy. W miejsce trwałych, niezłomnych, tradycyjnych bohaterów rodzą się krótkotrwali idole. He pozostało autentycznych autorytetów?

A zatem — jak chce Ernest i jemu podobni — gdy nie ma winnych, a w każdym razie poczuwających się do winy, gdy byli zbrodniarze wojenni dożywają swych dni na zasłużonych emeryturach, znękani wprawdzie procesami, lecz już od dawna wolni, korzystający z promieni jesienno słońca na łonie swych rodzin, w otoczeniu dzieci i wnuków, w cieniu altan i starych parkowych drzew, na dożywotnich wilegiaturach —¹ jedynymi winnymi jesteśmy my, pokolenie, które przeżyło i trwa, my rzekomo niewinni, czyści i sprawiedliwi w tej Sodomie. My stojący poza sprecyzowanymi oskarżeniami. My, którym wprawdzie udało się przetrwać, przeżyć, przetrzymać próbę ognia i wody, i galop Czterech Jeźdźców Apokalipsy — lecz którzy niczemu nie potrafili zapobiec, a (niewiele przewidzieć ani bodaj własną śmiercią potwierdzić i przypieczetować swą całkowitą bezsilność, bezradność, życiową nieprzydatność i po stokroć zasłużoną klęskę[^]JSą dożywotnimi świadkami. I — to również stały zarzutTfirnsta — żyją jakby nigdy nic, tak jak ja, we względnym dobrobycie, w poczuciu beztronski i dosytu, odcinając kupony od swej rzekomej

szlachetności nikomu na nic nieprzydatnej, bo na nic się nie przydała, śmiesznej jak gładzenie emeryta.

Przyśniły mi się pewnej nocy włosy. Że je rozczesuję, że w nich brodzę jak w płytkiej, lecz gęstej wodzie, że się przeze mnie przesypują, sypkie, suche i szeleszczące niby trawa lub jedwabne sczesane pasma przędzy o nieokreślonej, jasnej barwie. Co to oznacza? Co może wróżyć? Czyjaś śmierć? Czyjaś radość? Nic zgoła? Wspomnienie dotyku włosów Trudy? A może po prostu utrwalone podświadomie wrażenia z widowiska Hair, które oglądałem nie tak znów dawno. Jakieś być może echa. „Hair, Hair, Hair! — Długie, Długie Włosy — Kriszna —

I Hair! — Rama — Hair! — Pozwólcie Nam Wszystkim, Nam Wszystkim — Bodaj Raz Jeden, Raz Jeden — Chcemy być Wolni — Hair — Hair: — Hair! — Co najmniej Jeden Razi — Nawet gdyby Nasze Włosy miały być tylko z papieru albo z piór — Nawet wówczas — Dobrze mi się powodzi, Mamo, Jestem nareszcie Wolny! — Siostrzyczko! — Dziś — Jutro i — Pojutrze! — Gdyż [zyskaliśmy Wolność Szaleńców —, Wielką, Wielką Swobodę Szalonych

Zapamiętałem słowa, może nie całkiem dokładnie, tyle razy słysząc je nagrane na płytę i puszczone na adapterze przez Trudę. Była ze mną na Hair, nie tak zachwycona, jak tego oczekiwałem, ale niektóre melodie jej się podobały. Więc kupiła sporo płyt.

W Hamburgu wczesnym rankiem w Prezydium Policji. Komisarz MN, do którego zgłosiłem się natychmiast po przybyciu na miejsce. Miałem rację, a może przecucie [mnie nie myliło. Przypomniałem sobie również aluzje i napomknienia tamtych chłopaków napotkanych po drodze z Kolonii, dawnych kumpli Ernesta. Szło, jak mnie bardzo uprzejmie poinformował komisarz MN, o związek mego syna z grupą terrorystyczną, od nazwisk głównych przywódców nazwaną Baader-Meinhof. Tę Meinhof spotkałem niegdyś w Berlinie, gdy jeszcze była żoną znanego dziennikarza Róhla. Potem go rzuciła, jako reakcjonistę. W 1968 roku była już bardzo czynna, wraz z Fritzem Teuflem i Rainerem Langhanssem. Wygłaszała, propagowała hasła, o których już słyszałem: „Pisanie — to gówno! Wola walki rozłazi się w nie kończących się dysputach! Zatem — dość gadania — czas na czyny!” Znam to przecież. Nie ona jedna i nie ona pierwsza. Cała grupa wokół Ulriki Meinhof: Gudrun Ensslin, studentka, Andrzej Baader, dziennikarz, Thorwald Proll, student, Horst Sonlein, aktor teatralny — wspólnie w słynnym, burzliwym, szczytowym roku 1968 podłożyli ogień pod magazyny domu towarowego firmy Schneider we Frankfurcie. Szkody ponad dwa miliony marek. Dobrze pamiętam, tyle o tym pisano w gazetach. Teoretycy walki w miastach, walki ulicznej przestudiowanej dokładnie na wszystkich możliwych przykładach, od Stalingradu — aż po technikę walk w Warszawie w roku 1944, w czasie tamtejszego powstania, a także wojny w Algierze i na Bliskim Wschodzie. Praktyka u fedainów w Syrii i Libanie. Czarny Wrzesień. Tupamaros.

Różne odłamy APO, o których dziś, zaledwie po trzech i pół roku, niewiele już słyhać. Grupa Ulriki Meinhof opanowała willę Rohla, byłego męża Ulriki", redaktora pisma „Konkret", mieszczącą się na przedmieściu Hamburga, w dzielnicy Blankenese. Głoszenie otwarte terroru indywidualnego, a także masowego, terroru jako metody i drogi do celu, lecz także — terroru jako celu samego w sobie, gdyż w pewnych sytuacjach staje się on jedyną oznaką oporu, rozpacz, protestu, krzyku, który powinien usłyszeć cały świat, j, „Będziemy krzyczyć, aż nas wreszcie usłyszą!” — czytywało się na murach przed trzema, nawet jeszcze przed dwoma laty.

Niewiele nowego mógł mi powiedzieć na ten temat komisarz MN. Tyle że pewien odłam grupy Baader-Meinhof pojawił się ponownie w Hamburgu i usiłował dokonać zamachu na kilka obiektów w mieście — między innymi na gmachy koncertu Springera, centralną pocztę, na zespół budynków sądów i areszty przy Sieveking Platz, przy Holstentor i jeszcze gdzieś tam. Policja, uprzedzona w porę, zrobiła obławę na terenie kilku dzielnic naraz. Ujęto parę osób, między innymi Ernesta. Z ich zeznań okazało się, że samej Ulriki Meinhof między nimi nie było. Pozostała w Berlinie. Ani drugiego prowodyra, Andrzeja Baadera, ani Astrid Proll, występującej pod pseudonimem Rosi, gdy sama Wielka Ulrika używała kilku kryptonimów — Anna, a także Maria. Nie odnaleziono również innych ważniejszych członków groźnej terrorystycznej grupy — komisarz MN nazwał ją „Desperados" — których miano nadzieję wyłapać przy okazji. Uciekli albo ich istotnie w Hamburgu nie było. Trafiono na ślad kilku z nich w Hanowerze, reszta zapewne pozostała w Berlinie.

— Ta szelma, Angela Luther, była tutaj, no i wymknęła nam się, zwiąła nam dosłownie sprzed nosa. Na szczęście dla pańskiego syna, panie mecenasie — nie znaleźliśmy przy nim broni ani żadnych innych dowodów rzeczowych, świadczących o zamiarach terrorystycznych. Nawet ulotek. Ulotki miała przy sobie jego dziewczyna, ta hippiska.

Zapytałem, czy mi zezwoli na widzenie z synem.

— W zasadzie w trakcie śledztwa nie powinienem, ale dla pana mecenasa zrobię ten wyjątek. Zresztą — dodał uśmiechając się i przerzucając jakieś papiery — pański syn oddał nam niejaki usługi, a może odda jeszcze dalsze...

Dzięki niemu mamy kilka interesujących informacji odnośnie do kilku osób. Chce go pan zaraz zobaczyć?

Drgnąłem. Powiedziałem do niego: — Nigdy nie uwierzę, cokolwiek on zrobił i jakiegokolwiek głupstwo zamierzał jeszcze zrobić, żeby mój syn sypał...

Uniósł brwi: — Dziwią mnie nieco w pana ustach, panie mecenasie, takie słowa, jak — sypać. Bo co ono właściwie znaczy? Ja bym raczej użył innego określenia: może wreszcie zmądrzał? Albo też — w końcu co nieco zrozumiał. Pan jest odmiennego zdania? Nie będę się upierał. Proszę bardzo.

Nic na to nie odpowiedziałem. On podjął, w oczekiwaniu na telefon w sprawie ułatwienia mi widzenia z Ernestem, którego przewieziono w nocy do innego więzienia, temat ogólny: studenci. Wyliczył mi, że problem ten w sensie porządku publicznego, dzięki Bogu, już się właściwie kończy. Wielka fala — a taka niewątpliwie istniała i stawała się groźna w roku 1968, a nawet jeszcze poniekąd w 1969 — już opadła. Grupa protestacyjna zwana od daty śmierci studenta Benno Ohnesorga „Ruchem drugiego czerwca”. — Czy pan wie, panie mecenasie, że o ile w roku 1968 około czterdziestu procent studentów w Hamburgu można było zaliczyć do zbuntowanych i aktywnych, to obecnie, w 1971, zaledwie — a i to góra — najwyżej cztery procent. A więc sam pan widzi, panie mecenasie. Pozostali na placu tylko tacy jak ta Meinhof, a poniekąd i pański syn, otumaniony przez tamtą wariatkę i jej otoczenie. Tacy różni Desperados. Niedobitki. Za to, przyznam, nader groźni, gdyż są to ludzie zdecydowani na wszystko. Musimy ich zatem szybko zlikwidować. Użyłbym nawet określenia — wytepić, ale nie użyję go, bo nieładnie brzmi. Coś może przypominać — uśmiechnął się — mam chyba rację, nieprawdaż? Mimo iż są to, właściwie mówiąc, zwykli bandyci, kryminaliści. — Zachnąłem się: — Wolę stosować nomenklaturę zgodną z kodeksem. Bandytyzm, zgodzi się pan chyba, to jednak coś innego. — Popatrzył na mnie: — Podjąłby się pan, mecenasie, w razie czego, obrony tej Meinhof? — Bez chwili wahania, panie komisarzu. — A co by pan zrobił na naszym miejscu? —• uniósł brwi.

Odparłem, że po pierwsze, nie "wyobrażam sobie siebie w żadnym wypadku na miejscu policji, -to nie moja rola, a po drugie, w razie takiej konieczności — próbowałbym ich jakoś zrozumieć. Zrozumieć to już poniekąd trafić do nich. A trafić to być może — rozładować napięcie, a w każdym razie zapobiec wielu nieszczęściom.

— Tu nie ma nic do rozumienia — skrzywił się podejmując słuchawkę. — Zaraz dam panu przepustkę do aresztu śledczego przy — tu wymienił dokładny adres. — Ma pan swój wóz? Bo to daleko stąd. To nie u nas w AI to nic, lecz w Hamburgu po drugiej stronie miasta.

— Nie szkodzi. Dam sobie jakoś radę. Znam dobrze Hamburg i wiem, gdzie to jest. '

Nie wytrzymałem jednak i zapytałem, nim od niego wyszedłem: — A tamta dziewczyna?

Komisarz MN, który właśnie zapalał papierosa, popatrzył na mnie poprzez płomyk zapalniczki, zgasił ją z trzaskiem i zrobił niewyraźną minę: — Chyba już panu powiedział nasz wspólny przyjaciel, komisarz L. tam u was, w Koblencji, że nie żyje. Trudno. Bardzo żałujemy. Stało się.

Wstałem, pożegnałem się, pojechałem z- Altony aż na drugi koniec Hamburga. To istotnie bardzo daleko, właściwie niemal już w dzielnicy Harburg. Czekać na widzenie z Ernestem, który w momencie, gdy przybyłem na miejsce, poddawany był jakimś dodatkowym przesłuchaniem, wdałem się w rozmowę ze starszym już cywilnym funkcjonariuszem policji. Ten szpakowaty jegomość objaśnił mi, że Truda Uhrmacher — zginęła w czasie obławy, w dzielnicy Blankenese, nie opodal Willi należącej dawniej do byłego męża Ulriki Meinhof, Rohla. Kiedy Ernesta schwytano, czatując na niego w chwili, gdy opuszczał stację kolejki podziemnej Blankenese — ona będąc z nimi zaczęła uciekać, no i — ten starszy pan z hamburskiej policji nie był przy tym, więc nie zna szczegółów — biegnąc, miała jakoby wpaść pod nadjeżdżający z boku samochód policyjny i uderzyć z całej

siły głową w maskę wozu. Dwukrotne złamanie kręgosłupa, a także miednicy, pęknięcie wątroby oraz pęcherza. Taka przynajmniej wersja oficjalna. Dziewczyna umarła nie odzyskawszy przytomności w drodze do szpitala. — Czy mógłbym ją zobaczyć?

Uniósł brwi bardzo zdziwiony — Kogo? Ją? Po co to'panu? Czy ta hippiska to pańska znajoma, może krewna?

■— Raczej znajoma. Tak. A -więc? Jeżeli to w ogóle jest możliwe i dopuszczalne, byłbym zobowiązany.

Skrzywił się.

Powtórzył: — Po co to panu? — I po chwili, widząc, że nie ustępuje: — Skoro jednak aż tak panu na tym zależy... Muszę tylko pana uprzedzić, że jej tutaj nie ma. Zwłoki odesłano do anatomicum. Pan rozumie, sekcja i tak dalej. Zatem musiałyby pan pojechać stąd aż tam, a to dośó daleko.

Znów popatrzył na mnie. Widząc, że czekam na decyzję, dodał:

— Dobrze. Skoro pan tak koniecznie chce. Ostatecznie... Jeżeli jeszcze to praktycznie możliwe. Zaraz zadzwonię i uprzedzę o pana przybyciu.

Podjął słuchawkę, dzwonił dokądś, długo czekał na czyjąś odpowiedź. Potem, po krótkiej rozmowie, zwrócił się do mnie, nie odkładając jeszcze słuchawki na widełki: — Już zrobili sekcję. Dziś z samego rana. Mimo to, jeśli pan istotnie trwa przy swej decyzji. — proszę bardzo. Niech się pan powoła na mnie. Jest tam w tej chwili niejaki... — tu wymienił nazwisko jakiegoś L. -*—. On w tej chwili jeszcze jest, ale musi się pan pośpieszyć, bo później zamkną lokal.

Podziękowałem za ułatwienie i pojechałem z powrotem do Hamburga. Istotnie, ten L., zdaje się magister, nie jestem pewien, z wydziału kryminalistyki czy z zakładu anatomii sądowej, uprzedzony telefonicznie już na mnie czekał. Był w białym fartuchu. Sprowadził mnie na dół, do podziemia. Ogarnął nas chłód. Panowała tu mroźna temperatura. Dokoła białe kafelki i podłoga pokryta jasnoniebieskim linoleum. W głębi wielkiej sali krzatali się jacyś ludzie, chyba woźni. Jeden z nich bardzo stary, w okularach, z rzadkimi siwymi wąsami.

— Widzi pan — mówił po drodze nieco jak gdyby zakłopotany magister L. — muszę pana z góry uprzedzić, że nie zastanie pan być 'może tego, czego się pan spodziewał. Studenci, kiedy się dobiórą do kogoś takiego z wypadku, a tym bardziej zajścia, pokrajają na' drobne kawałeczki, trzeba czy nie. Dla zasady, a może z ciekawości, czy czegoś podejrzanego nie odkryją, pan rozumie? Więc zostają po nich —? powiedziałbym — tylko poszczególne elementy. W dodatku nigdy się nie wie, czy wszystko oddali, czy raczyli złożyć jakoś do kupy. — Zniżył głos do szeptu, przytrzymując mnie za rękaw płaszcza. — Zwykle niestety coś tam po drodze ginie przy okazji... Czy pan zdaje sobie z tego spracym

wę, mecenasie, iż zdarzały się wypadki zabierania z sobą przez młodych laborantów poszczególnych fragmentów zwłok — nie mam pojęcia, czy mających służyć jako materiał do studiów w domu, czy do eksperymentów, a my tutaj podejrzewamy nawet, że preparują z nich jakieś talizmany! Niestety, jak dotychczas, nie udało nam się żadnego z tych filutów złapać na gorącym uczynku, mimo że zaostrzyliśmy kontrolę i wzmogli czujność. Stwierdziliśmy bowiem pojawienie się na rynku... Nazwijmy to oględnie towarem... Oni go sprzedają za pomocą pośredników różnym kolekcjonerom osobliwości, maniakom, a także marynarzom uważającym coś takiego za rodzaj maskotki przynoszącej szczęście. Najczęściej zdarzają się palce od rąk, czasem od nóg — jeden albo dwa razem, czasem kilka kręgów stosu pacierzowego, rzadziej ucho lub wypreparowany strzęp skóry... Niedawno zaginął na przykład penis pewnego Murzyna zabitego w bójce... Obrzydliwość! Co robić! Nie sposób upilnować. Ale sprawa jest nader przykra. Proszę też o pełną dyskrecję. O, to tutaj. Tędy, panie, tędy. Niech pan podejdzie i przyjrzy się. Wie pan, stwierdzono w jej krwi sporo heroiny. Była niezawodnie w narkotycznym rauszu, w chwili gdy zginęła.

Ten facet miał rację.

Istotnie, przekonałem się, jak to może wyglądać po sekcji. Stary woźny odszukał wedle numeru miejsce, gdzie się to znajdowało. Zobaczyłem głowę Trudy, ogoloną do gołej skóry, białą i gładką jak jajo, z fragmentem szyi uciętej równiusieńko ostrym narzędziem. Sterczała pionowo z porcelanowej misy. Powieki były po wierzchu zszyte nicią. Wydawało mi się

przez chwilę, że bezkrwiste, niemal białe wargi przybrały, jak za życia, grymas ni to uśmiechu, ni to skrzywienia do płaczu. Dziwaczny niewątpliwie w tym miejscu i w tej sytuacji, samoistny jak gdyby, niezależny od otoczenia, niezależny i zarazem drwiący. Gdzieś obok dostrzegłem kredowobiałą stopę dziewczyny, odpiłowaną tuż poniżej kostki. Wyglądała jak gipsowy przycisk na biurko. Nie krwawiła. Szybko odwróciłem oczy.

— Nie brakuje niczego? — zapytał cicho magister L., zwracając się do woźnego, który grzebał się jeszcze w jakichś białawych strzępach rękami w gumowych rękawicach, nieco za luźnych na jego chude i małe dłonie o palcach zniekształconych artretyzmem. Tamten mruknął coś

niewyraźnie. Wyszliśmy stamtąd szybko. — No co? zadowolony pan? — r spytał zacierając rękę. Podziękowałem memu uprzejmemu cicerone i wróciłem taksówką na drugi koniec miasta, by się zobaczyć z moim synem, Ernestem.

Właśnie ukończono jakieś sprawy — uzupełnianie śledztwa czy może, jak to jest w takich wypadkach — robiono pomiary ciała, zdjęcia z profilu i en face, odciski palców. Policyjna rutyna, znana mi od tylu lat. Pracownik policji wstał zza stołu, przy którym coś notował, i odszedł dyskretnie pod okno, gdy wprowadzono Ernesta.

— Proszę rozmawiać, ile czasu pan tylko zechce, panie mecenasie. Bez ograniczeń. Kwadrans, pół godziny.

W jakiś czas później — kilka, może kilkanaście dni — jechałem wozem z Koblencji do Monachium przez Frankfurt nad Menem. Mijając wielkie cmentarzysko pełne samochodów, zardzewiałego żelastwa, puszek po konserwach i pustych pojemników od benzyny i smarów, w ogóle wszelkiego rupiecia, jakiego dostarcza masowo całymi tonami dzień w dzień każde większe miasto, ujrzałem nagle dziwny widok: o jakieś mniej więcej dwieście, może trzysta metrów od autostrady, z której zjechałem, szedł pochód czy procesja, jak się zorientowałem — jedna ze scen nakręcanego właśnie filmu. Po chwili ujrzałem reżysera i operatora w grupie asystentów, stojących nieco z boku. A także długowłosego młodego człowieka odzianego w luźną białą szatę, idącego bosy szybkim krokiem. Dźwigał na plecach, a właściwie na karku, poprzeczkę krzyża, którego dłuższe i cięższe ramię wieszono za nim na niewielkim wózku. Obok niego i w ślad za nim gil niewątpliwie Chrystusem zmierzającym na Golgotę, która musiała znajdować się gdzieś u szczytu tej olbrzymiej hałdy odpadków — podążał tłum odziany w stroje z epoki, rzymscy żołnierze z dzidami i w hełmach, jakieś kobiety, lecz również ludzie odziani w ubiory dzisiejsze, pomieszani z tamtymi, coś wykrzykujący. Gdy cały ten korowód mijał mnie, w tym samym czasie autostradą przejeżdżały setki samochodów, wielkie autokary, z których zaciekawieni podróżni, wychyleni przez okna, coś wołali machając rękami, potem amerykański pojazd pancerny, w którym żołnierze w kaskach jak na komendę unieśli ku niebu po dwa palce rozchylone w kształcie zwycięskiego V, skandując: — Hip-hip — hurra! — wszyscy z twarzami zwróconymi przez chwilę ku tamtym, znikającym już za skłonem, wzniesienia.

Stałem zafascynowany i wciąż patrzyłem. A obok — dopiero teraz go dostrzegłem — siedział na kupie żelastwa brodaty i długowłose młody hippis, odziany tak, jak tamten niosący krzyż na Golgotę, bosy i brudny. Przez cały czas grał na fujarce.

Podszedłem do niego i zagadnąłem: — Nie wiesz przypadkiem, co się tam na górze dzieje? Kręcą chyba jakiś film? — A wtedy on, przerywając na chwilę swoje granie, podniósł na mnie bardzo jasne i bardzo niebieskie oczy i powiedział zdziwiony: — Nie wiesz? "Wiodą na śmierć człowieka. Jednego z nas. Jak co dzień od początku świata. — A po chwili, powiódłszy po mnie obojętnym spojrzeniem, dodał:

— A może ty nie jesteś człowiekiem? W takim razie — odejdz w spokoju, bracie wilku! — i odwróciwszy się ode mnie podjął swoje granie, te dwa powtarzające się monotonicznie tony — jeden bardzo wysoki, drugi, najwyraźniej w tonacji molowej — niższy.

Ktoś, kto też zatrzymał swój wóz, obok mego, powiedział:

— Widział ich pan? Jak mnie ktoś poinformował, to jakiś polski reżyser kręci dla naszej telewizji film oparty na powieści rosyjskiego pisarza Bułhakowa Mistrz i Małgorzata. Czytał ją pan? Fascynująca!

Zaprzeczyłem. Nawet nigdy o takiej nie słyszałem. Ja w ogóle niewiele mam czasu na lektury poza prasą codzienną i tygodniową. Sporo więc niewątpliwie ciekawych i godnych uwagi zagadnień, spraw, literackich utworów uchodzi mojej uwadze, pomijam je, nie poznaję, nie poznam ich już chyba nigdy.

Wróciłem do wozu myśląc: mój syn, Ernest, gdy z nim ostatni raz rozmawiałem, kilkanaście dni temu na komisariacie w Hamburgu, patrząc na mnie i słuchając mego rozpaczliwego i ponizającego monologu, którego już po chwili żałowałem ||j tych moich próśb, perswazji, nieledwie błagania — milczał cały czas przyglądając mi się spod oka, zawzięty i chmurny. Dopiero kiedy czas na widzenie minął i komisarz stojący wciąż pod oknem wskazał mi palcem na zegarek, a ja podniosłem się, by odejść, Ernest powiedział; a oczy mu się zwęziły z hamowanej pasji i wzdargy, stając się stalowo zimne i złe: — Coście z nami zrobili? Nienawidzę was wszystkich.